

BITEWNIK ŁÓDZKI 1914

W KOLORZE

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM PAŃSTWOWE W ŁODZI

BITEWNIK ŁÓDZKI 1914



W KOLORZE

Wydany w grudniu 2021 roku

„Bitewnik Łódzki 1914”– gazeta poległych, przez lata przypominał o 200 tysiącach Polaków, Niemców, Rosjan, Ukraińców, Tatarów, Litwinów i żołnierzy innych narodowości, którzy zginęli w czasie walk pod Łodzią i nad Rawką od jesieni 1914 r. do wiosny 1915 r. Choć trochę pomagał w likwidacji „białej plamy” historii naszego regionu. Chcieliśmy, by trafiał do serc i dusz. Żeby pomógł ocalić od całkowitego zapomnienia tych bezimiennych żołnierzy, wbrew własnej woli wplątanych w zmagania mocarstw. Historia zmiotła wykrwawione imperia. Ale tę krew przelewali zwyczajni, prości ludzie. To oni, niezależnie od narodowości, własną śmiercią przyczynili się do odzyskania przez Polskę niepodległości. Nasza wolność wyrosła na ich kościach.

Przypominaliśmy w „Bitewniku” I wojnę światową, żeby wszyscy polegli mogli wrócić do ludzkiej pamięci, żeby ktoś uporządkował zaniedbany grób wojenny, zapalił świeczkę, pomodlił się. Ci żołnierze nie mają na świecie nikogo oprócz nas. Stąd pomysł nieregularnej gazety frontowej – i zaproszenie do współpracy wszystkich, którym nie są obojętne najnowsze dzieje Polski.

„Naród, który nie szanuje swej przeszłości, nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości” – powiedział Józef Piłsudski.

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie materiałów do wykorzystania w „Bitewniku”. Autorami zamieszczonych tekstów są:

Paweł Babij, Ryszard Bonisławski, Adriana Bryk, Jarosław Centek, Bartłomiej Czyżewski, Maciej Hubka, Michał Jagiełło, Zbigniew Janeczek, Maciej Janik, Andrzej Kobalczyk, Wioletta Majchrzak-Tuta, Tomasz Matuszak, Kamila Pawełczyk-Dura, Anna Pawlak, Aleksy Piasta, Ryszard Rząd, Stanisław Skupiński, Andrzej Tajchert, Dominik Trojak, Tomasz Walkiewicz, Anna Waś, Wojciech M. Wochna, Marek Wojtylak, Aleksander Zawilski, Piotr Zawilski.

Dziękujemy za współpracę i niedpłatne udostępnienie swoich zbiorów:

Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, Archiwum Diecezjalnemu w Łodzi, Muzeum Zamkowemu w Malborku, Stowarzyszeniu na Rzecz Rozwoju Społeczności Lokalnej MROGA z Koluszek.

Redaktorzy dołożyli wszelkich starań, aby podać źródła i nazwiska autorów zamieszczonych fotografii i innych materiałów. Niestety w niektórych przypadkach nie udało się tego ustalić. Będziemy wdzięczni za pomoc w tym zakresie. Wszystkie nadesłane uwagi zamieścimy w kolejnych wydaniach.

ISBN 978-83-947168-9-9

Zespół redakcyjny
Piotr Zawilski, Zbigniew Janeczek, Michał Jagiełło

Projekt graficzny
Zbigniew Janeczek

Skład i łamanie
Bilbo Graficzne Studio Komputerowe

Koloryzacja zdjęć
Karol Przybysz-Malczewski, Olga Szirnina, Piotr Trybuchowski

Korekta
Jolanta Pol

Druk
Gutenberg

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM PAŃSTWOWE W ŁODZI

Na okładce: żołnierze z Batalionu Zapasowego 85 Pułku Landwehry (Ersatz Bataillon Landwehr Infanterie Regiment Nr 85). Zdjęcie jakich tysiące, poza tym że zostało wykonane w Łodzi. Interesujący jest fakt, że ten batalion utworzono w miejscowości Sondeborg leżącej w części landu Schleswig-Holstein zdobytego przez Niemców podczas wojny duńskiej w roku 1864, w związku z tym liczną grupę żołnierzy pułku stanowili pełnokrwiści Duńczycy.

Operacja łódzka, czasem nazywana zaledwie bitwą, rozegrała się 107 lat temu wokół Łodzi. Przez niektórych historyków została uznana za największą operację manewrową frontu wschodniego pierwszej wojny światowej, o ile nawet nie całej wojny. Zmieniła bieg historii, wprowadziła nowe rodzaje broni, była bitwą narodów, pochłonęła tysiące ofiar i… została zapomniana na długie lata.

Zacznijmy jednak od początku. Wszak nie rozpoczęli jej ci, którzy ją planowali.

Rosyjskie dowództwo wojskowe zachęcone sukcesem operacji dęblińsko-warszawskiej (tj. powstrzymaniem w październiku 1914 roku niemieckiej ofensywy na Warszawę) postanowiło iść za ciosem i zadać ostateczne uderzenie armii niemieckiej. Na terenach podłódzkich stacjonowała tylko jedna armia niemiecka. Była to 9 Armia dowodzona przez generała Augusta von Mackensena. Rosyjska Stawka opracowała plan uderzenia polegający na odcięciu Niemców od zaplecza surowcowego na Śląsku, a następnie zajęciu dwóch stolic państw centralnych, tj. Berlina i Wiednia.

Taki śmiały atak przeprowadzony na froncie, który w założeniach strategicznych był tylko frontem pomocniczym, zakończyłby wojnę, która dla niektórych trwała już za długo. Miała to być bowiem wojna błyskawiczna, która rozpoczęta w wakacje powinna zakończyć się do jesieni. Słynne słowa cesarza Wilhelma II do swego wojska to potwierdzały. Powiedział: „Wrócicie, zanim opadną liście".

Rosjanie, przygotowując się do uderzenia, popełnili jednak sporo błędów. Najważniejszym z nich było nieszyfrowanie depesz. A w nich zawarto wszystkie tajne dane dotyczące rosyjskiego ataku na pozycje niemieckie. Dlatego też niemieckie dowództwo – początkowo uważające, że to rosyjska pułapka – stopniowo zaczęło wchodzić w posiadanie najbardziej tajnych planów operacyjnych. Wobec takiej sytuacji jedynym słusznym posunięciem było zaskoczenie szykujących się do ataku Rosjan. Ważną rolę odgrywało tu szybkie przegrupowanie sił i czas. Rosjanie swój atak planowali na 14 listopada. Niemcy czas ten skrócili i rozpoczęli działania, nomen omen, 11 listopada 1914 roku.

I tak rozpoczęły się walki. Rosjanie byli całkowicie zaskoczeni, gdyż nie zauważyli ruchów niemieckiego wojska. Na dodatek założenia błyskawicznego zakończenia operacji nie ziściły się. Krwawe boje toczyły się na linii od Włocławka po Pabianice na linii północ–południe, a na linii zachód–wschód między Koninem a rzekami Rawką i Bzurą. Trwały do 5 grudnia. Rano 6 grudnia Niemcy ostrożnie wchodzili do Łodzi, w której panowała cisza, nikt nie strzelał. Tym razem to Niemcy nie zauważyli, że Rosjanie opuścili tereny wokół miasta.

W czasie walk zostały wprowadzone nowe rozwiązania, które zmieniły sposób prowadzenia działań wojennych.

I tak samoloty przestały pełnić wyłącznie funkcje rozpoznawcze, gdyż rozpoczęły także atak z powietrza, zrzucając bomby.

Rosjanie po raz pierwszy użyli na froncie wschodnim pociągów pancernych i samochodów opancerzonych. Z nowinek technicznych należy wymienić jeszcze ogromne reflektory używane do nocnego namierzania bezszelestnych balonów obserwacyjnych.

Bezpośrednim pokłosiem operacji łódzkiej było użycie w styczniu 1915 roku gazów bojowych pod Bolimowem. Po raz pierwszy atak gazowy został więc przeprowadzony na froncie wschodnim.

Tragicznym pokłosiem walk rozgrywających się wokół Łodzi były straty ludzkie. Szacuje się, że zginęło w nich 200 tys. żołnierzy, w tym 110 tys. po stronie rosyjskiej, 90 tys. po stronie niemieckiej. Dzienne straty wynosiły aż 9,5 tysiąca ludzi! Wśród ofiar było także wielu Polaków, którzy zostali wcielani do armii państw zaborczych. Widocznym śladem są polskie imiona i nazwiska zachowane na tablicach nagrobnych na niemal do niedawna całkiem zapominanych cmentarzach wojennych z okresu I wojny światowej.

Od redakcji

Trudno w to uwierzyć ale minęło już 12 lat od ukazania się pierwszego numeru „Bitewnika Łódzkiego 1914”. Latka poooooszły... niczym torpeda z U-9, pocisk z Chudej Emmy, szybciej niż kula z 3-linowego Mosina. Szanownej redakcji także się oberwało – potraciła w zawierusze wojennej włosy, wzrok, a i mundur leży już nie tak, jeden z redaktorów od dawna w rezerwie.

Pomysł zrodzony podczas nieformalnego spotkania dwóch „zakręconych” na punkcie Wielkiej Wojny fascynatów miał prawo rozpłynąć się po pierwszych próbach. Brak źródeł historycznych, skąpa literatura, a przede wszystkim powszechny w roku narodzin „Bitewnika”, prawie absolutny brak funkcjonowania Wielkiej Wojny w świadomości ogółu – nie tylko łodzian, ale nas Polaków – skazywały pomysł na porażkę. Tymczasem „Bitewnik Łódzki 1914” ukazywał się jak łatwo policzyć trzy razy dłużej niż Wielka Wojna. Zdołaliśmy wydać 14 „zwykłych numerów”, 1 w języku rosyjskim i w roku 2016 numer specjalny.

Właśnie wspomniany powszechny niemal brak wiedzy na temat Wielkiej Wojny, a tym samym Bitwy Łódzkiej, sprawił, że pomysłodawcy byli jeszcze bardziej zdeterminowani, aby wiedzę ową zanieść „pod strzechy”. Stąd przyjęta formuła „nieregularnika”, która jest daleka od akademickiego wykładu, ma zachęcać do lektury i dalszego zgłębiania wiedzy, nie tylko o walkach pod Łodzią w roku 1914,



Piotr Zawilski Michał Jagiełło Zbigniew Janeczek

ale także o I wojnie światowej. Zdołano pozyskać do współpracy wielu autorów, w tym także spoza regionu łódzkiego. Kolejne numery rozchodziły się w zawrotnym tempie. Pojawił się także młodszy braciszek – „Bitewnik Łodzki 1920”, poświęcony już bardziej znanej historii wojny polsko-bolszewickiej.

Nasz „Bitewnik Łódzki 1914” był cytowany na wielu forach internetowych, a także analizowany i pozytywnie recenzowany w fachowej literaturze historycznej. Nagle okazało się, że redakcja znalazła się pod ciężkim ostrzałem publiczności żądającej dostarczania kolejnych numerów na czytelniczy front, coraz nowszych wieści z dawno wygasłych walk, co więcej przechodziła także ciężkie bombardowanie zamówieniami na archiwalne, wyczerpane już numery „Bitewnika”. Niestety *боеприпасы окончились*, a doraźnie przygotowany frontowy ersatz – w postaci elektronicznych kopii na stronach Archiwum Państwowego w Łodzi – armii czytelników zdecydowanie nie zadowalał, no bo jak Panie Generale z komputerem *извените* do wygódki? W roku 2015 zwołana redakcyjna rada wojenna podjęła jedynie słuszne strategicznie posunięcie: w celu uspokojenia sytuacji na linii frontu zdecydowano na kontrofensywę, wydając w formie książkowej numer specjalny BITEWNIKA ŁÓDZKIEGO 1914. Dla zapewnienia kolejnego zwycięstwa wybrano najlepsze artykuły i materiały, przegrupowano je, nadając porządek wynikający nie z kolejności wydań, ale z historii zdarzeń.

Teraz oddajemy w Państwa ręce najprawdopodobniej już ostatnie wydanie „Bitewnika Łódzkiego 1914”. Najwyższy czas poświęcić uwagę innym tematom. Niniejsza publikacja w dużej części powtarza Numer Specjalny z roku 2015. Ale…. Kończąc naszą przygodę z Bitwą Łódzką pragniemy, parafrazując maksymę pewnego polityka, aby zapamiętano nas jako prawdziwych popularyzatorów i historyków tego ważnego wydarzenia w dziejach Łodzi. Do najciekawszych materiałów z poprzednich wydań dorzuciliśmy coś extra, a więc KOLOR. Żegnamy się z wiernymi Czytelnikami i mamy nadzieję, że ten pomysł przypadnie Wam do gustu.

Redakcja

PIERWSZA WOJNA, KTÓRA BYŁA OSTATNIĄ

Wojna sama w sobie nie ma najmniejszego sensu, co najdobitniej udowodnił Szwejk, a uzasadnił Bohumil Hrabal w *Pociągach pod specjalnym nadzorem* zdaniem: „Było siedzieć w domu na dupie!”. W naturze ludzkości jest niestety coś takiego, że nie chce ludzkość owa słuchać Hrabala i coraz to wychodzi z domu. Oczywiście dotyczy to głównie męskiej części ludzkości.

Co takiego jest w wojnie, że fascynuje i pociąga („Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, że za tobą idą chłopcy malowani…”)?

Po ożywionej dyskusji w redakcji przy nalewkach dokonaliśmy zwięzłych podsumowań. Całkiem poważnych.

Nalewka malinowa doprowadziła nas do wniosku, że podłożem wojny jest stres egzystencjalno-eschatologiczny. Kobieta, z natury zajęta przedłużaniem gatunku i kontynuacją życia, karmi potomstwo, odziewa, wychowuje itd. Innymi słowy – nie ma czasu na pierdoły. Mężczyzna natomiast buntuje się przeciwko bezsensowności śmierci i czekaniu na śmierć. Woli więc wyjść jej naprzeciw i stawić czoła. Śmierć na wojnie ma dla niego sens – zginął za króla, ojczyznę, honor… Usensownienie śmierci poprzez wojnę (słowo „usensownienie” przyszło nam do głowy przy nalewce z aronii) sprawiło, że na przestrzeni dziejów dorobiła się ona całej stosownej oprawy. Najpierw był kodeks rycerski: walczono tylko w dzień, z przerwami na obiad i modły, nie dobijano rannych, jeńców traktowano z honorami. Przez stulecia mundur był najpiękniejszym męskim strojem: wystarczy popatrzeć na mundur takiego huzara. Purpura, złoto, pętle, pagony, fintifluszki, burki, akselbanty, hafty, haftki, rajtki i Bóg wie co jeszcze. Pojedynek na szable czy miecze był formą kontaktów międzyludzkich – można było sobie pogadać z przeciwnikiem.

Waleczni mężowie nie dostrzegli jednak najgorszego wroga: postępu technicznego. Wynajdując coraz to nowe bronie, nie zdawali sobie sprawy, że obracają się one przeciwko nim samym. Przeciwnik oddalał się. Kuli karabinowej było wszystko jedno, czy trafi w strojnego huzara czy w grenadiera w białych spodniach. Pocisk artyleryjski masakrował wszystkich bez różnicy z odległości kilku lub kilkunastu kilometrów. Moda wojenna zmieniła się: teraz chodziło o to, żeby upodobnić się do błota i łajna, a nie stroić się jak na bal. Nowoczesna technika bojowa odebrała wojnie elegancję, dżentelmeńskość i rycerskość, zamieniła pole walki w jatkę.

I wojna światowa była końcem wojen w stylu klasycznym. Jeszcze działały mechanizmy rycerskie (np. jeńców ciągnęło się ze sobą na pierwszą linię), jeszcze nie strzelano do ciekawskich wieśniaków, jeszcze podczas zawieszenia broni grało się z nieprzyjacielem w piłkę między okopami, ale były to ostatnie podrygi tradycji. Bombę wodorową coś takiego jak „jeńcy” po prostu by rozśmieszyło. Dawni rycerze przebrali się w ochronne brudno-bure łachy i wpełzli jak robale do okopów, gdzie na tamten świat wyprawiały ich pociski moździerzy, gazy, szrapnele i bomby lotnicze. Piękne dekoracje dawnego teatru śmierci na wojnie zostały rozjechane przez gąsienice czołgów i potraktowane seriami karabinów maszynowych.

Tu trzeba powiedzieć, że zrobiło nam się trochę żal rycerzy, ułanów, huzarów, lejb-gwardii i grenadierów.

Ale przy nalewce na mirabelkach pocieszyliśmy się. Skoro wojna przestaje być dla mężczyzn formą rewii mundurowej mody, wymiany grzeczności z honorowym przeciwnikiem i szlachetnych uczynków, to może w ogóle zniknie? Zostaną mecze, gry komputerowe i filmy. A piękne historyczne mundury będzie można podziwiać na bezkrwawych rekonstrukcjach minionych bitew.

I o to właśnie chodzi.

♣ *mj*

Na wstępie zgódźmy się ze stwierdzeniem, że I wojnę światową w Polsce mało kto zna i mało kto się nią interesuje (może z wyjątkiem nielicznej garstki zakręconych, podobnych autorom „Bitewnika”). Dlaczego? Po pierwsze, uważa się, że była to nie „nasza” wojna i do tego toczona 100 lat temu, nie ma więc komu o niej wnukom opowiadać. Po drugie, po niej była jeszcze jedna, którą przez 50 lat uznawano za ważniejszą, bo dzięki niej nastała „prawdziwa” demokracja i powrót na prastare ziemie piastowskie, a wojsko polskie stanowiło w niej czwartą siłę wśród wojsk alianckich etc.

Wielką Wojnę, jak ją nazywają Francuzi, zwykło się omawiać w polskich szkołach i mediach przede wszystkim w kontekście konfliktu zbrojnego państw zaborczych, który przyniósł Polsce niepodległość, oraz czynu legionów Piłsudskiego. W świadomości współczesnych Polaków powstaje skrzywiony obraz wojny toczonej na ziemiach polskich przez milionowe armie Prusaków, Austriaków i Moskali, którym nasi przodkowie jedynie biernie przyglądali się, wyglądając z naręczami pełnymi kwiatów nadchodzącej jutrzenki swobody w postaci maszerujących dziarsko legionistów.

Takie postrzeganie I wojny światowej należy zmienić, lecz w sposób możliwie jak najbardziej przystępny, uciekając jak najdalej od ławek i zeszytów szkolnych w stronę wyszperanych gdzie to tylko możliwe zdjęć i opowieści bohaterów frontowych i najbardziej zawziętych dekowników. Celem naszym jest uświadomienie mieszkańcom ziemi łódzkiej jak silne piętno na losie miasta i regionu odcisnęła ta zapomniana wojna.

Dyrektor Archiwum Państwowego w Łodzi
Piotr Zawilski

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM PAŃSTWOWE W ŁODZI

SIEDEM KUL W SARAJEWIE, CZYLI ZABAWY SŁOWEM ORAZ ROZMNOŻENIE CUDOWNE I ROZMNOŻENIE TRAGICZNE

Strzelając 28 czerwca 1914 roku w bośniackim Sarajewie do austro-węgierskiego następcy tronu arcyksięcia Ferdynanda, serbski zamachowiec Gawriło Princip, jak wielu mu współczesnych, nie spodziewał się zapewne, że zamach będzie bezpośrednią przyczyną wybuchu światowej wojny.

Mimo ogólnego niepokoju, przez pierwszy miesiąc reakcje były raczej wstrzemięźliwe. Silny w Europie ruch pacyfistyczny zdawał się być gwarantem pokoju. Dochodziło jedynie do drobnych incydentów jak ten opisany w *Przygodach dobrego wojaka Szwejka* kiedy to jeden z mieszkańców Pragi trafił do aresztu za rzucone w czasie gry karcianej: ***Siedem dzwonków jak siedem kul w Sarajewie*** *— Sedum kulí jako v Sarajevu*.



Arcyksiążę Franciszek Ferdynand

Nieznany nam z imienia i nazwiska Czech dokonał **rozmnożenia cudownego**, gdyż Serb strzelał tylko dwukrotnie. Zabawił się także słowem, bo w języku czeskim karciane dzwonki i kule brzmią jednakowo — *kula*. Ukłon w stronę Jaroslava Haška, autora szwejkowych przygód, którego fikcja literacka stłumiła rzeczywiste wydarzenia.

Także w Łodzi starano się tonować nastroje. *Iz za principa vojny vest' ne budem* — „dla zasady nie będziemy prowadzili wojny", miał uspokajać rosyjski generał łódzkich dziennikarzy, zapytany o skutki zabójstwa. Tu generał także zabawił się słowem, nawiązując „dowcipnie" do nazwiska zamachowca (Princip — *принцип* — zasada).

Niestety te dwie małe pistoletowe kule posłane w kierunku następcy tronu **rozmnożyły się tragicznie** do miliardów pocisków, granatów, min i bomb użytych w wojnie, która okazała się największą z dotychczas prowadzonych przez ludzkość, doprowadzając do „samobójstwa cywilizowanej Europy" – jak to ujął papież Benedykt XV.

Natychmiastowe intensywnie prowadzone śledztwo wskazało jako realizatora zamachu terrorystyczną organizację Czarna Ręka wspieraną i finansowaną przez wywiad Serbii. Austro-Węgry wystosowały wobec niej 10-punktowe ultimatum, które w przypadku przyjęcia oznaczałoby utratę przez Serbię suwerenności. Odrzucenie dyktatu przyniosło 28 lipca 1914 roku wypowiedzenie przez Austro-Węgry wojny Serbii. Dalsze wypadki były już tylko efektem „zasady domina" wynikającej ze skomplikowanego systemu sojuszy międzynarodowych. 29 lipca Rosja zarządziła częściową mobilizację, jako krok poparcia dla Serbii. Niemcy, związane sojuszem z Austro-Węgrami, 31 lipca zagroziły wypowiedzeniem wojny w wypadku, gdyby Rosja przeprowadziła pełną mobilizację. W odpowiedzi na to Francja – sojusznik Rosji, także ogłosiła mobilizację. 1 sierpnia Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, a dwa dni później Francji. Niemiecka inwazja na neutralną Belgię zmusiła Wielką Brytanię do zadeklarowania stanu wojny z Niemcami (4 sierpnia). Do konfliktu przystąpiły także dominia Wielkiej Brytanii oraz Japonia, która miała z nią umowę sojuszniczą. Wreszcie 6 sierpnia Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji. Tak rozpętała się tragedia, nazwana z czasem I wojną światową, która ogarnęła całą kulę ziemską oraz pochłonęła w ciągu czterech lat 8,5 miliona śmiertelnych ofiar ludzkich.

Ogłaszając po przeszło czterech latach krwawych walk podpisanie rozejmu, premier Wielkiej Brytanii David Lloyd George, powiedział: „Dziś o jedenastej rano [11 listopada 1918 roku – przyp. autora] skończyła się wojna, najokrutniejsza i najstraszniejsza z wojen, jakie doświadczyła ludzkość. Mam nadzieję, że wolno nam powiedzieć, że tego historycznego poranka skończyła się epoka wojen". Niestety pomylił się biedak, jak wielu polityków, i to straszliwie. Polityczne i społeczne skutki wojny odczuwano, szczególnie w Europie, praktycznie aż do wybuchu w 1939 roku kolejnej wojny światowej. Wiele narodów odzyskało samostanowienie. Jednakże upokarzający Niemcy traktat wersalski rodził chęć rewanżu. Równocześnie ogromna danina krwi francuskiego „narodu jedynaków" zniechęcała go do angażowania się w kolejną wojnę w obronie interesów małych państw, Stany Zjednoczone powróciły do polityki izolacjonizmu, nie chcąc po raz kolejny być zaplątane w „europejską awanturę".

A w mniejszej, naszej lokalnej skali? Cóż, Łódź przegrała tę wojnę. Praktycznie nie powróciła do świetności sprzed sierpnia 1914 roku. Łódzki przemysł na skutek pruskiej dewastacji i utraty rosyjskiego rynku zbytu nigdy nie powrócił do swej dawnej świetności. Wielu łodzian nie powróciło do swych domów. Mało kto zdaje sobie sprawę, że do bratobójczej walki w latach 1914-1918 stanęli nie tylko Polacy służący w armiach zaborczych. Także łodzianie narodowości niemieckiej i żydowskiej musieli jako poddani rosyjscy przywdziać szare szynele i walczyć ze swymi braćmi po drugiej stronie linii frontu.

Po zakończeniu I wojny światowej z czterech nacji budujących miasto pozostały trzy – rosyjska praktycznie zniknęła, po przeszło ćwierćwieczu zniknęły dwie następne.

pz



Znaczek C.K. Poczty wojskowej z arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem i jego żoną.



4 lipca 1914 r. w Artstetten, ok. 60 km na zachód od Wiednia, odbył się pogrzeb austriackiego następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Gott strafe England czyli Prusacy idą na wojnę

Gdy w 1862 roku premierem Prus został Otto von Bismarck. Prusy będące do tej pory tylko jednym z państw związkowych Związku Niemieckiego, powstałego pod faktycznym przewodnictwem Austrii, zaczęły dążyć do lokalnej hegemoni i uniezależnienia się od Wiednia. Sprowokowane przez Berlin wojny o Szlezwik i Holsztyn, w latach 1864 i 1866, przyniosły w efekcie Prusom oba kraje jako łupy wojenne. Dodatkowo rozwiązano Związek Niemiecki, powołując w jego miejsce Związek Północnoniemiecki, niezależny od Austrii i funkcjonujący pod faktycznym przewodnictwem Prus. Bismarck starał się jednak nie osłabiać Wiednia zbyt znacząco, pozostawiając furtkę do poprawy stosunków, do czego doszło już w roku 1882, po podpisaniu trójprzymierza z Austro-Węgrami i Włochami. Wcześniej jednak Prusacy zdobyli na Francuzach Alzację i Lotaryngię, doprowadzając do zjednoczenia państw niemieckich w ramach tzw. II Rzeszy. Stawali się coraz silniejszym graczem w lidze europejskiej i coraz bardziej dążyli do konfrontacji.

Niemcy szły na Wielką Wojnę w poczuciu zjednoczenia narodowego. Widziano w niej przede wszystkim szansę na likwidację podziałów regionalnych nadal się utrzymujących, pomimo upływu przeszło czterdziestu lat od zjednoczenia kraju przez Żelaznego Kanclerza.

Liczono także na nowe zdobycze terytorialne, w tym na zdobycie zamorskich kolonii, co miało przynieść poprawę kondycji społecznej Niemców. W poczuciu wielu z nich, pozostawanie kraju do roku 1871 w rozbiciu na szereg państewek spowodowało, że Prusom nie przypadła „należna" im liczba kolonii. Pozyskane w latach 80. XIX wieku w Afryce kolonie: w Kamerunie, Namibii (Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia), Togoland nad Zatoką Gwinejską, na terenach Tanzanii, Rwandy i Burundi (Niemiecka Afryka Wschodnia, a do tego na Pacyfiku kolonie: Archipelag Bismarcka z wyspą Neu Pommern!), Samoa, Palau, Karoliny, Wyspy Marshalla i Mariany – to było za mało. Wojna miała to zmienić.

Na skutek odmiennych interesów w polityce kolonialnej zaczęły się ochładzać dobre dotychczas relacje z Anglią. Wpływ na to miała również rozbudowa niemieckiej floty wojennej, będąca solą w oku Wielkiej Brytanii.

Niemcy – we własnym mniemaniu okrążeni przez kraje Ententy – mieli prowadzić wojnę obronną. Rosja była dla nich reprezentantką azjatyckich hord, a w opinii Kajzera „Car rosyjski nadaje się jedynie do życia w chałupie i uprawiania rzepy". Francuzi byli oczywiście żądni rewanżu za przegraną w roku 1870 wojnę, zaś Wielka Brytania, nie mogąc poradzić sobie z konkurencją niemieckich towarów na wolnym rynku, dążyła do tego, aby w wyniku wojny doprowadzić do upadku niemiecką gospodarkę. W takiej atmosferze posłowie wszystkich partii politycznych głosowali w Reichstagu za uruchomieniem kredytów wojennych. Wilhelm II oświadczył: „Od dziś nie znam partii politycznych, znam tylko obywateli Niemiec". Na kartkach i znaczkach pocztowych, kartach dań i cygarach zaczęto drukować hasła w rodzaju *Gott strafe England* – Boże ukarz Anglię. Autorem sloganu był Ernst Lissauer - całkowicie zasymilowany berliński Żyd. Według swojego przyjaciela Stefana Zweiga był on zagorzałym nacjonalistą i wielbicielem tradycji pruskiej. Zweig powiedział o nim: „Niemcy były jego światem i im bardziej coś było germańskie, tym bardziej go zachwycało." Jego przywiązanie do języka niemieckiego historia, poezja, sztuka i muzyka były, jak sam określił, monomanią, która nasiliła się wraz z wybuchem I wojny światowej, kiedy to napisał swoją Pieśń Nienawiści - Hassgesang gegen England, W uznaniu zasług w umacnianiu patriotyzmu niemieckiego kajzer odznaczył go Orderem Czerwonego Orła,



Kriegervereine na ćwiczeniach strzeleckich, wszyscy w cywilu a jednak w mundurkach.

Nie bez znaczenia dla wybuchu konfliktu były poglądy dowódców armii europejskich. Podstawowym środkiem prowadzącym do wygranej miała być jak najszybciej przeprowadzona mobilizacja i uniknięcie zaskoczenia oraz znalezienia się w defensywie. W przygotowaniach do wojny przodowała II Rzesza – państwo na wskroś zmilitaryzowane. Większość ówczesnych państw skopiowała rozwiązania zastosowane w armii pruskiej podczas wojny w roku 1870. Wprowadzono powszechny obowiązek wojskowy, opracowano system rezerw materiałowych oraz szczegółowe plany działań wojennych na wypadek konfliktu. Niemcy miały wysoki poziom oświaty, zaopatrzenia socjalnego i dochodu na głowę mieszkańca. Można uznać, że elementem ich siły była nie tylko liczba, ale i jakość ludności. Wynikały z tego korzyści zarówno dla pruskiej armii, jak i dla fabryk potrzebujących wykwalifikowanych robotników, przedsiębiorstw poszukujących inżynierów, laboratoriów, którym potrzebni byli chemicy, oraz firm szukających menedżerów. Wszystkich tych kadr dostarczały niemieckie szkoły, politechniki i uniwersytety. Dzięki posiadanej wiedzy niemieccy rolnicy stosowali nawozy sztuczne i modernizowali swoje gospodarstwa, co prowadziło do zwiększenia plonów. Niemcy wyróżniały się również pod względem rozwoju przemysłu. W 1914 roku Siemens i AEG zatrudniały razem 142 000 osób i miały dominującą pozycję w przemyśle elektrotechnicznym. Bayer i Hoechst dostarczały 90% światowej produkcji farb i barwników przemysłowych. W 1914 roku Niemcy z produkcją 17,6 mln ton wyprzedzały Wielką Brytanię, Francję i Rosję razem wzięte. Niemcy stały się główną potęgą gospodarczą Europy. Rozwój technologiczny i organizacyjny doprowadził do utworzenia sztabów generalnych z precyzyjnymi harmonogramami mobilizacji i działań ofensywnych.

Zwolnienie z obowiązku odbycia służby wojskowej było w Prusach poważnym ograniczeniem możliwości awansu społecznego i utrudnieniem sytuacji życiowej, gdyż więk-

szość posad urzędniczych na szczeblu niższym i średnim było zarezerwowanych wyłącznie dla tych, którzy odbyli służbę wojskową. Armia była także pośrednio narzędziem wpływów politycznych rządu poprzez kombatanckie Związki Wojskowych (*Kriegervereine*), skupiające oficerów i żołnierzy po zakończeniu przez nich służby czynnej. Statut związków byłych wojskowych zabraniał im zajmować się polityką i nie dopuszczał do członkostwa osób o poglądach socjalistycznych, a nawet członków związków zawodowych. Żadna uroczystość państwowa czy lokalna nie mogła się odbyć bez udziału przedstawicieli armii oraz *Kriegervereine*.

Generał-gubernator okupowanej przez wojska niemieckie części Królestwa Polskiego Hans von Beseler, uszlachcony w 1904 roku mieszczanin (pierwszy z lewej w górnym rzędzie fotografii poniżej), twierdził, że „korpus oficerski jako kierownik całego narodu w najpoważniejszych dla niego chwilach musi mieć zapewnioną poza tym pewną kierującą rolę. Już z tego więc wynika konieczność uzupełniania go wyłącznie z tych warstw narodu, które wyróżniają się w dziedzinie wychowania oraz stanowiska towarzyskiego".

W pamiętniku Ignacego Paderewskiego znajdujemy zaś taki zapis: „Wygląd Berlina miał przy tym coś teatralnego, wszystko nosiło piętno wojskowe. Mundury panowały wszędzie. Między oficerami a ludnością cywilną wyczuwało się pewien antagonizm. Mimo to stale zauważyć można było ludzi skwapliwie ustępujących miejsca na trotuarze oficerom. W ten sposób podkreślało się ich wyższość. Było to zabawne, ale poczciwa ludność niemiecka przyzwyczaiła się do tego i w krew jej już weszło poczucie niższości wobec wojska".

Niemieckie dowództwo przewidywało, że w razie wybuchu powszechnej wojny europejskiej Niemcy najpierw uderzą na Francję



Normalne pruskie porządki: cywile na lewo, wojskowi na prawo.



i doprowadzą do jej szybkiego pokonania, aby w ten sposób nie dać czasu Rosji na zmobilizowanie swych ogromnych rezerw ludzkich. Po wyeliminowaniu jednego przeciwnika wszystkie siły niemieckie miały być następnie przerzucone na wschód. Dowództwo niemieckie pokładało w tym planie wielkie nadzieje w szczególności po wojnie rosyjsko-japońskiej, która obnażyła słabości carskiej Rosji. Plan niemiecki przewidywał gwałtowne uderzenie potężnymi siłami na Francję, a po jej pokonaniu zwrócenie całej armii przeciwko wolno mobilizującej się Rosji. Zgodnie z planem Schlieffena uderzenie na Francję miało być przeprowadzone z północy, przez terytorium Belgii, w celu uniknięcia przedzierania się przez silne umocnienia graniczne zbudowane przez Francuzów pod koniec XIX wieku.

Pruskie wojska 2 sierpnia 1914 roku zajęły neutralny Luksemburg, a następnego zaatakowały Belgię. Prusacy triumfowali, z balkonu berlińskiego pałacu Kajzer zapewniał swych żołnierzy: „Wrócicie do domu, nim opadną liście". Po miesiącu walk czołowe oddziały niemieckie znalazły się w odległości 70 km od stolicy Francji, ale zostały niespodziewanie uszczuplone, ponieważ Moltke odesłał dwa korpusy armijne na front wschodni dla ratowania sytuacji w Prusach Wschodnich. W tej sytuacji stoczona od 6 do 12 września bitwa nad Marną zmusiła Niemców do odwrotu, po czym wojska się okopały. Tym samym na froncie zachodnim rozpoczął się statyczny okres wojny, który miał trwać przez następne cztery lata. Tymczasem na fronce wschodnim w trakcie jesiennej ofensywy Prusacy maszerując śpiewali *Theo, wir fahr'n nach Lodz...*

pzbrzj

Fotografia obok: Cesarz Wilhelm II jako głównodowodzący wraz ze swym sztabem (cesarz i trzej książęta, pozostali mają tytuły szlacheckie).

Bekanntmachung.

Wer Feldtelegraphen- oder Fernsprechleitungen beschädigt, wird erschossen. Wer diese Bekanntmachung abreißt, wird schwer bestraft.

Wird der Täter nicht ergriffen, so treten die strengsten Maßnahmen gegen die Gemeinde ein, auf deren Gebiet die Beschädigung vorgenommen worden ist.

Großes Hauptquartier.

Avis.

Quiconque aura endommagé un télégraphe ou un téléphone militaire, sera fusillé. Sera également puni des peines les plus rigoureuses celui qui enlèvera cet avis.

Si le coupable n'est pas saisi, les mesures les plus sévères seront prises contre la commune où le dommage a été causé ou le présent avis a été enlevé.

Le Général commandant du Corps d'armée.

ОБЪЯВЛЕНІЕ.

Каждое лицо, которое какимъ-либо образомъ повредитъ полевыя телеграфныя или телефонныя линій будетъ застрѣлено. Строжайшему наказанію будетъ подвергнуто тоже и то лицо, которое сорветъ сіе объявленіе.

Въ случаѣ незадержанія виновнаго строжайшія мѣры будутъ приняты противъ той волости въ предѣлахъ которой поврежденіе линій было совершено или сіе объявленіе было сорвано.

КОМАНДУЮЩІЙ ГЕНЕРАЛЪ.

Obwieszczenie.

Kto druty polno telegraficzne albo telefoniczne uszkodzi, będzie zastrzelony. Tak samo oczekuje najostrzejsza kara tego, który by to obwieszczenie oddarł.

Jeżeliby sprawcę nie schwytano, to nastąpi najostrzejsze ukaranie gminy, w który obwodzie to uszkodzenie nastąpilo albo tez to obwieszczenie oddarto.

Komenderujący General.

Diese Bekanntmachung darf im Frieden nicht benutzt werden.

ROZPORZĄDZENIE.

Wobec tego, iż osobom wojskowym zabroniono jest bez zezwolenia Zarządu Gubernjalnego rozkwaterowywać się w Łodzi i okolicy, rozporządzam niniejszym, że obowiązkiem wszystkich obywateli jest, o wszelkich rozkwaterowaniach się wojska, natychmiastowo donieść Zarządowi Gubernialnemu piśmiennie lub ustnie. O rozkwaterowaniu się w nocy, należy dać znać następnego dnia zrana.

Uchylający się od niniejszego rozporządzenia będą karani.

Gubernator.

* * *

Zwracamy uwagę, iż rozporządzenie wzbraniające wszelkiego ruchu po godzinie 9-ej pozostaje również w noc Sylwestrową w swej mocy,

Publiczne zabawy po godz. 9-ej są wzbroniono.

Gubernator.

* * *

W okręgu Cesarsko-niemieckiej gub. łódzkiej, wzbronione jest sprowadzanie, lub też sprzedawanie innych pism poza państwowo-niemieckiemi, austrjackiemi oraz wydawanymi w Łodzi.

Uchylający się od niniejszego rozporządzenia będą ukarani.

Gubernator.

Łódź, d. 30 grudnia 1914 r.

C. K. M. O.

w Łodzi.

Wydział Prasowy

Centralny Komitet Milicji Obywatelskiej z upoważnienia Dowodzącego siłami wojennemi jenerała Charpentier'a podaje za pośrednictwem swego Wydziału Prasowego do wiadomości ogólnej, że:

1) będą rozstrzeliwane wszystkie osoby przejeżdzające lub przechodzące w kierunku Piotrkowa, Kalisza, lub Szadku, jako też wszyscy ci, którzy by przewozili lub przenosili produkty spożywcze, bydło, trzodę i temu podobne w kierunku wojsk nieprzyjacielskich.

2) niema obecnie najmniejszego powodu do jakiegokolwiek niepokoju, a tem bardziej paniki w mieście, gdyż Łódź jest dostatecznie zabezpieczona przez siły wojskowe.

Gdyby wszakże dla względów strategicznych wojska zmuszone były cofnąć się po za linję miasta Łodzi, to jenerał Charpentier nie omieszka zawczasu podać o tem do wiadomości mieszkańców naszego miasta.

Łódź, 30 Września 1914 r.

Bekanntmachung.

Es ist verboten, das Zeitungen oder Briefe aus Orten, die jenseits des okkupierten Gebietes des deutschen Heeres liegen, in das Etappengebiet oder von hier nach Orten, die jenseits der Stellungen des deutschen Heeres liegen, geschmuggelt werden.

Zuwiderhandlungen werden nach Kriegsgesetzen bestraft.

.....den.....1915

Fritsch,
Hauptmann u. Kommandant.

Zawiadomienie.

Zabrania się przemycania gazet i listów z miejscowości, położonych po drugiej stronie od zajętego przez wojska niemieckie obszaru, do terytorjum etapowego jak również i ztąd do miejscowości leżących poza linją wojsk niemieckich.

Sprzeciwiający się niniejszemu postanowieniu ukarani zostaną podług prawa wojennego.

.....dnia.....1915

Fritsch,
Kapitan i Komendant.

OSTATNIA WOJNA CARSKIEJ ROSJI

„Rosja ma tylko dwóch sojuszników – armię i flotę” – miał rzec Aleksander III Romanow. W krótkich dla XIX-wiecznej Rosji okresach pokoju sojusznicy ci schodzili na plan dalszy w realizacji rosyjskiej polityki imperialnej. Miała ona charakter przede wszystkim kulturowy i – w przeciwieństwie do swego militarnego odpowiednika – jej celem nie był podbój terytorialny czy gospodarczy, lecz podbój i kontrola umysłów ludzi. Nietuzinkową rolę w realizacji tej polityki grała dwojaka pozycja cara – występującego zarówno jako głowa państwa rosyjskiego, jak i głowa kościoła prawosławnego. To właśnie szerokie wsparcie tego ostatniego zdecydowało o sukcesie na Bałkanach. Tam, gdzie nie było prawosławia, dla realizacji swych celów Rosja posługiwała się ideą panslawizmu[1]. Szczególnie podatny grunt znalazła ona wśród Czechów oraz Słowaków i tylko częściowo u Polaków.

Czy to posługując się kościołem prawosławnym czy to panslawizmem, Rosja pozyskiwała sojuszników i równocześnie skutecznie zmiękczała przeciwników. W tak przygotowany teatr działań dopiero wchodziły jej armie.

Już po wybuchu wojny Mikołaj II, w telegramie wysłanym 2 sierpnia 1914 roku do brytyjskiego króla Jerzego V, odnosząc się do groźby podporządkowania sobie przez Austrię Serbii, pisał: „zachwiałoby to równowagę sił na Bałkanach, która leży w żywotnym interesie mojego Imperium, jak również Mocarstw, którym zależy na utrzymaniu równowagi sił w Europie… Ufam, że Twój kraj nie omieszka poprzeć Francji i Rosji w walce o jej zachowanie”.

Zapewne i nadawca, i adresat dobrze wiedzieli, że ta „równowaga sił” była stosunkowo świeżej daty. Oto po licznych wojnach toczonych z Imperium Otomańskim Rosja zdołała zastąpić w ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku Turcję na pozycji hegemona na Bałkanach. To właśnie w trosce o zachowanie swojej pozycji w tym regionie przystąpiła do wojny.

„Wśród Rosjan panuje dziwne przekonanie, że ich przeznaczeniem jest panowanie nad światem. Odezwy do wojska oparte na tej idei przeznaczenia i związanych z nią cennych korzyści rzadko nie znajdują posłuchu. Uczuciu temu towarzyszy owa nadzwyczajna cierpliwość i wytrzymałość, które wyróżniają rosyjskiego żołnierza, zdolnego wytrzymać największe niewygody”. Taką opinię wyraził Neil S. Brown – amerykański ambasador w Rosji – już w połowie XIX wieku.

Rosja, skwapliwie korzystając z francuskich pożyczek, na początku XX wieku rozpoczęła proces intensywnej modernizacji armii. Podczas Wielkiej Wojny zmobilizowała największą armię, w jej szeregach służyło łącznie ponad 12 milionów żołnierzy. Poniosła też największe straty.

Mobilizację przeprowadzano według dwuwariantowego planu z maja 1912 roku. W wyniku nalegań Francji zmierzał on do rozproszenia sił na dwóch rozbieżnych kierunkach. Zakładał, że jeżeli Niemcy i Austro-Węgry skierują główne uderzenie na Rosję, to armia rosyjska będzie działać według planu G (Germania). Według tego planu większość rosyjskich sił miała uderzyć na Niemcy. Jeżeli jednak Niemcy główne uderzenie skierują przeciw Francji, powinien być realizowany plan A (Austria). Zakładał on przeprowadzenie głównego uderzenia przeciwko Austro-Węgrom, skierowanie sił w pierwszym etapie na Wiedeń, potem na Budapeszt. Jednocześnie armia rosyjska powinna rozpocząć operację zaczepną przeciwko Niemcom, po 15 dniach od mobilizacji. W tym celu skoncentrowano siły 800 tys. żołnierzy, aby zaangażować siły niemieckie z frontu zachodniego. Przy takim wariancie siły rosyjskie miały działać na dwóch kierunkach: przeciwko Austro-Węgrom i przeciwko Niemcom. Z dostępnych obecnie dokumentów i pamiętników wynika, że wojskowi w rosyjskim sztabie generalnym byli świadomi dramatycznego wręcz braku dobrych oficerów i zdawali sobie sprawę ze słabości sił zbrojnych swego kraju w odniesieniu do poziomu wyszkolenia technicznego, łączności, dowodzenia i tego wszystkiego co dziś nazywamy logistyką.

Odzew na ogłoszoną w Królestwie Polskim mobilizację przeszedł oczekiwania Rosjan. Stawił się nadkomplet poborowych, nie dla wszystkich starczyło nie tylko mundurów i broni, ale nawet prowiantu. W roku 1914 Polacy z Kongresówki o wojskach rosyjskich mówili NASI, Legiony Piłsudskiego traktowano początkowo nieufnie lub – tak jak w Łodzi – zamykano na ich widok okiennice. Łodzianie w latach 1914 i 1915 zapisywali się do innego legionu – Legionu Puławskiego formowanego przy boku armii carskiej.

Ile na froncie austriackim armia carska odnotowywała znaczące sukcesy, to na froncie niemieckim – po walkach toczonych w roku 1914 ze zmiennym szczęściem – wiosną 1915 roku nastąpiła niemalże katastrofa. Jej przyczyny opisał obrazowo w *Historii rewolucji rosyjskiej* Lew Trocki – nie tylko zawodowy rewolucjonista, ale także główny organizator Armii Czerwonej, a więc także zawodowy wojskowy:

„Armia carska kształtowała się i zbroiła, co prawda, według zachodnich wzorów, ale dotyczyło to raczej formy, aniżeli treści. Poziom kulturalny chłopa-żołnierza[2] i poziom techniki wojskowej były zupełnie niewspółmierne”. Faktycznie, niepiśmiennego chłopa z głębi Rosji można było co najwyżej przyuczyć jako tako do poprawnego wykonywania musztry, zmusić do wykonywania długich przemarszów, pozostawania na pierwszej linii frontu kilka dni bez strawy i snu, ale nie do poprawnego przeładowania broni, celnego strzelania i zachowania inicjatywy na polu walki bez oficerskich rozkazów. Dobrze jeżeli w ogóle żołnierze mieli czym strzelać, generalnie rosyjska piechota zgodnie ze starą maksymą Aleksandra Suworowa: Kula – głupia, bagnet – zuch (*Пуля – дура, штык – молодец*) szła do ataku na bagnety. Trocki pisze także: „Wojsko uzbrojone, zdawałoby się, dostatecznie na początku wojny, nie posiadało niebawem nie tylko broni, ale nawet i obuwia”. Gospodarka rosyjska dosłownie nie wytrzymywała próby ogniowej. Za mało produkowano broni i amunicji, zawodziła logistyka transportu i magazynowania. Słabo rozwinięta, a więc niewydolna kolej nie była w stanie właściwie i w porę zaopatrywać wojska na froncie. Tysiące ton żywności gniło w magazynach daleko na tyłach w oczekiwaniu na swój transport, mięsa nie solono i nie konserwowano, skór nie garbowano – w efekcie żołnierze cho-

[1] Panslawizm – ruch kulturalno-polityczny dążący do wyzwolenia, a następnie zjednoczenia politycznego, gospodarczego i kulturalnego Słowian. Ideę panslawizmu popierała Rosja, chcąc realizować swoje polityczne interesy – niech słowianie się zjednoczą, a my ich włączymy do imperium i zrusyfikujemy.

[2] W 1913 roku tylko 30 procent ludności Rosji umiało czytać (był to wskaźnik znacznie niższy od angielskiego z połowy XVIII w.), według badań w analogicznym okresie na 1000 rekrutów wcielanych do armii Włoch 330 było analfabetami, w Austro-Węgrzech – 220, we Francji – 68, a w Niemczech tylko jeden.

dzili głodni i bosi. Nieliczne fabryki zbrojeniowe, niebędące w stanie nakarmić frontowego Molocha, stanęły już na początku wojny. Powód – powołanie pod broń wykształconych robotników: hutników, tokarzy, frezerów, spawaczy itd. Minęło parę miesięcy, zanim zdołano wyreklamować ich z wojska, dla wielu było już jednak za późno. Braki w uzbrojeniu próbowano ratować poprzez import, także za późno – sojusznicy produkowali przede wszystkim dla siebie, fabryki w państwach neutralnych miały już pełne portfele zamówień od obu wojujących stron. Rosja musiała więc brać co dają i słono za to płacić. Tak m.in do kraju trafiło kilkaset tysięcy japońskich karabinów Arisaka. Należałoby się cieszyć, gdyby nie to, że były one niespotykanego w Europie kalibru 6,5 mm. Kłopoty logistyczne z zapewnieniem amunicji znowu skazywały piechotę na walkę wręcz. Cóż to jest jednak nawet te kilkaset tysięcy karabinów przy 8-milionowej armii. W sierpniu 1915 roku jeden z dowódców z powodu braku karabinów zaproponował wyposażyć piechotę ochraniającą artylerię w topory na długich drzewcach, a więc w... halabardy. Nie było fabryk, nie było maszyn, w patriotycznym zrywie szkoła techniczna z Kazania zaoferowała przekazanie dla potrzeb produkcji wojennej jedynej posiadanej tokarki służącej kształceniu zawodowemu. „Carska armia pokazała podczas wojny z Japonią, ile jest warta. […] W roku 1914 nastała chwila nowej, znacznie cięższej próby. Pod względem finansowym i zaopatrzenia wojskowego Rosja znajduje się od razu podczas wojny w niewolniczej zależności od swych sprzymierzeńców. Stosunek ten jest tylko występującym w dziedzinie wojskowości objawem ogólnej zależności Rosji od czołowych krajów kapitalistycznych. Ale pomoc, udzielona przez sprzymierzonych, nie ratuje sytuacji. Brak sprzętu wojennego, niewielka ilość fabryk, mogących go wytwarzać, nierozwinięta sieć dróg żelaznych, służących do transportu materiałów wojskowych, wszystko to przyczyniło się do przełożenia się zacofania rosyjskiego na zrozumiałą dla każdego wymowę porażek, doznawanych na polach bitew […].

Minister wojny, generał Poliwanow, odpowiadając na dotyczące sytuacji na froncie pytania swych zatrwożonych kolegów, oświadczył dosłownie: »pokładam nadzieję w przestrzeniach nie do przebycia, w naszych błotach i trzęsawiskach oraz ufam w łaskę świętego Mikołaja z Myru, patrona Świętej Rusi« (posiedzenie z 4 sierpnia 1915 roku). Generał Ruzskij przyznał się po upływie tygodnia wobec tych samych ministrów: »Nie możemy sprostać wymaganiom współczesnej techniki wojskowej. Nie ma mowy o tym, abyśmy mogli dotrzymać kroku Niemcom«. Nie były to przemijające nastroje. Oficer Stankiewicz cytuje zdanie inżyniera korpusu: »wojna z Niemcami jest beznadziejnym przedsięwzięciem, gdyż my nic nie potrafimy robić. Nawet stosowanie nowych sposobów walki przyczynia się do naszych niepowodzeń«. […]

Wszyscy szukali kozła ofiarnego, na którego by można było zwalić winę. Oskarżano w czambuł Żydów o szpiegostwo. Niszczono dobytek ludzi o niemieckich nazwiskach. Sztab wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza rozkazał, aby rozstrzelano pułkownika Miasojedowa jako szpiega niemieckiego, chociaż rozstrzelany nie był nim. Pod zarzutem, może nawet słusznym, zdrady stanu aresztowano Suchomlinowa, ministra wojny, osobę próżną i niechlujną. Brytyjski minister spraw zagranicznych, Grey, odezwał się w te słowa do przewodniczącego rosyjskiej delegacji parlamentarnej: »Macie bardzo odważny rząd, skoro zdobył się podczas wojny na oskarżenie o zdradę swego ministra spraw wojskowych«. Sztaby i Duma oskarżały dwór o sprzyjanie Niemcom. [Pamiętajmy jeszcze o skandalu dworskim z mnichem Rasputinem. Wszyscy razem zazdrościli sprzymierzeńcom i pałali do nich nienawiścią. Dowództwo francuskie oszczędzało swe armie, wystawiając na niebezpieczeństwo rosyjskich żołnierzy. Anglia powoli nabierała rozmachu. W salonach piotrogrodzkich i w sztabach frontowych żartowano sobie przyjemnie: »Anglia ślubowała, że wytrwa aż do ostatniej kropli krwi... żołnierza rosyjskiego«. Żarty te rozchodziły się i docierały do żołnierzy na frontach. »Wszystko dla wojny!« – mawiali ministrowie, posłowie, generałowie, dziennikarze. Żołnierz poczynał rozważać sobie w okopach: »Wszyscy oni gotowi są wojować do ostatniej kropli... mojej krwi«”.

Nie dziwi więc największa wśród stron walczących dezercja żołnierzy, która z czasem doprowadziła do buntu wojska, rewolucji w roku 1917 i krwawego końca Rosji carów.

♣ *pzbzj*



Kozacy na ulicach świeżo zdobytego Lwowa.



Franciszek Józef I (ur. 18 sierpnia 1830 w pałacu Schönbrunn koło Wiednia, zm. 21 listopada 1916 tamże).

Franciszek Józef I, z Bożej Łaski cesarz Austrii, apostolski król Węgier, król Czech, Dalmacji, Chorwacji, Slawonii, Galicji, Lodomerii i Ilyrii, król Jerozolimy etc, etc... arcyksiążę Austrii, wielki książę Toskanii i Krakowa, książę Lotaryngii, Salzburga, Styrii, Karyntii, Krainy i Bukowiny, wielki książę Siedmiogrodu, margrabia Moraw, książę Górnego i Dolnego Śląska, Modeny, Parmy, Piacenzy, Guastalli, Oświęcimia i Zatora, Cieszyna, Frulii, Raguzy i Zadaru, uksiążęcony hrabia Habsburga i Tyrolu, Kyburga, Gorycji i Gradiszki, książę Trydentu i Brixen, margrabia Łużyc Dolnych i Górnych oraz Istrii, hrabia Hohenembs, Feldkirch, Bregenz, Sonnenbergu, pan Triestu, Cattaro i Marchii Słoweńskiej, wielki wojewoda województwa Serbii, etc, etc, ...



Najcenniejsze cacko Imperium Habsburgów. Ciężki moździeż 30,5 cm Škoda nazywany Chudą Emmą, austro-węgierski wkład w rozwój artylerii. To dzięki nim belgijskie twierdze zdobyte zostały błyskawicznie. Aby przetransportować ten cud mechaniki precyzyjnej, rozkładano go na 9 części i ładowano na 3 ciagniki holownicze. Łączny ciężar moździeża wynosił 31 860 kg, zasięg 9,6 km, pocisk przeciwpancerny ważył 410 kg. Ciągnik holowniczy został opracowany przez dyrektora technicznego firmy Österreichische Daimler, Ferdynanda Porsche, tego samego, który 30 lat później zaprojektował Volkswagena „Garbusa".

Fotografia poniżej: Arcyksiąże Karol z inspekcją w twierdzy Przemyśl.





Karol I (ur. 17 sierpnia 1887 w Persenbeugu, zm. 1 kwietnia 1922 w Funchal na Maderze) – ostatni władca Cesarsko-Królewskich Austro-Węgier, błogosławiony Kościoła katolickiego.

Karol I, z Bożej Łaski cesarz Austrii, apostolski król Węgier, król Czech, Dalmacji, Chorwacji, Slawonii, Galicji, Lodomerii i Ilyrii, król Jerozolimy etc etc. arcyksiążę Austrii, wielki książę Toskanii i Krakowa, książę Lotaryngii, Salzburga, Styrii, Karyntii, Krainy i Bukowiny, wielki książę Siedmiogrodu, margrabia Moraw, książę Dolnego i Górnego Śląska, Modeny, Parmy, Piacenzy, Guastalli, Oświęcimia i Zatoru, Cieszyna, Friaul, Raguzy i Zary, uksiążęcony hrabia Habsburga i Tyrolu, Kyburga, Goricy i Kradiski, książę Trydentu i Brixen, margrabia Łużyc Dolnych i Górnych oraz Istrii, hrabia Hohenembs, Feldkirch, Bregenz, Sonnenebergu, pan Triestu, Cattaro i Marchii Wendyjskiej, wielki wojewoda województwa Serbii, etc etc.

NASZ UKOCHANY CESARZ FRANCISZEK JÓZEF

W 1916 roku w Chicago opublikowano nakładem autora Stefana Bogusławskiego książkę o tytule *1914–1915 Wojna w Polsce, opowiadania naocznego świadka, lekarza Czerwonego Krzyża*. We wstępie autor wspomina czasy przed wybuchem wojny: „Gdzieniegdzie w kołach inteligenckich w Warszawie, Łodzi, Lublinie toczyła się czasem czysto teoretyczna i naturalnie prywatna dyskusja, pod jakim rządem byłoby najlepiej Polakom, gdyby wypadek zrządził, że wszystkie zabory Polski byłyby złączone. Zdania zwykle były podzielone, kiedy miano wybierać Rosję lub Prusy, natomiast zgadzali się wszyscy skoro cała Polska zjednoczona miałaby być pod Austrią".

Kiedy przed kilku laty zwiedzałem muzeum w Gorlicach pani kustosz — prezentująca olbrzymią makietę bitwy toczącej się wiosną 1915 roku w tych okolicach — rozpoczęła narrację od słów: „Nasza artyleria ostrzeliwała Rosjan z tego kierunku". No proszę, pomyślałem sobie, przecież Polska na mapach świata nie istniała, a mieliśmy artylerię. Naszą artylerię, choć była ona artylerią Cesarskiej i Królewskiej Armii, ale w końcu dowodził tą artylerią generał Tadeusz Rozwadowski[1], czyli nasz człowiek w c.k. armii.

[1] Mało kto pamięta, że generał Rozwadowski zastosował nowy sposób użycia artylerii i bez wątpienia należy do twórców i prekursorów tzw. ruchomej zasłony ogniowej, polegającej na tym, że ogień artyleryjski postępował tuż przed atakującą piechotą. Metoda ta bardzo szybko weszła na trwałe do niemieckiego regulaminu walki jako tzw. *Feuerwalze*, a do francuskiego jako *barrage roulant* i zastąpiła stosowane wcześniej wielogodzinne ostrzeliwania pozycji wroga, po których następował pochłaniający liczne ofiary szturm wojsk.

Widzenie Cesarskiej i Królewskiej Armii utrwalone jest w ogólnej świadomości przez kolejne telewizyjne emisje filmów *C. K. Dezerterzy* i lektury *Przygód dobrego wojaka Szwejka*. Obraz degrengolady moralnej – zarówno oficerów, jak i żołnierzy – wyłaniający się z tych dzieł, musiał prowadzić przez kolejne „przesławne lania" do ostatecznej klęski.

Czy armia austriacka była aż tak beznadziejna? Nie! Kadra oficerska była wykształcona, zdyscyplinowana i apolityczna. Monarchia była wielonarodowa, więc z pewnością wielojęzyczność rzutowała negatywnie na jej zdolność bojową, choć narodowych szowinizmów nie notowano wiele. Oficjalnym językiem armii był niemiecki, większość szeregowych rozumiała najczęściej tylko podstawowe komendy. Kiedy przypominamy sobie satyryczno-filozoficzne opowiadania Szwejka, wynika z nich, że jakieś tam manewry bywały, ale zaprawy bojowej armia od lat nie miała. I to jest prawda. Wojskowi c.k. armii u progu I wojny byli teoretykami pola walki, zarówno szeregowi, jak i dowódcy. Poza tym, może to wyglądać wręcz na prawdziwą ironię losu, Austro-Węgry były wręcz oazą pacyfizmu na tle niemieckich dążeń do „Weltmachtu"[2], rosyjskiej chęci opanowania Bałkanów i cieśnin czarnomorskich oraz wprowadzenia w czyn idei panslawistycznych, francuskiego rewanżyzmu w stosunku do Niemców czy włoskich dążeń do oderwania od Austo-Węgier Triestu i Dalmacji. W związku z tym Austro-Węgry nie uczestniczyły w wyścigu zbrojeń i przeznaczały niewielkie środki na rozbudowę armii. W konsekwencji marynarka wojenna nigdy nie miała dostatecznych środków finansowych, by na Morzu Śródziemnym dorównać siłą marynarce włoskiej czy francuskiej. Armia lądowa otrzymywała niewiele więcej niż jedną trzecią tego co armia rosyjska i pruska. Z braku funduszów powoływano do służby wojskowej tylko około 30% zdolnych do niej mężczyzn, a wielu poborowych odbywało jedynie ośmiotygodniowe przeszkolenie lub było na stałe urlopowanych od służby wojskowej. Nie był więc to system nastawiony na tworzenie masowej, kompetentnej rezerwy na czas wojny. Wszystkie te przesłanki zwiastowały dramatyczne zakończenie.

[2] Weltmacht – mocarstwo światowe.

Jeśli popatrzymy na cele militarne, jakie przez pierwsze cztery lata wojny osiągnęły wojska rosyjskie (nieudane ofensywy, zepchnięcie na własne terytorium i krach), francuskie (cztery lata walk o przetrwanie na własnym terytorium), włoskie (nieudane wbicie noża w Austro-Węgierskie plecy), serbskie (utrata całego terytorium), czy nawet niemieckie (niemożność odniesienia zwycięstwa nad słabszym przeciwnikiem, jakim była Francja, i wykrwawienie się), i porównamy je z tym, co osiągnął oręż austriacki – zapewne mocno się zdziwimy.

A co robili Polacy? Polacy rządzili w wielonarodowej monarchii konstytucyjnej Austro-Węgierskiej! Trzykrotnie byli premierami, a blisko 40 zostało ministrami. Polacy kierowali między innymi ministerstwem spraw wewnętrznych, dyplomacją i finansami. Polacy kończyli akademie wojskowe i to właśnie „Austriacy" stanowili trzon Wojska Polskiego w odrodzonej Rzeczypospolitej – generał Józef Haller, generał Szeptycki, generał Kutrzeba, wspomniany wcześniej generał Tadeusz Rozwadowski czy porucznik Stanisław Maczek, który generałem został później. Galicja dała odrodzonej Polsce tysiące świetnych urzędników, profesorów, artystów, parlamentarzystów i polityków.

Gdy w 1914 roku cesarz Franciszek Józef zapytał Michała Bobrzyńskiego (namiestnika Galicji), czy dać broń Piłsudskiemu, ten odpowiedział: „Dać". Cesarz dał, czyli nasz człowiek. W toku bezpośrednich przygotowań wojennych odezwa c.k. Naczelnej Komendy do Polaków była bardzo lakoniczna. Zapowiadała wyzwolenie spod władzy cara, jeśli Polacy „spełnią swoje powinności i obowiązki, oraz z całą ufnością oddadzą się pod opiekę Cesarza". Obiecano, że ten potraktuje ich i ich narodowe aspiracje „sprawiedliwie i wielkodusznie". Wniosek był prosty: Polacy powinni wiernie stać przy cesarzu, zarówno z wdzięczności, że od półwiecza mogą korzystać ze swobód narodowych, jak i również dlatego, że Rosjanie są dziedzicznym wrogiem.

zj

.



Gdy w 1914 r. wojna wybuchła, rozkaz mobilizacyjny musiano wydać w 15 językach. Z banknotami było prościej, nominały podawano „jedynie" w 9 językach.



Pocztówka wysłana z Łodzi przez żołnierza z 6 Pułku Kirasjerów Cesarza Rosji Mikołaja I (Kürassier-Regiment „Kaiser Nikolaus I. von Russland“ (Brandenburgisches) Nr 6). Pułk po wybuchu wojny został podzielony i przydzielony do dywizji piechoty. Kartka nadana została za pośrednictwem poczty polowej 38 Dywizji Piechoty – to właśnie do niej trafił pododdział nadawcy. Zwracamy uwagę na kuchnię polową, która z powodu charakterystycznego komina była przez Niemców zwana Gulaschkanone (działo gulaszowe). Kuchnia została przyozdobiona w dość makabryczny sposób głową ubitej krowy, która dostarczyła mięsa do konsumowanego gulaszu.

pz



Fotografował Michał Daszewski

Mieszkańcy Łodzi skazani byli przez niemieckich okupantów na głodowe racje żywnościowe, np. 410 gramów cukru i 3 kg chleba na dwa tygodnie. Dostawy produktów były często opóźniane, a chleb zawierał ok. 30% tartych lub tłuczonych kartofli (zgodnie z rozporządzeniem Cesarsko-Niemieckiego Prezydium Policji, z kwietnia 1915 r.). Warto dodać, że kartki chlebowe upoważniały ich właścicieli, do zakupu tygodniowej racji węgla za 1 markę. Ogromna kolejka stoi przed nowo otwartym sklepem przy ul. Andrzeja 7, w którym od 7 grudnia 1915 roku sprzedawano detalicznie mąkę. Nowa placówka handlowa została zaopatrzona przez Centralny Komitet Rozdziału Chleba i Mąki we wszystkie gatunki mąki (pszenna, żytnia) i to tłumaczy tak wielkie zainteresowanie posiadaczy kartek mącznych tym „bogatym asortymentem". Dwutygodniowa ważność kartek zaczynała się od soboty 5 grudnia, więc poniedziałek był pierwszym handlowym dniem, co także miało wpływ na pojawienie się tylu osób przed sklepem. Był on czynny od godz. 8.00 do 13.00 i od 15.00 do 17.00.

♣ *Ryszard Bonisławski*



Cesarz Wilhelm II odbiera defiladę pruskiej kawalerii.

KAWALERIA DO GARÓW

Generał sir Ian Standish Monteith Hamilton – typowy dowódca wojsk kolonialnych, doświadczony w wielu bitwach toczonych w Afganistanie, Indiach i Afryce Południowej, dumny z dokonań brytyjskiej kawalerii – po obserwacji walk toczonych podczas wojny rosyjsko-japońskiej w latach 1904-1905, musiał zrewidować swoje zdanie o jej roli we współczesnym konflikcie zbrojnym. Do historii przeszła jego opinia wyrażona już 10 lat przed wybuchem Wielkiej Wojny sprowadzająca jazdę do roli… kucharzy:

„Śmiało nacierający japońscy kawalerzyści [pod ogniem okopanych dział i karabinów maszynowych – przyp. autora] wiali z pola bitwy niczym zwykli poganiacze słoni. Uciekali tak szybko, że [japoński – przyp. autora] generał Kuroki, który nie znosił „marnować" niczego, co miał, wysłał ich do gotowania ryżu dla jego ciężko walczącej piechoty. Hamilton w swym raporcie z wojny mandżurskiej udowodniał przestarzałość konnicy, skłaniając się do zupełnie nowatorskich w tamtym czasie nocnych ataków i użycia lotnictwa. Wielka Wojna częściowo potwierdziła jego opinię. Na froncie zachodnim, gdzie działania szybko zamieniły się w walki okopowe, kawaleria okazała się nieomal bezużyteczna. Inaczej było na froncie wschodnim, gdzie wielkie przestrzenie dały większe możliwości do prowadzenia typowo kawaleryjskich rajdów i działań oskrzydlających. Coraz częściej jednak przychodziło jeźdźcom schodzić z koni i walczyć jak piechota.

I wojna światowa dobitnie ukazała ograniczenia kawalerii oraz jej niezaprzeczalną waleczność. Kawaleria to człowiek i koń. Rolą konia było dostarczenie wojownika na pole bitwy, utrzymanie tempa i szyku. Rola jeźdźca polegała z jednej strony na dostosowaniu – do zupełnie nowego pola walki, ale z drugiej strony przenosił on cały bagaż przyzwyczajeń i tradycji. Doktryna niemieckiej kawalerii mówiła jednoznacznie: „W przypadku kawalerii energiczny atak, strzemię w strzemię, jest najpewniejszą drogą do zwycięstwa".

Niemieccy żołnierze od 1910 roku przebrali się w feldgrau, Brytyjczycy i Amerykanie mieli mundury w kolorze khaki. Nakrycia głowy wytwarzane z materiału lub skóry nie dawały żadnej ochrony przed kulami czy szrapnelami. W niewielkim stopniu osłaniały przed deszczem i słońcem. Niemieccy lansjerzy uzbrojeni byli w nowoczesne lance wykonane z cienkiej walcowanej stali, ale wciąż były to lance. Przez sentyment wszyscy kawalerzyści nosili szable, przez zdrowy rozsądek używali karabinów powtarzalnych.

Francuskie pułki kawalerii nie zmieniły się znacznie od czasów Napoleona. Kirasjerzy ubrani byli w stalowe napierśniki i hełm z grzywą bądź pióropuszem. Przed bitwą zarówno kirys, jak i hełm osłaniano szarymi albo niebieskimi pokrowcami. Wiele pułków zrezygnowało z polerowania swoich pancerzy. Jeden z pułkowników znalazł dość prosty, choć obcesowy, sposób na pozbycie się metalicznego połysku. Zebrał wszystkie napierśniki (kirysy) na koszarowym dziedzińcu, a następnie nakazał podwładnym, aby ulżyli na nie swoim pęcherzom. Trzeba jednak podkreślić, że spośród wszystkich mundurów noszonych na początku I wojny światowej uniform kirasjera należał do najbardziej praktycznych. Wobec szrapneli i ognia karabinów metalowy hełm i pancerz, niezależnie jak cienkie, dawały lepszą ochronę od filcowych czapek i skórzanych kaftanów.

Dyskusje o kawalerii jako sile operacyjnej w odniesieniu do frontu zachodniego zaczynają się i kończą w 1914 roku. Pod koniec roku obie strony okopały się. Front pokrył się liniami rowów i zasieków z drutu kolczastego. Kawaleria została odesłana na tyły i miała czekać na stosowną okazję.

Niewiele różnił się los kawalerii na froncie wschodnim. Podobnie wygląda opis każdego starcia piechoty – uzbrojonej w powtarzalny karabin i karabiny maszynowe – z kawalerią.

17 sierpnia 1914 roku konnica austriacka sforsowała rzekę Zbrucz i ruszyła na Kamieniec Podolski. 18 sierpnia o godz. 15.55 trzy szwadrony 7 Pułku Huzarów w sile 500 jeźdźców ruszyły do szarży.

W Gródku bronili się kozacy. Walkę opisał podesauł[1] Jewgienij Tichockij:

„Nie bacząc na ogień artylerii, huzarzy galopem pędzili ku naszym pozycjom. Atakowali nas najprawdziwsi huzarzy węgierscy, w szamerowanych złotymi sznurami ciemnoniebieskich kurtkach – *dolmanach*[2], znanych każdemu czytelnikowi książek z czasów 1812 roku. 7 pułk nosił ciemnozielone czaka, wyszywane złotem i ozdobione wysokimi kitami z końskiego włosia. Mundur uzupełniały czerwone, jaskrawe spodnie kawaleryjskie z lampasami. Atakujący Węgrzy wyglądali wspaniale. Huzarzy galopowali pod ogniem dział, zachowując idealny porządek. Jeźdźcy, pod którymi zabito konie, szybko wstawali z ziemi i sprawnie formowali szyk pieszy, po czym parli naprzód… Nasze okopy milczały. Strzelcy z wycelowanymi karabinami spokojnie czekali, aż nieprzyjaciel znajdzie się w zasięgu strzału. Gdy huzarzy zbliżyli się na 900–1000 kroków, pułkownik Kuzmin wydał rozkaz otwarcia ognia na całej linii okopów. Odezwały się nasze karabiny i karabiny maszynowe. Huzarzy zachwiali się, padali jeźdźcy i konie, linie załamały się. Kawalerzyści zaczęli zbijać się w kupy i zawracać, inni skręcali w prawo i bezładnie galopowali wzdłuż naszych okopów, zaścielając przedpole trupami ludzi i koni. W krótkim czasie huzarzy dosłownie stopnieli, koszeni ogniem na wprost i ze skrzydeł… Przedpole znów opustoszało i tylko miotające się po nim konie bez jeźdźców oraz sterty ciał zabitych i rannych huzarów leżące na żółtym ściernisku świadczyły o stoczonej tu krwawej potyczce …" Piękno i tragiczną bezradność szarży kawaleryjskiej na polach walki Wielkiej Wojny z wielkim kunsztem pokazał Janusz Kamiński autor zdjęć do filmu „War horse" (polski tytuł „Czas wojny").

W dniu 1 grudnia 1915 roku w armii rosyjskiej było 1 342 000 koni, w niemieckiej – 1 088 000, w austro-węgierskiej – 2 100 000. Ile zginęło – nie wiadomo…

pzêmjêzj

[1] Podesauł (ros. подъесаул) – oficer w dawnych wojskach kozackich, starszy stopniem od setnika (porucznika), młodszy od esauła (odpowiadającego dzisiejszemu majorowi).

[2] W Polsce dolman nazywano huzarką.

Początek wojny w Królestwie Polskim

Prezentujemy fragment pamiętników marszałka Armii Czerwonej Borysa Szaposznika opisujący ostatnie dni pokoju i pierwsze dni I wojny światowej. Szaposznik był w tym czasie oficerem sztabu 14. Dywizji Kawalerii — jedynej dużej jednostki wojskowej pozostającej wtedy na lewym brzegu Wisły.

Pamiętniki dostępne pod adresem: http://militera.lib.ru/memo/russian/shaposhnikov/index.html



Borys Szaposznik

Nadszedł dzień 26 lipca. Od rana wszystko zapowiadało ładną pogodę. Wyścigi [w Skierniewicach] miały rozpocząć się o godzinie 4 po południu. Pół godziny przed [ich] rozpoczęciem otrzymałem od dowódcy dywizji [gen. Aleksandra Nowikowa] propozycję pojechania z nim na wyścigi. Ale na moim stole leżał telegram, dostarczony tylko co ze sztabu 14. Korpusu. Trzeba było go rozszyfrować. Dlatego kazałem przekazać dowódcy dywizji, że przyjadę później i zasiadłem do rozszyfrowywania telegramu.

W sztabie dywizji nie było specjalnych szyfrantów. Tym zajmował się albo szef sztabu, albo ja — starszy adiutant sztabu generalnego. Szyfry przechowywane są w sejfie szefa sztabu. W tym przypadku były one u mnie jako u zastępcy szefa sztabu. Telegram ze sztabu korpusu był krótki i po 20 minutach leżał przede mną jego tekst. Powóz stał u drzwi mojego mieszkania i – sprawdziwszy jeszcze raz poprawność rozszyfrowanego tekstu – udałem się na tor wyścigowy, nakazując jechać kłusem, żeby dostać się tam czym prędzej. Telegram rzeczywiście okazał się krótki, ale jego treść była nadzwyczaj ważna: informowała ona, że na mocy najwyższego rozkazu dzień 26 lipca jest pierwszym dniem przygotowań do wojny. Nakazywano wojsku udać się na miejsce zimowego kwaterunku.

[…] Gdy skończył się pierwszy wyścig, podszedłem do dowódcy dywizji i poprosiłem o zejście ze mną z wieży, gdyż chciałem pokazać mu bardzo ważny telegram. Po jego odczytaniu zasugerowałem Nowikowowi, że trzeba zakończyć wyścigi, zebrać dowódców pułków [w skład dywizji wchodziły: tworzące 1. Brygadę – 14. Pułk Dragonów i 14. Pułk Ułanów oraz tworzące 2 Brygadę – 14. Pułk Huzarów i 14. Pułk Kozaków Dońskich] i zapoznać ich z treścią telegramu, żeby dzisiaj w nocy, 26 lipca, pułki zajęły swoje stałe kwaterunki. Pułki musiały pokonać [odległość] 140 kilometrów. Potrzeba było śpieszyć się, aby przybyć nad granicę o czasie. Podekscytowany wiadomością dowódca dywizji gromkim głosem [z wysokości] wieży sędziowskiej ogłosił przygotowania do wojny, choć znajdowały się tu i rodziny oficerów, i zaproszone osoby cywilne. Nowikow zwykłym w takich przypadkach tonem wygłosił mowę o obronie wiary, cara i ojczyzny […].

O świcie 27 lipca otrzymałem raporty ze wszystkich pułków i o wyruszeniu 23. Baterii Konnej. Zakładano, że przy przyspieszonym przejściu wszystkie części [dywizji] będą na miejscach 29 lipca, a 2. Brygada Dywizji, za wyjątkiem jednej sotni kozackiej, [znajdzie się] w rejonie Częstochowy. Ze względu na opóźnienia w podstawianiu wagonów sztab dywizji mógł jedynie w nocy na 28 lipca ruszyć koleją ze Skierniewic do Częstochowy, gdzie dotarł wieczorem 28 lipca.

[…] Rodziny oficerów opuściły już Częstochowę. Zatrzymałem się w sztabie, a swoje mieszkanie, położone w niewielkiej odległości od niego, oddałem Nowikowowi, żeby w chwili alarmu mógł szybko znaleźć się w sztabie. Rankiem 30 lipca zaczęły przybywać do Częstochowy eszelony 7. Pułku Strzelców. Tego samego dnia sztab otrzymał raport o przybyciu 14. Pułku Dragonów do Kalisza i 14. Pułku Ułanów do Kielc i Pińczowa. 30 lipca wszystkie oddziały dywizji, za wyjątkiem taborów 2 rzędu w Piotrkowie, zostały zmobilizowane. Wieczorem tego dnia dowódca 14. Dywizji Kawalerii, jako dowódca garnizonu częstochowskiego, otrzymał telegram o powszechnej mobilizacji, której pierwszy dzień został ustalony na 31 lipca.

[…] Planując mobilizację w Polsce, uważano, że nie stawi się 20% poborowych. Tymczasem w częstochowskim punkcie zbornym obraz był zupełnie inny: pojawili się nie tylko wezwani, ale też ochotnicy. Wszystkich trzeba było przyjąć, przeprowadzić przez komisje medyczne i przeprawić na prawy brzeg Wisły według oddziałów. Nie starczało wagonów, dlatego część zmobilizowanych należało odesłać marszem do Piotrkowa […].

Noc i dzień 1 sierpnia przebiegały na zwykłych działanich mobilizacyjnych. Starszy naczelnik urzędu poborowego nie radził sobie z pracą, o czym przekonałem się sam, zachodząc do punktu zbiorczego. Postanowiono oddelegować mu do pomocy, a dokładniej zastąpić [go] pułkownikiem ze sztabu 14. Brygady [Straży] Pogranicznej i wysłać kilku lekarzy, żeby przyśpieszyć ocenę poborowych.

Około godziny 5 po południu otrzymano z Mysłowic raport od kapitana straży granicznej [informujący], że most przez rzekę Czarna Przemsza, łączący kolej rosyjską z austriacką, został wysadzony. Niemal równocześnie dotarło ze sztabu okręgu zapytanie w tej sprawie. Doniesiono, że kapitan został pozbawiony dowództwa, czego w rzeczywistości nie uczyniono. Próba wysadzenia mostu w Sosnowcu, który łączy kolej rosyjską z niemiecką, nie powiodła się: Niemcy otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Najwidoczniej, kapitan miał czerwonę kopertę z napisem *Otworzyć w chwili ogłoszenia mobilizacji*, a w zawartości koperty informowano o wysadzeniu mostów. [...]

Z punktu widzenia dyplomacji i propagandy wysadzenie mostów, rzecz oczywista, posiadało [swoje] znaczenie. W otrzymywanych przez agenta niemieckich gazetach z 2 sierpnia napisano tłustym drukiem o wrogich działaniach Rosji przeciwko Austrii, [informując] o wysadzeniu przez Rosjan mostu kolejowego na rzece Czarna Przemsza w Mysłowicach.

Na granicy z Austrią ciągle było cicho. Zupełnie inaczej [rzecz się miała] z Niemcami. Już w nocy 1 sierpnia oddziały zwiadowcze dywizji i żołnierze ochrony pogranicza zawiadomili, że za granicą niemiecką słychać było dźwięk dzwonu i zostały podpalane wiechy. Tak zazwyczaj Niemcy alarmowali o groźbie wojny. W ciągu dnia 1 sierpnia [doniesienie] to potwierdziła agentura.

Mój stały i sprawdzony agent – Polak z Zawiercia – podlegał obowiązkowi służby wojskowej i został wezwany do mobilizacji. Poleciłem dowódcy przenieść go do personelu sztabu 14. Dywizji, nabyłem dla niego wóz i parę koni, [które potrzebe mu będą] do celów zwiadowczych, uzupełniłem jego szafę na wypadek [konieczności] przebierania się.

Powoli mijał dzień i wieczór. Położyłem się zdrzemnąć, gdy około godziny 11 obudził mnie dyżurny ze sztabu. Przyniósł telegram z Petersburga, kierowany do dowódcy garnizonu Częstochowy. Głosił on: „Niemcy wypowiedziały nam wojnę. Suchomlinow" [minister wojny]. Niezwłocznie przekazałem ten telegram dowódcy sztabu i – zadzwoniwszy do dowódcy dywizji – przeszedłem do drugiego aparatu telefonicznego, łączącego mnie ze stacją Herby Pruskie, poprosiłem do telefonu dowódcę szwadronu rozpoznawczego 14. Pułku Huzarów oraz przekazałem mu rozkaz natychmiastowego przejścia granicy i zawiadomiłem o tym drugiego dowódcę szwadronu, stojącego bardziej na południe, we wsi Konopiska z poleceniem rozpoczęcia zwiadu przy przejściu przez granicę. Dowódca szwadronu stacji Herby prosił o poczekanie 1,5 godziny, gdyż jest ciemno, wokoło las, niczego nie widać… Wyraziwszy zgodę, wróciłem do sobie do pokoju.

A więc zaczęła się wojna! O postępach mobilizacji na częstochowskim miejscu zbiórki już mówiłem. W pozostałych rejonach, podporządkowanych dowódcy 14. Dywizji Kawalerii, mobilizacja przebiegała normalnie. W rzeczywistości w ciągu dwóch dni została zakończona. Został jeszcze 2 sierpnia na zakończenie prac częstochowskiego punktu zbornego i wysłanie koleją 7. Pułku Strzelców. 1 sierpnia agent [pracujący dla] sztabu dywizji, przebywający na Śląsku, zameldował o przewożeniu do Lublińca niemieckiej piechoty i artylerii. Widocznie w Lublińcu skoncentrował się cały niemiecki 63. Pułk Piechoty. Telegram Suchomlinowa informował tylko o wypowiedzeniu nam wojny przez Niemcy. Jakie jest stanowisko Austrii, z powodu której wojna wybuchła? Dlatego też, gdy nocą dowódca dywizji zjawił się w sztabie zaproponowałem mu zapytać dowódcę Warszawskiego Okręgu Wojskowego Oranowskiego o stanowisko Austro-Węgier. Telegram został wysłany, ale odpowiedzi na niego sztab nie otrzymał.



Piechota stanowiła główną siłę armii carskiej. Jej niezliczeni żołnierze mieli dosłownie zalać tereny Niemiec miażdżąc przeciwnika swą masą niczym walec drogowy.

Według planu z 1912 roku 2. Brygada miała przejść do natarcia na Lubliniec celem zdobycia [dodatkowego] czasu na mobilizację. Zameldowałem dowódcy dywizji i pułkownikowi Dreyerowi [szef sztabu dywizji], jakie siły mamy teraz, w 1914 roku, a nie [jakie były] w 1912. Zauważył, że w Lublińcu natkniemy się na pieszy pułk z artylerią, a ze skrzydła będą nam grozić cztery szwadrony 11. Konnego Pułku Jegrów, wspierane, być może, przez piechotę. Jako że mieliśmy zostać w Częstochowie zaledwie jeden dzień, a w dodatku zabezpieczyć załadowanie 7. Pułku Strzelców na eszelony, uważałem, że w tych warunkach natarcie na Lubliniec nie ma sensu [i] może doprowadzić jedynie do walki dla walki. Dreyer gorąco opowiedział się za tym, aby rozpocząć natarcie, gdyż zostało ono uwzględnione w planie. Nowikow wahał się. Poprosiwszy o zgodę na przygotowanie sztabu dywizji do wystąpienia, wyszedłem z gabinetu.

Nastał świt. Oba nasze szwadrony zwiadowcze przekroczyły granicę i pierwszy zajął w walce stację Herby Pruskie, a drugi wpadł na biwakujący batalion Niemców. Gdy patrol – 9 osób z oficerem – niespodziewanie pojawił się na polanie, w niemieckim batalionie wybuchła panika. Z okrzykiem *Kozacy!* jedni rzucili się do lasu bez broni, drudzy [chwycili za] broń. Wystraszył się także nasz patrol, który – zawróciwszy sześć wiorst – jechał galopem, póki nie przekroczył granicy, nieposiadającej obecnie wartości, ale z przyzwyczajenia działającej uspokajająco na ludzi, którzy znaleźli się „w domu". Według raportu szwadronów zwiadowczych wszystkie przygraniczne wsie były puste, porzucone przez mieszkańców.

Na zachód od wsi Koziegłowy stała 2. sotnia 14. Brygady Pograniczników, której zadaniem było przekrocznie granicy i wtargnięcie w dobra księcia Hohenlohe. Jednakże nie udało się tego dokonać; pogranicznicy spotkali się z ogniem piechoty, stojącej w dużej grupie w Bejtenie.

Wahanie Nowikowa trwało, póki nie nadszedł telegram od generała Oranowskiego, odpowiedzialnego za planowanie działań bojowych 14 Dywizji Kawalerii. Telegram nakazywał podjąć wszelkie działania dla uniknięcia oddzielnej porażki. Nie mówił nic o podejmowaniu bądź zaniechaniu, ataku na Lubliniec. Nowikow przestał się wahać i polecił 2. Brygadzie 14. Dywizji zająć pozycje na zachód od Częstochowy. Na północ od linii kolejowj rozłożyło się pięć spieszonych sotni 14. Dońskiego Pułku Kozackiego, na południe część 14. Pułku Huzarów z czterema działami. Dwa zamaskowane działa 23. Konnej Baterii postawiono bezpośrednio na drodze. Sztab dywizji rozłożył się we wsi Kowodrza, mając w rezerwie tylko 50 ludzi z oddziału saperów.

O godzinie 9 rano w dniu 2 sierpnia dwie brygady dywizji z 23. Konną Baterią wysunęły się celem zajęcia pozycji na zachód od Częstochowy. W godzinach porannych na niemieckim terytorium dochodziło do starcia oddziałów zwiadowczych. Około godziny 12 nasz szwadron zwiadowczy, zajmujący stację Herby Pruskie, pod naporem szwadronów konnych przeciwnika i roty cyklistów odszedł od Herbów Pruskich i Herbów Ruskich. Po jakimś czasie, wsparty [siłą] jednego szwadronu huzarów, znów zajął stację Herby Ruskie i walczył o stację Herby Pruskie.

Do nastania ciemności czołowe oddziały toczyły walkę o Herby Pruskie i Herby Ruskie. Do wieczora huzarzy zostali zmuszeni do opuszczenia obu stacji i zawrócili w kierunku wsi Trapezur. Południowy rozpoznawczy szwadron huzarów po upewnieniu się, że wspierany przez piechotę pułk kawalerii niemieckiej przeniósł do wsi Boronów, wycofał się do wsi Konopiska. Od 3. i 4. sotni konnych 14. Brygady [Straży] Pogranicznej otrzymaliśmy doniesienie, że około godziny 5 po południu w rejonie Sosnowca i Będzina pojawiły się duże, konne oddziały zwiadowcze Niemców, którzy też zajęli te dwa punkty.

[…] Około godziny drugiej nad ranem dnia 3 sierpnia do sztabu dywizji przybył z 7. Pułkiem Strzelców oficer łącznikowy i zameldował, że wszystkie eszelony zostały odprawione, a oddziały sztabu okręgu [wyposażone] w materiały wybuchowe przystępują do wysadzenia stacji. Faktycznie, wkrótce na tyłach dywizji rozległo się kilka głośnych wybuchów.

Zadanie 2. Brygady 14. Dywizji Kawalerii, osłony mobilizacji w Częstochowie i wysłania 7. Pułku Piechoty zostało wypełnione. Można było zaczynać odwrót. Opuszczenie pozycji przez kawalerię i artylerię z uwagi na



Niemieckie i austriackie sztaby generalne okazywały niepokój przed wtargnieciem rosyjskiej konnicy utożsamianej przede wszystkim z oddziałami kozaków. Od lewej kozak wojska dońskiego, kubańskiego i terskiego (pomyłkowo opisany przez wydawcę pocztówki jako kozak doński).

bagniste pobocze drogi na Herby było utrudnione. Ponadto przeciwnik nie nadchodził. Dlatego zdecydowano się czekać do rana, a następnie rozpocząć odwrót. Jednak polecenie wysyłania taborów na wschód zostało wydane nocą i tabory wyszły, nie czekając świtu. Zostawiając dwa szwadrony huzarów na zachodnich obrzeżach miasta jako ariergardę, sztab dywizji o świcie przeszedł za kolumną kawalerii przez Częstochowę […].

3 sierpnia około godziny 8 rano kolumna 2. Brygady, po przekroczeniu mostu nad Wartą, przesunęła się na wschód, osłaniana przez ariergardę składającą się z dwóch szwadronów z plutonem ciężkich karabinów maszynowych, nieścigana przez przeciwnika. Niemcy już zajmowali miasto, 2. Sotnia 14. Brygady [Straży] Pogranicznej musiała się przedzierać. Tracąc kilku ludzi i zostawiając tabory w ręku przeciwnika, sotnia połączyła się z brygadą. Dalej od miasteczka Mirów [ob. część Częstochowy] niemieckie partole nie ścigały 2. Brygady i o godzinie 3 po południu podeszła ona do miasteczka Koniecpol, gdzie rozmieściła się na odpoczynek. Tu zaś do 2. Brygady dołączyły się 3. i 4. sotnia konna, odchodzące od Będzina i Sosnowca.

W pozostałych oddziałach dywizji mobilizacja przebiegała normalnie. Dowódca 14. Pułku Ułanów doniósł 2 sierpnia, że wysyłając zwiadowczy batalion do Staszowa, wszedł do Opatowa. Drugiemu starszemu adiutantowi sztabu dywizji Janssonowi wysłano telegram do Piotrkowa, aby przeprowadzić tabory części dywizji do Zwolenia. 2 sierpnia 8. Pułk Strzelców został wysłany koleją przez Warszawę w rejon zgrupowania na prawym brzegu Wisły. Wraz z wyjściem z Częstochowy został zerwany kontakt sztabu 14. Dywizji z podległymi mu jednostkami.

W ten sposób zostało realizowane pierwsze zadanie wykorzystania bojowego oddziałów 14. Dywizji Kawalerii.

Jakie były tego rezultaty? Praca częstochowskiego miejsca zbiórki została przeprowadzona bez zakłóceń. Mobilizacja i wysyłanie 7. Pułku Strzelców zostały także wypełnione na czas. Co jeszcze nie zostało zrealizowane? Nie było ataku na Lubliniec. Aby go zabezpieczyć, trzeba było sił nie tylko 2. Brygady i 14. Dywizji Kawalerii, ale także ich solidnego połączenia. Czemu? Dlatego, że w 1913 roku na granicy w rejonie Śląska wojska niemieckie wzmocniły swoją siłę militarną.

[…] Wiedzieliśmy, że w czasie jednego ze sporów dyplomatycznych, powstałego kiedyś między Niemcami a Rosją, Aleksander III postraszył wtedy jeszcze młodego Wilhelma II, że zaleje Niemcy kozakami. Wiele sytuacji pokazywało, że strach przed wtargnięciem rosyjskiej konnicy nie opuścił Niemców i Austriaków nawet w 1914 roku. Tymczasem już w 1907 roku dwa sztaby korpusów kawalerii, mieszczących się w Warszawie i rosyjska konnica były rozmieszczone kordonem wzdłuż granicy [...]. Mimo to niemieckie i austriackie sztaby generalne nadal okazywały niepokój przed przygotowaniami rosyjskiej konnicy do wtargnięcia na terytorium ich państw. Dowodem na to są dokumenty urzędowe z archiwum Rzeszy. W jednym z nich pisano: *obronić Górnośląski okręg przemysłowy można pod warunkiem, że działania wojenne zostaną przeniesione na terytorium rosyjskie.*

Dalej w tym samym dokumencie zanotowano: *oddziały graniczne korpusów VI i V zajęły 3 sierpnia Częstochowę i Kalisz. Oddziały wojskowe, przeznaczone do działań na zachodzie, wkrótce zostały zastąpione przez oddziały Landwehry… Wojska rosyjskie wszędzie porzucają miejsce swego stałego kwaterunku, cofając się ku Wiśle. Niszczą linie kolejowe, zrujnowali zwłaszcza stację kolejową w Częstochowie, wysadzili most na Warcie, unieruchamiają wszystkie mosty na drogach gruntowych.*

Kiedy pod wieczór 4 sierpnia sztab dywizji przybył do Jędrzejowa, okazało się, że naczelnik wojskowy po ogłoszeniu przez Niemcy wojny uciekł z całym aparatem [biurokratycznym] do Radomia, przerywając mobilizację. Do „ewakuacji" zbierała się także miejscowa władza administracyjna. Wysławszy doniesie-



Niemiecka pocztówka propagandowa przedstawiająca zajęcie Częstochowy.

nie o przerwaniu mobilizacji do sztabu okręgu, przykazałem naczelnikowi powiatu, pod groźbą rozstrzelania, pozostanie na miejscu.

[…] Historia [ta] powtórzyła się z naczelnikiem powiatu jędrzejowskiego, uciekającym do Radomia z powodu jakichś plotek o ofensywie niemieckiej. Teraz dowódca 6. Pułku Piechoty odsłonił granicę austriacką na [odległość] 90 wiorst i był gotów sam uciec z Kielc. Musiałem podjąć środki nadzwyczajne. Na linię Przedbórz-Koniecpol wysłano partol z brygady konnej, oprócz tego do Przedborza wysłano samochód z oficerem [i] pięcioma uzbrojonymi żołnierzami celem przesuwania się [dopóty], dopóki nie zetknie się z nieprzyjacielem.

[…] Rankiem 6 sierpnia 6. Pułk Strzelców z czterema pieszymi sotniami straży ochrony pogranicza 15. Brygady wszedł na szosę [wiodącą] do Radomia. Tego samego dnia został wysłany do dowódcy 14. Pułku Ułanów rozkaz o rozpoczęciu wycofywania z Sandomierza do garnizonu twierdzy Iwangorod [Dęblin], wzdłuż lewego brzegu Wisły, dwóch pieszych sotni straży ochrony pogranicza 16. Brygady. Tego samego dnia przybyła także spod Sieradza sotnia kozacka. Teraz 2. Brygada liczyła 12 szwadronów i sotni, 8 sotni konnych straży ochrony pogranicza, 8 karabinów maszynowych i 6 armat o ciągu konnym.

6 sierpnia w Kolonii otrzymano odpowiedź ze sztabu okręgu: tego dnia Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji. Teraz sytuacja stała się całkowicie jasna […].

tłumaczenie Kamila Pawełczyk-Dura, adaptacja PZ

FUFAJKA KONTRA DOLMAN

Podobno huzar zawsze zdobędzie dziewczynę — ZAWSZE! Cóż, o francuskich huzarach z Conflans (4 Pułk Huzarów) mówiono, że są w stanie poruszyć całą ludzkość: mężczyzn do ucieczki, kobiety zaś do wybiegania im naprzeciw.

Huzarzy podobnie jak ułani byli lekkozbrojną kawalerią i podobnie jak ułani mieli narodowy rodowód – wywodzili się z węgierskiej jazdy. Spośród innych formacji wyróżniało ich z pewnością umundurowanie czerpiące wzory z węgierskiego stroju ludowego z najbardziej charakterystyczną kurtką mundurową, tzw. *attilą* lub *dolmanem,* u nas nazywaną po prostu huzarką. Uwagę zwraca bogaty *szamerunek* (często złoty lub srebrny) oraz hafty. Zimą strój huzarów uzupełniał podszyty barankiem *mentyk* podobnie szamerowany i zawadiacko noszony, przewieszony przez jedno ramię. Zapewne bardziej niż zalety bojowe huzarów, uroda mundurów sprawiła, że oddziały tego rodzaju jazdy były od XVIII wieku formowane w całej Europie, a nawet w Nowym Świecie i Afryce. Na łamach „Bitewnika" – co uważny czytelnik zauważy – są liczne zdjęcia ważnych osobistości właśnie w mundurze huzarów. Do tego poszczególne pułki posiadały różne kolory mundurów, mamy więc huzarów niebieskich, czerwonych, czarnych, brązowych, zielonych. Dopiero na krótko przed wybuchem Wielkiej Wojny zrezygnowano z tej iście operetkowej ferii kolorów choć uroda munduru sprawiła, że huzarzy trafili także i do operetki np. *Wiktoria i jej huzar*. I tak, podczas Wielkiej Wojny z piękną attilą częstokroć potykała się na polach bitewnych przaśna *tiełogriejka* czyli waciak, po raz kolejny udowadniając kopernikańską ogólnie obowiązującą prawdę, że gorsze wypiera lepsze.

pz



Niemieccy huzarzy śmierci jako nieliczni w chwili wybuchu wojny nosili mundury w barwach pułkowych - w ich przypadku czarnych.

SCENY W KALISZU W DNIU 2* SIERPNIA 1914 ROKU

Przedstawiamy fragment pamiętników angielskiego biznesmena zatytułowanych „In the Russian Ranks", którego wybuch wojny zastał w Niemczech i któremu udało się przedostać na teren zaboru rosyjskiego. Prezentowany rozdział dotyczy słynnych „wypadków kaliskich". Zaznaczmy, że w dniu, który opisuje, Anglia i Niemcy nie były jeszcze w stanie wojny. Książka w całości jest dostępna pod adresem internetowym https://archive.org/stream/inrussianranksso00mors#page/n0/mode/2up

John Morse – *In the Russian Ranks*
(fragmenty)

Gdybym nie był pod eskortą wojskową, prawdopodobnie nie mógłbym poruszać się po drogach w okolicy Ostrowa – wszystkie były zatłoczone pruską piechotą. Nie widziałem innych rodzajów wojsk, ale rozumiałem, że saperzy minowali tory kolejowe, a około pół godziny po tym jak zaczęliśmy, moi przyjaciele stwierdzili, że próba dotarcia do Kalisza od niemieckiej strony byłaby bezowocna. Powiedzieli, że muszą mnie zostawić, gdyż priorytetem było dotarcie do swoich pułków przed godziną parady. Wskazano mi drogę, prowadzącą prosto do granicy, którą zarekomendowano mi spróbować przekroczyć. Zabrano mi konia i, po uściśnięciu dłoni z oficerami i życzeniu mi powodzenia, ruszyłem dalej przez pola na piechotę.

Szpice kawalerii i piechoty patrolowały okolicę, ale unikałem ich, po ponad dwugodzinnym marszu dotarłem do niższego wału, który wiedziałem, że wyznacza linię granicy. Było po trzeciej i światło dzienne powoli zaczynało wschodzić. Z tego co widziałem, nikogo wokół nie było. Na polu były jakieś krowy, podążały za mną przez krótki dystans, co mnie martwiło, bałem się, że mogłyby przykuć uwagę do moich ruchów.

Przeskoczyłem przez granicę i ruszyłem w kierunku Kalisza, którego kopuły, wieże i wyższe budynki były widoczne kilka mil na północ. Kraj był tutaj bardzo płaski – typowa polska ziemia, bez drzew, krzaków czy żywopłotów, pola były przeważnie oddzielone rowami. To dziki i opuszczony teren, bardzo rzadko zaludniony. Nie wydaje mi się, by w mieście byli jacykolwiek rosyjscy żołnierze. Jeżeli byli, to musiał być to bardzo nikły detasz, który wycofał się od razu; gdyby bowiem padły jakieś strzały, musiałbym je usłyszeć i widzieć. Żaden z podobnych odgłosów nie dotarł do moich uszu, ale kiedy przybyłem do Kalisza o 5:30 rano, był pełen niemieckich żołnierzy, piechoty i ułanów – pierwsza pewna informacja o tym, że wojna została ogłoszona między dwoma państwami i pierwsze wrażenie, jakie odniosłem co do tego, w jaki sposób wojna ta będzie prowadzona. Wielu Niemców było zupełnie pijanych, a jeszcze więcej zachowywało się jak dzikie zwierzęta.

Minąłem tłum żołnierzy, nie będąc zaczepionym – wspaniała okoliczność. Żaden ze sklepów nie był otwarty o tak wczesnej porze, ale Niemcy włamali się do kilku z nich i ugościli się żywnością i innymi rzeczami. Widziałem jednego podoficera wypychającego kieszenie zegarkami, pierścionkami i inną biżuterią. Szybko dołączyło do niego kilku innych łajdaków, którzy opróżnili sklep w kilka minut.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, ale będąc świadomym zagrożenia, jakie stwarzało moje szwendanie się bez celu, ruszyłem dalej przez ulice, w poszukiwaniu dworca albo miejsca, gdzie mógłbym odpocząć. Prowost wraz z grupą żandarmerii zamykali bary, zabijając wejścia gwoździami. Zobaczyłem częściowio ubranego mężczyznę, prawdopodobnie właściciela jednego z tych przybytków, zamordowanego. Głośno protestował, a żołnierz pchnął bagnetem pierś nieszczęśnika. Wydał przerażający krzyk i błyskawicznie został przebity przez tuzin bagnetów. Kobieta, zaalarmowana przerażonym okrzykiem, wybiegła z budynku, krzycząc i płacząc. Nie miała na sobie nic oprócz koszuli nocnej, a żołnierze potraktowali ją z brutalną nieprzyzwoitością. Czułem się zobowiązany, by interweniować w jej obronie. W tym momencie pojawił się oficer i przywrócił porządek między mężczyznami, płazując i kłując ich swoją szpadą Powiedział do mnie coś, czego nie zrozumiałem, i nie otrzymawszy odpowiedzi, uderzył mnie pięścią a potem arogancko przegonił ruchem ręki. Nie miałem wyjścia. Stłumiłem swój gniew i odszedłem, ale okropny widok krwawiącego mężczyzny i płaczącej kobiety prześladował mnie, dopóki nie przywykłem do podobnych widoków – lub gorszych.

Idąc przez ulicami, słyszałem ze wszystkich stron krzyki kobiet i dzieci, zmieszane z szorstkim śmiechem i krzykami mężczyzn. Było zbyt jasne, co właśnie się działo, choć nie rozumiałem ani słowa. Niejednokrotnie byłem popychany i kopany przez pijanych i podnieconych żołnierzy, ale gdybym oddał im czy użył broni, którą miałem, oznaczałoby to błyskawiczny koniec mojego życia, więc wyciszałem póki co swój gniew.

Wiele kobiet wybiegło na ulice tylko w nocnej bieliźnie, część w ubrudzonej krwią, co było dowodem poniewierania jakiego doznały; minąłem dwa trupy mężczyzn, , w tym jednego młodzieńca. To, nie ma wątpliwości, były pierwsze akty wojny Niemiec przeciwko Rosji – rzeź nieuzbrojonych i bezbronnych ludzi.

Na jednej z głównych ulic znalazłem otwarte dwa hotele lub duże noclegownie. Oba były pełne niemieckich oficerów, niektórych pijanych. Z okna na piętrze wisiał mężczyzna trzymany za nogi, podczas gdy jego towarzysz figlarnie dawał mu klapsy, z tyłu, w pokoju, trwała dzika orgia. Butelki i szklanki leciały na ulicę, a grupa niemieckich prostytutek rywalizowała w bestialstwie z mężczyznami. Widziałem piekielną scenę. Gdybym przeczytał o niej, w sercu od razu uznałbym pisarza za kłamcę. Nie będę rozwodził się nad brudnymi horrorami tego dnia. Ledwie napominam o tym, co się działo i tylko skomentuję, że w tym czasie żaden akt wojny, uczciwa walka lub operacja wojskowa nie miały miejsca u granic Niemiec. [Niemcy] pokazały zezwierzęcenie i tchórzostwo hieny, przeciwko której nie obnażono jeszcze żadnych kłów. Tę informację otrzymałem później od źródeł rosyjskich. Tego ranka, gdy Kalisz został splądrowany, ani jeden strzał nie padł ze strony rosyjskich żołnierzy.

Moje potrzeby zmuszały mnie do podejmowania ryzyka. Całe mienie, jakie miałem ze sobą, mieściło się w małym worku, który trzymałem w rękach. Miałem trochę niemieckich pieniędzy w kieszeni oraz angielskich suwerenów. Resztę swojego bagażu musiałem zostawić w Ostrowie. Wchodząc do najcichszego z dwóch hoteli, znalazłem właściciela i kilku służących lub członków rodziny drżących w piwnicy. Zostałem zatrzymany przy drzwiach

* Opisywane wypadki miały miejsce 3 sierpnia. Nie możemy powiedzieć, czy mamy tu do czynienia z pomyłką autora czy drukarni.

przez strażnika. Był on jednak spokojnym młodzieńcem, który przyjął ode mnie kilka marek i wsuwając je do kieszeni, pozwolił mi wślizgnąć się do domu.

Zaznaczyłem już, że żaden ze mnie lingwista. Nie potrafiłbym zebrać tuzina niemieckich słów i ani jednego rosyjskiego, więc – łapiąc właściciela,by zwrócić jego uwagę (biedak ledwie trzymał się na nogach) – pokazałem na migi że chciałbym coś zjeść i wypić. Bez wątpienia wzięli mnie za Niemca. Jedna z pokojówek dosłownie pobiegła do piwnicy i wróciła z dwoma dużymi butelkami szampana, wielkości którą nasi pradziadowie, tak myślę, nazywali „magnumami", każda po około 2,5 litra.

To nie szampana jednak potrzebowałem, więc rozejrzałem się dokoła, aż znalazłem ogromny czajnik. Twarz pokojówki nie zdradzała emocji, ale nie brakowało jej inteligencji. Rosjanie są wielkimi wielbicielami herbaty i po chwili miałem przed sobą śniadanie z dużą ilością odświeżającego napoju. Rosyjskie śniadanie mocno się różni od wczesnego angielskiego posiłku, ale przy tej okazji wymyśliłem, jak zdobyć bekon i jajka, które – pomimo tego, co twierdzą wszyscy lekarze i ekonomiści – są jednym z najlepszych posiłków do podróżowania i wojowania.

Zanim zjadłem swój posiłek, po schodach zszedł jeden z rozhukanych oficerów. Gdy mnie spostrzegł, gwałtownie się zatrzymał i zamrugał oczami jak sowa w dzień, wypił już sporo. Zadał jakieś pytanie, a nie mogąc siedzieć jak niemy tępak, odpowiedziałem po swojemu.

Good morning – powiedziałem, obawiam się, raczej sucho.

Angielska świnia! – wykrzyknął.

Anglik – poprawiłem.

(Conajmniej 50 procent niemieckich oficerów mówi całkiem płynnie po angielsku, a jeszcze więcej po francusku, ucząc się tych języków w ich ojczystych krajach).

– Bah-a-a-a! – wykrzyknął, przedłużając groteskowo wykrzyknik. – Czy wiesz, że zniszczyliśmy Londyn, , zburzyliśmy w pył wasze piękne Tower of London, Tower Bridge i waszą katedrę Świętego Pawła, zabiliśmy twojego króla a nasze zeppeliny niszczą Manchester i Liverpool i inne wasze świetne przemysłowe miasta?

Nonsens! – powiedziałem.

– To prawda, zapewniam cię – odpowiedział.

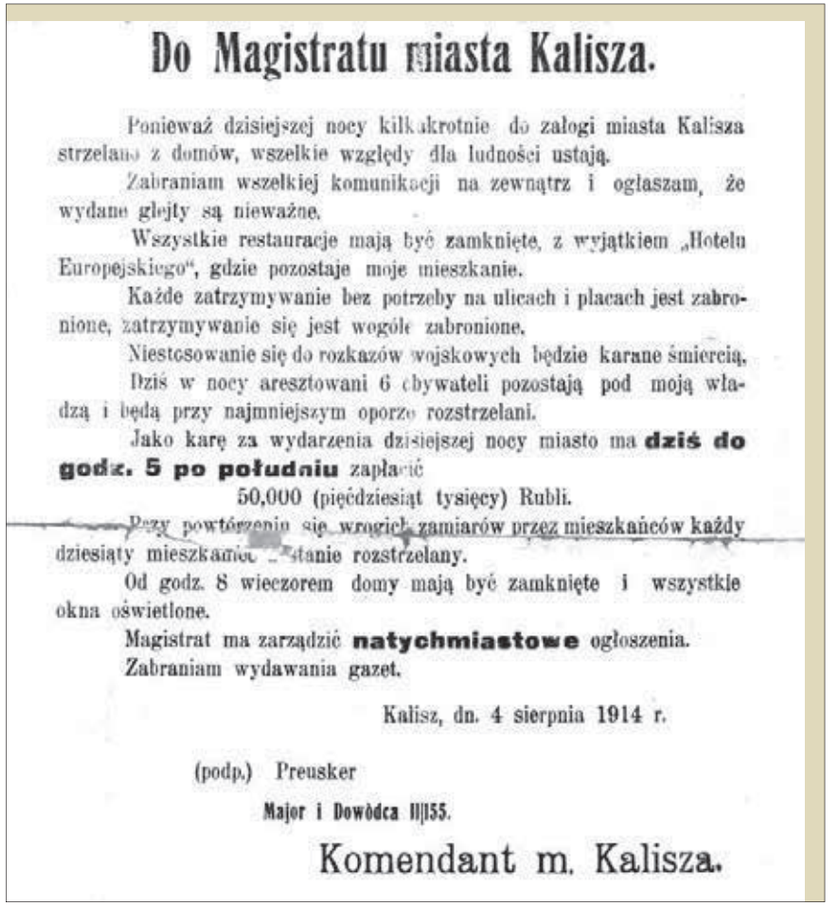
Wieść wysłała przerażający dreszcz przez moje nerwy, nie wiedziałem bowiem, jakimi kłamcami mogą być Niemcy i nie myślałem że pruski oficer mógłby okazać się tak zakłamaną kanalią jak ten jegomość.

– A zatem jest wojna między Anglią a Niemcami? zapytałem, zastanawiając się nad jej gwałtownym wybuchem. – Kiedy została ogłoszona?

– Nie została ogłoszona. Skorzystaliśmy błyskawicznie z okazji, tak jak zamierzamy to zrobić z wszystkimi, którzy nam się sprzeciwią. Jesteś śmierdzącym Anglikiem i rozkażę cię rozstrzelać! – wściekle ripostował.

Podszedł do schodów i zaczął wołać swoich kompanów, miotając obelgi na mnie i krzycząc, że piętro niżej jest szpieg. Ponieważ pijani towarzysze nie usłyszeli go lub nie zareagowali wystarczająco szybko, zaczął wchodzić po schodach, a ja, korzystając z okazji, zostawiłem pieniądze za swoje śniadanie, złapałem za torbę i uciekłem z budynku.

Na końcu ulicy droga rozszerzała się w rodzaj skweru lub majdanu. Gdy dotarłem do niego, duża grupa żołnierzy przyprowadziła ośmiu więźniów na jego środek. Trzech z nich było ubranych w coś, co uznałem za mundury rosyjskich oficerów, trzech innych było żandarmami bądź policjantami. Pozostałych dwóch było ubranych po cywilnemu. Wszyscy byli bardzo bladzi i poważni, ale trzymali się dzielnie, z wyjątkiem jednego z cywilów, który się trząsł, a dygoczące kolana ledwo pozwalały mu stać. Niemiecki oficer – wydaje mi się że major – stał przed nimi i przesłuchiwał jednego z rosyjskich oficerów, który patrzył na niego surowo i nie odpowiadał. Niemiec przeczytał też coś z kartki, którą trzymał w ręku, podczas gdy sześciu ludzi było ustawianych przed każdym z jeńców. Widziałem, co się zaraz wydarzy, ale zanim się na to przygotowałem, Niemiec odsunął się i machnął dłonią. Plutony egzekucyjne błyskawicznie podniosły karabiny i strzeliły do ośmiu więźniów. Nie zabito ich od razu. Jeden mężczyzna tarzał się w przeraźliwej agonii, dwóch innych starało się wstać po upadku, czwarty próbował uciec. Nastąpiła obrzydliwa strzelanina; oddano co najmniej sto strzałów zanim, skazani padli sztywni i cisi. Nie były to jednak jedyne ofiary. Oficer dowodzący plutonem egzekucyjnym nie zadbał o środki ostrożności, nie wydał żadnych ostrzeżeń i kilku z gapiów zostało postrzelonych, na co cywile obecni na placu zareagowali dziką paniką.



Do Magistratu miasta Kalisza.

Ponieważ dzisiejszej nocy kilkakrotnie do załogi miasta Kalisza strzelano z domów, wszelkie względy dla ludności ustają.

Zabraniam wszelkiej komunikacji na zewnątrz i ogłaszam, że wydane glejty są nieważne.

Wszystkie restauracje mają być zamknięte, z wyjątkiem „Hotelu Europejskiego", gdzie pozostaje moje mieszkanie.

Każde zatrzymywanie bez potrzeby na ulicach i placach jest zabronione, zatrzymywanie się jest wogóle zabronione.

Niestosowanie się do rozkazów wojskowych będzie karane śmiercią.

Dziś w nocy aresztowani 6 obywateli pozostają pod moją władzą i będą przy najmniejszym oporze rozstrzelani.

Jako karę za wydarzenia dzisiejszej nocy miasto ma **dziś do godz. 5 po południu** zapłacić

50,000 (pięćdziesiąt tysięcy) Rubli.

Przy powtórzeniu się wrogich zamiarów przez mieszkańców każdy dziesiąty mieszkaniec zostanie rozstrzelany.

Od godz. 8 wieczorem domy mają być zamknięte i wszystkie okna oświetlone.

Magistrat ma zarządzić **natychmiastowe** ogłoszenia.

Zabraniam wydawania gazet.

Kalisz, dn. 4 sierpnia 1914 r.

(podp.) Preusker

Major i Dowódca II/155.

Komendant m. Kalisza.

Niech będzie zanotowane, że te dzikie morderstwa miały miejsce, zanim – z tego co wiem – padł choćby strzał między siłami zbrojnymi dwóch narodów.

Nigdy nie usłyszałem, kim byli zabici mężczyźni ani dlaczego zostali skazani na śmierć, ale – z tego, co przeczytałem później w angielskich gazetach – podejrzewam, że jednym z nich był burmistrz Kalisza.

John Morse

tłumaczenie Aleksander Zawilski

Bombardowanie Łodzi

Violetta Thurstan — fragment pamiętników

Zajęło nam sporo czasu, aby przedostać się z Warszawy do Łodzi, choć to niewiele więcej niż 200 kilometrów [prawdopodobnie jechano okrężną drogą – przyp. tłum.]. Rosyjskie drogi są już same w sobie bardzo złe, a w dodatku Niemcy w czasie swojego gwałtownego odwrotu zdążyli je zniszczyć do reszty wraz z mostami. Inną przyczyną opóźniającą nasz przejazd były ogromne uzupełnienia żołnierzy ciągnące od Warszawy w kierunku frontu. Ciekawa była obserwacja różnych grup, które mijaliśmy. Wpierw pułk Kozaków, a zaraz za nim ogromny konwój, liczący około 200 wozów furażu. Tuż przed tymi przemieszczały się luzem pędzone, mocne, kudłate kuce syberyjskie; są one najbardziej rozkosznymi stworzeniami na świecie, łatwe w oswajaniu, jak psy, i niewiele od nich większe, a duża ich część jest w niezwykle pięknym odcieniu złotego kremu. Te małe istoty przywiezione tysiącami z Syberii w większości nigdy wcześniej nie widziały samochodu i już na ich widok stawały dęba, kopały, skakały, wyprawiały najróżniejsze cyrkowe sztuczki, szczególnie zaś gdy przejeżdżało się obok nich.

Gdy zbliżaliśmy się ku Łodzi, zastał nas przygnębiający widok licznych martwych koni, leżących na poboczu drogi, w większości zabitych przez ogień artyleryjski. Ten sam ogień także porobił wielkie wyrwy w drodze, które uczyniły ostatni odcinek naszej podróży podobny do jazdy kolejką górską. Zaczęło się ściemniać, gdy dotarliśmy do Brzezin. Tu stacjonowało już wiele rosyjskich baterii. Duże tabuny ludzi i koni wyglądały podczas wieczerzy w blasku ognisk bardzo radośnie i tylko odległy huk dział przypominał o toczącej się wojnie. Dwie godziny później podskakiwaliśmy już na bruku łódzkich ulic.

Łódź to duże miasto, niegdyś centrum przemysłu bawełnianego, zwane polskim Manchesterem. Teraz zaś wszystkie fabryki są zamknięte, a jeszcze dużo z nich zostało zniszczonych przez pociski. Nie odniosłam wrażenia, by Łódź w lepszych czasach była miejscem radosnym, wyglądała bowiem nędznie i brudno, a dużą część jej ludności stanowili tacy mizerni Żydzi, jakich jeszcze nie widziałam.

W momencie naszego przyjazdu miasto przeżywało silny niemiecki atak bombowy, dlatego musieliśmy je objechać szerokim łukiem, by wjechać do niego nieuczęszczaną polną drogą. Dotarliśmy do dużego budynku, który – jak nam powiedziano – był szpitalem wojskowym. Księżna W. [Elżbieta Wołkońska — żona Piotra Wołkońskiego dowódcy, kolumny sanitarnej – przyp. tłum.], pułkownik S. i rosyjski student ciężko pracowali w sali operacyjnej. Szybko przebraliśmy się w czyste ubrania i dołączyliśmy do nich. Wszyscy wyglądali na całkowicie wyczerpanych; doktor zasypiał w każdej wolnej chwili między operacjami, lecz niemal co minutę dostarczano nowych rannych wymagających opieki chirurgicznej i nie było nikogo innego, kto mógłby go wyręczyć. Łódź była jednym wielkim lazaretem. Każdy budynek, bez względu na rozmiar i funkcję, zamieniano w szpital. Podobno przebywało w nich więcej niż 18 000 rannych, co zdawało nam się bardzo możliwe. Tak duża liczba „nowych mieszkańców" miasta spowodowała, że wszelkiego rodzaju zapasy żywnościowe w krótkim czasie zaczęły się kończyć.

Budynek przez nas zajmowany był szkołą dzienną i na najwyższym piętrze znajdowały się duże i przewiewne sale, które całkiem dobrze nadawały się na oddziały szpitalne. Tam też leżeli pacjenci. Jednak ostrzał artyleryjski był na tyle gwałtowny i niebezpieczny, że musieliśmy przenieść rannych na parter i do piwnicy. Szczególnie piwnica okazała się koszmarnym miejscem dla rannych. Była przerażająco zimna, ale i cały szpital nie był od dłuższego czasu ogrzewany. W Łodzi po prostu nie było ani drewna, ani węgla; natomiast resztki gazu wykorzystywano do palników dających tylko małą poświatę. Nie było żadnych okryć, które mogłyby ogrzać zziębniętych rannych, nie było czystych bandaży. Ci biedacy leżeli więc w swoich zawszonych i zakrwawionych koszulach, dygocząc z zimna. Rozdano każdemu po jednym małym kocu. Mieli szczęście ci, którym trafiło się jakieś łóżko, większość zaś leżała na zimnej, kamiennej podłodze. I tylko kępy słomy oddzielały poszczególnych rannych. Nie było umywalek, ręczników i w ogóle jakichkolwiek utensyliów toaletowych, nie było też spluwaczek, tak więc mężczyźni pluli na podłogę, i tak już brudną. W największym oddziale leżało 70 lub 80 osób. Znajdowała się tu wnęka z zapchaną umywalnią. Cienki strumień brudnej wody sączył się spod drzwi i spływał małymi strugami po całym pomieszczeniu. W dodatku unosił się okropny smród wydzielany przez rannych, gdyż niektórzy leżeli już kilka dni bez założonych opatrunków. Taki fetor panował nie tylko na tym oddziale, pochodził nie tylko od tych 80 pacjentów, lecz od wszystkich tu przebywających, a było ich 270. Wentylowanie pomieszczeń mogło odbywać się bardzo krótko, nie dłużej niż minutę czy dwie, gdyż na zewnątrz panowało okropne zimno. Tak więc sprawy miały się fatalnie i nikomu nie można było przypisywać winy za taki stan sanitarny obiektu, lecz co najwyżej można było utyskiwać na wojenną fortunę, która zmusiła do adaptacji obiektu niespełniającego żadnych wymogów sanitarnych.

Taki stan rzeczy zastaliśmy w momencie przekazywania nam szpitala po opuszczeniu go przez personel wojskowy o godz. 4.00 rano. Przez całą noc dostarczano nam najbardziej okaleczonych mężczyzn, niektórzy już nie żyli, inni zaś umierali po kilku minutach. Większość rannych była przemarznięta, mokra i wyczerpana, a my nie mieliśmy niczego, co mogłoby im przynieść ulgę w cierpieniu. Termosy byłyby błogosławieństwem, ale gdybyśmy nawet je posiadali, i tak byłyby bezużyteczne, gdyż nie było możliwości zagrzania wody, by nią je napełnić. Lecz ranni musieli być jakkolwiek opatrzeni, a my mogliśmy przynajmniej dać im dach nad głową i ciepłą herbatę. O godz. 5.00 rano nastąpiła cisza. Niekończąca się dostawa rannych na chwilę ustała, a my mogliśmy w końcu odsapnąć i się położyć. O godz. 7.00 ponownie nas wezwano do kolejnej partii rannych.

Ostrzał znowu rozpoczął się z wielkim natężeniem: łomot, huk, trzask rozlegał się przez cały czas wokół nas. Wieża z zegarem, stojąca blisko naszego szpitala, została zniszczona, a w pobliskich domach popękały okna. Pociski wybuchały wokół ulicy, raniąc cywili, których donoszono do naszego szpitala. Przyniesiono małe dziecko z rozerwaną głową, potem starą Żydówkę z urwanymi obiema nogami i rozległą raną klatki piersiowej. Przeżyła godzinę, może dwie. Najwyraźniej nie czuła bólu, za to była bardzo zaaferowana zagubieniem peruki. Zaczęto przynosić tak wielu rannych, że musieliśmy zaprzestać przyjmowania kogokolwiek, łącznie z wciąż donoszonymi żołnierzami. Po prostu było ich wszystkich za dużo.

W południe poszliśmy do hotelu [Grand Hotel – przyp. tłum.] na posiłek. I mimo że w Łodzi zostało bardzo, ale to bardzo mało żywności, to jednak podano nam do spożycia to, co tylko posiadano. Wracając do szpitala, staraliśmy się gdziekolwiek dostać trochę chleba, lecz nigdzie go nie było – wszystkie sklepy z żywnością były całkowicie puste. Po mizernych i zgłodniałych twarzach mieszkańców, zwłaszcza Żydów, którzy bynajmniej nie stanowili warstwy ludzi najuboższych, zrozumieliśmy beznadziejność naszych starań. Nagle wybuchł pocisk, tuż obok nas, na szczęście nic się nie stało. Przed jego eksplozją słyszeliśmy przeraź-

liwy dźwięk, jakby umierającego z bólu zwierzęcia. Zwykle jestem największym tchórzem, jeśli chodzi o głośne i złowrogie dźwięki, ale tutaj te wybuchy stanowiły tak integralną część otoczenia, że człowiek nie zdawał sobie sprawy z tego, że to wszystko przydarzyło się właśnie nam, i czuł się jak zdumiony obserwator w nierealnym śnie, w którym ciało wykonywało swoje funkcje, umysł zaś je zatracił. Taki stan umysłu powodował, że całe to piekło stawało się znośnym. Niekończące się męczarnie jęczących mężczyzn, co raz przynoszonych na zakrwawionych noszach, brud, zimno, smród, głód, robactwo, plugawość tego wszystkiego oraz zupełna bezradność w łagodzeniu cierpienia – nawet Szatana przywiodłyby do łez.

Trzeciego dnia po naszym przybyciu młody rosyjski lekarz i kilka rosyjskich pielęgniarek przybyło nas zmienić na kilka godzin. Pełni wdzięczności poszliśmy do łóżek, a raczej do czegoś, co je poniekąd przypominało, bowiem były to druciane ramy bez materacy. Kładliśmy się do nich w ubraniach i wszyscy czuliśmy się na nich bardzo wygodnie.

Kiedy obudziliśmy się, powiedziano nam, że władze wojskowe wydały rozkaz ewakuacji pacjentów i że wozy Czerwonego Krzyża będą całą noc zabierać rannych do pociągów sanitarnych. Pracowaliśmy więc ciężko, by założyć, względnie zmienić opatrunki rannym przed ich zabraniem. Po opatrzeniu pacjenta, zanoszono go do hotelu, w którym czekał na swoją kolej do zabrania. Było to jednak bardzo wyczerpujące zajęcie, gdyż w tym samym czasie równie szybko przynoszono nowych rannych wymagających opatrzenia. Wszystkim nie byliśmy w stanie założyć opatrunków, tak więc, niestety, wielu musiało pojechać z krwawiącymi ranami. Następnego popołudnia w czasie nieustannego przyjmowania nowych poszkodowanych dostaliśmy rozkaz, by tych również ewakuować, a szpital zamknąć, gdyż Rosjanie zdecydowali się na opuszczenie Łodzi. Ponownie pracowaliśmy całą noc i o godz. 10.00 ostatni pacjent opuścił szpital. Sanitariusze zebrali całą pościel i zanieśli na podwórze, by tam ją spalić; łóżka ułożono w stosie i pootwierano okna na oścież, by świeże, mroźne powietrze oczyściło zaduch i smród.

Musieliśmy jeszcze spakować nasze opatrunki i wyposażenie, a byliśmy na ostatnim oddechu, spragnieni snu i jedzenia. Wówczas przyszła do nas miła Polka, zabierając księżną, nas – dwie pielęgniarki i pułkownika S. – do swojego domu, w którym przygotowała dla nas sypialnie. Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego tak bardzo jak łóżka. Nasza gospodyni wręcz zarzucała nas dobrodziejstwami, przygotowując nam wszystkim gorącą kąpiel. Od czasu przyjazdu do Łodzi nie myliśmy się i nie zmienialiśmy ubrań; byliśmy obłożeni robactwem, które przyszło do nas wraz z pacjentami. Można było spotkać się z trzema rodzajami tych plag: zwykłymi muchami, którymi nikt się nie przejmował, dalej najczęściej występującymi, białymi insektami żyjącymi w zgięciach ubrań, których młode są najtrudniejsze do wykrycia i które w ciągu jednej nocy wyrastają na bardzo głodne okazy, oraz czerwonymi wielonożnymi robakami, które są najbardziej wygłodniałe z całej reszty.

Rankiem sytuacja zaczęła wyglądać podobnie. Niemcy ciągle nie pojawiali się, za to przybył nasz samochód… Ewakuowanie ponad 18 000 rannych w ciągu czterech dni było nie lada wyczynem, arcytrudnym zadaniem, które wykonaliśmy bez zarzutu. Ta akcja stała się powodem dumy dla Rosjan.

Dzień był piękny, niebo jasnoniebieskie i cały widnokrąg skąpany w zimowych promieniach słońca. Ostrzał artyleryjski ustał w nocy, rano jednak został wznowiony z porażającą mocą. Rozpoczęliśmy więc podróż pod gradobiciem pocisków. Nad nami krążyły cztery niemieckie samoloty, zrzucające co chwilę bomby. Wystrzeliwane w nie pociski wyglądały bardzo niewinnie, niczym małe białe purchawki eksplodujące na niebie. Mieliśmy nadzieję, że samoloty zostaną zestrzelone, ale były one zbyt wysoko w powietrzu. Bombardowanie tak naprawdę było tylko małym podstępem mającym na celu odwrócenie uwagi przeciwnika, gdyż w gruncie rzeczy chodziło o zlokalizowanie rosyjskiej baterii. Niebezpieczeństwo zawsze dodaje pikanterii każdej rozrywce, a za taką uważaliśmy to bombardowanie, gdyż ranni byli już ewakuowani i mogliśmy skoncentrować się na nas samych. Dane więc nam było czerpanie przyjemności z opuszczania miasta pod ciężkim ostrzałem. Muszę przyznać, że rzadko trafiała mi się taka przyjemność. Slalom samochodem był wprost nieziemski, lecz pozwolił nam na bezpieczne wydostanie się spod tego gradobicia.

Przejeżdżaliśmy przez Brzeziny, w których dogorywała walka. Książę [Piotr Wołkoński – przyp. tłum.] zatrzymał samochód na kilka minut, byśmy mogli popatrzyć na żołnierzy w okopach. Na naszej drodze mijaliśmy tłumy przerażonych uchodźców, śpieszących z niewielkim dobytkiem na plecach lub ramionach. Przypominali mi smutne procesje uciekających rolników w Belgii, tyle że ci zdawali się być znacznie biedniejsi i nie mieli wiele do stracenia. Podczas wschodu słońca zatrzymaliśmy się na odpoczynek w miejscu, które książę jakby skądś już znał: pół gospodzie, pół gospodarstwie. Jeszcze spojrzeliśmy za siebie, na niebo nad zachodnim horyzontem, pod którym leżała Łódź. Było ono krwiste i trupie. Wydawało nam się, że jest to zły omen dla nieszczęsnego miasta, ale zgoła inaczej mogli odbierać ten znak Niemcy, interpretując go jako świetlistość niebios ukazującą ich zwycięstwo.

Trochę chleba i bladozłocistego węgierskiego tokaja zostało nam podane przez gospodarza w ramach przekąski. Ten drugi był przepyszny, prawdopodobnie dużo mocniejszy niż smakował, bo mimo wypicia tylko jednej lampki przewróciłam się i leżałam na podłodze samochodu, pozostając bez ruchu aż do momentu, gdy światła Warszawy uderzyły mi w oczy. Po kilku minutach przybyliśmy do hotelu Bristol i wtedy Lotna Kolumna w końcu poszła spać.

tłum. Aleksander Zawilski

Violetta Thurstan była angielską pielęgniarką, która trafiła do Belgii razem z „Lotną Kolumną". Na początku wojny, po upadku Brukseli, zmuszona została przez Niemców do jej opuszczenia. Wyruszyła w mozolną i nieprzyjemną podróż przez Niemcy do Kopenhagi. Tu ofiarowała swoje usługi Rosyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Ofertę przyjęto i skierowano ją do Łodzi, gdzie trafiła do szpitala, w którym kiedyś była szkoła dziewczęca.

Książka *Field Hospital and Flying Column, Being the Journal of an English Nursing Sister in Belgium & Russia* [*Szpital polowy i Lotna Kolumna – pamiętnik angielskiej pielęgniarki w Belgii i Rosji*] jest dostępna w internecie na stronie Projektu Gutenberg (Projekt Gutenberg – inicjatywa polegajaca na umieszczeniu w internecie elektronicznych wersji książek wcześniej wydrukowanych).



Źródło: http://ambulances.ru/img/History/

Sanitarna kolumna imienia Następcy Tronu Cesarzewicza Aleksieja, Imperatora Rosyjskiego – należąca do Automobilowego Stowarzyszenia przy Orszaku Jego Cesarskiej Wysokości – do Łodzi przybyła 15 listopada 1914 r.

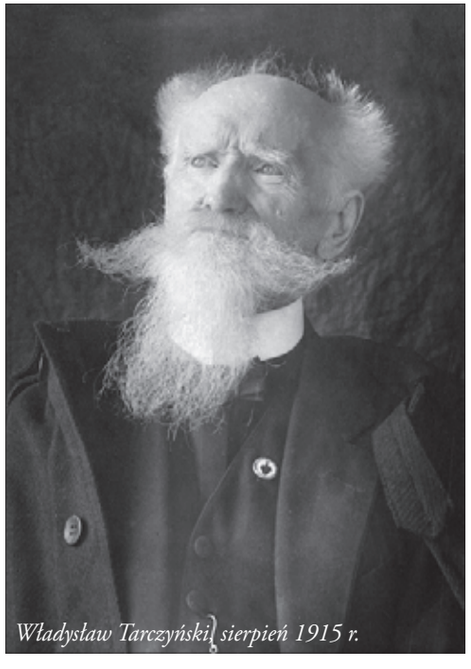
OPERACJA ŁÓDZKA W KRONICE WŁADYSŁAWA TARCZYŃSKIEGO Z ŁOWICZA

Przedstawiamy fragment *Kroniki pierwszych 9 miesięcy Wielkiej Wojny* Władysława Tarczyńskiego, z zawodu stroiciela i korektora fortepianów, a z zamiłowania literata i pasjonata historii, założyciela pierwszego w mieście powiatowym Królestwa Polskiego prywatnego muzeum w Łowiczu. Pisana w formie dziennika, jego kronika jest zapisem toczących się batalii wojennych w Łowiczu i jego okolicy od chwili ogłoszenia mobilizacji w Królestwie Polskim, czyli od 30 lipca 1914, aż do 14 maja 1915 roku. Oryginał kroniki znajduje się w zasobie Archiwum Państwowego w Warszawie Oddział w Łowiczu. Jej książkowe wydanie ukazało się na początku tego roku z cyklu biblioteki pamiętników NDAP *„Wielka Wojna – codzienność niecodzienności”*.

Zachowujemy pisownię oryginału.

14 listopada, sobota

Huk strzałów armatnich od wczoraj słyszany był gdzieś dalej za Kutnem. Na nowo wywołał popłoch w mieście, tym więcej, że krążą wieści o toczącej się wielkiej bitwie pod Włocławkiem, że Prusacy do Włocławka w czwartek powrócili i naszych w tył prą, to jest w kierunku Kutna, ewentualnie na Łowicz do Warszawy(?); że naszych wojsk jest tam znacznie mniejsza ilość, a Niemców kilkadziesiąt tysięcy (podobno 90 000). Wobec takich wersji, obawa wzrasta.



Władysław Tarczyński, sierpień 1915 r.

Na zwiększenie trwogi o powrocie hordy rozbójników Niemców wpływa spotęgowany ruch samochodów wojskowych w stronę Kutna i stamtąd. Pociągów z Kutna przeszło kilka bardzo długich, jakoby z uciekającymi z Kutna i uchodzącą tamtejszą władzą.

Znaczna ilość piechoty przybyła koleją Kaliską i zaraz wymaszerowała w stronę Kutna, a Kozacy ku Łodzi.

Strzelanie z armat słychać. Z tamtych stron przybył park artyleryjski po zapas amunicji i zaraz podążył, skąd przybył. Tenże park przyprowadził kilka armat w boju zepsutych i odesłał je do Warszawy do reparacji.

Obawa się wzmaga. Pesymiści dowodzą o niewątpliwym powrocie Prusaków do Łowicza. Boże! Odwróć to nieszczęście.

15 listopada, niedziela

Kasjer Kasy Okręgowej i urzędnicy powrócili z kasą z Moskwy, gdzie schronili się na czas niebezpieczeństwa rabunku Niemców. Powrócili w piątek.

Z powodu zupełnego braku opału w mieście, a tym samym i do opalenia biura kasy, pan kasjer (kacap) zarządził rozebranie płotu okalającego dom (dawniej kanonii) naprzeciwko frontu kolegiaty i przy ul. Podrzecznej. I dzisiaj w południe, podczas nabożeństwa i wychodzenia ludzi z kościoła, pod komendą kasjera rozlegał się łoskot odrywanych i łamanych desek, następnie na wóz nakładanych.

Operacja dokonywana o tej porze dnia świątecznego zrobiła na ludziach bardzo niemiłe wrażenie. Były też głośne sarkania, iż takie zarządzenie urzędnika jest gorszące i demoralizująco wpływa na ciemne tłumy, że wobec niedostatku opału, śmielej dopuszczać się mogą podobnych gwałtów.

W sobotę była duża bitwa pod Łaniętami i na dłuższej linii za Krośniewicami aż do Grabowa, skąd właśnie przez parę dni dochodził huk armat.

Wczoraj i dzisiaj rano koleją Wiedeńską z Kutna, z placu boju przewieziono do Warszawy około 2000 naszych rannych. Ruch samochodów wojskowych i sanitarnych bardzo wzmożony. Rezultat bitwy jakoś mniej dla naszych pomyślny, bo cofających się od rana przeszło kilka baterii artylerii i parków, a wieczorem przyszedł obóz z Grabowa i z Łęczycy. W mieście popłoch wzrasta.

Rannych i chorych z tutejszych szpitali odwożą do kolei Kaliskiej. Zachowywanie się wojsk i władz zdradza niepokój. Z Łęczycy uciekła tu władza administracyjna, policyjna i kasa powiatowa. Z Kutna dochodzą wieści niedobre – groźba powrotu Niemców.

16 listopada, poniedziałek

Huk armat wciąż słychać. Całą noc i cały dzień ciągnęły tabory kilku korpusów w rejteradzie przed naporem o wiele liczniejszego nieprzyjaciela. Bywało, że w popłochu najeżdżały na siebie wozy; furgony i jaszczyki, zapychając sobą całą szerokość ulic i długo stały nim ruszyć mogły. Sprawiało to popłoch nie do opisania.

Ten nieustający turkot szybko jadącego taboru, pędzenie gromad bydła, prowadzenie setek luzaków koni, oddziałki idących znękanych i zbiedzonych żołnierzy, to wszystko fatalnie oddziaływało na umysły i nerwy mieszkańców Łowicza. W dodatku gwałtowne zwijanie szpitali, zabieranie chorych i rannych, przejazdy wielkiej liczby uciekających z Kutna i z tamtej okolicy ziemian, obywateli i włościan, także i z łęczyckiego, pakowanie się i wyjazd władz (po raz piąty), policji niższej, wpłynęło zaraźliwie na mieszkańców cywilnych, którzy gromadnie opuszczali miasto. Na stacjach kolei żelaznych gniotły się tłumy, wciskając się gwałtem do wagonów pociągów wojskowo-sanitarnych, innych bowiem nie było. Inni znowu wyjeżdżali po 10 do 15 osób na wozach od gnoju i w drabinach w jednego konia, i kto gdzie, na jakim wozie mógł się zawiesić. Ludzie zaś sfery robotniczej i biedni zupełnie nie mogący wyjechać, wystraszeni, bezmyślnie z manatkami i tłumokami biegali z jednego końca miasta na drugi, szukając bezpiecznego schronienia.

Dzień dzisiejszy bardzo krytyczny; atmosfera niewymownie przygnębiająca. Smutek i trwoga odbija się na wszystkich twarzach.

A dopełnieniem tego nastroju, tych okropności był: 1. przemarsz zliberowanego wojska w odwrocie z pola przegranej bitwy za Kutnem, 2. opowieści żołnierzy o srogiej klęsce doznanej od nieprzyjaciela, trzykrotnie liczniejszego, 3. spalenie mostu kolejowego, zaledwie co załatanego sztucznie podkładami, 4. wyjazd komendanta i reszty z nim 250 żołnierzy.

Od godz. 8.30 nastała cisza grobowa.

17 listopada, wtorek

Pokrzepienie ducha! Od północy przybyły koleją Kaliską, przeszły ku Zdunom, Kiernozi i Głownu, 2 korpusy (120 000) piechoty, konnicy i ciężkiej artylerii. Pociągi z wojskiem, jeden za drugim, przychodziły od godz. 12 w nocy do rana. W dzień Koleją Wiedeńską przyjechały dwie sotnie Kozaków i Czerkiesów.

W ogóle względem przeklętego nieprzyjaciela zgromadzono duże siły i spostrzegać się daje usiłowanie niewpuszczenia tu najeźdźców.

W sobotę i niedzielę była wielka bitwa na linii Łanięta, Krośniewice, Miłonice itd. Klęska naszych była z powodu braku na pozycji nabojów armatnich, a głównie z przewagi Niemców. Jednakże stosunkowo padło więcej i bardzo dużo Niemców: linia boju zasłana była ich trupami.

Dzień przeszedł względnie spokojnie, ożywiały go tylko ruchy wojska przybywającego koleją. Ruch pasażerski i towarowy szosami był bardzo mały. Radny miasta Emil Balcer ponownie objął stanowisko i władzę po wyjeździe prezydenta.

Most na szosie warszawskiej z polecenia władzy wojskowej został wzmocniony podwójnymi balami. Przybyłe bataliony piechoty, cały dzień zajęte były robieniem okopów pod Zdunami i drugiej linii pod miastem za Małszycami. Batalii spodziewanej dzisiaj nie było, wojska nasze i nieprzyjaciela widocznie zajęte były przygotowaniami.

O godz. 10.30 w nocy znowu powstał alarm, że Niemcy jakoby przybliżyli się do miasta (alarm był wynikiem trwogi i imaginacji). W nocy pociągiem wyjechała reszta strażników ze swym naczelnikiem i pop.

W poniedziałek biuro Towarzystwa Wzajemnego Kredytu powtórnie zostało zamknięte od godz. 1 w południe. Biuro rządowe, nie wyłączając zaledwie co otworzonej poczty i Kasy Okręgowej, także przestało funkcjonować i urzędnicy wyjechali.



Oddział Landwehry maszerujący ul. Zduńską w Łowiczu, 1915.

Po południu w stronę nieprzyjaciela poszło 50 samochodów opancerzonych z armatami i pulomiotami oraz z amunicją i zapasem benzyny.

18 listopada, środa

Noc przeszła spokojnie (bardzo ciemna i mglista). Kolejami przyjechała piechota i Kozacy oraz znaczny tabor. Komitet Obywatelski znowu rozpoczął swoją trudną i kłopotliwą pracę. Miasto z inteligencji wyludnione. Najwięksi działacze „społeczni" i z nimi egoiści pasożyci, stchórzyli haniebnie, opuszczając zagrożone niebezpieczeństwem miasto, chroniąc drogocenne swe życie – dla używania potem okupionej swobody ojczyzny ofiarami innych. Tacy, jak powrócą, w cukierni na nowo rej będą wiedli i opowiadali z entuzjazmem o wielkich przeżytych przygodach.

Niebezpieczeństwo się wzmogło.

O godz. 1 w południe rozeszła się wieść, że istotnie Niemcy są blisko ze strony zupełnie niespodziewanej, ukazali się bowiem pomiędzy Głownem a Bielawami, kiedy wszystkie wojska od paru dni wysyłane były w stronę Kutna i Kiernozi (od Gąbina). Trwoga zapanowała wielka, tym większa, iż wiedziano, że wojska w Łowiczu jest bardzo mało, a zbliżających się Niemców ma być kilka korpusów.

Naraz nie wiadomo skąd, zjawił się jakiś generał, ten do Warszawy zatelefonował, a część wojska, jakie było i jakie z sobą przywiózł, rozstawił na różnych punktach pod miastem, część zaś z artylerią posłał do Bielaw, ponieważ owi Niemcy uplasowali się w lasach walewickich i sobockich w odległości od Łowicza wiorst 21. Podjazdy były tylko o 6-8 wiorst od miasta.

O godz. 3 i pół z Warszawy już przyjechały 2 samochody opancerzone z pulomiotami i 3 samochody osobowo-bagażowe.

Przybył samochodem także Wielki Książę Mikołaj, Wódz Naczelny, jak zawsze i wszędzie było to osnute tajemnicą, a widziane tylko przez wojskowych.

Wielki książę Mikołaj na naradzie wojennej nakazał energiczne odparcie wroga.

I w tym czasie, z niewiadomych nikomu cywilnych punktów, jakby spod ziemi, liczne wojsko zgromadziło się pod miastem i w mieście. Artyleria z armatami ukryła się pod miastem w okopach.

Przy tych przygotowaniach do jakiejś dużej bitwy zapadł wieczór i noc nastała wśród ciszy. Mieszkańcy zaś niesłychanie zatrwożeni pakowali i przenosili rzeczy do miejsc uznanych za bezpieczniejsze albo chowali je do piwnic, pozostawiając w nich miejsca i dla siebie.

Włościanie ze wsi Zagórze i Jastrzębi [dziś dzielnica Górki na przedmieściach Łowicza – MW] dostali nakaz wyprowadzenia się z dobytkiem.

19 listopada, czwartek

Noc przeszła spokojnie. Samochodów z pulomiotami, artylerii z armatami ciężkiego kalibru i piechoty oraz taborów nocą przeszło bardzo dużo w różne strony.

Od rana na mieście głucho, ruchu żadnego. Od dowodzącego wojskami wyszedł rozkaz, że z miasta nikomu nie wolno wyjść ani wyjechać w żadną stronę, toż samo do miasta absolutnie nikogo nie wpuszczają. I znowu jest w mieście sporo przejezdnych pasażerów, co nie zdążyli przed zakazem wyjechać. Dla niejednych, zwłaszcza uboższych, jest to duża krzywda.

Spodziewanej bitwy dotychczas nie było i nie ma, przynajmniej gdzieś blisko Łowicza, gdzie Niemcy byli wczoraj. Zapewne wrogowie umknęli przed nagromadzoną wielką masą naszego wojska. A nie można nic się dowiedzieć, tak wszystko jest osnute tajemnicą, nawet cywilnym z żołnierzami rozmawiać nie wolno.

W nocy, nie wiadomo przez kogo, drut telefonu wojskowego w trzech miejscach na mieście został przecięty, co stało się powodem pewnego powikłania wśród sztabu i oficerów. Z tego powodu obecny komendant rozkazał, ażeby obywatele miasta Łowicza pod odpowiedzialnością sądu polowego telefonu dniem i nocą pilnowali.

20 listopada, piątek

W ciągu nocy, co dwie godziny drogą żelazną Wiedeńską i Kaliską przychodziły pociągi z wojskiem. Przybyła z Władywostoku cała dywizja wyborowego wojska, ludzi silnych jak dęby, rześkich i wypoczętych. Toż samo konie artyleryjskie pociągowe w taborze i wierzchowe w wybornym stanie. Wyróżniały się syberyjskie, małe koniki nader lekkie i zwinne. Przed wieczorem jeszcze przejechało przez miasto 6 opancerzonych samochodów z pulomiotami.

Wieczorem od strony Kutna zajaśniały cztery łuny pożarów, następstwa wojny.

Całe wojsko w ciągu ostatnich 4 dni rozchodziło się stąd w stronę Gąbina, Łęczycy i Łodzi; wojska tego wraz z artylerią olbrzymia moc, przynajmniej 3–4 korpusy. Wieść doszła, że wczoraj późnym wieczorem jeszcze toczyła się bitwa na karabiny i bagnety, jakoby pod Złakowem Borowym, 5 wiorst od Łowicza.

Przed wieczorem nad miastem przeszedł aeroplan niemiecki, jak zwykle zły zwiastun, pojawiający się przed ich nadejściem.

Od godz. 4 po południu do 11 w nocy grzmiały mordercze działa. Od Kiernozi i wzdłuż kilkuwiorstowej linii, wieczorem i do późnej nocy, jaśniały trzy łuny pożarowe.

21 listopada, sobota

Dzień bardzo groźny! Od godziny 7 rano znowu rozpoczęły się trwogą przejmujące strzały armatnie w tej samej stronie, co w dniach poprzednich, ale niestety znacznie bliżej. Od południa strzały rozszerzyły się na wschód i na zachód; strzały te, rozdzierające obłoki i serca łowiczan, z małymi przerwami trwały do godz. 7 wieczorem.

W ciągu dnia nieustanne przemarsze wojska wszystkich broni. Snuły się samochody wojskowe z oficerami sztabowymi i sanitarne. Oprócz tego sanitariusze z noszami wyjeżdżali podwodami po rannych do Kiernozi i Głowna.

Spod Głowna przyprowadzono 14 jeńców niemieckich i zdobyty niemiecki samochód, przywieziono też naszych rannych żołnierzy.

Rano znowu przyszybował aeroplan pruski. Sztab miasto opuścił. Komendant wyjechał. Władza i reszta strażników wyjechała na noc z miasta. Do Krępy z wojskiem posłano 800 ludzi do robienia okopów. Z kolei na 16 wozach przywieziono zwoje drutu kolczastego. Spod Kiernozi w ucieczce przeciągnął przez miasto tabor, co powiększyło trwogę. Na nowo w mieście pakowano i chowano rzeczy po piwnicach.

Zrozumiano, że wielka nawała Niemców pcha się do Warszawy na Łowicz od strony Kutna i Włocławka i na Skierniewice od Piotrkowa i Łodzi. Dlatego już trzy dni w okolicy Łowicza w odległości 15–18 wiorst toczy się zażarta bitwa. Lecz że i naszego wojska olbrzymia ilość jest nagromadzona, bitwa jest uporczywa i bardzo krwawa.

Wieczorem kanonada była blisko Łowicza pod Zdunami. Od huku armat szyby brzęczały, drżały mury, błyski kul ognistych migotały w powietrzu; był słyszany świst, łuny pożarów jaśniały, słowem: uwidoczniła się cała groza okropnej wojny.

Wieczorem było już wiadomo, że w nocy wejdą do miasta Prusacy. Trwoga. Smutek. Niemal rozpacz. W dniu dzisiejszym, na 7 wiorście ku Zdunom, na rzece Słudwi dokonano reperacji mostu, zepsutego przez naszych w środę przed zbliżającym się nieprzyjacielem.



Cesarz Wilhelm II w rozmowie z gen. Augustem von Mackensenem w Łowiczu, 1915. Zbiory Jana Rucińskiego.

Reperacja mostu trwała pod świszczącymi w powietrzu odłamkami szrapneli pruskich. Nocą przeciągały na pozycje bojowe liczne oddziały wojska, ponadto na ulicach zaległa cisza, ale w domach większość mieszkańców czuwała.

22 listopada, niedziela

W dniu dzisiejszym, jakby na cześć św. Cecylii, od wczesnego rana zagrały armaty, czwarty dzień na jednych prawie pozycjach. Około godz. 9 ucichły. Sztab do miasta powrócił, komendant się zjawił, a gdy i naczelnik powiatu i naczelnik Straży Ziemskiej ze strażnikami się pokazali, otucha wstąpiła, że niebezpieczeństwo minęło.

Ruchu na ulicach nie ma, miasto w istnym oblężeniu, włościan do kościoła przybyło bardzo mało, tylko ze wsi najbliższych. Chleba nie ma, zabrakło mąki, a co piekarze w małej ilości upieką, zaraz z piekarni tłumy rozchwytują, że nawet do sklepów i dla przekupniów nie ma, co rozwozić. Żołnierze z bronią przy wejściach piekarń pilnują, by nie było ścisku i wyrywania bochenków jednych drugim.

Od południa huk armat znowu zaczął się rozlegać i trwał do godz. 9.30 w nocy, ale już nieco z dalszej odległości. Podwody zaczęły przywozić rannych spod Kiernozi, ze wsi Duplic i Karsznic i zza Głowna spod Bratoszewic. Do wieczora przywieziono ich około 1000; widok sprawiali wzruszający, twarze poszarpane i krwią zbroczone, z głów krew cieknąca, ręce i nogi pokaleczone, u innych rany niewidoczne, ale twarze blade i zbolałe.

Dowożono ich na stacje do wagonów sanitarnych i dopiero w wagonach robiono im opatrunki, następnie odsyłano do Warszawy, gdyż w Łowiczu szpital być już nie mógł z powodu bliskości teatru wojny. Ranni owi byli nader głodni i błagali: „chleba", publiczność więc

donosiła im dzbany herbaty i bochenki chleba, lecz niestety mało go było, bo i kupić było nie można, brak go zupełny.

Biedni ci żołnierze, będąc na pozycji w okopach, przez 3 dni byli bez pożywienia. Nie tylko byli zgłodniali i zmarznięci, bowiem od trzech dni był pierwszy mróz 2–4-stopniowy. Dzisiaj był pogrzeb pułkownika, który zaledwie przybył ze swym pułkiem syberyjskim i przy pierwszym wystąpieniu na pozycję został ugodzony kulą pod Kiernozią, umarł w szpitalu powiatowym.

23 listopada, poniedziałek

Od rana było cicho. Tylko gorączkowy ruch wojska, szczególnie oficerów zdradzał coś niedobrego. Nagle wojsko rozeszło się na pozycje. I pełno go było przy cmentarzu na Wesołej, przy folwarku nad Bzurą i na szosie od szpitala do zamku itd.

Wieści złowrogie coraz uporczywiej obiegały, że Niemcy podeszli już blisko. I oto...

Bombardowanie Łowicza przez Niemców zaczęło się o godz. 2 po południu, od północnej strony, spod wsi Goleńsko, odległej o 5 wiorst i wsi Niedźwiada o 6 wiorst.

Nasi strzelali z armat z pozycji dalszych za Małszycami, potem z okopów bliższych miasta: przy fabryce chemicznej, sprzed folwarku łowickiego i z łąki, tuż za szpitalem św. Tadeusza.

W mieście powstała panika nie do opisania. Kto gdzie mógł, uciekał, szukając bezpiecznego schronienia, przeważnie w piwnicach.

Wojsko zatrzymane w mieście i z taborem kryło się pod murami domów. Sztab wyjechał do wsi Krępa pod Domaniewicami. Huk armat rosyjskich i wycie olbrzymich szrapneli niemieckich był przerażający. Kanonada taka trwała do wieczora przez całą noc. I następnie przez cały dzień.

24 listopada, wtorek

Miasto jakby wymarłe z mieszkańców. Na ulicę nikt nie wychodził, gdzieniegdzie ktoś zaledwie wysunął się z bramy albo pod murem się przemykał, szrapnele i bomby padały bowiem na domy i kościoły, przeważnie na rynki, ulice i ogrody; w dużej części padały przed miastem na łąkę folwarku łowickiego za Bzurą i wpadały do Bzury.



Parada Landsturmu z okazji urodzin cesarza. Łowicz 1915 r. Zbiory APŁ.

Wycie prujących w powietrzu szrapneli, huk, gwizd kul, trzask bomb pękających w powietrzu i na bruku, łoskot rozpryskujących się kulek i skorup ze szrapneli i tychże grzechotanie po dachach i po bruku, przy tym szczęk szyb z okien z trzaskiem wypadających – wszystko to było piekielnie przerażające.

30 godzin trwał taki stan grozy, niebezpieczeństwa i wielkiej trwogi. Jednakże cudem Bożym Łowicz ocalał.

Na kilkadziesiąt szczególnie wielkich pocisków, które padły na miasto, szkody wyrządzone bombardowaniem okazały się stosunkowo nieznaczne.

W ludziach były tylko 4 ofiary: Żyd stary, żydowska dziewczyna i chłopiec, uczeń „Nazaretu", syn stróża, zabici szrapnelem na Piotrkowskiej ulicy oraz murarz na ul. Długiej. A na Rynku Starym i na Glinkach zabici trzej żołnierze i 5 koni.

Z budowli kolegiata ucierpiała najwięcej, ze wszystkich stron była bowiem poszczerbiona, gzymsy pod wieżami uszkodzone, dachu miedzianego 3 łokcie w kwadrat rozerwane, okno w najwyższej kondygnacji wyrwane i wewnątrz do kościoła z gruzem zwalone, przy czym sklepienie podrapane. Ostatni szrapnel dużych rozmiarów padł z frontu przy cokole wieży i zagłębił się w ziemię przy fundamencie; szkody nie wyrządził, oprócz zdrapania tynku.

Natomiast inny szrapnel zniszczył bramę, zabytek starożytny. Niegdyś wjeżdżali nią od Bzury z zamku prymasów arcybiskupi na ingres do kolegiaty.

Na bramie murowanej, obłożonej marmurem, na płycie z piaskowca, na wierzchu wyrzeźbiony był herb i arcybiskupie insygnia, i ta część, najbardziej ozdobna i najważniejsza dla historii, została zwalona na bruk i na kawałki strzaskana. Szrapnel upadł poza bramę na bruk podwórza byłej kustodii, strzaskał schody i drzwi do kancelarii parafialnej, zaś drzwi bramy na sito kulkami podziurawił, i tę górną część zwalił, przy czym zrobił dziurę na wylot w murze okalającym kolegiatę. Inny szrapnel w kościele popijarskim wybił dziurę lewej strony wielkich drzwi i mur wywalił na schody wiodące do chóru.

Na mieście w różnych punktach sześciu posesji głównie oficyny zostały poważnie uszkodzone, niektóre z nich, drewniane budynki, były kompletnie potrzaskane w drobne cząstki. W miejscach, gdzie padały szrapnele, w domach i kamienicach piętrowych od dołu do góry literalnie wszystkie szyby na szczątki, jak sieczka drobna, potrzaskały; na tysiące w mieście można je liczyć.

Ostatnie, wielkie i najszkodliwsze pociski padły na Nowym Rynku i na ulicy Piotrkowskiej o godzinie 5 wieczorem, po nich nastała cisza z obydwu walczących stron.

W nocy z wtorku na środę jeszcze armaty zahuczały. Od wieczora do późnej nocy przyprowadzono jeńców niemieckich i samochody im zabrane. Zwożono także z placu boju bardzo dużo broni.

Przygotował Marek Wojtylak



Zakończenie Bitwy Łódzkiej nie oznaczało zaprzestania działań wojennych ani na chwilę. Zaciekłe walki toczono przez całą zimę 1914 i wiosnę 1915 roku - szczególnie w dorzeczu Bzury i Rawki. Na zdjęciu Schlachfeld - Pobojowisko w lesie w okolicach wsi Grabice w powiecie rawskim. Widoczni rosyjscy żołnierze polegli prawdopodobnie na skutek ostrzału artyleryjskiego o czym świadczą postrącane odłamkami gałęzie. Wielu z nich to ciężko ranni pozostawieni na polu bitwy – mróz dokonał reszty.



W obliczu nadchodzącej zimy żołnierze niemieccy bez większego skrępowania rekwirowali wszystko co mogło zapewnić choć trochę komfortu cieplnego. Inaczej niż w filmie "CK dezerterzy" dla nich akcja "Pierzyna" oznaczała zwykły rabunek a nie powrót do domu. Pan w pikielhaubie zdobył nawet gustowny chłopski kożuch z pełnym zestawem żyjących w nim insektów.

WOJSKOWYCH POCIĄG DO KOLEI, CZYLI BITWA O SZYNY

Podczas wojny austriacko-pruskiej w roku 1866 głównodowodzący armią pruską generał von Moltke (starszy) i jego sztab generalny połączyli znakomitą pruską kolej z mobilizacją powszechną. Wykorzystując wielkie rezerwy przeszkolonych wcześniej żołnierzy i ich elastyczny przerzut koleją, mniej zaludnione Prusy zdołały w szybkim, intensywnym konflikcie pokonać Związek Niemiecki i Austrię.

Ponownie Prusacy udowodnili, że świetnie opanowali logistyczne wykorzystanie linii kolejowych już na początku Wielkiej Wojny. Gdy po zwycięstwie Rosjan w bitwie pod Gąbinem zawisła groźba utraty całych Prus Wschodnich, przerzucili w trybie ekspresowym z frontu zachodniego dwa korpusy piechoty (XI i Rezerwowy Gwardii) oraz 8 Dywizję Kawalerii, finalnie odnosząc zwycięstwo w bitwie pod Tannenbergiem. Decyzja o przesunięciu części sił na front wschodni miała, jak się okazało, ogromne konsekwencje i praktycznie zadecydowała o przebiegu całej wojny. Zgodnie z przewidywaniami gen. Ludendorffa nowe posiłki nie zdążyły wziąć udziału w bitwie tannenberskiej, zabrakło ich też na zachodzie w decydującym momencie, tj. podczas bitwy nad Marną, co faktycznie doprowadziło do fiaska realizację ambitnego planu von Schlieffena – pokonania Francji w 6 tygodni.

Jednak w Prusach klęska wojsk rosyjskich była zupełna. Niemcy wzięli do niewoli ponad 92 000 jeńców. Eszelony, które przywiozły spóźnione korpusy z Belgii, nie przybyły na próżno – aż sześćdziesiąt składów pociągów trzeba było, aby odstawić jeńców na tyły.





Obraz zniszczeń rok 1914: dworzec Łódź Kaliska, most na Konstantynowskiej.

Rosjanie zemścili się na kolejowych szlakach – gdy opuszczali Łódź, zadbali o zniszczenie dróg żelaznych, tak dobrze wykorzystywanych przez Niemców, niszcząc wszystkie wiadukty kolejowe i demolując pozostałą infrastrukturę kolejową. Świadectwem tego są liczne zdjęcia z tamtej epoki dokumentujące zniszczenia.

Po ostatecznym zajęciu miasta Prusacy oczywiście przystąpili do odbudowy zniszczeń. Nie czynili tego jednak z dobroci serca. Linie kolejowe – tak ważny element w logistyce wojennej – musiały być sprawne i służyć pruskiej machinie wojennej. Pociągi przychodziły do Łodzi pełne wojska, sprzętu wojskowego i amunicji. Wracały także nie puste. Prusacy uruchomili na okupowanych terenach niezwykle sprawną urzędniczą machinę nastawioną na maksymalną eksploatację podbitych ziem. Nastąpił rabunek surowców i towarów, a także wywózki zdrowych mężczyzn do pracy przymusowej na terenach Rzeszy. Tak, tak – hitlerowcy tylko ich w tym zakresie kopiowali.

pz



O tym, jak bardzo zależało Prusakom na naprawie kolei, świadczy to, że już w grudniu pojawili się w Łodzi żołnierze kompanii inżynieryjnej. Pozwolili się sfotografować na tle przygotowanych do naprawy i złożonych w stos podkładów kolejowych. Z tyłu za nimi znajduje się metalowy korpus zbiornika na wodę pochodzący ze zniszczonej wieży ciśnień na dworcu Łódź Kaliska.



Obraz zniszczeń, rok 1914. Wysadzone wiadukty kolejowe w sąsiedztwie dworca Łódź Kaliska. W tle ledwo majaczy komin fabryki Loe Plichala - późniejszych Zakładów Tekstylnych "Femina". Panowie pozujący do zdjęcia to członkowie Milicji Obywatelskiej.



Kolejarze niemieccy pozują do zdjęcia na przystrojonym girlandami dworcu Łódź Kaliska. Nad głównym budynkiem dworca dumnie łopocze pruska flaga państwowa.Chwila musiała być niezwykła, być może oczekiwano przyjazdu jakiegoś dostojnika, może samego guberanatora Beselera, oto bowiem łamiąc wszelkie przepisy bezpieczeństwa, kolejarze weszli na tory kolejowe. U nas to nic takiego ale w Prusach?! Nie do pomyślenia!!! Pociąg ma nadjechać od strony Kalisza, a to oznacza, że wiadukt widoczny na sąsiedniej stronie jest już naprawiony.



Ciekawostka. Żołnierze armii austro-węgierskiej fotografują się na tle pruskiego parowozu pracującego na „Linien Kdtr Lodz". Najwyraźniej ktoś tu jest „w gościach". Lokomotywa należy do bardzo popularnej serii G 7. W latach 1895–1912 wyprodukowano w Prusach aż 1650 maszyn. Ten typ lokomotywy zwany był „Ochsenlok", czyli „krowi parowóz". Był bowiem przeznaczony do obsługi szybkich pociągów towarowych kursujących do Berlina, głównie z bydłem.
Ten typ lokomotywy był po odzyskaniu niepodległości wykorzystywany także przez PKP. Jeszcze po zakończeniu II wojny światowej w polskim taborze kolejowym pracowało około 80 egzemplarzy. Wśród wojskowych i kolejarzy w baraniej czapie stoi tajemniczy cywil.

BEKANNTMACHUNG.

Es ist zur Kenntnis der deutschen Militärbehörden gekommen, das russische Agenten versuchen wollen, im deutschen Etappen-und Operations-gebiet liegende Eisenbahn-und Shausseebrücken mit Hilfe von Einwohnern zu sprengen. Jeder, der bei dem Versuch oder der Ausführung eines solchen verbrecherischen Unternehmens getroffen wird, wird mit dem Tode bestraft.

Gemeinden, in deren Nähe ein derartiger Anschlag erfolgt, werden durch schwere Kontributionen bestraft, falls nicht noch schärfere Massregeln gegen die Einwohner ergriffen werden.

Armee-Hauptquartier, 5 Februar 1915.

Der Oberbefehlshaber.

OBWIESZCZENIE.

Doszło do wiadomości niemieckich władz wojskowych, że agenci rosyjscy próbują zburzyć dynamytem mosty dróg żelaznych i szosowych, leżące w obrębie etapowym i operacyjnym niemieckim.

Każden, którego schwytają przy popełnieniu takiej zbrodni, będzie śmiercia karany.

Na gminy, w pobliżu których zbrodnia ta popełniona będzie, nałożona zostanię wielka kontrybucja, jeżeli na mieszkańców nie będą nałożone jeszcze większe kary.

Główna Kwatera Armji,
5 Lutego 1915.

Głównodowodzący.

Bratankowie pod Bełchatowem

W zasobach Archiwum Państwowego w Piotrkowie przechowywana jest księga ludności stałej dla gminy Bełchatów. Podobnych ksiąg archiwa przechowują tysiące. Ta jednak zawiera pamiątkę przypominającą o toczącej się przed stu laty wojnie. Na tą dość osobliwą pamiątkę składa się niezdarny rysunek postaci huzara oraz kilka gryzmołów w języku węgierskim wraz z datacją: *1914 oroszorszagba November 20an,* co można przetłumaczyć: [rok] 1914 Rosja (sic!) 20 listopada. Ten *souvenir* dopełnia kilkanaście cięć szablą przez karty księgi. Ot, taka nie



Cesarz Franciszek Józef w mundurze huzara własnego pułku. Pocztówka z epoki.



Odznaka 1 Pułku Huzarów Cesarza – Husaren-Regiment Kaiser Nr. 1.

ułańska a huzarska fantazja. Czego dotyczą zapiski, o tym za chwilę. Bardziej nas zainteresowało, co robili Madziarzy w Bełchatowie i z jakiej byli jednostki. Zaczęliśmy szukać.

Podczas operacji łódzkiej w walkach na pomocniczym południowo-zachodnim kierunku brała udział także austro-węgierska 2 Armia. W jej ramach najbliżej Łodzi operował korpus kawalerii generała Hauera, którego natarcie w kierunku na Szczerców (a więc tuż, tuż Bełchatowa) ujawniło rozpoznanie rosyjskiej 5 Armii właśnie 20 listopada. Źródła nad wyraz skąpo donoszą nie tylko o działaniach, ale i składzie korpusu. Początkowo składał się on z 2 Dywizji Kawalerii generała Emila Zieglera (jednym z jej dowódców brygad był generał Erich von Diller – późniejszy gubernator lubelski) i 9 Dywizji Kawalerii generała Leopolda Hauera, który objął dowodzenie korpusem. „Dziewiąta" składała się z samych dragonów, za to „Druga" oprócz pułku ułanów dysponowała aż trzema pułkami huzarów. No dobrze, ale który z nich tak ładnie zapisał się w naszej księdze? Okazuje się, że żaden! Na początku listopada przetrzebiona 2 Dywizja Kawalerii została przesunięta do patrolowania linii kolejowej na odcinku Częstochowa – Będzin, a na jej miejsce skierowano 3 Dywizję Kawalerii generała Adolfa Brudermanna składającą się z dwóch pułków ułanów, jednego pułku dragonów i... jednego pułku huzarów. Mogliśmy krzyknąć BINGO!

Pułk to był prześwietny i elitarny – 1 Pułk Huzarów Cesarza (*Husaren-Regiment Kaiser Nr. 1*), a to oznaczało, że jego honorowym szefem był w roku 1914 miłościwie panujący cesarz Franciszek Józef! Gdybyż to tylko Najjaśniejszy Pan wiedział, co jego huzarzy w naszej księdze powypisywali. Mniejsza o karciane adnotacje. Poprosiliśmy zaprzyjaźnionego Węgra o przetłumaczenie, spodziewaliśmy się przy tym, że część tekstów może okazać się niecenzuralna – najwyżej się ją wykropkuje. Nasz przyjaciel zwrócił nam tekst ze słowami: „Tu do publikacji nadają się same kropki".

Jeszcze jedna ciekawostka na koniec. Dowódcą brygady, w skład której wchodził nasz pułk huzarów, był Stanisław Napoleon Ursyn-Pruszyński. Już jako generał Wojska Polskiego przejął on od Niemców Grudziądz, który w międzywojennej Polsce stał się siedzibą Centrum Wyszkolenia Kawalerii. To daje nam pretekst, aby w miejsce tekstu węgierskiego przytoczyć jedną ze sławniejszych żurawiejek[1] kawaleryjskich związanych z 18 Pułkiem Ułanów Pomorskich z Grudziądza:



Archiwalne księgi z fantazyjnymi dopiskami kawalerzystów 1 Pułku Huzarów Cesarza.

Mają dupy jak z mosiądza, to ułani są
[z Grudziądza
Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń,
[goń, goń
A przez morze na Pomorze tylko „osiemnasty"
[może
Lance do boju…

pz

[1] *Żurawiejka – krótki, żartobliwy kuplet układany dla poszczególnych pułków kawalerii.*

Fufajka wojskowa

Podczas walk toczonych w okolicach Łodzi, wobec napotykanych problemów na polu bitewnym, jeden z dowódców rosyjskiego pułku piechoty wystąpił do dowództwa z prośbą o pilną dostawę 1500 *tiełogriejek*. Te tajemnicze obiekty stanowiące przedmiot pożądania pana pułkownika to nie armaty, nie samoloty czy coś równie bojowego, a zwykłe... waciaki.

Zalety ciepłego odzienia wierzchniego, szytego na watolinie docenili po raz pierwszy rosyjscy żołnierze biorący udział w wojnie rosyjsko-tureckiej. „Odkryte" przez nich waciaki, zwane też z języka mongolsko-tatarskiego *fufajkami*, a z rosyjskiego *tiełogriejkami*, okazały się niebagatelnymi zdobyczami wojennymi, chętnie przywożonymi do Imperium Rosyjskiego. Z ich cennych właściwości już w końcu XIX wieku korzystali kaukascy kozacy, którzy rozkazem ministra wojny nr 199 z 1885 roku zobowiązani zostali do wyposażenia się w owczy kożuszek lub waciany kaftan.

Współczesny rosyjski waciak największą popularność uzyskał w Rosji w okresie wojny rosyjsko-japońskiej. Stacjonujący w Mandżurii żołnierze armii carskiej zwrócili uwagę na wygodne i ciepłe kurtki noszone przez ludność autochtoniczną. Najprawdopodobniej ta zapożyczyła je z prostego ubioru chińskiego, ci zaś od koczowniczych ludów stepowych. Z całą pewnością, różne warianty tego typu kurtek spotkać można na przestrzeni stuleci w całej Azji Środkowej. Stanowiące doskonałą ochronę podczas jazdy wierzchem przed przenikliwym, zimnym wiatrem, służące za poręczny pakunek podróżny i zabezpieczenie przed typowym dla klimatu kontynentalnego nagłym spadkiem temperatury waciaki stały się podstawowym elementem umundurowania carskich żołnierzy.

Zazwyczaj zakładana pod uniform lub szynel tradycyjna, a dzisiaj już kultowa *tiełogriejka* znalazła się na najważniejszych frontach I wojny światowej. Waciaki, deklasując – pod względem wygody i ceny – będące dotychczas na żołnierskim wyposażeniu kożuszki, już w drugim roku międzynarodowego konfliktu zbrojnego zawładnęły ciepłym odzieniem armii carskiej. Jedynie w 1915 roku na potrzeby wojska zamówiono blisko 2,3 miliona walonek, 10 milionów *fufajek*, tyle samo ciepłych spodni i wełnianych kalesonów oraz ponad 13 milionów onuc i skarpet. Ogółem w ciągu wszystkich lat działań wojennych na front wysłano blisko 35,4 miliona fufajek.

Wraża niemiecka armia nie miała niczego podobnego. Chcąc się chronić przed chłodem, masowo konfiskowała chłopskie kożuchy, użyteczne jednak tylko podczas pełnienia warty, a nie w boju. W miastach jeszcze przed nadejściem tęgich mrozów niemieckie komendantury żądały dostarczania wojsku ciepłej odzieży, m.in w Piotrkowie nakazano dostawę 1000 półkożuszków i tyluż par rękawic.

Kamila Pawełczyk-Dura



K. u. k. Kreiskommando in Piotrków.

KUNDMACHUNG.

Ad Militär-General-Gouvernement Befehl J. № 14488 sind mit heutigem Tage sämmtliche

PELZE UND FELLE

im ganzen Gouvernement beschlagnahmt.

Jede Ausfuhr strengstens untersagt.

Besitzer von Pelzen und Fellen jeglicher Art haben dieselben sofort schriftlich dem Kommerziellen Referat. Zimmer № 210 zu melden.

Die bis 25 August nicht angemeldetete Vorräte verfallen der Konfiskation.

Piotrków, am 6. August 1916. Der k. u. k. Kreiskommandant SCHNEIDEK, m. p., Oberstlt.

OBWIESZCZENIE.

Stosownie do rozporządzenia C. i k. Wojskowego Jenerał Gubernatorstwa № 14488 wszystkie

KOŻUCHY i SKÓRKI

zostają z dniem dzisiejszym w obrębie całej guberni zajęte.

Wywóz takowych jest surowo wzbroniony.

Posiadacze wszelkich gatunków kożuchów i skórek obowiązani są natychmiast takowe zameldować piśmiennie C. i k. Komendzie Obwodowej w Piotrkowie, pokój № 210.

Niezameldowane do dnia 25. sierpnia b. r. zapasy podlegają konfiskacie.

Piotrków, d. 6. sierpnia 1916 r. C. i k. Komendant obwodu SCHNEIDEK, m. p., Oberstlt.



Foto obok. *„Wrócicie zanim opadną liście" obiecywał cesarz Wilhelm. Armia niemiecka nie była przygotowana do zimy, na potęgę konfiskowano chłopskie kożuchy, przydatne w służbie wartowniczej ale przy wyskakiwaniu z okopów tragicznie ograniczające ruchy.*

Powyżej. *Już na początku sierpnia zaczęto szykować się do zimy. To już nie prośba o łaskawe przekazanie, to nakaz rejestracji i zakaz wywozu. To wyraźny sygnał Za chwilę będziemy konfiskować.*





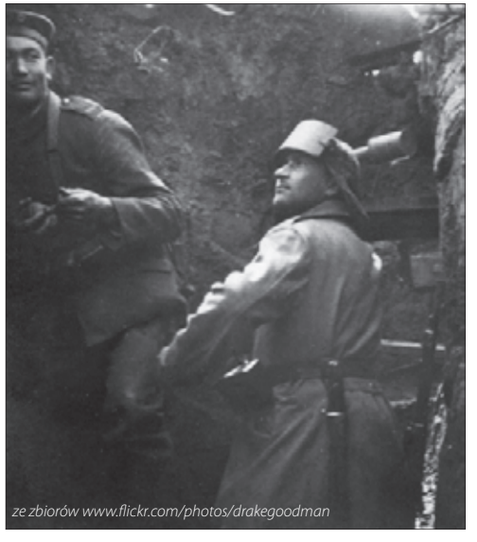
PODRĘCZNA KAMIZELKA STALOWA – Galicja Wschodnia 1915, fotografia po lewej. Dziś moglibyśmy nadać jej kryptonim „k.u.k. Trasformers". Nie znamy danych technicznych tego rozwiązania, ale przy założeniu, że żołnierz miał wzrostu 170 cm, a blacha stalowa miała 3 mm grubości, to mogła ta osobista indywidualna ochrona ważyć około 10 kg. No to popatrzmy, co żołnierz k.u.k. miał do noszenia: Karabin Mannlicher M1895 ważący 3,7 kg, regulaminowy zapas amunicji – 1,9 kg, łopatka saperka z pokrowcem – 2 kg, a także dwie ładownice, bagnet z żabką, tornister dwuczęściowy, chlebak, koc, płachta namiotowa, manierka, menażka lub kociołek, kurtka mundurowa, spodnie, czapka, opinacze, trzewiki i zapasowe buty, płaszcz, bielizna na zmianę, przybory do szycia, proszek do zębów, mydło, szczotka, mazak, wazelina, pakuły i ścierka do czyszczenia broni, rękawiczki, żelazna porcja jedzenia. Jeśli dodamy te wszystkie klamoty, to ten model „kamizelki" miał małe szanse być ulubionym sprzętem noszonym przez żołnierzy. I tak też się stało, zostały tylko fotografie.



ZBROJA I HEŁM Z KLAPKĄ. Na zdjęciu po prawej obsługa niemieckiego moździerza 170 mm. Stojący pocisk artyleryjski jest tylko dekoracją i używano go w innej artylerii, natomiast ten młodzian w zbroi jest uroczy, musicie to przyznać. Wygląda jak przeniesiony z zupełnie innego pola walki, może gdzieś spod Grunwaldu? Taka zbroja została wprowadzona do wyposażenia wojska pruskiego w 1916 roku – dla obserwatorów artyleryjskich, zwiadowców, grenadierów, obsługi karabinów maszynowych, czyli żołnierzy z pierwszych linii okopów. Te pancerze były produkowane seryjnie, metodami przemysłowymi, ważyły około 20 kg i utrudniały poruszanie się szczególnie w okopowym błocie. Płytki zawiasowe osłaniające brzuch wzorowano na zbrojach średniowiecznych lub nawet na wcześniejszych pancerzach legionistów rzymskich. Bardzo często tej rodem ze średniowiecza zbroi towarzyszył hełm z dodatkową



ze zbiorów www.flickr.com/photos/drakegoodman



ze zbiorów www.flickr.com/photos/drakegoodman

pancerną osłoną twarzy – na zdjęciu powyżej. Tego typu ciężkie uzbrojenie ochronne zakładano okazjonalnie w czasie największego zagrożenia, którym byli głównie strzelcy wyborowi strony przeciwnej.

zj

Krzyżacy pod Łodzią

Rozwój gospodarczy Malborka na początku XX wieku stworzył możliwości ulokowania w nim większej formacji wojskowej. Toteż w latach 1905–1906, przy czynnym udziale finansowym magistratu, na południowych krańcach miasta powstał kompleks neogotyckich obiektów koszarowych, rozbudowanych kilka lat później. 1 października 1906 roku uroczyście zajął je przeniesiony z Iławy sztab i 1 Batalion 152 Pułku Piechoty. Należał on do grupy nowych jednostek tworzonych w ramach militaryzacji cesarskich Niemiec. Pułk sformowano 31 marca 1897 roku w Magdeburgu. Tam też, 29 stycznia 1902 roku, otrzymał swoją szczególną nazwę – 152 Pułk Piechoty im. Zakonu Niemieckiego (*Deutsch Ordens-Infanterie-Regiment Nr. 152*), czyli… otrzymał imię zakonu krzyżackiego! Był to pierwszy taki przypadek w armii niemieckiej, kiedy nazwa pułku nie czciła pamięci konkretnej osoby, lecz odwoływała się do większej organizacji. W zamyśle miała odwoływać się do niemieckich tradycji i kultury, które na tereny Prus sprowadzili Krzyżacy. W Magdeburgu narodziło się także motto przewodnie pułku ułożone przez jego pierwszego dowódcę Maxa von Gersteina-Hohensteina: „Wiemy, kim jesteśmy; pozostaniemy, kim byliśmy" („Wir wissen, was wir sind; wir bleiben was wir waren"). 26 sierpnia 1910 roku cesarz Niemiec Wilhelm II osobiście wręczył jednostce nowy sztandar. W kwietniu następnego roku z Ostródy przybył do Malborka 2 batalion, zaś w październiku 1913 roku pułk powiększono o 13 kompanię karabinów maszynowych i 3 batalion, który ulokowano w Sztumie. Wymogi szybkiej mobilizacji sprawiły, że w przypadku jej ogłoszenia pod broń w armii pruskiej powoływano rekrutów z najbliższych obszarów. Połowę jednostki stanowili więc rekruci z Prus Zachodnich, w tym niestety także Polacy i Kaszubi, reszta żołnierzy pochodziła z okolic Hamburga i Zagłębia Ruhry.

Pułk był dumą mieszkańców miasta, uświetniał m.in. wizyty cesarza Wilhelma II na zamku i w jego prywatnej posiadłości w Kadynach, gdzie zawsze wystawiano wartę honorową złożoną z pięciu oficerów, ośmiu podoficerów i 88 żołnierzy. Jego żołnierze często uświetniali uroczystości publiczne, występując w strojach i rynsztunku nawiązującym do czasów średniowiecznej świetności zakonu.

Z malborskich koszar bezpośrednio na front w Prusach Wschodnich pułk wyszedł 8 sierpnia 1914 roku. W ramach 41 Dywizji Piechoty brał udział w bitwie pod Tannenbergiem i nad Wielkimi Jeziorami Mazurskimi). W kontekście tej pierwszej Victorii nazwa Pułku była przez niemiecką propagandę skwapliwie i z odpowiednim „zadęciem" wykorzystana:



1 sierpnia 1914 roku – Wojna! Ogłoszenia o mobilizacji wiszące na bramie zamku.

„Młody pułk – nadal bez bitewnych odznaczeń – 152 Pułk Zakonu Niemieckiego wyszedł, by bronić rodzinnej ziemi. Jak 500 lat temu zakon krzyżacki stanął, jak jego przodkowie, żywą zaporą przeciwko słowiańskiej inwazji, skierowany wolą Naczelnego Dowódcy, wierzącego, że dumne imię, za którym stoi wielka historia, obroni niemiecki *Heimat* jeszcze raz przed przeważającymi siłami słowiańskimi".

Jesienią przyszła pora na walki na terenie Królestwa Polskiego. We wrześniu i październiku 1914 roku brał udział w walkach prowadzonych w ramach operacji warszawsko-dęblińskiej, a następnie operacji łódzkiej. Pułk w ramach XX Korpusu generała artylerii Friedricha von Scholtza w listopadzie ruszył spod Włocławka i bił się 12–13 pod Lubrańcem, 15. dochodząc do Kutna, 16. osiągnął linię Bzury pod Kterami, 17–18 prowadził walki w okolicach Strykowa, Skoszewa i Natolina, 19–22 doszedł do Teolina, Nowosolnej i bliskiego sercu redakcji Eufeminowa, 23–24 włączył się w walki pod Brzezinami, kończąc walkę ponownie pod Strykowem.

W roku następnym pułk walczył na linii rzek Bzury i Rawki oraz pod Bolimowem. Od lata 1915 do jesieni 1916 bił się w Kurlandii (walki nad Dźwiną), na przełomie lat 1916 i 1917 – w Rumuni (zajęcie Bukaresztu), latem 1917 – w Szampanii, w końcu 1917 i przez cały rok 1918 – we Flandrii, wschodniej Francji i Lotaryngii. Spod Tannenbergu sprowadził do miasta trofea – zdobyczne armaty rosyjskie. Ostatnie walki jednostka stoczyła 5 listopada 1918 roku. Ogłoszone cztery dni później zawieszenie broni zastało ją w Luksemburgu. Z początkiem stycznia 1919 roku 152 Pułk Piechoty z dowódcą, pułkownikiem Klemensem Pfafferottem (1869–1945), odznaczonym najwyższym niemieckim medalem wojskowym *Pour la Mérite*, wrócił do swoich starych koszar, gdzie został rozformowany. Większość żołnierzy zgłosiła się do ochotniczych oddziałów straży granicznej (*41. Grenzschutzdivision*), mających zabezpieczać niemieckie pogranicze z Polską.

W czasie I wojny światowej poległo 2550 żołnierzy malborskiego pułku (81 oficerów, 211 podoficerów i 2258 szeregowych) – tylu, ilu liczył na początku działań wojennych. Ich ofiarę uczczono w 1925 roku, odsłaniając pomnik na placu przed koszarami. Wśród poległych żołnierzy z tego pułku znajdziemy wiele swojsko brzmiących nazwisk: Musketier Czechanowski Franz (Franciszek) – poległ 27.08.1914 w Prusach Wschodnich, Gefreiter Diwicki Stanisław – zmarł od ran 23.11.1918 w Bremie, Ersazt-Reservist Grzegorski Karl (Karol) – zmarł 26.12.1914 w lazarecie w Pabianicach, Musketier Majewski Franz (Franciszek) – poległ 26.10.1914 w Grabowie pod Warką, [brak stopnia] Stanowski Karl (Karol) – zmarł 2.01.1915 od ran w lazarecie w Monachium, Gefreiter Zuchowski Adolf poległ 28.08.1914 w Prusach Wschodnich.

Ryszard Rząd



Dopasowywanie mundurów na skwerku przed Karwanem – dawną wozownią i zbrojownią krzyżacką na terenie przedzamcza malborskiego.



„Uwaga – lotnik!" Wypatrywanie rosyjskich samolotów z posterunku wojskowego na wieży mostu kolejowego przez Nogat.



Rodzinne zdjęcie żołnierzy 152 Pułku Piechoty.



Przeciągający przez Malbork huzarzy.



Żołnierze Landsturmu zwiedzają zamek w Malborku.

K. u. k. Kreiskommando in Piotrków.

№ 19.325/15.

KUNDMACHUNG.

Die Bevölkeruug des Kreises Piotrków wird aufgefordert folgende etwa noch vorhandenen Gegenstände innerhalb 3 Wochen vom heutigen Tage gegen Vergütung an das hiezu bestimmte Magazin im Kreiskommando Th. № 212. in Piotrków abzugeben.

Reifen von Automobilen, Fahrrädern und Wagen (besonders Luftschläuche);

Schläuche aller Art, Dampf-Saug- und Druckschläuche, Spritzenschläuche;

Gartenschläuche u. s. w.;

Bälle, Kinderspiel- und Tennisbälle, alte Gummiüberschuhe und Gummimäntel, Flaschenringe, Radiergummi und technische Gummiwaren, chirurgische Artikel, Gummischwämme, Wasserbecken, Gummihandschuhe u. s. w.;

Hartgummi wie Kämme, Gramopfonplaten, technische Artikel, Röhren und Platten u. s. w.;

Guttaperchawaren und Abfälle, Kabeldraht, kurz, alte, auch scheinbar unbrauchbar gewordene Gegenstände aus Gummi.

Für Gummiabfälle wird 1 K. — h.
Für alte Galloschen 0 K. 80 h. } per kg. bezahlt.

Weiters wird die Bevölkerung aufgefordert alle Schafwollvorräthe bis zum selben Termin ins Magazin (Kreiskommando Tür № 212) abzugeben.

Für Schafwollvorräthe wird 3 K. — per 1 Kg. gezahlt.

Obige Gegenstände sind am Montag, Dienstag und Samstag von 9—12 Vorm. und von 2—4 Nachm. abzuliefern.

Piotrków, am 25. November 1915.

Der k. u. k. Kreiskommandant
SCHNEIDER m. p. Oberstlt.

№ 19.325/15.

OBWIESZCZENIE.

Wzywa się ludność obwodu piotrkowskiego, aby znajdujące się jeszcze w jej posiadaniu niżej wymienione przedmioty dostawiła w przeciągu 3 tygodni licząc od dnia dzisiejszego za wynagrodzeniem do przeznaczonego na ten cel magazynu przy c. i k. Komendzie obwodowej w Piotrkowie drzwi № 212.

Obręcze od automobilów, rowerów i wozów (szczególnie węże powietrzne)

Węże czyli t. z. szlauchy różnego gatunku, parowe ssące, tłoczące szlauchy,

Kiszki do sikawek, szlauchy ogrodowe i t. p.

Balony dziecinne i tenisowe, stare kalosze i płaszcze gumowe, obrączki gumowe do flaszek, gumy do wycierania i techniczne towary gumowe, artykuły chirurgiczne, gąbki gumowe, miednice gumowe, rękawiczki gumowe i t. p.

Twarde gumy jak grzebienie, płyty gramofonowe, artykuły techniczne rury i płyty i t. p.

Towary gutaperkowe i odpadki, kable jednym słowem wszystkie przedmioty gumowe nawet pozornie nienadające się już do użytku.

Za 1 klg. odpadków gumowych zapłaci się . 1 K. — h.
Za 1 klg. starych kaloszy zapłaci się . . 0 K. 80 h.

Dalej wzywa się ludność, aby do powyższego terminu dostawiła do magazynu przy c. i k. Komendzie obwodowej w Piotrkowie drzwi № 212. wszelkie zapasy wełny owczej.

Za 1 klg. wełny zapłaci się . . . . . 3 K. — h.

Powyższe przedmioty należy odstawiać każdego poniedziałku, wtorku i soboty od godz. 9—12 przed południem i od 2—4 po południu.

Piotrków, dnia 25 listopada 1915.

C. i k. Komendant obwodu
SCHNEIDER m. p. Oberstlt.

01921 Drukania A. PAŃSKIEGO w Piotrkowie, Bykowska 56.

„GDZIE JEST GUBERANTOR?!”

„Gazeta Toruńska” w wydaniu z 20 listopada 1914 roku w tonie sensacji donosiła: „Pomiędzy jeńcami wziętymi do niewoli pod Kutnem znajduje się gubernator warszawski, baron Korff, wraz ze swym sztabem.[…] Gubernator Korff wraz z adiutantem – kapitanem Fechnerem – wyjechał swym prywatnym samochodem w kierunku na Kutno, nie wiedząc rzekomo o tem, że miasteczko to po walce ulicznej zajęło wojsko niemieckie. Pod Tarnowem natknął [się] on na awangardę kawaleryi niemieckiej i usiłował ujść, lecz dognany przez oddział dragonów z Metzu, wzięty został do niewoli, co przyjął bez oporu i z rezygnacją”.

Do opisywanego zdarzenia doszło rankiem 16 listopada 1914 roku, 1,5 wiorsty na wschód od Kutna, gdzieś w okolicach Kaszew Dwornych albo Kaszew Tarnowskich, a wymienieni „dragoni z Metzu” należeli do 9 Pułku Dragonów im. Króla Rumunii Karola I [*Dragoner-Regiment König Karl I von Rumänien (1. Hannoversches) Nr. 9*] operującego w ramach 33 Brygady Kawalerii z 6 Dywizji Kawalerii.

Wydawane we Lwowie „Słowo Polskie” tak to relacjonowało w swym wydaniu z 5 grudnia 1914 roku: „Szofer, zauważywszy niebezpieczeństwo, zawrócił na miejscu, zdołał rozwinąć wielką szybkość, lecz za nim popędził pluton 9 pułku dragonów Metzu i automobil zatrzymano”.

Tak naprawdę, czy to na skutek nerwowej reakcji kierowcy, czy po prostu poślizgu, samochód z gubernatorem wpadł do rowu podczas zawracania.

Pojmanym był baron Siemion Mikołajewicz von Korff, od roku 1907 gubernator warszawski, wywodzący się z obdarzonego licznymi tytułami szlacheckimi, zasłużonego dla tronu rosyjskiego rodu Niemców bałtyckich. Gubernator – ubrany w mundur masztalerza dworu (koniuszego – ten tytuł otrzymał jeszcze jako gubernator łomżyński), a więc w szamerowany tużurek i czapkę z daszkiem w kolorach państwowych – wzięty został przez dragonów za generała.

Gubernator „generał” czym prędzej został odstawiony wraz z adiutantem i samochodem, którym podróżował do Gniezna. Tutaj kierowcę – Polaka – Niemcy zwolnili, natomiast jeńcy umieszczeni zostali w… „luksusowym” hotelu pod wojskową strażą. Podobne szczególne traktowanie spotkało Korffa także w Berlinie, do którego został przewieziony w dalszej kolejności. Długo się potem tłumaczył, że nieprawdą jest jakoby miał w Berlinie przyznany najlepszy apartament w pierwszorzędnym Grand Hotelu, a jedynie zwykły pokój w hotelu Continental.

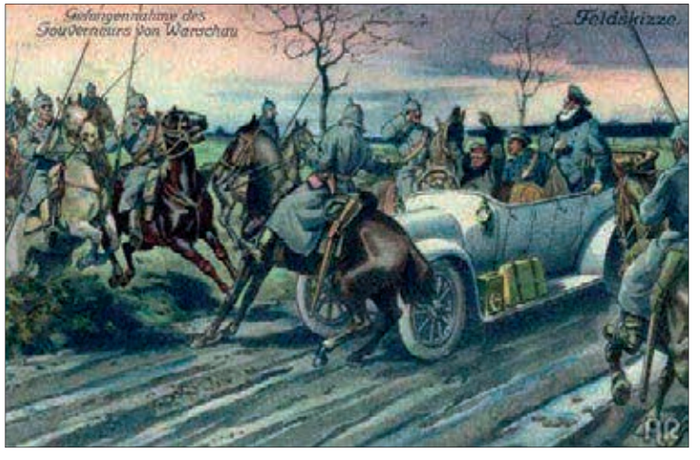
Nagłe zniknięcie gubernatora warszawskiego spowodowało niemały popłoch w Warszawie. Wicegubernator Gresser przez następne 3 dni słał w teren telegramy pod tytułem: Gdzie jest gubernator? Jednak dopiero 22 listopada 1914 roku, a więc 2 dni po doniesieniach prasy niemieckiej, odważył się wysłać do Piotrogrodu informację o wzięciu Korffa do niewoli.

Jaki był powód niebezpiecznej eskapady gubernatora w pobliże linii frontu? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Rosyjska gazeta „Nowoje Wriemja” z 21 listopada (4 grudnia) 1914 roku donosiła, że gubernator podczas pobytu w Łowiczu miał otrzymać informację o wypadkach epidemii w Kutnie, wyjechał więc do tego miasta w celu wprowadzenia środków zaradczych. Wyjazd miał być tak pośpieszny, że Korff nie zabrał ze sobą żadnych dokumentów, pieniędzy, a nawet – jak podkreślano – rewolweru. Po drodze spotkał ewakuowanych z Kutna urzędników, którzy mieli mu oznajmić, że za nimi podąża naczelnik miasta. Gdy jechał mu naprzeciw, został zagarnięty przez podjazd niemiecki.

Nieoficjalnie jednak krążyły plotki, że miał ze sobą zabrać pokaźną sumę pieniędzy, a wyjazd do Kutna był spowodowany bynajmniej nie chęcią zapobieżenia epidemii, lecz wolą przejścia na stronę nieprzyjaciela. Skąd taki pomysł? W bitwach pod Tannenbergiem i nad jeziorami mazurskimi porażki poniosły wojska dowodzone przez generałów wywodzących się z Niemców bałtyckich. Stało się to praprzyczyną pogłosek i podejrzeń, że generałowie specjalnie doprowadzili to kolejnych klęsk, sprzyjając po cichu swym rodakom z Rzeszy. W późniejszym czasie podobne pomówienia nie ominęły innych obywateli Cesarstwa Rosyjskiego narodowości niemieckiej, a nawet rodziny panującej. Żona Mikołaja II caryca Aleksandra Fiodorowna urodzona jako Alicja Wiktoria Helena Ludwika Beatrycze Hessen-Darmstadt – księżniczka heska – oskarżana była o sprzyjanie Niemcom, prowadzenie tajnych rozmów pokojowych, a nawet szpiegostwo.

Nieszczęsny gubernator Siemon Mikołajewicz Korff wrócił po roku do Petersburga przez Finlandię, wymizerowany i schorowany. Na miejscu musiał dawać odpór niecnym pomówieniom o zdradę i kradzież pieniędzy, skarżył się także m.in. na to, że do obozu jenieckiego musiał ON BARON podróżować w jednym pociągu ze zwykłymi żołnierzami rosyjskimi.

pz

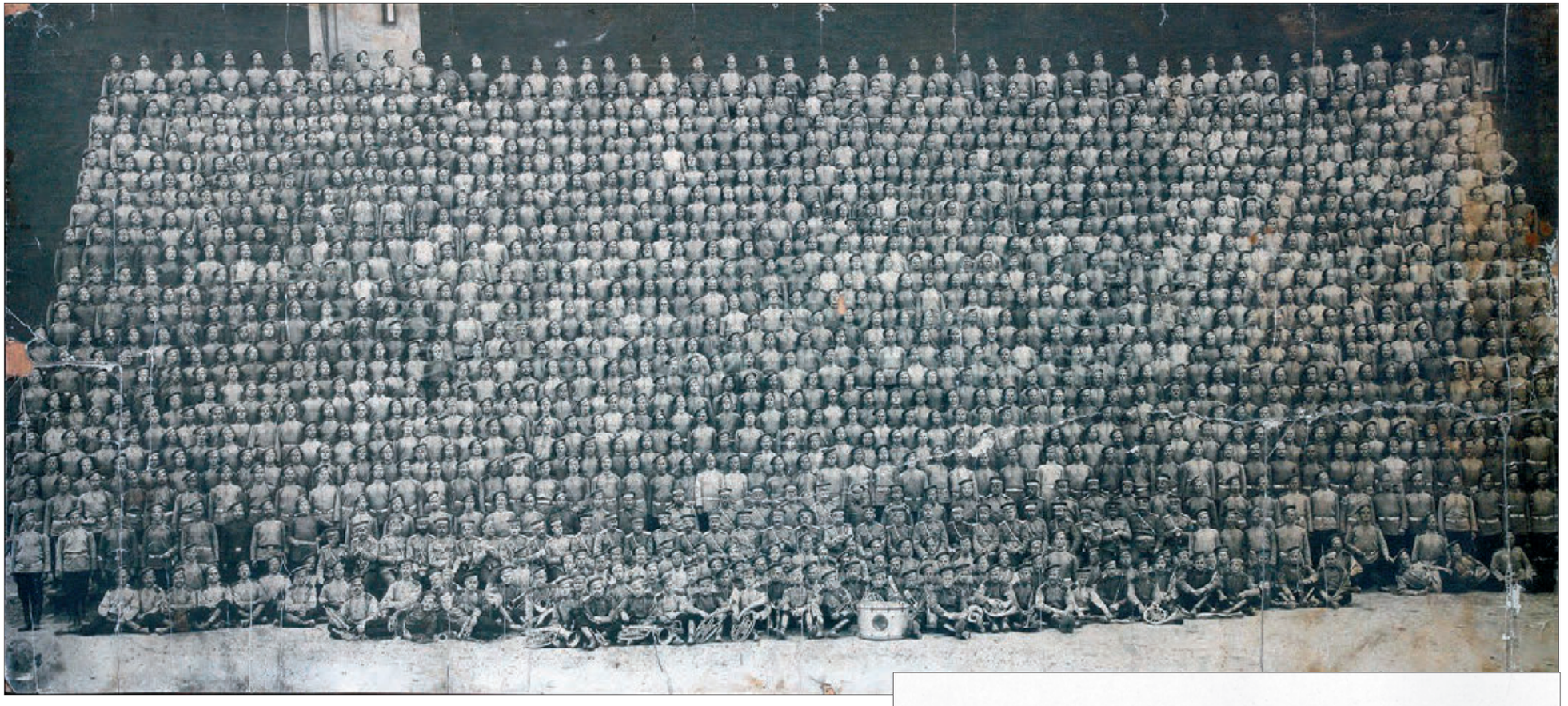


Pojmanie gubernatora Siemiona Mikołajewicza von Korff



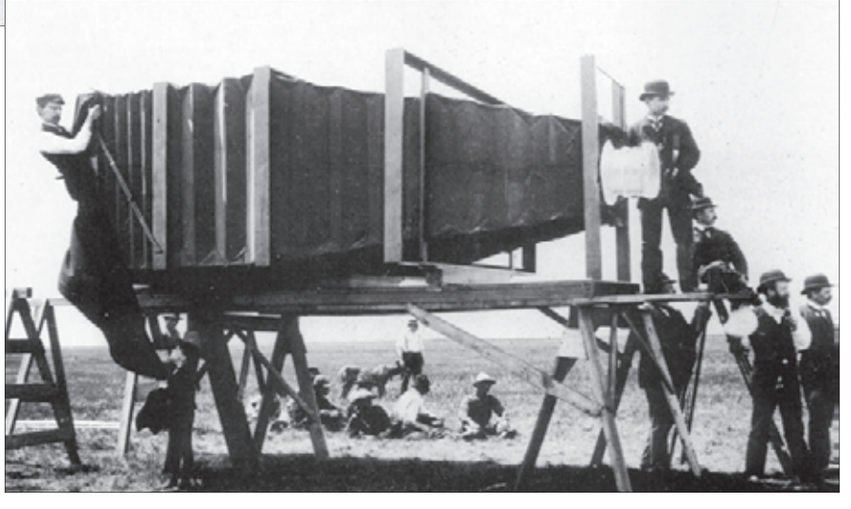
Bawarskie Lwy (Bayerische Löwen) jadą na wojnę, do której Niemcy przystąpili już zjednoczeni. Nie dziwi więc dobrze widoczny na wagonie emblemat Królewsko Pruskich i Wielkoksiążęcych Heskich Kolei Państwowych (Königlich Preußische und Großherzoglich Hessische Staatseisenbahnen. K.P. u. G.H. StE). Napisy zapowiadają rychłe zdobycie Paryża i Londynu. Znalazło się także miejsce na karykaturę premiera Francji Raymunda Poincarégo, którego nazwisko także przekręcono. Żołnierze noszą na pagonach numer 16, a to wskazuje na Królewski Bawarski 16. Pułk Piechoty Wielkiego Księcia Toskanii Ferdynanda (16. Königlich Bayerisches Infanterie-Regiment „Großherzog Ferdinand von Toskana") lub Królewski Bawarski 16. Rezerwowy Pułk Piechoty (Königlich Bayerisches 16. Reserve-Infanterie-Regiment), a to by oznaczało, że w tym pociągu siedział gdzieś niepozorny kapral rodem z Austrii.

pz



Fotografia powyżej. *Zdjęcie przedstawiające cały Lejb-Gwardyjski Keksholmski Pułk im. Cesarza Austriackiego (łącznie z orkiestrą pułkową). Na zdjęciu ponad 1000 osób ustawionych w 25 rzędach po 50 osób. Pułk stacjonował w Warszawie na Mokotowie. Mimo obcobrzmiącej nazwy pułk w dużej części składał się z Polaków. Z chwilą ogłoszenia mobilizacji w sierpniu 1914 roku swój skład uzupełniał o rezerwistów z Warszawy (673), Skierniewic (140), Piotrkowa (430), Łodzi (114) i Kielc (352). Wspominamy o nim gdyż w jego koszarach swoją siedzibę ma aktualnie... Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, niejednokrotnie wspierająca finansowo wydawanie Bitewnika Łódzkiego 1914.*

Fotografia po prawej. *Zdjęcie rosyjskiego pułku wykonano gigantycznym aparatem fotograficznym skonstruowanym przez J.R. Lawrence'a dla amerykańskiej firmy kolejowej Chicago & Alton Railway. Oryginalny rozmiar fotografii to 110 x 60 cm. Aparat i obiektyw miały 2,4 m długości i 1,4 m szerokości. Waga jednej szklanej kasety wynosiła 226 kg, a samej kamery 507 kg.*



Polscy Huzarzy Śmierci na służbie niemieckiej

„Huzarzy Śmierci" taką nazwę nosił jeden z niemieckich pułków. Złowróżbnej nazwie odpowiada straszne godło pułku umieszczone na sztandarze i na naramiennikach: dwa miecze skrzyżowane nad czarną czaszką. Temu przygnębiającemu symbolowi odpowiada historia pułku, w skondensowanej tragedii przypominająca fantastyczne idee Edgara Poego.

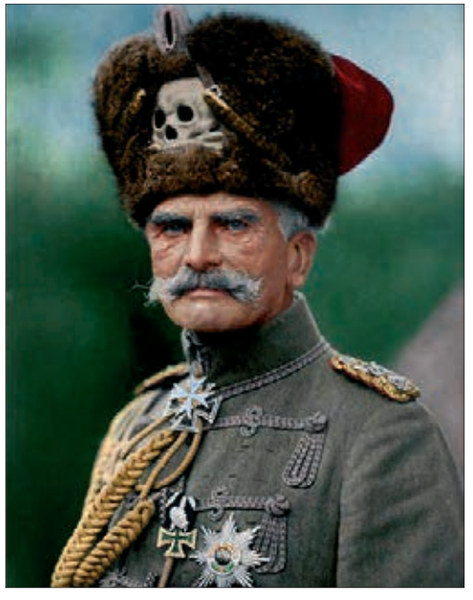
Brutalnemu pruskiemu dowódcy, walczącemu [w przeszłości – przyp. tłumacza] z Polakami, przyszedł do głowy diabelski pomysł – pod sam ogień polskich oddziałów [walczących po stronie rosyjskiej – przyp. tłumacza] wysłał pułk sformowany wyłącznie z Polaków. Dzielni huzarzy, nie zważając na żelazną pruską dyscyplinę, nie podnieśli ręki na swoich braci.

Pozostając w awangardzie armii niemieckiej, pokornie wyszli naprzeciw nieprzyjaciela, ale z ich broni nie padł ni jeden wystrzał, nie obnażyli swoich mieczy. Mrocznie z godnością, jeden po drugim, padali pod ostrzałem wroga, pozostawiając na polu bitwy góry trupów. Żałosne resztki pułku zostały uzupełnione, pułk nadal pozostał w armii niemieckiej, dalej nosi swoją ponurą nazwę i straszny emblemat".

Powyżej przytoczyliśmy krótki tekst zamieszczony w 40. numerze rosyjskiego magazynu „Niwa" z października 1914 roku. Tragiczny w swym wyrazie, mało miał wspólnego z rzeczywistością i bardziej pełnił rolę propagandową, mając na celu, jak wiele innych tekstów, podtrzymanie lojalności Polaków wobec berła Romanowych.

Na początku Wielkiej Wojny ani w armii pruskiej, ani w rosyjskiej nie było polskich formacji narodowych. Wiemy, że bardzo często dochodziło do wzajemnych kontaktów Polaków służących po przeciwnych stronach frontu. W trakcie rzadkich przerw w walce nawoływali się, oferując wymianę deficytowych towarów, np. rosyjskiej machorki na niemieckie konserwy, namawiali do poddania się i przejścia na drugą stronę lub razem śpiewali polskie pieśni religijne i kolędy. Nie było jednak tak absurdalnych sytuacji jak ta opisana w „Niwie".

Cytowany tekst dotyczy najprawdopodobniej 1 Przybocznego Pułku Huzarów (*1. Leib-Husaren-Regiment*) lub 2 Przybocznego Pułku Huzarów im. Królowej Prus Wiktorii (*2. Leib-Husaren-Regiment „Königin Viktoria von Preußen"*) stacjonujących w Gdańsku Wrzeszczu. Kawalerzyści tych pułków zwani byli Huzarami Śmierci – niem. *Totenkopfhusaren*, co dosłownie znaczy Huzarzy Trupiej Główki. Do tych pułków oprócz Niemców wcielano także Polaków i Kaszubów, stąd zapewne informacja w „Niwie" o „polskim pułku". Do opisywanego starcia doszło najprawdopodobniej na terenie Prus Wschodnich w sierpniu 1914 roku. Popularna nazwa pułków pochodziła od gigantycznych rozmiarów emblematu wykonanego z alpaki przedstawiającego ludzką czaszkę umieszczonego na futrzanej czapie (*Pelzmütze*). Drugą charakterystyczną cechą munduru Huzarów Śmierci był jego czarny kolor, rzadko spotykany wówczas na polu bitwy. Prusy zdążyły jeszcze przed Wielką Wojną (w roku 1910) wprowadzić w całej armii mundury w kolorze *Feldgrau*, widocznie jednak pozycja przybocznych huzarów była na tyle silna, że nie pozwolili sobie „wcisnąć" mundurów w pospolitym kolorze i do walk przystąpili w starych, czarnych mundurach. Połączenie bogatego srebrnego szamerunku i ozdób z czernią mundurowego sukna czyniło mundur szykownym i miłym dla oka, przywdziewali go więc cesarz Wilhelm II, Kronprinz Fryderyk Wilhelm, książę Fryderyk Zygmunt, księżniczka Wiktoria Luiza, generał Mackensen i.... pewien 17-letni pomocnik golarski O. Klein zdybany w roku 1902 na paradowaniu po ulicach Gdańska w mundurze oficera 1 Przybocznego Pułku Huzarów. Jak donosiła tamtejsza polskojęzyczna prasa: „młodziana ta pokusa pokazania się w mundurze oficerskim może przynieść cierpką pokutę".



August von Mackensen w mundurze 1 Przybocznego Pułku Huzarów zwanego Husarami Śmierci (Totenkopfhusaren).

Co do charakterystycznych znaków munduru Huzarów Śmierci, autor tekstu podał błędną informację – w godle nie było skrzyżowanych mieczy, ale piszczele. Jest to o tyle dziwne, że jednostka nosząca podobne znaki istniała także w Rosji – był to 5 Aleksandryjski Pułk Huzarów Jej Imperatorskiej Wysokości Aleksandry Fiodorownej. Symbolikę przejęła w okresie wojen napoleońskich od… pruskich towarzyszy broni, z tą różnicą, że siebie Rosjanie nazwali Huzarami Nieśmiertelnymi – ros. *Бессмертные Гусары*. Warto jeszcze wspomnieć, że w tej jednostce służył m.in. Michaił Bułhakow autor *Mistrza i Małgorzaty*.



Odznaka polskich Huzarów Śmierci.

W Wojsku Polskim także istniał oddział Huzarów Śmierci. Był to ochotniczy dywizjon sformowany podczas wojny polsko-bolszewickiej przez porucznika Józefa Siłę-Nowickiego. I tutaj nie obędzie się bez łódzkiego akcentu. W sierpniu 1920 roku dywizjon został silnie wzmocniony przez szwadron łódzkiej policji konnej w sile 88 ludzi, o którym zachowało się takie wspomnienie: „Nastrój konny policjantów był rzeczywiście doskonały, ci bardzo odważnie patrolowali, opowiadając z zapałem i humorem o zetknięciu się z patrolami bolszewickimi. Byli to starzy kawalerzyści, przeważnie z armii rosyjskiej".

pz

JULIAN TUWIM „KRONIKA”

Dwutomowe wydanie juweniliów Juliana Tuwima z roku 1990 zawiera wiersze nigdy niepublikowane. Sam poeta za życia nie pozwalał ich drukować, przetrwały wojnę i powstanie warszawskie zakopane w ziemi. W latach 60. odtworzono nieczytelne papiery z pomocą Komendy Głównej MO. Wśród wierszy był jeden, akurat z przełomowych dni Bitwy Łódzkiej.

Osiemnastego listopada
Poczęła ryczeć kanonada.

Dziewiętnastego listopada
Armatni pocisk w Łodzi pada.

A dwudziestego listopada
Zaczęli ludzie krzyczeć: „Biada!”

Gdy przyszedł dzień dwudziesty pierwszy,
Krzątałem się około wierszy.

Orzekli wszyscy domownicy,
Że trzeba schodzić do piwnicy.

Orzekło całe społeczeństwo,
Że grozi mu niebezpieczeństwo.

A przeto trzeba się ratować,
Trzeba się do piwnicy schować.

„Aliści”, rzekłem, „strzały rzedną,
Nie pójdę, bo mi wszystko jedno”.

Mówiłem z zimną krwią angielską,
Że wierzę w armię przyjacielską.

Rzekł tedy młody pan z profilem
„Panie, pan jesteś… rusofilem!

Panie: orzekli lokatorzy,
Że pan się też w piwnicy złoży,

Albowiem (jako Bóg jest w niebie!)
Nie mogą tego brać na siebie,

Iżby pan chodził po ulicy,
Gdy wszyscy schodzą do piwnicy!”

Panie – odrzekłem jego stylem,
„Primo, nie jestem rusofilem.

Secundo, ani ton mentorski,
Ani trybunał lokatorski

Nie imponują mi. Po trzecie,
Azali jestem pańskie dziecię?

Azali pan mnie słodko spłodził,
Bym z panem do piwnicy schodził?

Azali lat mam dwanaścioro,
Iżbym był sługą lokatorom?

Zresztą – mam horyzonty szersze,
Muszę genialne pisać wiersze.

Jako zaś jest w piwnicy ciemno,
To tam by było „nieprzyjemno”.

Won!!! Godność znam obywatelską!”
– odrzekłem zimną krwią angielską.

Tedy się mocno speszył profil:
„Mówiłem przecie, że rusofil!”

Ledwo skończyła się kolacja,
Przychodzi do mnie delegacja.

Pan Pomidorczyk, pan Fajtłowicz,
Grojshozen, Kon i Dawidowicz,

Stróż, rządca, czterech milicjantów
I podejrzanych dwóch brygantów.

Na przedzie – dumny domu włodarz:
Henoch Pimpomper – sam gospodarz.

„Panie”, rzekł jeden (Kon Maurycy):
„Pan zejdzie z nami do piwnicy?

Wszyscy już z mieszkań dawno wyszli!
Mój panie, co pan sobie myszli?”

„Niech granat mi poszarpie cielsko
(Odrzekłem z zimną krwią angielską),

Niech runie front u kamienicy,
To ja – nie pójdę do piwnicy!” –

Zbladł Pomidorczyk, zbladł Fajtłowicz,
Zbladł Kon, Grojshozen, Dawidowicz…

Stróż, rządca – drżeli aż ze strachu
(Kule pękały już na dachu).

Zbledli i czterej milicjanci,
Zbledli z wzruszenia i bryganci.

I tylko jeden stał jak skała,
Jako figura skamieniała.

Jeden gospodarz stał wyniośle
(A stój do jutra, stary ośle!).

I rzekł nareszcie: „Rad czy nierad,
Pan musi też iść, pan literat…”

Pimpomper prawił z wielką pompą
Mowę przekwitną i nieskąpą.

„Zresztą” – zakończył pan Maurycy
Też chcę, by pan wlazł do piwnicy.

To tak przyjęto w Europie,
Już ja ten cel na pewno „dopię”.

(„Dopię” – jak to się okazało
Od „dopiąć” futur znaczyć miało).

„Psiakrew!!! – ryknąłem – już mam dosyć,
Czyli mam panów stąd wyprosić?

Precz, łotrzy i kamienicznicy,
Precz, do cholery – do piwnicy!

Wynosić się i na dół schodzić,
Bo zacznę w was krzesłami godzić!

Precz, Żydy, małpy, ulicznicy,
W tej chwili sypać do piwnicy!!!

Ja proszę panów (– huk z ulicy!)
Idźcie, ach, idźcie do piwnicy!”

Długo prosiłem, lecz nie chcieli…
Do rana u mnie przesiedzieli.

1914

Dopisek: Czytelniku mój! Czyś się nudził kiedy? A jeżeli tak, to czy w takim stopniu jak ja? Tak samo? Doprawdy? Więc i tę „Kronikę” mi… wybaczysz.

mj



Urodził się 13 września 1894 w Łodzi, przy ul. Widzewskiej 44 (obecnie Kilińskiego 46) – poeta i pisarz, autor wodewili, skeczy, librett operetkowych i tekstów piosenek; jeden z najpopularniejszych poetów dwudziestolecia międzywojennego. Wiersz publikowany przez nas powstał, gdy Julian Tuwim skończył 18 lat.

Nr. 14236.

K. u. K. KREISKOMMANDO in PIOTRKÓW.

KUNDMACHUNG.

Für jede GETÖTETE und als GIFTIG erkannte SCHLANGE wird auch heuer eine Prämie von 50 Heller aus der Kassa des k.u.k. Kreiskommandos bezahlt werden.

Die getöteten Giftschlangen sind entweder in der Sanitätsabteilung des k. u. k. Kreiskommandos oder beim nächsten Gendarmeriepostenkommando abzugeben.

Piotrków, den 2. Juni 1916.

Der k. u. k. Kreiskommandant

SCHNEIDER, m. p., Oberstlt.

OBWIESZCZENIE.

Za każdego ZABITEGO WĘŻA o ile się okaże, że należy do gatunku węży JADOWITYCH, będą także i tego roku płacone premie po 50 halerzy z kasy c. i k. Komendy obwodowej.

Zabite węże jadowite należy składać albo w oddziale sanitarnym c. i k. Komendy obwodowej albo w najbliższej komendzie posterunku żandarmeryi.

Piotrków, dn. 2 czerwca 1916 r.

C. i k. Komendant obwodu

SCHNEIDER, m. p., Oberstlt.

02710

ROZPORZĄDZENIE.

Wobec możliwości zawleczenia do Łodzi cholery azjatyckiej Centralny Komitet Milicji Obywatelskiej nakazuje:

1. Podwórza, chodniki i ulice winny być starannie zamiatane i oczyszczane.
2. Rynsztoki co drugi dzień winny być starannie smarowane mlekiem wapiennem.
3. Doły ustępowe powinny być systematycznie opróżniane i odkażane środkami dezynfekcyjnymi.
4. Obory i stajnie winny być utrzymane w czystości i porządku.
5. Pod najsurowszą karą zabrania się potajemnego bicia bydła lub trzody po domach.
6. Zwłoki zmarłych i trupy zwierząt padłych winny być natychmiast usuwane przez odnośnych przedsiębiorców.
7. O każdym podejrzanym o cholerę zasłabnięciu należy natychmiast komunikować Milicji lub Lekarzowi Dzielnicowemu.

Niewypełniającym powyższych rozporządzeń grożą kary. Czuwanie nad wykonaniem powyższych nakazów wkłada się na Milicję Obywatelską i Lekarzy Dzielnicowych.

Centralny Komitet Milicji Obywatelskiej.
Sekcja Sanitarna.

Łódź, d. 10 Grudnia 1914 r.

OGŁOSZENIE.

Z powodu trwających mrozów, na chodnikach przed nieruchomościami miasta wytworzyła się ślizgawica — wobec czego poleca się właścicielom domów posypywać chodniki przed swymi domami piaskiem, popiołem lub miałem z węgla

DWA RAZY DZIENNIE

pomiędzy godzinami 7 — 8 rano
i 4 — 5 po południu,

jak również poleca się wyrąbywanie lodu z rynsztoków.

Za niestosowanie się do powyższego zarządzenia winni właściciele domów będą karani grzywną do 200 koron, lub czternastodniowym aresztem, względnie stróże domów aresztem do 14-tu dni.

Piotrków, dn. 7 lutego 1917 r.

Zarząd Magistratu m. Piotrkowa.

DRUKARNIA POLSKA, Piotrków Kaliska 23.

Rosa, wir fahr'n nach Lodz!

Franzl[1] poznał się z nową damą,
od kiedy poszedł do woja:
przyznam, nieźle zbudowaną,
choć to przyciężka dziewoja!
Nie stąd jest wprawdzie ta młoda,
to raczej coś jakby Skoda,
a w talii nasza nimfa ma
trzydzieści-i-pół centymetra!
Długo nasz Franz namyślał się,
gdzie ją po ślubie zabierze,
a gdy się bój wnet rozpoczął,
to Franz zawołał ochoczo:
Rosa, do Łodzi jedźmy!
Rosa, do Łodzi jedźmy!
Nasz Hötzendorf[2] już jedzie tam,
i zaraz z Wiednia pociąg mam,
Rosa, do Łodzi jedźmy!
W dolinę koło Kraśnika,
gdzie do wszystkiego strzelano,
zaciągnął Franz na pierwszy raz
swą Rosę ukochaną,
ale nie chciała w miejscu stać,
zaczęła buczeć oraz drgać,
aż nagle wokół poszedł huk,
co wkoło wszyściusieńko zmiótł!
I zniknął zaraz dwór i dom,
a Franz ochoczo wołać jął:
Rosa, do Łodzi jedźmy!
Rosa, do Łodzi jedźmy!
Hindenburg także jedzie tam,
za nim Zeppelin leci sam,
Rosa, do Łodzi jedźmy!
A dalej elegancko już,
ze swym kochanym Franzem
dotarli pod Iwanogród[3]
i znów zaczęli tańce:
śpiewała tam przy każdej kuli,
jej głosik wszyscy już poczuli,
nawet satyryk Roda-Roda[4]
pochwalił dziecko firmy Skoda!
A Franz jest zachwycony
gdy leży obok żony,
całuje ją namiętnie,
a przy tym śpiewa chętnie:
Rosa, do Łodzi jedźmy!
Rosa, do Łodzi jedźmy!
Ty najmocniejsza z wszystkich żon
cara aż do Warszawy goń,
Rosa, do Łodzi jedźmy!

Tak właśnie prezentuje się po polsku tekst popularnej piosenki, śpiewanej w kabaretach całej cesarsko-królewskiej monarchii podczas Wielkiej Wojny. Wybuch wojny został przyjęty z entuzjazmem nie tylko przez nacjonalistycznie nastawione społeczeństwa państw centralnych, ale i przez wszelkiej maści artystów. Najlepszym przykładem niech będzie tu Adolf Hitler, uchwycony przypadkiem na słynnym już dziś kadrze przez fotografa uwieczniającego rozentuzjazmowane tłumy zebrane na monachijskim Odeonsplatz. Zostawmy jednak tanich malarzy pocztówek i przejdźmy do nieco poważniejszych kwestii.

Tak jak gospodarkę trzeba było przestawić na tory wojenne, podnosząc poziomy produkcji amunicji i broni, tudzież ciężkiego sprzętu, tak i w pisaniu piosenek należało definitywnie zwiększyć dzienną dawkę patriotyzmu. Ten zaś, jak widać choćby i po naszych pieśniach legionowych, ma bardzo różne oblicza. Z piosenką na ustach łatwiej jest maszerować, można na chwilę zapomnieć o wodzie chlupiącej w kamaszach, oswoić niebezpieczeństwo i strach na linii frontu, a w końcu – zwyciężyć lub dać się zabić, nie myśląc o zbędnych problemach! Można też czasem było dobrze się zabawić i oprócz słusznej porcji alkoholu zaaplikować sobie jeszcze słuszniejszą – przynajmniej z punktu widzenia władz i dowództwa – dawkę patriotyzmu.

Wesoła piosenka przydawała się zwłaszcza na zapleczu, pozwalając ludowi odetchnąć od wojennych trudów, by potem z tym większą energią powrócić mógł znów do walki lub na swą zmianę w fabryce.

Produkcja piosenek i broni to były zresztą dwie strony tego samego medalu. Najlepiej



Szczupła Emma zwana Rosą w układzie marszowym. Dzięki swej mobilności biła na głowę produkty Kruppa, dla których konieczne było wylewanie specjalnych fundamentów.

1 Zdrobnienie od imienia Franz.

2 Feldmarszałek baron Franz Xaver Josef Conrad von Hötzendorf, do 1917 roku szef sztabu generalnego Austro-Węgier.

3 Obecnie Dęblin.

4 Alexander Roda Roda (wł. Šandor Friedrich Rosenfeld), dziennikarz i korespondent wojenny, znany satyryk, autor wielu komedii.

pokazuje to przykład naszej damy. Główna bohaterka piosenki Fritza Löhner-Bedy to w końcu nic innego jak duma Austro-Węgier, ciężki oblężniczy moździerz firmy Skoda! Łącznie zakłady w Pilźnie wyprodukowały 72 sztuki tej broni, będącej cesarsko-królewską odpowiedzią na sojuszniczą „Grubą Bertę". Moździerze M 11/16 i M 16 o kalibrze 305 mm posiadały zasięg 12,3 km i mogły oddawać jeden strzał pociskami o wadze do 385 kg co 3–4 minuty. Przez analogię do swej niemieckiej cięższej siostry, broń tę nazywano nieraz „Szczupłą Emmą" lub, co tyczy się wariantów używanych w górach, pieszczotliwie – „Gretel", czyli Małgosia. Ta od Jasia...

Powróćmy jednak do Rosy i naszej o niej piosenki! Stworzył ją austriacki pisarz, autor licznych operetek i szlagierów, Fritz Löhner-Beda. Bynajmniej nie z niczego. Inspiracją była tu stara żydowska przyśpiewka, zaczynająca się od słów: *Icek, chodźmy do Łodzi!...*, a utwór z założenia chwalący wesołe życie w tym mieście stał się pod piórem Bedy gorącym wezwaniem do odwiedzenia włókienniczej metropolii, choć wcale nie w pokojowym celu. Po wojnie, także tej drugiej, w latach siedemdziesiątych Rosa zmieniła się w Theo, piosenka stała się wielkim przebojem w wykonaniu Vicky Leandros. W tej pokojowej wersji zdobyła sobie większą popularność. Słuchając jej, nie zapominajmy o Franzlu i Rosie!

Nie było im jednak dane zabawić się w mieście Łodzi. Rosa była całkiem niedaleko, bo pod Łowiczem i walnie przyczyniła się do zdobycia miasta, bombardując je prawie przez tydzień od 10 do 15 grudnia 1914 roku. Produkowane przez Skodę moździerze kalibru 305 mm znalazły zastosowanie także w walkach na froncie włoskim oraz na Bałkanach. Prusacy, zawsze chętnie drwiący ze zdolności bojowych armii austro-węgierskiej, przyznawali z trudem, że produkt Skody bije na głowę produkty rodzimego Kruppa. Rosa była konstrukcją nowoczesną, a do jej głównych atutów należały łatwość transportowania w warunkach frontowych i możliwość szybkiego ustawienia na stanowisku bojowym. Niemcy jeszcze przed wybuchem wojny zdawali sobie sprawę, że mogą mieć w Belgii twardy orzech do zgryzienia w postaci nadgranicznych fortów wokół Liege i Namur.

Zadbali więc, aby austriackie moździerze oblężnicze trafiły na front zachodni jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych. Zapobiegliwość ta opłaciła się – co prawda Liege broniło się aż 12 dni, ale Namur Niemcy zdobyli już po 3 dniach oblężenia.

opracowanie i tłum. tekstu piosenki
Paweł Babij



Program rewii ze szlagierowym marszowym kuplecikiem „Rosa wir fahr'n nach Lodz". Na stronie po lewej: Zapis nutowy i tekst piosenki w oryginale.



Moździerz Skoda 305 mm na stanowisku bojowym.

Zdobycie Kutna

Niespodziewany atak Niemców spod Włocławka 11 listopada 1914 roku w odsłoniętą prawą flankę Rosjan zapoczątkował Bitwę Łódzką. Już w pierwszej fazie operacji dzięki szybkim działaniom kawalerii udało się atakującym zająć Kutno.

Fragment relacji niemieckiego uczestnika tych wydarzeń

To było około 10 wieczór [15 listopada 1914 roku – przyp. tłum.] przy 12 stopniowym mrozie. W tym czasie nadszedł meldunek, że nasi zaatakowali przed Kutnem rosyjskie stanowisko piechoty i wzięli do niewoli ludzi. Wtedy też dotarło do nas, że bataliony strzeleckie, o których wiedzieliśmy, że były przeznaczone do walk w Kutnie, jeszcze do tej pory nie dotarły, a my znaleźliśmy się sami w obliczu przeciwnika. Batalion piechoty, przydzielony do naszej dywizji kawalerii oraz kompanie rowerowe, przeznaczone do innych zadań, jeszcze nie wróciły do dywizji. Wkrótce inne ważne meldunki dotarły do przybyłych w okolice Kutna wojsk zwiadowczych. Jeden z miejscowych miał powiedzieć jakoby Kutno było zajęte przez piechotę i artylerię wroga, jednakże z upływem wieczora główne siły przeciwnika zostały zepchnięte w kierunku Warszawy i obecnie na miejscu znajdują się jedynie słabe jego siły. Według oficera rosyjskiego, wyciągniętego z łóżka z jednego z domów



Baron von Korff, gubernator Warszawy.

na mieście, i jego szkiców na mapie, na zachód od Kutna stały jeszcze trzy regimenty piechoty. Te regimenty stanowiły poważne zagrożenie dla naszego prawego skrzydła, oczywiście jeśli zeznania tego oficera były prawdziwe. Pokrywały się jednak ze zrobionymi przez niego oznaczeniami na mapie. Konieczne było zatem porządne rozpoznanie sytuacji na zachodzie. W tym właśnie kierunku należało później posłać strzelców [z 13 Pułku Strzelców Konnych – przyp. tłum.] brygady kawalerii [mowa o 45 Brygadzie Kawalerii – przyp. tłum.] do ochrony prawego skrzydła.

Kutno, które w szerszych kręgach stało się znane dopiero po bitwie z 15 na 16 listopada, było dla rosyjskich spraw całkiem przyjaznym miasteczkiem. Swoim w większości masywnie pobudowanym domom i zwartemu założeniu zawdzięcza miano miasta w większym stopniu niż jego potężniejsi konkurenci w rosyjskiej Polsce. Liczy 25 000 mieszkańców i ma trochę zakładów przemysłowych.

W międzyczasie dowódca straży przedniej, mając zamiar zdobyć Kutno, zdecydował przebić się ze swoimi przednimi siłami przez miejsce zajęte przez wroga, aby tak szybko jak to tylko możliwe obstawić wszystkie wyjścia z miasta. W szybkim natarciu udało się naszej kawalerii zająć miasteczko pogrążone jeszcze w głębokim śnie i przy użyciu, na razie jeszcze słabych sił, zablokować je. Pułkownik H., który następował wraz ze strzelcami drugiego szwadronu i dwoma działami, zajął właśnie przestronny plac targowy budzący się do życia. Jedna z głównych straży, wchodząca w skład miejscowej załogi rosyjskiej, rozpoczęła atak z jednej z bocznych ulic w kierunku placu targowego. Zaczęła się strzelanina, której ofiarą jako pierwsi padli stojący przy sztabie brygady kapitan Bodenstedt [z 13 Pułku Huzarów im. Króla Włoch Humberta – przyp. tłum] i trębacz sierżant Schmieter. Tylko dzięki przytomności umysłu kanoniera Dietzmana z oddziału konnego udało się, dzięki odpaleniu gotowego do strzału pierwszego działa, zatrzymać to uderzenie. Jednakże ze wszystkich budynków wypadli Rosjanie i zaczęła się zacięta, regularna walka uliczna. Znajdujące się na rynku armaty były w końcu tak zagrożone, że musiano je wycofać, bo obsługujący je ludzie byli w większości ranni.

Wycofanie dział spowodowało wzrost odwagi u Rosjan. Zaczęli atakować z podwójną siłą. Szczególnie zagrożone działo zostało uratowane w wyniku energicznego działania huzara Birkenhauera. Leżącemu na ziemi pułkownikowi H., który miał mocno skręconą nogę, pomogli jego obaj dzielni ludzie – kapral Grohman i huzar Dierkes – którzy sprowadzili konie. Wywieźli pułkownika, nie bacząc na szalejący zewsząd ogień, i tym samym uratowali od wzięcia w niewolę. Tymczasem walki toczyły się również na trasach wylotowych miasta, w szczególności na tej prowadzącej w kierunku Łowicza, miejsca odwrotu wojsk rosyjskich. Tutaj stał na moście porucznik Schmidt z regimentu strzeleckiego, mając do dyspozycji jedynie siedmiu huzarów. Na nich ruszyła z marszu silna rosyjska kolumna piechoty, która została powitana z bliska intensywnym ogniem z nielicznych karabinów. Po znacznych stratach w ludziach Rosjanie skryli się w domach, następnie otworzyli ogień do kilku naszych strzelców, którzy leżeli dobrze osłonięci, nie dopuszczając do przerwania szyku bojowego. W odpowiedzi Rosjanie usiłowali podejść naszych ludzi z boku. Zaczęli strzelać od strony ogrodu w kierunku wyjścia. Trzej żołnierze, którzy jako pierwsi usiłowali pokonać ogrodzenie, zostali zestrzeleni przez porucznika Schmidta. Reszta uniosła ręce do góry w geście poddania.

Pod miastem sztab dywizji [6 Dywizja Kawalerii – przyp. tłum.] czekał już niecierpliwie na koniec potyczek ulicznych. Coraz bardziej dało się słyszeć wzmagający się ogień karabinowy. Zewsząd dobiegały złe wieści: „straciliśmy armatę", „posterunki przy wyjściach [z miasta – przyp. tłum.] kurczą się", „pułkownik H. poległ". Jednakże nawet w obliczu niekorzystnych wiadomości, choć ciężko przychodziło podejmowanie tych decyzji, kontynuowano zdobywanie miasta i osiągnięto zwycięstwo poprzez wprowadzenie nowych sił na pole bitwy.

Stojący na czele dywizji generał porucznik hrabia Eberhard von Schmettow wbrew wszelkim alarmującym nowinom pozostał przy swoim zdaniu. Artyleria otrzymała rozkaz, by zająć stanowiska przy wyjeździe na północ i obrzucić miasto granatami, jakie tylko miała do dyspozycji. Generałowi von S. przydzielono brygady strzelców. Mieli zająć stanowiska przed naszą artylerią i ruszyć na miasto, skąd teraz rozpoczął się ogień. Na drodze panował totalny chaos. W egipskich ciemnościach artyleria i strzelcy musieli się przemieszczać naprzód, odprowadzono konie zaprzęgowe.

Wydano rozkaz: „wysłać karabiny maszynowe na linię ognia". Natychmiast zameldował się do wykonania tego rozkazu, przydzielony do sztabu dywizji oficer-ordynans – książę Joachim von Preussen, co w sytuacji opisanej powyżej do łatwych zadań raczej nie należało. Jednak poprzez zdecydowane działanie i tupet rozkaz wykonano. Po krótkim czasie książę mógł zameldować, że udało mu się przerzucić tę ważną broń na pierwszą linię ognia. Wreszcie – za pomocą granatów rzucanych na budynki, ognia karabinów maszynowych i dzięki atakowi strzelców na skraju miasta oraz dzielnej postawie naszych żołnierzy w obrębie miasta i na trasach



wylotowych – złamano opór Rosjan. Ogień w mieście i przed nim powoli słabł. O godzinie czwartej nad ranem zameldowano o zajęciu Kutna.

Duża część Rosjan poddała się w mieście. Coraz większa grupa jeńców była zbierana i zapędzana na plac Kościelny. Nasi ludzie w grupach zabrali się za przeszukiwanie domów. Czasami zdarzały się komiczne sytuacje. Przed jednym z domów któryś z naszych oficerów zadał pytanie trzem dragonom badeńskim, co oni tu robią. Padła odpowiedź, że Rosjanin mówiący po niemiecku zawołał z okna , że nie muszą wchodzić na górę, ponieważ za chwilę on i jego pięciu kolegów zejdą na dół, ale muszą się tylko przyodziać. Około piątej nad ranem nadciągnął do Kutna sztab dywizji. W jednej z aptek dano nam coś do jedzenia, a z braku innego napoju trochę wina pepsynowego [wino z dodatkiem pepsyny enzymu wspomagającego trawienie – przyp. tłum.] i udostępniono ogrzewane pomieszczenie.

Dwie godziny odpoczynku pozostały do dyspozycji, aż przyprowadzono konie zaprzęgowe. Ten czas wykorzystano do opieki nad ludźmi i końmi. Owsa niestety prawie wcale nie było. Za to pod dostatkiem było zarekwirowanych papierosów, z czego jeszcze kilka dni później nasi dzielni kawalerzyści mogli coś przekazywać piechocie, która tego samego ranka dotarła do Kutna. Dywizja kawalerii mogła jej oddać 1500 jeńców, a dla nas największym podziękowaniem była radość piechoty cieszącej się z nieoczekiwanego dużego łupu. Lotem błyskawicy roznosiła się wieść wśród dywizji piechoty o zwycięstwie poprzez braterstwo broni, które wydało tak piękne owoce.

Wkrótce kontynuowano działania przeciwko znajdującym się na tyłach oddziałom przeciwnika. Około dziewiątej trzydzieści przed południem dywizja maszerowała już w kierunku na Łowicz. Po pół godzinie marszu miała czekać naszych jeszcze szczególna przyjemność. Pokaźnych rozmiarów automobil przejechał koło patrolu porucznika Dünna oraz koło przedniej kolumny dragonów, których dowódca porucznik Haussmann, zmusił ten pojazd do zatrzymania się, wykorzystując opuszczone przez żołnierzy lance. Jego ekscelencja baron von Korff, gubernator Warszawy, siedział w aucie ze swoim adiutantem. Baron chciał dotrzeć do Kutna, bo sądził, że jest zajęte przez rosyjską brygadę piechoty. Po wzięciu do niewoli został dostarczony do dowódcy dywizji, a potem do dowódcy korpusu kawalerii. [Patrz tekst: Gdzie jest gubernator?! – przyp. tłum.] My jednak musieliśmy maszerować dalej na wroga. Dzień w dzień, aż do nocy walczyła dywizja. Nigdy nasi dzielni żołnierze nie stracili ufności w pokonanie trudności i zwycięstwo naszej broni.

Tekst za: *Die Schlachten bei Wloclawec und Kutno* [w] *Der Weltkrieg* 1914/16 nr 33, s. 1036–1039.

tłum. Wioletta Majchrzak-Tuta

O szpiegach, epistolografii i cenzurze wojskowej uwag kilka...

Od początku świata ludzie toczyli ze sobą wojny. Każdy wódz niezależnie od epoki starał się wejść w posiadanie jak najdokładniejszych informacji o wojskach przeciwnika, z którym przyszło mu się zmierzyć. Wiedza na temat liczebności sił, stanu uzbrojenia i morale armii była jednym z tych elementów, który mógł mieć wpływ na zwycięstwo lub klęskę prowadzonej kampanii. Dostęp do informacji był więc bardzo pożądany. Zdobywano je w różny sposób. Najbardziej spektakularnym było wysyłanie swoich agentów za linie nieprzyjaciela. Działali oni nielegalnie, a w przypadku ich ujęcia groziła im śmierć przez rozstrzelanie lub powieszenie. Szczególnie surowo karano żołnierzy, którzy przebrani w mundury wojsk przeciwnych zostali w nich ujęci przez wroga za liniami wojsk walczących.

Szpiedzy starali się dotrzeć nie tylko do oficerów sztabowych, co było zadaniem szczególnie trudnym. W tym przypadku oficerów o wyższych stopniach wojskowych było niewielu, najczęściej znali się oni nawzajem oraz mieli świadomość, jak ważna jest ochrona tajemnicy wojskowej. Tak więc źródła informacji poszukiwano wśród zwykłych żołnierzy, najczęściej podoficerów i szeregowych. Żołnierze ci, w ramach stosunkowo rzadko udzielanych im przepustek czy rekonwalescencji po odniesionych ranach i kontuzjach, przybywali licznie z frontu do swoich rodzinnych miejscowości. Tam przyjmowani byli chętnie w gospodach, gdzie przy kuflu piwa a nierzadko i czegoś mocniejszego, opowiadali licznie zgromadzonej gawiedzi o swoich przygodach frontowych. Im więcej „złocistego płynu", tym język stawał się bardziej potoczysty, a kamrat chętny do opowieści osnutych na mniej bądź bardziej prawdziwych sytuacjach. Ludność, która nie miała styczności z życiem frontowym, chętnie przysłuchiwała się tym informacjom. Jedne były wyolbrzymione, inne zaś przerażały stopniem okrucieństwa nowoczesnej wojny. Agenci chętnie stawiali kolejne kolejki w barze i nadstawiali uszu, pozyskując w ten sposób najrozmaitsze informacje. Stanowiły one swoiste puzzle, które po umiejętnym złożeniu mogły dać szerszy obraz sytuacji niż tylko dany wycinek frontu. Również kontakty z miejscową ludnością – szczególnie przy codziennych obowiązkach, takich jak sprawunki na targu – były miejscem badania opinii publicznej i panujących nastrojów. Żołnierze równie chętnie odwiedzali przyfrontowe przybytki rozkoszy. One też podlegały kontroli żandarmerii. Czasem kontrole te kończyły się aresztowaniem zarówno klienteli, jak i „usługodawczyń". Aby ograniczyć – szczególnie w strefie przyfrontowej – kontakty z miejscową ludnością, niemieckie władze wojskowe na terenach okupowanych organizowały tzw. *Soldatenhaus*. Żołnierze mogli tam napić się herbaty i zjeść posiłek. Jednak niejako przy okazji poddawani byli również inwigilacji i indoktrynacji politycznej.





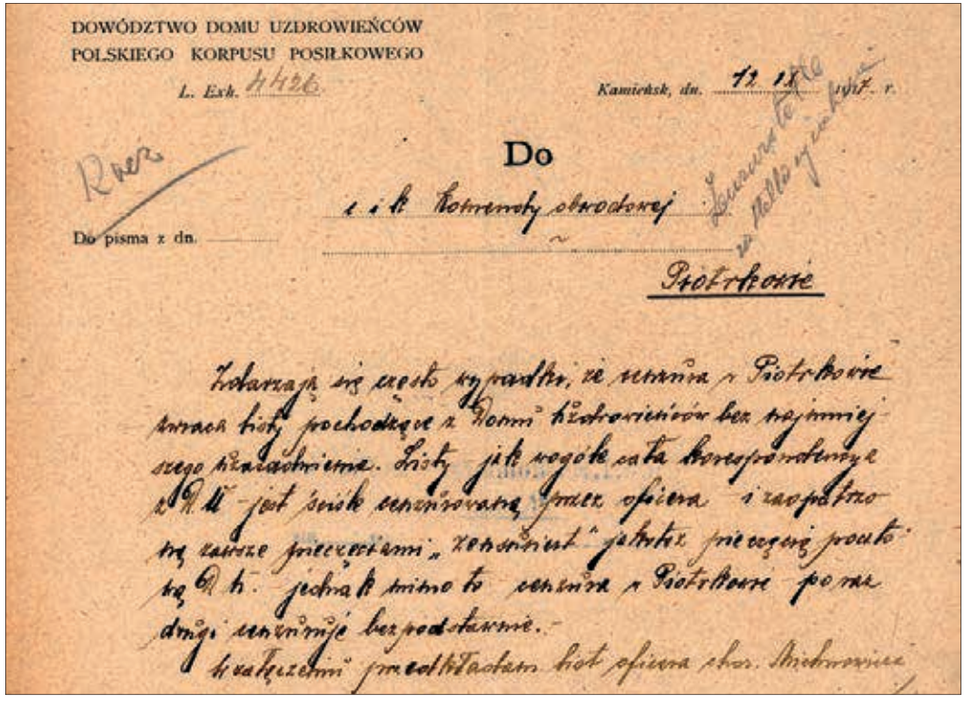
Warto zwrócić uwagę na interwencję cenzury na przykładzie kart pocztowych przedstawiających zestrzelony francuski sterowiec „Alzacja" (2.10.1915 r.) pod Rethel – bez i po ingerencji cenzury.

Inną formą pozyskiwania informacji była korespondencja nadchodząca z frontu. Żołnierze, szczególnie w początkowym okresie I wojny światowej, pochodzili z zaciągu ochotniczego z tych samych miejscowości. Najczęściej na fali patriotycznego uniesienia koledzy z podwórka, drużyny futbolowej czy fabryki zgłaszali się gremialnie do wojskowych komend werbunkowych. W przypadku armii niemieckiej pobór rekruta również opierał się na zasadzie regionalnej. Ponieważ oddziały biorące udział w największych starciach Wielkiej Wojny ponosiły olbrzymie straty, powodowało to zarazem spustoszenie wśród szeregów męskiej populacji w tych miejscowościach, z których oni pochodzili, co z kolei rzutowało na nastroje panujące w danej grupie społecznej, oscylujące pomiędzy nienawiścią do wroga a negatywnym nastawieniem wobec wojny i władz.

Często żołnierze, którzy trafiali najpierw do jednostki w celu ich przeszkolenia, a następnie na front, po raz pierwszy w życiu opuszczali swoje dotychczasowe miejsce zamieszkania. Po raz pierwszy mieli okazję jechać pociągiem czy automobilem. Swoje spostrzeżenia wynikające z obserwacji otoczenia chętnie opisywali w listach pisanych do domów. Pisali w nich o wszystkich istotnych dla nich sprawach, np. o wyszkoleniu, sortach mundurowych, jakie otrzymywali, a także o wyżywieniu. Na niektóre uciążliwości służby i dyscypliny wojskowej utyskiwali, inne zaś sobie chwalili. Informacje pozyskane z korespondencji, tak jak i z prasy codziennej, również stanowiły cenne źródło wiadomości. W owym czasie, poza listami, bardzo popularną formą korespondencji były karty pocztowe.

Przedstawiały w kolorze uroki krajobrazu lub zabytkowe budowle. Z czasem, ze względu na problemy surowcowe, karty były drukowane na zwykłej tekturze, w sepii lub czarno-białe. Często jednak za kartę pocztową będącą nośnikiem informacji służyły fotografie wykonywane w atelier miejscowych dagerotypistów. Przedstawiały one scenki rodzajowe, najczęściej inscenizowane przez samych piszących. Przyjęte dziarskie pozy, marsowe miny, bagnety przy pasie miały pokazywać i przypominać męską postawę dzielnego wojaka. W wielu wypadkach były to zarazem, m.in. ze względu na koszta, jedyne fotografie wykonane w ich życiu. Na odwrocie kreślono słowa otuchy, pytano o sytuację dotyczącą pozostawionego gospodarstwa (szczególnie w okresie żniw), aprowizację ludności znajdującej się na tyłach frontu itp.

Karty pocztowe, zwane z niemiecka feldpostem, nie chroniły w żaden sposób treści korespondencji. Listy miały tę zaletę, że były zamykane, zaś karty pocztowe nie. Aby kontrolować przepływ informacji wędrującej z frontu na tyły, powołano specjalne służby w postaci cenzury wojskowej. Cenzorami najczęściej zostawali oficerowie, do których obowiązków należało czytanie korespondencji zebranej uprzednio do wysyłki przez podoficerów służbowych poszczególnych jednostek. Korespondencja ta trafiała do rąk ludzi, którzy bez zbędnych skrupułów, w imię wyższych celów łamali tajemnicę korespondencji. Lektura przyprawiała cenzorów często o uśmiech, pojawiający się pod sumiastym wąsem na ich dotychczas marsowym obliczu. Wynikało to nie tylko z treści, ale również z błędów ortograficznych oraz często karkołomnych form stylistycznych. Szczególnie w armii niemieckiej korespondencja jednostek tzw. górnośląskich czy Kaszubów musiała przysporzyć niejednemu cenzorowi bólu głowy. Cenzorzy w przypadku jakichkolwiek wątpliwości wykreślali zapisy w listach, szczególnie jeśli dotyczyły nazw miejscowości, numerów jednostek wojskowych czy wysokości poniesionych strat. Czasami list stanowił po ingerencji cenzury zaledwie zlepek słów bez jakiegokolwiek sensu. W skrajnym przypadku cenzor wycinał żyletką całe zdania, niszcząc tym samym odwrotną stronę listu. Przesyłki, które poddane były cenzurze, opatrywano następnie stosowną pieczątką, nadrukiem lub napisem informującym o dokonanej weryfikacji korespondencji. Następnie kierowano listy do dalszej ekspedycji, gdzie trafiały do rąk adresatów. Rodziny, które odpisywały, musiały również liczyć się z cenzurą korespondencji, gdyż treść mogła ujawnić problemy panujące na tyłach frontu (szczególnie z aprowizacją). Należało podać numer polowej poczty wojskowej, która oznaczała miejsce postoju danej jednostki wojskowej. Ingerencja cenzury powodowała dosyć długi okres oczekiwania na przesyłkę i stosowana była w każdej armii biorącej udział w tym konflikcie.



DOWÓDZTWO DOMU UZDROWIEŃCÓW
POLSKIEGO KORPUSU POSIŁKOWEGO

L. Ewk. 4426 Kamieńsk, dn. 12 IX 1917 r.

Do

c. i k. Komendy obrodowej

Do pisma z dn. .....

Piotrkowie

Zdarzają się często wypadki, że cenzura w Piotrkowie zwraca listy pochodzące z Domu Uzdrowieńców bez najmniejszego uzasadnienia. Listy jak wogóle cała korespondencja z D.U. jest ściśle cenzurowana przez oficera i zaopatrzona zawsze pieczęciami „zenzuriert" jakoteż pieczęcią pocztową jednak mimo to cenzura w Piotrkowie po raz drugi cenzuruje bezpodstawnie.

W załączeniu przedkładam list oficera chor. Mietrowicza.

Treść dokumentu reprodukowanego obok: Zdarzają się często wypadki, że cenzura w Piotrkowie zwraca listy pochodzące z Domu Uzdrowieńców bez najmniejszego uzasadnienia. Listy – jak wogóle cała korespondencja z D.U. – jest ściśle cenzurowana przez oficera – i zaopatrzone zawsze pieczeciami „zenzuriert" jak też pieczęcią pocztową jednak mimo to cenzura w Piotrkowie po raz drugi cenzuruje bezpodstawnie.

W załączeniu przedkładam list oficera chor. Mietrowicza.



Powyżej koperta listu po wszelkich kontrolach.

Tomasz Matuszak

Dokumenty pochodzą z zasobu Archiwum Państwowego w Piotrkowie Trybunalskim, zespół K. u. K. Kreiskommando in Piotrków, sygn. 291.

Karty pocztowe pochodzą ze zbiorów prywatnych dr. Tomasza Matuszaka – autora tekstu.

Dragoni Najjaśniejszego Pana

Michał Hertz w swym słynnym dziele podaje taką oto anegdotę datowaną na 10 sierpnia 1914 roku:

„Tego samego dnia policja nagle i w popłochu uciekła. Przyczyna tej ucieczki była następująca. W okolicach Łodzi prowadził utarczki 40 pułk niżegorodzkich dragonów pod dowództwem pułkownika Kuszla. Po jednej z potyczek żołnierze przystroili się w hełmy, zdobyte na Niemcach. Przy cofaniu się oddział ten dotarł do Lućmierza, skąd wójt, nie zorientowawszy się w sytuacji, zatelefonował, że Niemcy zjawili się w tej okolicy. Przypuszczając, że Niemcy okrążają Łódź od północy, policja pośpiesznie opuściła nasze miasto. Na bramie domu, w którym mieściła się kancelaria policmajstra, wywieszono w języku urzędowym ogłoszenie: *Kancelaria policmajstra zamknięta – uprasza się zwracać do magistratu miasta Łodzi*. Razem z policją uciekła i poczta. Ostatnie pociągi odeszły przepełnione urzędnikami państwowymi. Zostaliśmy sami".

Hertz sporządzał swoje wspomnienia prawie 20 lat po opisywanych zdarzeniach – nic dziwnego, że pamięć go trochę zawiodła. Sprawcami tego zamieszania nie mogli być dragoni z opisywanego pułku, gdyż ten pojawił się w okolicach Łodzi dopiero dwa tygodnie później. Pruskie hełmy najpewniej przystroili dragoni z 14 Małorosyjskiego Pułku Dragonów (*14-й драгунский Малороссийский полк*) z 14 Dywizji Kawalerii. Jeszcze niedawno pułk nosił numer 40 i być może żołnierze na mundurach posiadali stare oznaczenia pułkowe.

Niemniej skoro Hertz raz już wspomniał Niżnogrodców, warto zatrzymać się dłużej przy tej jednostce kawalerii. Nasz autor tak naprawdę miał na myśli 17 Niżnogordski Pułk Dragonów Najjaśniejszego Pana (*17-й драгунский Нижегородский Его Величества полк*), działający w ramach Kaukaskiej Dywizji Kawalerii generała Charpentiera. A trzeba wiedzieć, że pułk to był prześwietny i z tradycjami sięgającymi wojny północnej. Największe zasługi odniósł podczas wojny krymskiej i w wojnie z Turcją w latach 1877–1878. Car Aleksander II miał o nim powiedzieć: *Нижегородцев я считаю своим первым кавалерским полком,* to znaczy: „Niżnogorodców uważam za swój najlepszy pułk kawaleryjski". Honorowym szefem (patronem) pułku został w roku 1892 sam następca tronu Mikołaj Aleksandrowicz – późniejszy Mikołaj II, toteż wraz z objęciem przez niego tronu, pułk za patrona przyjął „Jego Wysokość". Wśród służących w nim postaci odnajdziemy poetę Michała Lermontowa, Lwa Puszkina (brat Aleksandra), dekabrystów: Aleksandra Jakubowskiego, Aleksandra Odojewskiego, Mikołaja Orżyckiego, kilkunastu książąt dagestańskich, gruzińskich, kałmuckich, rosyjskich, chanów azerskich, a także Polaków, jak np. Feliks Krukowski – późniejszy ataman kozacki. Na początku Wielkiej Wojny służyli w nim pułkownik Mikołaj Kowalski de Szmiden (kwatermistrz pułku) i sztabsrotmistrz Kazimierz Dębiński-Pióro (oficer 3 eskadronu, po wojnie w polskim 2 pułku ułanów).

Powróćmy do wydarzeń z roku 1914. W dniu wypowiedzenia wojny Rosji przez Niemcy (1 sierpnia) ten pułk stacjonował jeszcze w Tbilisi w Gruzji. Jednak już 4 sierpnia pierwsze jego pododdziały wsiadły do eszelonów idących na Zachód. Dotarłszy na linię frontu w drugiej połowie sierpnia, przez następne 4 miesiące pułk wraz z pozostałymi oddziałami Kaukaskiej Dywizji Kawalerii zaznaczały swoją obecność w okolicach Łodzi.

Chrzest bojowy przeszedł 21 sierpnia 1914 roku pod Skierniewicami [patrz tekst: *O zgubnych skutkach obserwacji zaćmienia słońca*], jego 5 eskadron starł się z podjazdem niemieckiej konnicy z takim skutkiem, że naczelny dowódca książę Mikołaj Mikołajewicz „czuł się w obowiązku" wysłać do Mikołaja II telegram następującej treści:

„Nie śmiałbym niepokoić Waszej Wysokości w tych trudnych dniach, ale uważam pokornie za swój obowiązek zgłosić Wam jako szefowi Niżnogordskiego Pułku Dragonów, że szwadron pod dowództwem rotmistrza księcia Czawczawadze zniszczył niemiecki dywizjon rozpoznawczy".

Do Łodzi pułk zawitał 25 sierpnia – zatrzymał się na dwa dni w okolicach Retkini. Stąd ruszył na zachód i południe, a jego szwadrony – działając w rozproszeniu – prowadziły rozpoznanie z powodzeniem i odebrały Niemcom Piotrków, ale też bez powodzenia, gdy próbowały odebrać Radomsko. W następnym miesiącu – 20 września – 1. eskadron pułku zniszczył pod Błaszkami podjazd 1 Królewskiego Pułku Strzelców Konnych (*Regiment Königs-Jäger zu Pferde Nr. 1*). W potyczce jako jedyny z całego oddziału zginął prowadzący szarżę dowódca – rotmistrz Mikołaj Luks (na wieść o tym zastrzelił się pułkownik Mikołaj Kowalski de Szmiden). W czasie operacji warszawsko-dęblińskiej w październiku 1914 roku pułk operował głównie pomiędzy Łodzią a Skierniewicami – stoczył m.in. większą potyczkę 14 października pod Chruślinem, 3 listopada zdobył w Kole nieuszkodzony most na Warcie, 21 listopada prowadził pod Brzezinami walki tak zażarte, że kontuzjowany w nich został dowódca pułku pułkownik Paweł Ofrisomow, a jeden z jego adiutantów – kornet książę Chimszyjew – był ranny. I w końcu, 23 listopada w okolicach stacji kolejowej Koluszki, zastępca dowódcy pułku do spraw liniowych książę Mikołaj Mielikow rzucił do ataku dragonów na próbującą wydostać się z okrążenia niemiecką 4 działową baterię. Po zwycięskim ataku odesłano zdobycz jako trofeum do Niżnego Nowogrodu. Victoria okupiona była jednak dużymi stratami, wzięcie czterech dział kosztowało życie czterech dowódców pododdziałów – zginął dowódca 6 eskadronu sztab-rotmistrz książę Kazanalipow, porucznik książę Andronikow, kornet Czchotua, chorąży Isajew, ciężkie rany odnieśli dowódca 3 eskadronu rotmistrz Piotr Den, dowódca 4 eskadronu rotmistrz Tejmur Bek Nawruzow oraz książę Wacznadze, a także dowódca 5 eskadronu rotmistrz książę Czawczawadze.

Za męstwo okazane w walkach toczonych w okolicach Łodzi rotmistrze Czawczawadze i Nawruzow otrzymali Order św. Jerze-



Monogram HII (Николай II) noszony na pagonach oficerów Niżnogordskiego Pułku Dragonów.

go 4. stopnia, porucznik książę Andronikow – Order św. Jerzego (pośmiertnie), a rotmistrz Kesariew, książę Czchotua, książę Mielikow i książę Wacznadze – złotą szablę św. Jerzego „Za dzielność" [*Золотое Георгиевское оружие „За храбрость"*].

Po walkach na terenie Polski w roku 1915 przyszły walki w Persji i kolejne zaszczyty i odznaczenia. Niestety już po rewolucji lutowej nastały dla pułku smutne chwile. Złowrogim znakiem nadchodzących dni był rozkaz z 18 kwietnia 1917 roku nakazujący nadesłanie do Piotrogrodu pułkowego sztandaru z monogramem Mikołaja II w celu usunięcia z niego haftu z inicjałem – z uwagi na abdykację cara.

Nie przeszkodziło to dragonom, 4 miesiące później przy wkraczaniu do Mińska, śpiewać pułkowych żurawiejek wychwalających byłego szefa pułku. Wymachiwali równocześnie czerwonymi sztandarami z hasłami „Niech żyje rewolucja", „Długie lata Kiereńskiemu".

Ostatnim dowódcą pułku był... Polak Stanisław Laudański, z wykształcenia prawnik, służący w jednostce od początku wojny. Dowodzenie Polak otrzymał na przełomie listopada i grudnia 1917 roku z rąk bolszewików a konkretnie pułkowego komitetu rewolucyjnego! Bynajmniej nie była to oczekiwana przez niego nominacja, gdyż od dawna zamierzał przejść do I Korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego. Nie dość, że nie chciano go zwolnić do polskich oddziałów, to otrzymał od bolszewików rozkaz rozbrojenia 1 Pułku Ułanów Krechowieckich. Po odmowie wykonania rozkazu został aresztowany i kto wie, czy nie poszedłby *под стенку*, gdyby rozkaz rozbrojenia nie został cofnięty. I jak zwykle nie może się odbyć bez jeszcze jednego łódzkiego akcentu – 1 Pułk Ułanów Krechowieckich był odtwarzany na terenie Piotrkowa i Wolbromia, skąd poszedł na wojnę z Ukraińcami, a później bolszewikami.

pz



Oficer Niżnogordskiego Pułku Dragonów w charakterystycznej czapce kaukaskich kawalerzystów i ze zdobioną w azjatyckie wzory szablą.



Car Rosji Mikołaj II w uniformie Niżnogordskiego Pułku Dragonów.

Niemcy dzisiaj zajęli Łódź...

„Niemcy dzisiaj zajęli Łódź – rzekła panna Oliver pewnego grudniowego wieczoru, gdy razem z panią Blythe i Zuzanną zajęte były szydełkowaniem w przytulnej bawialni. – Dzięki tej wojnie nabieram trochę pojęcia o geografii. Chociaż jestem nauczycielką, to jeszcze trzy miesiące temu nie miałam pojęcia, w jakiej części świata znajduje się takie miasto jak Łódź. Gdybym nawet słyszała o nim, nie interesowałabym się tą sprawą. Obecnie wiem o Łodzi wszystko – jaki jest obszar tego miasta, położenie i znaczenie pod względem strategicznym. Wczorajsze wiadomości, że Niemcy zamierzają zaatakować Warszawę, sprawiły, że serce zabiło mi z przerażenia". [fragm. w tłum. Janiny Zawiszy Krasuckiej]

Proszę bardzo! Bitwa Łódzka trafiła do literatury pięknej. I to nie byle jakiej. Cytat pochodzi z powieści *Rilly ze Złotego Brzegu* będącej ósmym tomem serii przygód Ani Shirley z *Ani z Zielonego Wzgórza* autorstwa Lucy Maud Montgomery. Pierwsze wydanie powieści ukazało się w roku 1921, a więc 7 lat po opisywanych wydarzeniach. Zatem mimo wielu innych krwawych bitew, nadal była pamiętana nawet za oceanem.

W okresie międzywojennym była przedmiotem analiz w akademiach wojskowych: w amerykańskiej West Point oraz sowieckiej im. Michaiła Frunzego w Moskwie. W Niemczech i Rosji Sowieckiej ukazało się w tym czasie łącznie co najmniej kilkanaście publikacji jej poświęconych. A u nas co? Słabiutko! Honor ratują Mieczysław Hertz, którego wspomnienia z wojny *Łódź podczas Wielkiej Wojny* niedawno zostały wznowione, oraz Władysław Bortnowski, którego *Ziemia łódzka w ogniu* była wydana w 1969, a na koniec *Wielka Wojna o ziemię obiecaną. Operacja Łódzka 1914* (publikacja pokonferencyjna).

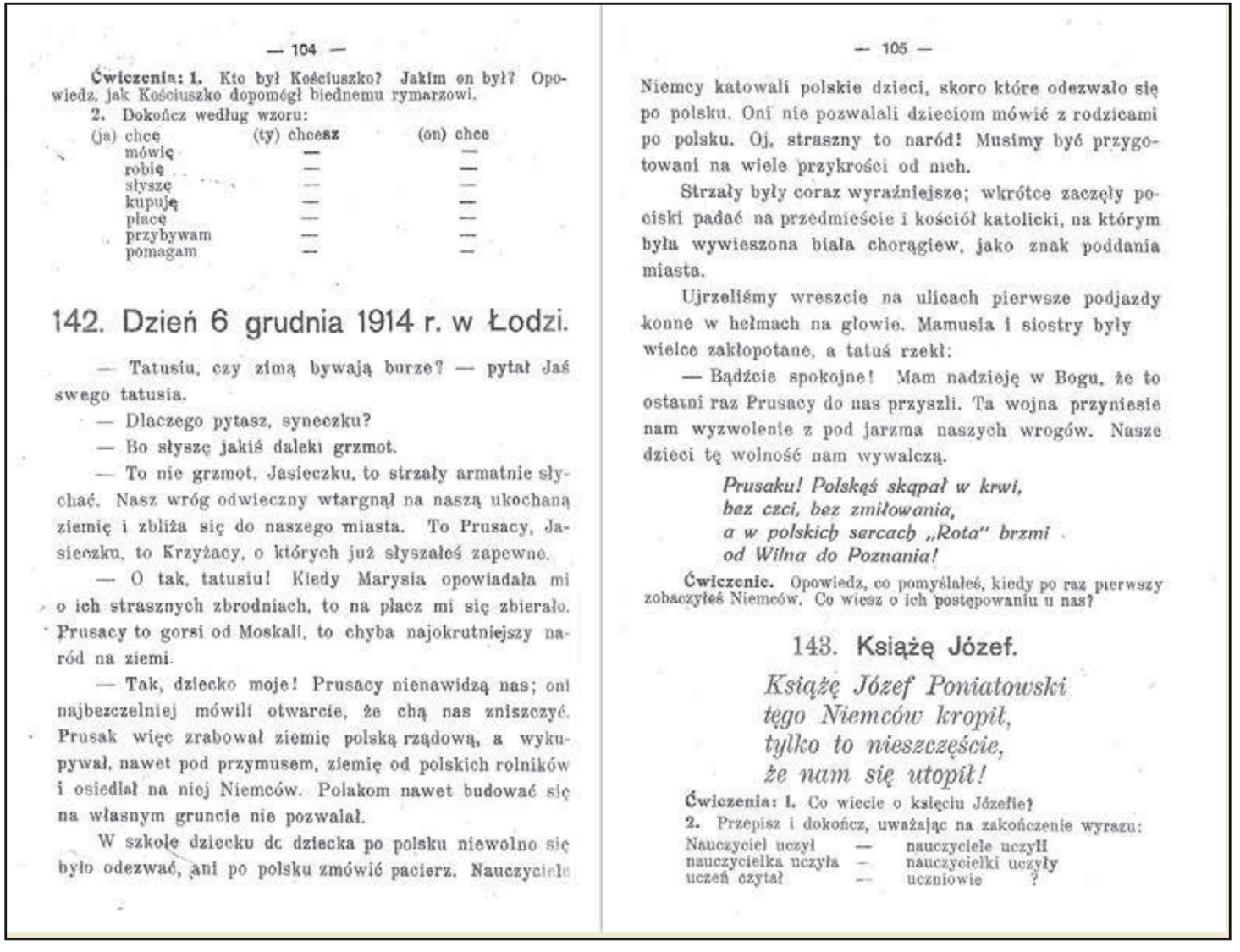
I to wszystko! Najnowsze pozycje poświęcone I wojnie światowej opublikowane przez polskich autorów: *Samobójstwo Europy* Andrzeja Chwalby i *Nasza Wojna* spółki autorskiej Włodzimierz Borodziej i Maciej Górny, o Łodzi ledwie napomykają lub wręcz milczą.

Od dwunastu lat na łamach „Bitewnika Łódzkiego" przypominamy historię Wielkiej Wojny oraz losy naszego miasta i jego mieszkańców przed stu laty. Cieszy, że pamięć o tej jeszcze nie tak dawno zapomnianej wojnie, być może także dzięki nam, powraca do świadomości współczesnych Polaków. A przecież I wojna światowa była nie mniej tragiczna niż kolejna. W niektórych aspektach była nawet tragiczniejsza. Przede wszystkim w trakcie I wojny światowej walczące armie poniosły procentowo znacznie większe straty w tzw. sile żywej, sięgające ponad 57% zmobilizowanych – PONAD POŁOWA powołanych pod broń mężczyzn poległa, zmarła, została ranna, zaginęła lub dostała się do niewoli. Zginęło łącznie około 8,5 mln żołnierzy. A ilu było wśród nich Polaków? Jak na naród, którego państwo nie bierze udziału w walkach, całkiem sporo – według różnych szacunków od 400 000 do 450 000. Daje to aż 5% poległych, więcej niż straciła Turcja, trzecia siła militarna Państw Centralnych. No dobrze – ktoś powie – nie było państwa, ale za to walczyły Legiony Piłsudskiego, Korpus Józefa Dowbora-Muśnickiego, Błękitna Armia itp. To przecież polskie wojska, stąd te straty.



Cmentarz „Pustułka" w Witkowicach, jeden z wielu cmentarzy Bitwy Łódzkiej.

Tak, biły się dzielnie, nazwy pół bitew, na których krwawiły, wyryto na Grobie Nieznanego Żołnierza. Jednakże łącznie straty tych formacji możemy zamknąć w liczbie 6–7 tysięcy poległych. Pozostali zginęli w obcych mundurach, w obronie obcych interesów, przysięgając wierność obcym cesarzom. W okresie międzywojennym liczyła się praktycznie tylko służba w Legionach. To ona otwierała wszystkie drzwi, dawała pracę i uznanie polityków. Toteż szybko pamięć o poległych służących w armiach państw zaborczych pozostała tylko w sercach rodzin. A przecież, o zgrozo, na frontach I wojny światowej zginęło 2,5 raza więcej, tak powtórzmy DWA I PÓŁ RAZA WIĘCEJ, żołnierzy Polaków niż podczas II wojny światowej.



— 104 —

Ćwiczenia: 1. Kto był Kościuszko? Jakim on był? Opowiedz, jak Kościuszko dopomógł biednemu rymarzowi.

2. Dokończ według wzoru:

(ja) chcę	(ty) chcesz	(on) chce
mówię	—	—
robię	—	—
słyszę	—	—
kupuję	—	—
płacę	—	—
przybywam	—	—
pomagam	—	—

142. Dzień 6 grudnia 1914 r. w Łodzi.

— Tatusiu, czy zimą bywają burze? — pytał Jaś swego tatusia.

— Dlaczego pytasz, syneczku?

— Bo słyszę jakiś daleki grzmot.

— To nie grzmot, Jasieczku, to strzały armatnie słychać. Nasz wróg odwieczny wtargnął na naszą ukochaną ziemię i zbliża się do naszego miasta. To Prusacy, Jasieczku, to Krzyżacy, o których już słyszałeś zapewne.

— O tak, tatusiu! Kiedy Marysia opowiadała mi o ich strasznych zbrodniach, to na płacz mi się zbierało. Prusacy to gorsi od Moskali, to chyba najokrutniejszy naród na ziemi.

— Tak, dziecko moje! Prusacy nienawidzą nas; oni najbezczelniej mówili otwarcie, że chą nas zniszczyć. Prusak więc zrabował ziemię polską rządową, a wykupywał, nawet pod przymusem, ziemię od polskich rolników i osiedlał na niej Niemców. Polakom nawet budować się na własnym gruncie nie pozwalał.

W szkole dziecku dc dziecka po polsku niewolno się było odezwać, ani po polsku zmówić pacierz. Nauczyciele

— 105 —

Niemcy katowali polskie dzieci, skoro które odezwało się po polsku. Oni nie pozwalali dzieciom mówić z rodzicami po polsku. Oj, straszny to naród! Musimy być przygotowani na wiele przykrości od nich.

Strzały były coraz wyraźniejsze; wkrótce zaczęły pociski padać na przedmieście i kościół katolicki, na którym była wywieszona biała chorągiew, jako znak poddania miasta.

Ujrzeliśmy wreszcie na ulicach pierwsze podjazdy konne w hełmach na głowie. Mamusia i siostry były wielce zakłopotane, a tatuś rzekł:

— Bądźcie spokojne! Mam nadzieję w Bogu, że to ostatni raz Prusacy do nas przyszli. Ta wojna przyniesie nam wyzwolenie z pod jarzma naszych wrogów. Nasze dzieci tę wolność nam wywalczą.

Prusaku! Polskęś skąpał w krwi,
bez czci, bez zmiłowania,
a w polskich sercach „Rota" brzmi
od Wilna do Poznania!

Ćwiczenie. Opowiedz, co pomyślałeś, kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś Niemców. Co wiesz o ich postępowaniu u nas?

143. Książę Józef.

Książę Józef Poniatowski
tęgo Niemców kropił,
tylko to nieszczęście,
że nam się utopił!

Ćwiczenia: 1. Co wiecie o księciu Józefie?

2. Przepisz i dokończ, uważając na zakończenie wyrazu:

Nauczyciel uczył	—	nauczyciele uczyli
nauczycielka uczyła	—	nauczycielki uczyły
uczeń czytał	—	uczniowie ?

Przestała być także zapomnianą Bitwa Łódzka, największa operacja manewrowa I wojny światowej, w której poległo około 200 tysięcy żołnierzy po obu stronach frontu. W setną rocznicę bitwy przygotowano w Łodzi 5 wystaw, 2 konferencje naukowe, w tym jedną międzynarodową oraz opracowano grę planszową. Cóż, może doczekamy, że ta bitwa znajdzie się w programie nauczania. Może nie od razu w elementarzu, ale przynajmniej w programie nauki historii małych ojczyzn. Chociaż… już w wydanym w Łodzi w 1919 roku elementarzu (dla klas drugich) *Strzecha-Rodzinna* Bolesława Wocalewskiego zamieszczono taki tekst:

Dzień 6 grudnia 1914 r. w Łodzi

– Tatusiu, czy zimą bywają burze? – pytał Jaś swego tatusia.

– Dlaczego pytasz, syneczku?

– Bo słyszę jakiś daleki grzmot.

– To nie grzmot, Jasieczku, to strzały armatnie słychać. Nasz wróg odwieczny wtargnął na naszą ukochaną ziemię i zbliża się do naszego miasta. To Prusacy, Jasieczku, to Krzyżacy, o których już słyszałeś zapewne.

– O tak, tatusiu! Kiedy Marysia opowiadała mi o ich strasznych zbrodniach, to na płacz mi się zbierało. Prusacy to gorsi od Moskali, to chyba najokrutniejszy naród na ziemi.

pz & zj

Strzecha rodzinna, część II (drugi rok nauki), książka do czytania i ćwiczeń, ułożył B.T. Wocalewski, wydanie pierwsze, nakładem autora, Łódź 1919.



PRZEMARSZ KAWALERII AUSTRIACKIEJ 27.01.1915 roku. W czasie Bitwy Łódzkiej austro-węgierskie dywizje walczyły przede wszystkim na pomocniczych kierunkach, zmagając się w rejonie Piotrkowa z rosyjską 5 Armią gen. Pawła Plehwe i 4 Armią gen. Aleksieja Ewerta. Ich głównym zadaniem było powstrzymywanie, wraz z przydzielonym Śląskim Korpusem Landwehry gen. Remusa von Woyrscha, rosyjskiej ofensywy w kierunku Wrocławia, podczas gdy niemiecka 9 Armia gen. Augusta von Mackensena miała uderzyć w bok prących na zachód Rosjan. Podczas walk w listopadzie i grudniu 1914 roku Austriacy nawet nie otarli się o Łódź, jedynie 7 Dywizja Kawalerii (tzw. krakowska), dołączona do pruskiego III Korpusu Kawalerii Frommela, zmagała się z Rosjanami pod Sieradzem. Dwa miesiące po zakończeniu bitwy widzimy kawalerzystów austriackich w czasie przemarszu w kierunku północnym ulicą Piotrkowską na wysokości posesji nr 100. Wprawne oko czytelnika już zauważyło, że przez 100 lat nic poza szyldami i witrynami w elewacji budynku się nie zmieniło. Zwróćmy też uwagę na umundurowanie kawalerzystów, którego bardzo zazdrościli im sojusznicy. Ocieplane płaszcze z grubymi kołnierzami chroniły przed zimnem o wiele lepiej niż pruskie szynele podszyte wiatrem. Czyste mundury i konie, jak się wydaje, jednakowej maści mogą wskazywać, że akurat ten oddział za długo w boju nie przebywał.



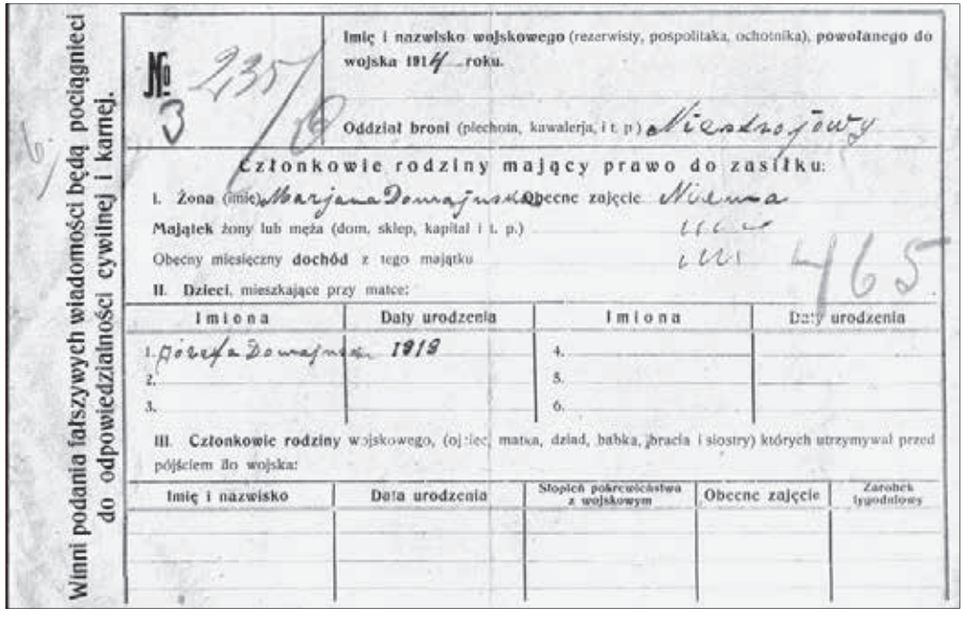
WYPROWADZANIE MIESZKAŃCÓW DO PRZYMUSOWEJ KĄPIELI. Wojna niosła śmierć nie tylko na skutek walk, ale także głodu i chorób. Mieszkańcy Łodzi zaczęli chorować na tyfus zawleczony do miasta z okopów przez żołnierzy. Rozprzestrzenianiu się choroby miały zaradzić akcje przymusowych kąpieli i strzyżenia oraz palenia lub dezynfekcji zakażonej odzieży. Jednakże jeden z radnych miejskich zauważył w roku 1918: „Od 3,5 roku ludność jest wygładzana systematycznie. Ziemia nasza, płynąca mlekiem i miodem, nie jest w stanie dostarczyć minimalnych ilości żywności mieszkańcom. Dzieje się to dlatego, że naszym kosztem jest karmiona ludność obca, która dostaje więcej naszego pożywienia niż my sami. Jaka jest granica wytrzymałości fizycznej człowieka, jaka jest granica tej ilości pożywienia, aby człowiek jeszcze był w stanie zataczać się na nogach, jak to widzimy na ulicach łódzkich, aby piersi matek wyschły i nie miały kropli mleka dla wyżywienia niemowląt? Do czego nas to może doprowadzić? Mrzemy z powodu tyfusu, który się nazywa brzusznym i plamistym, a są to tyfusy głodowe. Jako ratunek od tyfusu chcą nas pozbawić wszów i prowadzą do kąpieli. Jest to fikcja dla zamydlenia oczu ludności i świata, bo tym sposobem ludności się od śmierci głodowej nie uchroni". Niektórzy historycy twierdzą, że Wielką Wojnę tak naprawdę zakończyła właśnie epidemia, tyle że nie tyfusu a ciężkiej odmiany grypy zwanej „hiszpanką".

REZERWISTKI

Wybuch wojny i wydarzenia kaliskie wywołały w Łodzi prawdziwą panikę. Tak to opisuje lekarz przybyły w drugiej połowie sierpnia 1914 roku do Łodzi:

„Jak wiadomo, Łódź, jakkolwiek licząca więcej nad sześćkroć sto tysięcy ludności, była miastem nie gubernjalnym, a powiatowym gubernji piotrkowskiej. Naczelną władzę cywilną sprawował prezydent miasta, a policyjno-administracyjną — policmajster. W drugim już dniu po wypowiedzeniu wojny, tak samo jak w nadgranicznych miasteczkach, wszystko to uciekało: władze i wojsko, a jednak normalnie w Łodzi i okolicy stały cztery pułki piechoty. Bank przeniesiono do Moskwy, a pocztę do Warszawy. […] Osławiony i anegdotycznie głupi prezydent miasta P... uciekł pierwszy. Kazano mu wrócić: wrócił, by uciec, znowu pierwszy tym razem aż do Moskwy. Jego obowiązki pełnił jeden z referentów, człowiek z pewną godnością osobistą, zresztą czynności magistratu były teraz niemal żadne”.

Bezpośrednio po wybuchu wojny utworzono w Łodzi na żądanie władz rosyjskich kuratoria opieki nad rodzinami rezerwistów, w celu rozdawnictwa wsparć należnych na mocy prawa rodzinom zmobilizowanych rezerwistów. Jednakże na skutek ucieczki władz rosyjskich z miasta, łódzkie rezerwistki, jak nazywano żony powołanych do armii rosyjskiej, z dnia na dzień znalazły się w bardzo ciężkim położeniu materialnym.



Winni podania fałszywych wiadomości będą pociągnieci do odpowiedzialności cywilnej i karnej.

№ 3 2357/10

Imię i nazwisko wojskowego (rezerwisty, pospolitaka, ochotnika), powołanego do wojska 1914 roku.

Oddział broni (piechoin, kawalerja, i t. p.) niestrojowy

Członkowie rodziny mający prawo do zasiłku:

I. Żona (imię) Marjana Domajnska Obecne zajęcie Mienna

Majątek żony lub męża (dom, sklep, kapitał i t. p.)

Obecny miesięczny dochód z tego majątku 465

II. Dzieci, mieszkające przy matce:

Imiona	Daty urodzenia	Imiona	Daty urodzenia
1. Piotra Domajnska	1913	4.	
2.		5.	
3.		6.	

III. Członkowie rodziny wojskowego, (ojciec, matka, dziad, babka, bracia i siostry) których utrzymywał przed pójściem do wojska:

Imię i nazwisko	Data urodzenia	Stopień pokrewieństwa z wojskowym	Obecne zajęcie	Zarobek tygodniowy

Karta zasiłkowa rezerwistki Marianny Domańskiej, żony Piotra powołanego do armii carskiej jako „niestrojowy”, czyli „bezmundurowy”, co absolutnie nie mówi nam, czy był biuralistą, felczerem, wozakiem, mulnikiem czy innym żołnierzem zaplecza frontowego.

„Wszystko sprowadzało się do wydawania zapomóg rodzinom rezerwistów, na wojnę powołanych. Ale nawet i ta stosunkowo drobna czynność tak była artystycznie według wzorów biurokracji rosyjskiej zorganizowana, że kobiety, nieraz z dziećmi przy piersi, cały dzień o głodzie aż do omdlenia czekały, nim otrzymały swoją rację chleba i groszy kilka rzuconych, jak jałmużnę. Narzekania ustały dopiero, skoro całą tę sprawę Komitet Obywatelski ujął w swe ręce. Gorzej było z funduszami. Pieniądze miejskie, ulokowane w banku państwa, bank zabrał z sobą. Rząd wydał miastu do rozdania rezerwistkom dwakroć sto tysięcy rubli, wyznaczając od trzech i pół rubla do pięciu — na pół miesiąca każdej, w zależności od ilości dzieci. A tych rezerwistek jednak zebrało się kilkadziesiąt tysięcy! Więc owych pieniędzy na długo nie starczyło. Tymczasem chleb i wszystkie produkta spożywcze podskoczyły znacznie w cenie, wbrew surowym rozporządzeniom władz. Fabryki jedną po drugiej zamykano i o zarobku mowy nie było”.

Początkowo kasy kuratoriów zasilane były ze środków przyznawanych przez rząd rosyjski, lecz po zajęciu miasta przez Niemców, a co za tym idzie odcięciu Łodzi od Rosji, kuratoria pozostały absolutnie bez żadnych środków. Główny Komitet Obywatelski sprawujący w mieście opiekę nad mieszkańcami musiał temu problemowi jakoś zaradzić. Mieczysław Hertz w swych wspomnieniach podaje: „Kuratoria i delegacje rezerwistek bezpośrednio zwracały się do Głównego Komitetu Obywatelskiego z prośbą o pomoc



Fotografia w oryginale podpisana: Damy łódzkiego półświatka przesiedlone do Łowicza, 1915 r.

i zasilanie kas kuratoriów przynajmniej w takim stopniu, aby zapomogi mogły być uskuteczniane chociażby w znacznie zredukowanych normach. GKO zwracał się do Urzędu Starszych i Komitetu Giełdowego z propozycją udzielenia kuratoriom pożyczek na mocy protokólarnych uchwał tychże kuratoriów, jak również za gwarancją GKO, wydaną w imieniu miasta. Urząd Starszych i Komitet Giełdowy zgodziły się na tę propozycję, mając na względzie, że wypłaty rezerwistkom, uskuteczniane na mocy prawa i przez utworzone instytucje przez rząd rosyjski, z pewnością nie będą przez tenże rząd kwestionowane. Poręczenie, dane w imieniu miasta przez legalny zarząd miejski – GKO m. Łodzi, również było dostateczną ewikcją zwrotu zaciągniętej pożyczki".

Główny Komitet Obywatelski do 1 lipca 1915 roku, tj. do chwili rozwiązania, zdołał przyznać Kuratorium Opieki nad Rezerwistkami na wypłatę zapomóg 1 215 500 rubli z ogólnie wydatkowanej kwoty 4 741 605,94 rubli, a więc aż jedną czwartą środków, którymi dysponował. Pomimo wydatkowania tak znacznych kwot była to kropla w morzu potrzeb.

Rozwiązanie GKO sprawiło, że Urząd Starszych i Komitet Giełdowy odmówiły dalszego udzielania pożyczek, uznając, że władze okupacyjne przejęły wszystkie funkcje rządu rosyjskiego i poprzednich władz miejskich. Korzystają więc z pewnych praw i prerogatyw, przysługujących państwu: pobierają podatki, wprowadziły system opłat etc. Dlatego powinny ponosić również obowiązki m.in. wobec rezerwistek, wypłacając im zasiłki. Władze okupacyjne, jak się należało domyślić, odmówiły wspierania rodzin żołnierzy walczących we wrogiej armii. Dalsze wspieranie rezerwistek spadło więc na barki magistratu. W roku 1916 Kuratorium Opieki nad Rezerwistkami utrzymywało około 14 000 rodzin, wypłacając miesięcznie przeciętnie 190 000 rubli – zapomogi w wysokości od 6 do 36 rubli miesięcznie, zależnie od liczby dzieci na utrzymaniu.

Niskie zasiłki, panująca drożyzna, brak możliwości znalezienia pracy wygnały wiele rodzin rezerwistów do rodzinnych wsi. Łódź zaczęła się gwałtownie wyludniać. Nie pomógł nawet fakt, iż na mocy rosyjskich przepisów rodziny rezerwistów zwolnione były z płacenia czynszu. Ciężkie warunki bytowe zmuszały nieraz kobiety do dramatycznych wyborów. Te, które nie miały dokąd wyjechać, w desperacji wychodziły na ulicę, albo demonstrując przed siedzibami władz, albo zasilając tzw. półświatek. Skala tego zjawiska była tak ogromna, że dla zapanowania nad nim GKO powołał Milicję Obyczajności Publicznej. Kościół i media ubolewały nad upadkiem obyczajów i nawoływały do niesienia jakiejkolwiek pomocy kobietom zmuszonym do uprawiania prostytucji. Wprowadzono przymusową rejestrację, badania kontrolne i leczenie w izolowanych placówkach. Surowymi zarządzeniami starano się zwalczać sutenerstwo. Uciekano się nawet do wywożenia kobiet do innych miast, w których stacjonowało mniej oddziałów wojskowych. Na próżno, problem do końca wojny a nawet kilka lat po niej pozostawał nierozwiązany, wymagał bowiem rozwiązania środkami ekonomicznymi a nie administracyjnymi. Prawo rynkowe *popytu i podaży* było o wiele silniejsze od nakazów moralnych i religijnych.

pz



Tłum rezerwistek okazuje swoje niezadowolenie, blokując ruch tramwajów na Nowym Rynku i ulicy Piotrkowskiej – 16.09.1915 r.

Między Marsem a Wenerą

I wojnę światową według niektórych badaczy zakończyła hiszpanka. Na długo przed wybuchem Wielkiej Wojny tak w Grecji, Niemczech, Portugalii i Niderlandach nazywano chorobę przywiezioną do Hiszpanii przez marynarzy Kolumba z Nowego Świata. W Polsce i Anglii znana była jako franca, a w Rosji także jako choroba polska. Mowa o kile, syfilisie, luesie. De facto pierwszy specyfik leczący kiłę bez zatruwania lub nawet uśmiercania pacjenta opracował nadworny lekarz króla polskiego i elektora saskiego Augusta Mocnego – Johann Friedrich Zittmann, w Polsce postać zapomniana, a w świecie wymieniana jako polski medyk. Różne nazwy tej samej choroby pozwalają prześledzić jej triumfalny pochód na Wschód. Rozprzestrzenianie się chorób wenerycznych wśród żołnierzy carskich stanowiło w znacznej mierze odzwierciedlenie kondycji społeczno-ekonomicznej i moralnej społeczeństwa schyłku Imperium Romanowów, choć wskazać można także na jego podłoże historyczne. Stanowiąca główne źródło transmisji zakażeń syfilisem prostytucja stała się zjawiskiem powszechnym w wyniku realizacji reform wojskowych cara Piotra I, tworzących odrębną klasę niezamężnych mężczyzn służących w wojsku i instytucje zaspokajające ich potrzeby fizyczne.

Państwowe sankcjonowanie płatnej miłości, pożytkowane przez przedstawicieli wszystkich klas i grup społecznych, ze szczególnym piętnem odcisnęło się na stulecia na obyczajowości armii. Jeszcze w początkach XX wieku na kartach czasopisma „Врач” przywołano tekst regulaminu jednej ze szkół junkierskich, w którym ustalano zasady i odgórny porządek odwiedzin w wybranym przez komendanta domu publicznym. Przedrukowanych trzynaście szczegółowych, cynicznych paragrafów ilustrowało wątpliwą moralność, jaka panowała w armii niemalże w przededniu I wojny światowej. Jej kruche podstawy ostatecznie runęły w 1914 roku, w obliczu niemalże pewnej śmierci na polach bitew.


Leihbüch
R. LOTI
Küstrin-Neus
Schützenstraß

MERKBLATT FÜR MÄNNER

zur Verhütung von Geschlechtskrankheiten.

Der sicherste Schutz ist ein Gummiüberzug (Condom), der hier vorrätig ist. Wenn kein Gummiüberzug benutzt wird oder dieser platzt, muss man NACH DEM BEISCHLAF das Glied (nach dem Zurückziehen der Vorhaut) desinfizieren und dann Schutztropfen (2 Tropfen) in die Öffnung mit der Pipette einträufeln.

Desinfektionsflüssigkeit und Schutztropfen MÜSSEN hier verabfolgt werden, andernfalls erfolgt strenge Bestrafung. Jedes Mädchen ist im Besitz eines UNTERSUCHUNGSBUCHES. Man schreibe sich seine NUMMER auf, damit der Besucher, falls er erkrankt, das Mädchen der ärztlichen Behandlung zuführen kann. Dadurch werden weitere Ansteckungen verhütet.

Sobald sich Ausfluss aus der Harnröhre (Tripper) oder Ausschlag am Gliede (Schanker) zeigt, wende man sich SOFORT an einen Arzt.

Die Sittenpolizei.

Lodz, im Juli 1915.

Ulotka dla mężczyzn
Zapobieganie chorobom wenerycznym
Najbezpieczniejszą ochroną jest gumowa osłona (prezerwatywa), która jest tutaj dostępna. W przypadku braku gumowej osłony lub pęknięcia należy zdezynfekować członka po wspólnym pożyciu (po odciągnięciu napletka), a następnie za pomocą pipety wlać krople ochronne (2 krople) do otworu. W tym miejscu należy podawać płyny dezynfekujące i pułapki [?] ochronne, w przeciwnym razie udziela się ścisłych zaleceń. Każda dziewczyna ma zeszyt egzaminacyjny. Zapisz swój numer, aby w przypadku zachorowania gościa mógł zabrać dziewczynę na leczenie. Zapobiegnie to dalszym infekcjom. Gdy tylko pojawi się wydzielina z dróg moczowych (rzeżączka) lub wysypka na członku (wrzód), należy natychmiast skontaktować się z lekarzem.
Policja Obyczajowa

W pierwszych dniach międzynarodowego konfliktu zbrojnego wybitni rosyjscy specjaliści-wenerolodzy wypracowali program walki z chorobami przenoszonymi drogą płciową zarówno na czas wojny, jak i pokoju. Ich postulaty nie zostały jednak w pełni zrealizowane z powodu braku zainteresowania czynników rządzących, a przede wszystkim niskiego poziomu świadomości żołnierskiej. W latach 1914-1918 częstość występowania syfilisu w Rosji znacznie wzrosła: prawie dwa razy w marynarce wojennej i siedem razy w okręgach wojskowych. Częstość występowania kiły wśród ludności cywilnej wzrosła ponad sześciokrotnie (gubernie saratowska, tambowska, samarska, kijowska) w porównaniu z okresem przedwojennym. Szacuje się, że ofiarami upadku moralności i rozwiązłości seksualnej w czasie wojny w samej Rosji zostało według danych statystycznych 3,6 miliona mężczyzn i 2,1 miliona kobiet, choć liczba ta nieoficjalnie sięgała 10 milionów chorych obydwu płci.

Powyższe dane nie obejmowały żołnierzy armii czynnej podążających na Zachód, wśród których część już podczas mobilizacji zakwalifikowano jako cierpiących na choroby weneryczne, pozostali zaś zarazili się w okresie późniejszym. Podejmowane na niewielką skalę próby leczenia chorób wstydliwych na froncie obejmowały profilaktykę i izolację z docelowym kierowaniem do punktów właściwej pomocy medycznej na tyłach. Stworzona przez przepisy sanitarne możliwość „legalnej dezercji” z pola bitwy niejednokrotnie wykorzystywana była przez rosyjskich żołnierzy. Wzrastająca lawinowo liczba zwalnianych ze służby czynnej z powodu syfilisu groziła paraliżem działań armii. O skali zjawiska pisał we wspomnieniach wojennych chorąży Bakulin [Из дневников офицера русской армии]: *Kiedy ewakuowano wszystkich chorych, zauważono, że niektórzy celowo zarażali się, aby tylko skorzystać z ewakuacji. W Polsce nawet Żydki oferowali żywy towar z pytaniem: „Dla przyjemności czy ewakuacji?”.*

W obliczu katastrofy odpowiedzialny za działania sanitarne i ewakuacyjne generał-adiutant książę Aleksander Piotrowicz Oldenburski nakazywał: *Ustanowić nadrzędną zasadę, że wszyscy wenerycy pełnili służbę w swoich oddziałach na równi ze zdrowymi, stosując jedynie leczenie ambulatoryjne. Żaden z nich nie podlega ewakuacji. Zarażonych syfilisem, jeśli jest taka możliwość, należy izolować od zdrowych i wyposażyć w znakowane łyżki i osobne naczynia. Jedyny wyjątek od tej reguły stanowią przypadki wymagające leczenia w łóżkach…”.*

Przenoszenie przez żołnierzy rosyjskich (i nie tylko) chorób wenerycznych odbiło się na zdrowotności ludności cywilnej. Za pierwszowojennymi armiami walczących stron podążały setki prostytutek, a wojska tworzyły oficjalne domy publiczne, a nawet dosłownie (!) burdele na kołach. Podczas I wojny światowej armia austro-węgierska trudniła się faktycznie sutenerstwem – rozprowadzała prezerwatywy (ich niestosowanie było w wojsku karane aresztem), prowadziła edukację seksualną. W 1915 roku, po wyczerpaniu wszelkich możliwych środków walki z chorobami wenerycznymi i stałym wzrostem zachorowań, wojsko utworzyło własne polowe i stacjonarne domy uciech, eufemistycznie zwane „higienicznymi sanitariatami”, odrębne dla panów oficerów i zwykłych wojaków. Miały one przede wszystkim zapobiegać rozprzestrzenianiu się syfilisu, kontrolować i regulować mo-

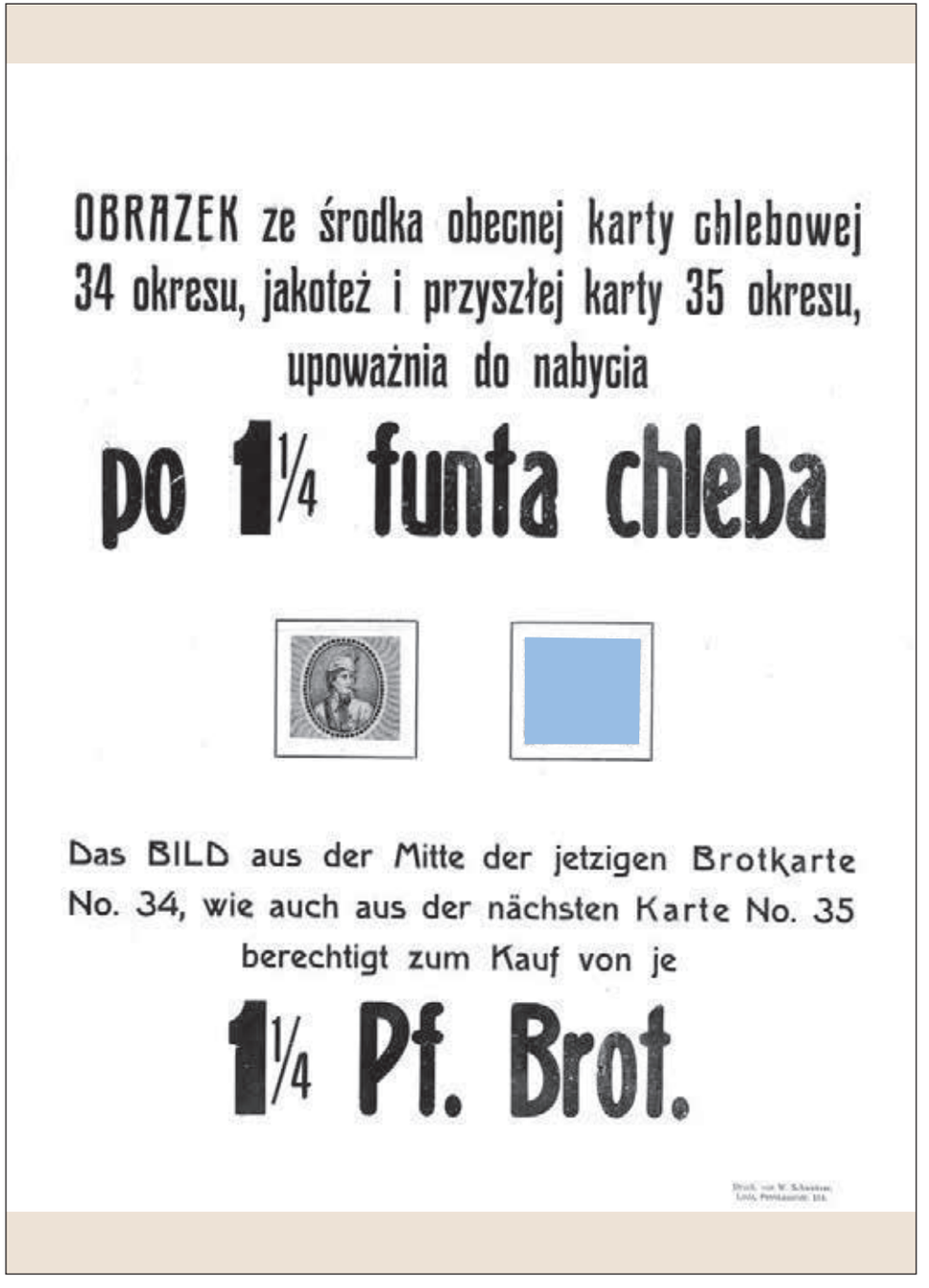
bilność seksualną żołnierzy. Oprócz utrzymania armii w należytej kondycji psychofizycznej wojskowe burdele miały hamować zachowania homoseksualne oraz autoerotyczne żołnierzy (homoseksualizm był w tamtym okresie penalizowany, a masturbację do dziś potępia kościół – podobno podczas tego nieczystego aktu płacze święty Ludwik). Ponadto zakładano, że zaspokojenie tych potrzeb wojska zmniejszy problem gwałtów i napaści seksualnych na kobiety.

Wojsko wykazało się więc szczególną troską o żołnierzy, dbając przy okazji także o swoje dochody. Dla prostytutek, szczególnie w żołnierskich burdelach, dobro żołnierskie oznaczało ciężką pracę. Wyznaczono dla każdej pani normę obsługi do 16 klientów dziennie. Kiedy armia ruszała na front, zarząd jednego z takich przybytków odnotował nawet maksymalną liczbę 100 zalotników na prostytutkę. Nierzadkie były także przypadki rozwiązłości pielęgniarek i sanitariuszek. Wspomniany chorąży Bakulin odnotował w swoim dzienniku: *Choroby przenoszone drogą płciową szaleją nie tylko wśród żołnierzy, ale także, niestety, wśród sióstr miłosierdzia […]. Niedawno ze stacji Mołodeczno wysłano na leczenie sto sióstr. Jak twierdził jeden lekarz z Warszawy w szpitalu leżało nawet 300 sióstr i kilku kapłanów. […] Na froncie syfilis nazywano nawet „siostrzanką", a symbolikę Czerwonego Krzyża wiszącą nad instytucjami wojskowych organizacji sanitarnych porównano z <czerwoną latarnią>.*

Wzrost liczby kobiet zajmujących się prostytucją w latach Wielkiej Wojny warunkowały przede wszystkim czynniki ekonomiczne, choć nie bez znaczenia były także zmiany obyczajowości. Autor artykułu „Moralność a wojna", opublikowanego na łamach „Gazety Łódzkiej" w 1915 roku, dowodził negatywnego wpływu biedy i… literatury na kondycję moralną ówczesnych kobiet, podkreślając (niezbyt zresztą trafnie): *Szczególnie wybiła się w tym względzie literatura naturalistyczno-pornograficzna, która w krótkim czasie zapanowała na rynkach wydawniczych […]. Typowemi w tym względzie są romanse rosyjskie (Arcybasow [chodzi o Michaiła Arcybaszewa], Amfiteatrow etc).*

Przymusowa wojenna separacja par narzeczeńskich i małżeńskich stworzyła nową moralność. Doprowadziła do rozwoju osobliwej rewolucji obyczajowej, obejmującej życie intymne. Podnosząc argumenty medyczne, podkreślano, że abstynencja seksualna była zjawiskiem nienaturalnym, sprzecznym z naturą i po prostu niezdrowym. Wskazywano na jej negatywnie skutki na zdolności bojowe żołnierzy i postulowano konieczność pielęgnowania żywej seksualności wojska. Należy przy tym podkreślić, że swoboda kontaktów płciowych była rozluźniona i w zasadzie społecznie akceptowalna jedynie w odniesieniu do wybujałego w czasie konfliktu wojennego erotyzmu mężczyzn. W przypadku kobiet było odwrotnie. Niewierność żeńskiej części społeczeństwa została uznana przez instytucje państwowe i ogół obywateli za postawę niepatriotyczną. Postrzegano ją niemalże w kategoriach zdrady ojczyzny. Szczególnie kościół katolicki ostro potępił stosunki pozamałżeńskie kobiet i uznawał je za główną przyczynę upadku moralnego społeczeństwa. Tymczasem dla wielu kobiet prostytucja była po prostu jedynym możliwym sposobem zarobkowania. Masowe ubóstwo wraz z faktem pojawiania się dużej liczby wojsk napędzały zarówno popyt, jak i podaż na usługi seksualne świadczone żołnierzom. Przyczyniały się także do gwałtownej transmisji syfilisu i rzeżączki. W samej Łodzi w szpitalu św. Aleksandra w 1914 r. na 1451 pacjentów 207 stanowili chorzy weneryczni. Zaledwie rok później z 1581 hospitalizowanych aż 1237 (78,2%) stanowili wenerycy.

Kamila Pawełczyk-Dura
Piotr Zawilski



KTO ZDOBYŁ ŁÓDŹ?

No właśnie... w różnym czasie różne źródła różnie tę sprawę przedstawiały. Dlaczego? Po części zamieszanie wynikało z zapotrzebowania politycznego, po części z niewiedzy opisujących zagadnienie.

Jakie nazwiska pojawiały się w obiegu? Najbardziej egzotyczne to generał Hermann Otto Hugo Ferdinand von Plüskow (szerzej znany pod swoim drugim imieniem). W źródłach możemy napotkać jedno jedyne zdjęcie korespondenta prasy amerykańskiej przedstawiające generała przed wejściem do łódzkiego Grand Hotelu, z napisem *Gen. von Pluskow who took Lodz,* czyli *Gen. von Pluskow, który zdobył Łódź*. Cóż to za figura? Sumiasty wąs i szabla na wysokości kolan wskazują, że mamy do czynienia z niechlujnym kawalerzystą lub oficerem głębokiego zaplecza kwatermistrzowskiego. Swego czasu Plüskow był dowódcą prześwietnego i bardzo elitarnego 1 Pułku Grenadierów Gwardii im. Cesarza Aleksandra. W czasie Bitwy Łódzkiej dowodził XI Korpusem Armijnym, który podczas uderzenia niemieckiego spod Włocławka nacierał na prawym skrzydle 9 Armii wzdłuż wschodniego brzegu Warty. Możliwe, że to właśnie jego oddziały były odpowiedzialne za zbombardowanie podłódzkiego Konstantynowa w tak ogromnym stopniu, że jeszcze w roku 1917 niektórzy jego mieszkańcy mieszkali w prowizorycznych ziemiankach. Pewne jest, że to nie działania jego korpusu miały zdecydowany wpływ na zajęcie miasta, choć prawdopodobnie to jego oddziały jako pierwsze wkroczyły do Łodzi od strony północy. Skąd więc pomysł na opisanie Plüskowa jako zdobywcy? Możliwe, że dumna sylwetka byłego członka gwardii, którego stać było potykać się o własną szablę, zmyliła amerykańskiego dziennikarza, możliwe też, że korespondent mianował tym tytułem pierwszego generała jakiego zobaczył wychodzącego z Grand Hotelu, zajętego przez dowództwo 9 Armii.



Generał Karl Litzmann



Generał Otto von Plüskow



Generał August von Mackensen – portret wykonany w Łodzi przez Hermanna Strucka.

Kolejne wskazanie to nie kto inny jak marszałek Paul von Hindenburg, autor zwycięstwa pod Tannenbergiem, przedstawiany jako mąż opatrznościowy i zbawca. Zaraz po zakończeniu Bitwy Łódzkiej niemiecka propaganda wydała pocztówkę patriotyczną, jakby żywcem wziętą z *Przygód dobrego wojaka Szwejka*, przedstawiającą marszałka, a jakże na koniu i z szablą w górze, wiodącego z rozwiniętym sztandarem pruskie oddziały do ostatecznego szturmu na Łódź. Napis głosi *Hindenburg inmitten seiner siegreichen Truppen vor Lodz*, co



Marszałek Paul von Hindenburg „Hindenburg pośród swoich zwycięskich wojsk przed Łodzią”.

można przetłumaczyć *Hindenburg pośród swoich zwycięskich wojsk przed Łodzią*. Hindenburg już raz uratował Rzeszę Niemiecką, zatrzymując, a następnie gromiąc rosyjski walec parowy w bitwie, którą natychmiast po zakończeniu opisano jako rewanż za Grunwald. Teraz – według niektórych – ponownie ocalił Niemcy, opracowując uderzenie z północy w bok wojsk rosyjskich idących na Śląsk i Berlin. Gwiazda Hindenburga świeciła praktycznie przez całą wojnę, dając mu w jej trakcie praktycznie pozycję dyktatora, a po jej zakończeniu stanowisko prezydenta Republiki Weimarskiej. Kiedy zajmował to stanowisko, mianował, mimo dużej niechęci, kanclerzem Rzeszy Adolfa Hitlera.

Ten zaś postanowił uczynić autorem zwycięstwa w Bitwie Łódzkiej generała Karla Litzmanna zagorzałego zwolennika partii nazistowskiej. Co za czarna niewdzięczność! Litzmann dowodził w bitwie 3 Gwardyjską Dywizją Piechoty. W walce sprzyjało mu szczęście, wyprowadził swoje oddziały z niemal całkowitego okrążenia. Wycofując się, przeciął połączenie kolejowe Łodzi z Warszawą, a tym samym odciął Rosjan od możliwości uzyskania posiłków. Poza tym zajął ważne strategicznie Brzeziny, blokując możliwość odsieczy od strony Skierniewic. Jest jednak jeden problem – nigdy nie walczył o samo miasto, jego działania były przykładem żołnierskiego szczęścia, nie kunsztu wojennego, a całe zamieszanie wynika z faktu nazwania Łodzi podczas II wojny światowej jego nazwiskiem (Litzmannstadt), niejako w nagrodę za wspieranie Hitlera i jego partii.

Zdecydowanym przeciwnikiem Hitlera był za to ktoś inny – generał Anton Ludwig Friedrich August von Mackensen (bardziej znany pod swoim czwartym imieniem), w Bitwie Łódzkiej dowódca 9 Armii, realizator planów Hindenburga. Umiejętnie operował przeciwko dwóm rosyjskim armiom, nie dopuszczając mimo dużych strat do ich połączenia się w walce. Nieustępliwość jego wojsk doprowadziła do przedwczesnej – jak uważają niektórzy historycy – decyzji o opuszczeniu Łodzi przez Rosjan. Karierę wojskową Mackensen rozpoczął w 2 Regimencie Huzarów Śmierci. Sentyment do tej formacji pozostał mu do końca, uwielbiał bowiem paradować w mundurze tej formacji. Służył także m.in. jako adiutant słynnego feldmarszałka Alfreda von Schlieffena i cesarza Wilhelma II. Po Bitwie Łódzkiej doprowadził w 1915 roku do opuszczenia przez Rosjan Królestwa Polskiego, a następnie wsławił się zdobyciem stolic dwóch wrogich państw – Belgradu i Bukaresztu. Do końca pozostawał zwolennikiem monarchii Hohenzollernów, był niechętny Hitlerowi, potępił zbrodnie Wehrmachtu w 1939 roku. Być może dlatego Łodzi nie nazwano Mackensenstadt.

pz



Fotografował Michał Daszewski

Przemarsz ulicą Piotrkowską oddziałów lekkiej jazdy niemieckiej, (doskonale widoczne są lance). Tutaj nie bez trudności ustaliliśmy, że żołnierzy uchwycono w kadrze na wysokości numeru 94. Widoczny parterowy budynek ze spadzistym dachem, mieszczący zakład fryzjerski, już nie istnieje, na jego miejscu stoi obecnie biurowiec. Podczas Bitwy Łódzkiej, mającej charakter wybitnie manewrowy, obie strony skwapliwie korzystały z dużych formacji kawalerii. Po stronie niemieckiej były to: działający na głównym kierunku uderzenia 9 Armii I Korpus Kawalerii gen. Manfreda von Richthofena (stryjecznego dziadka i ojca chrzestnego słynnego Czerwonego Barona, który po chrzestnym otrzymał imię) oraz III Korpus Kawalerii gen. Rudolfa Frommela, blokujący działania Rosjan w okolicach Szadku i Zduńskiej Woli. Rosjanie wystawili I Korpus Kawalerii gen. Aleksandra Nowikowa oraz Kaukaską Dywizję Kawalerii gen. Cherpantiera.

BUT POD STOŁEM W NOWOSIOŁKACH

Mikołaj Władimirowicz Butorow urodził się w Petersburgu w 1884 r. Był arystokratą, absolwentem ekskluzywnego Cesarskiego Liceum Aleksandrowskiego i oficerem Pułku Ułanów Jej Wysokości Cesarzowej Aleksandry, żony cara Mikołaja II. W czasie I wojny światowej dowodził oddziałem sanitarnym Czerwonego Krzyża w składzie 30 Dywizji Piechoty. Po rewolucji walczył w szeregach Białej Armii na północy Rosji (Murmańsk). Zmarł na emigracji w Paryżu w 1970 r. Został pochowany na cmentarzu Sainte-Genevieve-des-Bois w departamencie Essonne, gdzie spoczywa ok. 15 tys. emigrantów rosyjskich i radzieckich, m.in. Andriej Tarkowski i Iwan Bunin.

W 2007 r. w Rosji ukazała się książka Butorowa *Przeżyte. 1905-1920*. To wstrząsająca historia zagłady dawnej Rosji, eksterminacji inteligencji, twórców, intelektualnych elit społeczeństwa. Nas interesują głównie wspomnienia autora, dotyczące walk pod Łodzią w listopadzie 1914 r. Najczęściej zajmujemy się przebiegiem walk – a przecież najtragiczniejszym żniwem bitwy łódzkiej były dziesiątki i setki tysięcy rannych i zabitych. To oni spoczywają na 173 cmentarzach wojennych z tego okresu na terenie naszego województwa. Jak ich ratowano, jak chowano w grobach, jak wyglądał dzień powszedni tych, którzy wywozili rannych spod ognia i grzebali poległych? Butorow odpowiada na te pytania. Guzów (obecnie w powiecie żyrardowskim) to miejsce pochówku 35 tysięcy żołnierzy – ofiar ataków gazowych nad Rawką w maju 1915 r.

Każde świadectwo jest ważne. Każde słowo i każde zdanie, które dociera do nas z Przeszłości.

Michał B. Jagiełło

Nikołaj Butorow – *Przeżyte 1905-1920*
(fragmenty)

Utkwił mi w pamięci jeszcze jeden epizod z tej wojny. Nieustannie atakując, Niemcy coraz ciaśniejszym pierścieniem otaczali Łódź. Podeszli do niej z trzech stron, okopy naszych pułków znajdowały się w granicach miasta. Jedynie ze strony traktu tomaszowskiego (dzisiejsza ul. Rokicińska – przyp. tłum.) nasi uporczywie trzymali się na linii obrony w odległości 15-20 wiorst od Łodzi. Kto mógł, wyjechał z miasta. Było opustoszałe, działały jedynie nieliczne sklepy i restauracje. (…) Wiedziałem, że w odległości 7-10 wiorst od strony szosy na Tomaszów w okolicach wsi Nowosiołki [tu autora zawiodła pamięć, mowa o Nowosolnej – przyp. tłum.] przy 2 Korpusie działa Oddział Liniowy Czerwonego Krzyża pod dowództwem Tarasowa (ukończył Liceum Aleksandrowskie w składzie 54 kursu) i z trudem radzi sobie w obliczu nieustannego naporu Niemców, pragnących ostatecznie zamknąć Łódź w pierścieniu okrążenia. Postanowiłem wesprzeć go na pozycjach.

Wyjechaliśmy pod wieczór ze wszystkimi dwukółkami i skierowaliśmy się ku łunom, widocznym gdzieś w okolicach Nowosolnej. Im bardziej zbliżaliśmy się do źródła pożarów, tym bardziej było widoczne, że pali się sama Nowosolna. Znaleźliśmy Tarasowa w wiosce odległej od Nowosolnej o 2-3 wiorsty [niewykluczone, że w Wiączyniu – przyp. tłum.]. Ucieszył się, że może skorzystać z naszych dwukółek do transportu rannych do Łodzi i zakomunikował, że linia frontu przebiega mniej więcej w połowie Nowosolnej, wsi szeroko rozrzuconej, głównie wzdłuż drogi. Wszystko jest tam przemieszane z powodu ciągłego przechodzenia chat z rąk do rąk, więc trudno się zorientować, gdzie są nasi, a gdzie Niemcy.

Zaczęliśmy ładować rannych na wozy. Nagle przybiega student medycyny Neggo i ze wzburzeniem zaczyna prosić, żeby powstrzymać ładowanie rannych.
– Dlaczego? O co chodzi? – spytałem.
–Tutaj jest już bezpiecznie. Stąd bez problemu zdążą wywieźć rannych, a w Nowosolnej wszystkie domy są pełne rannych i nikt nie ma odwagi tam pojechać – wyjaśnił Neggo.
– Ale wie pan przecież, że w Nowosolnej wszystko jest pomieszane i mamy spore szanse, że nie ujdziemy stamtąd z życiem – zaoponowałem.
– Można tam dojechać – gorączkował się Neggo. – Dopiero co przybył z Nowosolnej sanitariusz pułkowy, zaprowadzi nas. Leży tam wielu rannych żołnierzy i oficerów, ale dostać się do Nowosolnej można tylko nocą.
– Nowosolna płonie, w nocy jest tam widniej niż w dzień – protestowałem.
– Sanitariusz mówi – nalegał Negro – że Niemcy po dziennych atakach są tak zmęczeni, że nocami starają się odpocząć i atakować nie będą. Można to wykorzystać. Jeśli my tam nie pojedziemy, to już nikt nie pojedzie i ranni zostaną skazani na pastwę losu. (...)

Rozkazałem Neggo zgromadzić wszystkie dwukółki. Było ich dwanaście. Ruszyliśmy. Purpurowo-czerwone łuny pożarów w oddalonej części Nowosolnej, pokonując ciemność, oświetlały nam drogę. Zachowywaliśmy spore odstępy między dwukółkami, kiedy zbliżaliśmy się do pierwszej linii, woźnice zaczęli prowadzić konie za uzdy. Ciszę naruszały pojedyncze wystrzały i krótkie serie z karabinów maszynowych. Przy pierwszych zabudowaniach Nowosolnej ukryliśmy dwukółki w cieniu murów, w zakątkach, do których nie docierał blask łun. Szeregi domów na tle pożarów wzbudzały niepokój brakiem oznak życia i bliskością nieprzyjaciela.

Rozmawiając półgłosem, postanowiliśmy zacząć ewakuację rannych od podprowadzenia dwukółek jak najbliżej linii walk. Gdy tylko ucichł jazgot karabinów maszynowych, pierwszy wóz galopem przeskoczył w cień następnego domku. Leżało tam kilku rannych. Dwukółki, z dużymi przerwami, przeskakiwały od chałupy do chałupy, najdalej jak tylko się dało, kryjąc się w cieniu ścian. Karabiny maszynowe odzywały się coraz częściej, kule przelatywały tuż nad nami. Uzmysłowiłem sobie, że dotarliśmy już do 12 czy 14 domu i więcej rannych raczej nie ewakuujemy. – Proszę pozwolić pójść jeszcze trochę dalej – poprosił Neggo.
– Po co?
– Sanitariusz mówi, że w dwóch chatach dalej leżą dwaj ranni oficerowie.
– Nie możemy ryzykować – fuknąłem na niego. – Już nas namierzyli. Słyszy pan te karabiny maszynowe?
– Proszę – zaczął błagać Neggo. – Wezmę dwie dwukółki. Sam je poprowadzę. Trzeba ratować oficerów! Jesteśmy
ich ostatnią nadzieją!
– Bóg z panem. Jeśli pan zginie, proszę mieć pretensje do siebie – odpowiedziałem szorstko i wszedłem do chaty.
Leżeli w niej dwaj ranni żołnierze, a na ławie konał oficer. Łuna pożaru oświetlała izbę przez okno. Znalazłem na stole ogarek świecy, zapaliłem go i podszedłem do oficera. Wyglądał na nieprzytomnego. Ale na mój widok otworzył powieki, lekko się uśmiechnął:
– Dziękuję, książę (pewnie wziął mnie za kogoś innego, kogoś ze swojego pułku). – Wiedziałem… Pan przyjdzie… Proszę mnie… zostawić… umieram… list… do mamy… w kieszeni…
Wyciągnąłem list, zacząłem uspokajać oficera.
– Proszę się nie martwić. Zaraz zabierzemy pana do Łodzi, dojdzie pan do siebie.
– Nie – przerwał mi, z trudem wymawiając słowa. – Ja umieram.

Tak było w istocie. Udało mu się jeszcze wyszeptać parę słów. Zaczął rzęzić. Coraz głośniej. Kilka razy głęboko westchnął, nieco uniósł się na łokciach, poruszył ręką i ciężko opadł na ławę. Stałem wstrząśnięty, ocierając łzę…

Szybkim krokiem wszedł Neggo. – Ewakuowaliśmy oficerów – zameldował radośnie. Na widok konającego ucichł, podszedł i skonstatował zgon. Mimo braku miejsca na dwukółkach, postanowiliśmy zabrać poległego i zaczęliśmy wynosić rannych z chaty. – A co to za but pod stołem? – spytał nagle Neggo. Rzeczywiście, spod stołu wystawał but. Pociągnęliśmy za niego i wywlekliśmy spod stołu… dorodnego Niemca z karabinem. Naszemu zdumieniu nie było końca. Niemiec miał zmęczony, obojętny i osłupiały wyraz twarzy, nie podejmował żadnych prób oporu. Zabraliśmy go.

Karabiny maszynowe zaczęły walić coraz mocniej i częściej, kule dziurawiły ściany chałup, a pożary wciąż oświetlały wieś purpurowo-czerwoną łuną. Z najwyższą ostrożnością wydostaliśmy się z Nowosolnej. Bóg nas strzegł. Kiedy przekazaliśmy Tarasowowi naszego Niemca i jeszcze czterech innych, zdrowych byków z karabinami, wyłuskanych przez sanitariuszy z innych domów, poprosiłem go, żeby przedstawił Neggo i kilku sanitariuszy z jego dywizji do orderu Świętego Jerzego, a następnie przetransportowaliśmy rannych do Łodzi.

OSTATNIA RYCERSKA WOJNA

(…) Tam, gdzie odległość między naszymi okopami a niemieckimi była spora, można było nocą uprzątnąć poległych, ale na naszym odcinku okopy dzieliło 20-25 kroków i karabiny maszynowe nie pozwalały podejść do trupów. Kilka z nich rozkładało się na przedpolu i wydzielało tak straszny, zatruwający powietrze smród, że nie dawało się wytrzymać ani fizycznie, ani psychicznie. Oficerowie poprosili mnie o pomoc. Postanowiłem porozmawiać z dowódcą 30 dywizji, żeby pozwolił mi zawrzeć chwilowe zawieszenie broni z Niemcami i uprzątnąć te trupy. Dowódca na słowa „zawieszenie broni" zaczął z przerażeniem wymachiwać rękami, ale w końcu powiedział, że nie chce o niczym wiedzieć, nie wydaje żadnych dyspozycji i rozkazów, kategorycznie zabrania żołnierzom i oficerom brać udział w naszym spisku, ale będzie na wszystko patrzeć przez palce, zaś w razie czego cała odpowiedzialność spadnie na mnie. (…)

Rozpoczęliśmy przygotowania. Niemcy na naszym odcinku byli tak wstrzelani, że nie można było przejść nawet metra z uniesioną głową, nie mówiąc już o wychyleniu się na przedpole. Cała kompania dyskutowała w nieskończoność, jak przeprowadzić nasz plan. W końcu postanowiliśmy uprzedzić Niemców o naszych zamiarach i poinformować, którego dnia i o której godzinie chcemy zabrać poległych. Po wielu nieudanych próbach kamień z notatką po niemiecku wpadł w końcu do nieprzyjacielskiego okopu. Po jakimś czasie tą samą drogą nadeszła odpowiedź – zgoda. Oczywiście, taka zgoda, nie wiadomo czyja, niczego nie gwarantowała, jednakże po pierwsze, Niemcy też chcieli pochować swoich zabitych, a po drugie – zostali uprzedzeni, więc w razie czego nie otworzą ognia na chybił trafił, tylko do określonego celu.

(…) Nastał umówiony dzień. Było pochmurnie, ale deszcz nie padał. Ja, Neggo i inni ochotnicy weszliśmy do rowów łącznikowych. Dowódca kompanii i oficerowie spotkali nas przed swoją ziemianką. W powietrzu unosił się straszliwy smród, dziwiliśmy się, jak można było tu wytrzymać… Wszyscy niespokojnie czekali na wyznaczoną godzinę – dwunastą, w samo południe. Dowódca kompanii odliczał do dziesięciu. Na „trzy" mieliśmy – ja i Neggo – wyjść z transzei… Nagle przy słowie „dwa" Neggo wyskoczył na przedpole, trzymając wysoko nad głową flagę Czerwonego Krzyża. Wyskoczyłem za nim…

Tych kilku minut (a może sekund), kiedy samotnie staliśmy z flagą Czerwonego Krzyża w charakterze doskonałego celu dla niemieckich kaemów, wsłuchując się w pojedyncze wystrzały z lewej i prawej, nigdy nie zapomnę… Nad niemieckim okopem pokazało się kilka głów. Gniewny głos kazał im się schować, po czym ten sam głos spytał głośno po niemiecku, czy możemy potwierdzić, że nasza strona nie otworzy ognia. Wszyscy odetchnęli, nasz plan się powiódł.

Neggo po niemiecku potwierdził zapewnienie. Wtedy z okopu wyłonił się niemiecki oficer z rewolwerem w ręku i stwierdził, że musimy wyznaczyć linię demarkacyjną. Powoli ruszył w naszą stronę, ja poszedłem w jego kierunku. Spotkaliśmy się twarzą w twarz, oddaliśmy sobie honory wojskowe i poszliśmy – on w prawo, ja w lewo, wzdłuż linii okopów, wyznaczając obcasami linię demarkacyjną. Kiedy skończyliśmy, obaj wezwaliśmy po czterech ludzi z każdej strony, żeby zabrali trupy. Trwało to nie dłużej niż kwadrans. Po zakończeniu operacji oficer niemiecki znów podszedł do linii, ja również. Znów sobie zasalutowaliśmy, on poczęstował mnie koniakiem, ja podarowałem mu tabliczkę czekolady; uścisnęliśmy sobie dłonie i wróciliśmy do swoich okopów. Po chwili nasze i niemieckie karabiny maszynowe znów otworzyły ogień na znak, że zawieszenie broni skończone.

Niezwłocznie pojechałem do dowódcy 30 dywizji z meldunkiem. Tego dnia było mi wyjątkowo lekko na duszy…

tłumaczenie Michał Jagiełło



DO ROSSYJSKIEJ NIEWOLI

Pod koniec listopada 1914 r. doszliśmy w sile jednego podoficera i 5 ludzi do Brzezin pod Łodzią. Gdy skręcaliśmy do tego polskiego miasteczka, minęły nas kolumny XXV korpusu rezerwy. Nasz 225 rezerwowy regiment piechoty (Reserve-Infanterie-Regiment Nr. 225) otrzymał rozkaz pozostania w Brzezinach. W domu na rynku zamierzaliśmy się wreszcie porządnie wyspać. Ledwie się położyliśmy, usłyszeliśmy alarm. Jeździec meldował o marszu wroga na miasto. Mieliśmy kolumnę zatrzymać przed Brzezinami. Inaczej całe zaopatrzenie, amunicja i 700 rannych wpadłoby w ręce Rosjan. Z karabinem w ręce popędziłem na rogatki. Po drodze uzbierało się nas około 20 ludzi. Ledwie zajęliśmy cmentarz, zobaczyliśmy kozaków, a za nimi rosyjską piechotę. Jaka szkoda, że nie mieliśmy artylerii albo karabinów maszynowych. To był obiecujący łup.

Nagle Rosjanin wdarł się do miasta z wrzaskiem i okrzykiem „urra!". Najpierw plądrują lazaret. Porucznik Wibmann, ranny poprzedniego dnia w szyję, przejmuje dowództwo. Ustawia przed lazaretem drewniany wóz. Wszyscy chowamy się wstrzymując oddech. Wibmann pozwala Rosjanom podejść na 15 kroków i szeptem daje komendę: „Ognia, Ładuj…" Odpaliliśmy trzy salwy. Z bagnetami idziemy do szturmu. 2 oficerów, 80 piechurów twardych jak syberyjskie drzewa, wziętych do niewoli.

Około 9 podchodzą pod kościół. Leżymy, czterech ludzi, jako zwiad. Nie możemy się ruszyć pod nawałą ognia. Słyszę śmiertelny szczęk broni maszynowej. Rozpryskuje się kora drzew, w twarz pryska ziemia. Nagle krzyk. Pierwszego towarzysza dosięgła kula. Strzał w głowę, Potem czuję uderzenie w nogę, Spodnie i płaszcz pełne krwi. I moi pozostali dwaj towarzysze dostali swoją „dolę". Wtedy nadchodzi wiadomość: Rosjanie zajęli inne pozycje. Natychmiast wracać, w przeciwnym razie będziemy odcięci od reszty! Czołgam się po ziemi, potem przez płot z desek. W końcu daję się postawić na nogi jakiemuś staremu. Widzę ulice pełne martwych Rosjan, nie ma żywej duszy, a mimo to wszędzie słychać świst strzałów. Utykam, ciągnę się ostatkiem sił przez 200 metrów do lazaretu polowego za naszą barykadą. Tam padam bez sił. Nie słyszę. Po ocknięciu się dowiaduję się od kamrata, że kula utkwiła w kolanie. Robi mi prowizoryczny opatrunek. Wtedy drzwi otwierają się z trzaskiem kolb. Wzięci do niewoli, jesteśmy zdani na łaskę Rosjan…



Rosjanie i ich niemieccy jeńcy.

Tekst na podstawie wspomnień Guenthera Strethoffa żołnierza rodem z Zielonej Góry opublikowanych w zielonogórskim wydaniu "Gazety Wyborczej" z 26.08.2004 r. w tłumaczeniu Dariusza Barańskiego

Z FRONTU. W trakcie walk na szosie Bełchatów-Piotrków do chaty-lazaretu rosyjskich rannych trafił jeden Austriak. Ranni robili nosze dla kolegi, któremu kula przebiła pierś na wylot. Ci z kontuzjowanymi rękami chodzili po żerdzie, deski i sznury, kontuzjowani w nogi wiązali z desek nosze. Austriak miał gardło przebite bagnetem, co wyglądało okropnie. Mimo rany siedział i kurzył papierosa za papierosem, które skręcali mu rosyjscy ranni. Mówić nie mógł, ale pokazał na migi, że chce pomóc w budowie noszy i transporcie postrzelonego. W nagrodę dostał od Rosjan dwa kolejne papierosy. *mj*



Z FRONTU ZACHODNIEGO. W miejscowości Messine (24 km od Lille, 125 km od Brukseli) 7 czerwca 1917 r. o godzinie 3:10 zdetonowano 19 potężnych min, zawierających 450 000 kg amonalu. Dwie z min nie eksplodowały. Jedna z nich wybuchła dopiero w 1955 roku, a do dziś nikt nie wie, w którym miejscu jest ta druga. W Anglii zarejestrowano drgania typowe dla trzęsienia ziemi. Szacuje się, że w ciągu kilku sekund 10 000 ludzi zostało zabitych lub pogrzebanych żywcem.

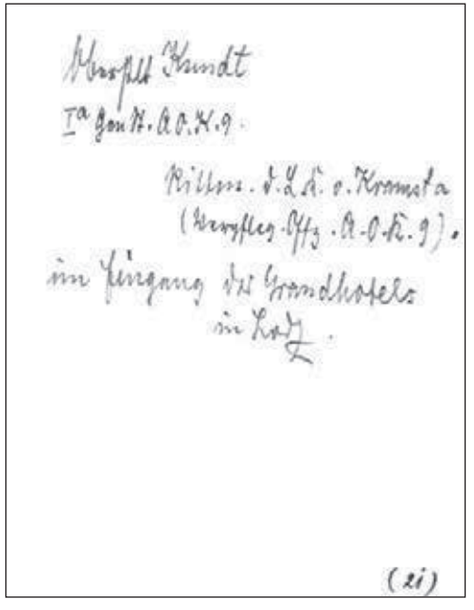
Nigdy więcej poza eksplozjami bomby atomowej, człowiek nie spowodował silniejszego wybuchu. *zj*

CHWILA RELAKSU PRZED GRAND HOTELEM

Prezentujemy zdjęcie, jakich można znaleźć tysiące – dwóch pruskich oficerów ucina sobie pogawędkę, stojąc przed wejściem do budynku. Szczęśliwie, na zdjęciu zapisano ich nazwiska, a dzięki charakterystycznym drzwiom rozpoznajemy natychmiast łódzki Grand Hotel, w którym, w czasie wojny stacjonowało niemieckie dowództwo. Cóż niezwykłego jest w tych postaciach? Zacznijmy od niższego szarżą. Po prawej stronie stoi – zgodnie z podpisem – rotmistrz lekkiej kawalerii von Kramsta, oficer kwatermistrzostwa w dowództwie 9 Armii. Jest to prawdopodobnie Hans Georg von Kramsta, syn Christiana Georga i Emmy Pauliny z... Scheiblerów. Oczywiście tych łódzkich. Trzeba przyznać, że dziwna to wizyta w rodzinnym mieście matki, podczas której gość w prezencie przynosi huk armat i rekwizycje.



Hans Georg von Kramsta i Hans Kundt.



Podpis na odwrocie zdjęcia.

O nim samym wiadomo niewiele. Urodził się 26 lutego 1890 roku w Berlinie i był najmłodszym dzieckiem wymienionej pary. Dzieciństwo i młodość spędził zapewne na zamku rodziców w miejscowości Frankenthal (Chwalimierz) na Dolnym Śląsku (obecnie obiekt ten znajduje się w ruinie). W momencie wybuchu Wielkiej Wojny był członkiem cesarskiego automobilklubu. Tuż przed fuzją zakładów Grohmana i Scheiblera, dokonaną w roku 1921, figuruje na liście akcjonariuszy zakładów scheiblerowskich, jako posiadacz 500 z 9 tysięcy akcji i 50 głosów (matka Emma posiadała tyle samo). W roku 1940 został wybrany na członka rady nadzorczej Zjednoczonych Zakładów K. Scheiblera i L. Grohmana. W tym samym czasie figurował na liście rady nadzorczej Łódzkich Elektrycznych Kolei Dojazdowych. W okresie międzywojennym mieszkał wraz z matką (zmarła w 1942 roku) na zamku w Matzdorf (Maciejowiec) koło Lwówka Śląskiego. Jako datę śmierci Hansa Georga przyjmuje się rok 1944. Jej okoliczności nie są jasne. Według jednej z wersji został rozstrzelany za współudział w spisku mającym na celu odsunięcie Hitlera od władzy (brak jego nazwiska na oficjalnej stronie dotyczącej ofiar tego puczu). Kolejna wspomina o zaginięciu bez wieści podczas bliżej nieokreślonej ucieczki. Ostatnio podaje się, że został w roku 1942 aresztowany przez Gestapo za pomoc Żydom i wywieziony do obozu w Auschwitz. Na skutek stawiennictwa rodziny i wpłacenia bajońskiej sumy 3,5 miliona marek, został zwolniony z obozu. Niestety w skutek skrajnego wycieczenia zmarł wkrótce po opuszczeniu Auschwitz w roku 1943.

Potęgę ekonomiczną rodziny stworzył Christian Georg von Kramsta zmarły w 1869 roku (w 1851 roku otrzymał tytuł szlachecki). W skład przemysłowego imperium wchodziły kopalnie węgla „Ignacy" w Zagórzu i „Jerzy" w Niwce. Zaopatrywały one m.in. łódzkie przedsiębiorstwa przemysłowe. Wspólne interesy zbliżyły go z Karolem Wilhelmem Scheiblerem, co zaowocowało małżeństwem z jego córką. Emma Paulina przyszła na świat w Łodzi w roku 1860. Ślub Christiana Georga Kramsty z Emmą Pauliną Scheibler odbył się 16 września 1879 roku w kościele pw. Świętej Trójcy. Świadkami byli: Adolf Scheibler fabrykant z Ozorkowa i Józef Werner właściciel majątku Parski – wujowie panny młodej. Przyszli małżonkowie zawarli intercyzę – oblubienica otrzymała 100 tys. rubli w gotówce, które Scheibler wypłacił na ręce przyszłego zięcia oraz wyprawę wartości 20 tys. rubli. Christian Georg von Kramsta wybudował hutę cynku „Paulina" w Zagórzu i walcownię cynku „Emma" w Sosnowcu. Nazwa przedsiębiorstwa pochodziła oczywiście od imienia żony. Dzięki posagowi mógł rozwinąć potęgę ekonomiczną Kramstów.

Przejdźmy do drugiego z oficerów, po lewej stronie w mundurze pułkownika stoi Hans Kundt. Oficer Ia (czyli oficer operacyjny) dowództwa 9 Armii. Niedawno na wezwanie Ojczyzny powrócił aż z Boliwii. Przebywał tam od roku 1911 – stał na czele niemieckiej misji wojskowej (składającej się z 5 oficerów i 13 podoficerów), której zadaniem było wyszkolenie tamtejszej armii na wzór pruski. Wielką Wojnę spędził na froncie wschodnim, dowodząc m.in. elitarnym 1 Pułkiem Grenadierów Gwardii (patronem pułku był Aleksander I car Rosji, przeciw której pułk walczył). Koniec wojny zastał Kundta w stopniu generała majora. Nie znalazłszy miejsca w zredukowanej armii niemieckiej, w roku 1921 powrócił do Boliwii, gdzie został mianowany szefem sztabu tamtejszej armii, by w roku 1927 objąć tekę Ministra Wojny. Na skutek zamachu stanu (za którym miał stać Ernst Röhm – tak, ten słynny założyciel i dowódca SA) został pozbawiony stanowiska i wyjechał do Chile. Wezwany na powrót do Boliwii, w roku 1932 stanął na czele armii w tzw. wojnie o Gran Chaco, toczonej z sąsiednim Paragwajem – i tak został de facto dyktatorem Boliwii. Podczas wojny Kundt natrafił po przeciwnej stronie na starych znajomych z frontu wschodniego – generałów Iwana Bielajewa i Mikołaja Erna. Tym razem górą byli Rosjanie. Kundt – wygubiwszy armię boliwijską w równie bezsensownych co krwawych frontalnych atakach na umocnione punkty oporu armii paragwajskiej – został zdjęty ze stanowiska i powrócił w niesławie do Niemiec.

Maciej Janik & pz

NA WOJNĘ O SUCHYM PYSKU

Armia rosyjska piła dużo i często. Niemalże heroicznie, pomimo ograniczeń systemowych i zdrowotnościowych. W czasie pokoju, w czasie wojny. A może szczególnie w czasie wojny…

Konflikt rosyjski-japoński z 1905 roku obnażył bezlitośnie słabość carskiego systemu państwowego, który przegrał starcie z krajem uważanym na początku XX wieku za „błahego przeciwnika". Jako główną przyczynę sromotnej klęski militarnej wskazano... alkohol. Słusznie zresztą. Korespondent niemieckiej *Neue Freie Presse* pisał: „To nie Japończycy ich pobili, lecz zatriumfował alkohol, alkohol, alkohol". Faktycznie, potężna Rosja nie potrafiła dostarczyć w porę na front wystarczających sił. Około 1/3 rezerwistów z powodu notorycznego pijaństwa po prostu nie dotarła lub spóźniła się na punkty mobilizacyjne. Ci, którzy jakimś zrządzeniem losu dotarli na miejsce, nie nadawali się do służby. Oficerowie nie byli w stanie zapanować nad hordami świeżo zmobilizowanych, zamroczonych wysokoprocentowymi trunkami żołnierzy, którzy, będąc względnie trzeźwi, zajmowali się jedynie rabunkiem sklepów i składów alkoholowych w pobliżu koszar i w punktach etapowych w drodze na front. Rozprężenie w armii rosyjskiej było tak wielkie, że pito na umór i w okopach, i w czasie ataku, i w czasie obrony, i wreszcie w czasie odwrotu. Żołnierze rosyjscy upijali się do nieprzytomności także w niewoli i po jej opuszczeniu. Petersburska prasa donosiła: „Japończycy znaleźli kilka tysięcy rosyjskich żołnierzy tak zalanych w trupa, że mogli ich poprzebijać bagnetami niczym stado świń".

Klęska japońska pijanej Rosji rozniosła się echem po całej Europie. Cesarz Niemiec Wilhelm II miał stwierdzić, że „zwycięstwo w następnej wojnie w Europie przypadnie armii, która będzie bardziej trzeźwa". Car Mikołaj II w swoich zapędach imperialistycznych musiał zareagować. Na początku XX wieku pod jego osobistym patronatem powstał powszechny ruch *triezwiennikow*, czyli carskich abstynentów, wzmacniający oficjalny „kult trzeźwości wojskowej". Wzięto się do reformy „pijanego budżetu", z którego czwartą część stanowiły właśnie dochody ze sprzedaży alkoholu. Decyzja ta była krytykowana przez wielu wybitnych polityków rosyjskich. Jeden z przywódców frakcji kadetów (Stronnictwo Konstytucyjno-Demokratyczne) w Dumie Państwowej Andriej Iwanowicz Szingariew grzmiał z ławy parlamentarnej: „Od niepamiętnych czasów kraje prowadzące wojnę potrzebowały pieniędzy. Zdobywano je w różne sposoby, zarówno poprzez dobrowolne składki, jak też obowiązkowe opłaty, kontrybucje, a nawet konfiskaty mienia. Ale od początków ludzkości nie było państwa, które dobrowolnie rezygnowało z głównego źródła swoich dochodów". W politycznych kuluarach i na rosyjskich ulicach zaczęło pojawiać się obcobrzmiące i złowrogie słowo „prohibicja".

Ostatecznie car Mikołaj II w początkach konfliktu pierwszowojennego, tj. 18 lipca 1914 roku, wprowadził zakaz sprzedaży alkoholu na czas mobilizacji. Nie obejmował on sprzedaży wina mszalnego w świątyniach i napojów alkoholowych serwowanych w restauracjach pierwszej kategorii oraz bufetach przy zebraniach i klubach, a więc przybytkach zarezerwowanych dla przedstawicieli stanu wyższego. Tam naród mógł się kulturalnie upijać. Fakt, że podczas pierwszych miesięcy prohibicji elitarnym knajpom pozwolono nadal serwować alkohol, podczas gdy karczmy i sklepy odwiedzane przez ubogą, zdecydowanie większą część społeczeństwa, zostały zamknięte, zrodził tylko powszechną niechęć i spadek popularności cara, a także … napędził domową przedsiębiorczość. Dla niższych warstw carska prohibicja oznaczała w praktyce spożywanie różnych substytutów alkoholu lub zastępczą produkcję bimbru, skutkującą wzrostem śmiertelności z powodu zatruć alkoholem. Wreszcie zaś, odbiła się na kondycji fizycznej, a nade wszystko psychicznej szykującej się do wojny armii rosyjskiej.

Początkowo ograniczenie punktów sprzedaży napojów alkoholowych było postrzegane jako tymczasowy środek mobilizacyjny. Praktycznie jednak od razu po przyjęciu nowego prawa masa żołnierska ruszyła na front. Do boju o wódkę. Szturm przeprowadzony na blisko 230 zakładów produkcji napojów alkoholowych, w sumie w 33 guberniach i powiatach, zakończył się zdobyciem większości z nich. Władze stanęły w obliczu fali rabunków sklepów i składów alkoholowych, która przetoczyła się przez Syberię, Ural, Wołgę i centralną Rosję. Przykładowo w całej guberni tomskiej w mniej niż pięć dni zniszczono ponad dwadzieścia punktów zaopatrzenia w trunki wysokoprocentowe. W Kuźniecku skład z winem przez kilka dni znajdował się w rękach powołanych do wojska rezerwistów. Nie podejmując ryzyka wejścia do środka policja, z bezpiecznej odległości obserwowała, co się dzieje, informując tylko kierownictwo o tępych „uderzeniach żelaza" dochodzących z wnętrza budynku. Barnaulski skład został z kolei spalony przez łupieżców po tym, jak doszczętnie ogołocono go z alkoholu. Niepokojące dla władz stało się to, że do rezerwistów zaczęli się przyłączać spragnieni mocnych wrażeń i trunków okoliczni włościanie. Wstrząśnięty powszechnym rabunkiem alkoholu naczelnik urzędu akcyzowego w obwodzie tomskim, niejaki Łagunowicz, telegrafował bezpośrednio do Sankt Petersburga: „Wzburzenie wśród rezerwistów guberni tomskiej ma charakter buntu".

W odpowiedzi na ataki postulowano wzmocnienie polityki trzeźwości. Trend ów dotarł także do Kraju Przywiślańskiego. Generał-gubernator warszawski i głównodowodzący wojsk Warszawskiego Okręgu Wojskowego Jakow Grigorijewicz Żyliński w telegramie przesłanym 20 lipca 1914 roku do gubernatora piotrkowskiego nakazał podjęcie niezwłocznych działań celem zniszczenia miejscowych zapasów wina i spirytusu w składach i sklepach. Na wszelki wypadek ministerstwo spraw wewnętrznych telegramem z 29 lipca 1914 roku zobowiązywało Michaiła Eduardowicza Jaczewskiego do natychmiastowego usunięcia wina i napojów alkoholowych ze sklepów znajdujących się na drodze przemarszu rezerwistów i poborowych.

Przedłużenie prohibicji na cały okres prowadzenia działań zbrojnych stało się faktem w końcu sierpnia 1914 roku. Z prawdziwie jedynowładczą manierą Mikołaj II telegramem z 28 września 1914 roku do swego stryja wielkiego księcia Konstantego Konstantynowicza postanowił skończyć z odwiecznym wrogiem raz na zawsze: „Piotrogród. [...] Postanowiłem już o zniesieniu na zawsze rządowej sprzedaży wódki w Rosji". Na terenie całego kraju surowo zabroniono produkcji, handlu oraz spożywania napojów zawierających choć odrobinę alkoholu. Nawet piwa!

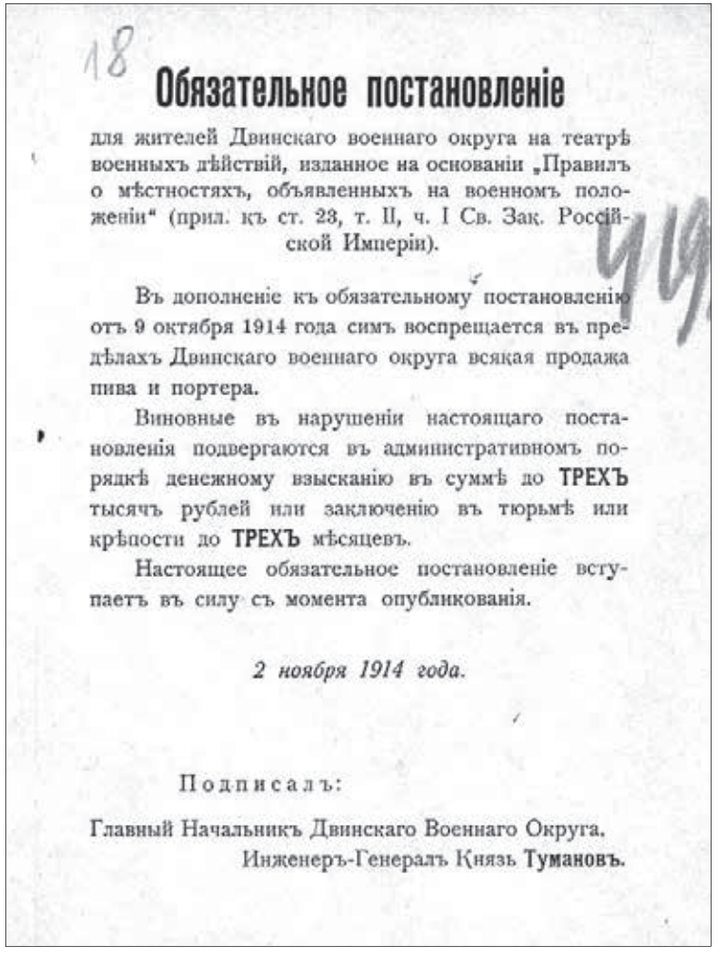
W obliczu kryzysu alkoholowego, w armii zdwojono wysiłki zmierzające do wyrównania niedoborów procentowych. Służyły temu ubogie przydziały wódki wydawane na czas świąt wojskowych. Rekompensowała je, w pew-

nym sensie, liczba tych uroczystości, dochodząca do 214 w roku!

Front alkoholowy przenosił się na Zachód wraz z armią Imperium. Okres walk zbrojnych sprzyjał rozwojowi małej przedsiębiorczości żołnierzy armii rosyjskiej, kwitnącej szczególnie wybujale w spekulacjach produktami alkoholowymi. Ten swoisty biznes carscy oficerowie prowadzili jednak, jak twierdzili, w celach wyższych – ratowania ubożejącej z każdym dniem kasy państwowej. Chorąży Bakulin zanotował następującą historię: „Jeden z naszych pułków 50. dywizji odbił 20 beczek rumu. Generalnie w Łucku zostało dużo wina, ale kiedy pojawił się kwatermistrz wszystko skonfiskował, a koniak i rum sprzedawał wszystkim chętnym oficerom za 5 rubli za butelkę, a że popyt był duży, podniósł cenę do 10 rubli, a teraz w ogóle nie sprzedaje. Pieniądze otrzymane za wino zasiłały rzekomo dochody państwa". Na koniec, pełen sceptycyzmu i jakby niewiary, wreszcie dodał: „Jest to mało prawdopodobne". Choć przecież nie można zapominać, że roczne dochody budżetu Imperium Rosyjskiego z monopolu spirytusowego w 1913 roku wynosiły bajońską wówczas sumę 665 milionów rubli.

Podobna polityka „rynkowa", przy ogólnym i nierozwiązywalnym oficjalnie deficycie zaopatrzeniowym, zmuszała do podejmowania aktywności własnej i wyboru opcji mniej oczywistej (aczkolwiek w równym stopniu zaspokajającej podstawowe potrzeby życia wojskowego). W innych fragmentach zapisków pierwszowojennego życia frontowego cytowany Bakulin wspominał: „Piją koniak, chociaż pomimo stosowania różnych sztuczek trudno go dostać, kupują go na recepty wystawiane przez lekarzy wojskowych […] po zawyżonych cenach. Szczególnie popularnym wyborem stał się spirytus, który łatwiej zdobyć niż koniak… Czasem udaje się dostać wódkę państwową, ale kto ją pije twierdzi, że jest za słaba i że trzeba ją dodatkowo wzmocnić spirytusem, aby była mocniejsza".

Ta osobliwa pomoc lekarska wpłynęła zasadniczo na zwiększenie i ulepszenie produkcji własnej. Rotmistrz Littauer podkreślał: „Z każdym dniem coraz trudniej było kupić wódkę. Ale przez lekarza pułkowego lub weterynarza zawsze mogliśmy wypisać receptę na czysty alkohol wykorzystywany do celów medycznych. Nauczyliśmy się robić z niego doskonałą wódkę". Frontowa specjalizacja w dziedzinie pomnażania procentów napojów wyskokowych



18

Обязательное постановленіе

для жителей Двинскаго военнаго округа на театрѣ военныхъ дѣйствій, изданное на основаніи „Правилъ о мѣстностяхъ, объявленныхъ на военномъ положеніи" (прил. къ ст. 23, т. II, ч. I Св. Зак. Россійской Имперіи).

Въ дополненіе къ обязательному постановленію отъ 9 октября 1914 года симъ воспрещается въ предѣлахъ Двинскаго военнаго округа всякая продажа пива и портера.

Виновные въ нарушеніи настоящаго постановленія подвергаются въ административномъ порядкѣ денежному взысканію въ суммѣ до **ТРЕХЪ** тысячъ рублей или заключенію въ тюрьмѣ или крѣпости до **ТРЕХЪ** мѣсяцевъ.

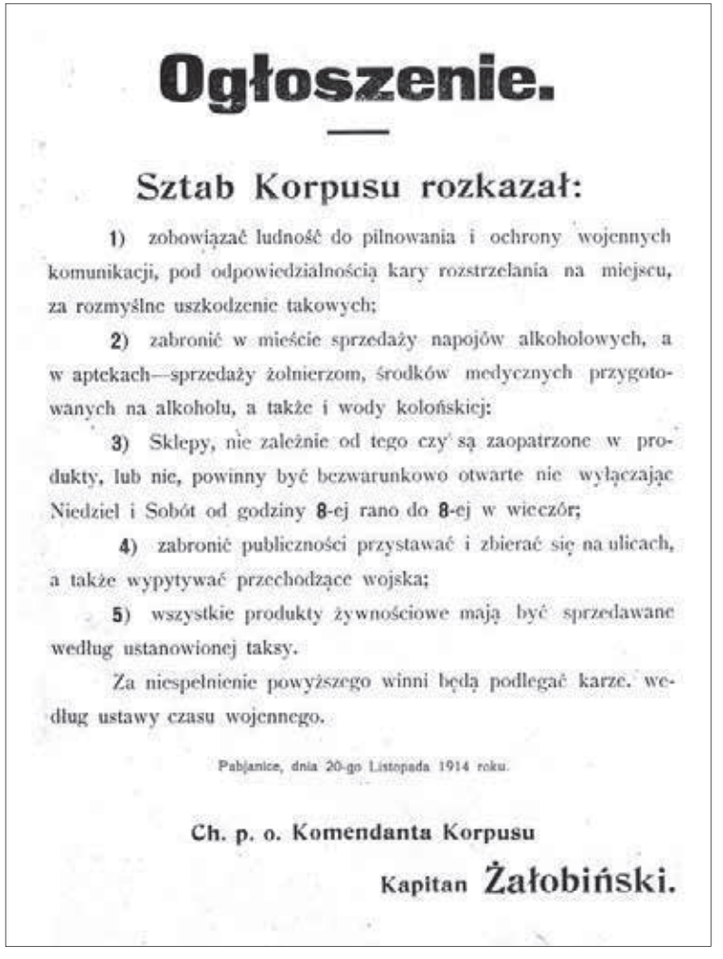
Настоящее обязательное постановленіе вступаетъ въ силу съ момента опубликованія.

2 ноября 1914 года.

Подписалъ:

Главный Начальникъ Двинскаго Военнаго Округа.
Инженеръ-Генералъ Князь **Тумановъ.**

W uzupełnieniu obowiązującego postanowienia z 9 października 1914 roku niniejszym zakazuje się sprzedaży wina i porteru. […]. Osoby naruszające postanowienie zostaną ukarane w porządku administracyjnym karą pieniężną w wysokości do trzech tysięcy rubli lub osadzeniem w więzieniu lub twierdzy do trzech miesięcy.
Pracownik fizyczny, bez kwalifikacji, zarabiał w tym czasie 1÷1,2 rubla dziennie, można więc przeliczyć ile czasu pracowałby na grzywnę 3000 rubli.



Ogłoszenie.

Sztab Korpusu rozkazał:

1) zobowiązać ludność do pilnowania i ochrony wojennych komunikacji, pod odpowiedzialnością kary rozstrzelania na miejscu, za rozmyślne uszkodzenie takowych;

2) zabronić w mieście sprzedaży napojów alkoholowych, a w aptekach—sprzedaży żołnierzom, środków medycznych przygotowanych na alkoholu, a także i wody kolońskiej;

3) Sklepy, nie zależnie od tego czy są zaopatrzone w produkty, lub nie, powinny być bezwarunkowo otwarte nie wyłączając Niedziel i Sobót od godziny **8**-ej rano do **8**-ej w wieczór;

4) zabronić publiczności przystawać i zbierać się na ulicach, a także wypytywać przechodzące wojska;

5) wszystkie produkty żywnościowe mają być sprzedawane według ustanowionej taksy.

Za niespełnienie powyższego winni będą podlegać karze, według ustawy czasu wojennego.

Pabjanice, dnia 20-go Listopada 1914 roku.

Ch. p. o. Komendanta Korpusu
Kapitan Żałobiński.

W Pabianicach też na ostro – zabroniono w mieście sprzedaży napojów alkoholowych, a w aptekach sprzedaży żołnierzom środków medycznych przygotowanych na alkoholu, a także wody kolońskiej. Wygląda na to, że wodę kolońską sprzedawano w aptekach, być może jako środek aseptyczny. W Turcji do dnia dzisiejszego używa się jej do przemywania dłoni po podróży.

budziła jednak zastrzeżenia uczynnej służby zdrowia: „Lekarz korpusu, wielki specjalista od spirytusu, jest oburzony, że do szpitala trafia alkohol z domieszką eteru [dietylowego]”.

Poszukiwania tanich, odpowiednio mocnych i stosunkowo dostępnych zamienników spirytusu kierowały Rosjan właśnie ku namiastkom wódki. W powszechnym użyciu i jednoczesnym spożyciu znalazły się woda kolońska i pasta do butów, a nawet lakier przemysłowy i politura. Jak pisał Wieniedikt Wasiljewicz Jerofiejew: „sposobu oczyszczania politury nie będę wam przypominać, bo zna go każde dziecko. W Rosji nikt dlaczegoś nie zna przyczyny śmierci Puszkina, natomiast sekret oczyszczania politury znają wszyscy”. W swej kultowej powieści „Moskwa-Pietuszki” opisuje on dwa powszechne wynalazki „chemii domowej” – „płyn o kolorze czarnoburym, o umiarkowanej mocy i trwałym zapachu zwanym poetycko *Balsamem Kanaańskim”.* (lub bardziej pospolicie *Srebrnym Lisem*), a więc w zasadzie mieszankę denaturatu, ciemnego piwa i oczyszczonej politury oraz połączenie białego bzu, środka przeciw poceniu stóp, piwa oraz lakieru na spirytusie, występujące pod tajemniczą nazwą *Duch Genewy*.

Ci, którym kombinacje rynkowe i prawa chemiczne nie były zbyt dobrze znane, wybierali najprostszy możliwy sposób pozyskiwania alkoholu. Najpopularniejszym napojem wśród alkoholików była „Chanża” – rozcieńczony denaturat, a w zasadzie rozpuszczalnik na bazie surowego alkoholu etylowego, przeznaczony do usuwania lakierów. Domorośli rzemieślnicy wymyślili metody jego „oczyszczania”: gotowano go ze skórkami chleba żytniego, rozcieńczano kwasem chlebowym lub likierem żurawinowym, niekiedy mieszano z mlekiem i w ten sposób spożywano. Do filtracji denaturatu używano także soli kuchennej, dodając do smaku czosnek lub pieprz.

Pod koniec kampanii 1914 roku Naczelny Wódz armii Frontu Północno-Zachodniego generał kawalerii Jakow Żyliński wydał bardzo wymowny rozkaz: „Zwrócono mi uwagę, że w niektórych oddziałach i jednostkach oficerowie niższych stopni, nie mogąc dostać zakazanych napojów alkoholowych, piją wszelkiego rodzaju alkohole nierafinowane, jak np. wodę kolońską, denaturat, wydestylowaną politurę itp”. W efekcie dochodziło do masowych zatruć, które w wielu przypadkach kończyły się śmiercią. Mając na uwadze dobro dzielnej armii rosyjskiej zalecał: „Zobowiązuję wszystkich przełożonych, aby wzmocnili nadzór nad oficerami podlegającymi ich jurysdykcji, a także aby wytłumaczyli



26 711.

ОБЯЗАТЕЛЬНОЕ ПОСТАНОВЛЕНІЕ

для населенія Двинскаго военнаго округа.

Верховнымъ Главнокомандующимъ повелѣно воспретить на театрѣ военныхъ дѣйствій всякую продажу какихъ бы то ни было спиртныхъ напитковъ, не исключая пива и легкихъ виноградныхъ винъ.

Продажа вина можетъ быть разрѣшаема только для лечебныхъ цѣлей по требованіямъ, основаннымъ на удостовѣреніяхъ врачей, но не иначе какъ съ согласія акцизнаго надзора и по провѣркѣ требованій въ отношеніи количества комендантами городовъ.

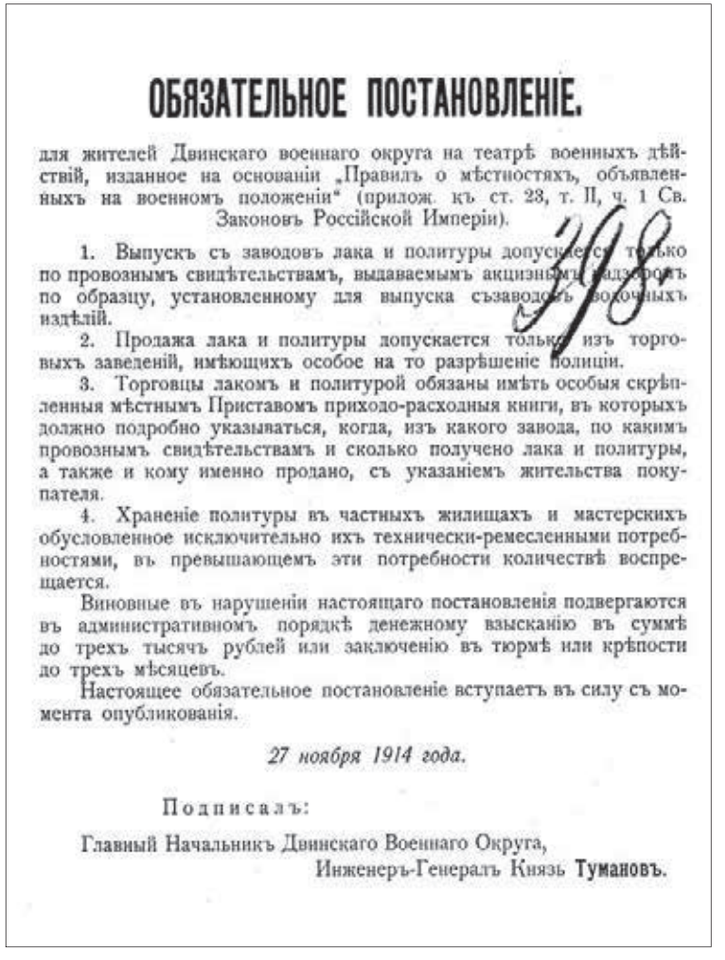
Виновные въ нарушеніи настоящаго постановленія подвергаются въ административномъ порядкѣ денежному взысканію въ суммѣ ДО ТРЕХЪ ТЫСЯЧЪ РУБЛЕЙ или ЗАКЛЮЧЕНІЮ ВЪ ТЮРЬМѢ или КРѢПОСТИ ДО ТРЕХЪ МѢСЯЦЕВЪ.

Настоящее обязательное постановленіе замѣняетъ всѣ постановленія о продажѣ спиртныхъ напитковъ, изданныя ранѣе въ предѣлахъ Двинскаго военнаго округа, и входитъ въ силу со дня его опубликованія.

Генералъ отъ Инфантеріи ДАНИЛОВЪ.

26 мая 1915 года.

Najwyższy głównodowodzący zakazał na obszarze działań wojennych wszelkiej sprzedaży jakichkolwiek napojów spirytusowych, nie wyłączając piwa i słabych win winogronowych. Sprzedaż wina może być prowadzona jedynie dla celów leczniczych [...]. Osoby naruszające niniejsze postanowienie ukarane zostaną karą pieniężną w wysokości do trzech tysięcy rubli lub osadzeniem w więzieniu lub twierdzy do trzech miesięcy.



ОБЯЗАТЕЛЬНОЕ ПОСТАНОВЛЕНІЕ.

для жителей Двинскаго военнаго округа на театрѣ военныхъ дѣйствій, изданное на основаніи „Правилъ о мѣстностяхъ, объявленныхъ на военномъ положеніи“ (прилож. къ ст. 23, т. II, ч. 1 Св. Законовъ Россійской Имперіи).

1. Выпускъ съ заводовъ лака и политуры допускается только по провознымъ свидѣтельствамъ, выдаваемымъ акцизнымъ надзоромъ по образцу, установленному для выпуска съ заводовъ восковыхъ издѣлій.

2. Продажа лака и политуры допускается только изъ торговыхъ заведеній, имѣющихъ особое на то разрѣшеніе полиціи.

3. Торговцы лакомъ и политурой обязаны имѣть особыя скрѣпленныя мѣстнымъ Приставомъ приходо-расходныя книги, въ которыхъ должно подробно указываться, когда, изъ какого завода, по какимъ провознымъ свидѣтельствамъ и сколько получено лака и политуры, а также и кому именно продано, съ указаніемъ жительства покупателя.

4. Храненіе политуры въ частныхъ жилищахъ и мастерскихъ обусловленное исключительно ихъ технически-ремесленными потребностями, въ превышающемъ эти потребности количествѣ воспрещается.

Виновные въ нарушеніи настоящаго постановленія подвергаются въ административномъ порядкѣ денежному взысканію въ суммѣ до трехъ тысячъ рублей или заключенію въ тюрьмѣ или крѣпости до трехъ мѣсяцевъ.

Настоящее обязательное постановленіе вступаетъ въ силу съ момента опубликованія.

27 ноября 1914 года.

Подписалъ:

Главный Начальникъ Двинскаго Военнаго Округа,
Инженеръ-Генералъ Князь Тумановъ.

Treść tego obwieszczenia znajduje się powyżej w tekście zasadniczym. Osoby naruszające powyższe postanowienie ukarane zostaną w porządku administracyjnym karą pieniężną w wysokości do trzech tysięcy rubli lub osadzeniem w więzieniu lub twierdzy do trzech miesięcy. Zarządzenie podpisał inżynier-generał książę Tumanow, notabene w latach 1905–06 komendant korpusu inżynierów Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

im, jakie zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia niosą takie nadużycia".

Pouczenia moralne i medyczne, jak się wydaje, nie procentowały we właściwych sferach. Władze wojskowe ogłosiły bowiem *Postanowienie obowiązujące na teatrze działań wojennych, wydane na podstawie przepisów o miejscowościach, ogłoszonych w stanie wojennym*, które stanowiło:

1. *Wydawanie laku i politury dozwolone jest tylko za okazaniem wydanego przez Zarząd Akcyzy frachtu, ustanowionego na wzór wydawanego z gorzelni.*
2. *Sprzedaż laku i politury dozwolona jest tylko z zakładów handlowych mających na to osobne zezwolenie policji.*
3. *Handlujący lakiem i politurą obowiązani są posiadać w tym celu osobne, poświadczone przez miejscowego Komisarza księgi przychodu i rozchodu, w których winno być szczegółowo wskazane: kiedy, z jakiego zakładu, za jakimi frachtami i ile otrzymano laku i politury, jak również komu je sprzedano, ze wskazaniem miejsca zamieszkania kupującego.*
4. *Przechowywanie politury w prywatnych mieszkaniach i zakładach dozwolone jest tylko w tej ilości, na ile ona jest technicznie potrzebna, większą ponad wyżej przewidywanej ilości zabrania się przechowywać. Winni wykroczenia przeciwko niniejszemu postanowieniu podlegają w drodze administracyjnej karze pieniężnej w kwocie do 3000 rb. i zamknięciu w twierdzy lub więzieniu na okres do trzech miesięcy.*

Z heroicznym pijaństwem szło w parze śmiałe szabrownictwo i pospolite grabieże. Bezmyślne niszczenie mienia i regularne rabunki były w ogromnej mierze wywołane dzikim pijaństwem niemieszczącym się w cywilizowanych standardach. Wyczerpana działaniami bojowymi armia rosyjska praktykowała bowiem ów osobliwy sposób regeneracji: „Dzisiaj jeszcze ograbili piwnicę z winami. Wino wylali na ziemię, a następnie nabierali je razem z brudem. Mój pluton jest pijany. Jednym słowem, wszyscy żołnierze piją i grabią. Szabrują u ludności wino i zaraz je konfiskują, a ci, którym kradną wino wskazują na tych, którzy mają jeszcze wino i tak trwa to nieustannie…" Takie zachowanie, co podkreślano, miało swoje usprawiedliwienie moralne, podtrzymywane występowaniem syndromu stresu bojowego i ogromnego zmęczenia żołnierza rosyjskiego: „Nasz pułk wszedł do miasta o siódmej rano. Straty były kolosalne ... Jedyną nagrodą dla ocalałych była masa wyszabrowanych w Brodach nalewek, nastojek, likierów. Przez trzy lub cztery dni postoju wszyscy oficerowie pułku byli pijani. Pili dopóki nie wyczerpali całego zapasu".



"Spożycie wódki przez Rosjan" – niemiecka pocztówka propagandowa komentująca frontowe pijaństwo Rosjan. Ciekawe, że miłujący piwo Niemcy, nie znali poprawnej nazwy ulubionego alkoholu Rosjan. Użyte "wutki" jest najprawdopodobniej zniekształceniem rosyjskiego wołania „Водки!", jakie niejednokrotnie musieli słyszeć mieszkańcy Prus Wschodnich.

Pijaństwo, trenowane w warunkach wojennych, znacznie osłabiało zdolności bojowe armii rosyjskiej. Zamroczeni wódką, niezdolni do podjęcia jakichkolwiek działań i trzeźwej, a chociażby przytomnej, oceny sytuacji carscy żołnierze stawali się łatwym celem ataku nieprzyjaciela: „Warynki (?), Wasiuki, Harasiuki... Powietrze przesiąknięte jest niedogonem i spirytusem. Wokół gorzelnie. Miliony wiader wódki trafia do stawów i rowów. Żołnierze nabierają z rowów tę brudną ciecz i filtrują ją przez maski przeciwgazowe. Albo też, wpadając do błotnistej kałuży, piją do utraty przytomności, do śmierci. Ziemia jest nasycona alkoholem. W wielu miejscach wystarczy wykopać dołek i pogrzebać obcasem w piasku, żeby dziura wypełniła się spirytusem. Pijane pułki i dywizje zamieniają się w bandy szabrowników, które rabują i prześladują. Szczególnie brutalni są kozacy. Nie zważając ani na wiek, ani na płeć grabią do cna wszystkie wioski, a żydowskie miasteczka zamieniają w ruiny… Pijaństwo nabiera dzikich rozmiarów. Wszyscy są pijani – od żołnierza do generała sztabu. Oficerowie dostają spirytus całymi wiadrami. Każdy oddział szuka jakichkolwiek pretekstów, aby urządzić oficjalną pijatykę. W pewnym momencie bateria 49. brygady przypomniała sobie o święcie brygady i zatrzymała się w lesie, na uboczu. Na wysokich sosnach umieszczono prowizoryczne punkty obserwacyjne. Zorganizowano piknik na trawie. Zmobilizowano wszystkich kucharzy. Wyjęto alkohol. Nagle doszło do ostrzału. Jakiś oficer wlazł pod skrzynię z amunicją. Pocisk uderzył w kufer. Wszyscy zamarli. Feuerwerker o nazwisku Nowak, ryzykując własną głową, odciągnął skrzynię i wyciągnął oficera. Bateria pospiesznie przeniosła się w inne miejsce. Gdy posłano za spirytusem okazało się, że zapasów nie ma. Na rozkaz oficerów wszyscy kucharze zostali wychłostani, ale alkoholu nie odnaleziono".

Pijackie epizody armii rosyjskiej z czasów I wojny światowej wrosły w historię całego konfliktu zbrojnego. Upamiętnione w niezwykle żywych kolorach i otwartych relacjach pamiętnikarsko-wspomnieniowych zaznaczyły czyn żołnierski, a w pewnym sensie także z każdym toastem wzniosły tradycję wschodniej walki z nieprzyjacielem. Liczona w szklankach, wiadrach czy beczkach, a na pewno głęboko zakorzeniona rysuje wierny obraz lat 1914 –1918.

Anna Waś Kamila Pawełczyk-Dura



ze zbiorów www.flickr.com/photos/drakegoodman

ZIEMIANKA z definicji jest prymitywnym schronieniem wykopanym w ziemi, ale w czasie I wojny ziemianki były głębokimi schronami umocnionymi balami drewnianymi i workami z piaskiem. Drukowano instrukcje i regulaminy o sposobach ich budowy. Ziemianka była miejscem bezpiecznego schronienia w chwilach ostrzału artyleryjskiego, ale przede wszystkim była namiastką domu. W ziemiance na prowizorycznej żeliwnej kuchence można było pogrzać jedzenie, wysuszyć zamoczone ubranie, pożartować, pogłaskać kota czy poczytać gazetę. Nie tylko dla wypełnienia czasu, ale także dla zapomnienia o koszmarze wojny tworzono w warunkach frontowych najróżniejsze pamiątkowe dzieła „sztuki okopowej". Pod tą nazwą kryją się wytwory samorodnej twórczości żołnierskiej, która pojawiła się już w II połowie XIX wieku, ale swój największy rozkwit przeżywała w latach I wojny światowej. Z artyleryjskich łusek i pocisków, ze zdobycznych menażek powstawały ozdobne wazony, lampy, ramki, świeczniki popielniczki, zapalniczki, papierośnice, bransoletki i broszki. Tu widzimy pruskich żołnierzy robiących drewniane ramki do zdjęć, tworzywem dla nich są dostępne w warunkach frontowych elementy skrzynek amunicyjnych. ♣ *zj*



ze zbiorów www.flickr.com/photos/drakegoodman

POLOWANIE NA SZCZURY. Wojna pozycyjna bywa czasem bardzo nudna. Przerwy między jednym szturmem a drugim, jednym atakiem gazowym a kolejną nawałą artyleryjską lub nalotem spędzano na zajęciach sportowo-łowieckich. Cały pluton dumnie prezentuje trofea ostatniego polowania – prawie 40 tłustych szczurów i 4 myszy. Oczywiście tego typu polowania nie mogły na trwałe ograniczyć liczby szczurów żerujących w okopach, jednak na pewno poprawiały morale żołnierzy. Jeden z żołnierzy francuskich cytowany przez Janusza Pajewskiego w fundamentalnym dziele „Pierwsza wojna światowa 1914-1918" – opowiada: „Panami są szczury w niezliczonej ilości. Setkami rozmnażają się w ruinach każdego domu, w schronach. [...] Straszne są noce: całkowicie okryty kołdrą i płaszczem czuję mimo to te plugawe bestie, jak grasują po moim ciele. Czasami wypada po 15, 20 szczurów na każdego z nas: gdy zjedzą chleb, masło, czekoladę, dobierają się do naszych ubrań. Nie sposób spać w takich warunkach. Każdej nocy po sto razy walczę z nimi poprzez kołdrę; zapalam nagle lampę elektryczną; ale odstrasza je to na krótko tylko, wracają natychmiast w większej liczbie". ♣ *zj*

HABROWY CHICHOT HISTORII

Mimo że konwencja haska z 1907 roku zabraniała stosowania broni chemicznej, to jednak w 1910 roku w Berlinie założono Instytut Chemii Fizycznej i Elektrotechnicznej im. Cesarza Wilhelma, który miał się zajmować badaniami i wdrażaniem bojowych środków trujących. Pracami kierował urodzony w rodzinie wrocławskich chasydów Fritz Haber, profesor prestiżowego Uniwersytetu w Karlsruhe. Haber był genialnym chemikiem, który wynalazł proces produkcji nawozów azotowych na skalę przemysłową. W procesie jest wykorzystywany wodór i azot zawarty w powietrzu atmosferycznym. Dało to pretekst prasie, aby pisać, że Haber „zrobił chleb z powietrza". To genialne odkrycie, znane jako metoda Habera i Boscha, odegrało ogromną rolę w uniknięciu światowego głodu i obecnie karmi około jednej trzeciej światowej populacji, a jemu samemu przyniosło Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii w roku 1918.

W stosunkowo krótkim czasie w Instytucie Cesarza Wilhelma opracowano pierwsze gazy bojowe wraz z koncepcjami ich zastosowania tak, że w chwili wybuchu Wielkiej Wojny Niemcy były gotowe do zastosowania nowej broni na froncie. Do pierwszego jej użycia doszło 70 kilometrów od Łodzi, już po zakończeniu Bitwy Łódzkiej – 31 stycznia 1915 roku pod Bolimowem. Niemcy wystrzelili na pozycje rosyjskie 18 tysięcy pocisków artyleryjskich zawierających bromek ksylilu (po raz pierwszy otrzymany już w 1882 roku przez … Polaków – Bronisława Radziszewskiego i Pawła Wispeka.) Efekt był jednak niewielki, gdyż użyty gaz łzawiący nie rozprzestrzeniał się tak, jak oczekiwano, gdyż panujący mróz ograniczał jego rozprężanie, podobnie jak leżący śnieg, w który wpadały pociski.

W kwietniu 1915 roku Niemcy zaatakowali gazem na froncie zachodnim. Tym razem nie ostrzeliwano pozycji, ale przy sprzyjającym wietrze wykonano tzw. napad falowy – w stronę okopów francuskich wypuszczono ze zbiorników chlor, utworzyła się ogromna chmura ciężkiego gazu, która opadła na kilkukilometrowy odcinek broniony przez Francuzów. Atak gazem wypuszczanym z butli ponowiono w innym miejscu frontu zachodniego, pod Langemarck. Tym razem jego skuteczność była ograniczona, ponieważ kobiety angielskie wykonały w ciągu 24 godzin po pierwszym niemieckim ataku gazowym 100 000 maseczek ochronnych z kilku płatów gazy impregnowanej węglanem i podsiarczynem sodu. Zostały one błyskawicznie dostarczone na front. Udało się dzięki temu zmniejszyć straty do 1200 zabitych.

Kolejny raz pod Bolimowem Niemcy zaatakowali 31 maja 1915 roku, tym razem na długości 12 kilometrów wypuszczono gaz z 12 tysięcy butli (na 1 metr przypadała więc 1 butla z trującym gazem). Chlor jednak za szybko przeleciał nad okopami Rosjan i należało przerwać atak. Gdy 12 czerwca ponowiono atak gazowy pod Bolimowem, nastąpiła katastrofa. Niekorzystny wiatr zepchnął trującą chmurę na pozycje niemieckie i spowodował znaczne straty (cofający się gaz był przyczyną około 1/3 ofiar





Wprowadzono wiele różnych systemów ostrzegania przed atakiem gazowym. Na fotografii po lewej oddział Portugalczyków pod Neuve Chapelle miał przygotowane specjalne rakiety (flary), które były wystrzeliwane jako ostrzeżenie w przypadku ataku gazowego.

Inny system stosowali żołnierze Francuscy. Co kilkadziesiąt kroków były rozstawione dzwony, nazywane dzwonami gazowymi. Ich dźwięk informował o ataku gazowym. Taki dzwon widzimy na fotografii.

po stronie niemieckiej). Tak te działania komentował w swych wspomnieniach Erich von Ludendorff: „9 Armia miała z gazem pecha. Kiedy później [tj. 12 czerwca; przyp. autora], już niezależnie od ogólnego położenia, powtórzyła atak gazowy w tym samym miejscu, wiatr raptownie zmienił kierunek. Mieliśmy bolesne ubytki spowodowane zatruciami". Mimo realnych strat zadawanych wrogowi Niemcy nie byli w stanie odnieść spektakularnego sukcesu na tym odcinku frontu i uderzyć centralnie na Warszawę.

Czerwcowemu atakowi przyglądał się sam Haber, towarzyszył mu oberleutnant Max Wild, oficer frontowego wywiadu 9 Armii. Pozostawił on zapiski, w których tak opisał skutki ataku gazowego: „Chętnie wytarłbym z pamięci ten dzień… Pobojowisko będące rezultatem morderczej teorii – to była sama zgroza, która urągała wszelkiej ludzkiej fantazji. Ludzie, zmagający się w śmiertelnej walce, wlekli się na czworakach i jak w obłąkaniu rwali na ciele odzież. Jeden leżał, wczepiwszy palce w ziemie, drugi obok z szeroko otwartymi źrenicami. W oczach jego tkwiło przerażenie przed niepojętym. Świszczące zatrute oddechy mówiły o niezmiernej męce konających. Niebieskie wargi, niebieskie to, co wcześniej w oku było



Zagazowani (ang. Gassed) to bardzo duży obraz olejny (231 cm na 611 cm) ukończony w marcu 1919 roku przez Amerykanina Johna Singera Sargenta. Przedstawia następstwa ataku gazem musztardowym podczas I wojny światowej. John Singer Sargent został poproszony przez Brytyjski Komitet Pamięci Wojennych (British War Memorials Committee) do udokumentowania wojny i w lipcu 1918 roku odwiedził Front Zachodni, spędzając czas z angielską Dywizją Gwardii niedaleko Arras, a następnie z Amerykańskimi Siłami Ekspedycyjnymi w pobliżu Ypres. Obraz został ukończony w marcu 1919 roku i został wybrany obrazem roku przez Królewską Akademię Sztuk Pięknych w 1919 roku. Obraz wyraźnie nawiązuje do "Ślepców" XVI. wiecznego malarza Pietera Breugela. Dodatkowo na obrazie możemy znaleźć inne ciekawe szczegóły. W blasku zachodzącego słońca, nie zważając na tragedię zagazowanych, toczy się walka "na dwóch frontach". W powietrzu (po prawej stronie obrazu) krwawy bój toczą samoloty, w centrum, na trzecim a nawet czwartym planie toczy się mecz piłkarski - jedyny element jaki łączy jeszcze żołnierzy z "normalnym" światem. Obraz obecnie znajduje się w zbiorach Imperialnego Muzeum Wojny.

białe, w kątach ust żółta piana. I nieopisana groza na twarzach!". Obok oficera po pobojowisku spacerował Haber, oglądał uważnie porażonych gazem żołnierzy rosyjskich, skrzętnie notując swoje obserwacje w notesie. „Tu patrz pan, ma zsiniałe białko oka! Typowy objaw ciężkiego, zatrucia. Niestety nie do uratowania! Musnął przy tym mechanicznie dłonią policzek nieszczęśliwego" – wspominał Wild, zaszokowany zachowaniem uczonego. Szoku doznał nie tylko on, idący do ataku żołnierze niemieccy, widząc konających w męczarniach wrogów spontanicznie zaczęli ich ratować: „To nie było natarcie, ale współczucie i pomoc dla haniebnie potraktowanego przeciwnika, dla umęczonego człowieka. Niektórych Rosjan odratowano. Te akty litości były jedyną rzeczą, która w tym dniu nie pozwoliła mi zwątpić o ludzkości" – pisał Wild.



Fritz Haber (ur. we Wrocławiu) – chemik niemiecki pochodzenia żydowskiego, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii w 1918 roku. Podczas I wojny światowej był jednym z głównych organizatorów produkcji i zastosowania gazów bojowych przez armię niemiecką. Po 1918 roku stanął na czele Niemieckiego Towarzystwa do Walki ze Szkodnikami. Szukał środków, którymi łatwo byłoby zabijać pchły, wszy i pluskwy, lęgnące się w magazynach czy ładowniach statków oceanicznych. To właśnie wtedy, w latach 20. XX wieku, jego współpracownicy pod jego nadzorem opracowali technologię produkcji cyklonu B, który chociaż początkowo był przewidziany jako środek do dezynfekcji i dezynsekcji, został później zastosowany przez Niemców w komorach gazowych podczas II wojny światowej. (Wikipedia)

Największy atak falowy Niemcy wykonali na froncie zachodnim, zużywając w tym celu 24 tysiące butli wypełnionych chlorem. Jednak era ataków falowych powoli się kończyła. Przygotowanie ich było bardzo pracochłonne, a przy tym niebezpieczne. Ostatni atak falowy Niemcy wykonali 31 stycznia 1917 roku w rejonie Monts de Champagne. Jak napisał Ludendorff: „Wojsko nie lubiło gazu. Jego instalowanie trwało za długo, a oczekiwanie w rowach strzeleckich na wiatr z pełnymi zasobnikami gazu nie było po myśli oficerów i żołnierzy".

Niemcy postanowili użyć nowej metody i nowego gazu opracowanego przez niezastąpionego Habera. W nocy z 12 na 13 lipca 1917 roku na alianckich żołnierzy zajmujących pozycje pod Ypres w Belgii spadło 50 tysięcy niemieckich pocisków armatnich. Nie rozrywały się tak głośno jak szrapnele i nie drążyły tak głębokich lejów jak pociski odłamkowo-burzące. Oznaczało to jedno: Niemcy znów użyli gazu. Na dźwięk alarmowych dzwonków okopowych wszyscy założyli maski gazowe, oczekując nocnego szturmu nieprzyjaciela, który jednak nie nastąpił. Po pewnym czasie zameldowali o migoczącej chmurze gromadzącej się na dnie okopów i dziwnym musztardowym zapachu w powietrzu. W ciągu 24 godzin pojawiło się u nich niekontrolowane swędzenie skóry, a następnie przerażające pęcherze i owrzodzenia. Niektórzy zaczęli kaszleć krwią. Jako pierwsi stali się ofiarami gazu musztardowego – kilkukrotnie bardziej zabójczego od wcześniej stosowanych chloru i fosgenu. Swoją skuteczność zawdzięczał temu, że atakował przez nieosłoniętą skórę, tym samym czyniąc, powszechne już w użyciu, maski przeciwgazowe bezużytecznymi. Nawet w pełni ubrani żołnierze nie byli w pełni chronieni, gaz znajdował bowiem każdą szczelinę, aby zaatakować. Zgon z powodu zatrucia gazem musztardowym następował w ciągu sześciu tygodni, a śmierć była straszna. Pod koniec Wielkiej Wojny ten gaz nie tylko zabił i okaleczył, ale zaszczepił terror na polu bitwy. Debiutując na frontach Wielkiej Wojny iperyt, bo tak go nazwano od miejsca zastosowania, zabił około 10 tysięcy żołnierzy, a znacznie więcej okaleczył. Ogółem tylko w wojskach Imperium Brytyjskiego liczba ofiar sięgała 100 tysięcy. Jeszcze długo po wojnie Haber entuzjastycznie promował stosowanie trujących gazów jako najlepszą metodę dezynfekcji i dezynsekcji. Czyż nie jest chichotem historii, że swymi morderczymi wynalazkami ściągnął zgubę na swój naród podczas II wojny światowej. Jeszcze na początku wojny ostrzegała go przed zgubnymi skutkami prowadzonych przez niego badań żona Klara Immerwahr-Haber (także chemiczka i pierwsza w Niemczech kobieta z doktoratem). Nazywała działania męża barbarzyństwem i perwersją nauki, grożąc samobójstwem zażądała, aby zmienił pracę. W odpowiedzi Haber oskarżył ją o zdradę ojczyzny. W dniu wyjazdu Habera na front – do Bolimowa – 1 maja 1915 roku Klara wykradła mężowi służbową broń i strzeliła sobie w serce.





foto © Les Musées de la Ville de Paris

Dwaj zagazowani i oślepieni gazem musztardowym francuscy piechurzy są prowadzeni przez swoich kolegów. Towarzyszy im brytyjski żołnierz.

Jednakże historia gazu musztardowego na tym się nie kończy. I ma jaśniejsze zakończenie, niż mogłoby się wydawać. Dwie dekady później, gdy zbliżała się II wojna światowa, badacze sił alianckich obawiali się powtórzenia ataków gazu musztardowego z Wielkiej Wojny. Próbowali więc stworzyć antidotum. To, co odkryli, doprowadziło ich do zupełnie innej bitwy. Dwóch lekarzy z Uniwersytetu Yale, Louis Goodman i Alfred Gilman, zagłębili się w dokumentację medyczną żołnierzy dotkniętych gazem musztardowym i zauważyli, że wielu z nich miało zaskakująco niską liczbę białych ciałek krwi – komórek, które po zmutowaniu mogą rozwinąć się w białaczkę i chłoniaka. Goodman i Gilman postawili hipotezę, że jeśli gaz musztardowy może zniszczyć normalne białe krwinki, to jest wielce prawdopodobne, że może również zniszczyć komórki rakowe. Po udanych próbach na zwierzętach Goodman i Gilman poszukiwali ochotnika, aby przetestować gaz musztardowy jako terapię przeciwnowotworową. Znaleźli pacjenta z zaawansowanym chłoniakiem, znanym dziś tylko pod jego inicjałami: J.D. Ogromny guz na szczęce ochotnika sprawiał, że nie mógł on ani połykać ani spać, ogromne guzy na węzłach chłonnych pod pachami sprawiały, że nie mógł nawet założyć rąk na klatkę piersiową. Jego przypadek lekarze uznali za beznadziejny. Zdesperowany J.D. zgodził się na wypróbowanie na nim nowatorskiej terapii. 27 sierpnia 1942 roku podano mu pierwszy zastrzyk tego, co nazwano „syntetycznym środkiem limfocydowym". W rzeczywistości był to iperyt azotowy, związek używany do produkcji gazu musztardowego. Z powodu wojny leczenie J.D. objęte było tajemnicą i w jego karcie medycznej jako środek leczniczy podano jedynie „substancja X". Otrzymał szereg zabiegów z iperytem i z każdym z nich jego stan trochę się poprawiał. Mógł już spać, mógł połykać i mógł jeść. Czuł się o wiele bardziej komfortowo, a ból ustąpił. I tak gaz musztardowy przeszedł z bardzo prawdziwego pola bitwy okopów I wojny światowej na pierwszą linię leczenia raka. Ale dla J.D. leczenie nastąpiło za późno. Chociaż początkowo działało, dając mu niezwykle ważne dodatkowe miesiące z mniejszym bólem i większym komfortem, stracił życie sześć miesięcy po rozpoczęciu terapii eksperymentalnej. W jego dokumentacji medycznej widnieje tylko jeden wpis z 1 grudnia 1942 roku – „Zmarł". J.D. zmarł nieświadomy wpływu, jaki wpływ jego leczenie będzie miało na postępy w leczeniu nowotworów. Terapia zastosowana wobec niego była kamieniem milowym w historii medycyny. Została udoskonalona przez Szkota Alexandra Haddowa, który wykazał, które cząsteczki iperytu azotowego są potrzebne do zabicia komórek rakowych. Co ważniejsze, zbadał również, jak sprawić, by substancja chemiczna była mniej toksyczna i zarazem bardziej skuteczna w leczeniu raka. Praca Haddowa zapoczątkowała nową erę w leczeniu raka – chemioterapię. Wszystkie leki, które wprowadzono później, działały w ten sam podstawowy sposób, jak opisał Haddow. W rzeczywistości chemioterapia na bazie iperytu azotowego jest nadal stosowana w leczeniu niektórych nowotworów.

pz



Poparzeni gazem Kanadyjczycy po pierwszych opatrunkach czekają na ewakuację na tyły.



ze zbiorów www.flickr.com/photos/drakegoodman

PIKIELHAUBA. Zdjęcie przedstawia przyjęcie urodzinowe starszego majstra Gebharta zorganizowane w 1915 r. przez rzemieślników produkujących pikielhauby, czyli w dosłownym tłumaczeniu – czepki ze szpicem. Widzimy, że wszyscy, jak przystało na Prusy, są w mundurach wojskowych i wszyscy dorośli piją piwo Hoepfnera – ten browar w Karlsruhe istnieje do dziś.
Pikielhauba to hełm wykonany z utwardzonej skóry barwionej na czarno i lakierowanej, z ozdobnym ornamentem i charakterystycznym szpikulcem na szczycie. Pikielhauby wprowadzono jako ochronne nakrycie głowy pruskiej piechoty rozkazem królewskim wydanym przez Fryderyka Wilhelma IV w 1842 r. Noszone były również przez policję i straż pożarną. Na początku I wojny światowej skórzane pikielhauby z płóciennym pokrowcem były standardowym hełmem armii Cesarstwa Niemieckiego, ale już od 1916 r. wychodziły z użytku, ponieważ niedostatecznie chroniły głowy żołnierzy na polu walki. Pikielhauba stała się symbolem pruskiego militaryzmu, choć przejęta została, o czym mało kto wie, z armii rosyjskiej. ♣ *zj*



BITWA NAD SOMMĄ 1916. Ofensywa nad Sommą była jedną z większych i decydujących bitew I wojny światowej. Dzięki zmasowanemu użyciu technicznych środków walki, zyskała miano bitwy materiałowej. Obie strony przyjęły strategię wyczerpania sił wroga, jednocześnie naczelni dowódcy nie brali pod uwagę wyczerpania własnego potencjału. 24 czerwca 1916 r. Brytyjczycy rozpoczęli ostrzał artyleryjski pozycji niemieckich, trwał on 7 dni – tylko wtedy wystrzelono ponad 1,5 miliona pocisków. Bitwa nad Sommą była długa i bezładna z powodu problemów zaakceptowania przez dowódcę Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego generała Haiga i marszałka Focha wspólnego planu taktycznego. Krwawe zmagania trwały do 18 listopada 1916 r. W tej bitwie z sukcesem po raz pierwszy walczyły angielskie czołgi. Sprzymierzone wojska Brytyjczyków i Francuzów straciły łącznie 630 000 żołnierzy. Niemcy szacują swoje straty na 500 000 żołnierzy. Kto wygrał nad Sommą? Na szczeblu taktycznym Brytyjczycy i Francuzi, bo to oni opanowali pole bitwy. Sukces operacyjny to remis ze wskazaniem na Niemców, ponieważ udało się im zapobiec przełamaniu frontu. Natomiast strategicznie Niemcy przegrali. Armia niemiecka straciła w bitwie nad Sommą wielu oficerów i do końca wojny nie odzyskała wartości bojowej. ♣ *zj*

Granat ręczny – najlepszy przyjaciel żołnierza w okopie

Granaty ręczne mają bardzo długą historię, stosowano je we Włoszech już w latach 20. XV wieku. Były bardzo przydatne w walkach o umocnienia wszelkiego rodzaju. Początkowo wykonywano je z gliny, potem ze szła, a na końcu zaczęto stosować skorupy żelazne. W XVII w. powstały formacje grenadierów – żołnierzy specjalnie szkolonych do miotania granatów. Jednak od połowy XVIII w. granty powoli wychodziły z użycia. Ich renesans przyniosła wojna rosyjsko-japońska w latach 1904 –1905.

W pierwszych latach XX w. granaty wprowadzono do uzbrojenia armii niemieckiej. Trafiły jednak tylko do jednostek pionierów, które miały wykorzystywać je w czasie walk o fortyfikacje stałe. Pierwszym typem był granat kulisty (*Kugelhandgranate*), który wprowadzono w 1913 roku. Posiadał zapalnik uderzeniowy, ale powodujący detonację po upływie ustawionego czasu. Ciekawostką było to, że do granatu można było dokręcić specjalny pręt i wystrzeliwać go z karabinu. Niemniej jednak broń ta była ciężka i skomplikowana w produkcji, toteż w 1914 roku było jej niewiele, nie dało się też jej wytwarzać masowo. Trzeba było poszukać innych rozwiązań.

W 1913 roku pojawił się też granat o skorupie w kształcie dysku (*Diskushandgranate*) o średnicach 80 mm, 100 mm oraz 180 mm. Ten ostatni, z racji swoich rozmiarów, był jednak przeznaczony do miotania przez specjalne maszyny. Konstruowano szereg prototypów takich urządzeń – np. działająca do dziś firma Bosch zbudowała urządzenie, które było w stanie miotać 3 granaty równocześnie na odległość do 155 m.

Wielka wojna szybko zamieniła się w wojnę pozycyjną. Wraz z pojawieniem się okopów, niejednokrotnie oddalonych od siebie dosłownie o rzut kamieniem, okazało się, że są to doskonałe warunki do masowego wykorzystywania granatów ręcznych. Jednak posiadane typy nie były tym, czego wojsko oczekiwało. Zresztą, prawdę powiedziawszy, wojsko samo nie wiedziało, czego chce. W raportach jednych oddziałów domagano się zapalników uderzeniowych (tj. powodujących detonację bezpośrednio po uderzeniu), w innych zaś koniecznie chciano zapalników czasowych (tj. powodujących detonację po upływie określonego czasu). Nie było również zgody, co do kwestii, czy granat powinien razić odłamkami czy nie. Jakby tego było mało, też żądania dotyczące wielkości i zasięgu rzutu granatów były ze sobą nie do pogodzenia...

Ponieważ potrzeba jest matką wynalazków, zaczęto wykorzystywać granaty improwizowane. Często brano po prostu puszkę po konserwie, pchano do niej gwoździe, kawałki żelaza i podobne elementy oraz oczywiście materiał wybuchowy. Następnie taką puszkę mocowano do drążka, zaopatrywano w fosforowy zapalnik i granat gotowy. Oczywiście odpalenie go zapałką i rzucenie do wrogiego okopu wymagało tyleż odwagi co szczęścia... Równolegle konstruowano również wszelkiego rodzaju machiny mające przerzucić te wytwory żołnierskiej fantazji do wrogich okopów.

Czynniki decyzyjne, stojąc wobec sprzecznych życzeń co do właściwości taktyczno-technicznych granatów z jednej strony oraz – z drugiej strony – spontanicznej ich budowy przez żołnierzy na froncie, musiały znaleźć jakieś rozwiązanie. Zdecydowano się zatem wprowadzić na front najróżniejsze prototypy celem wypróbowania ich w warunkach bojowych.

Koncepcja okazała się słuszna – wkrótce praktyka wyeliminowała większość chybionych pomysłów i nieudanych konstrukcji. Na placu boju – dosłownie i w przenośni – pozostały jedynie: znany już przed wojną granat dyskowy z zapalnikiem uderzeniowym, granat o jajowatej skorupie (*Eihandgranate*) i w zasadzie symbol armii niemieckiej – granat trzonkowy (*Stiehlhandgranate*). Ten pierwszy został zresztą wycofany w 1916 roku, gdyż coraz mniej oddziałów zgłaszało na niego zapotrzebowanie.

Granat trzonkowy wz. 16 składał się z cylindra o średnicy 75 mm oraz długości 100 mm, w którym umieszczono materiał wybuchowy. Do cylindra zamocowany był hak umożliwiający zawieszenie granatu na pasie. Od spodu do cylindra przylegał trzonek długości 225 mm. Był on wydrążony w środku i zakończony specjalnym kapslem, połączonym z zapalnikiem. Wyciągnięcie kapsla uzbrajało granat. Z kolei granat o jajowatej skorupie wykonany był z lanego żelaza. Ważył 310 gram, a żołnierze mogli miotać go na odległość do 50 m. Obydwa typy raziły przede wszystkim za pomocą siły wybuchu, a ich działanie odłamkowe bylo niewielkie.

Po uzbrojeniu granatu żołnierz, zależnie od zastosowanego zapalnika, miał teoretycznie od 3,5 do 7 sekund do czasu eksplozji. Dlaczego teoretycznie? Otóż Niemcy toczyli wojnę otoczeni blokadą, która uniemożliwiała dowóz surowców. W takiej sytuacji stosowano masowo wszelkiego rodzaju substytuty z materiałów gorszej jakości. To samo dotyczyło zapalników czasowych, które przecież wymagały użycia odpowiednich substancji chemicznych. Ze względu na ersatze, jak wykazała



Żołnierz niemiecki zimą na froncie wschodnim. W rękach trzyma dwa zdobyczne rosyjskie granaty, z których jeden z dumą prezentuje do niniejszej fotografii. Granaty te sprawiają wrażenie ciężkich, skomplikowanych i nieporęcznych. Ale przecież nie ze względu na ich przydatność znalazły się na tym zdjęciu, lecz by swymi znacznymi wymiarami podkreślić bohaterstwo ich zdobywcy.



To zdjęcie żołnierza niemieckiego przedstawiane jest do zilustrowania bitwy pod Verdun lub nad Sommą. Z pewnością powstało w 1916 r. lub później. Najprawdopodobniej to członek słynnych oddziałów szturmowych. Widać dwie duże torby z granatami – w lewej nawet wyraźnie się zaznaczył kształt charakterystycznego trzonka. Karabin wisi na plecach – nie jest potrzebny, gdyż ,,przyjaciele" są pod ręką!

przeprowadzona po wojnie kontrola granatów trzonkowych, niekiedy zapalniki powodowały detonację przedwczesną, czasem po 12 sekundach, a czasem wcale.

Niemieckie naczelne dowództwo doskonale sobie zdawało sprawę ze znaczenia tej broni, toteż kładło szczególny nacisk na konieczność przeszkolenia każdego żołnierza w użyciu granatów ręcznych. Zresztą frontowców nie trzeba było przekonywać. Sami szybko zorientowali się, że jednym granatem mogą z walki wyeliminować kilku przeciwników jednocześnie – sztuka, której realnie nie dało się osiągnąć za pomocą strzału karabinowego. Wówczas naczelne dowództwo uznało za swój obowiązek przypominać żołnierzom, że ich podstawową bronią jest karabin, a nie granat. Natomiast dowódca niemieckiej 3 Armii, generał Karl von Einem zdecydował się zimą 1917/1918 otworzyć szkołę strzelania dla swoich żołnierzy, gdyż tak się przyzwyczaili do rozwiązywania różnych problemów za pomocą granatów, że poziom umiejętności strzeleckich spadł drastycznie.

O popularności granatów ręcznych najlepiej świadczą liczby. W trakcie wielkich bitew niemiecka dywizja piechoty zużywała nawet do 30 000 granatów dziennie. Oznacza to, że każdy żołnierz dywizji – łącznie z oficerami, taborytami itp. – statystycznie rzucał dwa granaty w ciągu dnia! Miesięczna produkcja dochodziła niekiedy do 9 000 000 sztuk, w trakcie całej wojny Niemcy zdołali wytworzyć aż 300 000 000 granatów...

Jarosław Centek

Bibliografia:

Jarosław Centek, *Reichsheer ery Seeckta (1921–1926),* Warszawa 2010.

Deutsche Infanterie. Das Ehrenmal der vordersten Front, wyd. E. Von Eisenhart Rothe, E. von Tsschischwitz, W. Beckman, Zeulenroda 1933.

Wolfgang Fleischer, *Deutsche Handgranaten 1914 –1945,* Wölfersheim-Berstadt 1998.

Max Schwarte, *Der Weltkampf um Ehre und Recht,* [w] *Die Organisationen der Kriegführung,* cz. 1., Leipzig-Berlin b.d.w.



Współczesna kolekcja granatów używanych podczas I wojny światowej. Te mocno ponacinane "jajeczka" to granaty obronne, siejące przy wybuchu odłamkami nawet na 200 metrów. Rzucający nimi żołnierze musieli być pewni, że w porę zdołają się ukryć w okopie lub za murem. Gładkie kule i cylindry to granaty szturmowe. Miały skutecznie unieszkodliwiać obrońców skrytych w okopach lub domach samą siłą wybuchu i być bezpieczne dla rzucających, którzy wpadali zaraz za nimi. Mamy tu też granaty na żerdziach wystrzeliwane z karabinów oraz granat-minę zawieszany na drutach kolczastych, odpalający się automatycznie przy próbie ich przecięcia.



Kadra podoficerska stacjonującego w Piotrkowie prześwietnego 100 pułku k.u.k z Cieszyna (Schlesisch-mährisches Infanterieregiment Nr. 100) znajduje każdą chwilę, aby uciec od trosk wojennych. Dobre piwo (raczej nie Tyskie), wino raczej importowane, kiełbasa (raczej polska). Paru żołnierzy posiada ordery, reszta to garnizonowe łaziki. Polacy stanowili 37% składu narodowościowego pułku, nic dziwnego, że jako jeden z pierwszych złożył w listopadzie 1918 r. przysięgę na wierność rządowi polskiemu. ♣ *pz*



Oto kolejka do kuchni polowej jednego z oddziałów armii niemieckiej. Co jada żołnierz cesarskiej armii? Wyżywienie jest lepsze i bardziej urozmaicone niż u przeciwnika – makaron, jaja, papryka, nawet wino. Jadłospis urozmaicają cywile, w pierwszym okresie wojny entuzjastycznie zaopatrują żołnierzy w drób, słodycze i inne frykasy.

Podobnie jest w armii austriackiej: czym się żywiło wtedy wojsko, wie każdy, kto przeczytał „Przygody dobrego wojaka Szwejka".

Lepiej funkcjonowały też służby tyłowe, więc w 1914 r. głód nie był dla armii niemieckiej problemem. Niemcy już wtedy wpadli na pomysł ersatzów – znany i dziś dr Oetker wynalazł proszek do pieczenia i budyń w proszku. Na pewno takich specjałów nie brakowało i na froncie. Dodatkowym źródłem zaopatrzenia były zakupy u cywilów, o ile jeszcze cokowiek mieli i byli skłonni sprzedać.

A co u przeciwnika? Czasem trafiały się uczty... Oto jak w ‚Sierpniu Czternastego" Aleksander Sołżenicyn opisuje wkroczenie wojsk rosyjskich do Olsztyna podczas ofensywy gen. Samsonowa w sierpniu 1914 r.:

„Po tylu męczących dniach na żałosnym prowiancie – czy można się było dziwić, że wiedzeni nieprzepartą potrzebą zaspokojenia głodu zaczęli ubywać żołnierze – po dwóch, po trzech, jedni regulaminowo, jak szlachetny Kramczatkin, podszedł krokiem defiladowym, spojrzał błagalnym wzrokiem – całe życie w rękach dowódcy: –Wasze błagorodje, można z zapytaniem? Proszę o pozwolenie oddalenia się w celu zdobycia zaopatrzenia w żywność! – inni cichcem, ten skręca za mur i już niesie cukier, jakieś ciasteczka w kolorowych torebkach, chowa je w pośpiechu, kryje się przed dowodcą plutonu. A tu – niosą makaron, chłopi w życiu nie widzieli czegoś podobnego! I jeszcze większe cuda: cielęcina domowej roboty w szklanych słoikach. Niebierkin – maleńki, usłużny, z błyszczącymi oczami niesie je swojemu podporucznikowi, rad poczęstować.

–Wasze błagorodje! Niech pan raczy skosztować! Ale sprytnie zrobione!

Żołnierze z plutonu Charitonowa przy ognisku zobaczyli go – nie przestraszyli się, a ożywili, ucieszyli, zakrzątnęli się, żeby zrobić miejsce:

–Wasze blagorodje!... Wasze błagorodje, tutaj, prosimy do nas! – a dwaj już zanurzali kubki w kotle, jeden żeby oplukać, drugi to samo,na wyścigi napełnili je, na wyścigi podali, gorące i pełne po brzegi, obaj ze świątecznym wielkanocnym uśmiechem:

–Wasze blagarodje, ale dobre k a k a ł o! Tym się Niemiec pokrzepia, ścierwo jedno!"

mj



Rosjanie w Paryżu. Bardziej spacer niż przemarsz po Avenue du Bois, w oddali Łuk Triumfalny.

Rosyjski Korpus Ekspedycyjny we Francji

Z inicjatywy naczelnego wodza armii francuskiej generała Józefa Joffre pod koniec 1915 roku do Rosji udał się senator P. Doumer. Pojechał prosić cara Mikołaja II o wysłanie korpusu ekspedycyjnego, który wzmocniłby działania armii francuskiej na froncie zachodnim. Jako zachętę Francuzi dostarczyli do Rosji duże ilości uzbrojenia, w tym 450 tys. karabinów. Rosjanie w styczniu 1916 roku utworzyli 1. Specjalną Brygadę Piechoty (dwa pułki piechoty) pod dowództwem gen. majora N. A. Łochwickiego, która pociągami (Moskwa – Samara – Ufa – Krasnojarsk – Irkuck – Harbin) dotarła do portu Dalian na wybrzeżu Morza Wschodniochińskiego. Drogą morską przez Sajgon, Kolombo, Aden i kanał Sueski dopłynęła 20 kwietnia 1916 roku do Marsylii. 2 Specjalna Brygada Piechoty została skierowana na front salonicki do Macedonii. Kolejna 3 Specjalna Brygada Piechoty była transportowana do Francji z Archangielska. Powstała nieco później 4 Specjalna Brygada Piechoty przez Francję trafiła do Macedonii.

Stan Rosyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego wynosił: 750 oficerów i 45 tys. podoficerów i żołnierzy. Rosjan zaraz po przybyciu do Francji wysłano na przeszkolenie do obozu w Mailly, ponieważ stwierdzono, że nie mają przygotowania do wojny pozycyjnej w okopach i umiejętności ochrony przed atakami gazowymi.

We Francji zgotowano rosyjskim żołnierzom gorące przyjęcie. Ich udział w paradzie 14 lipca 1916 roku był owacyjnie oklaskiwany przez paryżan. Francuskie władze starały się wykorzystać propagandowo tak spektakularne wydarzenie, o Rosjanach w Paryżu donosiły agencje telegraficzne.

Latem 1 Brygada została wysłana na pierwszą linię frontu w Szampanii. W październiku straty 1 Brygady wynosiły już 500 zabitych i rannych. W kwietniu 1917 roku po walkach w okolicach Reims w ciągu trzech dni zginęło 4472 żołnierzy i 70 oficerów. Bitwa była krwawa i nie przyniosła rozstrzygnięcia. Po tych wyczerpujących walkach żołnierze 1 i 3 Brygady skierowani zostali do obozu La Courtine[1] na odpoczynek. Tam połączono te brygady w Dywizję Specjalną – od czerwca pod dowództwem gen. majora N. A. Łochwickiego. Działała ona jako całość wojsk rosyjskich we Francji, liczyła około 21 tys. żołnierzy. Do wszystkich dochodziły wiadomości o kolejnych przewrotach w Rosji. Idee rewolucyjne docierały do żołnierzy, część z nich przystąpiła do buntu, odmówiła podporządkowania się dowódcom oraz dalszej walki na froncie. Ci, którzy nie przystąpili do buntu, oddali się pod dowództwo Łochwickiego.

Bunt w La Courtine został krwawo i bezwzględnie stłumiony, 18 września 1917 roku padły ostatnie wystrzały oddziałów tłumiących rewolucyjne zapędy Rosjan. Buntowników w zależności od stopnia zaangażowania podzielono na trzy grupy. 81 najbardziej aktywnych osadzono w więzieniu na wyspie d'Aix, około 1300 wysłano do pracy przymusowej w Algierii, a przeszło 10 000 podzielono na kompanie robocze i wszystkich w 1919 roku deportowano do Odessy.

Z prawie 400 oficerów i podoficerów oraz ochotników z kompani roboczych stworzono Legion Rosyjski, który podporządkowano 1 Dywizji Marokańskiej (w jej skład wchodziły między innymi Legia Cudzoziemska i żuawi). Za walki nad Sommą, Soissons i Chemin des Dames Legion Rosyjski został przedstawiony do wyróżnienia przez naczelnego dowódcę armii francuskiej i otrzymał jako jednostka Krzyż Wojenny.

Pod koniec wojny Legion Rosyjski został przerzucony do Lotaryngii, a po jej zakończeniu został skierowany do Niemiec i wyznaczony do okupacji Wormacji nad Renem.

zj

[1] Obóz La Courtine (departament Creuse) był szkoleniowym obozem wojskowym armii francuskiej, został utworzony 1901 roku. Na powierzchni 6200 ha można było ćwiczyć współdziałanie czołgów, artylerii i jednostek inżynieryjnych. La Courtine do dziś pełni funkcje obozu szkoleniowego dla jednostek wojskowych oraz policyjnych. W 1945 roku przebywali w nim żołnierze armii Andersa, którzy wracali do kraju.



Okopy frontu zachodniego.



Transzeje frontu zachodniego – umocnione i oznakowane.



Rosyjskie groby na francuskiej ziemi.

Trudne początki broni pancernej

W chwili gdy pod Łodzią toczyła się wielka bitwa manewrowa, na froncie zachodnim ciągnęły się już linie okopów najeżone karabinami maszynowymi, które były w stanie skutecznie zablokować każde natarcie piechoty. Kolejne próby znalezienia antidotum na tę broń obficie spływały krwią żołnierską. Tymczasem już w październiku 1914 roku brytyjski pułkownik Ernest Swinton miał gotowy pomysł – należało zbudować pojazd, który będzie w stanie sforsować zasieki i będzie odporny na ogień broni maszynowej.

O ile koncepcja powstała bardzo szybko, to na jej realizację trzeba było czekać dość długo. Ważnym przełomem stało się pozyskanie dla sprawy ówczesnego Pierwszego Lorda Admiralicji, znanego bardziej ze swej działalności w czasie II wojny światowej, Winstona Churchilla. To on powołał Komitet Okrętów Lądowych, który miał skonstruować nową broń. Ponieważ nazwa była zbyt oczywista, zdecydowano się ją zakamuflować. Początkowo rozważano nazwę „transporter wody", ale ponieważ w oryginale nazwa ta brzmiała „water carrier", a jej skrót budził mało wzniosłe skojarzenia, zdecydowano się ostatecznie na Komitet Zaopatrzenia Zbiornikowego (*Tank Supply Committee*), upowszechniając na całym świecie nazwę „tank" dla nowej broni.

Same przekształcenia organizacyjne jednak nie wystarczą, by posunąć rozwój techniczny. Toteż wkrótce zaczęła powstawać *No. 1 Lincoln Maschine*, dzięki której zamierzano zebrać pierwsze doświadczenia w zakresie wykorzystania gąsienicowych pojazdów bojowych.

Większą finezją twórcy wykazali się przy nazwaniu prototypu drugiego czołgu, który ochrzczono *little Willie* – „mały Wiluś", co było oczywistą aluzją do niemieckiego następcy tronu. Jeszcze w 1915 roku rozpoczął on próby terenowe, których wyniki wykorzystano do budowy „dużego Wilusia", który okazał się na tyle udany, że mógł zostać nazwany „matką". W styczniu i lutym 1916 roku przeprowadzono pokazy w terenie, w tym dotyczące pokonywania okopów czy lejów po pociskach.

Fantazja opuściła Brytyjczyków, gdyż swojego stalowego potwora nazwali Mark I, co w zasadzie oznacza „typ 1". Biorąc pod uwagę, że pojazd ten ważył ponad 28 ton, miał 2,43 m wysokości, ponad 4 m szerokości i razem z ogonem blisko 10 m długości, to naprawdę się nie popisali.

Wymyślono za to płeć – czołgi „męskie" uzbrojone były w 2 armaty kalibru 57 mm oraz 4 karabiny maszynowe, a czołgi „żeńskie" miały po 6 karabinów maszynowych. Rozpoczęto ich szybką produkcję, jednak nie udało się zbudować dostatecznej liczby pojazdów, by wzięły udział w początkowej fazie bitwy nad Sommą, kiedy to piechota brytyjska została zmasakrowana ogniem niemieckiej broni maszynowej. Co ciekawe, Francuzom na południe od rzeki wiodło się znacznie lepiej, ale ich działania poszły w zapomnienie.



Odznaka Korpusu Czołgów noszona na czapkach od lipca 1917 r.

Po ponad dwóch miesiącach krwawych zmagań nad Sommą, wreszcie zdołano przygotować czołgi do uderzenia. Już trzy dni wcześniej rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie, zamieniające teren w krajobraz księżycowy. Przed nacierającą piechotą i czołgami miał posuwać się wał ogniowy artylerii. Ktoś uznał jednak, że robienie świeżych lejów przed czołgami na pewno nie pomoże im w pokonywaniu trudnego terenu. Znaleziono – tak pewnie się wówczas wydawało – proste rozwiązanie tego problemu. Skoro znane były trasy, którymi miały jechać czołgi, zdecydowano się wytyczyć wzdłuż nich nieostrzeliwane korytarze w wale ogniowym. Jednemu z lotników unoszących się nad polem bitwy jawiły się jako „ciemne linie, narysowane jakby dziecięcym palcem w brudnym śniegu". Problem polegał jednak na tym, że czołgi były wówczas maszynami bardzo zawodnymi i część z nich zepsuła się i w ogóle nie dotarła na pozycje wyjściowe. W takiej sytuacji albo gdy wóz bojowy został



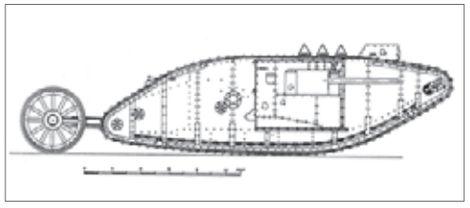
No. 1 Lincoln Machine jako tajna broń przykryta przed oczami niepowołanych osób. Znajdujące się z tyłu małe kółka zostały zamontowane również w „Małym Wilusiu" i służyły do sterowania pojazdem.



„Mały Wiluś", eksponowany w Bovington Tank Museum w hrabstwie Dorset, jest to jedna z większych kolekcji w Wielkiej Brytanii. Niestety pojazd został pozbawiony ogona z dwoma kółkami, za pomocą których mógł skręcać.



Czołg Mark I na fotografii wykonanej przez znanego fotografa wojennego Ernsta Brooksa w dniu 25 września 1916 r. Pojazd dzięki kształtowi przypominającemu romb mógł dość łatwo pokonywać rowy strzeleckie.



Szkic techniczny czołgu Mark I.

wyeliminowany przez obrońcę, ścieżką wytyczoną w wale ogniowym nie jechał żaden pojazd. Nikt też nie pomyślał, co zrobić w takiej sytuacji, zresztą przy ówczesnych możliwościach technicznych nie bardzo dało się znaleźć wyjście. W efekcie niektóre oddziały musiały nacierać na nieprzyjaciela, który w ogóle nie był ostrzeliwany i miał możliwość spokojnego zajęcia pozycji i prowadzenia ognia. Nie trzeba dużej wyobraźni, by uświadomić sobie, czym się to kończyło dla żołnierzy, którym wyznaczono taki pas natarcia.

Czołgi były ślepe i powolne. Jeden z nich zabłądził i na widok pierwszego napotkanego okopu otworzył ogień, i dzielnie ostrzeliwał Brytyjczyków. Nie bardzo też potrafiono korzystać z tej nowej broni. Przykładowo dowódca brytyjskiego III Korpusu Armijnego nakazał nacierać czołgom przez Las Fureaux, gdzie był bodaj najmniej korzystny teren do użycia wozów bojowych na całym podległym mu odcinku. Zresztą jego żołnierze mieli prawdziwego pecha – wskutek bliskości pozycji brytyjskich i niemieckich zdecydowano, że wał ogniowy rozpocznie się 135 m za pierwszym niemieckim okopem...

Mimo niedoskonałości technicznych, a także taktyki będącej całkowicie w powijakach, czołgom udało się odnieść także pewne sukcesy. Pojawienie się takich ogromnych stalowych potworów z pewnością przeraziło niemieckich żołnierzy. Do legendy przeszedł szturm wsi Flers, gdzie wdarł się jeden z czołgów, a za nim wtargnęła piechota. Lotnik unoszący się nad polem bitwy meldował wręcz, iż „czołg jedzie szosą we Flers, a brytyjskie oddziały idą za nim i wiwatują".

Użycie czołgów nad Sommą w małej liczbie – były to raptem 32 wozy – pozwoliło z jednej strony sprawdzić nową broń w walce, a z drugiej dało Niemcom możliwość „oswojenia się" z nowym przeciwnikiem. Pierwsze raporty dotyczące walk z czołgami stwierdzały, że „nie należy nie doceniać wykorzystania angielskich aut pancernych (gąsienicowych) jako środka ofensywnego, ponieważ ciężko je zwalczyć artylerią, a piechota jest przeciwko nim bezbronna. By zapobiec forsowaniu naszych linii przez auta pancerne po drogach, drogi prowadzące w kierunku naszych pozycji zostały wysadzone, a w kraterach od strony nieprzyjaciela wykopano pionowe ściany".

Szybko jednak nauczono się, że najlepszą bronią przeciwpancerną jest artyleria, choć i piechotę wyposażono w karabiny przeciwpancerne kalibru 13 mm, które jednak były trudne w obsłudze i z racji silnego odrzutu czasem łamały strzelcowi obojczyk.

Jarosław Centek

Bibliografia:

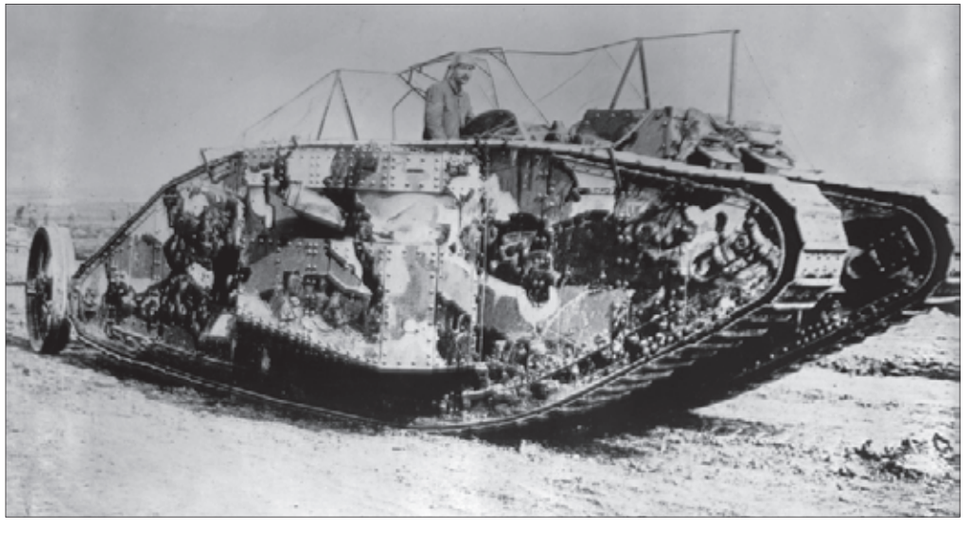
Jarosław Centek, *Somma 1916,* Warszawa 2011.

Heinz Guderian, *Achtung Panzer! Uwaga czołgi,* Warszawa 2012.

Fotografia obok: Ten Mark I otrzymał fantazyjny kamuflaż, który mógłby śmiało konkurować z wytworami dzisiejszych graficiarzy. Pytanie tylko, na ile rzeczywiście takie malowanie mogło pomóc ukryć pojazd w terenie przed wzrokiem nieprzyjaciela...



Karabin przeciwpancerny kalibru 13 mm Mauser Tankgewehr zdobyty niedaleko Grevillers w sierpniu 1918 r. przez żołnierzy z oddziałów nowozelandzkich.



Na przemytniczym szlaku
sceny z życia piotrkowskiego podziemia gospodarczego

Naczelną zasadą administracji zarządzającej austriacką strefą okupacyjną było opanowanie wszystkich dziedzin życia gospodarczego w celu najbardziej efektywnej ich eksploatacji. Polityka gospodarcza administracji okupacyjnej odznaczała się nadmiernym interwencjonizmem i *de facto* ograniczała do rekwizycji surowców i gotowych towarów, wprowadzania monopoli państwowych, ograniczenia wymiany handlowej z zagranicą i tworzenia różnego rodzaju barier w obrocie wewnętrznym. Wszelkie produkty znajdujące się w posiadaniu ludności podlegały obowiązkowej rejestracji w referatach handlowych wojskowych komend powiatowych. Mogły one w każdej chwili podjąć niekorzystne dla miejscowej gospodarki działania, np. rekwirując surowce albo maszyny. Szczególną uwagę zwracano na handel na rynku wewnętrznym deficytowymi produktami żywnościowymi, takimi jak przetwory mączne, mięso, tłuszcze roślinne i zwierzęce, cukier, miód, masło i sery. Władze nadzorowały też obrót produktami traktowanymi wówczas jako towary luksusowe – kawą naturalną i herbatą. Reglamentacja, monopolizacja i koncesjonowanie zrujnowały handel na terenach okupowanych. Braki w zaopatrzeniu ludności cywilnej, implikowane błędną polityką gospodarczą, usiłowano ograniczać za pomocą wymyślnych rozwiązań przypominających późniejsze o kilkadziesiąt lat pomysły stosowane w hitlerowskich Niemczech. Głodującej ludności nakazano przestrzegać tzw. dni bez mąki, kartofli i mięsa (dni bez mąki wypadały w poniedziałki i czwartki, natomiast bez kartofli w środy i piątki).

Ograniczenia wprowadzone podczas wojny przybierały czasami kuriozalną formę, np. ofiarą ustawodawstwa gospodarczego padły nawet tradycyjne wielkanocne pisanki. Nie wolno było ich wytwarzać, ani też sprzedawać. Można przypuszczać, że przyjęte restrykcje wynikały z braku jaj na rynku, a nie z irracjonalnej niechęci do polskiej tradycji.

Pogarszające się przez cały okres wojny warunki aprowizacyjne Piotrkowa przypisać należy szczególnemu położeniu geograficznemu miasta. Bliskość granicy z okupacją niemiecką, a dalej z wielką aglomeracją miejską, jaką była przecież Łódź, a także przebieg linii kolei warszawsko-wiedeńskiej zarządzanej przez armię niemiecką stwarzały dogodne warunki do eksploatacji legalnej i nielegalnej (przemyt) produktów żywnościowych. Generalne Gubernatorstwo w Lublinie zaniepokojone wzrastającym przemytem do strefy niemieckiej zarzucało Komendzie Powiatowej w Piotrkowie, że wydawała zbyt dużo zezwoleń na przewóz „towarów kontyngentowych" do innych powiatów. Zwłaszcza, że kiedy ładunek załadowano na wagony, natychmiast kierowany był do niemieckiej strefy okupacyjnej.

Niejaki Mianowski, inspektor Krajowej Rady Gospodarczej w Lublinie szczegółowo opisał proceder przemytu „kolejowego". Według niego Piotrków stał się wielkim centrum przemytniczym. Kontrabandę „eksportowano" do strefy niemieckiej poprzez stacje kolejowe w Piotrkowie, Rozprzy, Gorzkowicach i Kamieńsku. Czujny inspektor proponował ustawienie szlabanów i punktów kontrolnych przy drogach dojazdowych do kolei. Przemytnicy, a zwłaszcza przemytniczki wykazywali się wielką pomysłowością. Mianowski pisał: „Sposoby przemycania są nadzwyczaj różne: przyjeżdżają na przykład młode, przystojne dziewczyny, najwięcej z Częstochowy do stacji Noworadomsk [Radomsko – przyp. autora], Gorzkowice, Piotrków i znając dobrze urzędników niemieckich mają wszystko ułatwione, i przewiezienie pustych worków po zboże i wywiezienie pełnych. Są takie [dziewczyny – przyp. autora], że wcale biletów nie kupują i z workami pustymi, stanowiącymi większy pakunek, zatrzymują się wprost u naczelnika stacji, i potem, po rewizji, przez Austriaków dokonywanej, idą sobie najspokojniej do miasta, ażeby je napełnione, czy zbożem, czy mąką, posłać dalej. Charakterystyczny jest ten szmugiel, dokonywany masowo przez młode dziewczęta. Ach, te młode, wystrojone przemytniczki, z workami zboża i kartofli na plecach!"

Mianowski polecał jeszcze pilnej uwadze władz dwa drogowe szlaki przemytnicze. Jeden prowadzący przez Tuszyn do Łodzi i drugi, przez Wolbórz do Tomaszowa. W obu przypadkach wspólnikami przemytniczej braci byli chłopi z przygranicznych wsi. Plastyczny opis nielegalnego przekroczenia granicy szlakiem tuszyńskim znajduje się w pamiętnikach międzywojennego prezydenta Łodzi, Aleksego Rżewskiego. Podobnie, jak to robiło codziennie wielu szmuglerów, Rżewski dotarł do Tuszyna kolejką dojazdową. Dalej ruszył pieszo, przechodząc posterunki pruskie w lesie dłutowskim. Niestety został wykryty przez strażnika granicznego z psem. Dramatyczna rozmowa z Prusakiem, w której stawką była śmierć (późniejszy prezydent miał w kieszeni odbezpieczonego brouninga), zakończyła się szczęśliwie. Strażnik przyzwyczajony widocznie do kontaktów z przemytnikami, zadowolił się „wylegitymowaniem" dwudziestomarkowego banknotu wsadzonego w niemiecki paszport. Podobnych strażników, z obu stron granicy, było wielu. Mamy w tym przypadku doskonałą odpowiedź na potencjalne pytanie o skuteczność zwalczania nielegalnego handlu pomiędzy strefami okupacyjnymi.

Nielegalna działalność nie ograniczała się wyłącznie do wymiany towaru pomiędzy strefami okupacyjnymi. Jeszcze bardziej rozpowszechniony był proceder uprawiany w ramach okupacji austriackiej i – w szerszym wymiarze – pomiędzy Królestwem Polskim a terenami właściwej monarchii austriackiej. Czarnorynkowy handel mąką opanowali kupcy żydowscy, którzy zaopatrywali się w nielegalny towar u podmiejskich młynarzy. W odwecie straż finansowa i policja austriacka zamykała młyny i nakładała wysokie grzywny na przedsiębiorców. Efekt tych działań był jednak mizerny.

Wszelkie działania podejmowane przez administrację samorządową były mało skuteczne i nie eliminowały przemytu uprawianego przez miejscowych spekulantów – w tym niektórych rzeźników i handlarzy wędlin. Pewne kroki zmierzające do ograniczenia patologii podjęła też Komenda Powiatowa, nakazując magistratowi szczegółową kontrolę zwierząt sprowadzanych i wywożonych z miasta oraz zabijanych w rzeźni miejskiej. Raporty dwutygodniowe miały być składane w komendzie. Dodatkowo każdy rzeźnik został zobowiązany do prowadzenia książki odbioru i sprzedaży mięsa. Niestety, szczegółowa kontrola obrotu mięsem była nie-

skuteczna i trudna do wyegzekwowania. Przemytnicy przekupywali strażników rogatkowych, którzy zaniżali liczby wprowadzanego do miasta bydła i wywożonego mięsa. Kontrola ksiąg rzeźni miejskiej i ksiąg rogatkowych potwierdziła trwałość procederu. W październiku 1918 roku Milicji Miejskiej udało się odnotować znaczący sukces w walce z przemytnikami mięsa. Wywiad agenturalny odnotował wzmożony zakup bydła przez pośredników spoza Piotrkowa. Zakupione sztuki gromadzono w żydowskiej dzielnicy miasta. Sprawna akcja milicji zaskoczyła przemytników, którym skonfiskowano kilkadziesiąt sztuk bydła rzeźnego. Rzeźnicy, którzy chcieli zdobyć „surowiec", musieli uciekać się do różnych „przekrętów". Chłopi, mając do wyboru oddać świnię państwu po zaniżonej cenie urzędowej albo sprzedać ją na czarnym rynku, z oczywistych i zrozumiałych powodów wybierali to drugie rozwiązanie. Właściciel, pod grozą odpowiedzialności, lecz i pod grozą rekwizycji, sam wykradał sobie własną krowę czy świnię z obory i dostarczał do nielegalnej ubojni. Na komisariacie policji zgłaszał natomiast kradzież zwierzęcia.

Wiosną 1918 roku ¾ sprzedawanego w Piotrkowie mięsa sprowadzano spoza powiatu piotrkowskiego. Dostawami trudnili się szmuglerzy pobierający za dostarczony towar wysoką prowizję rzutującą na końcową cenę produktu. Kolejnym czynnikiem hamującym wzrost produkcji były ceny maksymalne ustalane przez administrację wojskową, po jakich rzeźnik zmuszony był sprzedawać swoje wyroby. System tych cen powodował, że handel mięsem stawał się nieopłacalny, zyski czerpano dopiero poprzez łamanie prawa i sprzedaż czarnorynkową.

W okresie wojny na liście nieoficjalnych zawodów pojawiła się nowa specjalność – tajny rzeźnik. Było to zajęcie intratne, ale i bardzo ryzykowne, o czym przekonał się osobiście pewien osobnik z Bełchatowa. Cała historia wyglądała z pozoru tragikomicznie. Żydowski handlarz, jeden z królów miejscowego podziemia gospodarczego, kupił na wsi starą krowę, którą rzeźnik zabił i „rozebrał" w komórce, na zapleczu. Jako wynagrodzenie za pracę zabrał m.in. wątrobę zwierzęcia. Okazało się, że krowa była nie tylko stara, ale i chora na chorobę zakaźną. Rzeźnik zmarł w męczarniach, wkrótce po spożyciu swojego „wynagrodzenia". Oczywiście władze okupacyjne wykorzystały ten nieszczęśliwy wypadek w propagandzie mającej na celu zwalczanie nielegalnego handlu żywnością.

Oceniając proceder przemytniczy przez pryzmat kodeksu prawnego, należałoby go uznać za wysoce naganny i nieetyczny. Tymczasem bez przemytników i ich kontrabandy, wędrującej na przemytniczym szlaku z Piotrkowa do Łodzi i Tomaszowa, tysiące mieszkańców miast niemieckiej strefy okupacyjnej skazanych byłoby na przymieranie głodem i stały niedostatek.

Aleksy Piasta



Obwieszczenie

dotyczące

ZWALCZANIA POKĄTNEGO HANDLU ZBOŻEM.

Pomimo zajęcia zboża kwitnie obficie **pokątny handel zbożem.**

Ostrzega się ludność, że do zakupna zboża uprawnioną jest **jedynie Polska Centrala Zbożowa** i że nieprawny handel zbożem bez względu na stanowisko społeczne dotyczącej osoby, będzie **jaknajsurowiej karany.**

Przypomina się ponownie, że bezprawny handel zbożem **karany będzie** jako **zbrodnia** po myśli rozporządzenia z 21. lutego 1917 r. Nr. 27 dziennika rozporządzeń **karą do 20.000 koron i więzieniem do dwóch lat.**

Równocześnie celem ułatwienia kontroli nad pokątnym handlem **zarządza się** z dniem **18. sierpnia 1917** godzinę policyjną od **10 wieczorem** do **5 rano** dla **całego ruchu wozowego,** to znaczy, że w czasie od **10 wieczorem** do **5 rano nikomu niewolno jeździć bez pisemnego zezwolenia** Komendy powiatowej lub Komendantów plutonów Żandarmeryi, a w wyjątkowych wypadkach jak choroba — za zezwoleniem Komendanta odnośnego posterunku Żandarmeryi.

Postanowienie to nie dotyczy duszpasterzy i funkcyonarjuszy gminnych, o ile jeżdżą wykonując swe funkcye urzędowe.

Wykroczenia przeciw temu rozporządzeniu **będą ostro karane,** w szczególności zarządzona będzie także **konfiskata zaprzęgu.**

Piotrków, dnia 10. sierpnia 1917 r.

C. i k. Komendant powiatowy:

WIKTOR, w. r., pułkownik.



K. u. k. Kreiskommando in Piotrków.

Obwieszczenie.

W myśl rozporządzenia Wojennego Jenerał-Gubernatorstwa z dnia 13. grudnia 1916 r. tak

SPRZEDAŻ MIĘSA

jak również i SPOŻYWANIE MIĘSA

w dniu 26. grudnia 1916 r. i

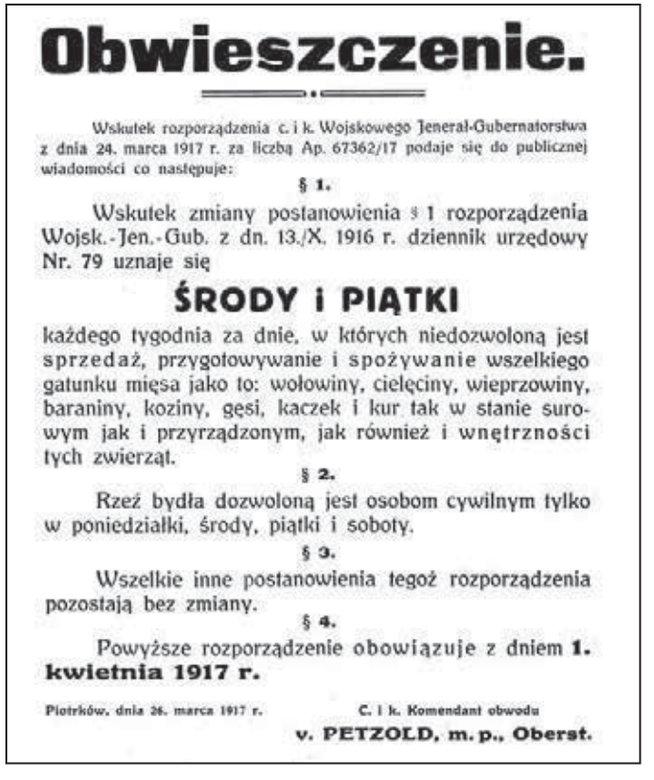
w dniu 6. stycznia 1917 r.

wyjątkowo zezwolono.

Piotrków, dnia 21. grudnia 1916.

C. i k. Komendant obwodu

SCHNEIDER, m. p., Oberstlt.



Obwieszczenie.

Wskutek rozporządzenia c. i k. Wojskowego Jenerał-Gubernatorstwa z dnia 24. marca 1917 r. za liczbą Ap. 67362/17 podaje się do publicznej wiadomości co następuje:

§ 1.

Wskutek zmiany postanowienia § 1 rozporządzenia Wojsk.-Jen.-Gub. z dn. 13./X. 1916 r. dziennik urzędowy Nr. 79 uznaje się

ŚRODY i PIĄTKI

każdego tygodnia za dnie, w których niedozwoloną jest sprzedaż, przygotowywanie i spożywanie wszelkiego gatunku mięsa jako to: wołowiny, cielęciny, wieprzowiny, baraniny, koziny, gęsi, kaczek i kur tak w stanie surowym jak i przyrządzonym, jak również i wnętrzności tych zwierząt.

§ 2.

Rzeź bydła dozwoloną jest osobom cywilnym tylko w poniedziałki, środy, piątki i soboty.

§ 3.

Wszelkie inne postanowienia tegoż rozporządzenia pozostają bez zmiany.

§ 4.

Powyższe rozporządzenie obowiązuje z dniem **1. kwietnia 1917 r.**

Piotrków, dnia 26. marca 1917 r.

C. i k. Komendant obwodu

v. PETZOLD, m. p., Oberst.

Ostatni „Feldbahn”

Jadąc mroźną zimą 2012 roku kolejką z Rogowa na ognisko w Jeżowie, uświadomiłem sobie, jak trudna była jej budowa. Aby współczesny, zimowy pociąg turystyczny wyruszył, trzeba było odkuć z lodu przejazdy drogowe, napalić w piecu wagonu i go nagrzać oraz uruchomić lokomotywę, a przecież chodziło tylko o przejazd rekreacyjny, a nie frontowy. Rękawice przymarzały do metalu, ba nawet kiełbaski na ognisku z jednej strony były upieczone, ale z drugiej zimne…

Porównałem naszą współczesną pracę do warunków frontowych, gdyż właśnie na linię walk prowadziła nasza wąskotorówka zbudowana zimą i wiosną 1915 roku.

Kiedy wojska niemieckie zdobyły Łódź i Brzeziny, odepchnęły Rosjan aż do Rawy Mazowieckiej. Tam – na linii rzeki Rawki, a dalej na południe wzdłuż drogi do Nowego Miasta i Pilicy – front ustabilizował się na kilka miesięcy, aż do letniej ofensywy 1915 roku. Droga z Brzezin do Rawy nie była wówczas utwardzona, więc dla transportu wojska i zaopatrzenia zbudowano wojskową kolej wąskotorową (niem. *Feldbahn*, czasem dla odróżnienia od kolei gospodarczych *Heeresfeldbahn*). Była to linia przyfrontowa – zaopatrująca wojsko w broń, amunicję, materiały do budowy umocnień oraz w żywność i pozostałe materiały. Z frontu na zaplecze rannych wywożono specjalnymi wagonami lub tymczasowo przystosowanymi wagonami towarowymi.

Linię kolejową poprowadzono z Rogowa na wschód przez Jeżów, Głuchów do Rawy Mazowieckiej. Budowa tego ponad trzydziestokilometrowego odcinka była bardzo szybka, trwała kilka tygodni. W Rogowie urządzono obszerne zaplecze – powstały place przeładunkowe i magazyny, parowozownia i budynki pomocnicze. Dla przywożonych kolejką rannych na stacji wąskotorowej urządzono polowy lazaret.

Sprawna budowa była zasługą odpowiednio wyposażonych i wyszkolonych kompanii kolejowych (w przypadku naszej linii było to pięć rezerwowych kompanii kolejowych, niem. *Reserve Eisenbahnkompanie, REBK*). Przygotowując się do wojny, Niemcy stworzyli własny standard kolei polowych – wyprodukowali ponad 2500 sztuk takich samych lokomotyw „Brigadelok”, tysiące wagonów i pozostałego wyposażenia kolejowego. Kompanie kolejowe na specjalnych poligonach ćwiczyły układanie torów z elementów prefabrykowanych (tzw. przęseł patentowych – pięciometrowej długości odcinków toru na metalowych podkładach), budowę mostów oraz prowadzenie ruchu kolejowego. Stosowano tor o szerokości 600 mm, czyli mniej niż połowę szerokości toru normalnego (1435 mm). Zaletą wąskotorówek względem kolei normalnotorowej była łatwiejsza budowa – mniejsze naciski na oś i mniejsze promienie łuków umożliwiały ograniczenie prac ziemnych, co w warunkach wojennych było nie do przecenienia.

W okresie I wojny światowej na terytorium obecnej Polski Niemcy zbudowali wiele frontowych „Feldbahnów”– były to koleje: Wielbark – Ostrołęka, Myszyniecka, Mławska, Raciąż – Nasielsk oraz duża część sieci kolejek na Kujawach. Obecnie funkcjonuje jedynie kolej Rogów – Rawa Mazowiecka – Biała Rawska, pozostałe zostały przebudowane na linie normalnotorowe lub zlikwidowane.

Także armie pozostałych państw uczestniczących w I wojnie światowej budowały koleje wąskotorowe – frontowe oraz zaopatrzeniowe, niemniej z różnych powodów nie dorównywały one niemieckim pod względem organizacji i ilości. Rosjanie z powodu źle przeprowadzonych testów i specyficznego podejścia wojska do techniki (zwłaszcza obsługi parowozów) zdecydowali się stosować przede wszystkim kolejki konne o szerokości toru 750 mm. Ich wadą była mała zdolność przewozowa oraz konieczność utrzymywania bardzo licznej obsługi i dużej liczby koni. Po rosyjskich kolejkach wojskowych nie pozostał żaden ślad, przede wszystkim z powodu ich tymczasowego charakteru.

Z kolei Austriacy wybrali nietypową szerokość toru 700 mm, co spowodowało konieczność produkcji całego sprzętu na specjalne zamówienie wojska. W efekcie ograniczonych możliwości fabryk wojsko austriackie musiało się posiłkować zakupami różnorodnego taboru z drugiej ręki (na tor 600 i 760 mm). Jedyną obecnie działającą koleją wąskotorową o austriackiej genezie wojennej jest linia Jędrzejów – Pińczów.

Powróćmy jednak do naszej kolejki z Rogowa do Rawy Mazowieckiej. W jej wojennej historii istnieją nadal białe plamy: Niemcy wybudowali dwa odgałęzienia z Rawy: jedno do Białej Rawskiej (istnieje do dzisiaj) i drugie do Żdżar przez Cielądz (wzdłuż drogi do Nowego Miasta, obecnie nieistniejące). Nie znamy dat otwarcia ruchu na tych przedłużeniach. Ze względu na sytuację frontową linię do Białej zbudowano nie wcześniej niż w czerwcu 1915 roku.

Na marginesie warto tu zauważyć, że w tym samym czasie Rosjanie zbudowali swoją wojskową linię wąskotorową – tyle że konną, od Grójca (stacja prywatnej kolei wąskotorowej) do Białej Rawskiej. Linię tę ewakuowano w maju 1915 roku. Była to samoewakuacja – kolejkę konną układano w kierunku wschodnim (do Góry Kalwarii i dalej do stacji Pilawa), jednocześnie rozbierając od zachodu (odcinek do Białej Rawskiej). Tor kładziono wprost na drogach. W taki sposób pokonano też Wisłę – po moście drogowym w Górze Kalwarii. Warszawę ominięto, gdyż tutejszy węzeł kolejowy był zatłoczony z powodu masowej ewakuacji do Rosji.

53. Rogow—Biala. (Feldbahn.)

km	17	7	21	15		Zug-Nr.	Zug-Nr.		2	18	10	22
	—	10 05	—	6 40	ab	Rogow (1)		an	8 38	—	5 05	—
6,60	—	10 32	—	7 07	ab	Jezow		ab	8 11	—	4 38	—
9,50	—	10 44	—	7 19	ab	Bialynin		ab	7 59	—	4 26	—
15,50	—	11 23	—	7 58	ab	Gluchow		ab	7 35	—	4 02	—
18,40	—	11 35	—	8 10	ab	Zlota		ab	7 08	—	3 35	—
23,90	—	11 57	—	8 32	ab	Boguschüze		ab	6 46	—	3 13	—
29,90	—	12 21	—	8 56	an	Rawa		ab	6 22	—	2 49	—
	6 00	—	5 10	—	ab	„		an	—	8 53	—	8 02
33,40	6 14	—	5 24	—	ab	Konopnica		ab	—	8 39	—	7 48
39,86	6 38	—	5 48	—	ab	Regnow		ab	—	8 15	—	7 24
43,90	6 56	—	6 06	—	ab	Pongow		ab	—	7 57	—	7 06
47,80	7 12	—	6 22	—	an	Biala		ab	—	7 41	—	6 50

Verkehrt nach Bedarf

Rozkład jazdy kolejki rogowskiej obowiązujący od 1 czerwca 1917 r.

Po przesunięciu się frontu dalej na wschód, latem 1915 roku, kolei Rogów – Rawa wraz z odgałęzieniami Rawa – Biała i Rawa – Żdżary nie rozebrano, ale pozostawiono jako linię zaopatrzeniową. Administracyjnie przejęły ją niemieckie władze okupacyjne z Warszawy. Prawdopodobnie w roku 1916 lub 1917 otwarto ruch publiczny (cywilny). Od tego czasu datuje się więc służba naszej wąskotorówki dla lokalnej społeczności.

W II Rzeczpospolitej naszą koleją zarządzały Polskie Koleje Państwowe. Wykonano cały szereg prac modernizacyjnych, przede wszystkim zamieniając elementy o tymczasowym, wojennym charakterze na stałe. Zbudowano nowy most na rzece Rawce, budynki stacyjne w Rawie i budynek zarządu w Rogowie (wszystkie te obiekty istnieją do dzisiaj). Kolejka stała się pełnoprawną częścią polskiej sieci kolejowej. Tabor kolei wojskowych służył w okresie międzywojennym w Rogowie i na wielu zbudowanych wówczas wąskotorówkach ziemi łódzkiej, ale to już zupełnie inna historia…

Przyjrzyjmy się rozkładowi jazdy z okresu I wojny, kiedy nasza kolejka funkcjonowała już nie jako kolej frontowa, ale zaopatrzeniowa. Podróż z Rogowa do Rawy trwała 2 godziny i 15 minut. Wynikało to nie tylko z niewielkich prędkości osiąganych przez lokomotywy Brigadelok (maksymalnie 25 km/godz), ale także z faktu, że pociągi najczęściej prowadziły jednocześnie wagony osobowe i towarowe. Na stacjach odczepiano i doczepiano odpowiednie wagony z węglem, kruszywem, zbożem i ziemniakami. Przewożono także drobnicę – świeże mleko, jaja, żywe zwierzęta. Załadunek i rozładunek tych towarów znacznie wydłużał postoje.

Od tego czasu prędkość naszych pociągów nieco wzrosła, choć i dzisiaj nie przekracza 30 km/h. Po latach pracy kolejka nadal, w swoim wolnym tempie wozi turystów. W rogowskim skansenie (na stacji Rogów Towarowy Wąsk.) można oglądać wiele pamiątek z czasów wojennych początków, m. in. torowe przęsła patentowe, zdjęcia i stare narzędzia. Zgromadzony na stacji liczny tabor pochodzi w większości z lat późniejszych, choć najstarsze egzemplarze datowane są na koniec XIX wieku.

W pewnym sensie można powiedzieć, że na ostatnim w Polsce Feldbahnie nadal toczy się walka. Tym razem jest to walka o jego ocalenie – podstawowym problemem są kradzieże fragmentów torowiska i brak pieniędzy na remonty infrastruktury. Walkę prowadzi nie pięć wojskowych kompanii kolejowych, ale grupa hobbystów z Łodzi, Warszawy i Rogowa. Miejmy nadzieję, że walka ta będzie wygrana!

♣ *Andrzej Tajchert*

Więcej o historii oraz teraźniejszości tej jedynej wąskotorówki w województwie łódzkim napisano w książce *Kolej Wąskotorowa Rogów – Rawa – Biała,* Eurosprinter, Rybnik, 2014.



Żołnierze niemieckich kompanii kolejowych przed parowozem typu Brigadelok. Parowóz posiada charakterystyczny kubłowy odiskiernik na kominie (ograniczał ryzyko pożaru od iskier). W lewo od żołnierza stojącego na parowozie przed budką maszynisty widać zwiniętą rurę do czerpania wody ze zbiorników wodnych. Za pomocą specjalnej pompy wykorzystującej ciśnienie w kotle możliwe było zasysanie wody ze stawów, rzek, a nawet rowów.



WIESZANIE SZPIEGÓW (i w ogóle wieszanie) jest popularnym zajęciem na każdej wojnie. Wystarczy sięgnąć do „Przygód dobrego wojaka Szwejka" i znaleźć stosowne przykłady, że armia austro-węgierska nie była w tej dziedzinie wyjątkiem (że wspomnimy anegdotyczny przypadek, kiedy to nie udało się powiesić Żyda z powodu kompletnego braku drzew w okolicy). Właśnie Żydów wieszano najchętniej, gdyż z reguły podejrzewano ich o sprzyjanie Rosjanom.

Wydaje się, że zdjęcie zrobiono w Galicji, o czym świadczą „rusińskie" czapy cywilów i walonki. Raczej należy wykluczyć założenie, że wisielcy są dziełem armii rosyjskiej i austriaccy żołnierze po prostu zastali taki widoczek w miasteczku. Rosjanie zabraliby powieszonym buty. Szubienica jest solidna, widać, że na jej zbudowanie poświęcono sporo czasu i energii. Jeden z wisielców ma opaskę na oczach, a więc wieszanie odbyło się zgodnie z przepisami (i być może na podstawie wyroku sądu polowego). Ciekawe jest i to, że przy dużym zbliżeniu widać... wesołe uśmiechy na twarzach bardzo młodych gapiów. Egzekucja nie wstrząsnęła nimi, a więc na szubienicy nie zawisł nikt z bliskich czy znajomych. Żołnierze nie mają broni i w ogóle pod szubienicą panuje nastrój niemal zabawy. Dziwne rozrywki mają ludzie na wojnie... ✠ *mj*

Etappen-Hauptort, 7. 12. 1914.

BEKANNTMACHUNG.

Personen, die Spione oder russische Soldaten bei sich aufnehmen, verfallen dem Tode durch Erschiessen, ihre Häuser oder Höfe werden vernichtet, ihre Habe konfiziert.

Der Ober-Kommandierende
im Rücken der deutschen Armee.
von Heuduck, Generalleutnant.

Diese Bekanntmachung gilt auch als von der hiesigen Kommandantur erlassen.

Główna Kwatera etapowa, 7. 12 1914.

OGŁOSZENIE.

Ktokolwiek by przyjmował u siebie szpiegów albo rosyjskich żołnierzy, podpada karze śmierci przez zastrzelenie, jego dom albo dwór się zniszczy, jego mienie się skonfiskuje.

Naczelny komendant
poza niemiecką armią.
v. Heuduck, Jenerał-lejtnant.

Niniejsze ogłoszenie uważać się ma jako obwieszczone przez tutejszą Komendanturę.

EUROPEJSKA EPOPEJA JÓZEFA

Józef Staszak urodził się 12 marca 1890 roku w Łodzi. W czerwcu 1905 roku – w czasie rewolucji – biega między barykadami na Wschodniej i Południowej, ma wtedy 15 lat. Tam poznaje ludzi z PPS Frakcja Rewolucyjna[1] i niebawem zostaje aktywnym członkiem tej organizacji. Za kolportaż nielegalnej literatury i werbowanie nowych członków jest poszukiwany przez carską policję, ucieka więc przed aresztowaniem do Częstochowy, a potem do Będzina. Niestety tam zostaje aresztowany i osadzony na kilka miesięcy w miejscowym więzieniu, a następnie przeniesiony do więzienia w Łodzi. Po kilku miesiącach wychodzi na wolność. Dość długo udaje mu się unikać służby wojskowej, ale w 1912 roku wcielają go do 3 Gwardyjskiej Dywizji Piechoty. W sierpniu 1914 wybucha wojna. Najpierw trafia ze swoim oddziałem w okolice Kalisza, potem pod Królewiec, aby w końcu znaleźć się pod rodzinną Łodzią. 17 marca 1915 roku pod Brzezinami – jak na ironię losu, kilka kilometrów od rodzinnego domu – dostaje się do niewoli. Ewakuowany zostaje do Królewca, który dla eskortujących go żołnierzy nazywa się Königsberg. Cały czas myśli, jak wydostać się na wolność – cokolwiek ona nie znaczyła w tej wojennej rzeczywistości.

Tymczasem Niemcy szykują ofensywę na froncie zachodnim. Potrzebna jest każda para rąk. Wszyscy zdrowi rosyjscy jeńcy wojenni, a jest ich około 15 tysięcy, zostają przewiezieni w różne miejsca pogranicza francusko-belgijskiego. Józef trafia w okolice Metzu. Tu jeńcy mają wykonywać niezbędne prace ziemne, pozycje dla dział i bezpieczne schrony dla dużej ilości amunicji artyleryjskiej. Są to przygotowania do ofensywy pod kryptonimem *Gericht*, czyli Sąd. Ofensywy, która przejdzie do historii jako bitwa pod Verdun.

Józef jest cwanym chłopakiem z Bałut, zna dobrze język niemiecki wie, co stanie się niebawem, jego konspiracyjny instynkt pozwala mu dostrzec niepowtarzalną okazję.



Mój dziadek Józef Staszak w Düsseldorfie, we wrześniu 1916 r.



Amerykański plakat zachęcający do wstąpienia do Polskiej Armii we Francji.

W połowie stycznia 1916 roku z kilkoma kolegami ucieka do pobliskiej Holandii.

Co może zrobić w Holandii rosyjski jeniec wojenny, uciekinier z niemieckiej niewoli? I tu znów jego doświadczenie i spryt konspiratora przydają się niezwykle. Józef wybiera drogę prostą, idzie do konsulatu rosyjskiego. Otrzymuje paszport, bo tego nie mogą mu odmówić, i dobre słowo na drogę. Ponieważ dwa paszporty są lepsze niż jeden (wie to teraz każdy widz filmów sensacyjnych), Józef udaje się więc do konsulatu niemieckiego i po niewielkich staraniach otrzymuje paszport niemiecki – w końcu mieszkał w Łodzi, którą rządzili Niemcy. Na jego podstawie legalnie przekrocza granicę i zaczyna pracować w Düsseldorfie. Nawiązuje kontakt z rodziną w Łodzi.

Józef nie jest zbyt zadowolony ani z kraju pobytu, ani z pracy. Wraca zatem do Holandii i załatwia sobie pracę, tym razem we Francji, bo z paszportem rosyjskim nie ma problemów, aby legalnie przekroczyć granicę sojuszniczego kraju.



Dziadek i jego Krzyż Wojenny.

[1] PPS frakcja Rewolucyjna – jako cel walki stawiali niepodległą polską republikę demokratyczną, w taktyce zachowywali samodzielność polskiego ruchu socjalistycznego, chociaż nie wykluczali koordynacji sił z innymi ugrupowaniami w walce ze wspólnym wrogiem – caratem. Najbardziej znani działacze to: Józef Montwiłł-Mirecki, Józef Piłsudski, Kazimierz Pużak, Tomasz Arciszewki.

W połowie lipca 1917 roku Józef przyjeżdża do Paryża. Dowiaduje się, że formuje się Armia Polska we Francji. Rezygnuje z pracy i wstępuje jako ochotnik do Armii Polskiej. Nosi szaroniebieski mundur, od którego nazywają ich Błękitną Armią, a jego dowódcą będzie generał Józef Haller.

Józef ma już wojskowe doświadczenia, więc kierują go do szkoły podoficerskiej w Sillé-le-Guillaume. Zostaje kierowcą-mechanikiem samochodowym. Składa przysięgę „... na wierność Ojczyźnie mojej, Polsce, Jedynej i Niepodzielnej, przysięgam, iż gotów jestem życie oddać za Świetą Sprawę Jej Zjednoczenia i Wyzwolenia..." Dostaje przydział do 1 pułku 2 batalionu 6 kompanii, z którą odbywa całą kampanię wojenną w Szampanii.

Zostaje odznaczony Krzyżem Wojennym za odwagę. Pod Saint-Hilaire-le-Grand w departamencie Marna jest poważnie ranny. Za uratowanie kolegi i dalsze akty męstwa otrzymuje rozkazem pułku brązową gwiazdę do Krzyża Wojennego. Trafia do szpitala w Narbonne i na rekonwalescencje do Paryża. Po dwu miesiącach dostaje przydział do 6 kompanii i trafia z dywizją na front w Wogezach. Znów wyróżnia się w walce, kolejnym rozkazem brygady otrzymuje kolejną brązową gwiazdę do Krzyża Wojennego.

W Wogezach zastaje Józefa koniec wojny światowej. Jeszcze do marca 1919 roku przebywa w służbie czynnej we Francji. Kiedy wydaje się, że za kilka dni będzie wracać do domu, przychodzą nowe rozkazy. Błękitna Armia pociągami wyrusza do Polski wraz z nowoczesną bronią, czołgami i samolotami, dzięki czemu znacznie wzmacnia tworzące się Wojsko Polskie. We wrześniu 1919 pułk przemianowany został na 43 Pułk Strzelców Kresowych, a kierunek podróży to Front Wołyński. Bolszewicy atakują! Tu też Józef nie wymiguje się, jest dzielny, zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych za czyny męstwa i odwagi, wykazane w boju.



Miecze Hallerowskie – pamiątkowa odznaka przyznawana żołnierzom Armii Polskiej we Francji w okresie II Rzeczypospolitej.

W listopadzie 1921 roku, trzy lata po zakończeniu wojny światowej, kończy się wojskowa epopeja Józefa. Mojego dziadka, sierżanta Józefa Staszaka.

Dziadkowe krzyże zasługi i odznaczenia były moją najfajnieszą zabawką we wczesnym dzieciństwie, ponoć gdy zawodziły wszystkie sposoby uspokojenia mnie i zachęcenia do snu, ciche pobrzękiwanie metalowych krążków na kolorowych wstążkach przynosiło ukojenie.

Zbigniew Janeczek



Ślubowanie Naczelnego Wodza Błękitnej Armii, gen. Jozefa Hallera, w Sillé-le-Guillaume 6 października1918 r.



Generał Józef Haller wygłasza przemówienie do francuskich przyjaciół na placu Stanisława w Nancy, pięknym mieście które rozbudował i w którym rezydował król Stanisław Leszczyński.

KRZYŻ DLA MIEJSCOWEGO

Z książki *Zapiski kawalerzysty* Nikołaja Gumilowa

Pewnego razu podczas zwiadu w lesie spotkaliśmy pięć nieprawdopodobnie brudnych postaci z karabinami. Dziwaczne te figury wyległy z gęstego młodniaka. Byli to nasi piechocińcy, którzy ponad miesiąc temu oddalili się od swojej jednostki i znaleźli się poza liniami niemieckimi. Nie stracili głowy; wyszukali niedostępną gęstwinę, wykopali tam jamę, zamaskowali chrustem, przy pomocy ostatniej zapałki rozpalili ledwie tlący się ogienek, żeby ogrzewać swoje lokum i roztapiać śnieg w kociołkach, po czym zaczęli pędzić żywot Robinsonów , czekając na rosyjskie natarcie. Nocami wyprawiali się do wsi, w której stacjonował niemiecki sztab. Wieśniacy dawali im chleb, pieczone ziemniaki, czasem słoninę. Którejś nocy jeden z żołnierzy nie wrócił. Pozostali przez cały dzień siedzieli głodni w ponurym przeczuciu, że schwytany kolega na torturach zdradzi ich kryjówkę i lada chwila przyjdzie wróg. Nic takiego się nie stało: albo Niemcy zachowali się honorowo, albo nasz żołnierzyk okazał się bohaterem – nie wiadomo. Byliśmy pierwszymi Rosjanami, jakich „Robinsonowie" zobaczyli. Przede wszystkim poprosili o tytoń. W ukryciu kurzyli startą korę i narzekali, że za bardzo pali w ustach i gardle...

Podobne przypadki nie należały do rzadkości. Pewien kozak zaklinał się, że grał z Niemcami w oczko. Był sam w wiosce, kiedy wpadł do niej liczny podjazd niemiecki. Na ucieczkę było za późno. Kozak szybko rozsiodłał konia, schował siodło w słomie, sam przebrał się w sukmanę gospodarza – kiedy Niemcy weszli do stodoły, ujrzeli go, jak spokojnie młóci ziarno. W obejściu nieprzyjaciel zostawił posterunek w sile trzech ludzi. Kozak nabrał ochoty, żeby lepiej przyjrzeć się Niemcom. Wszedł do chałupy i zobaczył, że żołnierze grają w karty. Przyłączył się do gry i w ciągu godziny wygrał dziesięć rubli. Kiedy posterunek zwinięto i podjazd wycofał się ze wsi, wrócił do swoich. Spytałem, jak mu się podobali Niemcy. „W porządku są – powiedział – tylko grają kiepsko, wrzeszczą, klną, myślą tylko, jak się odegrać. Kiedy ich ograłem, chcieli mnie bić, ale nie dałem się". Jak „nie dał się" – nie zdołałem dopytać, obaj bardzo się spieszyliśmy.

Ostatni zwiad był pełen przygód. Długo jechaliśmy lasem, skręcając z przesieki w przesiekę i wcale nie byliśmy pewni, czy nie zostawiliśmy za sobą jakichś nieprzyjacielskich zasadzek. Las skończył się krzakami, dalej była wieś. Wysłaliśmy patrole w lewo i na prawo, sami zaczęliśmy obserwować wioskę. Są tam Niemcy, czy nie ma – oto jest pytanie… Powoli zaczęliśmy wysuwać się z krzaków – spokój. Od wsi dzieliło nas nie więcej niż dwieście kroków, kiedy wybiegł z niej miejscowy mieszkaniec bez czapki i rzucił się ku nam z krzykiem: „Germanie, Germanie, dużo ich… Uciekajcie!" I wtedy rozległa się salwa. Miejscowy upadł i przeturlał się kilka razy, zawróciliśmy do lasu. Pole przed wioską zakipiało od Niemców. Była ich ponad setka. Powinniśmy uciekać, ale nasze patrole jeszcze nie wróciły. Z lewego skrzydła dobiegała strzelanina, nagle kilka wystrzałów rozległo się także z tyłu. To było najgorsze! Uznaliśmy, że Niemcy nas otoczyli, wyciągnęliśmy szable, żeby natychmiast po powrocie patroli przebijać się szarżą. Na szczęście szybko okazało się, że za nami nikogo nie ma – po prostu pociski rozpryskowe uderzają w pnie drzew. Zwiadowcy z prawej już wrócili. Zwlekali, bo chcieli zabrać Polaka, który nas ostrzegł, ale ten już nie żył – dostał trzy kule w głowę i plecy. W końcu zjawił się zwiadowca z lewej. Zasalutował i dziarsko zameldował oficerowi: „Wasza wysokość, Niemiec atakuje z lewej… jestem ranny". Na biodrze widać było krew. „Utrzymasz się w siodle?" – spytał oficer. „Tak jest, na razie mogę!" – „A gdzie drugi zwiadowca?" – „Nie wiem, chyba upadł". Oficer zwrócił się do mnie: „Gumilow, sprawdźcie, co z nim". Zasalutowałem i pojechałem prosto pod ogień. (…) W każdej chwili spodziewałem się zobaczyć poszarpanego, podziurawionego trupa nieszczęsnego zwiadowcy, a także paść obok niego w podobnie rozerwanym stanie – częste patrole stargały mi nerwy. Dlatego łatwo wyobrazić sobie moją wściekłość, kiedy zobaczyłem zaginionego, jak siedzi w kucki przy zabitym koniu i grzebie w manelach.

„Co ty tu robisz?" – „Konia zabili… siodło zdejmuję:. – Szybciej, ty taki-owaki, cały patrol pod ogniem na ciebie czeka!" – „Zaraz zaraz, tylko bieliznę wyciągnę…" – Podszedł do mnie, niosąc niewielki tobołek. – „Potrzymajcie, póki nie wskoczę na waszego konia, na piechotę nie ucieknę, Niemiec całkiem blisko!" Pogalopowaliśmy, ścigani przez pociski, a zwiadowca ciągle wzdychał za moimi plecami: „Ech, herbatę zapomniałem wziąć! Ech, jaka szkoda, chleb został!"

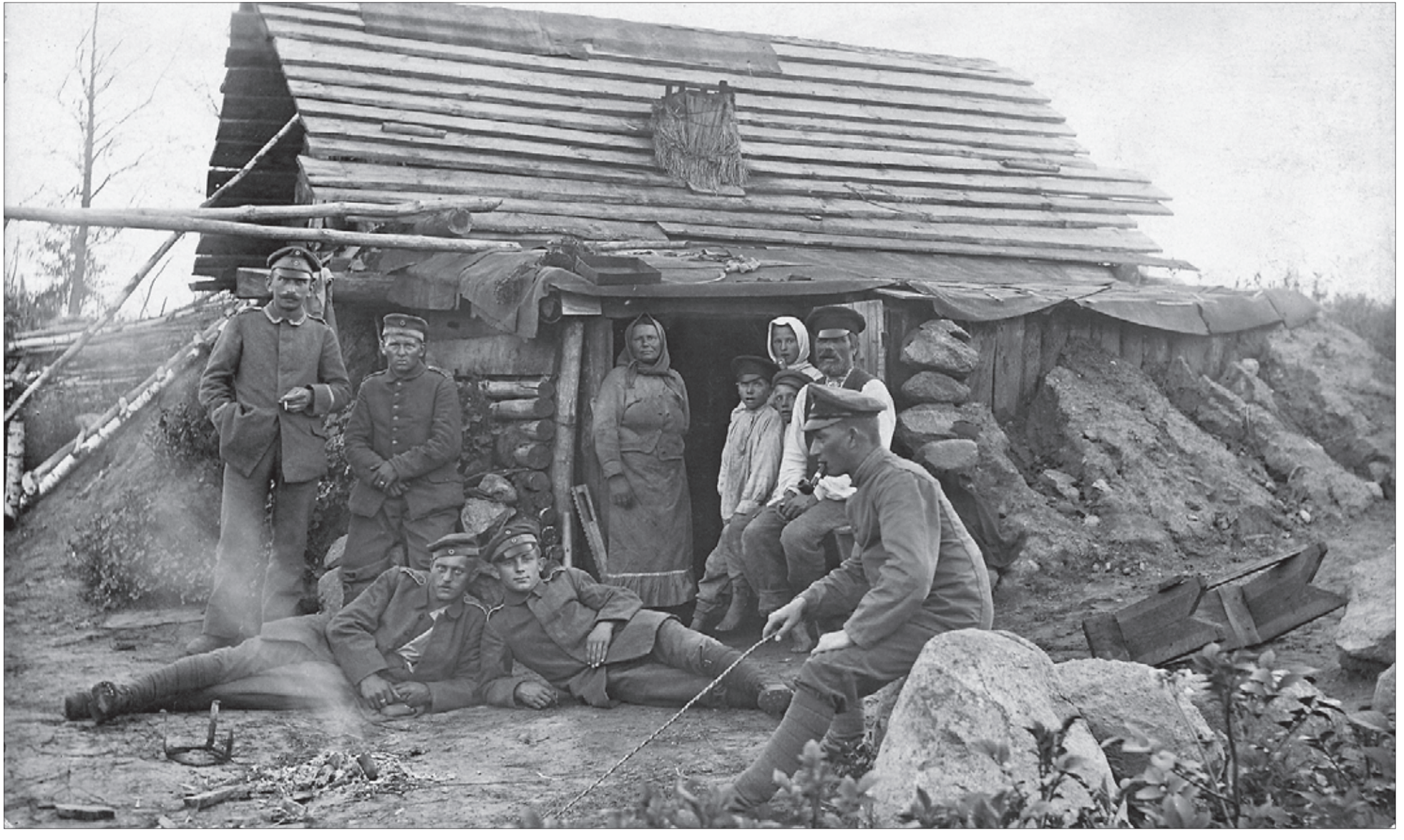
Wróciliśmy bez przeszkód. Ranny po opatrzeniu wrócił do oddziału, mając nadzieję na order świętego Jerzego. Bardzo często wspominaliśmy potem Polaka, który zginął za nas. Kiedy zajęliśmy tę wioskę, postawiliśmy na miejscu jego śmierci drewniany krzyż…

mj

Redakcja „Bitewnika" serdecznie dziękuje Jewgienijowi Stiepanowowi, autorowi książki „Poeta i żołnierz N.S. Gumilow" za zgodę na nieodpłatne wykorzystanie jej fragmentów.



Miejscowi mogli się tylko modlić o przetrwanie...



Ludność na terenach zdobytych interesowała Niemców jako problem wręcz badawczy. Fotografowie amatorzy kolekcjonowali „typowych" mieszkańców, tworząc „impresje z podróży w mundurze wojskowym w misji cywilizacyjnej". I oto miejscowi – sądząc po ubiorach Białorusini lub Ukraińcy – kiedyś nawet zamożni. Niech nie zraża brak butów – te zakładano tylko do cerkwi. Gospodarz ma porządną czapkę z daszkiem, białą haftowaną koszulę, tzw, rubaszkę, i kamizelkę poprawiającą status w wiosce. Reszta rodziny jest także stosownie odziana. Wioski to chyba już nie ma. Chałupa wygląda na świeżo skleconą z resztek materiałów saperskich. Komin ogacony wiązką słomy. Pan oficer siedzi na kamieniu i pykając z dobrej fajki rozgarnia patykiem resztki ogniska. Czemu nie skorzysta z przewróconej obok ławki? Może zmęczony jak reszta żołnierzy zadowala się byle siedziskiem. Cóż na wojnie można do wszystkiego przywyknąć.

pz

PANIE PILOCIE, DZIURA W SAMOLOCIE...

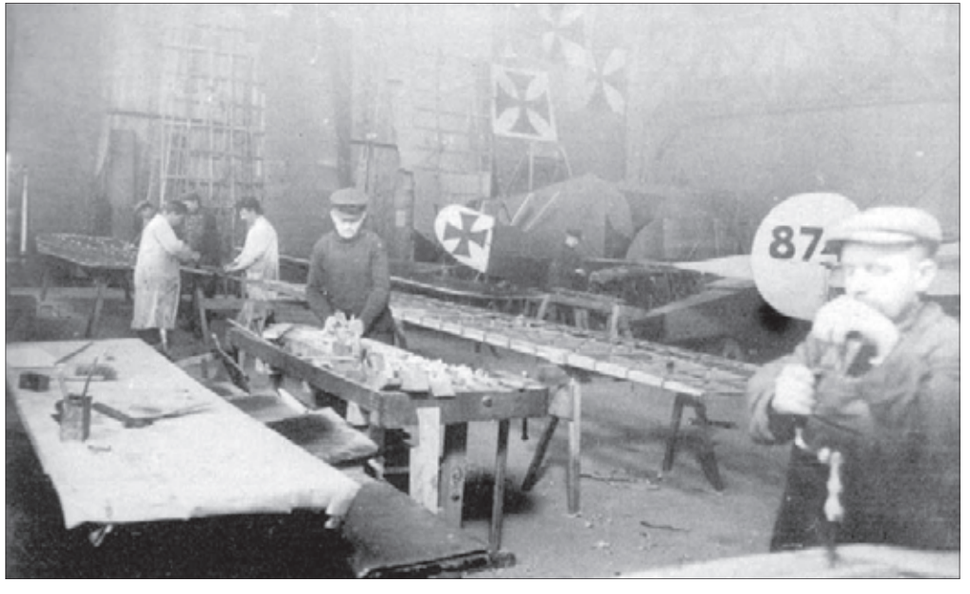
Kiedy wybuchła wojna, teoria jej prowadzenia, we wszystkich krajach objętych konfliktem, okazała się całkowicie nieprzydatna. Żaden sztab generalny nie przewidział prawidłowo zasięgu wojny, czasu trwania oraz rozwoju i zastosowania nowoczesnego uzbrojenia – w tym lotnictwa. Poglądy wielu najwyższych rangą dowódców wszystkich bez wyjątku armii tkwiły korzeniami w XIX wieku.

Z naszej perspektywy wydaje się wręcz zabawne, że w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku rządy i sztaby generalne miały wątpliwości, czy samoloty i lotnicy poradzą sobie w realiach wojny. Może wiedza o sposobie budowania aeroplanów powodowała niedowierzanie w możliwości produktów wytworzonych technologiami stosowanymi w zakładach stolarsko-meblarskich.

W pierwszym okresie wojny wielu dowódców i sztabowców uznawało dane uzyskane z rozpoznania powietrznego za mało wiarygodne. We wszystkich armiach rozpoznanie wojsk nieprzyjaciela było zadaniem pododdziałów kawalerii. Ten sposób pozyskiwania informacji o nieprzyjacielu w nowych realiach przynosił ogromne straty, a po przejściu do wojny pozycyjnej stał się niemożliwy do wykonania.

Pruskie Ministerstwo Wojny, określając na początku 1914 roku kryteria dla samolotów kupowanych dla armii, wymagało, aby aeroplan zabierał na pokład 200 kg ciężaru (w tym dwu lotników), utrzymywał się w powietrzu przez 4 godziny, rozwijał prędkość co najmniej 90 km na godzinę i w ciągu 15 minut osiągnął wysokość 800 metrów. Droga startu nie powinna być dłuższa niż 100 m, a lądowania — nie więcej niż 70 metrów. Proszę zauważyć, że ministrowie od wojny nic nie wspominają o karabinach czy bombach, bo przeznaczenie samolotów miało być tylko i wyłącznie: rozpoznawcze i obserwacyjne.

Pierwsze wojskowe konstrukcje lotnicze były adaptacjami maszyn cywilnych. Z czasem zaczęły powstawać typowo wojskowe już mocniejsze i wytrzymalsze, ale w dalszym ciągu produkowane ze sklejki, płótna i drutu. A ponieważ były to prawdziwe początki lotniczej myśli konstrukcyjnej, nie wiedziano do końca, jaki typ płatowca okaże się najlepszy w zastosowaniu bojowym. Stąd na niebie frontów I wojny światowej można było spotkać najdziwniejsze okazy, jedno-, dwu-, a nawet trzypłatowce, tradycyjnie ze śmigłem z przodu samolotu, ale także ze śmigłem z tyłu (tzw. śmigło pchające). W roku 1918 lotnictwo niemieckie dysponowało już pierwszymi samolotami całkowicie wykonanymi z metalu i to był początek nowej epoki w lotnictwie.



Zakłady produkujące samoloty (foto powyżej) w pierwszych latach wojny były zakładami stolarskimi umiejscawianymi w dużych i wysokich halach. Narzędzia były też typowo stolarskie: strugi, dłuta, imadła czy śruby zaciskowe. Używano kostnego kleju stolarskiego (identyczny jak stosowany przy produkcji mebli) i metalowych nakładek-łączników skręcanych śrubami oraz wytrzymałego płótna i stalowego drutu. Wymagana była staranność i dbałość wykonania. Silniki samolotowe najczęściej były wykonywane w zakładach produkujących silniki samochodowe. Przed I wojną praktycznie wszystkie nowe rozwiązania konstrukcyjne upowszechniały się na całym świecie prawie natychmiast. Jednak kiedy armie zainteresowały się samolotami, produkcja została objęta ścisłą tajemnicą.

Początkowo na wypadek wojny przewidywano wyposażenie lotników jedynie w broń osobistą (nie tylko pistolet, ale nawet karabin!), aby w przypadku konieczności lądowania na terenie zajętym przez wroga załoga samolotu mogła się obronić. Szybko jednak okazało się, że przydzielona broń używana jest także w powietrzu.

Procedura wykorzystania aeroplanu generalnie była taka: leci samolot w określonym kierunku, załoga patrzy, a tu artyleria pod lasem armaty rozstawia. Pilot zawraca, a obserwator pisze na kartce meldunek, nadlatują w pobliże swojego dowództwa i obserwator w woreczku (obciążonym kamykiem i z przymocowaną kolorową wstążką w celu ułatwienia znalezienia pakietu) wyrzuca meldunek. Oficer dyżurny odnajduje informację gdzieś w trawie i zanosi do sztabu.

Wkrótce sztabowcy wszystkich armii odkryli możliwości użycia lotnictwa jako taktycznej broni zaczepnej. Samoloty i ich załogi nie tylko zbierały informacje, ale zabierały też bomby (początkowo zrzucane ręcznie „na oko"), powstała więc we wszystkich armiach potrzeba tworzenia skutecznych broni do zwalczania celów latających. Wszystkie państwa biorące udział w wojnie zaczęły tworzyć nowy rodzaj artylerii – artylerię przeciwlotniczą.

W lutym 1915 roku Francuzi zaczęli montować karabiny maszynowe na dwumiejscowych samolotach, ale te pierwsze uzbrojone samoloty nadal prowadziły loty rozpoznawcze i tylko w przypadku spotkania

z maszyną przeciwnika podejmowały walkę. Ponieważ wszystkie stosowane w tym czasie samoloty osiągały prawie identyczne prędkości, dogonienie ewentualnego przeciwnika było wręcz wykluczone.

W samolotach montowano typowe karabiny maszynowe piechoty, ale ich ciężar, wielkość i zbyt mała szybkostrzelność – jak na potrzeby walki powietrznej – zniechęcały lotników do ich używania. W rezultacie zarówno Francuzi, Anglicy, Amerykanie, jak i Niemcy rozpoczęli produkcję specjalnych lotniczych karabinów maszynowych. Wprowadzenie szybszych i lepiej uzbrojonych samolotów spowodowało powstanie nowej kategorii samolotów polujących na inne jednostki latające - samolotów myśliwskich. Kolejnym bardzo ważnym krokiem było zorganizowanie samolotów w grupy (nazwane eskadrami) do wykonania określonych zadań. To był pomysł Niemców, oni też jako pierwsi opracowali podstawowe zasady taktyczne prowadzenia walki powietrznej.

Samoloty na masową skalę przeprowadzały rozpoznanie fotograficzne, np. brytyjskie lotnictwo w roku 1916 wykonało 25 tys. zdjęć wspomagających operacje bojowe, a w roku 1918 już 2,5 miliona fotografii lotniczych.

Wydawać by się mogło, że wszyscy wojskowi, niezależnie od rodzaju formacji, po kilku latach wojny przyswoili sobie pewne zasady związane z lotnictwem, jego możliwościami i ograniczeniami. Fakty świadczą o czymś zgoła innym. Przykładem może być sytuacja na początku kwietnia 1917 roku przed bitwą pod Arras, kiedy to nad rejonem planowanej bitwy panowała fatalna pogoda, przeszły nawet burze śnieżne. Z przyczyn obiektywnych lotnictwo obserwacyjne nie latało, więc sztabom brakowało danych z rozpoznania powietrznego. Spotkało się to z obu-



Oddznaka Royal Flying Corps – Królewskiego Korpusu Lotniczego.

rzeniem ze strony wielu dowódców – zależność działania lotnictwa od pogody dla wielu oficerów piechoty nie była rzeczą oczywistą.

Zupełnie kuriozalna jest historia związana z używaniem spadochronu. Pilotom początkowo wręcz zakazywano ich używania, aby – jak to mówiono – wykluczyć przejawy tchórzostwa. Pilotów, którzy zabierali do samolotu spadochron, próbowano traktować jak ludzi bez honoru i woli walki. Dopiero udane skoki z uszkodzonych maszyn doprowadziły w lecie 1918 roku do wydania rozkazu, który nakazywał zabieranie spadochronów przez niemieckich lotników, ale w brytyjskich siłach powietrznych zakaz zabierania spadochronów obowiązywał do końca wojny.

Z bardzo ogólnych danych statystycznych wynika, że w latach 1914-1918 wyprodukowano we wszystkich uczestniczących w wojnie państwach ponad 180 tysięcy sztuk samolotów.

Lotnictwo na początku I wojny traktowane było przez wojskowych z dużą rezerwą, a zakończyło ją jako siła bojowa o ogromnym potencjale.

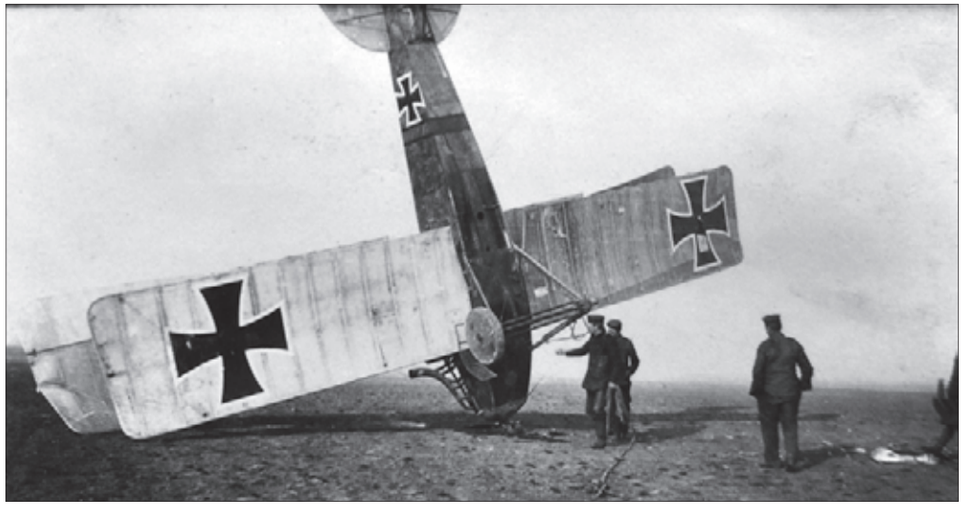
zj&pz

Bibliografia:

Janusz Piekałkiewicz, *Kalendarium wydarzeń I wojny światowej,* wyd Morex, Raszyn 1988.

Hubert Mordawski, *Siły powietrzne w I wojnie światowej,* Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2008.

Peter Almond, *Aviation,* Tandem Verlag GmbH, 2007.





Niestety nie wszystkie samoloty dolatywały do lotniska macierzystego. Część z nich ulegała różnego rodzaju awariom, a wiele z nich było zestrzeliwanych przez wrogie myśliwce, artylerię lub ogień piechoty. Na fotografii powyżej samolot zarył śmigłem w ziemię, widać brak jednego koła, to z pewnością spowodowało ten wypadek. Na fotografii poniżej zniszczony samolot brytyjski, widać elementy samolotu: drewnianą konstrukcję obciągnięta płótnem pomalowanym farbą. Oficer (z laską) przegląda z pewnością dokumenty znalezione przy zabitym pilocie.

UDZIAŁ ROSYJSKIEGO POCIĄGU PANCERNEGO W OPERACJI ŁÓDZKIEJ

17 listopada 1914 roku dowódca niemieckiej 6 Dywizji Kawalerii generał hrabia Egon von Schmettow otrzymał informację z naczelnego dowództwa, że w niedalekich Skierniewicach przebywa sam krewny cara, a zarazem głównodowodzący armii rosyjskiej, Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz. Miasteczko, oddalone kilkadziesiąt kilometrów od strefy działań wojennych, było najprawdopodobniej pozbawione obrony, zaś najbliższe rosyjskie dywizje znajdowały się w okolicach Łowicza. Niemiecki generał pospiesznie wytypował do błyskotliwej akcji trzy szwadrony złożone z około 150 ułanów wspartych przez dwa działa. Po forsownym marszu 18 listopada oddział wtargnął do zachodniej części miasta, jednak zamiast na sztab Wielkiego Księcia natknął się na blisko dziesięciokrotnie większe siły rosyjskie. Byli to strzelcy z wydzielonego pułku 10 Dywizji, dzień wcześniej przerzuconego koleją z Piotrkowa. Niezrażeni porażką niemieccy ułani ponownie zaatakowali miasto od południa. Tu jednak napotkali groźnego przeciwnika w postaci improwizowanego pociągu pancernego. Bój z kolosem zakończył się klęską, ciężkimi stratami i utratą jednego z dział.

Rosyjski pociąg pancerny został zmontowany kilka dni wcześniej w warsztatach 4 batalionu kolejowego z Kozłówki (obecnie dzielnica Legionowa). Miał stanowić cenne uzupełnienie nielicznej rosyjskiej artylerii, bowiem dzięki dużej mobilności, opancerzeniu i znacznej sile ognia mógł wspierać bezpośrednio na polu walki działania piechoty. W skład pociągu wchodziła lokomotywa typu Я i dwa wagony „Foks – Arbel", służące w czasie pokoju do przewozu węgla, obecnie osłonięte blachami pancernymi o grubości 7–12 mm oraz wzmocnieniami z betonu. W grubych dębowych ścianach wagonów mieściły się liczne strzelnice dla szybkostrzelnych dział Bofors i karabinów Mosin. Prawdopodobnie skład uzupełniały odkryte platformy osłonięte workami z piaskiem, za którymi znajdowały się stanowiska karabinów maszynowych. Załoga liczyła 102 ludzi.

21 listopada pociąg pancerny przewiózł do Koluszek kompanię rosyjskiej piechoty, a później wraz z kawalerzystami z Kaukaskiej Dywizji Kawalerii generała Charpentiera osłaniał tamtejszą stację kolejową. 23 listopada w godzinach przedpołudniowych dowódca pociągu otrzymał rozkaz natychmiastowej interwencji koło Gałkowa. Tu od rana trwał zawzięty bój strzelców syberyjskich z trzema niemieckimi dywizjami próbującymi wydostać się z okrążenia. Przy porównywalnych siłach ognia piechoty, o sukcesie którejś ze stron mogło zadecydować wsparcie artyleryjskie, a na tym polu Niemcy mieli sporą przewagę. Pociąg około południa wyjechał z lasu na niezabezpieczone tyły niemieckich sił, ostrzeliwując sztab 49 Rezerwowej Dywizji Piechoty. Być może to właśnie wtedy poległ generał Ferdynand Waenker von Dankenschweil. Wkrótce skład został zaatakowany z bliska przez liczne działa, toteż wobec przewagi wroga rozpoczęto odwrót. Rankiem 24 listopada do stojącego na stacji w Koluszkach pociągu dotarła grupa oficerów z rozproszonego sztabu oddziału łowickiego, który zaatakowany nocą przez niemieckich gwardzistów generała Litzmanna został zmuszony do ratowania się ucieczką z Brzezin. Pancerny skład, pospiesznie ewakuując żołnierzy, odjechał najprawdopodobniej do Skierniewic. Był to ostatni epizod działalności pociągu w operacji łódzkiej.

Dominik Trojak

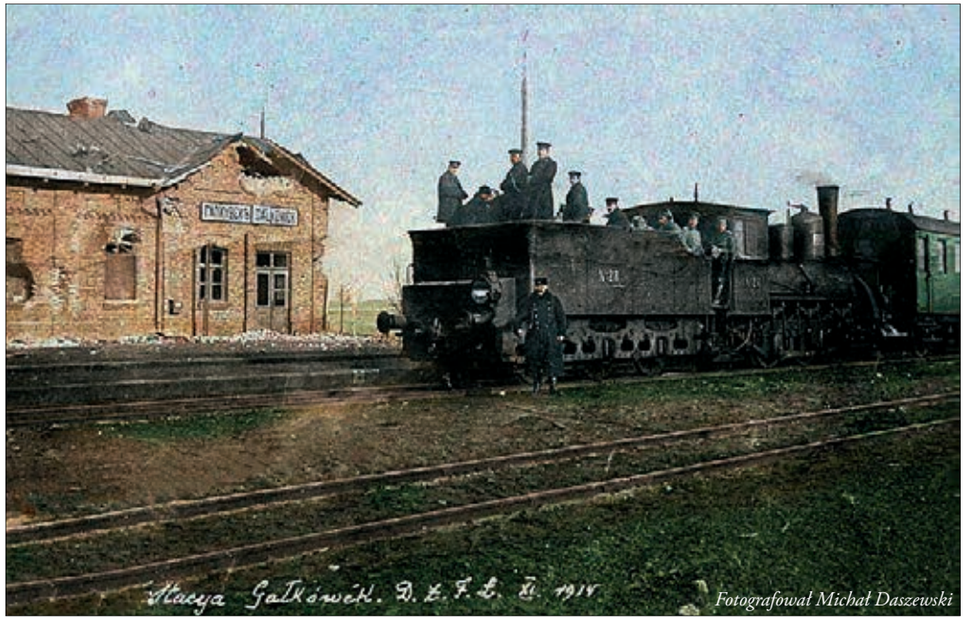
Fotografii pociągu pancernego pod Łodzią nie udało się znaleźć. Zachowało się natomiast zdjęcie pociągu na stacji w Gałkowie z okresu operacji łódzkiej w listopadzie 1914 r. Budynek dworca został uszkodzony przez pociski. Dziś jest wyremontowany, ale – tu ciekawostka – w narożniku zniszczonym przez artylerię cegły są wyraźnie jaśniejsze.

Z akcją pociągu pancernego o kilka dni rozminął się poeta Nikołaj Gumilow. 18 listopada 1914 r. jego pułk zatrzymał się w Koluszkach. Tam Gumilow spotykał się z kolejarzami, którzy pod ostrzałem prowadzili pociągi z Łodzi do Koluszek i z powrotem. Tak opisywał to spotkanie w „Notatkach kawalerzysty":

„18 listopada 1914 r. Przydzielono mnie do poczty polowej na stacji K[oluszki]. Przejeżdżały już przez nią pociągi, chociaż najczęściej pod ostrzałem. Spośród mieszkańców zostali jedynie pracownicy kolei; powitali nas nadzwyczaj radośnie. Czterej maszyniści kłócili się, który będzie miał zaszczyt gościć nasz oddziałek. Gdy wreszcie jeden z nich zwyciężył, pozostali przyszli do niego w odwiedziny i zaczęli dzielić się wrażeniami. Trzeba było widzieć, jak oczy płonęły im z zachwytu, kiedy opowiadali, że obok ich pociągu rozrywały się szrapnele, że kula trafiła w parowóz. Czuło się, że jedynie brak inicjatywy nie pozwalał im wstąpić na ochotnika do wojska. Pożegnaliśmy się jako przyjaciele, obiecaliśmy, że będziemy do siebie pisać, czy jednak takie obietnice kiedykolwiek się spełnią?"

Kto wie – może Gumilow spotkał się z obsługą tego właśnie pociągu?

mj



Fotografował Michał Daszewski



Fotografował Michał Daszewski, ze zbiorów Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

A jednak udało się, mamy opancerzony pociąg rosyjski...

GOŚCINNY PROBOSZCZ ROZPOZNANY!

Po 95 latach wyjaśniła się zagadka literacka. Otóż w grudniu 1914 roku wybitny poeta rosyjski Nikołaj Gumilow, współtwórca akmeizmu, mąż Anny Achmatowej, rozstrzelany w 1921 roku przez NKWD i całkowicie zakazany w ZSRR, był ułanem i walczył pod Łodzią. Swoje wrażenia i doświadczenia



Ułan Nikołaj Gumilow

wojenne opisał w książce *Zapiski kawalerzysty*. W pierwszych dniach grudnia znalazł się w wiosce nad Pilicą. Oto fragment, poświęcony temu epizodowi:

Wreszcie zatrzymaliśmy się obok jakiegoś dużego domu. Zostawiliśmy konie na dworze, weszliśmy, zapaliliśmy ogarki… i odskoczyliśmy, słysząc głos starego grubego księdza, który wyszedł nam na spotkanie w samej dolnej bieliźnie, z miedzianym świecznikiem w ręku. – „Co to jest – krzyczał. – Nawet w nocy nie dadzą człowiekowi spokoju! Nie wyspałem się, ja chcę spać!”



Wymamrotaliśmy nieśmiałe przeprosiny, ale ksiądz skoczył i złapał za rękaw starszego oficera. – „Tędy, tędy, tam jest jadalnia, tam pokój gościnny, niech wasi żołnierze przyniosą słomy. Józia, Zosia, poduszki dla panów, przynieście czyste powłoczki!” Kiedy się obudziłem, było już widno. Sztab w sąsiednim pokoju już działał, przyjmował meldunki i wysyłał rozkazy, a przede mną buszował gospodarz: – „Niech pan szybciej wstaje, kawa wystygnie, wszyscy już dawno wypili!” Umyłem się i zasiadłem do kawy. Ksiądz siedział naprzeciwko i przesłuchiwał mnie surowo: – „Pan ochotnik?” – „Ochotnik”. – „Czym się pan zajmował przed wojną?” – „Byłem pisarzem”. – „Prawdziwym?” – „Nie mnie to oceniać. Coś tam drukowałem w gazetach i czasopismach, wydawałem książki…” – „Pisze pan teraz jakieś notatki?” – „Piszę”. Jego brwi uniosły się, głos przybrał ton łagodny i niemal proszący: „To niech pan napisze i o mnie, jak tu żyję, jak się poznaliśmy…” Szczerze mu to obiecałem. – „Nie, zapomni pan? Józia, Zosia, ołówek i papier!”. Napisał mi nazwę powiatu, wsi, swoje nazwisko i imię. Czy jednak karteczka papieru zdoła uchować się za mankietem rękawa, za który kawalerzyści zazwyczaj chowają różne notatki, służbowe, miłosne i inne? Po trzech dniach wszystko zgubiłem, łącznie z karteczką od księdza. I oto teraz nie mam żadnej możliwości podziękować wielebnemu ojcu (nie znam jego nazwiska) ze wsi (zapomniałem jej nazwę) nie za poduszkę z czystą powłoczką, nie za kawę ze smacznymi pączkami, lecz za jego głęboką serdeczność, maskowaną szorstkimi manierami, i za to, że tak bardzo przypominał mi tych zadziwiających staruszków-odludków, którzy tak samo wykłócają się i przyjaźnią z nocnymi wędrowcami w dawno zapomnianych, ale ongiś ukochanych powieściach Waltera Scotta…

Możliwe, że Walter Scott nie pojawił się w tekście przypadkowo. Wieś, w której nocował Gumilew, to bowiem Skotniki. Zagadkę rozszyfrował w 2007 r. Jewgienij Stiepanow, emerytowany fizyk i znawca twórczości poety. Wykonał pracę godną Sherlocka Holmesa – przeanalizował *Zapiski kawalerzysty* z mapą i kalendarzem w ręku. Benedyktyńska cierpliwość pozwoliła mu ustalić, gdzie każdego dnia listopada i grudnia 1914 roku przebywał Gumilow (w *Zapiskach…*, publikowanych jeszcze podczas wojny, ze względu na tajemnicę wojskową i cenzurę nie było nazw miejscowości). Nocleg u księdza musiał mieć miejsce w Skotnikach.

Ale… Jewgienij Stiepanow też nie zdołał ustalić nazwiska proboszcza, bo nigdy nie był w Polsce i nie zna polskiego. „Mam nadzieję, że kiedyś je poznamy” – ubolewa w eseju *Poeta na wojnie*, wydanym w Toronto.

Skoro jednak autor rozszyfrował Skotniki, a jego esej trafił do Polski… Wystarczył telefon do parafii w Skotnikach i prośba o przejrzenie dokumentów. Gościnnym proboszczem był ksiądz R. Czernikiewicz, który kierował parafią w latach 1892-1917. Niestety, w księgach parafialnych nie ma jego imienia i informacji o dalszych losach. Ale – nazwisko jest.

W „bitewnych” poszukiwaniach odkrywa się nie tylko nazwiska poległych żołnierzy, ale i przypadkowych uczestników wydarzeń z tamtych lat – takich, jak ksiądz Czernikiewicz.

mj

FRONTOWA ZABAWA HISTORYCZNA

W chwilach wolnych od ostrzału i atakowania żołnierze rosyjscy zabawiali się odgadywaniem, któryż z wymienionych dowódców jest ich, a który nie ich. Także Niemcy i Austryjacy zadawali sobie podobną zagadkę. Dla ułatwienia dodajmy, że dla Niemców i Austryjaków „ich" dowódcą był ten, co dla Rosjan był „nie ich", a „nie ich" ten, co „ich" był dla Rosjan, w odróżnieniu od tego „nie ich" dla Rosjan, co był „ich" dla Niemców.

Spróbujże odgadnąć i Ty, czytelniku, którzy z wymienionych generałów i wyższych szarż byli Rosjanami, a którzy nie.

1. Rennenkampf
2. Scheidemann
3. Plehwe
4. Weil
5. Schneider
6. Moldenhauer
7. Eigel
8. Pfingstein
9. Richter
10. Grebner
11. von Freiman
12. Klodt
13. Beimelburg
14. Thalgren
15. Wasmundt
16. von Kotsebue
17. Veitz
18. Zastrow
19. Bredow

mj

ZGADŁEŚ? Jedyni niemieccy generałowie to Bredow i Zastrow!!!

STRASZLIWE I NIEPOWETOWANE STRATY

Z FRONTU. Bitwy, w których cierpiała ludność cywilna, toczyły się nie tylko wokół Łodzi. Już we wrześniu 1914 roku rozpacz ogarnęła mieszkańców okolic Kraśnika i Urzędowa.

Zacytujmy za Witem Szymankiem wspomnienie Dominika Woski z tych strasznych dni. „Wszystkimi drogami i gościńcami ciągną pułki wojska rosyjskiego z taborami, armatami i jaszczami z armatnimi pociskami na zachód, front rosyjsko-austriacki i rosyjsko-niemiecki. W sklepach daje się odczuć brak różnych towarów, środków żywnościowych, a szczególnie soli i nafty, nie mówiąc o wódce. Wszystkie napoje alkoholowe zostały skonfiskowane i w dniu ogłoszenia wywiezione na pola i łąki. Butelki potłuczono. Piwo, spirytus, wino bądź wsiąkło w ziemię, bądź popłynęło rowami i rynsztokami…"

Oto jak przerażające spustoszenie sieje wojna na świecie. Na cóż człowiekowi ona, wojna? Żeby piwo do rowów wylewać, a winem trawę podlewać? A fuj! Barbarzyństwo.

Wskażmy sprawców tej gorzelniano-browarnej masakry: to 14 Korpus Rosyjski i Samodzielny Korpus Żandarmów. Osobliwie palcem wytknąć należy 13 Narwski Pułk Huzarów Jego Cesarskiej Mości Cesarza Niemieckiego i Króla Pruskiego Wilhelma II oraz Lejb-Gwardyjski Pułk Ułanów Jego Wysokości. Zwróćmy uwagę, że rosyjscy huzarzy służyli w pułku, którego patronem był Kaiser Wilhelm II, który Rosji wojnę wypowiedział. Nic dziwnego, że zgłupieli z tego wszystkiego ze szczętem i trunki wylewali do rowów, zamiast za kołnierz, a ich mocarstwa rozpadły się na amen.

mj



Fotografował Adolf Gancwol

Oficerowie Narwskiego Pułku Dragonów dzień po „zniszczeniu" dużej ilości alkoholu.

75 MILIONÓW GACI

Z FRONTU. Według światowych statystyk w czasie I wojny światowej wyprodukowano w Europie ponad milion karabinów maszynowych, 47,7 milionów nabojów karabinowych, 1,3 MILIARDA pocisków artyleryjskich, 9,2 tysiące czołgów i 182 tysiące samolotów. Samych pilotów brytyjskich zginęło 14 tysięcy; co miesiąc Niemcy zestrzeliwali 300 angielskich aeroplanów. Największy brytyjski as (76 strąceń przeciwnika) w chwili śmierci miał równo 20 lat.

Podczas wojny wszystkie wojujące państwa wyprodukowały łącznie 4 miliony ton drutu kolczastego. Sama armia rosyjska w latach 1914-1918 zużyła 9,6 mln ton mąki, 1,4 mln ton kaszy, 8,7 mln ton mięsa, 11,2 mln ton owsa i jęczmienia oraz 19,6 mln ton siana. W Rosji na potrzeby frontu wyprodukowano 5 mln szyneli i półkożuszków, 38,4 mln kufajek i bluz, 75 mln bielizny osobistej (gaci i podkoszulków) oraz 85 milionów par butów. Na potrzeby frontu pracowało 75 proc. przemysłu rosyjskiego.

W I wojnie światowej zginęło 10 milionów ludzi...

Redakcja „Bitewnika" chciałaby zachować obiektywizm, ale nie może. To ponad ludzkie siły.

WIECZNE ODPOCZYWANIE RACZ IM DAĆ, PANIE – na wszystkich ubożuchnych, zapomnianych cmentarzach, likwidowanych pod nowe nagrobki. Jak w podłódzkim Srocku, gdzie dawne żołnierskie krzyże zebrano na malutkim placyku, na urągowisko Historii...

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

Wszystkich.

mj

ZEPPELIN NIE WYDARŁ SIĘ POD SIERADZEM!

PRASY ŁÓDZKIE DONOSZĄ:

W środę, jak już wiadomo czytelnikom pras łódzkich, spadł postrzelony pociskiem armatnim dumny Zeppelin na polach sieradzkich.

Niezmiernie ciekawe są szczegóły tej niezwykłej walki z olbrzymem napowietrznym. Na podstawie opowiadań świadków naocznych, przybyłych do Łodzi, możemy podzielić się z naszymi czytelnikami garścią wrażeń i spostrzeżeń.

Gdy w środę o świcie na horyzoncie naszym pojawił się szary, połyskujący stalą i srebrem „pancernik napowietrzny", cała okolica nasza wzdłuż plantu kolei kaliskiej – od Łowicza aż po Sieradz – wytężyła czujność, pewne iż tym razem już bez zawodu złowrogi ptak nie wydrze się cały poza peryferię strzałów wojsk rosyjskich.

Płynął po lazurze nieba

Na przestrzeni między Sieradzem a Łaskiem istotnie trzymano broń w pogotowiu, by godnie powitać nieproszonego gościa. Jednakże nad ranem Zeppelin sam się miał na ostrożności i nie obniżał lotu w stopniu dostatecznym do zaatakowania go. Płynął więc swobodnie po lazurze nieba. Gdy jednak nad wieczorem ukazał się ponownie na horyzoncie, tym razem niżej, śmielej i nieopatrznie, usiłując z całą bezczelnością pruską wydrzeć przeciwnikowi nazbyt wiele tajemnic, nad jedną z polan sieradzkich stanął na drodze wymierzonych ku niemu luf karabinowych i mauzerowskich, oraz na linii pocisków armatnich. Dzięki zapadającemu szybko zmierzchowi ustała aberracja promieni słonecznych, utrudniająca obliczenia artyleryjskie.



Ferdinand von Zeppelin – niemiecki generał, inżynier i konstruktor lotniczy, w 1900 r. zbudował pierwszy sterowiec o konstrukcji szkieletowej.

Armata plunęła kulą

Po pierwszym strzale ślepym nabojem armata plunęła kulą, która dosięgła setkami ułamków aroganckiego olbrzyma, kalecząc mu części maszynerii. Drgnął cały, zadrżał i smutnie zaczął pochylać się ku ziemi, jakby okręt całym kadłubem pogrążał się w falach morskich i tonął w bezdennej głębinie. Setki kul karabinowych i rewolwerowych z broni straży wszelkiego przeznaczenia – najwięcej zaś amatorskich – jak gdyby dla ćwiczeń praktycznych, przerzynały powietrze, a ich ostry poświst i turkot towarzyszyły tej podróży Zeppelina ku padołowi. Wreszcie w odległości zaledwie jednej wiorsty od miejsca ataku ptak ciężko opadł na ziemię i z hańbą ułożył się na bok, wywracając gondolę. W tymże momencie przybyli wojacy – pierwsi na koniach, za nimi piesi, dalej okoliczni włościanie.

Wybuchowym pociskiem w niespędzone bydło

Z łódek Zeppelina, z zachowaniem wszelkiej ostrożności, wysadzono aż 30 ludzi: dwóch oficerów sztabowych, dwóch artyleryjskich, mechanika, fotografa wojennego, jakiegoś jegomościa w ubraniu cywilnym i szeregowców. W gondolach znaleziono kilka bomb, sporo materiału wybuchowego, obfitą ilość amunicji. Oficerowie zdołali tylko część notatek i klisz zniszczyć, inne jak również wszelkie aparaty i plany zostały zabrane. Ogłoszono wszystkim, że są wzięci do niewoli i rozbrojono ich. Dwóm lekko rannym i pokaleczonym na miejscu okazano pomoc lekarską.

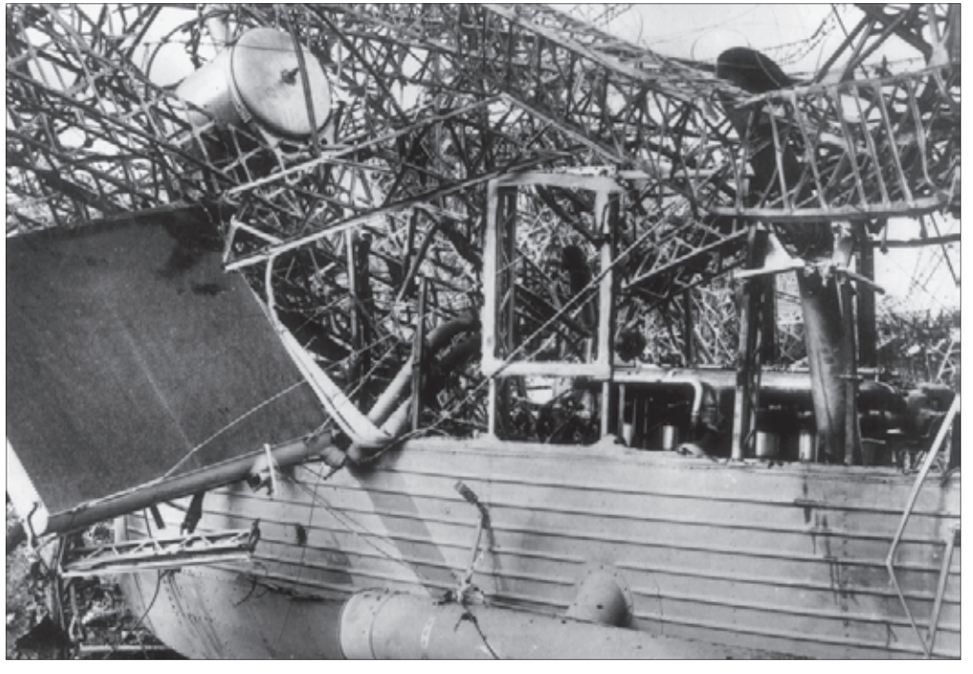
Według zeznań, z Zeppelina rzucano podczas strzelaniny pociski wybuchowe; podobno jedna bomba wybuchła zabijając kilka koni, czy też krów z bydła jeszcze niespędzonego z pola. Miało to miejsce o wiorstę lub dwie dalej (…).

4.09.1914 r.

OD REDAKCJI „BITEWNIKA":

Artykuł z gazety o nieustalonym tytule odkrył jeden z członków Stowarzyszenia Eksploracyjno-Historycznego „Grupa Łódź". Podejrzewa, że Zeppelin być może latał blisko Sieradza, ale nie został zestrzelony, zaś cała opowieść jest wymysłem dziennikarskim na użytek propagandy rosyjskiej. Rzecz wydaje się jednak interesująca, zwłaszcza w kwestii zagadkowego bombardowania pociskami wybuchowymi krów i koni, na dodatek niespędzonych.

mj



Wrak Zeppelina był źródłem wszelkiego dobra dla włościan majsterkowiczów.

STEROWCE

Niemieckie sterowce rozpoczęto produkować w roku 1900. Na rok przed wybuchem wojny z wybudowanych pod nadzorem Ferdynanda von Zeppelina 11 sterowców pozostały zaledwie 3. Niemal wszystkie ginęły głównie z powodu kłopotów z lądowaniem. Jak pisała ówczesna prasa techniczna: „W powietrzu statek taki jest zupełnie bezpieczny i ulega jedynie uszkodzeniu (lub całkowitemu zniszczeniu) prawie wyłącznie na ziemi".

Sztywny szkielet sterowców Zeppelina wykonany był z aluminium (jak wtedy mówiono z glinu). Pomiędzy sąsiednie żebra konstrukcji naciągana była siatka: stalowa na zewnętrz, a wewnątrz z lin konopnych i ona służyła jako sieć ochronna dla balonu utrzymującego gaz. Natomiast siatka zewnętrzna służyła jako konstrukcja zewnętrznej powłoki z materiału gumowanego. Powstała w ten sposób przestrzeń pomiędzy powłokami chroniła gaz od nagrzewania pod wpływem słońca.



Hangar dla Zeppelina w Królewcu, pocz. XX w.



Sterowiec Schütte-Lanz nad Gdańskiem.

Wyobraźmy sobie cygaro długości 140 metrów, średnicy 14 metrów, pod nim podwieszone są trzy gondole (łodzie), ta na początku i końcu mieści części napędu, ta środkowa przeznaczona jest dla podróżnych, których może być 24. Dwa silniki o mocy 150 KM umieszczone są w tylnej gondoli, a jeden w przedniej. Śmigła przednie mają po dwie łopaty, tylne zaś cztery. No i oczywiście kilkumetrowe stateczniki i stery. Tak wyglądał LZ 10. Sterowiec osiągał zawrotną na owe czasy prędkość około 75 km/godz.

Znów sięgnijmy do prasy technicznej z początku ubiegłego wieku: „Utrzymanie sterowca Zeppelina na uwięzi w szczerem polu jest prawdziwą sztuką, wymagającą obsługi niezmiernie uważnej i wyćwiczonej, składającej się co najmniej z 60 -100 ludzi, obowiązanych nieustannie trzymać statek unoszący się w powietrzu, gdyż każde uderzenie o ziemię może uszkodzić łodzie, jak również przekładnie i wały śmigieł".

W roku 1911 wyprodukowano w firmie Schütte-Lanz sterowiec według konkurencyjnego projektu profesora Politechniki Gdańskiej, Johanna Schüttego. Zamiast sztywnej konstrukcji metalowej zastosowano szkielet drewniany z klejonych wielowarstwowo cienkich listewek. Pod kadłubem luźno zamocowano gondole. Wielkość sterowca Schütte-Lanz była podobna do konstrukcji Zeppelina, ale w całości bardziej elastyczna i łatwiejsza w obsłudze przy lądowaniu.

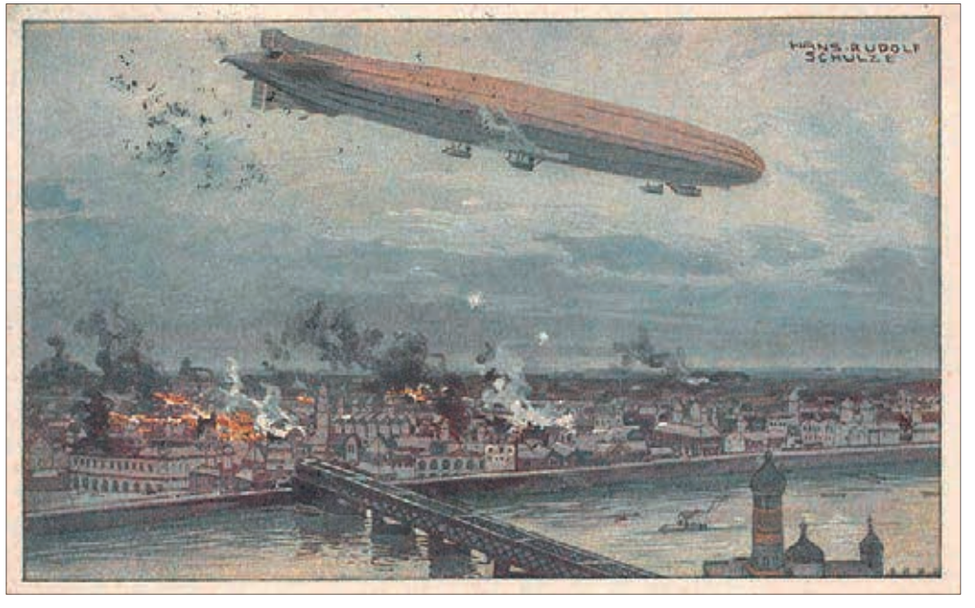
Przeznaczenie sterowców było cywilne, ale w chwili wybuchu wojny szybko znalazły zastosowanie wojskowe – zwiadowcze i ofensywne. Bombardowania ze sterowców dokonywane były również za pomocą ciężkich pocisków artyleryjskich, ówczesne bomby lotnicze były bardzo małe. Załogi sterowców nie miały łatwego życia, były ostrzeliwane z równym zapałem przez swoich, jak i przez wrogów.

A wracając do Zeppelina nad Sieradzem. Udokumentowany przelot w tych okolicach to lot zwiadowczy z 22 sierpnia 1914 roku sterowca Schütte-Lanz SL 2, wtedy to wnika on 480 km na terytorium rosyjskie. Podczas trwającego dwa i pół dnia lotu sterowiec pokonał 1384 km i wrócił do bazy w Legnicy. Następna misja rozpoznawcza z 1 września również zakończyła się sukcesem. SL 2 został wycofany w 1916 roku.

A może inny sterowiec zagnały wichry wojny nad Sieradz? Chyba jednak nie! Armia niemiecka na froncie wschodnim w tym czasie posiadała tylko trzy sterowce. Wspomniany SL 2 oraz Zeppeliny mające bazy operacyjne w Królewcu (Z IV) oraz w Olsztynie (Z V). Wiadomo, że Zeppelin Z V wystartował dokładnie 28 sierpnia 1914 w celu zbombardowania węzła kolejowego pod Mławą i został uszkodzony ogniem własnych niemieckich karabinów maszynowych, natomiast Zeppelin Z IV pełnił służbę do roku 1916.

Wygląda na to, że pod Sieradzem jednak było zestrzelenie tylko propagandowe...

zj



Jedna z wielu niemieckich pocztówek propagandowych prezentujących dumę kaizerowskiej armii zeppelina. Tak naprawdę nigdy żaden niemiecki sterowiec nie pojawił się nad Warszawą.

Książę Prus
Fryderyk Zygmunt na kwaterze w Bukowcu

22 listopada 1914 roku przez Bukowiec (niem. *Königsbach*) maszerowały pruskie oddziały korpusu Reinholda von Schäffer-Boyadela. A ponieważ się zmierzchało, szukały w pobliżu miejsca do noclegu. Kilku oficerów postanowiło wstąpić do domu niejakiej Wilhelminy Wildemann, mieszkającej przy szosie łączącej Kurowice z Andrespolem. Gospodyni chciała ulokować gości w pokoju gościnnym, lecz jeden z nich, młody oficer, wzdrygał się, tłumacząc: *Jest nam zimno i chcielibyśmy pobyć w kuchni.* Gospodyni i jej dzieci zwolniły im miejsca przy piecu. W międzyczasie ów młody oficer rozglądał się po mieszkaniu i wyraził swoje zadowolenie z czystości, jaka panuje w tej skromnej chacie: „Już dawno nie widziałem takiego porządku. Całkiem jak u nas w ojczyźnie". Gospodyni chciała gościom przygotować jakąś strawę, lecz spiżarka w kuchni i piwnica były puste, gdyż od wybuchu wojny przechodzące ciągle przez wieś wojska wyjadały gospodarzom ich zapasy. Ostrożnie więc zapytała, czy goście zadowolą się ziemniakami. Jej propozycja nie spotkała się ze sprzeciwem. Gospodyni dołożyła do tego jeszcze chleb własnego wypieku i ostatni kawałek kiełbasy. Po strawie oficerowie przed udaniem się na spoczynek kazali się nazajutrz budzić o godzinie czwartej.



Rano przy pożegnaniu powiedział ów młody żołnierz do gospodyni: „Szkoda, że musicie żyć w tak niespokojnym kraju!". Jeszcze krótko przed wymarszem podszedł do Wildemannowej pewien żołnierz z grupy oficerów i rzekł: „Wiecie, kto to jest? To królewski książę (ein königlicher Prinz). Poproście go, by na pamiątkę pobytu w waszym domu skreślił Wam kilka słów". Gość chętnie to uczynił, podpisując pocztówkę: „Na pamiątkę z pobytu w Bukowcu. Fryderyk Zygmunt, książę Prus".

Niestety ani kartka z wpisem, ani dom Wildemanów nie zachowały się do dnia dzisiejszego. Sama historia wizyty księcia w Bukowcu acz opisana w dwóch źródłach wymaga jeszcze sprawdzenia. Fryderyk Zygmunt był oficerem 2 Przybocznego Pułku Huzarów im. Królowej Prus Wiktorii – (niem. 2. Leib-Husaren-Regiment „Königin Viktoria von Preußen" Nr. 2) a ten w składzie korpusu von Schaffera nie figuruje. Najprawdopodobniej książę Fryderyk Zygmunt został delegowany do 49 lub 50 rezerwowego pułku kawalerii ze składu XXV korpusu lub był przydzielony do jednego z pułku przechodzącej tej nocy przez Bukowiec 9 Dywizji Kawalerii.

opracował Wojciech M. Wochna

Wojenny lazaret w Brzezinach

W drugiej połowie listopada 1914 roku Brzeziny stały się miastem intensywnych działań wojennych. Bitwa brzezińska niosła z sobą liczne ofiary i jeszcze większą liczbę rannych: „ulicami płynęły strugi krwi poległych i rannych żołnierzy obu stron; setki trupów wszędzie zalegały". W tej bitwie Rosjanie liczyli nie tylko na zwycięstwo, ale także na dużą liczbę jeńców. W tym celu „generał Aleksandr Wasilijewicz Nowikow [...] kazał przygotować 80 składów pociągów na trasie Skierniewice – Warszawa do transportu jeńców niemieckich". Lecz – jak okazało się po bitwie – to nie Niemcy znaleźli się w owym transporcie. Tymczasem w czasie trwających krwawych walk liczni żołnierze musieli być opatrywani. Czyniono to, gdzie tylko można było. Bardzo korzystnym miejscem okazał się dom parafialny parafii ewangelickiej, który zresztą „był celem wielokrotnych ataków i w czasie zmagań wojennych służył on [Rosjanom] za lazaret".

To bardzo szczególny dom, gdyż już jego budowa (1901–1904) napsuła wiele krwi wśród ewangelickich parafian. Stało się tak dlatego, że nie wszyscy parafianie byli radzi z ponoszenia kosztów budowy tego obiektu. Twórcą pomysłu budowy był ówczesny pastor Leopold W. Wojak. Przed utworzeniem tu lazaretu w czasie wojny mieszkali w nim na piętrze kantor oraz kościelny ze swoimi rodzinami, na dole zaś znajdowała się sala konfirmacyjna (przyjmowania młodych adeptów do społeczności kościelnej), służąca również za świetlicę parafialną.

W chwili utworzenia lazaretu przez armię generała Nowikowa kantor i kościelny byli zmuszeni do zwolnienia pomieszczeń i przenieśli się do miejscowego plebana Alberta L. Wannagata, który zresztą przyjął jeszcze inne rodziny, a nawet żołnierzy: „[Na plebani] w pokoju obok drzwi wejściowych leżeli: rosyjski i niemiecki żołnierz, którzy wzajemnie ugodzili się, [jak się okazało] śmiertelnie, bagnetami".* Wprawdzie w pobliżu obu tych domów „wojska rosyjskie rozbiły liczne namioty, lecz ze względu na trzaskający mróz szukały one schronienia w budynkach".

Po bitwie przegranej przez Rosjan dom parafialny nie od razu przestał pełnić funkcję lazaretu, gdyż spiesznie wykorzystali go żołnierze niemieccy, umieszczając w nim z kolei swoich rannych. Czy po przejęciu obiektu przez armię niemiecką znajdowali się jeszcze w lazarecie żołnierze rosyjscy, trudno dziś tę kwestię rozstrzygnąć.

Ów dom przetrwał obie wojny i ciągle stoi na swoim miejscu.

Wojciech M. Wochna



Dawny dom gminy ewangelickiej w Brzezinach przy ul. Wojska Polskiego 2, fotografia z lat 30. XX wieku.

500 christl. ARBEITER nach Deutschland

WESTFALEN und RHEINLAND

gegen

HOHEN LOHN

gesucht.

Meldung: **ARBEITSAMT, LODZ,** Promenade 3.

Die zurückbleibenden Familien erhalten eine einmalige Unterstützung **von 30 bezw. 60 Mk.**

Sofort bei der Einschreibung **10 Mk.,** den Rest 7 Tagen nach der Abfahrt.

Diese Unterstützung wird dem **Arbeiter vom Lohne nicht abgezogen.**

500 Robotników

CHRZEŚCIJAŃSKICH

do **NIEMIEC,**

WESTFALJI i RENU

za wysoką płacą

poszukuje **URZĄD PRACY,** w ŁODZI, Spacerowa 3.

Pozostające rodziny otrzymują jednorazowe wsparcie **od 30 do 60 Marek.**

Zaraz przy zapisie **10** marek, a resztę odebrać 7 dni po odjeździe.

To wsparcie odliczone nie zostaje robotnikowi od zarobku.

Druk. W. Schweitzer, Łódź

Broń Ninja na Wielkiej Wojnie

Jesień 1914 roku, kolumna wojsk niemieckich zmierza szybko w celu zdobycia Paryża. Powyżej od czasu do czasu pojawiają się nad nią samoloty. Lecą wysoko, maszerujący nie są w stanie rozpoznać WRÓG czy SWÓJ, zdążyli się już przyzwyczaić do ich towarzystwa i nie zwracają na nie uwagi. Tym razem jednak samolot zachował się nietypowo. Obniżył lot, przeleciał nad kolumną i... zrzucił bombę. FRANCUZ!!! Na szczęście chybił, bomba wybuchła, nie robiąc nikomu krzywdy. Samolot nawrócił, ponownie przelatując nad kolumną. I zaczęło się dziać coś kompletnie niezrozumiałego – niemieccy żołnierze padali martwi. Pierwszy, drugi, trzeci... Niewytłumaczalna fala śmierci nadciągała z nieba. Spanikowany oddział poszedł w rozsypkę, tratowany przez oszalałe ze strachu konie. Po opanowaniu zamieszania okazało się, że polegli zostali trafieni zaostrzonymi stalowymi prętami, dodatkowo dużą liczbę takich przedmiotów znaleziono na ziemi. Niemcy po raz pierwszy boleśnie doświadczyli nowej broni nieprzyjaciela.



Niczym niewyróżniająca się pocztówka propagandowa, jakich wydano setki w czasach I wojny, mająca dla nas pewną wartość poznawczą. Lotniczy atak strzałkami (flechettes) na niemiecką baterię. Ta bezgłośna broń miała poza swoją zabójczą skutecznością duże działanie psychologiczne. Słychać było daleki odgłos silników samolotu, a potem nagle jęki rannych ludzi i koni. Ta broń raziła niespodziewanie i podstępnie, może nie tak masowa w ilości zabitych jak ataki gazowe, ale równie cicha, brutalna i zabójcza dla atakowanych nią żołnierzy.

Francuzi jako pierwsi w Europie zaprojektowali broń, wzorując się na japońskich *bō-shuriken* używanych przez legendarnych Ninja. Nadali jej nazwę *balles bons* lub *flechettes (strzałki)*, Prusacy zaś *Fliegerpfeile*.

Brytyjska *The War Illustrated* tak opisywała tą tajemniczą broń: „Są to kawałki stalowego pręta długości sześciu cali, zaostrzonego z jednej strony jak ołówek, z drugiej zaś na odcinku czterech i pół cala obrobionego tak, że w przekroju wygląda jak krzyż. Oczywiście, ten odcinek jest dużo lżejszy niż przód i działa tak samo jak piórko strzałki".

Energia kinetyczna strzałek była tak duża, że mogły podobno przebijać stalowe hełmy żołnierzy, a w przypadku braku osłony głowy przebić ciało dosłownie od jej czubka do pięt. Rany wyrządzone przez trafienia były zwykle śmiertelne. Oczekiwano, że samolot podczas bombardowania strzałkami będzie w stanie uzyskać liczne trafienia. Zakładano też, że najlepszą skuteczność uzyska się przy zwalczaniu oddziałów kawalerii, tu bowiem nawet draśnięcie konia mogło okazać się zgubne dla jeźdźca, który nie potrafiłby opanować spłoszonego wierzchowca. Stalowe strzałki były pakowane w pudełka po 500 sztuk i umieszczane nad otworem w podłodze statku powietrznego. Kiedy ten nadlatywał nad cel, *flechettes* były zrzucane za pociągnięciem sznurka. Spadając na ziemię, strumień strzałek obejmował obszar o powierzchni około 500 metrów kwadratowych.

W roku 1915, Pan C. G. Grey wydawca *The Aeroplane* wspominał: „Mój przyjaciel był jakiś czas temu na lotnisku wojskowym St. Cyr, w czasie gdy niektóre z tych strzałek były testowane na nieszczęsnych krowach jako wrogu, chyba trzy strzały trafiły krowę, przechodząc przez nią czysto aż do gruntu, zabijając ją natychmiast".

Mimo prowadzonych prób poligonowych Royal Flying Corps odmówił użycia *flechettes* w walce z Niemcami, ponieważ: „Nasi lotnicy uważają zrzucanie strzałek za brudną robotę ze względu na to, że wróg nie słyszy, jak nadlatują, poza tym wyrządzają takie paskudne rany". Francuscy lotnicy nie mieli takich obiekcji. Działanie zrzucanych przez nich strzałek opisywała jedna z niemieckich gazet medycznych: „Jeśli uderzy człowieka w głowę, przejdzie prosto przez hełm do mózgu. Jednak tak samo śmiertelne mogło być trafienie w ramię". Raport gazety kontynuował: „prawdopodobnie przebije łopatkę i przejdzie prosto przez płuca, rozrywając pozostałe organa anatomiczne". Niemiecki żołnierz, który przeżył bombardowanie strzałkami, powiedział: „w czasie nalotu bezpieczniej było leżeć płasko na ziemi, bo chociaż wystawiano na trafienie większą powierzchnię ciała, to w przypadku trafienia strzałką była mniejsza groźba uszkodzenia kilku organów".

Prusacy, kopiując Francuzów, rozpoczęli własną produkcję strzałek. I wkrótce nowa broń pojawiła się na froncie wschodnim. Na początku 1915 roku niemiecki samolot *Albatros* przeprowadził bombardowanie lotniska w podwarszawskiej Jabłonnie, na którym bazował największy samolot tej wojny — cięż-

ki bombowiec *Ilja Muromiec*. Niemiecki pilot zrzucił trzy małe bomby, które nie spowodowały szczególnych szkód, wykonał krąg nad lotniskiem i odleciał. Po nalocie w hangarze znaleziono dziwny metalowy przedmiot, stalowy pręt, który po przebiciu dachu wszedł na 3-4 cm w twardy blat stołu warsztatowego. Przy bliższym zbadaniu okazał się być lotniczą strzałką. Latem na okolicznych polach żołnierze znaleźli kilkadziesiąt podobnych.

Dowództwo eskadry postanowiło wysłać jedną strzałkę do Warszawy z prośbą o wykonanie w tamtejszych zakładach 1000 egzemplarzy, a drugą do głównego zarządu artylerii w celu przebadania i zlecenia produkcji w rosyjskich zakładach. Zamówienie w Warszawie wykonane zostało szybko i *Ilja Muromiec* poleciał z rewizytą do Prus, zrzucając po 250 strzałek na stacje kolejowe Willenberg (Wielbark), Neidenburg (Nidzica) i Soldau (Działdowo).

Używano również strzałek w wersji z materiałem wybuchowym do niszczenia balonów i sterowców. Samolot nadlatywał w miarę możliwości nad unoszący się w powietrzu balon i zrzucał strzałki z odpowiedniej wysokości. Trafiwszy w cel, nie tylko przebijały gumowaną powłokę, również eksplozja powodowała wybuch wodoru wypełniającego powłokę. Płonący balon spadał na ziemię w kuli ognia, grzebiąc często w swych szczątkach obserwatora balonowego. Były to zarazem pierwsze w historii ładunki wydłużone, zaopatrzone w ostrza i zaczepy, które pozwalały im wbić się w powłokę balonu, a następnie ją rozerwać.



Ilja Muromiec był naprawdę dużym samolotem. Jego Wysokość Mikołaj II usiłuje opuścić kokpit samolotu, używając drabiny. Nie pomagają mu w tym kawaleryjskie ostrogi.



Fotografia ze zbiorów Muzeum Lotnictwa i Astronautyki Le Bourget (Musée de l'Air et de l'Espace) – muzeum położone w południowo-wschodniej części lotniska Le Bourget, 10 km na północ od Paryża. Jest to jedno z najstarszych muzeów lotnictwa na świecie. Wśród 19500 eksponatów widzimy niepozorne „flechettes" o długości około 15 cm i wadze 150 gram.

Flechettes na froncie zachodnim nie spełniły pokładanych w nich nadziei, ze względu na małą skuteczność szybko zostały zastąpione przez bardziej mordercze karabiny maszynowe i bomby. Na froncie wschodnim było zgoła na odwrót. Rosjanie udoskonalili pomysł Francuzów, zwiększając jego skuteczność pięciokrotnie, doceniali także niskie koszty wykonania, prostotę konstrukcji oraz… możliwość ponownego użycia po zebraniu z ziemi. Ostatnie zamówienie na 400 tysięcy strzałek dowództwo armii rosyjskiej złożyło jeszcze w lipcu 1917 roku.

♣ *Tomasz Matuszak & pz*



Bardzo szybko na froncie zachodnim zastąpiono strzałki bombami. Jak widzimy, zarówno strzałki, jak i bomby zrzucane były „na oko". Ten sposób bombardowania ograniczał skuteczność zrzucanych ładunków wybuchowych. Ponieważ samoloty nie posiadały żadnych urządzeń do podwieszania, bomby zabierano po prostu do kabiny, skąd zrzucano je nad celem. Ręczne zrzucanie bomb było źródłem wielu wypadków i legend. Niektóre opisano barwnie w belestryce. William Faulkner w jednej ze swych nowel opisał powrót brytyjskiego bombowca z nocnego bombardowania z własną bombą zaplątaną w linki naciągu poszycia skrzydeł.



Załoga i obsługa Ilji Muromca na lotnisku polowym w roku 1915.

Turystyka okopowa

Głód wiarygodnych informacji trawiący mieszkańców Łodzi był źródłem chęci osobistego zbadania tych wszystkich niepokojących i groźnych odgłosów wojny dobiegających z różnych stron. Przemożną ciekawość dało się łatwo zaspokoić – dosłownie wystarczyło kilka minut przejechać tramwajem lub pociągiem, by znaleźć się na polu ledwie co zakończonej bitwy.

Wielu mieszkańców Łodzi oraz okolicznych miejscowości zbierało karabiny i amunicję nie tyle z chęci kolekcjonowania militariów, co z chęci zysku. Za każdy karabin przyniesiony do wojennej komendantury miasta można było otrzymać równowartość tygodniowego wynagrodzenia wykwalifikowanego robotnika.

M. Hertz w swojej publikacji *Łódź w latach Wielkiej Wojny* cytuje fragmenty pamiętnika inżyniera Eugeniusza Krasuskiego Przytaczamy je poniżej (zachowujemy pisownię oryginału):

24 XI 1914 r. (...) Po posiedzeniu w pięć osób wybraliśmy się na pobojowisko za Rudą Pabjanicką w stronę Rzgowa. Pierwszy raz w życiu oglądałem pobojowisko. Wrażenie okropne. Masy trupów żołnierzy i oficerów niemieckich. Zwiedzaliśmy dwie pozycje: niemiecką, atakującą, i rosyjską – od strony Rudy Pabjanickiej – broniącą. Trupy żołnierzy, zastygłe w najrozmaitszych pozach przedśmiertnych – tak, jak szli i padali, idąc do ataku, widocznie na bagnety. Prócz tego okopy niemieckie, a w nich masy trupów. Żołnierze niemieccy jeszcze niepogrzebani – grzebać ich będzie gmina, gdy tymczasem rosyjskie trupy już uprzątnięte i pogrzebane. Dużo bratnich mogił poległych żołnierzy – wszystko z 4-go syberyjskiego pułku strzeleckiego. Charakterystycznem jest, że wszystkie trupy Niemców z rozpiętemi na piersiach mundurami i koszulami, z powywracanemi kieszeniami: ślady rabunku. Prócz tego prawie ze wszystkich pościągano buty. Z okopów przyniosłem części rozerwanych granatów, formularz Feldpostbriefu i magazyn do nabojów karabinowych. Żadnej Pickelhauby już nie było. Żołnierze rosyjscy z oficerem na czele zbierali rozmaite przedmioty żołnierskie i karabiny. Wróciłem po godz. 5-ej.



Fotografował Michał Daszewski

27 XI 1914 r. Rano pojechaliśmy ze znajomym do Olechowa i Wiskitna. W Olechowie zwiedzaliśmy pobojowisko, gdzie leżało przy okopach dużo trupów żołnierzy. Następnie – zniszczone zabudowania kolonisty Fogla, którego posiadłość leżała na samej linji strzałów pomiędzy pozycjami rosyjską i niemiecką. Mam zdjęcie fotograficzne ruin jego posiadłości. Przy bramie leżą obok siebie dwa trupy: Rosjanina i Niemca, prawdopodobnie obaj polegli w bitwie na bagnety przy zdobywaniu okopów. W Wiskitnie była pozycja niemiecka. Zwiedziliśmy kolosalnie długie i duże okopy i transzeje artylerji niemieckiej blisko dworu. W samym dworze był lazaret niemiecki. Dom nie uległ uszkodzeniu. Przywiozłem stamtąd łuskę szrapnela, list narzeczonej do żołnierza niemieckiego z lazaretu i parę drobiazgów.

Wiosenna wycieczka mieszczuchów na niedawne pole bitwy. Panie w kapeluszach, panowie w krawatach i melonikach.

Na przedmieście, Bałuty i Radogoszcz, wracały tysiące ludzi, którzy w czasie bombardowania tych dzielnic uciekli do centrum miasta. Duża ich część zastała swoje domostwa spalone i zniszczone. To, co ocalało od bombardowania i pożaru, padło ofiarą rabusiów. Rozpacz tych ludzi nie miała granic.

Rozpoczęły się wędrówki na pobojowiska. Zabierano na pamiątkę szczątki szrapneli, ładownice, połamane bagnety, a przede wszystkiem listy żołnierskie, niemieckie i rosyjskie.

Miałem w ręku list z głębokiej Rosji. Trudno było go odczytać, gdyż pisany był niewprawną ręką. Donoszono, że wszyscy są zdrowi i życzą odbiorcy listu również zdrowia, że krowa sąsiada się ocieliła, że Matriona wyszła za mąż... Wstrząsająca była ta proza życia w zestawieniu z tragedją żołnierza, który z dala od domu umiera. Władze niemieckie wydały rozporządzenie, że nie wolno chodzić na pobojowiska, że rabunek trupów karany będzie śmiercią.

Specjalne oddziały grabarzy zaczęły kopać bratnie mogiły. Stawiano na grobach drewniane krzyże, które dzisiaj jeszcze spotkać można w okolicach Łodzi. Na wzgórzu pod Rzgowem, które Niemcy nazwali Grűberberg, stoi na monumentalnej podstawie z kamieni polnych wielki krzyż, wokół niego śpią obok siebie snem wiecznym tysiące rosyjskich i niemieckich żołnierzy. Mordowali się oni wzajemnie na tej ziemi, którą ograbili z wolności Wielka Katarzyna i Wielki Fryderyk.

zj



ze zbiorów www.flickr.com/photos/drakegoodman

ZDOBYCIE WARSZAWY. Interesująca fotografia grupy żołnierzy niemieckich, zapewne łącznościowców w podziemnym forcie. Wiemy nawet, jak brzmiało hasło służby wartowniczej tej nocy. Napis wskazuje, że to Warszawa. Najciekawsza na zdjęciu jest tablica z datą 5/6 sierpnia 1915 r. To bardzo ważny dzień. Właśnie 5 sierpnia Rosjanie wycofali się z Warszawy. Do miasta wkroczyła zwycięska niemiecka 9 Armia pod dowództwem księcia bawarskiego Maksymiliana Józefa Marii Arnulta Leopolda Wittelsbacha (miał wtedy 69 lat!). Tego samego dnia pod dzisiejszym Pałacem Prezydenckim po raz pierwszy od 84 lat stanęła polska warta, wystawiona przez Batalion Warszawski Polskiej Organizacji Wojskowej. Ostatni polscy żołnierze zeszli z tego posterunku 8 września 1831 r. w czasie powstania listopadowego. 5 września 1915 r. to data, kiedy to niejako symbolicznie po 120 latach skończył się w Polsce zabór rosyjski. W 2010 r. na ścianie Pałacu Prezydenckiego odsłonięto z tej okazji tablicę pamiątkową. Małoletni znajomy, poproszony o skomentowanie zdjęcia, powiedział: „Jakieś wojsko. Jeden gada przez komórkę, a ten pod ścianą słucha „empetrójki"... Pewnie Rolling Stonesów, bo jak ich znam, już wtedy grali. A w kącie stoi automat do gier!". Ot, młodzież!

mj

Zl. 85336.

K. u. K. KREISKOMMANDO in PIOTRKÓW.

KUNDMACHUNG.

Es wird zur allgemeinen Kenntnis gebracht, dass infolge KERZEN- und FETTEKNAPPHEIT, im Auftrage des k. u. k. Militärgeneralgouvernements in Polen **die am 1. und 2. November sonst übliche Gräber-Beleuchtung verboten wird.**

Piotrków, am 18. October 1916.

Der k. u. k. Kreiskommandant

Schneider, m. p., Oberstlt.

03298

OBWIESZCZENIE.

Podaje się do powszechnej wiadomości, iż z powodu braku ŚWIEC i TŁUSZCZU **zabrania się** z rozkazu c. i k. Wojskowego-Jenerał-Gubernatorstwa w Polsce **oświetlać groby w dniach 1. i 2. listopada r. b.**

Piotrków, d. 18. października 1916.

C. i k. Komendant obwodu

Schneider, m. p., Oberstlt.

Jak Hindenburg Reymontowi Nobla załatwił

Jeszcze wczesnym latem 1914 roku Eugen Diederichs wydawca z Jeny zdrowo pluł sobie w brodę, że dał się namówić na tak niepewny interes. Dwa lata wcześniej namówiono go do wydrukowania przekładu powieści jakiegoś Polaka z Rosji, głosząc że zbije niezły grosz, nikt bowiem jeszcze nie napisał powieści o życiu wieśniaków i to w czterech częściach. Może i Francuzom to się podobało, niemieckim krytykom także, ale w Niemczech książka nosząca niemiecki tytuł *Die polnischen Bauern* po prostu nie chciała się sprzedawać – przez dwa lata rozdał w promocji 300 egzemplarzy, a sprzedał tylko 30!!!

Przełom nastąpił bezpośrednio po wybuchu I wojny światowej. Uratowały go... dostawy dla wojska. Oto głównodowodzący armią niemiecką na froncie wschodnim generał Paul von Hindenburg uznał, że powieść Reymonta stanowi znakomite kompendium wiedzy o wsi polskiej. Nakazał więc członkom niemieckiej administracji wojskowej na terenie okupowanych ziem polskich obowiązkową lekturę utworu. Setki egzemplarzy *Chłopów* trafiły na front i jego zaplecze. Cały nakład rozszedł się i konieczny był w roku 1917 dodruk!!! Część egzemplarzy rozesłano do obozów jenieckich. W jednym z nich powieść poznał przyszły jej tłumacz na język francuski, Franck Louis Schoell, po wojnie profesor literatury francuskiej na uniwersytetach amerykańskich, wysoki dygnitarz Ligi Narodów oraz (uwaga nieodzowny łódzki akcent) doctor honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego. Schoell zachwycony dziełem postanowił nauczyć się języka polskiego z..., co za przypadek, polskiego wydania powieści Reymonta, będącego w posiadaniu innego jeńca przebywającego wówczas w obozie, oficera armii rosyjskiej rodem z Kielc Tomasza Kicińskiego. Zachwycony powieścią, już po zakończeniu wojny opublikował szereg rozpraw wychwalających *Chłopów*. Równocześnie w Szwecji tamtejsi krytycy także zwrócili uwagę na powieść, mając do czynienia z jej niemieckim przekładem. Nagły wzrost popularności w Europie sprawił, że krakowska Akademia Umiejętności już w roku 1918 zgłosiła powieść do Nagrody Nobla. Niestety na przeszkodzie w jej przyznaniu stanął brak tłumaczenia na język szwedzki. Jednak co się odwlecze... Upragnioną nagrodę Reymont otrzymał w roku 1924, gdy pojawiło się szwedzkie tłumaczenie Ellen Wester mającej już na koncie tłumaczenie (uwaga kolejny nieodzowny łódzki akcent) *Ziemi obiecanej.*

pz



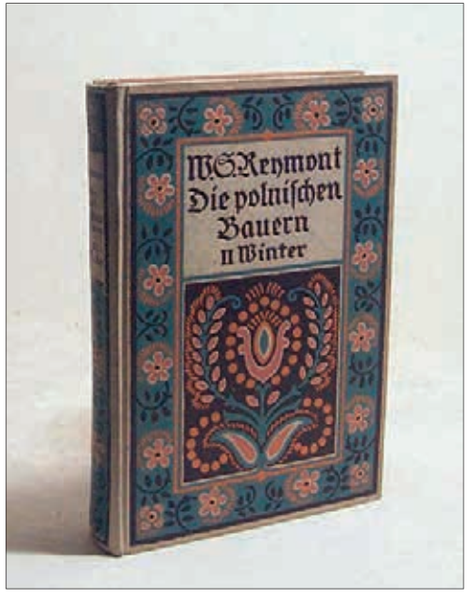
Paul von Hindenburg



Władysław Stanisław Reymont



Wydawnictwo Eugena Diederichsa wręcz obsesyjnie dążyło do perfekcji wydawniczej. Książki miały być szlachetne i różnić się w każdym detalu od masowej produkcji. Zarówno rodzaj papieru, jego odcień, szorstkość, wszystkie elementy oprawy, wyklejki, czcionka, ornamentyka oraz szata graficzna musiały stanowić zwartą, spójną, harmonijną kolorystycznie i artystycznie całość. Doradcą artystycznym wydawnictwa był Max Thalmann – rzeźbiarz, malarz i grafik – i to jego pomysłem było powierzenie opracowania graficznego artyście z Polski, aby oddać wiernie ducha książki. Ozdobiła więc niemieckie wydanie „Chłopów" absolwentka École des Beaux--Arts w Paryżu Anna Gramatyka-Ostrowska.



Niemiecka wesja I tomu „Chłopów" W.S.Reymonta



ze zbiorów www.flickr.com/photos/drakegoodman

Przypomnijmy fakty. W 1913 roku tylko 30 procent ludności Rosji umiało czytać (był to wskaźnik znacznie niższy od angielskiego z połowy XVIII w.) według badań w analogicznym okresie na 1000 rekrutów wcielanych do armii Włoch 330 było analfabetami, w Austro-Węgrzech – 220, we Francji – 68, a w Niemczech tylko jeden. Z drugiej strony ci oczytani ludzie bez skrupułów spalili i zniszczyli bibliotekę uniwersytecką w Leuven, największego i najstarszego uniwersytetu w krajach Beneluksu.

EDZIŃKA NA FRONCIE

Edward Liniewski, rodowity wilnianin, ponad dwa metry wzrostu, w chwili wybuchu I wojny miał 21 lat. Był już od pół roku żonaty. Został wcielony do 32 Kremenczugskiego Pułku Piechoty, stacjonującego w Warszawie. Przed wyjazdem na front sfotografował się z żoną. Już nigdy się nie spotkali. Żona, której imię nie przetrwało w pamięci rodziny, zmarła na tyfus w 1916 roku.

32 pułk pomaszerował na Prusy Wschodnie. Liniewski miał wyjątkowe szczęście, bo w wyniku nieudanej ofensywy gen. Samsonowa z pułku zostało przy życiu kilkunastu ludzi. Niedobitki wycofały się za granicę. Dopiero wtedy, po dwóch tygodniach, „Edzińka", jak nazywała go rodzina, miał czas zajrzeć do worka na rzeczy, który cały czas nosił na plecach. Ze środka wyszła oburzona mysia rodzina. Front frontem, a myszy zdążyły rozmnożyć się w ubogim żołnierskim dobytku…

Gdzieś w Prusach walczył też niejaki Waszkiewicz. Pierwszy mąż przyszłej, drugiej pani Liniewskiej. Waszkiewicz był Rosjaninem o polskich korzeniach. Teresę Zienkiewicz, późniejszą małżonkę Edwarda, poznał w Saint Louis, dokąd oboje wybrali się za chlebem przed wojną. W USA pobrali się, założyli sklepik. Teresa zaszła w ciążę. Czuła się źle. Lekarze doradzili powrót do Europy – klimat amerykański nie służył wilniance… Małżonkowie wrócili w czerwcu 1914 roku.



Edward Liniewski (po prawej) ze szwagrem Boleslawem Krymem.

W sierpniu wybuchła wojna. Nieznany już dziś z imienia Waszkiewicz poszedł na front i wkrótce zginął. Została po nim córka Elżbieta i płócienny chlebak z dwugłowym carskim orłem.

Liniewski walczył pod Warszawą i pod Łodzią. Wiosną 1915 roku przeżył słynny atak gazowy w rejonie Bolimowa, kiedy to zmienił się wiatr i chmura chloru zawróciła w stronę okopów niemieckich. Liniewski wspominał, że panikę wśród żołnierzy opanował podoficer z Syberii. Popatrzył na niebo i kazał zostać na pozycjach. „Wiatr się za chwilę zmieni" – powiedział. Miał rację.

W 1916 roku gdzieś na wschodzie Liniewski wziął do niewoli Niemca. Opowiadał o tym chętnie, śpiewną wileńską mową. Opowieść można odtworzyć z magnetofonu pamięci:

„No, szed ja jak raz po okopach. A okopów tam nasi i Niemcy nakopali jak durne, w lewo, w prawo, na ukos. Ida ja, ciemno, mokro, a tu raptem coś rusza sie. I brzęczy. Prosto na mnie idzie. Patrza ja – toż Niemiec z jakmś garem! Karabin przez plecy przerzucony, a ręcy ma zajęte, bo ten gar niesi. No to ja wlaz za deski, poczekał, aż on mnie minie, i bagnetem jego w dupe kolnął. Ale nie żeby skaleczyć, tylko delikatnie do zrozumienia dać, że on poddać się musi. Odwrócił się, patrzy, ja jemu po niemiecku: „Ruki wwierch!". A on stoi z tym garem i nijak jemu rency nie podnieść, bo jak? Gar w rękach, okop wąski. No i stoimy, zgięci, żeby odłamkiem nie dostać, patrzymy na siebie, a ja myśla, co dalej. Chłopina niemłody już, konus taki. Ale jak dwóch ludzi tak stoi, to głupio jakoś. Zagadać wypada. No to ja jemu: „Ty w plen pójdziesz, a?". Pokiwał głową, że pójdzi. Gar postawił i pokazuje w lewo, w prawo, na gar, na pagony. Ja zrozumiał, że on zabłądziwszy był w okopach, a w garze jedzenie swojemu oficeru niesie. Musi ordynans albo dyżurny jaki. Stoi i szwargoce, a co – kto by jego wiedział? Odebrał ja jemu karabin. Pokazał, żeby usiąść. Usiedli oba. A w garze – całkiem gorąca zupa. Trofiejnaja. Wyciągnął ja łyżka i jem. A ten patrzy. No jakżesz nie poczęstować? Może on głodny? Mówię: „Poczenstujsia, skoro sam ta zupa przyniosszy…" I łyżkę podaję. I pomalutku jedną łyżką zjedli my na zmianę ta zupa. Potem odprowadził ja jego do sztabu, ale co taki konus z garem może sztabowi powiedzieć? Pochwalili, jakiś mały krzyżyk nawet dali, ale i tak zupa lepsza była. Jakby krupnik."

Następne spotkanie z Niemcem nie było już tak sympatyczne. Gdzieś w Galicji Liniewski dostał szablą przez łeb od kawalerzysty. Twarda wileńska głowa wytrzymała, ale skończyło się w szpitalu. Tam przyplątał się tyfus. Liniewski przeżył, ale wyłysiał. Żeby uniknąć powrotu na front, wstąpił do szkoły wojennych motocyklistów. Potem woził motocyklem jakiegoś pułkownika. Do czasu, dopóki pułkownikowa nie zainteresowała się przystojnym Polakiem… Edzińka został pilnie wyekspediowany na front. Był już październik 1917 roku. Kolejna opowieść: „Jedziem w eszelonie. Jakaś stacja. Drzwi otwierajo się, a na peronie stojo sołdaty z czerwonymi kokardkami. Jeden mówi: »Rewolucja zaczeła sie, kto z nami, niech bierze kokarde, a jak komu nie podoba się, to pod ściane…« No to wzieli my te kokardy i pojechali dalej. Na następnej stacji apiać to samo – szpaler sołdatów, ale bez kokardek,

tylko normalnych. »O żesz wy bolszewiki, krzyczy jakiś oficer, rozstrzelamy was, zdrajcy!« No to my tłumaczymy sie, że jacyś tacy kazali przypiąć, bo jak nie, to zastrzelą… Jednym słowem, zdjeli my te kokardy i pojechali dalej. Na trzeciej stacji wojska nie było, to brosił ja karabin, wysiad i po miesiącu piechoto do Wilna doszedł…".

W 1919 roku Liniewski ożenił się z wdową po Waszkiewiczu. Wykazał się talentem do interesów. Założył przedsiębiorstwo kanalizacyjne. W 1939 roku zatrudniał ponad stu robotników. Wybronili go przed bolszewikami, że nie był wyzyskiwaczem: płacił dobrze, na wszystkie święta organizował przyjęcia dla pracowników i ich rodzin…



„Edzińka" z pierwszą żoną (zmarła na tyfus podczas wojny).

Osobliwą pamiątką z I wojny w domu Liniewskich była… panna Helena. Po przewaleniu się frontu w 1915 roku Teresa zastała na progu swojego domu wygłodzoną dziewczynę. Helena Dobejko (piękne kresowe nazwisko) podczas ostrzału artyleryjskiego straciła wszystkich bliskich, dom i cały dobytek. Wlokła się przed siebie, dopóki nie przysiadła na obcym progu, bo nie miała już sił iść dalej.

Została przy rodzinie Liniewskich jako ni to pomoc domowa, ni to rezydentka. Z nimi przeżyła II wojnę, wypędzenie z Wilna i budowanie nowego życia w Koszalinie. Zmarła w latach 60.

Ostatni kontakt Liniewskiego z Niemcami miał miejsce w 1946 roku. Do Koszalina przyjechał wcześniejszym transportem, niż żona i córka. Dostał poniemiecki dom, z Niemką – staruszką, która nie zdołała uciec z rodziną do Niemiec. Przez pół roku mieszkali razem. On nie znał niemieckiego, ona polskiego. On lubił jadać dużo i tłusto, popijając to szklankami samogonu. Ona karmiła go zupkami w proszku z wojennych zapasów. Została wysiedlona. Liniewski wyprawił ją z zapasami kiełbasy, słoniny, chleba. Odprowadził na dworzec i zrobił wściekłą awanturę sowieckim żołnierzom, którzy zebranym na peronie wysiedleńcom kazali przez całą noc śpiewać „Deutschland, Deutschland űber alles…"

Córka Teresy Liniewskiej z pierwszego małżeństwa, Elżbieta Waszkiewicz, zmarła w 1976 roku Teresa – dwa lata później. Edward – w 1980.

Byli moimi dziadkami.

Michał Jagiełło



Na kursie w Szkole Wojennych Motocyklistów (Peterhof k. Petersburga).

List przed rozstrzelaniem

Spoczął na polskiej ziemi...

„Spała dnia 25 lutego 1915. Droga i Najukochańsza Pelachno! Miałem zawsze nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, lecz niestety Bóg inaczej pokierował mem losem, bo wczoraj zostałem skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wiem dobrze, że gdy tę wiadomość otrzymasz, to cię smutek ogarnie, ale nie smuć się moja droga tylko raduj się, że Bóg dobrotliwy dał mi taką śmierć i sposobność do pojednania się z Nim przez Sakrament Pokuty Św. Policzone są już godziny mego życia, ale z radością oczekuję tej chwili, kiedy kula karabinowa rozłączy mnie z tem życiem doczesnem i z wami moi Najdrożsi muszę się na krótki czas rozstać".

Tak zaczyna się list wysłany przez pochodzącego z Wielkopolski żołnierza armii niemieckiej Czesława Srokę do jego kuzynki Pelagii Małeckiej. Napisane przez niego jakże tragiczne wyznania odnalazł po latach w rodzinnym archiwum mieszkający w Grodzisku Wielkopolskim Grzegorz Sroka – stryjeczny wnuk Czesława Sroki. Poruszający do głębi list Polaka noszącego niechciany, obcy mundur i oczekującego na egzekucję trafił w 2012 roku do proboszcza parafii pw. Matki Bożej Królowej Korony Polski w Spale – ks. Dariusza Łosiaka. Nadawca zwrócił się do niego o pomoc w ustaleniu miejsca pochówku Czesława Sroki, rozstrzelanego w Spale przed 97 laty. Poszukując odpowiedzi na to pytanie, ksiądz Łosiak skontaktował się m.in. ze Skansenem Rzeki Pilicy, gromadzącym od dawna wszelkie informacje na temat przebiegu I wojny światowej nad Pilicą.

Jak wiadomo, w listopadzie 1914 roku również na tym terenie przebiegała słynna operacja łódzka, w której starło się łącznie ponad 600 tysięcy żołnierzy armii niemieckiej, austriackiej i rosyjskiej. W szeregach tych trzech armii było wielu Polaków. Dla przykładu: tworzyli oni znaczną część (bo aż 23 tysiące żołnierzy) uczestniczącego we wspomnianej operacji korpusu fortecznego „Posen", który wchodził w skład niemieckiej 9 Armii pod dowództwem generała Augusta von Mackensena.

Po zakończeniu operacji łódzkiej aż na pół roku front zatrzymał się na linii Bzury, Rawki, Pilicy i Nidy. W Spale ulokowało się



Niemiecki cmentarz wojenny w Spale.



Pomnik na cmentarzu wojennym w Spale.

dowództwo niemieckiej 22 dywizji piechoty, zajmujące na swoją kwaterę carski pałacyk myśliwski. W innych zabudowaniach carskiej rezydencji Niemcy utworzyli szpital wojskowy, do którego zwożono rannych podczas ciężkich walk pozycyjnych toczonych nad Pilicą od grudnia 1914 do maja 1915 roku. Powstał tu cmentarz wojenny. Czy spoczął na nim również wspomniany na wstępie, liczący sobie zaledwie 20 lat, Czesław Sroka i jak doszło do jego rozstrzelania? Częściowej odpowiedzi na te pytania udziela zachowany do dzisiaj drugi list tego żołnierza, wysłany przez niego ze Spały w trzy dni później do rodziców i rodzeństwa, mieszkających w Jagodnie. Warto go przytoczyć w całości.

„Drodzy Najukochańsi Rodzice i Rodzeństwo. Może już wam wiadomo, co mnie spotkało i to za to, że miałem zamiar przejść do Rusów. Najmilsi moi Rodzice proszę was o przebaczenie i dziękuję za wszystko, co żeście dla mnie czynili. Jutro to jest 1. Marca ma być wyrok wykonany, ja i jeszcze jeden Polak mamy być rozstrzelani. Z Bogiem się pojednałem i spodziewam się, że będzie dla mnie łaskawy. Proszę nie martwcie się zbytnio, bo to jest przeznaczenie Boże. Sprawiedliwe są Drogi Opatrzności Boskiej. Żegnam Was i jeszcze raz proszę o przebaczenie. Wasz nieszczęśliwy Syn i Brat Czesław".

Z przytoczonego listu może wynikać, że jego autor został skazany przez niemiecki sąd polowy za próbę przejścia na stronę rosyjską. Być może podjął ją wraz ze wspomnianym w liście innym żołnierzem pochodzenia polskiego. W rozumieniu sądu, prawdopodobnie urzędującego przy dowództwie niemieckiej dywizji w Spale, była to próba dezercji, a za taki czyn w warunkach wojennych groziła jedna kara – rozstrzelanie. W tym miejscu warto wspomnieć, że podczas długotrwałej wojny pozycyjnej często dochodziło do kontaktów między żołnierzami wrogich armii. Zdarzały się one zwłaszcza na tych odcinkach frontu, gdzie po obydwóch stronach walczyli Polacy. Tak było np. podczas walk pod Rawą Mazowiecką, gdzie obie linie okopów dzielił zaledwie 30-metrowy pas ziemi niczyjej. Z relacji uczestników tych wydarzeń wynika, że Polacy z obydwóch stron nawoływali się nawzajem, a nawet… przerzucali do swoich okopów pakunki z żywnością, papierosami i wódką.

Czy takie kontakty z rodakami noszącymi rosyjskie mundury nawiązał również Czesław Sroka? Czy uległ ich namowom i zachętom do przejścia linii frontu i zrzucenia niemieckiego munduru? Co stanęło na przeszkodzie temu zamiarowi? Te pytania póki co pozostają bez odpowiedzi. Faktem jest, że Czesław Sroka nie powrócił z wojny do rodzinnego domu, a ostatnim świadectwem jego życia były listy napisane tuż przed śmiercią. Znamienne przy tym jest to, że pisząc najpierw do swojej kuzynki, chciał za jej pośrednictwem przygotować psychicznie rodziców i rodzeństwo do nadejścia tragicznej wiadomości. Świadczą o tym jego jakże przejmujące słowa.

„A teraz cię proszę Najdroższa Pelachno o zawiadomienie moich Najukochańszych Rodziców, ale proszę ich najprzód przygotować na tę wiadomość, bo ja się bardzo lękam o najdroższą Mamuchnę (…) To jest Mój ostatni list, który w mem życiu piszę i może jak go będziesz czytać, to dusza moja nie będzie już pomiędzy żyjącymi. Gdzie moje ciało złożą na wieczny spoczynek, tego nie wiem, tylko to mnie rozwesela, że spocznę na ukochanej naszej Polskiej ziemi. A teraz żegnam się z tobą oraz z wszystkimi Krewnymi i znajomymi, a jeżeli kto ma jaki żal do mnie, proszę niech mi tego nie pamięta. Pozdrawiam cię po tysiąckrotnie. Bądź zdrowa, do zobaczenia się w przyszłym życiu. Twój kuzyn Czesław. Proszę o Modlitwę".

Trudno powiedzieć, czy został on pochowany na niemieckim cmentarzu wojennym w Spale. Czy było na nim miejsce dla „dezertera"? Takie miejsca pochówku żołnierzy niemieckich znajdowały się w tym czasie również w Teofilowie, Królowej Woli i Inowłodzu. Cmentarz spalski, usytuowany w rejonie dzisiejszej restauracji Pod Żubrem, istniał jeszcze w 1925 roku. W następnych latach stopniowo likwidowano pojedyncze mogiły i niewielkie cmentarzyki, przenosząc ekshumowane zwłoki na większe cmentarze zbiorcze. Do takich miejsc pochówku wybrano istniejący do dzisiaj cmentarz wojenny w Inowłodzu. Tutaj też trafili pochowani w Spale.

Niestety, większość z tych żołnierzy – zarówno niemieckich, jak też rosyjskich i austriackich – przenoszono na inowłodzki cmentarz z anonimowych mogił. Czy wśród nich jest także Czesław Sroka? Być może kiedyś jednak uda się to ustalić. Taką nadzieję rodzi rosnące ostatnio zainteresowanie cmentarzami wojskowymi z I wojny światowej, gęsto rozsianymi po naszym województwie. Przywróceniu ich do zbiorowej pamięci służą działania podejmowane przez Urząd Marszałkowski w ramach unijnego projektu Szlak frontu wschodniego I wojny światowej na ziemi łódzkiej – *Bitwa Łódzka 1914–1915* i przez wielu pasjonatów historii. Oprócz otoczenia tych cmentarzy większą opieką, zmierzają one do identyfikacji pochowanych żołnierzy, m.in. poprzez dotarcie do archiwów niemieckich, austriackich i rosyjskich.

Andrzej Kobalczyk



Niemiecki cmentarz wojenny w Spale, karta pocztowa.



Fotografował Michał Daszewski

Tłumy łodzian przyglądają się oddziałowi rosyjskiej kawalerii wyruszającej na front, na skrzyżowaniu ulic Piotrkowskiej i św. Andrzeja (dzisiaj Andrzeja Struga). Ubiór gapiów wskazuje na porę letnią, a więc jest to początek wojny. Zwracamy uwagę czytelników na dwujęzyczne napisy na witrynach sklepowych. Ciekawostką jest to, że obok urzędowego języka rosyjskiego drugim był albo język polski, albo język niemiecki, co może wskazywać na narodowość właściciela „interesu". Zupełnie odmienny zapis nazwisk, doprowadzający nawet do ich fonetycznego zniekształcenia, do dziś jest powodem nieprzemijającego bólu głowy wszystkich genealogów.

pz



Lejb-Gwardyjski Pułk Huzarów Jego Wysokości (Гусарский лейб-гвардии полк Его Величества) został sformowany rozkazem carycy Katarzyny II w 1774 r. Do tej gwardii przybocznej carów mogli wstępować jedynie członkowie rodów szlacheckich. Pułk walczył z Napoleonem w 1807 r. pod Frydlandem i w 1812 pod Borodino. Brał udział w trzech wojnach rosyjsko-tureckich w latach 1828-1879. Uczestniczył też, niestety, w tłumieniu powstania listopadowego (bój pod Sokołowem, szturm Warszawy). Podczas I wojny światowej w składzie 2 Dywizji Kawaleryjskiej walczył m.in. pod Łodzią. Zdjęcie przedstawia żołnierzy tej superelitarnej jednostki na kilka miesięcy przed wybuchem I wojny. Centralne miejsce zajmuje honorowy Szef Pułku – car Mikołaj II. ✠ *mj*

Kto to taki? — Pokrzywiaki!

Sentencja „Necesitas artis mater” (*Potrzeba matką wynalazków*) nie sprawdza się bardziej niż w okresie wojny. Wbrew swym planom przeprowadzenia wojny w 6 tygodni Niemcy uwikłali się w długotrwały, kosztowny i wyczerpujący wszelkie zapasy i materiały konflikt. Wielka Brytania – opowiadając się po stronie przeciwników Państw Centralnych – wniosła nie tylko konkretną siłę militarną i gospodarczą ale także blokadę morską, która odcięła nieprzyjaciół od reszty świata, uniemożliwiając wymianę handlową, pozyskiwanie surowców strategicznych i żywności. Braki w zaopatrzeniu skłaniały do szukania zamienników dla dóbr deficytowych. I tym razem Niemcy – mistrzowie ersatzu – nie zawiedli. Z powodu braku dostępu do importowanej bawełny do produkcji płótna wykorzystali... włókna pokrzywy. Przy braku innych surowców chwast okazał się zbawieniem.

Nie było to jednak żadne epokowe odkrycie, ponieważ tkaniny z pokrzywy wykonywano już w epoce brązu, a zatem wcześniej niż nasz praprzodek odkrył len. W kolejnych wiekach wyrabiano z nich żagle, sieci rybackie oraz tkaniny na sita do cedzenia miodu i przesiewania mąki. Pokrzywa już wcześniej znalazła zastosowanie do produkcji materiału, z którego uszyto mundury armii francuskiej w czasie wojen napoleońskich. Tym razem to armia niemiecka została ubrana w pokrzywowe mundury. Płótno z włókna łodyg pokrzywy było cienkie jak jedwab, a grzać miało jak futro. Niezwykle ważną cechą było to, że włókna pokrzyw nie nasiąkały i nie gniły w wodzie. Mimo wielu zalet mundury z pokrzywy były bardzo nietrwałe. Dlatego do dziś zachowało się ich niewiele. Proces obróki pokrzywy jest identyczny jak obróka lnu.

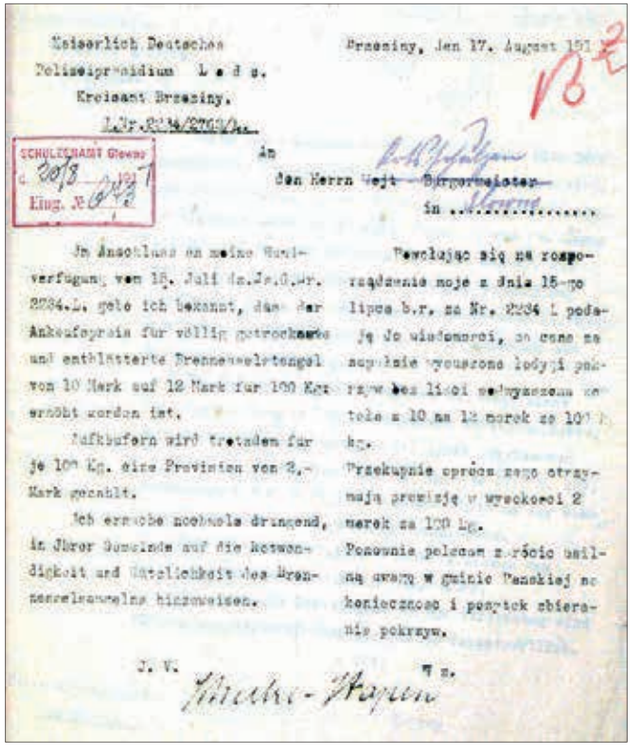
W czasie wojny powstało w Berlinie Towarzystwo Uprawy Pokrzywy, które wypłacało premie pieniężne za uprawę rośliny. Pieniężna zachęta była konieczna, wziąwszy pod uwagę przede wszystkim kłopotliwy jej zbiór. Do uprawy i zbioru pokrzywy było zaangażowane całe społeczeństwo. W miasteczkach i na wsiach brakowało męskich rąk do pracy. Z powodu niedoboru mężczyzn, którzy walczyli na wojennych frontach, do prac polowych wykorzystywani byli również jeńcy wojenni. Produkcję pokrzywowych tekstyliów szacowano w roku 1916 na 2,7 tys. ton.

Szczególną rolę w zbiorze pokrzywy odegrały dzieci zachęcane przez swoich nauczycieli. Mogły parać się jej zbieraniem dwa do trzech razy w tygodniu. Za zbiórkę kwintala pokrzywy otrzymywały 14–15 marek. Nauczyciel Freischlad ze szkoły w rolniczym miasteczku Eschenau pisał w kronice, że w 1917 roku zbiory były wyjątkowo dobre. Szkoła zebrała 53 kg suchych łodyg pokrzywy. Uprawa pokrzywy stała się nie tylko popularna, ale była także powodem do dumy narodowej – oto cały naród walczy z podłą brytyjską blokadą, hodując „niemiecką bawełnę” (*Deutsche Baumwolle*).

Plakatem z 1918 roku Towarzystwo Uprawy Pokrzywy nawołuje i zachęca do publicznej zbiórki pokrzywy, podkreślając przy tym, że samo Towarzystwo zasiało pokrzywę na około 300 ha.

Adriana Bryk




Kaiserlich Deutsches
Polizeipräsidium L o d z.
Kreisamt Brzeziny.

Brzeziny, den 17. August 191

An
den Herrn Vojt – Bürgermeister
in .....

Im Anschluss an meine Verfügung vom 15. Juli d.Js.O.-Nr. 2234.L. gebe ich bekannt, dass der Ankaufspreis für völlig getrocknete und entblätterte Brennesselstengel von 10 Mark auf 12 Mark für 100 Kgr erhöht worden ist.

Ausserdem wird pro Stadem für je 100 Kg. eine Provision von 2,- Mark gezahlt.

Ich ersuche nochmals dringend, in Ihrer Gemeinde auf die Notwendigkeit und Nützlichkeit des Brennesselsammelns hinzuweisen.

J. V.

Powołując się na rozporządzenie moje z dnia 15-go lipca b.r. za Nr. 2234 L podaję do wiadomości, że cena za zupełnie wysuszone łodygi pokrzyw bez liści odpowiadająca cenie 10 na 12 marek za 100 kg.

Przekupnie oprócz tego otrzymują prowizję w wysokości 2 marek za 100 kg.

Ponownie polecam z przykrością usilną uwagę w gminie Państwa na konieczność i pożytek zbierania pokrzywy.

Z u.

Schulz-Kaspen

Po prawej – pismo Cesarsko-Niemieckiego Prezydium Policji Powiatu Brzezińskiego do wójtów i burmistrzów w sprawie zbierania pokrzywy z ustaloną ceną skupu pokrzyw i prowizji z tego tytułu wypłacanych.

Po lewej – plakat nawołujący i zachęcający do zbierania pokrzywy.

IMIENNE LISTY POLEGŁYCH, RANNYCH I ZAGINIONYCH BEZ WIEŚCI

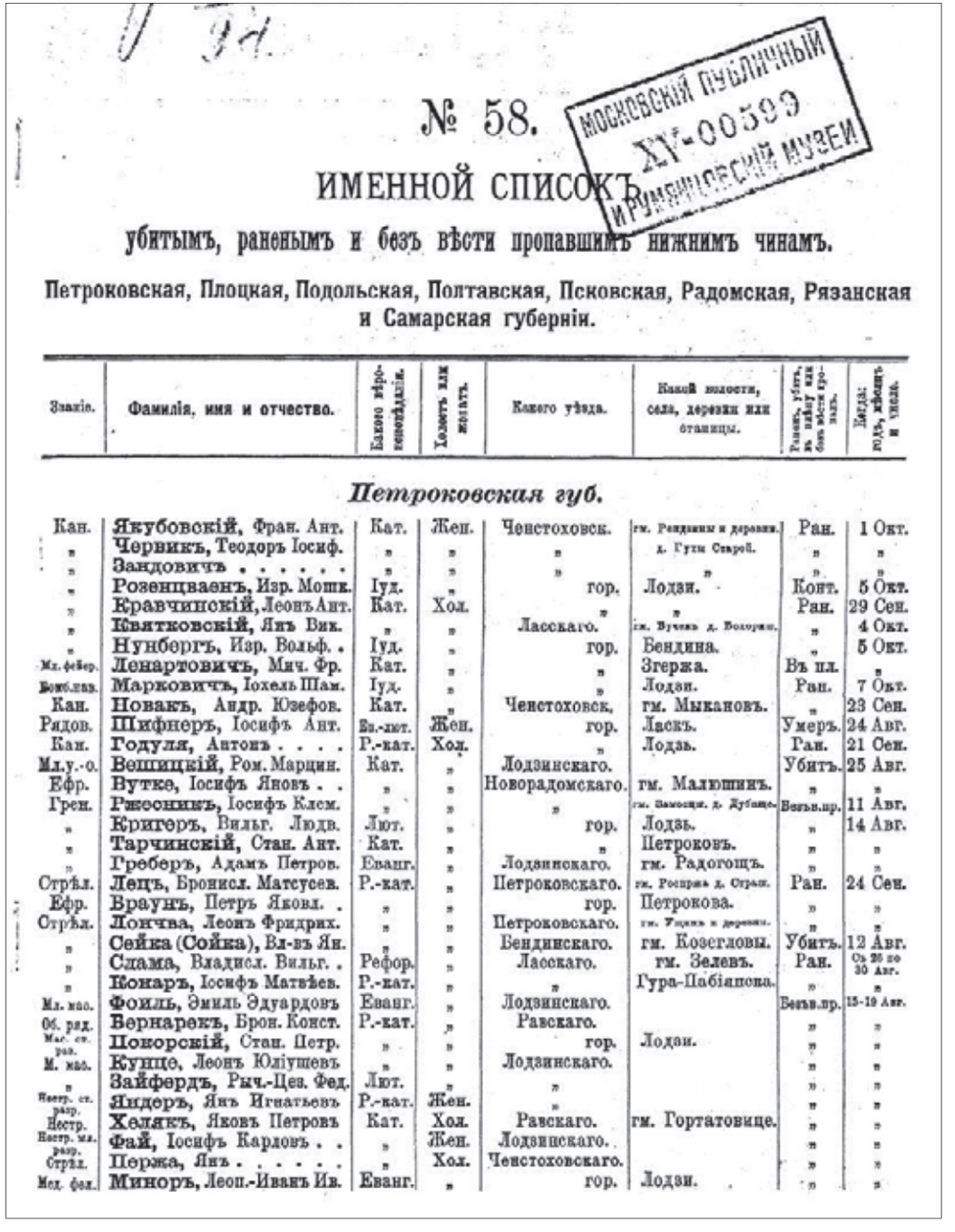
Od 2011 roku Rosyjska Biblioteka Państwowa rozpoczęła udostępnianie w wersji cyfrowej *Imiennych spisów zabitych, rannych i zaginionych bez wieści żołnierzy niższych stopni carskiej armii*. Niestety brak strony tytułowej spisów, względnie stosownego komentarza uniemożliwia ustalenie ich autora, celu tej urzędowej publikacji oraz ilości egzemplarzy.

Dlaczego ustalenie tych danych byłoby tak ważne? Podanie pewnych szczegółów mogłoby pozwolić na powiązanie poszczególnych żołnierzy (poległych lub zaginionych) z datami potyczek i bitew I wojny, a co za tym idzie, z cmentarzami wojennymi. Należy zauważyć, że żołnierze armii carskiej nie mieli osobistych identyfikatorów – nieśmiertelników, czyli elementu systemu identyfikacji żołnierzy, mającego szczególne znaczenie w przypadku śmierci. Dlatego też byli chowani w mogiłach zbiorowych, na których umieszczano tabliczkę z inskrypcją typu: *15 żołnierzy rosyjskich*. Jeśli wszystkie *Imienne spisy…* zostaną opublikowane, może wówczas choć w części uda się z tych bezimiennych żołnierskich mogił zdjąć stuletnią zasłonę anonimowości.

zj

Stopień wojskowy	Nazwisko, imię , imię ojca	Wyznanie	Stan cywilny	Z jakiego powiatu pochodzi	Z jakiego miasta, gminy, wsi lub przysiółka	Ranny, poległy lub zaginiony bez wieści	Rok, miesiąc, dzień
kapral	Zams August	luter.	kawaler	łódzkiego	Łódź	zaginiony	13 sierpnia
szeregowy	Cerfas	luter.	żonaty	łódzkiego	Łódź	zaginiony	18 sierpnia
szeregowy	Ambrozik Stanisław	katolik	kawaler	łódzkiego	wieś Radomlina	zaginiony	13 sierpnia
szeregowy	Wekker	luter.	kawaler	łódzkiego	Łódź	zaginiony	13 sierpnia
szeregowy	Wróblewki Stanisław s. Józefa	rz. kat.	żonaty	piotrkowskiego	wieś Szydłów	poległy	16 sierpnia
szeregowy	Roman Józef s. Wincentego	rz. kat.	kawaler	łódzkiego	gmina Górki	poległy	16 sierpnia
szeregowy	Dryzek Stanisław s. Jana	rz. kat.	kawaler	piotrkowskiego	wieś Szydłów	poległy	16 sierpnia
szeregowy	Hamburg Moszek s. Chaima	żyd	kawaler	będzińskiego	Sosnowice	ranny	17 sierpnia
st. szeregowy	Tałajczyk Walenty s. Ignacego	rz. kat.	kawaler	piotrkowskiego	Piotrków	ranny	17 sierpnia
st. szeregowy	Cepłowki Józef s. Józefa	rz. kat.	kawaler	piotrkowskiego	Bełchatów	ranny	17 sierpnia
szeregowy	Łapucha Ignacy s. Jana	rz. kat.	kawaler	częstochowskiego	Wancerzów	ranny	17 sierpnia
szeregowy	Fuks Abram Juda s. Pinkusa	żyd	kawaler	łódzkiego	Łódź	ranny	16 sierpnia
szeregowy	Telonżek Franciszek	rz. kat.	kawaler	piotrkowskiego	Łękawa	ranny	16 sierpnia
szeregowy	Szynski Kazimierz s. Ignacego	rz. kat.	kawaler	piotrkowskiego	Piotrków	zaginiony	16 sierpnia
szeregowy	Wizor Tomasz s. Jakuba	rz. kat.	kawaler	będzińskiego	Choroń	zaginiony	16 sierpnia
szeregowy	Reterski Stefan s. Józefa	rz. kat.	kawaler	częstochowskiego	Częstochowa	zaginiony	16 sierpnia
felczer	German Robert s. Teodora	ewang.	kawaler	łódzkiego	gm. Nowosolna	zaginiony	8 sierpnia
szeregowy	Goldstein Josek	żyd	kawaler	łódzkiego	Łódź	poległy	31 sierpnia
szeregowy	Wojna Paweł s. Antoniego	rz. kat.	kawaler	piotrkowskiego	Grabica	ranny	16 sierpnia

Spisy drukowane były zgodnie z administracyjnym podziałem na gubernie, po prawej lista żołnierzy zabitych, rannych i zaginionych wcielonych do wojska z guberni piotrkowskiej, powyżej kilka pozycji z listy, przetłumaczonych z rosyjskiego.



№ 58.

ИМЕННОЙ СПИСОКЪ

убитымъ, раненымъ и безъ вѣсти пропавшимъ нижнимъ чинамъ.

Петроковская, Плоцкая, Подольская, Полтавская, Псковская, Радомская, Рязанская и Самарская губерніи.

Петроковская губ.

Званіе.	Фамилія, имя и отчество.	Какого вѣроисповѣданія.	Холостъ или женатъ.	Какого уѣзда.	Какой волости, села, деревни или станицы.	Раненъ, убитъ, въ плѣну или безъ вѣсти пропалъ.	Когда: годъ, мѣсяцъ и число.
Кан.	Якубовскій, Фран. Антоновъ	Кат.	Жен.	Ченстоховск.	гм. Рендзины и деревня д. Гуты Старой.	Ран.	1 Окт.
„	Червикъ, Теодоръ Іосиф.	„	„	„	„	„	„
„	Зандовичъ	„	„	„	„	„	„
„	Розенцвангъ, Изр. Мошк.	Іуд.	„	гор.	Лодзи.	Конт.	5 Окт.
„	Кравчинскій, Леонъ Ант.	Кат.	Хол.	„	„	Ран.	29 Сен.
„	Квятковскій, Янъ Вик.	„	„	Ласскаго.	гм. Вучекъ д. Волорыя.	„	4 Окт.
„	Нунбергъ, Изр. Вольф. .	Іуд.	„	гор.	Бендина.	„	5 Окт.
Мл. фейер.	Ленартовичъ, Мич. Фр.	Кат.	„	„	Згержа.	Въ пл.	„
Бомб.щик.	Марковичъ, Іохель Шам.	Іуд.	„	„	Лодзи.	Ран.	7 Окт.
Кан.	Новакъ, Андр. Юзефов.	Кат.	„	Ченстоховск.	гм. Мыкановъ.	„	23 Сен.
Рядов.	Шифнеръ, Іосифъ Ант.	Ев.-лют.	Жен.	гор.	Ласкъ.	Умеръ.	24 Авг.
Кан.	Годуля, Антонъ	Р.-кат.	Хол.	„	Лодзь.	Ран.	21 Сен.
Мл.у.-о.	Вешицкій, Ром. Марцин.	Кат.	„	Лодзинскаго.		Убитъ.	25 Авг.
Ефр.	Вутке, Іосифъ Яновъ . .	„	„	Новорадомскаго.	гм. Малюшинъ.	„	„
Грен.	Ржесникъ, Іосифъ Клем.	„	„	„	гм. Замосцк. д. Дубяне.	Безв.пр.	11 Авг.
„	Кригеръ, Вильг. Людв.	Лют.	„	гор.	Лодзь.	„	14 Авг.
„	Тарчинскій, Стан. Ант.	Кат.	„	„	Петроковъ.	„	„
„	Греберъ, Адамъ Петров.	Еванг.	„	Лодзинскаго.	гм. Радогощъ.	„	„
Стрѣл.	Лецъ, Броніслъ Матусев.	Р.-кат.	„	Петроковскаго.	гм. Росприза д. Страш.	Ран.	24 Сен.
Ефр.	Браунъ, Петръ Яковл. .	„	„	гор.	Петрокова.	„	„
Стрѣл.	Лонгва, Леонъ Фридрих.	„	„	Петроковскаго.	гм. Уязда и деревни.	„	„
„	Сейка (Сойка), Вл-въ Ян.	„	„	Вендинскаго.	гм. Козегловы.	Убитъ.	12 Авг.
„	Сдама, Владисл. Вильг. .	Рефор.	„	Ласскаго.	гм. Зелевъ.	Ран.	Съ 20 по 30 Авг.
„	Конаръ, Іосифъ Матвѣев.	Р.-кат.	„	„	Гура-Пабіанова.	„	„
Мл. мед.	Фоиль, Эмиль Эдуардовъ	Еванг.	„	Лодзинскаго.		Безв.пр.	15-19 Авг.
Об. ряд.	Бернарекъ, Брон. Конст.	Р.-кат.	„	Равскаго.		„	„
Мас. ст. разр.	Покорскій, Стан. Петр.	„	„	гор.	Лодзи.	„	„
М. мед.	Кущо, Леонъ Юліушевъ	„	„	Лодзинскаго.		„	„
„	Зайфердъ, Рыч.-Цез. Фед.	Лют.	„	„		„	„
Нестр. ст. разр.	Яндеръ, Янъ Игнатьевъ	Р.-кат.	Жен.	„		„	„
Нестр.	Хелякъ, Яковъ Петровъ	Кат.	Хол.	Равскаго.	гм. Гортатовице.	„	„
Нестр. мл. разр.	Фай, Іосифъ Карловъ . .	„	Жен.	Лодзинскаго.		„	„
Стрѣл.	Пержа, Янъ	„	Хол.	Ченстоховскаго.		„	„
Мед. фел.	Миноръ, Леон.-Иванъ Ив.	Еванг.	„	гор.	Лодзи.	„	„

МОСКОВСКИЙ ПУБЛИЧНЫЙ И РУМЯНЦОВСКИЙ МУЗЕИ XY-00599

„Toruńska” 35 DP w bitwie pod Łodzią

W chwili wybuchu I wojny światowej w Toruniu stacjonował obok wielu innych oddziałów m.in. sztab oraz część oddziałów niemieckiej 35 Dywizji Piechoty. Żołnierze tej wielkiej jednostki rekrutowali się z Pomorza Gdańskiego. Skutkowało to tym, że miała w swoich szeregach duży odsetek Polaków pochodzących również z Wielkopolski i Śląska. Wraz z 36 DP wchodziła ona w skład niemieckiego XVII Korpusu Armijnego, dowodzonego na początku wojny przez generała kawalerii Augusta von Mackensena.

Oddziały dywizji, po krótkim okresie zabezpieczania fortów Twierdzy Toruń, ruszyły do Prus Wschodnich, gdzie wzięły udział w bitwach pod Gąbinem (Gumbinnen, dziś Gusiew) oraz Tannenbergiem (obecnie Stębark) i nad jeziorami mazurskimi. Po oczyszczeniu terenu Prus Wschodnich z nieprzyjaciela, Niemcy zdecydowali się na sformowanie 9 Armii pod dowództwem legendarnego już generała pułkownika Paula von Hindenburga.

Otrzymał on zadanie rozpoczęcia ofensywy ze Śląska na Warszawę. Dywizja wraz z całym XVII KA wzięła udział w tych walkach. Znaczna przewaga Rosjan w rejonie Warszawy wymusiła na Hindenburgu podjęcie decyzji o odwrocie. Skierował się on jednak nie ku Śląskowi, ale postanowił zająć dogodną pozycję na rosyjskim skrzydle, koncentrując swoje siły w rejonie Torunia. Następnym krokiem było przejście do ofensywy w kierunku Łodzi. W dniach 14 -15 listopada Niemcy zwyciężyli w bitwie pod Kutnem i parli dalej na południe.

Ciężkie walki toczyły się na wzgórzach na południe od Zgierza, gdzie broniły się oddziały rosyjskiego II Korpusu Syberyjskiego. Działania te miały jednak znaczenie drugorzędne. Hindenburg wraz ze swoim szefem sztabu, generałem Erichem Ludendorffem, mieli bardzo ambitny plan – chcieli otoczyć i zniszczyć siły rosyjskie w rejonie Łodzi. W takiej sytuacji najważniejsze były działania na skrzydłach, w centrum zaś – gdzie znajdowała się 35 DP – należało jedynie wiązać jak największe siły przeciwnika. Miało to być zatem kolejne powtórzenie genialnej koncepcji bitwy, zastosowanej przez Hannibala pod Kannami, które udało się im już raz pod Tannenbergiem.

W takiej sytuacji oddziały 35 DP przeprowadzały ataki odciążające, czasem się cofały. Dramatyczne działania toczyły się natomiast na skrzydłach, gdzie Rosjanie otoczyli siły XXV Korpusu Rezerwowego, który miał jednak wiele szczęścia i zdołał się wydostać. Plany drugiego Tannenbergu spełzły na niczym dzięki interwencji odwodów rosyjskich. Sytuacja na niemieckim lewym skrzydle była na tyle ciężka, że Niemcy musieli uszykować obronę na Moszczenicy w rejonie Białej, co zaczynało zagrażać tyłom pozycji XVII KA.

Dnia 24 listopada 1914 roku w Zgierzu został śmiertelnie postrzelony w głowę dowódca 35 DP, generał porucznik Otto Hennig. Niestety dokładniejsze okoliczności jego śmierci są autorowi nieznane. Nie był to zresztą pierwszy niemiecki generał zabity w czasie tej operacji. Wcześniej, 12 listopada 1914 roku zginął dowódca 49 Dywizji Rezerwowej, generał piechoty Alfred von Briesen.

Osieroconą 35 DP objął dotychczasowy dowódca LXXXVII BP, generał major Johannes von Hahn, który doprowadził ją do końca wojny. Awansował zresztą w międzyczasie do stopnia generała porucznika.

W pierwszych dniach po objęciu dowództwa generał von Hahn musiał przygotowywać dywizję do obrony. Żołnierze pogłębiali okopy, wzmacniali schrony i przygotowywali gniazda karabinów maszynowych – zapowiadało się wręcz na wojnę pozycyjną, podobnie, jak na froncie zachodnim. Prowadzone prace nad poprawą stanu pozycji obronnych napotykały jednak szereg problemów, jak brak odpowiednich ilości materiałów budowlanych oraz wysoki poziom wód gruntowych, które uniemożliwiały na niektórych odcinkach kopanie okopów o odpowiedniej głębokości.

Do tego wszystkiego doszła pogoda – rejon Łodzi to nie Francja i tu w listopadzie aura zaczęła dawać się we znaki żołnierzom na froncie. Rozdawano koce, montowano w schronach piecyki i przestrzegano regularnego luzowania oddziałów. W Sokołowie zaś przygotowano wygodniejsze kwatery, gdzie zluzowani żołnierze mogli odpocząć przed kolejną turą w okopach.

Na wspomnianych wyżej czynnościach żołnierze 35 DP spędzili przełom listopada i grudnia. O ile na odcinku dywizji było w miarę spokojnie, to dzięki niemieckim posiłkom bitwa znów rozgorzała na skrzydłach, a 35 DP ograniczyła się do pozorowania ataków celem związania wrogich sił. Rosjanie tymczasem 5 grudnia 1914 roku rozpoczęli intensywny ogień artylerii, co mogło być oznaką zbliżającego się szturmu. Jednak już w nocy Niemcy zaobserwowali, że w nieprzyjacielskich okopach robi się coraz spokojniej, a wysłane patrole meldowały o nieprzyjacielskim odwrocie. Tym razem przeciwnik zdołał się wycofać i do oskrzydlenia nie doszło.

Rankiem 6 grudnia 1914 roku czołowe oddziały 35 DP wkroczyły do Łodzi, zajmując północną część miasta bez żadnej walki. Zakwaterowano się tam na noc. Tym samym zakończyła się bitwa pod Łodzią.

Mimo iż 35 DP przyszło działać na w miarę spokojnym odcinku bitwy, to jednak straty były dość wysokie. Na cmentarzach wojennych w okolicy Łodzi pochowano aż 1159 żołnierzy z XVII KA – niestety nie udało się ustalić, jaka część przypada na 35 DP, gdyż autor zdołał dotrzeć jedynie do dokładnych zestawień dla 176 pp, który miał stracić 16 oficerów i 629 szeregowych (w tym 5 oficerów i 137 szeregowych zabitych) oraz 61 pp, który stracił 203 zabitych, 517 rannych i 83 zaginionych. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że etatowo każdy pułk liczył 3000 żołnierzy, to widać, że przekroczyły one 1/6 etatu. Wątpliwe jednak jest, by pułki 35 DP zaczynały kampanię z pełnymi stanami osobowymi. Odsetek ten był zatem zapewne jeszcze większy.

Jarosław Centek



Niemieccy oficerowie i podoficerowie prawdopodobnie przed willą fabrykancką w Zgierzu, w pasie natarcia 35 DP.

GOŁĘBIE MILITARNE...

Gołąb, choć jest symbolem pokoju, znakomicie służy sprawom wojskowym i wojennym. Jego zalety odkryli muzułmanie w XII wieku, kiedy to zaczęli wykorzystywać gołębie do przenoszenia informacji o nieprzyjacielu podczas wojen krzyżowych.

W czasie I wojny światowej gołębie transportowały meldunki we wszystkich walczących armiach. Ta latająca poczta była bardzo skuteczna. Znane są przypadki, kiedy gołąb pocztowy pokonywał 1000 km w ciągu jednego dnia. Nic dziwnego, że tworzono specjalne oddziały, zajmujące się tego rodzaju łącznością. Na terenie dzisiejszej Polski bazą gołębi była twierdza Boyen niedaleko Giżycka w dawnych Prusach Wschodnich. Ptaki z łatwością dostarczały przesyłki do Królewca – Koenigsbergu, Szczecina i Wrocławia.

Na zajętych obszarach zarówno wojska niemieckie, austriackie, jak i rosyjskie likwidowały wszystkie stada gołębi. Aby posłużyć się zrozumiałym porównaniem, trzeba powiedzieć, że gołębie były traktowane jak partyzancka radiostacja działająca na tyłach wroga.

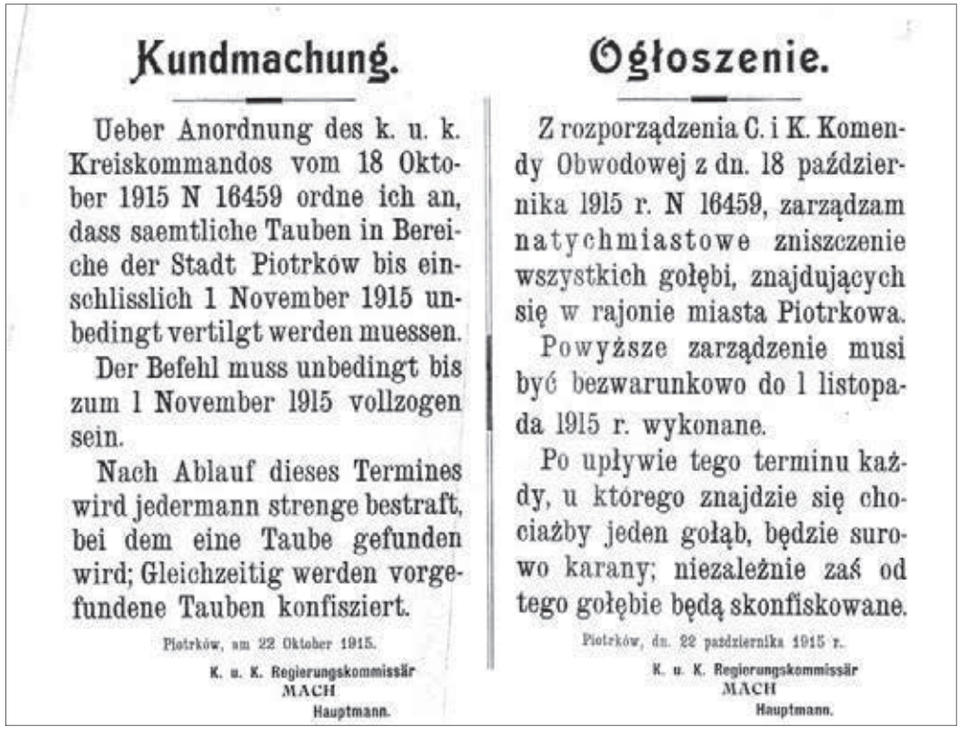
Oczywiście każda broń zmusza do wynalezienia antybroni. Przeciwko gołębiom „rzucano do boju" szkolone sokoły. Wiele gołębi ginęło podczas ataków gazowych na froncie zachodnim.

Znaczenie gołębi pocztowych dla pomyślności toczonych działań wojennych uzmysławia zarządzenie brytyjskich władz: „Zabijanie, ranienie bądź molestowanie gołębi pocztowych jest karane na mocy prawa wojennego [w oryg. *Defence of the Realm* – przyp. autorów] 6 miesiącami pozbawienia wolności lub 100 funtami grzywny. Ludności przypomina się, że gołębie pocztowe wykonują cenną pracę dla rządu i prosi się ją o pomoc w walce z zabijaniem tych ptaków. 5. funtowa nagroda zostanie wypłacona przez Narodową Unię Krajową [brytyjskie stowarzyszenie hodowców gołębi – przyp. autorów] za informację prowadzącą do skazania osoby strzelającej do gołębi pocztowych stanowiących własność jej członków". O ważności gołębiej poczty może świadczyć fakt, że w czasie II wojny światowej Niemcy zarekwirowali wszystkie polskie gołębie pocztowe, niszcząc całkowicie ich populację. Ptaki-żołnierze doczekały się nawet pomników i nie tylko dzieci chętnie oglądają animowany film *Szeregowiec Dolot* o małym gołębiu, który dostał się do elitarnej eskadry wojennych skrzydlatych pocztowców.

mjp/pzp/zj



Każdy hodowca gołębi pocztowych wie, że ptaki muszą mieć gołębnik, do którego będą mogły wrócić. Wojskowe gołębniki musiały podążać za zmieniającą się linią frontu. Niemcy – jak widać – urządzali je w mobilnych barakach przemieszczanych przez ciągniki.



Kundmachung.

Ueber Anordnung des k. u. k. Kreiskommandos vom 18 Oktober 1915 N 16459 ordne ich an, dass saemtliche Tauben in Bereiche der Stadt Piotrków bis einschlisslich 1 November 1915 unbedingt vertilgt werden muessen.

Der Befehl muss unbedingt bis zum 1 November 1915 vollzogen sein.

Nach Ablauf dieses Termines wird jedermann strenge bestraft, bei dem eine Taube gefunden wird; Gleichzeitig werden vorgefundene Tauben konfisziert.

Piotrków, am 22 Oktober 1915.

K. u. K. Regierungskommissär
MACH
Hauptmann.

Ogłoszenie.

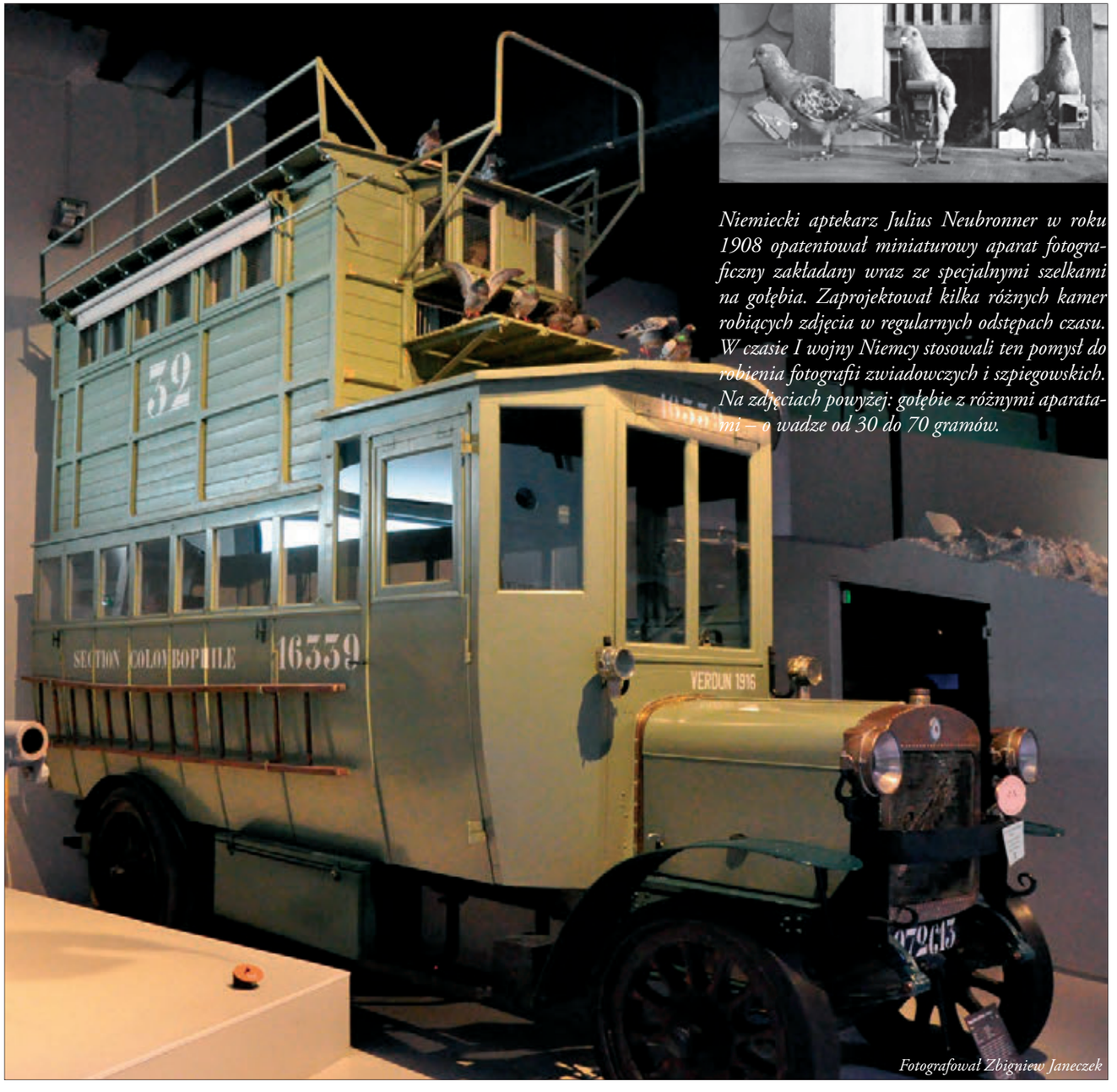
Z rozporządzenia C. i K. Komendy Obwodowej z dn. 18 października 1915 r. N 16459, zarządzam natychmiastowe zniszczenie wszystkich gołębi, znajdujących się w rajonie miasta Piotrkowa.

Powyższe zarządzenie musi być bezwarunkowo do 1 listopada 1915 r. wykonane.

Po upływie tego terminu każdy, u którego znajdzie się chociażby jeden gołąb, będzie surowo karany; niezależnie zaś od tego gołębie będą skonfiskowane.

Piotrków, dn. 22 października 1915 r.

K. u. K. Regierungskommissär
MACH
Hauptmann.



Fotografował Zbigniew Janeczek

W muzeum w Meaux, niedaleko Paryża, można oglądać zachowany w dobrym stanie samochód do transportu gołębi na linię frontu.

Niemiecki aptekarz Julius Neubronner w roku 1908 opatentował miniaturowy aparat fotograficzny zakładany wraz ze specjalnymi szelkami na gołębia. Zaprojektował kilka różnych kamer robiących zdjęcia w regularnych odstępach czasu. W czasie I wojny Niemcy stosowali ten pomysł do robienia fotografii zwiadowczych i szpiegowskich. Na zdjęciach powyżej: gołębie z różnymi aparatami – o wadze od 30 do 70 gramów.



Angielskie gołębniki ustawiano bezpośrednio na ciężarówkach. Ptaki na linię frontu dostarczano szybko i w luksusowych warunkach motocyklami. Na zdjęciu jeden z motocyklistów w drodze na linię ognia, drugi właśnie wraca po swieżą dostawę.



Na radiostacje w czołgu trzeba było czekać aż do następnej wojny światowej. Póki co meldunki do sztabów składano za pośrednictwem gołębi, a w boju czołgami dowodzono przy użyciu chorągiewek.

APELE I ODEZWY – CZYLI JAK PRZECIĄGANO POLAKÓW NA STRONĘ ZABORCÓW

Z chwilą wybuchu wojny biorące w niej udział państwa zaborcze rozpoczęły usilną walkę o pozyskanie Polaków dla swoich planów wojennych. Doskonale zdawano sobie sprawę z faktu, że ci, opowiedzą się za tą stroną, która będzie w stanie zaoferować więcej. W niesławnym sierpniu 1914 roku rozpoczęła się więc swoista licytacja. Pokłosiem tych działań była reakcja osób pokroju księcia Trubieckoja, profesora Uniwersytetu Moskiewskiego, filozofa i historyka sztuki, człowieka prawego, a przy tym naiwnie wierzącego w słowa panujących.

ODEZWA NACZELNEJ KOMENDY C.K. WOJSK AUSTRIACKICH 8 sierpnia 1914 r.

Do Narodu Polskiego!

Z woli Wszechmogącego, który kieruje losami narodów, i z rozkazu swoich Monarchów przekraczają sprzymierzone armie Austro-Węgier i Niemiec granicę, przynosząc w ten sposób i Wam, Polakom, wyzwolenie spod jarzma moskiewskiego. Powitajcie nasze sztandary z ufnością, bo one zapewniają Wam sprawiedliwość.

Sztandary te nie są Wam i Waszym rodakom obce. Wszakże przez półtora przeszło wieku rozwija się wspaniale Wasz naród pod berłem Austro-Węgier i Niemiec i pełne sławy tradycje Waszej przeszłości łączą się jak najściślej jeszcze od czasów króla Jana Sobieskiego, który pośpieszył ze skuteczną pomocą zagrożonemu państwu Habsburgów, z tradycjami Waszych sąsiadów na zachodzie.

Znamy więc dobrze i uznajemy rycerskość i wybitne przymioty Narodu Polskiego. Chcemy usunąć te zapory, jakie utrudniały Wam ściślejszą łączność z życiem Zachodu, chcemy otworzyć przed Wami wszystkie skarby duchowego i gospodarczego dorobku. To jest naszym wielkim zadaniem, które łączy się z celem naszej kampanii.

Nie my szukaliśmy wojny. Rosja walczyła długo bronią oszczerstw i wszelkich zaczepek, nie wahała się wreszcie stanąć otwarcie po stronie tych, którzy usiłowali zatrzeć ślady niecnej zbrodni, skierowanej przeciw dynastii austro-węgierskiej a skorzystali z tej sposobności, aby napaść na Monarchię i sprzymierzone z nią państwo niemieckie. Zmusiło to naszego Dostojnego Władcę, któremu Europa przez dziesiątki lat zawdzięczała pokój, do chwycenia za oręż.

Wszyscy mieszkańcy Rosji, których zwycięstwo naszych sprzymierzonych armii odda pod naszą opiekę, spodziewać się mogą od nas, zwycięzców, sprawiedliwości i ludzkości.

ODEZWA WIELKIEGO KSIĘCIA MIKOŁAJA MIKOŁAJEWICZA, GŁÓWNOWODZĄCEGO ARMII ROSYJSKIEJ DO POLAKÓW 14 sierpnia 1914 r.

Polacy!

Wybiła godzina, w której przekazane Wam marzenie ojców i dziadów Waszych ziścić się może. Przed półtora wiekiem żywe ciało Polski rozszarpano na kawały, ale dusza jej nie umarła. Żyła ona nadzieją, że nadejdzie godzina zmartwychwstania dla Narodu Polskiego i dla pojednania się braterskiego z Wielką Rosją.

Wojsko rosyjskie niesie Wam błogą wieść owego pojednania. Niechaj się zatrą granice, rozcinające na części Naród Polski. Niechaj Naród Polski połączy się w jedno ciało pod berłem Cesarza Rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska, swobodna w swej wierze, języku i samorządzie.

Jednego tylko Rosja spodziewa się po Was. Takiego samego poszanowania praw ludów, z którymi związały Was dzieje.

Z sercem otwartym, z ręką po bratersku wyciągniętą, kroczy na Wasze spotkanie Wielka Rosja. Wierzy ona, iż nie zardzewiał miecz, który poraził wroga pod Grunwaldem. Od brzegów Oceanu Spokojnego do Mórz Północnych ciągną hufce rosyjskie. Zorza nowego życia dla Was wchodzi.

Niech zajaśnieje na tej jutrzni znamię Krzyża, godło męki i zmartwychwstania ludów.

Zwierzchni Wódz Naczelny,
Jenerał adiutant Mikołaj

APEL KSIĘCIA TRUBIECKOJA DO ROSJAN O POMOC DLA POLSKICH OFIAR WOJNY

[Russkie Vedomosti, Nr 231, 8 (21) października 1914, s. 2].

Rozpoczęła się nowa era w stosunkach rosyjsko-polskich, oto świeci jasnym przykładem szlachetna inicjatywa A.J. Konowałowa, który przekazał 10 000 rubli na potrzeby ofiar wojny w Polsce.

Do dziś naród polski utrzymywał stosunki tylko z urzędniczą Rosją. Wojna przyniosła mu po raz pierwszy bezpośredni kontakt z „rosyjskim ludem". Tysiące polskich uciekinierów zbiegły do naszych centralnych prowincji. W samej Moskwie przebywa nie mniej niż 1000 byłych mieszkańców Kalisza, nie mówiąc już o ucieczce ludzi z innych prowincji. Oczywiście Moskwa przyciąga największą liczbę tych nieszczęśników. Jakaś szczególna instynktowna wiara przyciąga Polaków do Moskwy, centrum ukochanej Rosji. Na moje pytanie, dlaczego spośród wszystkich rosyjskich miast, wybrała Moskwę, uboga polska kobieta, żona rezerwisty, powiedziała:

„Zostałam tu wysłana przez naczelnika wojskowego. Idź do Moskwy, powiedział. Nie zginiesz tam".

I rzeczywiście w Moskwie polscy uciekinierzy nie zginęli. Znaleźli tu braterską miłość, schronienie i żywność. Władze miejskie Moskwy, liczni filantropi, zarówno polscy, jak i rosyjscy, oferują im pomoc.

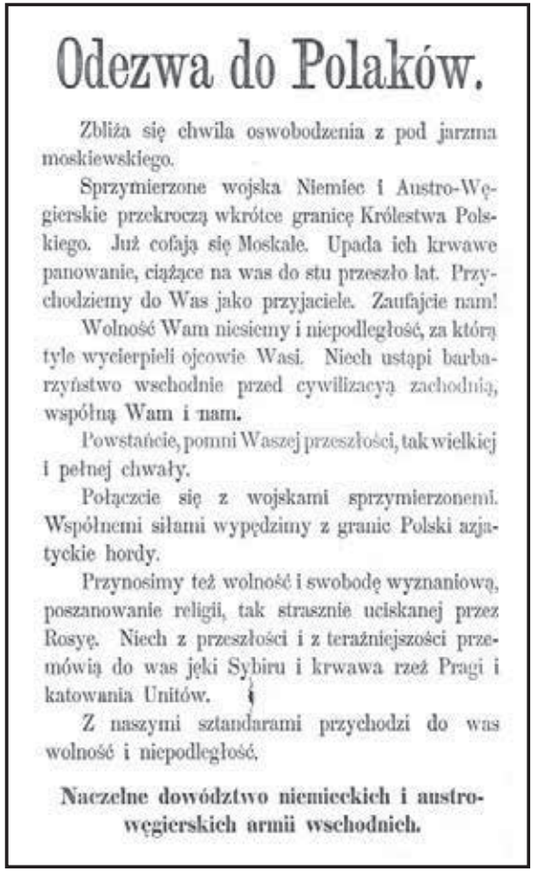
Należy opisać, jakie wrażenie na Polakach zrobiła taka postawa narodu rosyjskiego. Wybitny urzędnik miejski z Kalisza ze łzami w oczach powiedział: „Do chwili obecnej Polska była oddzielona od Rosji murem biurokracji wzniesionym przez Niemców, a teraz po raz pierwszy tej ściany zostały zburzone, dwa narody wzajemnie się widzą i nawzajem się czują".

Ogromny proces wzajemnego zrozumienia rozpoczął się na naszych oczach! To jednak ledwie początek; to, co zostało zrealizowane przez Rosję dla Polski, jest jednak odrobiną

w porównaniu z tym, co jeszcze pozostaje do zrobienia. Nie wystarczy pomagać polskim przybyszom w naszych centralnych prowincjach. Nasza pomoc musi być przeprowadzona na terenach zniszczonych przez niemieckie i austriackie hordy. Właśnie tam obrazy nędzy sprawiają, że włosy stają dęba na naszych głowach.

Miejmy świadomość, że sam tylko Kalisz poniósł straty w mieniu rzędu 40 000 000 rubli. Przedstawiciele polskich władz miejskich, z którymi miałem okazję rozmawiać o sytuacji, powiedzieli mi, że w Kaliszu nie ma już ani jednej apteki, ani jednego sklepu spożywczego, choć wcześniej było ich około trzech tysięcy.

Jest wiele miast i wsi, gdzie wszystko zostało splądrowane przez niemieckie rekwizycje. Konie, krowy, jedzenie, nawet materace, zostały zabrane, wszystkie za ironicznym pokwitowaniem: „Tyle i tyle warte towary zostały zabrane; płatność za nie będzie dokonana przez rząd rosyjski". Ze względu na zniszczenia zapasów i porę roku na wsi, nie ma jak uprawiać ziemi i pola muszą pozostać nieobsiane.



Odezwa do Polaków.

Zbliża się chwila oswobodzenia z pod jarzma moskiewskiego.

Sprzymierzone wojska Niemiec i Austro-Węgierskie przekroczą wkrótce granicę Królestwa Polskiego. Już cofają się Moskale. Upada ich krwawe panowanie, ciążące na was do stu przeszło lat. Przychodzimy do Was jako przyjaciele. Zaufajcie nam!

Wolność Wam niesiemy i niepodległość, za którą tyle wycierpieli ojcowie Wasi. Niech ustąpi barbarzyństwo wschodnie przed cywilizacyą zachodnią, wspólną Wam i nam.

Powstańcie, pomni Waszej przeszłości, tak wielkiej i pełnej chwały.

Połączcie się z wojskami sprzymierzonemi. Wspólnemi siłami wypędzimy z granic Polski azjatyckie hordy.

Przynosimy też wolność i swobodę wyznaniową, poszanowanie religii, tak strasznie uciskanej przez Rosyę. Niech z przeszłości i z teraźniejszości przemówią do was jęki Sybiru i krwawa rzeź Pragi i katowania Unitów.

Z naszymi sztandarami przychodzi do was wolność i niepodległość.

Naczelne dowództwo niemieckich i austro-węgierskich armii wschodnich.

Polska jest rzeczywiście Belgią Rosji. Belgia jest wspomagana przez Anglię i Francję, ale nikt, oprócz nas, nie chce pomóc Polsce. Głównodowodzący w apelu obiecał, w przypadku zwycięstwa Rosji, polityczne odtworzenie Polski, z jej własną religią, z własnym językiem i z własnym samorządem. Ale zanim do tego dojdzie, musimy myśleć o uchronieniu nieszczęśliwego kraju przed głodem.

To musi stać się naszą główną narodową, rosyjską sprawą. Niech wyczerpani, cierpiący ludzie w Polsce poczują, że ludzie w Rosji są ich prawdziwymi braćmi; niech zobaczą, jak nasze słowa zamieniają się w czyny. Być może w ten sposób będziemy mogli na zawsze pozbawić ich odwiecznej nieufności wobec nas, nieufności, która niestety była w przeszłości podstawą stosunków między Rosją i Polską.

Nie mówimy o powszechnej miłości w chwili obecnej. Potrzebna jest pomoc, która powinna oznaczać początek historycznej zmiany w życiu obu narodów. Oba narody powinny nie tylko zaspokoić swoje materialne potrzeby, ale powinny również czerpać duchowy komfort z tego wielkiego procesu historycznego i uczynić go źródłem swojej moralnej siły.

Polacy powinni czuć, że ich cierpienia i ofiary nie poszły na marne, że bez względu na to, jakie będą ich dalsze postanowienia, powszechnym dziełem powinno być działanie już teraz, i że niezależnie od wyniku obecnej wojny jeden ogromny cel już został osiągnięty. Polska sprawa stała się już sprawą narodu rosyjskiego. A to oznacza, że odtąd nie będzie żadnych rozbieżności między słowami a czynami w stosunkach obu narodów.

Cała siła narodu Rosji i jego ideały, wyrażone przez Głównodowodzącego, powinny być rękojmią dla Polaków, gwarantującą im realizację marzeń przodków o zmartwychwstaniu Polski.

My, Rosjanie przygotujmy to zmartwychwstanie i pomóżmy wszelkimi sposobami będącymi w naszej mocy. Teraz albo nigdy. Pomoc dla cierpiących ludzi w Polsce powinna narastać w narodowej rosyjskiej demonstracji. Niech wszystkie rosyjskie gazety otworzą swoje kolumny dla zapisów o pomocy dla ludności polskiej, cierpiącej z powodu wojny, bez względu na religię i rasę. Jak tylko środki zostaną zebrane, powinien być zorganizowany rosyjski komitet krajowy, który podejmie się ich dystrybucji.

Niech nas nie zrażają skromne początki. Ogromna fala współczucia i miłości, która już przetoczyła się przez naród rosyjski, może, jeżeli trzeba, czynić cuda dla powodzenia tej narodowej rosyjskiej kwestii.

Miejmy nadzieję, że cuda zdarzą się nawet teraz. Ja sam byłem świadkiem w naszym sąsiedztwie następującej dramatycznej sceny: małe prowincjonalne miasto Kaługa szykowało się w sierpniu na przyjęcie rannych. Nieoczekiwanie przybyło ich wielokrotnie więcej niż początkowo zakładano. Ranni musieli być umieszczeni na podłodze, bez słomy, bez bielizny, bez żywności. Ale w ciągu dwóch dni wszyscy zostali wygodnie rozmieszczeni, nakarmieni i ubrani. Nieznane osoby zagwarantowały słomę, inne nieznane osoby przysłały materace, pościel, poduszki, nieznani chłopi przynieśli żywność ze swoich wiosek.

Wszystko to oczywiście zrobiono w imię sprawy, bez uprzedniego porozumiewania się, bez jakiejkolwiek organizacji, w pierwszym podstawowym odruchu.

Ten elementarny odruch, który może leczyć rany, konieczny jest w tej chwili w znacznie większych rozmiarach. To nie jest kwestia kilku rannych osób czy nawet tysięcy rannych, ale problem całego rannego narodu polskiego.

Niech z wielkiej rosyjskiej fali współczucia wyrasta pomoc, bez poprzedniej umowy, bez uprzedniej organizacji. Niech ten impuls pokaże Polsce jej opiekuna – „Rosję, wyzwoliciela narodów".

Ten ruch solidarności z bratnim narodem powinien być dla nas gwarancją, że nasze przyszłe zwycięstwo nad Niemcami wywoła triumf światła w samej Rosji.

Moskwa, 7 (20) października 1914 r.

książę Eugeniusz Trubieckoj

tłum. pz



Rosyjscy jeńcy z karabinami maszynowymi wzięci do niewoli pod Lublinem. Widoczne na zdjęciu karabiny maszynowe, zwane popularnie „maksymami", wcale nie były dziełem rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego. Nazwa pochodzi od amerykańskiego wynalazcy Hirama Stevensa Maxima, który stworzył tę śmiercionośną broń w 1883 r. W USA... nie wzbudziła większego zainteresowania. Maxim sprzedawał je w Europie. Do Rosji „pulemioty" trafiły dopiero w 1887 r. Wystrzeliwały 250 -300 pocisków kalibru 7,62 mm na minutę. Początkowo miały służyć tylko do obrony twierdz (z całym oprzyrządowaniem karabin ważył 250 kg!). W 1910 r. pułkownik A. Sokołow uprościł konstrukcję. Zamiast lawety-trójnoga „Maksym" dostał charakterystyczne koła. Po modernizacji ważył tylko 60 kg i mógł być skutecznie wykorzystywany w okopach.

♣ *mj*



Oddział niemieckiej artylerii. Działa 100 mm, M14, o zasięgu 13 km, były produkowane przez Kruppa, ważyły 2820 kg, transportowano je zaprzęgami konnymi. Działa kalibru 211 mm (zwane przez żołnierzy Mörser) ze względu na ciężar przewożono po rozłożeniu na elementy. Całkowity ciężar tych armat przekraczał 15 ton. Pocisk ważył 121 kg. Niemcy w czasie I wojny wystrzelili około 7 milionów takich pocisków. Na archiwalnej fotografii widać najprawdopodobniej polową paradę artylerii przed wyruszeniem na pierwszą linię. Świadczą o tym głowy sztabowców, widoczne w dole zdjęcia. Można też pokusić się o datowanie i umiejscowienie fotografii. Artylerzyści są w hełmach. Te zaś po raz pierwszy wprowadzono do użycia w grudniu 1915 r., a na szeroką skalę w 1916 r. Walki w tym czasie toczyły się już poza granicami dzisiejszej Polski. Na skraju osady dość wyraźnie widać kopułkę drewnianej cerkiewki. Świadczyłoby to, że artyleria przemierza prawdopodobnie Galicję. Ale to tylko domysły...

mjćzj

Burza nad Piotrkowem — sierpień 1914 roku

Lato w 1914 roku miało być takie samo jak zawsze. Piotrkowianie chętnie korzystali z aktywnego wypoczynku na letnisku w pobliskim Przygłowie i Włodzimierzowie. Miejscowa opinia publiczna bardziej interesowała się skutkami gwałtownej burzy, która w czwartek 23 lipca nawiedziła miasto, niż nadchodzącym konfliktem zbrojnym. Zastanawiano się co najwyżej, czy ewentualna wojna serbsko-austriacka zakończy się szybkim rozstrzygnięciem. Tymczasem wieczorem 30 lipca władze rosyjskie ogłosiły powszechną mobilizację. Ludzie uzmysłowili sobie, że nadchodzi kataklizm, który wstrząśnie ich dotychczasowym życiem, jak podał komentator prasowy: „przejęła wszystkich trwoga. Ruch niezwykły trwał do późnej nocy".

Panikarskie nastroje udzieliły się lokalnej administracji rosyjskiej, czego doskonałym przykładem był sam gubernator piotrkowski Michał Jaczewski. Już 4 sierpnia, w histerycznym tonie informował generał gubernatora Antona von Essen o postępach wojsk niemieckich. Obawiał się, że Piotrków może zostać zajęty w ciągu kilku godzin. Dlatego też wezwał kierowników wszystkich instytucji państwowych z terenu miasta do natychmiastowej ewakuacji. W tym celu wykorzystano kolej, gdyż obawiano się, że drogi gruntowe stanowiłyby łatwy cel dla oddziałów nieprzyjacielskich. Przez Piotrków przejeżdżały pociągi pełne uchodźców i funkcjonariuszy publicznych z południowych obszarów guberni piotrkowskiej – Sosnowca, Częstochowy i Radomska.

Chaos, jaki powstał w wyniku spodziewanego opuszczania przez administrację rosyjską miasta, wymusił na miejscowych działaczach społecznych podjęcie inicjatywy utworzenia organu zarządzającego, który współdziałałby z władzami, a nawet je zastępował. 1 sierpnia w lokalu Towarzystwa Kredytowego Miejskiego spotkało się kilkunastu obywateli miasta, którzy powołali Komitet Obywatelski. W jego składzie znaleźli się: Antoni Byczkowski, Sławomir Czerwiński, Stanisław Górzyński, Cezary Jachimowski, ks. Eugeniusz Lipiński, Witold Matuszewski i Józef Ruszkowski. Na prezesa wybrano ks. Lipińskiego. Władze gubernialne wyraziły zgodę na istnienie Komitetu, gdyż tak jak w przypadku wszystkich innych powstających na terenie guberni, jego członkowie deklarowali pełną lojalność wobec władz rosyjskich. Poszerzone zebranie mieszkańców, które odbyło się 3 sierpnia, zatwierdziło dotychczasowy skład organizacji, pozostawiając jej prawo dokooptowania nowych członków i powoływania komisji doraźnych.

Jednym z najważniejszych zadań wykonywanych przez Komitet było zapewnienie bezpieczeństwa w mieście. W piotrkowskiej *tiurmie* (więzieniu) odbywało kary około tysiąca więźniów. Kilkudziesięciu z najniższymi wyrokami wypuszczono, nakazując im wyjazd z miasta. Jednakże reszta także domagała się głośno uwolnienia. Z obawy przed buntem nadzór nad nimi przejął Komitet Obywatelski. Łatwo sobie wyobrazić, co działoby się w mieście po otwarciu bram więzienia dla setek kryminalistów.

Po ucieczce resztek administracji i wojska rosyjskiego w mieście doszło do zamieszek na tle rabunkowym. Michał Rawita Witanowski, naoczny świadek tamtych dramatycznych wydarzeń, pisał w swojej niepublikowanej monografii Piotrkowa: „Wśród ogólnego zamętu działy się w mieście sceny dantejskie. Oto monopol spirytusowy, chcąc uniknąć grabieży motłochu, kazał za tunelem przy ul. Bykowskiej, wylać cały zapas wódki do rynsztoków. Tłum rzucił się z kubełkami, ażeby zbierać spirytus, lecz od rzuconego ogarka papierosa wszczął się pożar. Płomienie groziły już tej części miasta, zwłaszcza że ogień ogarnął już most drewniany".



Zaradni piotrkowianie, korzystając z zamieszania wywołanego chwilowym bezwładem administracyjnym, postanowili „zagospodarować" potężne składy węgla zlokalizowane na stacji kolejowej. Kilka dni wcześniej zarząd kolei stanowczo odrzucał aplikacje Komitetu Obywatelskiego miasta Piotrkowa o przeznaczenie tegoż opału na potrzeby ludności oraz przemysłu. W ogólnym chaosie ludzie „wzięli sprawy w swoje ręce" – węgiel ładowano na wózki ręczne, taczki oraz worki i wynoszono tonami. Dopiero stanowcza interwencja członków Straży Obywatelskiej (ochotnicza formacja milicji miejskiej) powstrzymała rabunek. Złodzieje odpędzeni od składów węgla, chwycili za siekiery i piły i rozpoczęli samowolny wyrąb lasów miejskich.

Komitet Obywatelski, obawiając się wybuchu awantur i zamieszek, a także sprowokowania konfliktu z żołnierzami pruskimi, nakazał czasowe zamknięcie szynków i barów. Zakazano też uprawiania gier hazardowych, co niekiedy rodziło komiczne sytuacje. Otóż w cukierni Jóźwickiego dwaj goście grali sobie na pieniądze w... domino. Zwróconą im

przez funkcjonariusza milicji uwagą, że łamią prawo, gracze się nie przejęli i kontynuowali grę. Powstrzymała ich dopiero interwencja właściciela lokalu. Nie spodobało się to jednak klientom: *Jeden z grających p. N. uznał za stosowne obrzucić p. Jóźwickiego gradem wykrzykników i niezasłużonych obelg.*

W pierwszych tygodniach Wielkiej Wojny ofensywa wojsk niemieckich postępowała w błyskawicznym tempie. Jeszcze 16 sierpnia gubernator Jaczewski przemawiał (po polsku!) w piotrkowskiej farze, wieszcząc rychłe zwycięstwo carskiego sołdata, a już nazajutrz uciekał w popłochu. Do miasta wkroczyły pierwsze oddziały armii niemieckiej. Wspomniany wcześniej Rawita Witanowski w taki sposób opisywał to historyczne wydarzenie: „około 6 wieczorem zjawiły się od strony Milejowa pierwsze rekonesanse pruskie w sile kilkunastu koni. Dragoni zatrzymali się przed więzieniem, odebrali broń wartownikom i oddali ją Straży Obywatelskiej. W magistracie zażądano przygotowania zapasu owsa i siana dla nadciągających dragonów w sile tysiąca koni, z dostawą do Szczekanicy, gdzie na trakcie łódzkim miano przenocować. Równocześnie około stacji kolejowej w Babach podjazd pruski napastował pociąg towarowy, lecz służba kolejowa celnymi strzałami [go] spłoszyła".

Dla Piotrkowa i reszty okupowanych ziem polskich rozpoczęła się wojna, która, jak wszystkie wojny, miała być krótka i zwycięska. Trwała długie cztery lata i była zwycięska dla Polski, ponieważ doprowadziła do odbudowy niepodległego państwa.

♣ *Aleksy Piasta*

O zgubnych skutkach obserwacji zaćmienia słońca

Mężczyźni o wiele częściej niż kobiety bez reszty oddają się swoim pasjom i hobby, zaniedbując przy tym często swoje towarzyszki. Nie jedna fortuna przepadła w pogoni za brakującym do kolekcji unikatowym znaczkiem pocztowym lub monetą. Nie jedno małżeństwo rozpadło się z braku zrozumienia dla zainteresowań małżonka. Bywa jednak jeszcze gorzej, bo oprócz żony i majątku można stracić także głowę, szczególnie gdy buja się nią w chmurach.

Prowadzący 21 sierpnia 1914 roku rozpoznanie na południe od Skierniewic wzdłuż linii kolejowej prowadzącej do Piotrkowa, 5 eskadron z 17 Niżnogordskiego Pułku Dragonów Najjaśniejszego Pana niespodziewanie napotkał prowadzący podobne działania oddział jazdy niemieckiej z Zapasowego Pułku Kawalerii (*Ersatz-Kavallerie-Regiment*) Korpusu Landwehry generała Woyrscha. Rosjanie wykazali się większym refleksem, gromiąc Prusaków ze szczętem. Przyszło im to tym łatwiej, że przeciwnik był praktycznie pozbawiony dowództwa, tzn. owszem było ono na miejscu potyczki pod postacią majora, ale ulokowanego dość nietypowo jak na kawalerzystę, gdyż siedzącego na drzewie. Major Robert, graf zu Stolberg-Wernigerode – bo o nim tu mowa – był najwyraźniej zawołanym amatorem zjawisk astronomicznych i w chwili rozpoczęcia potyczki zajęty był obserwacją… zaćmienia słońca. Rosjanie najwyraźniej nie takie cuda w Tibilisi widzieli i zamiast podziwianiem chwilowego zaćmienia słońca zajęli się gaszeniem gwiazdy Prusakom na zawsze. Rosjanie przy stratach 1 zabitego i 5 rannych, zabili 60 przeciwników i wzięli do niewoli jedynie 6 rannych. Wpadły im także w ręce znalezione przy majorze dokumenty, które pozwoliły na zdemaskowanie siatki szpiegowskiej w Warszawie.

Śmierć pruskiego majora o tym nazwisku odnotowuje wielokroć cytowany w „Bitewniku" Mieczysław Hertz, niestety znowu nieco zniekształca fakty: „Dochodziły nas wieści o bitwach w okolicach Piotrkowa, który ostatecznie został zdobyty przez Niemców. Komendantem Piotrkowa został śląski magnat, hr. Stolberg-Wernigerode, major Huzarów Śmierci. Zginął on w kilka dni potem na czele trzech szwadronów w lasach rokicińskich i władze niemieckie, aby uczcić zmarłego, przemianowały Piotrków na Petrikau-Stolberg".



Żadnej zmiany nazwy Piotrkowa nie było i – jak już wiemy – graf zginął pod Skierniewicami i bynajmniej nie był śląskim magnatem. Należy jeszcze wyjaśnić informację o tym, że Stolberg był majorem Huzarów Śmierci. Zapasowy Pułk Kawalerii (*Ersatz-Kavallerie-Regiment*), w którym służył nasz poległy na drzewie oficer, sformowany został na początku sierpnia 1914 roku z wydzielonych eskadronów różnych śląskich pułków kawalerii. W jego skład weszła część 2 Pułku Ułanów w Gliwicach, 4 Pułku Huzarów w Oławie, 6 Pułku Huzarów w Głubczycach i 11 Pułku Strzelców Konnych z Tarnowskich Gór. Żaden z wymienionych wyżej pułków nie nosił miana Huzarów Śmierci. 4 pułk nazywano od koloru mundurów brązowymi huzarami, 6 pułk – huzarami zielonymi. Możemy, przypuszczać, że Stolberg wywodził się z 4. Pułku Huzarów gdyż do tradycji rodu należała służba w pułku z Oławy.

♣ *pz*

W czasach pokoju starano się aby w 4 Pułku Huzarów służyły konie gniade lub kasztanowate "pasujące" do koloru munduru pułkowego.

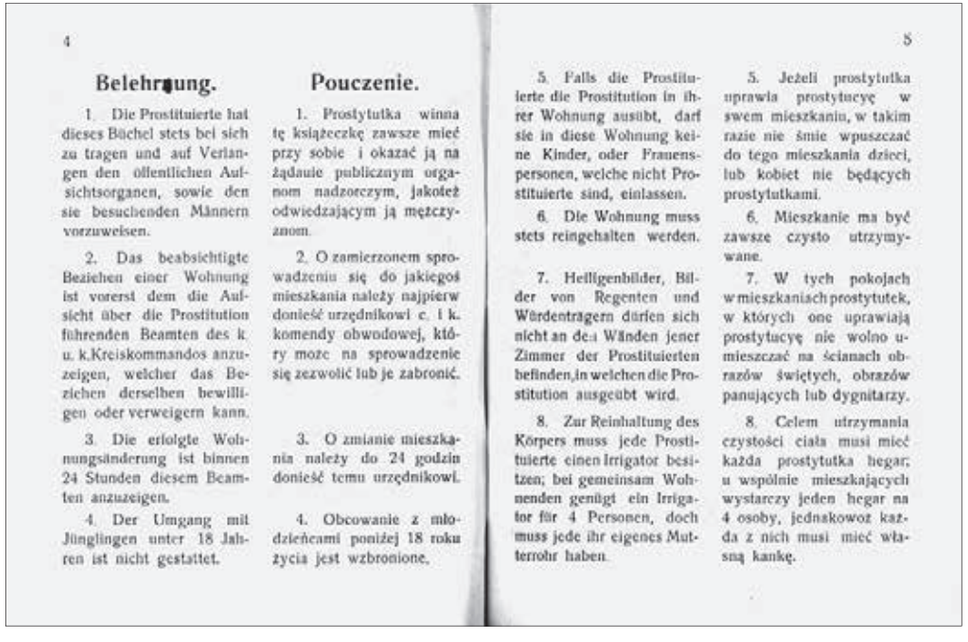
NA FRONCIE ZMAGAŃ Z „PRZYMIOTEM” I „WIEWIÓREM” W POWIECIE PIOTRKOWSKIM*

Wojna światowa rozpoczęta w sierpniu 1914 roku ingerowała we wszelkie dziedziny życia, zniszczyła zastane „pokojowe” stosunki gospodarcze i społeczne, tworzyła nowy, tymczasowy świat. Gwałtownym przemianom lub wręcz destrukcji uległ przede wszystkim ład moralny wraz z systemem wartości. Miliony młodych mężczyzn, wyrwanych ze swoich środowisk, na kilka lat opuściło swoje rodziny i miejsca pracy. Okrucieństwa wojny zwalniały sumienia żołnierzy z wierności dla tradycyjnej moralności. Łatwiej było zabijać, kraść, nadużywanie alkoholu i przypadkowe kontakty seksualne nie były czymś nagannym, a wręcz przeciwnie, uchodziły za normalne zaspokajanie potrzeb. W literaturze pamiętnikarskiej z tego okresu nie brakuje przykładów afirmacji takiego stylu życia.

Jak zawsze konsekwencją długotrwałego kwaterunku wojska była eksplozja chorób wenerycznych, których ofiarą padały całe wsie. Wzrost zapotrzebowania na usługi seksualne powodował zaś rozwój prostytucji i chorób wenerycznych. Zjawiska te stanowiły wyzwanie dla władz wojskowych i administracji cywilnej. Głównym źródłem i rozsadnikiem chorób wenerycznych była w początkach wieku prostytucja. Szczególne zasługi odnosiła jej pokątna „tajna” odmiana. W porównaniu z okresem przedwojennym liczba kobiet trudniących się tą „profesją” wzrosła wielokrotnie. Przedłużające się działania wojenne pociągające za sobą ruinę gospodarczą, a w konsekwencji bezrobocie i głód powodowały, że rosły szeregi kobiet, dla których jedynym ratunkiem była ulica i domy publiczne. Kobiety, żony i córki walczących żołnierzy (tzw. rezerwistki) stanowiły podstawowe źródło rekrutacji tajnych prostytutek.

Administracja austriacka w obawie przed zagrożeniami dla zdrowia i kondycji swojej armii, jakie niosła przede wszystkim niekontrolowana prostytucja, starała się opracować system skutecznej kontroli tego procederu. Już na samym początku funkcjonowania w Piotrkowie, 15 marca 1915 roku zatwierdzono tzw. *Regulamin dotyczący prostytucji dla miasta Piotrkowa* oraz wzór książeczki zdrowia. Ten interesujący dokument zalecał stanowcze, lecz zarazem ludzkie traktowanie przedstawicielek tej profesji. W żadnym wypadku poczynań władz nie należało uważać jako prześladowania, a jedynie jako dbałość o zdrowie i obyczajność społeczną. Legalnie pracować mogły dziewczyny, które ukończyły 16 lat – od małoletnich wymagano zgody rodziców lub opiekunów. W pokojach, w których przyjmowano klientów, nie wolno było wieszać obrazów świętych, dygnitarzy i panujących. Zabroniono też dziewczynom poruszania się główną ulicą Piotrkowa (Kaliską) oraz uczęszczania do położonych przy tej ulicy publicznych lokali, restauracji, kawiarni i cukierni.

Stosunkowo łatwo kobieta mogła być zakwalifikowana do kategorii prostytutek. Wystarczyło, że została zauważona sama w mieszkaniu lub pokoju hotelowym mężczyzny, z którym nie łączyły ją bliskie więzi lub gdy wywiad policyjny stwierdził, że prowadzi bogate życie erotyczne.



4

Belehrung.

1. Die Prostituierte hat dieses Büchel stets bei sich zu tragen und auf Verlangen den öffentlichen Aufsichtsorganen, sowie den sie besuchenden Männern vorzuweisen.

2. Das beabsichtigte Beziehen einer Wohnung ist vorerst dem die Aufsicht über die Prostitution führenden Beamten des k. u. k. Kreiskommandos anzuzeigen, welcher das Beziehen derselben bewilligen oder verweigern kann.

3. Die erfolgte Wohnungsänderung ist binnen 24 Stunden diesem Beamten anzuzeigen.

4. Der Umgang mit Jünglingen unter 18 Jahren ist nicht gestattet.

Pouczenie.

1. Prostytutka winna tę książeczkę zawsze mieć przy sobie i okazać ją na żądanie publicznym organom nadzorczym, jakoteż odwiedzającym ją mężczyznom.

2. O zamierzonem sprowadzeniu się do jakiegoś mieszkania należy najpierw donieść urzędnikowi c. i k. komendy obwodowej, który może na sprowadzenie się zezwolić lub je zabronić.

3. O zmianie mieszkania należy do 24 godzin donieść temu urzędnikowi.

4. Obcowanie z młodzieńcami poniżej 18 roku życia jest wzbronione.

5

5. Falls die Prostituierte die Prostitution in ihrer Wohnung ausübt, darf sie in diese Wohnung keine Kinder, oder Frauenspersonen, welche nicht Prostituierte sind, einlassen.

6. Die Wohnung muss stets reingehalten werden.

7. Heiligenbilder, Bilder von Regenten und Würdenträgern dürfen sich nicht an den Wänden jener Zimmer der Prostituierten befinden, in welchen die Prostitution ausgeübt wird.

8. Zur Reinhaltung des Körpers muss jede Prostituierte einen Irrigator besitzen; bei gemeinsam Wohnenden genügt ein Irrigator für 4 Personen, doch muss jede ihr eigenes Mutterrohr haben.

5. Jeżeli prostytutka uprawia prostytucyę w swem mieszkaniu, w takim razie nie śmie wpuszczać do tego mieszkania dzieci, lub kobiet nie będących prostytutkami.

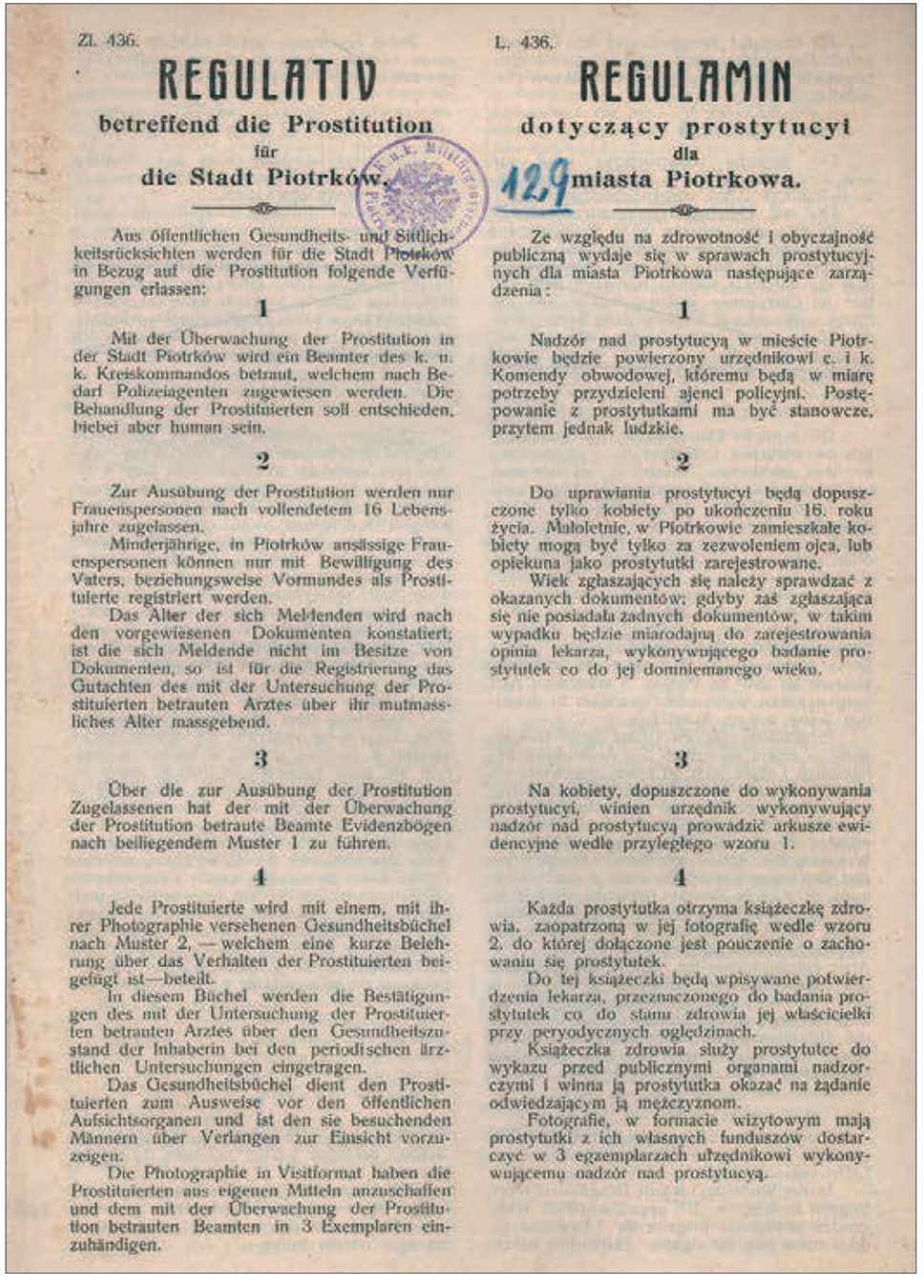
6. Mieszkanie ma być zawsze czysto utrzymywane.

7. W tych pokojach w mieszkaniach prostytutek, w których one uprawiają prostytucyę nie wolno umieszczać na ścianach obrazów świętych, obrazów panujących lub dygnitarzy.

8. Celem utrzymania czystości ciała musi mieć każda prostytutka hegar; u wspólnie mieszkających wystarczy jeden hegar na 4 osoby, jednakowoż każda z nich musi mieć własną kankę.

Prostytutki, u których wykryto chorobę weneryczną, musiały poddać się natychmiastowemu leczeniu szpitalnemu. W zasadzie wykluczano leczenie w gabinetach prywatnych – czego jednak nie przestrzegano. W szpitalach piotrkowskich brakowało osobnych oddziałów wenerycznych. Szpital Świętej Trójcy posiadał w 1915 roku tylko jedną, czteroosobową salę, w której przebywało 13 chorych. Z uwagi na przepełnienie szpitali i niedostateczny nadzór dochodziło często do łamania wszelkich przepisów sanitarnych. W szpitalu Świętej Trójcy chore prostytutki bez przeszkód chodziły na oddziały zakaźne, wskutek czego zarażały się dodatkowo durami. Nie wyleczone przy nadarzającej się okazji uciekały i pracowały na ulicach. Tragikomiczna sytuacja zaistniała w szpitalu Świętego Aleksandra w Radomsku, gdzie nagminnie zdarzały się ucieczki, a zarażone dziewczyny na oddziale wenerycznym przyjmowały klientów. Komendantura Straży Obywatelskiej w Radomsku tłumaczyła się, że winę za brak zabezpieczeń w szpitalu, ucieczki pacjentek i inne karygodne zaniedbania ponosi wyłącznie personel. Po okratowaniu otworu, przez który poprzednio uciekały pacjentki oddziału chorób wenerycznych, krata została odkręcona. przez kilku chłopaków, którzy się tam dostali z podwórza. Następnie chore wenerycznie uciekły z pokoju specjalnie przygotowanego dla internowania chorego umysłowo przez odkręcenie zamka w drzwiach. Szokować może wyjątkowo niska świadomość zagrożeń, jakie powodowały kontakty seksu-

* Wiewiór i przymiot, potoczne nazwy chorób wenerycznych – rzeżączki i syfilisu



Zl. 436.

REGULATIV

betreffend die Prostitution

für

die Stadt Piotrków.

Aus öffentlichen Gesundheits- und Sittlichkeitsrücksichten werden für die Stadt Piotrków in Bezug auf die Prostitution folgende Verfügungen erlassen:

1

Mit der Überwachung der Prostitution in der Stadt Piotrków wird ein Beamter des k. u. k. Kreiskommandos betraut, welchem nach Bedarf Polizeiagenten zugewiesen werden. Die Behandlung der Prostituierten soll entschieden, hiebei aber human sein.

2

Zur Ausübung der Prostitution werden nur Frauenspersonen nach vollendetem 16 Lebensjahre zugelassen.

Minderjährige, in Piotrków ansässige Frauenspersonen können nur mit Bewilligung des Vaters, beziehungsweise Vormundes als Prostituierte registriert werden.

Das Alter der sich Meldenden wird nach den vorgewiesenen Dokumenten konstatiert; ist die sich Meldende nicht im Besitze von Dokumenten, so ist für die Registrierung das Gutachten des mit der Untersuchung der Prostituierten betrauten Arztes über ihr mutmassliches Alter massgebend.

3

Über die zur Ausübung der Prostitution Zugelassenen hat der mit der Überwachung der Prostitution betraute Beamte Evidenzbögen nach beiliegendem Muster 1 zu führen.

4

Jede Prostituierte wird mit einem, mit ihrer Photographie versehenen Gesundheitsbüchel nach Muster 2, — welchem eine kurze Belehrung über das Verhalten der Prostituierten beigefügt ist — beteilt.

In diesem Büchel werden die Bestätigungen des mit der Untersuchung der Prostituierten betrauten Arztes über den Gesundheitszustand der Inhaberin bei den periodischen ärztlichen Untersuchungen eingetragen.

Das Gesundheitsbüchel dient den Prostituierten zum Ausweise vor den öffentlichen Aufsichtsorganen und ist den sie besuchenden Männern über Verlangen zur Einsicht vorzuzeigen.

Die Photographie in Visitformat haben die Prostituierten aus eigenen Mitteln anzuschaffen und dem mit der Überwachung der Prostitution betrauten Beamten in 3 Exemplaren einzuhändigen.

L. 436.

REGULAMIN

dotyczący prostytucyi

dla

miasta Piotrkowa.

Ze względu na zdrowotność i obyczajność publiczną wydaje się w sprawach prostytucyjnych dla miasta Piotrkowa następujące zarządzenia:

1

Nadzór nad prostytucyą w mieście Piotrkowie będzie powierzony urzędnikowi c. i k. Komendy obwodowej, któremu będą w miarę potrzeby przydzieleni ajenci policyjni. Postępowanie z prostytutkami ma być stanowcze, przytem jednak ludzkie.

2

Do uprawiania prostytucyi będą dopuszczone tylko kobiety po ukończeniu 16. roku życia. Małoletnie, w Piotrkowie zamieszkałe kobiety mogą być tylko za zezwoleniem ojca, lub opiekuna jako prostytutki zarejestrowane.

Wiek zgłaszających się należy sprawdzać z okazanych dokumentów; gdyby zaś zgłaszająca się nie posiadała żadnych dokumentów, w takim wypadku będzie miarodajną do zarejestrowania opinia lekarza, wykonywującego badanie prostytutek co do jej domniemanego wieku.

3

Na kobiety, dopuszczone do wykonywania prostytucyi, winien urzędnik wykonywujący nadzór nad prostytucyą prowadzić arkusze ewidencyjne wedle przyległego wzoru 1.

4

Każda prostytutka otrzyma książeczkę zdrowia, zaopatrzoną w jej fotografię wedle wzoru 2. do której dołączone jest pouczenie o zachowaniu się prostytutek.

Do tej książeczki będą wpisywane potwierdzenia lekarza, przeznaczonego do badania prostytutek co do stanu zdrowia jej właścicielki przy peryodycznych oględzinach.

Książeczka zdrowia służy prostytutce do wykazu przed publicznymi organami nadzorczymi i winna ją prostytutka okazać na żądanie odwiedzającym ją mężczyznom.

Fotografie, w formacie wizytowym mają prostytutki z ich własnych funduszów dostarczyć w 3 egzemplarzach urzędnikowi wykonywującemu nadzór nad prostytucyą.

alne z uciekinierkami i pacjentkami szpitala. Zarząd szpitala epidemicznego na Bugaju koło Piotrkowa zatrudnił pielęgniarkę o złej reputacji moralnej, rzekomą kochankę intendenta, posądzaną też o utrzymywanie stosunków seksualnych z chorymi żołnierzami.

Milicjanci utrzymujący porządek w mieście powinni być przykładem moralnym dla innych, jednak z tym bywało różnie. W maju 1915 roku odnotowano kilka zajść w piotrkowskich domach publicznych, w których aktywny udział wzięli pijani funkcjonariusze Straży Obywatelskiej: „W nocy (...) do domu publicznego Hemji Chrzanowskiego znajdującego się przy ulicy Krakowskiej nr 16 zgłosiło się czterech panów (...) podających się za tajnych ajentów władz austriackich i niemieckich z żądaniem, aby wszystkie znajdujące się kobiety pokazały książeczki i świadectwa lekarskie. Po obejrzeniu świadectw powzięli zamiar aresztowania wszystkich (...) Gdy się Chrzanowscy zaczęli ubierać, jeden z tych panów wywołał Hemję Chrzanowskiego do drugiego pokoju i zażądał opłacenia się, to ich zwolni. Hemja Chrzanowski dał mu 9 koron i 1 rubla w monecie rosyjskiej (...) O godzinie 3-ej w nocy, przyszedł z powrotem jeden z tych panów i zażądał kobiety, by mógł się z nią przespać. Żądanie powyższe Hemja Chrzanowski spełnił i pan ten nocował z kobietą do godz. 7 rano. Gdy opuszczał mieszkanie kobieta zażądała zapłaty, wtedy pan ten wyjął fotografię z pieczęcią i pokazując ją powiedział, iż to jest dowód i ja nocowałem a conto tego”.

Administracja terenów okupowanych nie ograniczała swych działań wyłącznie do leczenia chorych i nadzoru nad prostytucją. Zainicjowano też szeroko zakrojoną akcję propagandowo-informacyjną wśród ludności, angażując do tego administrację lokalną i środowiska lekarskie, kościół i organizacje społeczne. Pod koniec 1916 roku zdecydowano się na zorganizowanie specjalnych komitetów, które miały koordynować działania profilaktyczne wśród mieszkańców terenów okupowanych. Posiedzenie organizacyjne Komitetu Działającego Przeciw Szerzeniu się Chorób Wenerycznych odbyło się 15 stycznia 1917 roku z inicjatywy Komisarza Rządowego Piotrkowa majora Macha.

Ambitne plany Komitetu miały przede wszystkim na względzie uświadamianie zagrożeń, edukację seksualną, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, młodzieży. W niedługim okresie miało się okazać, że nie wszyscy uczestniczący w pracach Komitetu z należną powagą potraktowali problem zagrożeń związanych z chorobami wenerycznymi. Zawiodło miejscowe duchowieństwo, głównie w małych, wiejskich parafiach, dla którego, co można zrozumieć, temat był zbyt śmiały i wstydliwy. Proboszczowie nie tyle nie docenili zjawiska, co raczej nie odważyli się o nim głośno mówić. Dziekan piotrkowski ks. Antoni Zagrzejewski, wbrew przeciwnym opiniom Towarzystwa Lekarskiego, enigmatycznie poinformował magistrat, że: „podług komunikowanych mi wiadomości z dekanatu, w parafiach wiejskich chorób wenerycznych nie ma”. Podejmowane na wiosnę 1917 roku działania wyczerpały widocznie inicjatywę członków Komitetu, który do końca wojny pogrążył się w marazmie.

♣ *Aleksy Piasta*

Mucha hiszpańska idzie na wojnę

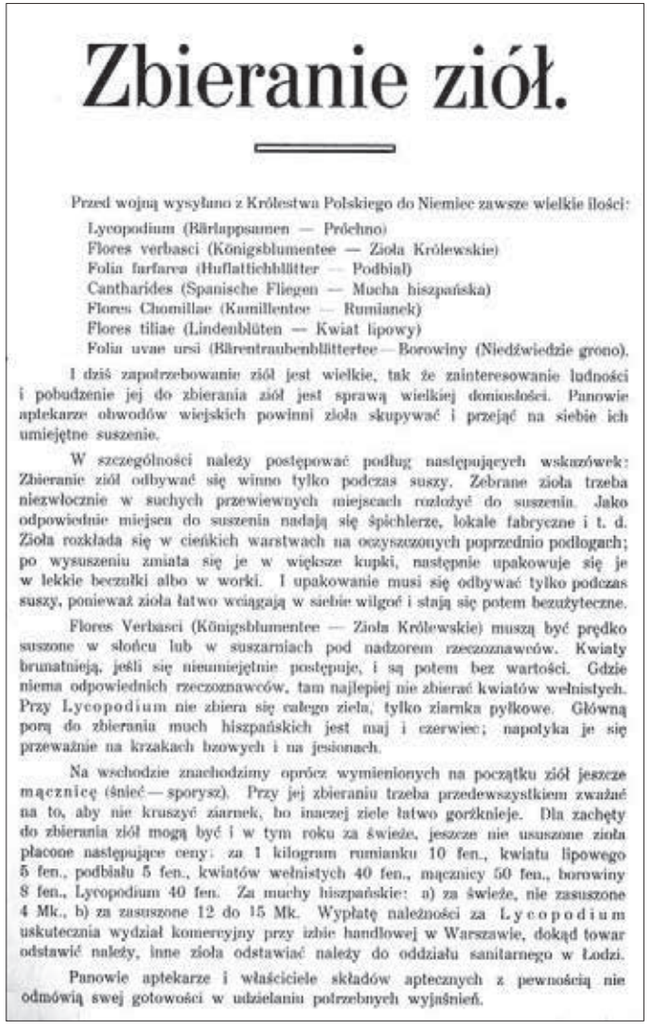
Mucha hiszpańska – nazwa ta zapewne części czytelników nie mówi nic, pozostałym kojarzy się zapewne tylko z jednym: legendarnym afrodyzjakiem w postaci kropli, głównie dla pań. Owad – znany od starożytności nie jest wcale muchą a chrząszczem, którego poprawna nazwa brzmi pryszczel lekarski albo majka lekarska. Broniąc się owad wytwarza kantarydynę – silną substancję drażniącą powodującą zwiększenie ukrwienia narządów wewnętrznych, w tym płciowych.

Mucha hiszpańska miała zastosowanie bojowe już w starożytnych Chinach, gdzie mieszano ją z odchodami ludzkimi, arszenikiem i tojadem tworząc pierwszą znaną w historii ludzkości „śmierdzącą bombę". Czemu jednak piszemy o niej na łamach „Bitewnika Łódzkiego"?

Wielka Wojna przyniosła Królestwu Polskiemu śmierć i spustoszenie. Zrujnowała doszczętnie gospodarkę przemysłową i rolną. Masy ludności pozostały bez możliwości zarobkowania, a to prowadziło do nędzy i głodu. Świadome tego władze okupacyjne starały się w różny sposób umożliwić mieszkańcom pozyskiwanie środków do życia. W zbiorach APŁ zachowało się ogłoszenie władz okupacyjnych (ilustracja obok) dotyczące zbierania ziół wraz z taryfą cen skupu. Płacono marnie, ale płacono – za kilogram kwiatu lipy i podbiału 5 fenigów, za borowinę 8 fenigów, rumianek 10 fenigów, mącznicę już 50 fenigów. Wszystko to przebijała mucha hiszpańska, za kilogram, której płacono: „a) za świeże, nie zasuszone 4 mk., b) za zasuszone 12 do 15 Mk."



Mucha hiszpańska.



Zbieranie ziół.

Przed wojną wysyłano z Królestwa Polskiego do Niemiec zawsze wielkie ilości:

Lycopodium (Bärlappsamen — Próchno)
Flores verbasci (Königsblumentee — Zioła Królewskie)
Folia farfarea (Huflattichblätter — Podbiał)
Cantharides (Spanische Fliegen — Mucha hiszpańska)
Flores Chomillae (Kamillentee — Rumianek)
Flores tiliae (Lindenblüten — Kwiat lipowy)
Folia uvae ursi (Bärentraubenblättertee — Borowiny (Niedźwiedzie grono).

I dziś zapotrzebowanie ziół jest wielkie, tak że zainteresowanie ludności i pobudzenie jej do zbierania ziół jest sprawą wielkiej doniosłości. Panowie aptekarze obwodów wiejskich powinni zioła skupywać i przejąć na siebie ich umiejętne suszenie.

W szczególności należy postępować podług następujących wskazówek: Zbieranie ziół odbywać się winno tylko podczas suszy. Zebrane zioła trzeba niezwłocznie w suchych przewiewnych miejscach rozłożyć do suszenia. Jako odpowiednie miejsca do suszenia nadają się śpichlerze, lokale fabryczne i t. d. Zioła rozkłada się w cieńkich warstwach na oczyszczonych poprzednio podłogach; po wysuszeniu zmiata się je w większe kupki, następnie upakowuje się je w lekkie beczułki albo w worki. I upakowanie musi się odbywać tylko podczas suszy, ponieważ zioła łatwo wciągają w siebie wilgoć i stają się potem bezużyteczne.

Flores Verbasci (Königsblumentee — Zioła Królewskie) muszą być prędko suszone w słońcu lub w suszarniach pod nadzorem rzeczoznawców. Kwiaty brunatnieją, jeśli się nieumiejętnie postępuje, i są potem bez wartości. Gdzie niema odpowiednich rzeczoznawców, tam najlepiej nie zbierać kwiatów wełnistych. Przy Lycopodium nie zbiera się całego ziela, tylko ziarnka pyłkowe. Główną porą do zbierania much hiszpańskich jest maj i czerwiec; napotyka je się przeważnie na krzakach bzowych i na jesionach.

Na wschodzie znachodzimy oprócz wymienionych na początku ziół jeszcze mącznicę (śnieć — sporysz). Przy jej zbieraniu trzeba przedewszystkiem zważać na to, aby nie kruszyć ziarnek, bo inaczej ziele łatwo gorźknieje. Dla zachęty do zbierania ziół mogą być i w tym roku za świeże, jeszcze nie ususzone zioła płacone następujące ceny: za 1 kilogram rumianku 10 fen., kwiatu lipowego 5 fen., podbiału 5 fen., kwiatów wełnistych 40 fen., mącznicy 50 fen., borowiny 8 fen., Lycopodium 40 fen. Za muchy hiszpańskie: a) za świeże, nie zasuszone 4 Mk., b) za zasuszone 12 do 15 Mk. Wypłatę należności za Lycopodium uskutecznia wydział komercyjny przy izbie handlowej w Warszawie, dokąd towar odstawić należy, inne zioła odstawiać należy do oddziału sanitarnego w Łodzi.

Panowie aptekarze i właściciele składów aptecznych z pewnością nie odmówią swej gotowości w udzielaniu potrzebnych wyjaśnień.

Prawdziwa żyła złota. Dla naszych zbieraczy musiała to być jakaś nowość, skoro na taryfach skupowych umieszczano takie oto porady: „Główną porą do zbierania much hiszpańskich jest maj i czerwiec; napotyka je się przeważnie na krzakach bzowych i na jesionach".

Zebranie kilograma owadów ręcznie nie jest łatwą sprawą, lepiej zastosować się do tej metody opublikowanej już w połowie XIX wieku: „Wychodzi się na ich połów przed wschodem słońca, kiedy kantarydy, wilgocią i zimnem nocy stężałe, jeszcze spokojnie na swym miejscu siedzą, a za potrząśnieniem drzewa muchy hiszpańskie na podłożone matnie lub prześcieradła spadają. Zebrane w workach lub na przetakach parą siarki lub octu zaduszają i następnie w piecu suszą".

No dobrze, ale na co państwom centralnym mucha hiszpańska? W trosce o morale armii swoim żołnierzom powinni podawać raczej tłumiący popęd brom, a nie jego przeciwieństwo w postaci kantarydyny. Innym zastosowaniem specyfiku jest usuwanie brodawek i tatuaży za pomocą maści kantarydynowych. Ale chyba nie dla potrzeb medycyny estetycznej angażowano się w zbieranie owada? Plastrami nasączonymi kantarydyną jeszcze na początku XIX wieku leczono reumatyzm, podagrę i gruźlicę płuc. Czyżby więc leczono plastrami okopowe łamanie w kościach i bóle stawów? Już pod koniec tego stulecia uznano, że z uwagi na szkodliwe skutki uboczne kantarydynę należy podawać jedynie w takich przypadkach jak: „porażenie pęcherza, niemożność zatrzymania moczu, impotencja i brak krwawień miesięcznych, lecz tylko wtedy, gdy wszystkie inne, łagodniej działające leki zawodzą".

I to może o ten pęcherz chodzi?! Przebywanie miesiącami w okopach, po kolana w wodzie, lub spanie na gołej ziemi musiało nieuchronnie prowadzić do masowego przeziębienia pęcherza. Jak tu dzielnie w boju stawać, gdy ciśnie strasznie... lub co gorzej, gacie mokre?!

Z kolei nalewką pryszczawkową (*Tinctura Cantharidis*) leczono zaburzenia układu moczowego, brak miesiączki oraz... przewlekłą rzeżączkę. Choroby weneryczne dziesiątkowały zwarte szeregi pododdziałów lepiej niż dobrze wstrzelany Maxim. Toteż przez całą Wielką Wojnę wszystkie państwa wojujące usiłowały zwalczać je wszelkimi dostępnymi środkami, w tym także zbierając pięknego zielonego chrząszczyka.

pz

Rewolucja lutowa

Rewolucja lutowa, którą tak dzielnie „obserwował z loży" Witkacy, wybuchła 8 marca nowego stylu, a zapoczątkował ją podobno marsz zorganizowany z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet, który przekształcił się w antycarski wiec. Piszemy podobno, bowiem w Rosji nadal obowiązywała rachuba czasu według starego stylu, który „cofał" kalendarz o dwa tygodnie, stąd marsz odbył się 23 lutego (podobne problemy mamy z rewolucją październikową, którą 7 listopada zapoczątkował wystrzał z krążownika Aurora).

Tutaj prezentujemy inny marsz i inny wiec. Rewolucja obaliła cara, ale nie zakończyła jeszcze wojny. Mimo nawoływań bolszewików do porzucenia walk i bratania się na froncie z wrogiem, nowe władze nadal miały nadzieje na wygranie wojny. Narodziła się nowa świecka tradycja agitacji. Agitowały obie strony. Zdjęcia pokazują marsz i wiec żołnierzy rosyjskich chcących w zasadzie wszystkiego: wygrania wojny, reform, ziemi dla chłopów etc.

Na jednym wielkim transparencie czytamy: *Póki co [jest] wojna. Po co bratanie [z wrogiem] / Czekamy [na] marszowe kompanie / Niech żyje Rząd Tymczasowy / Niech żyje Rada Robotnicza i Żołnierska / Niech zginie stary reżim i anarchia / Dezerterzy [to] zdrajcy wolności i ojczyzny.* Poniżej *Ziemia i Wolność!* Możemy to potraktować jako odwołanie się do hasła rosyjskich chłopów z końca XIX wieku: *Ziemi i Wolności.* Na wiecu panowie oficerowie agitują nad transparentem zaczynającym się od słów *Bez zwycięstwa…* Dalej możemy się tylko domyślać, że czegoś nie ma albo nie można osiągnąć.

pz



Zdjęcia z archium rodzinnego Pani Justyny Wajnikonis





Piotrkowski epizod łódzkich ochotników

W wyniku działań wojennych z 1914 roku tereny guberni piotrkowskiej znalazły się w dwóch strefach okupacyjnych – niemieckiej i austro-węgierskiej. Swoje porządki administracyjne zaprowadziły obce władze wojskowe, pilnie nadzorując wszelkie przejawy życia społecznego i gospodarczego na zajętych terenach. Dla mieszkańców tych ziem rozpoczął się okres okupacji, trwający do listopada 1918 roku. Okazał się on też przednówkiem niepodległości, wyczekiwanej od 123 lat. Wraz z armiami okupacyjnymi, na terenach Królestwa Polskiego pojawili się zwolennicy walki o niepodległość, reprezentujący opcję Państw Centralnych. Ich zbrojnym przedstawicielstwem były Legiony Polskie – formacja wojskowa podległa organizacyjnie Naczelnej Komendzie armii austro-węgierskiej, zaś politycznie polskiemu Naczelnemu Komitetowi Narodowemu. Począwszy od pierwszej kompanii kadrowej, poprzez usilne prace organizacyjne, udało się rozwinąć je do stanu trzech brygad. Proces ten był długotrwały, wymagał wsparcia materiałowego ze strony Państw Centralnych, a także moralnego – ze strony społeczeństwa ziem polskich, czyli stałego dopływu ochotników. Wśród nich znaleźli się również mieszkańcy Łodzi.

Łódź, wielkie miasto przemysłowe, liczące tuż przed wybuchem wojny ponad 460 tys. mieszkańców, zróżnicowanych pod względem narodowościowym, znalazła się w niemieckiej strefie okupacyjnej. W tym samym czasie pobliski Piotrków, siedziba dawnej guberni obejmującej również Łódź, liczył nieco ponad 40 tys. mieszkańców. Dawny „gród trybunalski", pomimo utraty rangi gubernialnej, w okresie I wojny światowej stał się jednym z najważniejszych ośrodków Legionów Polskich w kraju. Będąc wówczas w austro-węgierskiej strefie okupacyjnej, stał się z końcem lutego 1915 r. siedzibą Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego. Departament ten był najważniejszą strukturą NKN, odpowiedzialną za werbunek, organizowanie i przygotowanie do służby wojskowej w Legionach Polskich. Na czele departamentu stał płk Władysław Sikorski. Piotrków był również okresowo siedzibą Komendy Legionów Polskich i Komendy Grupy Legionów Polskich. Ta ostatnia, powołana w połowie lutego 1915 roku, odpowiadała za organizację III Brygady Legionów, formowanej w Piotrowie i okolicy. Jej powstanie było związane z działalnością Centralnego Biura Werbunkowego, któremu podlegali komisarze werbunkowi, działający na terenach okupacyjnych komend powiatowych. W przypadku powiatu piotrkowskiego funkcję pełnił tu por. Tadeusz Bobrowski.

Mieszkańcy Łodzi po raz pierwszy zetknęli się z legionistami 11 października 1914 roku, kiedy to w mieście pojawiło się pierwszych pięciu legionistów. Z powodu dominujących tu sympatii prorosyjskich, żołnierze spotkali się z chłodnym przyjęciem i opinią „pruskich pachołków". Nastroje te nie sprzyjały akcji werbunkowej. Dwa dni później, przy ul. Mikołajewskiej 44 (obecnie ul. Sienkiewicza), w budynku dawnego gimnazjum rosyjskiego powstało obok Komendy Wojsk Polskich również biuro werbunkowe, kierowane przez ppor. Ignacego Boernera (członka Polskiej Partii Socjalistycznej, współpracownika Józefa Piłsudskiego, późniejszego ministra w kilku rządach czasów II RP). Akcję werbunkową rozpoczęto już dzień później, od godz. 9:00. Mimo wszelkich starań nie przyniosła ona spodziewanych rezultatów. Jej organizatorzy starali się argumentować ten stan m.in. nieprzychylnością ze strony łódzkiej prasy. Nie na wiele zdały się wówczas organizowane spotkania czy rozlepiane na murach afisze. W październiku w mieście pojawiały się również kolejne oddziały legionowe, czyniąc mundur polski obecnym w przestrzeni publicznej. Z końcem października 1914 roku do miasta powróciły wojska rosyjskie.

Październikowa akcja werbunkowa prowadzona w Łodzi spowodowała przyjęcie ok. 350 ochotników. Z większości z nich sformowano dwie kompanie piechoty, odesłane następnie do Piotrkowa. Pozostali zasilili legionową jazdę (ok. 30 ochotników), a także służbę sanitarną, intendenturę i orkiestrę wojskową. Po powrocie armii niemieckiej do Łodzi, na przełomie lat 1914 i 1915, działalność swą wznowił punkt werbunkowy. Bez większych efektów zakończył on swoją działalność wiosną 1915 roku. W kolejnych latach mieszkańcy miasta mieli możliwość obcowania z legionistami, w wyniku pojawienia się Parku Amunicyjnego Legionów Polskich, który stacjonował w Łodzi przez pół roku, od grudnia 1916 roku.

Wraz z zakończeniem działalności drugiej odsłony łódzkiego punktu werbunkowego, łodzianie nie utracili szansy przywdziewania legionowych mundurów. Świadectwem tego jest *Wykaz poborowych, wcielonych do wojska w latach 1915–1916*, przechowywany w zasobie Archiwum Państwowego w Piotrkowie Trybunalskim, w zespole *C. i K. Komendy Powiatowej w Piotrkowie*. Stanowi on poszyt ponad osiemdziesięciu arkuszy ewidencyjnych, uzupełnianych odręcznie przez urzędników werbunkowych. Na jego kartach znajdują się wpisy dotyczące 1444 ochotników, przybywających do piotrkowskiej komisji werbunkowej z terenów od Lwowa po Warszawę. Nie brak wśród nich również mieszkańców Łodzi. Z zachowanych arkuszy wynika wiele szczegółowych informacji. Oprócz imienia i nazwiska, podane są: data i miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania, opis fizyczny, stan cywilny, poziom wykształcenia, wyznanie, przebieg wcześniejszej służby wojskowej, zawód czy wreszcie orzeczenie komisji o zdolności do pełnienia służby wojskowej. Nie wszystkie rubryki tabeli były zawsze uzupełniane. Wykaz ten, jako źródło historyczne, nie może być przyjmowany bezkrytycznie. Do danych mogących budzić największe zastrzeżenia zaliczyć można w pierwszej kolejności wiek ochotnika, który bywał przez niego zawyżany w obawie przed odrzuceniem przez Komisję Werbunkową. Weryfikacji wymagają również inne informacje (wyznanie, podawane nazwiska itd.). Niemniej jednak na jego podstawie można przyjrzeć się zbiorowości, jaką tworzyli ochotnicy. Istotną jej część stanowili mieszkańcy Łodzi.

Łódź jako miasto pochodzenia wskazało 261 osób, co stanowi 18% pozycji. Większość określiła swój wiek na ok. 18 lat. Największą reprezentację posiadał rocznik 1898,

na który wskazywała większość ochotników. Pozostali często podawali jako datę urodzin lata 1897 i 1899. Najstarsi reprezentowali pierwsze roczniki lat 90. XIX wieku. W większości była to młodzież robotnicza, uczniowie gimnazjów, osoby pozostające w stanie wolnym.

W przypadku wyznania, zdecydowana większość była – według deklaracji – rzymskimi katolikami. Około 8% stanowili ochotnicy wyznania mojżeszowego. Na inne religie wskazywały pojedyncze osoby. Ze względu na okres powstawania wykazu, większość zapewne trafiła do oddziałów wchodzących w skład III Brygady Legionów Polskich.

Jednak same dobre chęci nie wystarczyły, aby zaciągnąć się do wojska. Poważnym wyzwaniem okazywało się samo dotarcie do Piotrkowa. Wynikało to z faktu, iż oba miasta znajdowały się w dwóch różnych strefach okupacyjnych, oddzielonych od siebie kordonem. Ruch ludności między strefami odbywał się pod baczną uwagą władz okupacyjnych. Czujność ta wywołana była rozwijającym się w srogich czasach okupacji przemytem, głównie artykułów spożywczych. Granicę przekraczano więc nielegalnie, pojedynczo lub niewielkimi, kilkuosobowymi grupami. Potwierdzeniem tego są kolejne wpisy do omawianego wykazu, kiedy to mieszkańcy z jednego miasta (Łodzi, Warszawy itd.) rejestrowali się po 2–4 osoby kolejno w dłuższych odstępach czasu. Reprezentowali oni w tym przypadku to samo wyznanie, podobny zawód, zbliżony wiek.

Mimo wszelkich trudności i podziałów, realiów życia w okupowanym kraju, sztucznej (wojennej) granicy dzielącej tak bliskie tereny, odnajdywali drogę do polskiego munduru. W legionowych szeregach spotykali podobnych sobie piotrkowian, warszawiaków, częstochowian i wielu innych zdeterminowanych, młodych ludzi. Zdobywane przez nich doświadczenie okazało się również istotnym wkładem w tworzone od podstaw po listopadzie 1918 roku Wojsko Polskie, walczące z Rosją Sowiecką o utrzymanie młodej niepodległości.

Maciej Hubka



Afisz legionowy.

KARTKI Z DZIENNIKA MIESZKAŃCA WITONI, 1914-1915

1 VIII 1914

Wojna europejska, o której już od kilku lat mówiono i pisano, wybuchła. Mobilizacja ogłoszona.

12 VIII 1914

Krążą pogłoski, że Kalisz został doszczętnie zniszczony przez wojska niemieckie pod dowództwem Preuskera.

3 X 1914

Wojska rosyjskie cofają się w stronę Warszawy. Dziś przechodzący przez Witonię ostatni podjazd zamierzał spalić most na szosie do Łęczycy. Zaniechano tego jednak na przedstawienie władzy gminnej i proboszcza.

25 X 1914

Od kilkunastu dni jesteśmy odcięci od Warszawy i pozbawieni pism. U nas panował najzupełniejszy spokój, jak gdyby ta wojna toczyła się gdzieś na drugiej półkuli. Dziś dopiero zjawił się podjazd wojsk austriackich, gdyż podobno Niemcy i Austriacy, odparci przez Rosjan od Warszawy, cofają się na całej linii, o czym świadczą strzały armat od strony Łowicza, z każdym dniem bliższe.

26 X 1914

Przez cały dzień przeciągały przez Witonię w stronę Łęczycy wojska przeważnie austriackie, a częściowo tylko niemieckie. Przechodził także oddział legionistów nazywanych



Kalisz 1914.



Rosjanie wycofują się.

„sokołami". Wszystko to zabłocone, zmęczone, zgłodniałe. Przyjemne wrażenie sprawiała komenda w języku polskim, czego się nigdy nie słyszało. Jeden pułk kawalerii pozostał na noc w Witoni, lecz o 10 wieczorem nadszedł rozkaz wymarszu, co też wykonano z wielkim pośpiechem.

27 X 1914

Nadciągnęły wojska rosyjskie. Podjazd rosyjski, składający się z Kozaków kubańskich, zaskoczył pod Witonią pikietę ułanów austriackich. Nastąpiła potyczka. Austriacy mieli odcięty odwrót do swoich. W rezultacie padł jeden Austriak, a ośmiu wzięto do niewoli, 3 albo 4 zdołało umknąć. Było to przed południem. Po południu nadciągnęły większe siły wraz z armatami i niezwłocznie pociągnęły na Łęczycę, a po upływie pewnego czasu zagrały działa tak po jednej, jak i po drugiej stronie, co trwało do późnego wieczoru.

28 X 1914

Liczba wojsk rosyjskich wzrasta. Huk armat wstrząsa powietrzem nieomal bez przerwy.

29 X 1914

Łęczyca została zajęta przez Rosjan. Wielkie masy ich wojsk różnej broni posuwają się na zachód.

13 XI 1914

Dzisiaj dowiedziałem się w Kutnie o powolnym ustępowaniu wojsk rosyjskich ku wschodowi.

15 XI 1914

Huk armat: wczoraj i dziś dzień cały grzmi na linii Kłodawa-Krośniewice, a pod wieczór bitwa wre już na terenie gminy Witonia. Doskonale słychać terkot karabinów maszynowych i oddzielne strzały karabinów ręcznych.

Pod wieczór piechota rosyjska okopuje się w Witoni za cmentarzem. Nadciągnęło trochę armat. Wkoło wrzask, huk, tumult i lament. Ludność z miejscowości, w których toczy się bój, ucieka masowo ku wschodowi z dziećmi, inwentarzem żywym i najniezbędniejszymi ruchomościami.

16 XI 1914

O godzinie 8 bitwa się już rozpoczęła. Początkowo miałem zamiar przeczekać ją w mieszkaniu, a w ostateczności ukryć się w piwnicy, lecz zamiaru tego zaniechałem, bowiem stojący koło domu żołnierze z karabinami maszynowymi twierdzili, że to niebezpieczne i ryzykowne.

Opuściłem przeto Witonię, kierując się na Strzegocin, czas naglił, bo tu i ówdzie zaczęły już gwizdać kule karabinowe, a wkrótce potem widziałem, jak nad wsią pękały z hukiem szrapnele, wybuchając gęstym dymem.

Okazuje się, że Niemcy parli swym lewym skrzydłem, gdy bowiem stanąłem w Strzegocinie, już tam byli, nadszedłszy od strony Kutna. Wnet też zaczęli ostrzeliwać Rosjan z armat cofających się w stronę Kter. Kiedy ucichło strzelanie od Witoni, wróciłem z powrotem do domu około godziny 2 po południu.

W mieszkaniu zastałem żołnierzy niemieckich, którzy wyłamali drzwi i dostali się do środka, a tam przewracali wszystko i przerzucali, szukając prawdopodobnie cenniejszych przedmiotów. Gdy im wyjaśniłem, że jestem właścicielem mieszkania, wynieśli się niezwłocznie. Wielkiej szkody nie zrobili.

18 XI 1914

Dziś odwiedziłem Łęczycę, która znacznie ucierpiała od bombardowania niemieckiej artylerii. Zginęło kilka osób cywilnych, a między nimi ks. dziekan Zebrowski od szrapnela, który uderzył w plebanię. Rannych jest kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt osób. Masy rannych żołnierzy dziś jeszcze przywożą z Wilczkowic i Wichrowa, gdzie miała miejsce większa bitwa. Więzienie i budynek szkoły miejskiej zostały zamienione na szpitale.

25 XI 1914

Dzisiaj u nas w Witoni doroczny odpust Świętej Katarzyny, który różni się od dawniejszych odpustów tym, że niektórzy parafianie na rozkaz wojskowych władz niemieckich i pod ich strażą pracowali nad naprawą szosy do Łęczycy.

9 XII 1914

Wczoraj cały dzień prawie bez przerwy ciągnęły przez Witonię tabory niemieckie, dążąc na Strzegocin i dalej ku wschodowi. Jednocześnie krążą jak najbardziej sprzeczne wieści co do Łodzi. Podług jednej wersji Niemcy zostali odparci i ponieśli tak ciężkie straty, że zmuszeni zostali do pośpiesznego cofania się. Podług zaś drugiej Łódź została przez nich zajęta po dobrowolnym ustąpieniu Rosjan.

28 II 1915

Zapanowały bardzo przygnębiające czasy. Codziennie widać snujące się dziesiątki i setki ludzi ubogich, głównie z Łodzi. Wszyscy wynędzniali i głodni, aż litość bierze, gdy się na nich patrzy. Proszą o kawałek chleba lub inne wsparcie. Wloką się również matki z małymi u piersi dziećmi lub drobiazgiem, co ledwo chodzić może o własnych siłach. To znów podrostki lub starcy wytężają resztki sił, dźwigając tobołki z żywnością, ciągnąc lub popychając prowizoryczne ręczne wózki z ziemniakami. A tu pora taka szkaradna: zawieja śnieżna i mróz, lub na zmianę odwilż, chlapanina i błoto.

26 IX 1915

Dziś byłem w Leźnicy Wielkiej. Jest tam na cmentarzu miejscowym mogiła, w której spoczywa, jak głosi niemiecki napis: „czternastu rosyjskich wojowników". Zdaje się to być rzeczą taką zwykłą i naturalną. Jest wojna, a więc są polegli i mogiły. Lecz ileż ta jedna tylko zawarła na wieki ludzkiego bólu, tęsknoty do swoich, niezisczczonych marzeń, niewykonanych zamiarów.

Kraj cały usiany jest takimi mogiłami. Spotyka się je na każdym kroku, rozsiane pojedynczo lub grupami wśród pól, przy drogach, w ogródkach, gajach i na cmentarzach.

Stanisław Skupiński

Powyższy tekst jest fragmentem książki *ZIEMIA ŁĘCZYCKA ŻOŁNIERZOM NIEPODLEGŁOŚCI – wydane staraniem Rady Powiatowej Łęczyckiej oraz Federacji p. Z.O.O. w Łęczycy w dniu odsłonięcia pomników w Dalikowie ku czci powstańców 1863 r. i w Gostkowie ku czci Komendanta Józefa Piłsudskiego i jego żołnierzy. Odbito w Drukarni Polskiej w Łodzi w 1937 r.*

Tekst dostępny na stronie: http://bc.wimbp.lodz.pl



Niemcy z ciężkim karabinem maszynowym w polskiej wsi.

Ogłoszenie „Aktu 5 listopada” w Łodzi

5 listopada 1916 roku, krótko przed godz. 12.00, przed udekorowany zielenią i niemieckimi flagami gmach generalnego gubernatorstwa cesarsko-niemieckiego w Łodzi przy al. Spacerowej 4 zajechał powóz zaprzężony w cztery konie. Jego eskortę stanowili policjanci na... rowerach. Z powozu wysiadł generał Felix von Barth, łódzki gubernator wojenny. Przed budynkiem było ustawione wojsko i orkiestra. Obok zebrał się tłum w oczekiwaniu czegoś niezwykłego. Wewnątrz gmachu czekali już na gubernatora przedstawiciele wszystkich sfer społeczeństwa łódzkiego, zaproszeni na specjalnie przygotowaną tego dnia uroczystość. Czego miała ona dotyczyć? Już w końcu października 1916 roku wśród mieszkańców Łodzi zaczęły krążyć informacje pochodzące „z wiarygodnego źródła” o zamiarach rychłego ogłoszenia przez okupantów niepodległego państwa polskiego. Wskrzeszenia Królestwa Polskiego oczekiwano już od ponad roku; Polacy liczyli na konkretne działania ze strony władz okupacyjnych już w sierpniu 1915 roku, po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie. Czy teraz miał nastąpić przełom?

Pamiętnego dnia w wielkiej sali gubernatorstwa generał von Barth odczytał po niemiecku odezwę, która przeszła do historii jako „Akt 5 listopada”. Jej treść w języku polskim przedstawił zebranym Adolf hrabia Bnin-Bniński. Akt zawierał obietnicę utworzenia Królestwa Polskiego przez cesarzy Niemiec i Austro-Węgier. Choć pisano w nim o „samodzielności” restytuowanego państwa polskiego, to miało ono pozostawać „w łączności ze sprzymierzonymi mocarstwami”, ponadto nie określono kształtu jego granic. Wyrażono natomiast konkretną zapowiedź tworzenia wojska polskiego. W imieniu społeczeństwa polskiego gubernatorowi krótko i zwięźle podziękował adwokat Tadeusz Kamieński.

Władze okupacyjne zapewniły uroczystości odpowiednią oprawę. Na gmachu gubernatorstwa oraz wszystkich budynkach urzędowych i komunalnych wywieszono polskie flagi. Według przekazów orkiestra odegrała hymny niemiecki, austriacki oraz polski. I tu niestety mamy kłopot, bo nie wiemy, jaki utwór uznano za nasz narodowy hymn. Jedyne, co wydaje się oczywiste, że nie mogła to być *Rota*. Poza *Mazurkiem Dąbrowskiego* mogły być jeszcze odegrane: *Bogurodzica*, *Hymn do miłości Ojczyzny*, *Boże coś Polskę*, *Z dymem pożarów* (*Mazurek*, co może zaskoczy niektórych, oficjalnie został uznany za polski hymn narodowy dopiero w roku 1927). Po ukończeniu uroczystości w gubernatorstwie wojskowym, jej uczestnicy udali się na nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej w magistracie.

Łódzkie uroczystości uzyskały jedyne w swoim rodzaju ukoronowanie. Przed Grand Hotelem odbyła się parada wojskowa... niemieckich oddziałów stacjonujących w mieście, a dziarsko tupiącym landwerzystom towarzyszyły a jakże polskie pieśni, tyle że odegrane przez... niemiecką orkiestrę wojskową. Zaiste tak „piękną” oprawę święta niepodległości mogły zaplanować tylko niemieckie władze okupacyjne.

Długo wyczekiwany przez Polaków akt nie wzbudził powszechnego entuzjazmu. I nie ma się czemu dziwić. Jak zauważono, odezwa została podpisana *per procura* (sygnowali ją swoimi nazwiskami generalni gubernatorowie obu mocarstw – generałowie Hans Hartwig von Beseler i Karl Kuk) i nie miała żadnej sankcji prawnej, choćby z tego powodu, że jej ustalenia nie zostały ratyfikowane przez parlamenty. Sceptycy i przeciwnicy współpracy z niemieckim okupantem widzieli w „Akcie 5 listopada” przede wszystkim propagandowy zabieg, mający na celu pozyskanie nowych rekrutów z ziem polskich do armii państw zaborczych. Szacowano, że w Królestwa Polskim jest nadal około miliona Polaków w wieku poborowym, zdolnych do służby wojskowej.

Według wielokrotnie przez nas cytowanego Mieczysława Hertza, po ogłoszeniu „Aktu 5 listopada” nic się nie zmieniło w rzeczywistości łódzkiej: rekwizycje, przymusowa branka do batalionów robotniczych, wszelkiego rodzaju ograniczenia nie ustawały. Był to niezbity dowód sprzeczności między słowami a czynami.

Tomasz Walkiewicz

„Akt 5 listopada” był przez większość Polaków świadków jego ogłoszenia, ale także jest przez wielu polskich historyków bagatelizowany jako zbyt ogólnikowy, nie zmieniający niczego na okupowanych terenach, do tego narzucający nam bliżej nieznanego monarchę, w jeszcze bardziej nieznanym terminie. Nie negując tej oceny zauważmy, że jednakowoż dzięki temu aktowi na okupowanych ziemiach wprowadzono: polską władzę zwierzchnią pod postacią Rady Regencyjnej, polskie sądownictwo, polskie nauczanie oraz – jakkolwiek zgrzyta po uszach – Polnische Wehrmacht. Przyzwyczajeni do daty 11 listopada 1918 r. nie zauważamy 7 października tegoż roku, kiedy to Rada Regencyjna zapowiedziała odzyskanie niepodległości i wybory do polskiego sejmu.



Do mieszkańców Warszawskiego jeneralnego gubernatorstwa!

Z najwyższego rozkazu Jego Cesarskiej Mości Cesarza Niemieckiego.

Jenerał-Gubernator
v. BESELER.



Fotografował Michał Daszewski

Walter wolff — Pamiętniki niemieckiego Żyda

Autor urodzony w roku 1887 w Hamburgu, w czasie I wojny światowej został zmobilizowany do 75 Pułku Landwehry i brał udział w latach 1914 i 1915 w walkach w Prusach Wschodnich. Wiosną 1915 roku trafił do Łodzi. Przedstawiamy krótki fragment pamiętników dotyczących pobytu w naszym mieście. Cały pamiętnik dostępny jest na stronie: http://digital.cjh.org.

20 lutego [1915 roku] zajęliśmy całkowicie nowe pozycje naprzeciw miasta Mołodeczna [w oryginale Modetschno] ważnego węzła kolejowego. Pozostawiliśmy tam przez wiele tygodni. [Nasze] pozycje były ufortyfikowane i rozbudowane. Była [nawet] odwszalnia i nareszcie mogliśmy zdjąć nasze mundury i zmienić bieliznę. Pierwszy prysznic i odwszawiona koszula były dla nas istnym cudem. Z kwietniem nadeszła wiosna i roztopy, obrzydliwe rosyjskie błoto. W okopach zrobiło się niekomfortowo, gdyż woda z topniejącego śniegu zaczęła do nich przesiąkać.

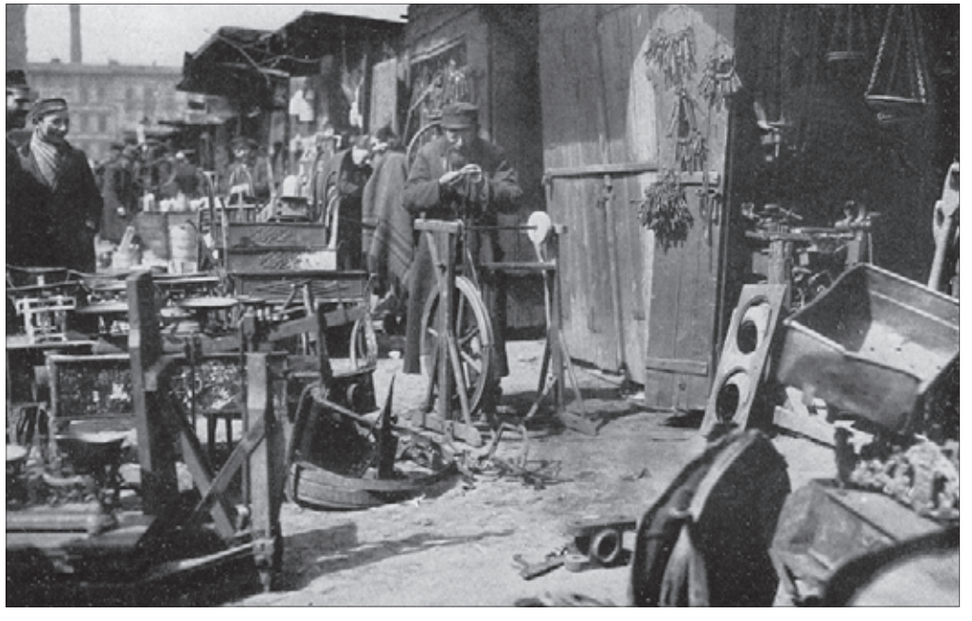
Całkiem dla mnie niespodziewanie dostałem nagły rozkaz stawienia się z całym ekwipunkiem w dowództwie batalionu. Adiutant powitał mnie słowami: „Człowieku, ty to masz szczęście, zostałeś przydzielony do kwatery polowej w Poznaniu". Zabrałem się z wozem kuchni polowej na stację kolejową i przybywszy do Poznania następnego dnia zameldowałem się w dowództwie. Tam porucznik Klein spytał mnie, czy umiem mówić po polsku, na co odpowiedziałem: „Nie, ale znam język rosyjski". Odrzekł, że prosił o kogoś polskojęzycznego. Okazało się, że w książeczce wojskowej w rubryce JĘZYKI wpisałem angielski, francuski, rosyjski. Nasz sierżant, murarz z Hamburga, myślał, że rosyjski i polski to to samo i dlatego posłał po mnie. Zobaczyłem siebie powracającego do okropnych, mokrych okopów, zebrałem się więc na odwagę i powiedziałem oficerowi, że biegle mówię i piszę w żargonie (jidisz), którym mówi się w Polsce (sic!), na co ten odpowiedział: „W takim razie będziesz właściwym człowiekiem w Łodzi". Stuknąłem obcasami i wykrzyczałem „Na rozkaz!". Dał mi trzy dni na odpoczynek w Poznaniu, po czym miałem razem z polskojęzycznym kapralem pojechać do Łodzi. Natychmiast wysłałem telegram do rodziców w Hamburgu i już następnego dnia przybyli do Poznania. Kupiłem nowy mundur i przystrzygłem brodę, która w międzyczasie urosła. Czekałem na rodziców na dworcu. Minęli mnie, nie rozpoznając z uwagi na zarost. Spędziliśmy razem dwa cudowne dni, a ja byłem szczęśliwy, że mogę jeszcze raz wyspać się w [prawdziwym] łóżku.

W Łodzi zostałem przydzielony do dowództwa i razem z kilkoma innym kolegami otrzymałem zadanie przeglądania i spłaty kwitów rekwizycyjnych wydawanych przez wojsko ludziom za zabrane rzeczy. Armia chciała zyskać na tyłach frontu życzliwość społeczeństwa, szczególnie zależało jej na Żydach, których zdolności językowe czyniły ich bardzo pożytecznymi. Ukazała się nawet proklamacja Kajzera zatytułowana *Do moich drogich Żydów*. To było w roku 1915.

Pracowałem w przyjemnym biurze, mając łatwy siedmiogodzinny dzień pracy, mieszkałem w ładnym pokoju i mogłem jadać, gdzie chciałem. Pozostawałem w przyjacielskich kontaktach tylko z dwoma rodzinami – bezdzietnym małżeństwem Zabłudowskich (oryg. Zabludowsky), sądzę, że on był prawnikiem, i z rodzina Gołąb (oryg. Golomb), nadzwyczaj opiekuńczą, u której czułem się jak w domu. Pośród młodszych osób był doktor Kapłan, z którym odbyłem wiele stymulujących rozmów. Nie mógł zrozumieć, jak moje ortodoksyjne przekonania nie sprawiły, że nie stałem się syjonistą, ponieważ w jego opinii większość naszych praw ma z natury charakter nie religijny, a narodowy. Lecz i bez jego argumentów ciągnęło mnie do syjonizmu w Łodzi.

Pierwszy raz w życiu byłem świadomy, że naród żydowski nadal istnieje. Tu w Łodzi widziałem Żydów w ich własnych tradycyjnych ubiorach, z ich własnym językiem, z ich własnymi gazetami, drukowanymi w języku innym niż urzędowy – żydowską nację wyraźnie widoczną na tle całej populacji. Widziałem żydowskich tragarzy, robotników fabrycznych, brodatych Żydów ubranych w kaftany i czapki z małym daszkiem, pracujących we wszystkich rodzajach handlu i zawodów. Łódź była ważnym miastem fabrycznym, którego większość produkcji stanowiły tekstylia na rynek rosyjski. Było wielu zamożnych zasymilowanych Żydów, ale także dobrze prosperujących chasydzkich Żydów. Jednakże masy mieszkały w getcie w dotkliwym ubóstwie, które wojna jeszcze bardziej pogłębiła. Miasto było brzydkie i brudne mimo to spędziłem tam siedem cudownych miesięcy.

tłum. pz



Łódź, którą widział Walter Wolf.

KUNDMACHUNG.

Ich verbiete hiemit jegliches

HAZADSPIEL

im Billard, Domino oder Karten in Kaffeehäusern, Restaurants, Theehäusern und sonstigen öffentlichen Lokalen.

Besitzer solcher Unternehmungen sowohl als auch die Spieler selbst unterliegen gegebenenfalls strengsten Strafen.

Piotrków, am 2. September 1916.

K. u. k. Regierungskommissär

Mach, m. p., Major.

03076

OGŁOSZENIE.

Zabrania się w cukierniach, kawiarniach, herbaciarniach, restauracjach, piwiarniach i t. p. zakładach,

GIER HAZARDOWYCH

na bilardzie, w domino i karty.

Właściciele zakładów dopuszczający do podobnych gier, jak również grający będą surowo karani.

Piotrków, dnia 2. września 1916.

C. i k. Komisarz Rządowy

Mach, m. p., Major.

STRATY, REKWIZYCJE I GRABIEŻ

Wojna to nie tylko huk dział, błyski dział, śmierć i zniszczenie na linii walk. Podstawową przyczyną nieszczęść oprócz działań wojennych były tak chętnie praktykowane (zwłaszcza przez Prusaków): konfiskaty, rekwizycje lub przymusowa sprzedaż. Na terenie Łodzi dotyczyły one przede wszystkim maszyn i urządzeń przemysłowych, surowców, tkanin oraz metali, inwentarza żywego i martwego, żywności oraz opału. Co ciekawe, zwykli cywile swoje pretensje kierowali pod adresem wszystkich trzech państw zaborczych, chociaż oczywiście największa ich liczba odnosiła się do strony niemieckiej. Pierwszych rekwizycji dokonywały jednak... polskie komitety obywatelskie z własnej inicjatywy bądź w wyniku zarządzenia władz niemieckich, a dotyczyły one broni będącej w posiadaniu mieszkańców. Interesujące jest, że w Łodzi skonfiskowaną broń Centralny Komitet Milicji Obywatelskiej przekazywał za pokwitowaniem legionistom Piłsudskiego.

Nakaz przymusowej sprzedaży towarów i surowców (wyłącznie po drastycznie zaniżonych cenach) obejmował nie tylko zakłady produkcyjne i składy, ale także zwykłych obywateli. Przy sprzedaży Niemcy wypłacali przeważnie drobne zaliczki, depo-



Rekwizycja miedzianych walców 2.06.1915 r. w fabryce Poznańskiego w asyście mundurowej.



VERFÜGUNG

betreffend Ablieferung, Enteignung und Herstellen von Gegenständen aus Metallen,

welche durch die Verfügungen des Generalgouvernements vom 15. Oktober 1915 und 24. Mai 1916 beschlagnahmt sind.

§ 1.

Von der Verfügung betroffene Gegenstände.

§ 2.

Von der Verfügung betroffene Personen usw.

§ 3.

Ersatz.

§ 4.

Ablieferung und Preise.

§ 5.

Ausnahmen.

§ 6.

Verbot.

§ 7.

Strafbestimmungen.

Warschau, den 28. Juni 1916.

Generalgouvernement.

ROZPORZĄDZENIE

dotyczące dostawy, wywłaszczenia i wyrobu przedmiotów metalowych,

zarządzeniem Generalnego Gubernatorstwa z dnia 15 października 1915 r. i 24 maja 1916 r.

§ 1.

Przedmioty objęte rozporządzeniem.

§ 2.

Osoby i i. d., których rozporządzenie dotyczy.

§ 3.

Zaopatrzenie się w przedmioty zastępcze.

§ 4.

Dostawa i cena.

§ 5.

Wyjątki.

§ 6.

Zakaz.

§ 7.

Kary.

Warszawa, dnia 28 czerwca 1916 r.

Jenerał-Gubernator.

nowali należności w niemieckich bankach lub „wypłacali" je w formie kwitów pożyczek wojennych. W razie wykrycia nieujawnionego towaru następowała jego konfiskata, którą stosowano pod byle pretekstem.

Oprócz listy oczywistych „towarów i produktów niezbędnych dla wojska" podlegających rekwizycjom i konfiskacie znajdziemy tak nietypowe, jak: globus szkolny i 3 tablice zabrane ze szkoły w Rzgowie, rozebraną drewnianą nawierzchnię mostu na rzece Ner w okolicach wsi Zdziechów. Dozór kościoła w Łagiewnikach zgłosił, że ukradziono „postronek do chowania zmarłych" i 72 świece oraz „rozstrojony żołnierzami organ", a poszkodowane Łódzkie Towarzystwo Pielęgnowania Chorych „Bykur Cholim" – 4 poduszki przeznaczone do rosyjskiego szpitala. Administracja dóbr Julianów-Marysin zgłosiła rekwizycję przez Niemców 330 wozów kamieni polnych pod budowę dróg, zaś przymuszony do udzielnia kwaterunku oficerom pruskim łodzianin Mendel Burak zgłosił kradzież pościeli i kosza z brudną bielizną.

Jako materiały niezbędne dla wojska uznawano np. welur, satynę, kaszmir – de facto zrabowane nie szły oczywiście na pierwszą linię frontu, a były wywożone w głąb Niemiec do Saarbrucken, Królewca i Munster.

Od początku 1915 roku rekwizycjom poddano także maszyny i urządzenia. Przed wywózką z miasta były one szczegółowo opisywane. Pod metryką maszyny podpisywał się łódzki właściciel, niemiecki „nabywca" oraz przedstawiciel firmy, do której trafiało urządzenie. Maszyny były wywożone m.in. do Altony (obecnie dzielnica Hamburga), Essen, Ludwigshafen, Kassel.


Fotografował Michał Daszewski

Skład zarekwirowanych metali kolorowych, ul. Wólczańska 219.

Szczególnie dotkliwie odczuły czas wojenny hotele łódzkie, a wśród nich całkowicie opanowany przez wojsko pruskie Grand Hotel, w którym aż do października 1916 roku zakazane było wynajmowanie pokoi cywilom, podczas gdy wojskowi płacili grosze, na przykład generał Gerecke za pokój kosztujący przed wojną 20 rubli za dzień płacił 3 marki, a więc niespełna 10% należności.

Jednym z najbardziej znanych faktów, bardzo często przytaczanych dla zilustrowania polityki okupanta niemieckiego, jest konfiskata dzwonów kościelnych. Nie szanowano żadnej świętości i żadnego wyznania – spiżowe dzwony przetapiano na armaty. W czasie wojny zdarzyły się jednak jeden cud mały i jeden cud wielki. Zacznijmy od mniejszego. Oto kościół parafii rzymskokatolickiej w Aleksandrowie, w zamian za 2 duże zarekwirowane dzwony otrzymał 1 mniejszy, prawdopodobnie zabrany z bliżej nieustalonej kaplicy cmentarnej. Czym sobie na takie „wyjątkowe" traktowanie zasłużył proboszcz parafii aleksandrowskiej? Nie wiadomo. Cud większy ważył 4,5 tony – mowa o dzwonie z kościoła św. Stanisława Kostki (obecnie katedry), zwanym „łódzkim Zygmuntem", gdyż na terenie Polski ustępował tylko krakowskiemu. Ufundowany przez łodzian, odlany w Łodzi w Fabryce Maszyn i Odlewni Żeliwa Józefa Johna, do tego odlany stosunkowo niedawno, bo w roku 1911, nie miał prawa ulec zniszczeniu. Łodzianie zdążyli się do niego przywiązać i na apel księdza Tymienieckiego (późniejszego biskupa) stanęli w jego obronie. Tłumnie dzień i noc pilnowali dzwonu, broniąc go przed rabunkiem. Uzyskali obietnicę skonfundowanych Niemców na odstąpienie od konfiskaty w zamian za przekazanie złomu metali kolorowych o tej samej wadze. Jak można się domyśleć, zbiórka przeprowadzona została sprawnie, dokonał się cud prawdziwy, no bo jakim sposobem znaleziono w ogołoconym ze wszystkiego mieście prawie 5 ton złomu?! Tak to nie pomyłka zebrano, o 400 kilogramów więcej, niż żądali Niemcy.

Wielka Wojna stała się dla regionu łódzkiego Wielką Katastrofą, straty ponieśli wszyscy: baronowie łódzkiego przemysłu i drobni ciułacze, mieszkańcy aglomeracji i włościanie, zdewastowana została cała infrastruktura przemysłu włókienniczego. Zamknięcie rosyjskiego rynku zbytu na skutek zmian politycznych nie pomagało szybkiej odbudowie łódzkich fabryk. Modelowym przykładem poniesionych strat jest łódzka kolej (Towarzystwo Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej). W roku 1920 przedstawiła na 49 stronach i 50 zdjęciach raport-zestawienie szacunkowe, w którym straty obliczyła na ponad 7 milionów rubli w złocie. Winnymi poniesionych szkód obarczono zarówno Rosjan, jak i Niemców. Rosjanie głównie rekwirowali (m.in. 22 parowozy zwykłotorowe, 5 parowozów szerokotorowych, 62 wagony pasażerskie [zwane w tym czasie powozami osobowymi – przyp. autora], 1016 wagonów towarowych), Niemcy zaś głównie bombardowali i wysadzali. Po ostatecznym zajęciu Łodzi przez cztery lata koncentrowali się jedynie na odbudowie zerwanych wiaduktów i zmianie rozstawu torów z rosyjskiego na europejski, za co akurat nie wnosimy pretensji.

♣ *pz*

Śmiertelny przyjaciel żołnierza

Pytacie mnie – czego potrzebujemy, aby wygrać tę wojnę? Odpowiadam – tytoń, tak samo jak pociski – generał John Joseph „Black Jack" Pershing, Dowódca Naczelny Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych w Europie, rok 1917.

Papierosy i tytoń były integralną częścią życia żołnierzy także podczas I wojny światowej. Zaledwie dwa miesiące po wojnie brytyjski magazyn branżowy *Tobacco* twierdził:

Można by powiedzieć, że człowiek na linii ognia myśli przede wszystkim o swoich nabojach, a kolejną rzeczą, o którą się martwi, jest czym nabije fajkę. Sama fajka jest niewiele mniej cenna niż karabin.



Kartka pocztowa nawiązująca w sposób humorystyczny do palenia dużych ilości tytoniu.



Podstawowy pakiet tytoniu dla żołnierzy francuskich.



Ulotka rosyjska zachęajaca do zbiórki pieniędzy na zakup tytoniu dla żołnierzy.

Żołnierze palili z wielu powodów. Palenie pomogło złagodzić nudę i zabić czas podczas długich okresów względnej ciszy i oczekiwania ataku. Zapach dymu niewątpliwie maskował smród śmierci i nędzy okopów. Dzielenie się zapasami tytoniu, użyczanie ognia tworzyło poczucie koleżeństwa, podnosiło morale. Przede wszystkim jednak palenie było chwilową ucieczką od horroru pola bitwy i pomagało rozładować stres dzięki nikotynie zawartej w tytoniu. Ta neurotoksyna wpływa uspokajająco na układ nerwowy, odpręża, łagodzi stres, usprawnia procesy myślowe. W jednym papierosie znajduje się przeważnie 0,8-1 g liści tytoniu, z czego 2% stanowi czysta nikotyna. Dwa razy więcej nikotyny zawierały papierosy kręcone z rosyjskiej machorki, okropnej w smaku za to dającej się uprawiać nawet na Syberii.



Ozdobna banderola na cygaro z wizerunkiem bohatera niemieckiej armii generała Woyrscha.



Opakowanie rosyjskiej machorki.



Opakowanie od bibułki papierosowej. Nazywa się to Anty – Szkop, a tekst jest nastepujacy: Ta bibułka papierosowa jest przeznaczona przez rząd Republiki ***dla walecznych żołnierzy*** *frontowych.*

Pomimo że papierosy i tytoń były wydawane w ramach racji żołnierskich, to na froncie stale odczuwano ich niedostatek. Liczne organizacje charytatywne, z Czerwonym Krzyżem na czele, organizowały społeczne zbiórki papierosów i pieniędzy na ich zakup, nie wzdragając się przed angażowaniem w te akcje nawet młodzieży szkolnej. Tytoń bardzo szybko stał się obok mydła i odzieży stałym elementem paczek słanych żołnierzom na front.

Kupowanie tytoniu – obok nabywania obligacji wojennych i „gwoździ dla zwycięstwa" – stało się jednym z podstawowych obowiązków patriotycznych obywateli pozostających z dala od linii frontowych. Koncerny tytoniowe , wietrząc niezły interes w swych wojennych kampaniach reklamowych, skwapliwie

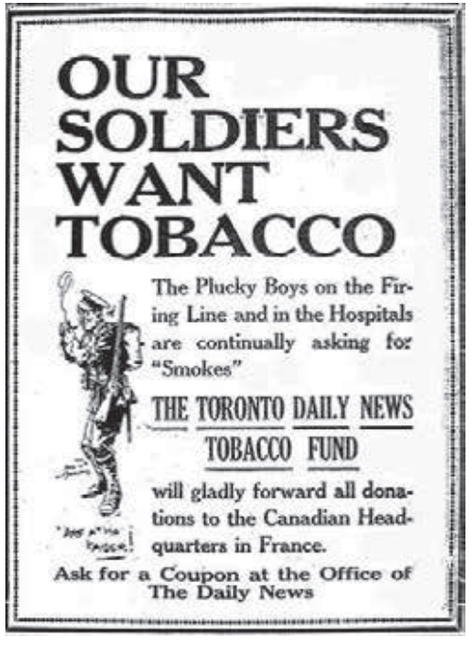


Plakat reklamujący niemieckie papierosy Salem Aleikum, które miały być najlepszym prezentem powitalnym dla żołnierzy przybywajacych na front.

wiązały palenie z patriotyzmem. To właśnie w tym czasie narodziła się profesjonalna reklama papierosów.

W1917 r. Southern Cross Tobacco Fund doradzał: „Obowiązkiem każdego mężczyzny i każdej kobiety jest dopilnowanie, aby każdy dom mógł zaoferować żołnierzom tytoń. Tylko za jednego szylinga Fundusz (autoryzowany przez Państwową Radę Wojenną) będzie zaopatrywał żołnierza w tytoń przez jeden tydzień".

W momencie wybuchu wojny najczęstszą formą palenia tytoniu było palenie fajki. Palenie fajki i cygara kojarzyło się także z XIX-wiecznymi ideami dotyczącymi męskości. Papierosy, choć dostępne, nie były tak popularne. Toteż na początku wojny żołnierze otrzymywali w swoich racjach paczki tytoniu i zapałki. W warunkach frontowych szereg czynników sprawiło, że zapakowane papierosy okazały się znacznie wygodniejsze niż fajki. Palacz fajki musiał dbać stale o jej czystość i o to, aby tytoń pozostawał suchy, co w okopach było niezwykle trudne, do tego porcelanowe lub gliniane fajki łatwo się tłukły. Palenie papierosów zajmowało znacznie mniej czasu niż fajki, co na froncie, gdy żołnierz mógł być zmuszony do ruszenia w każdej chwili, było bardzo istotne. We Francji pojawiły się nowe marki papierosów m.in.



Nasi żołnierze potrzebują tytoniu. Nasi dzielni chłopcy na linii ognia i w szpitalach wciąż pytają o coś do palenia. Fundusz Tytoniowy Toronto Daily News chętnie przkaże wszystkie darowizny do Kanadyjskiej Kwatery Głównej we Francji. O kupony funduszu pytaj w biurze Daily News.



Francja, wrzesień 1918 rok. Wzięty do niewoli żołnierz niemiecki przypala papierosa rannemu Anglikowi, który najprawdopodobniej do tej niewoli go pojmał. W tle rzucony niemiecki pistolet maszynowy.

Vive la France oraz Liégeoise, stworzona na cześć bohaterskiego ruchu oporu belgijskiego miasta Liege.

Mobilizacja milionów mężczyzn podczas I wojny światowej zmusiła właścicieli koncernów zbrojeniowych do zatrudnienia kobiet. To pojawienie się kobiet jako realnej siły roboczej, które zbiegło się również z walką kobiet o prawa wyborcze, pomogło przełamać dziewiętnastowieczne normy dotyczące płci, które wymagały od kobiet pozostania w domu. Ta zmiana kulturowa przejawiała się także w latach dwudziestych dzięki tak zwanej „flapper", zwanej także „chłopczycą". Kobiety te gorszyły konserwatywne elementy międzywojennego społeczeństwa poprzez ubieranie się prowokacyjnie, obcięcie włosów, seksualne wyzwolenie i oczywiście palenie. Wcześniej palenie było uważane za „niestosowny" zwyczaj. Firmy tytoniowe również zaczęły pokazywać kobiety w reklamach w tym okresie. Wzrost liczby palących kobiet w oczach opinii publicznej w tym okresie jest tylko jednym z wielu przejawów zmienionego świata po roku 1918.

Według ostatnich badań Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) palenie tytoniu zabiło od początku XX wieku więcej osób niż obie wojny światowe razem wzięte.

♣ *pz*

A kiedy nadszedł wojny czas,
A kiedy nadszedł wojny czas,
Na wojnie o dziewczynie swej
Lub żonie myślał każdy z nas.

I ja tak samo myślałbym,
I ja tak samo myślałbym,
Alem spokojnie fajkę ćmił
I patrzył na niebieski dym.

Lecz nie myślałem wcale tak,
Lecz nie myślałem wcale tak,
Paliłem fajkę – gorzki był
Tytoniu tureckiego smak…

Ten fragment starej kozackiej piosenki oddaje istotę znaczenia tytoniu na wojnie. Wojna jest bowiem tym wyjątkowym czasem, kiedy akurat papierosy, cygara, tabaka i machorka najmniej szkodzą życiu i zdrowiu człowieka. W samej tylko Rosji w 1912 r. wypalano 12 miliardów papierosów rocznie. Po wybuchu wojny na froncie zaczęli palić także niepalący – papieros uspokajał, odprężał i stawał się ostatnią przyjemnością w życiu. Nawet skazańcom przed egzekucją proponowano ostatniego papierosa, chociaż był oczywiście szkodliwy dla zdrowia… (To taki ponury żart). Potem padała komenda „Cel! Pal!!!" (rzecz jasna, nie papierosa – to drugi ponury żart).

Palenie tytoniu jest na wojnie naturalną koleją rzeczy, jako że żołnierze w tej fazie poczynań ludzkości palą wszystko – domy, wioski, miasta, mosty itd. (to trzeci ponury żart). Nic więc dziwnego, że, jak obliczono, tylko w pierwszych czterech miesiącach Wielkiej Wojny na frontach paliło papierosy 96 proc. walczących! Pozostałe 4 proc. zapewne już nie żyło (to czwarty ponury żart). Nic zatem dziwnego, że produkcja i sposoby zaopatrzenia wojsk w tytoń stały się gałęzią przemysłu równie potężną, co produkcja broni i amunicji.



Żołnierze brytyjscy rzucają papierosy przez kolczaste druty niemieckim jeńcom, dopiero co wziętym do niewoli. Francja, w lipcu 1916 roku.

Żołnierz brytyjski dostawał dziennie 57 gramów tytoniu. Francuski tylko 20 gramów. Niemcy mieli do wyboru papierosy, cygara, tytoń fajkowy, tytoń do żucia i tabakę do wąchania. Aż dziwne, że przy takiej obfitości materiału do palenia mieli czas i ochotę strzelać, zamiast, jak to się mówi, jarać.

Tytoń, paradoksalnie, służył na wojnie pokojowi, jak fajka pokoju u Indian. Cóż bowiem miał zrobić żołnierz, który np. wziął do niewoli podobnego sobie nieboraka? W takim momencie, chcąc nie chcąc, obaj żołnierze musieli stać się ludźmi, no bo przecież nie zabije się już człowieka, który podniósł ręce do góry. Jak wybrnąć z tej głupiej poniekąd sytuacji, kiedy nie zna się języka bezbronnego już wroga, a coś zrobić trzeba? Ano, najlepiej poczęstować papierosem. Tak zrobił mój dziadek, przymusowy żołnierz carski, który zabłądził w labiryncie okopów i natknął się na równie zagubionego przymusowego żołnierza niemieckiego. Niemiec był ordynansem jakiegoś oficera, któremu niósł obiad. Jako że miał ręce zajęte menażkami, nie mógł wystrzelić. Dziadek mógł, bo nie niósł obiadu, tylko niejadalny karabin, ale nie wystrzelił. Poczęstował Niemca papierosem, po czym wspólnie zjedli oficerski obiad (a co miał się zmarnować), i jeniec został odprowadzony do sztabu, za co dziadek miał dostać medal, lecz nie dostał, bo wybuchła rewolucja.

Podejrzewam, że wybuchła, bo zaczęły się kłopoty z dostawami tytoniu na front. Z relacji żołnierzy rosyjskich wynika, że z braku tegoż tytoniu palili suszone końskie łajno, wymieszane z suszonymi liśćmi topoli, zawinięte w gazetę lub ulotkę. Smakosze preferowali ponoć liście dębu lub jesionu, ale nie da się tego sprawdzić bez doświadczeń praktycznych, co stanowczo odradzam. Nic zatem dziwnego, że doszło do buntu żołnierzy i marynarzy, spragnionych porządnego palenia. Bunt zainspirował Lenin. Niepalący zresztą.

Michał B. Jagiełło

Cukier krzepi

Odwiecznym prawem wojny jest łupienie podbitych terenów z czego się da i jak się da. I od wieków tereny polskie łupione były przez Prusów, Czechów, Jaćwingów, Tatarów, Krzyżaków, Szwedów i innych drogich sąsiadów. Jednakże podczas I wojny światowej Prusacy wprowadzili ten proceder na dużo wyższy poziom cywilizacyjny, doprowadzając go niemal do perfekcji. Nie ograniczali się już tylko do „świętego" prawa łupów wojennych, zwykłej konfiskaty mienia i produktów czy przymusu sprzedaży surowców i materiałów po zaniżonych cenach, dorzucili do tego zestawu bogaty wachlarz podatków i danin, którymi do reszty zrujnowali okupowane tereny.

Stare „rosyjskie" podatki zmodyfikowano i dołożono nowe (obowiązywało 9 podatków bezpośrednich i 16 pośrednich), liczne cła, opłaty stemplowe. Nie będziemy tutaj wymieniać wszystkich, ale wskażemy te, które rzucają trochę światła na szczególną pomysłowość Prusaków. Pobierali m.in. od właścicieli przedsiębiorstw podatek od kapitałów i zysków, pomimo że – jak powszechnie wiemy – fabryki stały unieruchomione. Nowo wprowadzony podatek wojenny naliczany był na okupowanych terenach nawet za rok obrachunkowy… 1913/1914!!! Wśród nowych podatków warto wspomnieć podatek zbożowy, podatek węglowy, podatek solny, podatek od biletów kolejowych i listów przewozowych, podatek od kart do gry, podatek mydlany, podatek od psów.

Przymusowemu zarządowi poddano szereg majątków, przedsiębiorstw i lasów – zarówno państwowych, jak i prywatnych. Zyski z tego tytułu Prusakom jednak nie wystarczały, pobierali bowiem dodatkowo opłaty na pokrycie kosztów administrowania zarządzanym biznesem. Czyli nie dość, że zabrali dobra prawowitym właścicielom, to kazali sobie za to płacić.

Innym pomysłem na podwójny zarobek była sekwestracja ziemniaków i wyrobów ziemniaczanych. Polscy producenci zostali zobowiązani do dostarczania wyznaczonych kontyngentów kartofli, a jedynym ich odbiorcą, po urzędowych (oczywiście zaniżonych) cenach, było utworzone w tym celu Wschodnie Towarzystwo Kartoflane w Berlinie „KARTO". Wywiezione ziemniaki przerabiano w Niemczech na spirytus, a ten wracał na tereny okupowane, gdzie objęty był „zwykłym" podatkiem monopolowym.

Jednak największe dochody (ponad 2/3 wpływów z podatków pośrednich) przynosił okupantom cukier. Znamy slogan „Cukier krzepi", który posiada co prawda metrykę międzywojenną, ale świetnie oddaje poglądy na ten produkt obowiązujące na przełomie XIX i XX wieku. Mówiono w tamtych czasach, że robotnik na dobrze osłodzonej herbacie potrafi przepracować cały dzień, w szpitalach zaś cukier był stosowany jako środek na wzmocnienie. Z jego pomocą Niemcy postanowili pokrzepić także swoje finanse. Akcyzę na cukier zastąpili monopolem cukrowym, wprowadzając sekwestr na całą produkcję cukru, melasy i syropów. Wprowadzono do tego system ekstra zezwoleń na przewóz pozakontyngentowego cukru opłacanych złotem!!! Każde 100 kg cukru przywożonego do Łodzi obłożone było wpłatą aż 50 marek w złocie. Tego było jednak Niemcom mało. Eksportowany do Niemiec cukier wracał jako cukier… holenderski, obłożony dodatkowym cłem, opłatą przewozową oraz opłatą tranzytową. No po prostu „złoty interes".

pz



K. u. k. Kreiskommando in Piotrków.

Kundmachung.

Die Preise für Monopolzucker verstehen sich ab 25. Jänner 1917 wie folgt:

Die Großkonzessionäre zahlen für
100 kg. Nichtraffinade Kristall K 266.30
100 kg. Raffinade . . . . . K 276.—

diese Preisbestimmung gilt für die Abgabe in Magazine des Großkonzessionärs.

Die Kleinverschleißer zahlen an die Großkonzessionäre
für 1 poln. Pfund nichtraffinierten Kristallzucker K 1.12
für 1 poln. Pfund raffinierten Zucker . . . . K 1.16

die Preisbestimmung gilt für die Abgabe in der Betriebsstätte des Kleinverschleißers.

Der Konsument zahlt an den Detailhändler:
für 1 poln. Pfund nichtraffinierten Kristallzucker K 1.16
für 1 poln. Pfund raffinierten Zucker . . . . K 1.20

Die Transportkosten werden dem Großhändler vom k. u. k. Kreiskommando vergütet.

Diese Verordnung tritt mit dem 25 Jänner 1917 in Kraft.

Piotrków, am 3. Feber 1917. Der k. u. k. Kreiskommandant

v. PETZOLD, m. p., Oberst.

Obwieszczenie.

Ceny na cukier monopolowy ustanowione zostały na czas od d. 25. Stycznia 1917 r. jak następuje:

Koncesyonowani hurtownicy płacą za
100 kg. nierafinowanego kryształu Kor. 266.30
100 kg. rafinady . . . . . Kor. 276.—

Te ceny są ważne przy oddaniu cukru do magazynu hurtownika.

Drobni sprzedawcy płacą hurtownikowi:
za 1 polski funt nierafinowanego cukru (kryształu) Kor. 1.12
za 1 polski funt cukru rafinowanego . . . . Kor. 1.16

te ceny są ważne przy oddaniu cukru na miejscu sprzedaży drobnemu sprzedawcy.

Osoby kupujące płacą drobnemu sprzedawcy:
za 1 polski funt nierafinowanego cukru (kryształu) Kor. 1.16
za 1 polski funt rafinowanego cukru. . . . . Kor. 1.20

Koszta przewozu będą hurtownikowi przyznane przez c. i k. Komendę obwodową.

Niniejsze rozporządzenie obowiązuje z dniem 25. Stycznia 1917 r.

Piotrków, dnia 3. lutego 1917 r. C. i k. Komendant obwodu

v. PETZOLD, m. p., Oberst.



UDZIELANIE CUKRU

OSOBOM POJEDYŃCZYM

jest niedozwolone, ponieważ każdy z mieszkańców posiada kartę cukrową, na zasadzie której otrzyma przepisaną na tejże karcie ilość cukru.

Piotrków, 7. lutego 1917 roku.

Wydział Handlowy c. i k. Komendy obwodowej w Piotrkowie.

Drukarnia „A. PAŃSKI" Piotrków, Bykowska 36.

Użyte w obwieszczeniu słowo „udzielanie" oznacza w tym przypadku „sprzedaż" lub „wydawanie" cukru bez okazania kartek. Nasz kraj, 60 lat później także wprowadził kartki na cukier co było zasługą nie czasu wojny a gospodarki socjalistycznej.

PANJEWAGEN

W języku polskim znajdziemy wiele naleciałości z innych języków – z angielskim, niemieckim i rosyjskim na czele. Jednakże nasza ojczysta mowa także odciska swoje piętno w mowie innych narodów, jak chociażby ostatnio – za sprawą chętnie emigrujących rodaków – na trwałe weszły do menu krajów anglosaskich słowa *kjelbasa* i *pierogi*.

Nie inaczej było przeszło sto lat temu. Wkraczające na tereny Królestwa Polskiego wojska Państw Centralnych przy każdym kontakcie z ludnością cywilną słyszały typowy dla potocznej polszczyzny zwrot *panie,* którym tubylcy rozpoczynali prawie każdą rozmowę między sobą lub próbę nawiązania konwersacji z najeźdźcami. Zwrot *panie* był tak powszechny, że stał się podstawą do ukucia kilkunastu określeń wszystkiego co miejscowe, chłopskie, a przede wszystkim słowiańskie, bo żołnierze zasadniczo nie rozróżniali Polaków od Białorusinów, Ukraińców generalnie biorąc wszystkich za Rosjan.

Najpopularniejszym i prawdopodobnie pierwszy słowem, które na trwałe weszło do języka niemieckiego, było *Panjewagen,* czyli zwyczajny wóz chłopski, tysiącami konfiskowany (niejednokrotnie z właścicielem) przez wojska niemieckie i austriackie. Spotyka się też pisownię z łącznikiem (*Panje-wagen*) lub rozdzielną (*Panje Wagen*).

Cząstkę *Panje-* w złożeniach należy tłumaczyć po prostu jako „chłopski". Zaś, rażąca nas swoją nienaturalnością, grupa spółgłoskowa *nj* jest jedynym sposobem na oddanie w niemczyźnie polskiego miękkiego ń .

Gdy przyszła zima, *Panjewagen* zastąpiły *Panjeschlitten,* czyli sanie. Konfiskowane masowo tworzyły *Panjekolonnen,* a więc wielokilometrowe kolumny. Na czas przerwy w działaniach bojowych żołnierze kwaterowali w *Panjehaus* lub *Panjestube* – chłopskich domach i izbach. Tam byli częstowani lub po prostu brali *Panjemilsch, Panjebrot i Panjeeier* – mleko, chleb i jajka. Ponieważ nie przywykli do ciężkich warunków polskiej zimy, rozgrzewać się musieli *Panjeschnaps* czyli bimbrem. Sam chłop to *Panje*, żona *Panjefrau*. Mają masę dzieci – *Panjekinder*, po gospodarstwie kręci się także czasem dziadek *Panje Grosspapa.*

Z czasem zjawisko występowania słownictwa z *Panje-* nie ograniczyło się do gwary żołnierskiej. Dzięki dostępności fotografii i modzie na frontowe kartki pocztowe odpowiednio podpisane obrazki z frontowego życia trafiały do ojczyzny. Drugim kanałem była prasa, w której od 1914 roku zaczęły pojawiać się słowa z *Panje-*.

Największą popularność miało, a zarazem najtrwalej zachowało się *Panjewagen*, które pozostawało w powszechnym użyciu także podczas kolejnej wojny. Mimo postępu techniki Wehrmacht nie był w stanie prowadzić działań bez chłopskich furmanek.



Fotografia powyżej – „Drogie prezenty dla Panje" głosi napis na pocisku niemieckiego ciężkiego moździerza prawdopodobnie kalibru 170 mm.



Fotografia poniżej – Niemiecki patrol zatrzymuje chłopski wóz w Strykowie. Właściciel prawdopodobnie usiłuje uniknąć konfiskaty. Stojący obok Żyd służy za tłumacza.

Zagonki, gruziołki, śrut i drobno mielona ospa – jak w Łodzi z głodem walczono

Tereny Królestwa Polskiego spustoszone działaniami wojennymi zaczęły odczuwać problemy z aprowizacją już na początku 1915 roku. W Łodzi pozbawionej dostaw zboża pojawiło się widmo głodu na przednówku. Główny Komitet Obywatelski stanął przed zadaniem pilnego dostarczenia produktów dla wykarmienia półmilionowego miasta. Na początku lutego 1915 roku doktor Józef Maybaum (współtwórca „Kropli Mleka"), wychodząc z założenia, że wojna potrwa „jeszcze do jesieni" 1915 roku (sic!), zgłosił pomysł obsadzenia ziemniakami przez Sekcję Rolną GKO wszystkich parków i placów miejskich, co miało przynieść już w czerwcu 1915 roku plony w wysokości 7200 korcy (1 korzec – 120-128 litrów) młodych ziemniaków (równocześnie potrzeby miasta obliczano na 3000 korcy… dziennie). Obawa przed grabieżą zasiewów sprawiła, że pomysł upadł niemal natychmiast. W zamian zasugerowano, aby tereny pod uprawy, po podziale na zagonki, przekazać do uprawy najbiedniejszym mieszkańcom Łodzi. Jednakże szybkie wyliczenia wykazały, że teren, którym dysponuje Komitet, pozwoli na przydzielenie działek tylko 2-3 tysiącom rodzin, podczas gdy aż 60 tysięcy brało różnego rodzaju zapomogi. Postanowiono więc wykorzystać tereny po wykarczowanym lesie wzdłuż drogi Konstantynowskiej i na Widzewie oraz zwrócić się do właścicieli podłódzkich folwarków (Biedermann – Brus, Geyer – Sikawa, Kindler – Widzew, Wojciechowski – Stoki), z prośbą o udostępnienia terenów pod zagonki dla robotników. Ogółem zdołano wytypować grunty dla wydzielenia działeczek 30-prętowych (1 pręt polski = 4,22 m²) dla ok. 6200 rodzin. Rozpoczęto już równać i nawozić polesia, gdy zdano sobie sprawę, że… robotnicy wcale nie muszą znać się na uprawie roli. Obawiano się także, że najzwyczajniej w świecie robotnicy przydzielone sadzeniaki z głodu zjedzą. Przygotowano więc na 15 kwietnia 1915 roku na godzinę 15.00 i 16.30 po południu odczyty dla potencjalnych „gospodarzy" w… Domu Koncertowym Vogla przy ulicy Dzielnej (ob. Narutowicza). Wykładowcą był włościanin z Będkowa Błażej Stolarski. „Odczyt swój prelegent rozpoczął przemówieniem wstępnym, wskazując na to, że ludzie zamożni specjalnie wyjeżdżają za granicę i na wieś dla świeżego powietrza, robotnik takie same korzyści osiągnie dla zdrowia, przepędzając kilka godzin dziennie w polu przy pracy". Co jak co, ale o świeże powietrze w Łodzi trudno było tak samo jak o żywność, niemniej w odczytach wzięło udział aż 2 tysiące osób, co sprawiło, że zdecydowano się na ich powtórzenie trzy dni później.

Na przednówku 1915 roku sytuacja wydawała się jednak bez wyjścia – brakowało ziemniaków, warzyw, ziemi. Wtedy dr J. Maybaum podał kolejny pomysł – dodawania mąki ziemniaczanej do wypieku chleba. Członek Sekcji Rolnej GKO Mieczysław Horodyński z Wiskitna poparł propozycję, uświadamiając mieszczuchów, że przecież „do chleba wiejskiego dodaje się gotowane kartofle" i na kolejne spotkanie Sekcji dostarczył aż trzy receptury na chleb z wykorzystaniem dostępnych w tym czasie składników. Receptury postanowiono opublikować w prasie łódzkiej i w formie ulotek.

Jeden z przepisów na „chleb kartoflany tak zwany chleb wojenny" według M. Horodyńskiego: „5 funtów obranych kartofli, 4 funty razowej lub pytlowej mąki, 4 funty otrąb żytnich, 2 kwarty wody i 2 łuty soli. Kartofle obgotować, następnie odcedzić wodę i zetrzeć jeszcze gorące przez sito, żeby gruziołków nie było. Następnie ciasto przełożyć do dzieży, dolać ciepłej wody, dodać sól i wymieszać z połową mąki i otrąb. Pozostawić w ciepłym miejscu na 18 godzin do wyrośnięcia. Następnie dodać resztę mąki i otrąb. Wyrobić. Masę odstawić do wyrośnięcia. Uformowane bochenki piec półtorej godziny".

Wojenny chleb w Łodzi zaczęto wypiekać już w maju 1915 roku. Wprowadzenie „wojennej" receptury pozwoliło zmniejszyć zużycie mąki żytniej o jedną trzecią. Dodatkowe korzyści miało przynieść wprowadzenie nakazu wypieku chleba tylko raz na dobę – w dzień (świeży chleb – jak wiemy – „pochłaniany" jest w większych ilościach niż czerstwy).

W miarę pogarszania się sytuacji aprowizacyjnej do wypieku chleba wojennego zaczęto wykorzystywać ziemniaki pod każdą postacią i każdy inny dostępny produkt nadający się do wypieku. Praktykę tę władze okupacyjne starały się usankcjonować. W jednym z okólników z 1916 roku czytamy:

Do wyrobu chleba żytniego należy również używanie kartofli. Zawartość kartofli przy używaniu kartofli suszonych, walcowanych lub mąki pszennej wynosić musi minimalnie 10 części wagi na 90 części mąki żytniej. Przy użyciu tłuczonych zawartości tychże wynosić musi przynajmniej 30 części na 90 części mąki żytniej.

Chleb żytni, do którego użyto więcej kartofli, oznaczony musi być głoską „K". Jeżeli zaś do chleba żytniego użyto więcej jak 20 części suszonych kartofli, kartofli walcowanych lub mąki kartoflanej albo więcej niż 40 części tartych lub tłuczonych kartofli, natenczas chleb taki musi być oznaczony głoskami „KK". Do wypieku chleba żytniego nie wolno używać mąki pszennej. W miejsce kartofli używać wolno mąkę grochową, śrut jęczmienny, mąkę jęczmienną, mąkę owsianą, drobno mieloną ospę, mąkę kukurydzową i mąkę ryżową w tej samej ilości co kartofle suszone.

Pan Horodyński najpewniej za swoje receptury na chleb wojenny żadnego patentu nie otrzymał (patrz tekst powyżej), podzielił się swoją wiedzą bezinteresownie dla dobra współobywateli i może dlatego nie został nigdy znanym politykiem. Został nim natomiast wspomniany włościanin z Będkowa – Błażej Stolarski w okresie międzywojennym był wicemarszałkiem senatu i ministrem rolnictwa.

pz



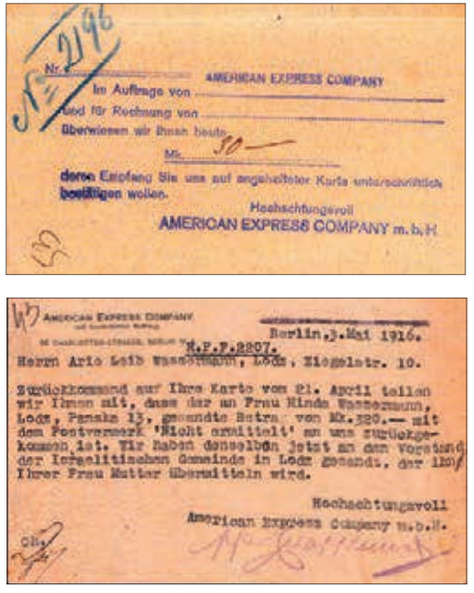
Kartki łódzkie z 1917 r. na chleb, mąkę i cukier.

Jak dostać się na Broadway?

American Express, znany nam przede wszystkim jako wystawca prestiżowych kart kredytowych, do wybuchu I wojny światowej był jedną z wielu amerykańskich instytucji finansowych. Na międzynarodowe wody wypłynął właśnie na początku Wielkiej Wojny.

Do roku 1917 Stany Zjednoczone pozostawały oficjalnie neutralne, stąd też wiele amerykańskich instytucji pośredniczyło w kontaktach pomiędzy stronami wojującymi. Szczęście uśmiechnęło się do American Express za pośrednictwem rządu brytyjskiego, który wybrał tę firmę do niesienia pomocy swoim żołnierzom pozostającym w niewoli Państw Centralnych. Firmie powierzono dostarczanie listów, pieniędzy i paczek do obozów jenieckich. Z czasem przedstawiciele American Express zaczęli także „obsługiwać" jeńców francuskich. Pod koniec wojny dostarczali jeńcom 150 ton paczek dziennie w sześciu krajach.

Pomoc finansowa była adresowana także do ludności cywilnej, w tym także na terenach okupowanych przez Państwa Centralne. I tu znajdujemy łódzki wątek. Amerykańscy Żydzi (niejednokrotnie będący świeżo przybyłymi emigrantami z Królestwa Polskiego i Galicji) nie zapomnieli o swoich pobratymcach pozostałych na Starym Kontynencie i słali większe lub mniejsze przekazy pieniężne także do Łodzi. Kontrolę nad realizacją przelewów sprawowała Łódzka Wyznaniowa Gmina Żydowska, która sprawdzała, czy aby adresatowi jakiekolwiek pieniądze się należą. Dbając o to, aby zastrzyki gotówki trafiały do naprawdę potrzebujących, żądano m.in. zaświadczeń o powołaniu męża do służby wojskowej lub posiadaniu licznej gromadki na wychowaniu.



AMERICAN EXPRESS COMPANY

Im Auftrage von

Und für Rechnung von

Überwiesen wir Ihnen heute

Mk. 320—

dorce Empfang Sie uns auf angehefteter Karte unterschriftlich bestätigen wollen.

Hochachtungsvoll

AMERICAN EXPRESS COMPANY m.b.H.

American Express Company

Berlin, 3. Mai 1916.

M.P.F.2207.

Herrn Arie Leib Wassermann, Lodz, Ziegelstr. 10.

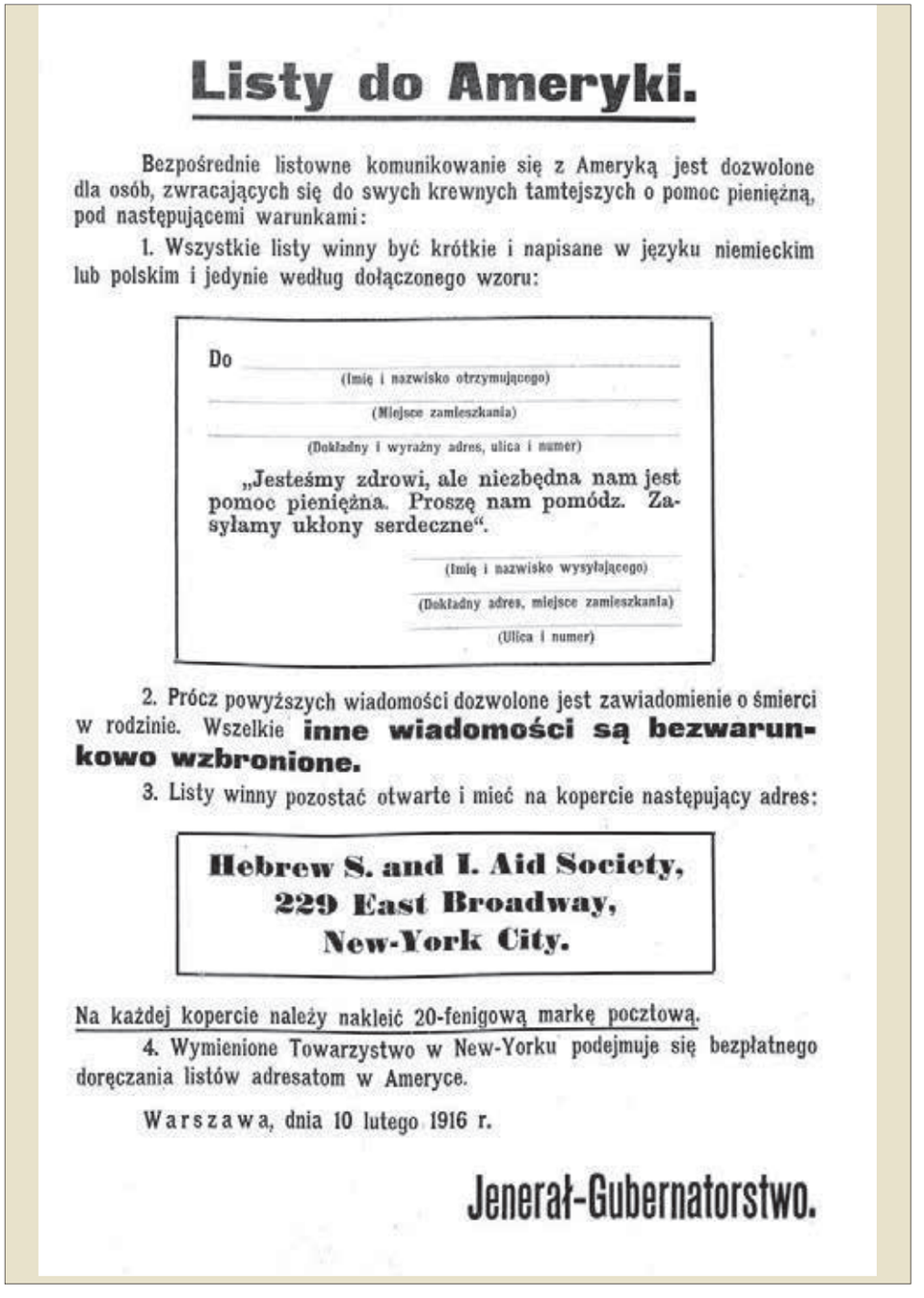
Zurückkommend auf Ihre Karte vom 21. April teilen wir Ihnen mit, dass der an Frau Hinda Wassermann, Lodz, Pansha 13, gesandte Betrag von Mk.320.— mit dem Postvermerk 'Nicht ermittelt' an uns zurückgekommen ist. Wir haben denselben jetzt an den Vorstand der Israelitischen Gemeinde in Lodz gesandt, der Ihrer Frau Mutter übermitteln wird.

Hochachtungsvoll

American Express Company m.b.H.

Karty towarzyszące przekazom zachowane w Archiwum Państwowym w Łodzi. Treść korespondencji była lakoniczna –Wsparcie od krewnych z Ameryki, lub urzędowa – Wracając do Twojej kartki z 21 kwietnia, informujemy, że kwota Mk. 320 wysłana do Pani Hindy Wassemann z Łodzi ul. Pańska 13 powróciła do nas z uwagą poczty „Nie ustalono adresata". Wysłaliśmy teraz przekaz do zarządu Gminy żydowskiej w Łodzi, która dostarczy pieniądze matce twojej żony.

Nie wiemy, jaki procent American Express pobierał od przekazów, ale faktem jest, że obłowił się nieźle, dzięki czemu postawił jeszcze przed końcem wojny 21-piętrowy biurowiec przy Broadwayu w finansowej dzielnicy Manhattanu.



Listy do Ameryki.

Bezpośrednie listowne komunikowanie się z Ameryką jest dozwolone dla osób, zwracających się do swych krewnych tamtejszych o pomoc pieniężną, pod następującemi warunkami:

1. Wszystkie listy winny być krótkie i napisane w języku niemieckim lub polskim i jedynie według dołączonego wzoru:

Do _____
(Imię i nazwisko otrzymującego)
_____
(Miejsce zamieszkania)
_____
(Dokładny i wyraźny adres, ulica i numer)

„Jesteśmy zdrowi, ale niezbędna nam jest pomoc pieniężna. Proszę nam pomódz. Zasyłamy ukłony serdeczne".

_____
(Imię i nazwisko wysyłającego)
_____
(Dokładny adres, miejsce zamieszkania)
_____
(Ulica i numer)

2. Prócz powyższych wiadomości dozwolone jest zawiadomienie o śmierci w rodzinie. Wszelkie **inne wiadomości są bezwarunkowo wzbronione.**

3. Listy winny pozostać otwarte i mieć na kopercie następujący adres:

Hebrew S. and I. Aid Society,
229 East Broadway,
New-York City.

Na każdej kopercie należy nakleić 20-fenigową markę pocztową.

4. Wymienione Towarzystwo w New-Yorku podejmuje się bezpłatnego doręczania listów adresatom w Ameryce.

Warszawa, dnia 10 lutego 1916 r.

Jenerał-Gubernatorstwo.

PRZYJECHAŁ RENTGENOBUS

Ilu żołnierzy I wojny poległo w walce? Zaledwie 5%. A pozostali? To ranni, których zniszczyły infekcje ran po kulach, szrapnelach, odłamkach i otwartych złamaniach. Był już znany sposób ułatwiający diagnozowanie i leczenie takich przypadków – aparat Röntgena – ale badania radiologiczne były dostępne wyłącznie w dużych miejskich szpitalach, daleko od linii frontu. Dzięki prześwietleniom można było szybko i dokładnie ustalić miejsce złamania kości bądź gdzie utkwiły kule czy odłamki.

Rozwój Instytutu Radowego, który stworzyła Maria Curie i którym kierowała, został odroczony na czas trwania wojny. Noblistka zwolniona z obowiązków uniwersyteckich włączyła się do wysiłku wojennego. Antoine Beclere dyrektor służb radiologicznych sił zbrojnych zaangażował ją do prac nad stworzeniem mobilnych radiologicznych oddziałów chirurgicznych oraz opracowania zmian sposobu ewakuacji rannych i metod natychmiastowej medycznej pomocy.

Niezwłocznie zrobiła spis wszystkich rentgenowskich aparatów, będących w laboratoriach Sorbony i w jej magazynach. Zarekwirowała je i przekazała szpitalom okręgu paryskiego. Do obsługi tychże aparatów zmobilizowała profesorów i inżynierów, których nie objęła mobilizacja. Osobny problem stanowiły szpitale polowe, do których w zastraszającej liczbie napływali ranni. Wiele z tych szpitali nie miało sprzętu rentgenowskiego, ale także dostępu do prądu. Zarówno personel medyczny, jak i lekarze nie mieli dostatecznych kwalifikacji i wiedzy w obsłudze sprzętu, w większości byli to wolontariusze, pielęgniarki Czerwonego Krzyża lub siostry zakonne.

Tu okazało się, że Maria Curie jest doskonałym menedżerem. Zwróciła się o pomoc do Związku Kobiet Francuskich, a za otrzymane od niego pieniądze przygotowała pierwszy „wóz rentgenowski", umieszczając na zwykłym małym samochodzie ciężarowym aparat rentgenowski i dynamo zapewniające prąd na jego działanie. Pierwszy taki ruchomy punkt rentgenowski jeździł od szpitala do szpitala już w sierpniu 1914 i obsłużył m.in. rannych w bitwie nad Marną. Te „ambulanse radiologiczne" nazywane przez żołnierzy francuskich „małymi Curie" mogły podjeżdżać bardzo blisko pól bitewnych, a tym samym ograniczać przewożenie rannych. Umożliwiały również wykonywanie prześwietleń pacjentów, co było bardzo przydatną funkcją dla dokładniejszego lokalizowania odłamków i pocisków oraz ułatwiania operacji.

Na jej prośbę kilka paryskich dam darowało lub pożyczyło swe limuzyny, które ona natychmiast przerobiła na „wozy rentgenowskie". Jeden z nich zachowała dla siebie – był to samochód marki Renault, ze względu na kształt maski nazywany też „krokodylem". Gdy nie jeździła do szpitali polowych, w Instytucie Radowym uczyła obsługi sprzętu rentgenowskiego sanitariuszy. W latach 1914 –1918 wyszkoliła 150 osób. Sanitariuszy-rentgenologów szkoliła też w Belgii. Przeszkoliła też 20 żołnierzy amerykańskich.



Maria Skłodowska-Curie zarezerwowała dla siebie jeden z 20 ambulansów rentgenowskich we francuskiej wojskowej służbie medycznej. Był to stary pojazd Renault; ze względu na kształt maski nazywany też „krokodylem". Zdjęcie wykonano w październiku 1917 roku (dzięki uprzejmości Musée Curie).

Stacje radiologiczne obsłużyły ponad 3 miliony przypadków urazów wśród francuskich żołnierzy. By uniezależnić się od szofera, w lipcu 1916 r. sama nauczyła się prowadzić samochód i uzyskła prawo jazdy, regularnie wyjeżdżała na front, wykonywała prześwietlenia. Dołączyła do niej jej osiemnastoletnia córka Irène, która przez całą wojnę robiła to samo w kilku szpitalach polowych.

Zawieszenie broni zastało Marię Curie w Paryżu. Cieszyła się podwójnie, ponieważ jej pierwsza ojczyzna – Polska – odzyskała wolność. Maria Curie nie zdecydowała się na powrót do ojczyzny.

W lipcu 1934 roku zmarła na białaczkę. Przez długi czas sądzono, że przyczyną choroby był długoletni kontakt z odkrytym przez nią radem. Zastrzeżenia wysunięto podczas badań jej ołowianej trumny (umieszczonej następnie w trumnie drewnianej), którą przenoszono z cmentarza w Sceaux do paryskiego Panteonu w 1995 r. Zmierzono wtedy poziom promieniowania we wnętrzu obu skrzyń i okazało się, że jest 20 razy niższy niż przyjęty jako bezpieczny dla zdrowia człowieka. Zdaniem francuskich ekspertów Maria Curie, prowadząc swoje badania, nie była wystawiona na działanie śmiertelnych dawek radu – białaczkę mogły natomiast wywołać wysokie dawki promieniowania rentgenowskiego, z którymi uczona stykała się później podczas ofiarnej pracy na froncie przy udzielaniu pomocy radiologicznej.

szjópz

NIE SĄ DŁUGIE MIESIĄCE ANI DNI ANI NOCE TO WOJNA JEST DŁUGA*

Apollinaire przyszedł na świat w Rzymie w 1880 roku jako Wilhelm de Kostrowitzky, a poetycki pseudonim zaczerpnął od ostatniego ze swych licznych imion: Guillaume Albert Vladimir Alexandre Apollinaire. Pewne jest tylko to, iż matką Guillaume'a była polska szlachcianka Angelika Kostrowicka. Apollinaire szczycił się swoją „polskością": złotym wężem w herbie i bohaterskim męczeństwem zniewolonego narodu. Matka poety, Angelika Kostrowicka, urodziła się w Nowogródku, nie znała polskiego, ale jej pochodzeniu syn przypisywał gwałtowny, słowiański temperament. Ta ekstrawagancka kobieta, bywalczyni kasyn w Monaco i Nicei, nigdy nie zdradziła, kto jest ojcem jej dwóch synów, ale – jak pisze Julia Hartwig – poeta „tolerował wszystkie możliwe warianty dotyczące swego pochodzenia, pod warunkiem by przypisywany mu ojciec był osobą wysoko postawioną, stąd jego chętna zgoda nawet na papę kardynała". Poeta, który swoją niejasną genealogię zdołał zamienić w osobistą legendę, nieomal przez całe życie pozostawał we Francji cudzoziemcem z rosyjskim paszportem. Sam Apollinaire żartował, że jest synem rosyjskiego generała. W każdym razie wiadomo, że wielce go zajmowała tajemnica własnego pochodzenia. Jako prozaik debiutował w marcu 1902 roku już pod pseudonimem Guillaume Apollinaire.

Paryż był w tych latach niekwestionowaną stolicą świata. Panowała kosmopolityczna atmosfera, aktywizowały się wszelkie awangardy literackie, poetyckie, teatralne i malarskie. Z zapałem dyskutowano o rewolucjach społecznych i filozoficznych, próbowano narkotyków (od kokainy do peyotlu), pito hektolitry wina i absyntu, no i smakowano wykwintne potrawy. Z tym ostatnim związana jest anegdota, w której Apollinaire gra rolę główną. Vlaminck opowiadał, że wchodzili w trójkę (Apollinaire i malarze André Derain oraz Maurice Vlaminck) do restauracji i zamawiali wszystkie dania z menu po kolei, od pierwszej przystawki po ostatni deser, jeśli w trakcie tego niewyobrażalnego wręcz obżarstwa nikt nie zrezygnował, to znów zaczynali zamawiać dania od początku karty dań. Ten, kto pierwszy nie mógł już nic w siebie wcisnąć i rezygnował, płacił za wszystkich. Apollinaire nie przegrywał w tej konkurencji.

3 sierpnia 1914 roku Francja przystąpiła do wojny. Apollinaire chciał wstąpić do wojska.



Wielka radość Apollinaire'a, że udało mu się zostać artylerzystą. Fotografia została wykonana tuż po zaciągnięciu się do armii.

Zgłosił się na ochotnika 10 sierpnia 1914 roku. Wielu obcokrajowców, z obawy przed internowaniem czy wydaleniem, mogło korzystać z prawa z 5 sierpnia 1914 roku, a dokładniej jego artykułu 3, w sprawie naturalizacji przyznawanej ochotnikom wstępującym do armii. Apollinaire raczej nie doznał patriotycznego uniesienia, starał się dowieść, że jest Francuzem – mimo kosmopolitycznego rodowodu. Widział, co się dzieje na ulicach Paryża. Fabryki, firmy, sklepy czy kawiarnie podejrzewane o niemieckie koneksje były dewastowane i grabione. Największe objawy złości i bezprawia dotknęły, nie wiedzieć czemu, magazyny i laboratoria firmy Maggi, czyli… szwajcarskiej. Przejawy agresji miały miejsce również w innych dużych miastach, gdzie byli atakowani przede wszystkim Niemcy albo – z powodu obcego akcentu – mieszkańcy Alzacji-Lotaryngii czy Polacy. Apollinaire zdawał sobie sprawę, że nacjonalistyczna opinia publiczna podejrzewała go, jako obcokrajowca, o najgorsze. Z tego powodu sądził, że musi to zrobić, musi wstąpić do armii. Odmówiono mu przyjęcia do wojska, powodem formalnym był brak obywatelstwa francuskiego. Na fakcie odmowy z pewnością zaważyła skomplikowana sytuacja personalna: Polak, a formalnie rzecz traktując Rosjanin (taki miał paszport), urodzony we Włoszech. Poza tym poborowi w tym czasie we Francji podlegali mężczyźni 20-letni i trafiali do czynnej służby na 3 lata. Od 24 roku życia przez 11 lat pozostawali w rezerwie (do 34 roku życia), a następnie przez 7 lat w obronie terytorialnej (do 41 roku życia), a wreszcie od 42 do 48 roku życia w rezerwie obrony terytorialnej. Z tego powodu komisja wojskowa, kiedy zobaczyła otyłego faceta, który według obowiązujących ich instrukcji uwzględniających wiek nie nadawał się do służby czynnej (Apollinaire miał skończone 34 lata), po prostu odesłała go, wykorzystując przyczyny formalne. Poza tym



Picasso jako jego przyjaciel, a jednocześnie hiszpański obywatel, daleki był od hurapatriotyzmu, spakował się i wyjechał do Hiszpanii. Jednocześnie z ironią skomentował bojowy zapał poety. Rysunek jest pastiszem popularnych rysunków przedstawiających chwałę Napoleona – postawny Apollinaire na tle armaty, z szablą w dłoni, pyka fajeczkę, niebiosa rozstąpiły się i promienie oświetlają pole bitwy z porzuconą mapą i pociskiem armatnim. Na trójkolorowym tle podpis: Guillaume de Kostrowitzky Artilleur 1914.

Pablo Picasso, Guillaume de Kostrowitzky, 1914, rysunek tuszem, akwarela.

ciążyła na nim afera związana z kradzieżą z Luwru portretu Mony Lizy autorstwa Leonarda da Vinci. W sierpniu 1911 został nawet aresztowany na 5 dni. Sprawa wyjaśniła sie dość szybko i uwolniono go od wszelkich zarzutów. Jednakże w wakacyjnym sezonie ogórkowym, kradzież obrazu i pobyt poety w areszcie były świetnym tematem dla prasy przytaczającej wszelkie szczegóły policyjnego dochodzenia. Cień oskarżeń związanych z Giocondą towarzyszył mu do końca życia.

Na początku września wraz z falą paryżan, zagrożonych ofensywą niemiecką, przeniósł się na południe Francji. Kolejny raz zgłosił się do biura rekrutacji wojskowej – tym razem w Nîmes 29 listopada i jednocześnie złożył kolejny raz wniosek o przyznanie obywatelstwa. 6 grudnia został wcielony do 38 Pułku Artylerii Polowej. No tak, ale to już był grudzień i po dość dotkliwych stratach w swoich szeregach armia francuska brała wszystkich chętnych.

Apollinaire musiał przestawić się na diametralnie inny tryb życia: nieustanny wysiłek fizyczny, marsze, ćwiczenia, pobudki o świcie,



Guillaume Apollinaire w mundurze 96 Pułku Piechoty.

nocne ćwiczenia, nauka jazdy konnej, która dla korpulentnego i niewprawnego nowicjusza była wręcz bolesna, a do tego dochodziła jeszcze codzienna pielęgnacja konia. Okazało się, że radzi sobie świetnie. Po selekcji i egzaminie wstępnym został zakwalifikowany do oddziału kandydatów do służby oficerskiej. Zdał egzamin z najwyższą notą, niestety niemal równolegle wydano rozkaz, że awanse będą przyznawane jedynie na froncie. Oddział nadal prowadził ćwiczenia, ale nadzieje awansu przesuwały się w niewiadomą przyszłość.

O jego radości ze służby wojskowej dowiadujemy się z licznych listów wysyłanych do przyjaciół. Apollinaire przystosował się do prostego żołnierskiego jedzenia i odmiennego towarzystwa. W kantynie pił wino i gawędził z niedawnymi woźnicami i furmanami zwerbowanymi do obsługi koni transportujących działa. Kantyna pełniła teraz rolę paryskiego bistro, a kanonier Guillaume Apollinaire, między wojskową rubasznością a towarzyską ogładą, wodził rej w tym nowym dla niego towarzystwie. Wśród wielu listów wysłał również list do matki, powiadamiając ją o swoim wstąpieniu do wojska. Odpowiedź jest godna pełnej troskliwości matki Polki: „Uważaj, aby cię nie pokopały nieobłaskawione konie, nie bij ich, obchodź się z nimi łagodnie, pieść je, myślę, że to najlepszy sposób. Powinieneś najpierw nauczyć się dosiadać konia, uważaj, żebyś nie spadł, poza tym bądź ostrożny z rewolwerem, bo zdaje mi się, że nie umiesz się nim posługiwać. Nie wiem, dlaczego zaciągnąłeś się do artylerii. Czy sam wybrałeś broń, czy też dostałeś skierowanie? Mam świetne konfitury ze śliwek, dobrze wysmażone, czy chcesz, żebym Ci włożyła dwa słoiki?". Nie wiemy, czy przesyłka z konfiturami dotarła.

Wiosną 1915 roku jego pułk walczył w Szampanii. Apollinaire, jako łącznik konny między artylerią i piechotą, przechodził swój chrzest bojowy, został ostrzelany przez Niemców na odkrytym wzgórzu.

Służba w artylerii nudziła go, inaczej sobie to wyobrażał. Poza tym poznał podstawową zasadę wojskową: im wyższy stopień wojskowy, tym mniej mogą ci rozkazywać. Po niespełna roku służby w artylerii, 18 listopada 1915 roku, na własną prośbę został przeniesiony do 96 Pułku Piechoty w randze porucznika. W nowej jednostce został miło przyjęty. W korespondencji z tego czasu zaznacza: „Życie oficerów piechoty, o ile mogłem się zorientować, jest w największym stopniu uciążliwe. Oficerowie śpią na ziemi. Podoficer artylerii żyje o wiele wygodniej na wojnie niż wyższy oficer piechoty". Tuż przed Bożym Narodzeniem dostał urlop, ale już w pierwszych dniach stycznia wrócił do wojennej rzeczywistości. „Żyję w tym wszystkim jak we śnie" – pisze w kolejnym liście. Niedługo też otrzymał upragnione obywatelstwo. Kilka dni później 17 marca 1916 roku został ciężko ranny szrapnelem w prawą skroń. Trafił do szpitala. Od pierwszych chwil był pod troskliwą i serdeczną opieką.

Na wieść, że Apollinaire znalazł się w paryskim szpitalu, tłumnie odwiedzali go przyjaciele. On leżał z wyrazem cierpienia na twarzy, a obok na nocnym stoliku leżał przestrzelony hełm. Przeszedł operację trepanacji czaszki, a dalsza rekonwalescencja była długa i bolesna. Częściowo osładzał ją otrzymany za odwagę



Odłamek pocisku przedziurawił hełm, przebił skroń i utkwił w głowie.

francuski Krzyż Wojenny (Croix de Guerre). Apollinaire powrócił z frontu odmieniony. Stał się wybuchowy, nieufny. Pisał jak szalony i zaczął stronić od przedwojennego „złego" towarzystwa. Ostatnie miesiące życia rozjaśniła mu jeszcze łagodna, czuła miłość i małżeństwo z piękną, rudowłosą Jacqueline Kolb. Osłabiony wojną i ciężką operacją Apollinaire padł ofiarą epidemii grypy hiszpanki. Zmarł w domu przy bulwarze Saint-Germain, 9 listopada 1918 roku. Jego przyjaciel, pisarz Paul Léautaud napisał o tym w swoim dzienniku pod datą 11 listopada „grypa jelitowa z komplikacjami i zatorem płuc". Ledwie dwa dni po śmierci Apollinaire'a cała Francja z Paryżem na czele świętowała zakończenie wojny, a w dalekiej Polsce przystąpiono do rozbrajania oddziałów niemieckich. Pochowano go na Cmentarzu Père-Lachaise.

Był jednym z najważniejszych członków artystycznej społeczności paryskiego Montparnasse'u i jednym z najwybitniejszych poetów XX wieku, prekursorem kierunków awangardowych, w tym surrealizmu, któremu nadał nazwę, autorem fundamentalnych dla XX-wiecznej awangardy poetyckiej tomików i zbiorów wierszy.

Jego przyjaciółmi i współpracownikami byli między innymi: Pablo Picasso, André Breton, André Derain, Blaise Cendrars, Pierre Reverdy, Jean Cocteau, Erik Satie, Ossip Zadkine, Marc Chagall i Marcel Duchamp. Piosenki do tekstów Apollinaire'a śpiewali m.in. Yves Montand i Georges Brassens. Wiele wierszy do dziś śpiewają francuscy bardowie.

W jednym z jego listów znajdujemy takie wyznanie: „Trzech jest dziś Polaków znanych w literaturze, a żaden z nich nie pisał po polsku. Conrad w Anglii (ma talent), Przybyszewski w Niemczech i ja we Francji".

♣ *zj*

* Tytuł jest fragmentem wiersza Apollinaire'a *Do Italii* z tomiku *Kaligramy.*

Przygwoździmy ich!

Nie od dziś wiadomo, że każda wojna wymaga pieniędzy. Napoleon Bonaparte był pierwszym, który powiedział, że do prowadzenia wojny potrzebne są trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Potem tę oczywistą prawdę powtarzali inni, mniej sławni wodzowie. Wojny z założenia mają trwać krótko. Pod koniec 1914 r. front ustabilizował się na łuku: od kanału La Manche aż do granicy ze Szwajcarią. Do 1918 r. przesuwał się bardzo wolno, gdyż żadna ze stron nie uzyskała decydującej przewagi. Stojące naprzeciw siebie wojska rozbudowywały umocnienia, schrony i zasieki z drutu kolczastego. Na froncie zachodnim rozpoczęła się wojna pozycyjna. Przedłużające się działania wojenne powodowały braki funduszy. Gospodarka państw centralnych próbowała radzić sobie z niedoborami między innymi poprzez produkcję wszelkiego rodzaju ersatzy (o tym w kolejnym numerze BŁ). Organizowano także różne akcje charytatywne, które miały przynieść fundusze dla rannych oraz wdów i sierot. Pomysłowość organizatorów zbiórek nie miała granic. Rozpoczęto między innymi na wielką skalę akcje... wbijania gwoździ w drewniane figury (Kriegsnagelungen). Niosły one duży wydźwięk propagandowy – odwoływały się do patriotyzmu i poczucia narodowej wspólnoty obywateli, walki o zwycięstwo na „froncie domowym" (Heimatfront). Pomysł był niezwykle prosty. W większym mieście ustawiano figury: rycerzy, żołnierzy, postaci historycznych, symboli regionalnych i krajowych, orłów, lwów, a nawet łodzi podwodnych. Każdy mógł zakupić dowolną ilość specjalnie na ten cel wyprodukowanych kolorowych gwoździ (złote, srebrne, czarne i żelazne) i uroczyście wbić je w wyznaczone miejsce w zależności od koloru. Imię i nazwisko darczyńcy było wpisywane w pamiątkowej księdze, pieniądze natomiast przeznaczano na określony fundusz. Podczas wbijania gwoździ były wypowiadane słowa: „Z Bogiem! Dla Cesarza i Rzeszy! I pokoju! („Mit Gott! Für Kaiser und Reich! Und Frieden!"). Ceny gwoździ wynosiły od 50 fenigów do 50 marek w złocie za sztukę. Figury zaś mierzyły od 2 do 2,5 metra wysokości.

Pierwsze takie przedsięwzięcie odbyło się 6 marca 1915 r. w Wiedniu, gdzie na placu Schwarzenberga ustawiono rzeźbę średniowiecznego rycerza Żelaznego Obrońcy (Wehrmann in Eisen) wykonaną przez rzeźbiarza Josefa Müllnera. Figurę pokryło aż 500 tysięcy gwoździ. Częstym obiektem wykorzystywanym podczas wbijania gwoździ był drewniany model łodzi podwodnej. Co ciekawe, jako pierwsi na ten pomysł wpadli nie Niemcy (mistrzowie wojny podwodnej), a Austriacy. Pierwszy drewniany model okrętu podwodnego ustawił Austriacki Związek Floty w gospodzie Hipolita Manna w Favoriten – dziesiątej dzielnicy Wiednia. Niemcom pomysł sojuszników przypadł do gustu, w roku 1916 podczas wystawy w Berlinie model łodzi podwodnej został podarowany społeczeństwu przez przemysłowca Gustava Kruppa von Bohlen und Halbach. Pierwszego gwoździa w imieniu cesarza Franciszka Józefa I przybił jego zięć arcyksiążę Franciszek Salvator.





Po lewej słynny wiedeński Wehrmann in Eisen. W figurę wykonaną z drzewa lipowego wbitych jest około 500 000 gwoździ. Po prawej drzewo, najwyraźniej na prowincji brak było zdolnych rzeźbiarzy.

Osobne akcje prowadzono w szkołach (Schulnagelungen). Motywy wojenne były projektowane przez takich artystów jak: Carl Ederer, Josef Huber, Edmund Körner.

W ofercie było 28 motywów wojennych: Krzyż Żelazny, orzeł, lew, okręt. Szkoły zamawiały tarcze do pokrywania gwoździami. Tarcza o średnicy 70 cm mogła pomieścić od 3 do 4 tysięcy gwoździ. Gwoździe kosztowały od 2 do 5 fenigów.

Wbijanie gwoździ okazało się wielkim sukcesem finansowym, ale upragnionego zwycięstwa nie przyniosło. Dalecy jednak jesteśmy od twierdzenia, że wykorzystywanie deficytowych metali na takie szczytne cele stało się gwoździem do trumny państw centralnych.

♣ *Adriana Bryk*



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-K-6802.

***Helena Maria Paderewska** (w pierwszym rzędzie od lewej): polska działaczka społeczna, żona kompozytora i premiera Ignacego Jana Paderewskiego. W okresie I wojny światowej organizowała pomoc dla ofiar wojny w Polsce i dla żołnierzy Armii Polskiej we Francji. Od 1919 r. była prezesem Polskiego Czerwonego Krzyża. **Ignacy Paderewski** – pod jego wpływem prezydent Woodrow Wilson umieścił w swoim ultimatum, uzależniającym podpisanie przez Stany Zjednoczone traktatu wersalskiego, punkt domagający się zgody stron traktatu na odrodzenie Polski. Oraz żona prezydenta Francji i **Raymond Poincaré**, prezydent Francji w latach 1913-1920, w 1917 r. wydał dekret o utworzeniu polskiej armii dowodzonej później przez generała Hallera.* ♣ *zj*

VIVAT POLSKA ARMIA PRZEZ FRANCUZÓW STWORZONA

Roman Dmowski (1864–1939) – polityk, publicysta, główny ideolog Narodowej Demokracji, zawołany wróg Józefa Piłsudskiego (podobno nie polityka a kobieta była tego przyczyną) przez swoich zwolenników uważany jest niemal za twórcę polskiej armii we Francji. W grubym dziele *Polityka polska i odbudowa państwa* tak opisuje powstanie armii polskiej we Francji. Uwaga! Czytać ze zrozumieniem!

„W maju 1917 r. otrzymałem wezwanie do Paryża dla naradzenia się w sprawie utworzenia armii polskiej we Francji, która znajduje się na poważnej drodze i która ma poparcie szefa misji wojskowej rosyjskiej w Paryżu [...] Rzecz tedy nie obudziła we mnie zapału [...] więc nie śpieszyłem się z wyjazdem do Paryża.

Okazało się, żem źle zrobił, bo tam sprawa poszła bardzo szybko. Gdym przybył do Paryża, zastałem już fakt dokonany.

4 czerwca ukazał się dekret Prezydenta Rzeczpospolitej Francuskiej, którego artykuł pierwszy brzmiał: *Tworzy się we Francji na czas wojny samoistną armię polską pozostającą pod rozkazami wysokiego dowództwa francuskiego i walczącą pod sztandarem polskim.*

Podpisany przez Prezydenta Poincarego [...] dekret ten był wielkim aktem państwowym. Był on wszakże wewnętrznym aktem francuskim. Robił sprawę armii polskiej sprawą francuską, nie zaś wszystkich sprzymierzonych. [...] Francja wszakże, biorąc sobie zwierzchność nad armią polską, jednocześnie zapewniała organizację i utrzymanie tej armii, rozwiązując kwestię, której my przecie rozwiązać nie byliśmy w możności.

Motywy działania rządu francuskiego były całkowicie zrozumiałe. Jako państwo, głównie zainteresowane w położeniu na kontynencie europejskim i najwięcej zagrożone przez rozkład Rosji, Francja najściślej ze wszystkich sprzymierzonych była związana ze sprawą organizacji nowych państw w Europie środkowej. Stąd jednoczesne wzięcie przez nią w ręce sprawy organizacji armii polskiej i czesko-słowackiej. Z drugiej strony Francja przez swą tradycję ze wszystkich sprzymierzonych najbliżej była związana z Polską.[...] Jeżeli tedy organizacja armii polskiej miała nie być sprawą wszystkich sprzymierzonych, ale tylko jednego z nich, to niewątpliwie rola ta należała do Francji. [...]

Rząd francuski od początku rozumiał, że równolegle z tworzeniem armii polskiej na Zachodzie musi powstać organizacja polityczna polska, która będzie współpracowała z nim w tworzeniu tej armii i która będzie za nią przed Polską odpowiedzialna. [...] od chwili ogłoszenia dekretu o armii polskiej mieliśmy zapewnione poparcie rządu francuskiego w sprawie oficjalnego uznania organizacji politycznej, którą stworzymy. [...] Komitet Narodowy w Paryżu rozpoczął swe działanie bez żadnego aktu publicznego ze swej strony. Rząd francuski oczekiwał od Komitetu, że zacznie od poparcia całym swym autorytetem zaciągu ochotników do armii polskiej, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. [...]

Owocem tej współpracy naszej z władzami francuskimi była pod wiosnę 1918 r. jedna dywizja w pełnym składzie wszystkich rodzajów broni, w organizacji swej wykończona, i druga zbliżająca się do ukończenia.[...]

W dzień święta francuskiego, 14 lipca, odbyła się wielka parada wojsk sprzymierzonych w stolicy Francji. Wziął w niej udział batalion naszej piechoty. Pochód otwierał oddział francuski, potem szli w alfabetycznym porządku Amerykanie, Anglicy, Belgowie, Grecy, Włosi, Polacy, Portugalczycy, Rumuni, Serbowie, Czechosłowacy. Ukazanie się oddziału polskiego, entuzjastycznie witanego przez zgromadzone tłumy okrzykami: Vive la Pologne – wywarło silne wrażenie.[...] Gdy ukazał się oddział polski – rosłe barczyste chłopy – maszerujące znakomicie z marsowym wyrazem na twarzach (oficerowie zakazali żołnierzom uśmiechać się do publiczności), rozległy się wyrazy podziwu. [...]



Józef Haller von Hallenburg *(1873–1960) – generał broni Wojska Polskiego, Naczelny Dowódca wszystkich Wojsk Polskich od 4 października 1918 r. Absolwent Akademii Technicznej w Wiedniu wydziału artylerii. 14 lutego 1918 r. odesłał cesarzom Karolowi i Wilhelmowi ordery – jak napisał – „z powodu haniebnej zdrady" Polski, co oznaczało wypowiedzenie posłuszeństwa Austro-Węgrom. 11 maja 1918 r. dowodził II Korpusem Polskim w bitwie pod Kaniowem z oddziałami niemieckimi dążącymi do rozbrojenia Polaków.*

W tym samym dniu, po uroczystości wojskowej zjawił się w biurze Komitetu Narodowego jenerał Haller, który w przeddzień przybył przez Murmańsk do Paryża. Przybył w sam czas, w chwili właśnie, kiedy byliśmy w poszukiwaniu wojskowego, którego by można było mianować naczelnym wodzem armii polskiej.

Rzecz stawała się pilna. Ciągle usiłowano buntować nam żołnierzy, ciągle szła agitacja, prowadzona głównie w imię Polski, utworzonej aktem 5 listopada, w imię legionów i ich twórcy Piłsudskiego. Starano się przekonać naszych żołnierzy, że nie są wojskiem polskim, że są czymś w rodzaju legii cudzoziemskiej w armii francuskiej [...]

W tych warunkach Haller spadł nam jak z nieba, zwłaszcza że od bitwy pod Kaniowem był już osobistością popularną. Nawiasem mówiąc, znajdował się on wśród publiczności, przyglądającej się paradzie armii sprzymierzonych, i przyznał, że po raz pierwszy widział wojsko polskie, mające tak znakomity wygląd wojskowy.

Bez długiej dyskusji zapadła w Komitecie decyzja o mianowaniu Hallera wodzem naczelnym armii polskiej".

I już, jest armia i Haller nawet spadł z nieba w odpowiednim momencie.

A teraz fragment z pamiętnika Witolda Trawińskiego (1864–1976) – członka drużyn Sokolich w Stanach Zjednoczonych, działacza skautowego, absolwenta kursu wojskowego w Kanadzie, a wreszcie żołnierza armii polskiej, który w zupełnie innym świetle przedstawia stosunek Dmowskiego do sprawy formowania we Francji polskich oddziałów.

„W pałacowej rezydencji nr 211 rue Saint-Honore przywitał nas [...] sekretarz Komitetu Narodowego Polskiego wrócił z wiadomością, że pan Dmowski znajduje się na miejscu i pragnie spotkać się z nami. Ale przed audiencją musimy podpisać przygotowane przez niego przyrzeczenie. Przyrzeczenie opiewało, że my *dajemy oficerskie słowo honoru, iż tego, co od p. Dmowskiego usłyszymy, nigdy nie użyjemy szkodliwie dla jego działalności politycznej*.

Sekretarz podążył z tym cyrografem do następnej sali i wrócił z Dmowskim, który nas serdecznie powitał i po wysłuchaniu naszego sprawozdania, przeszedł do własnego sprecyzowania istotnego stanu rzeczy, zaczynając od Wacława Gąsiorowskiego[1] (oświadczenie p. Dmowskiego przytaczam w streszczeniu):

– Gąsiorowski, którego znam osobiście – rzekł – pokrzyżował moje niepodległościowe plany polityczne swym uzyskaniem dekretu o autonomicznej Armii Polskiej we Francji. Gąsiorowski jest znanym patriotą, jest dobrym pisarzem powieści wojskowych, ale jako wojskowy jest dyletantem, a w prowadzeniu polskiej polityki niepodległościowej na arenie międzynarodowej posiada jeszcze mniej doświadczenia. Postępuje zbyt pochopnie, nie licząc się z konsekwencjami. Was niepotrzebnie ściągnął do Francji i pcha na front, kiedy już morze krwi polskiej spłynęło w armiach zaborców. [...] Jakąż korzyść dla sprawy polskiej mamy z Legionów Polskich? Daremna utrata życia młodzieży polskiej, a dla pozostałych przy życiu internatza drutami niemieckich obozów. Wy też możecie być wyzyskani bez korzyści dla sprawy.[...] Ja zrobiłem ze swej strony wszystko, co mogłem, aby nie dopuścić do zrealizowania planów Gąsiorowskiego. Dowiedziawszy się o uzyskaniu przez niego dekretu prezydenta Poincarego o armii, przybyłem z Anglii do Francji, lecz było już za późno. [...]

Teraz gdy znajdujecie się na terenie Francji, wojsko polskie powinno koniecznie znajdować się pod politycznym zwierzchnictwem Komitetu Narodowego Polskiego. Konferuję już z członkami rządu francuskiego, lecz sprawa niełatwa. Ja jednak wierzę, że jakoś dogadamy się. Jutro mam wyznaczone ponowne spotkanie z przedstawicielami rządu. W najgorszym razie wy, a szczególnie podporucznik Trawiński, wyznaczony na chorążego pułku, możecie nam dopomóc do uzyskania przez Komitet politycznego zwierzchnictwa nad tworzącym się wojskiem, jeżeli w toku rokowań nie uda nam się go zdobyć. Oto według poufnych doniesień, w dniu 8 marca będzie wręczony przygotowany przez Polki paryskie sztandar pierwszemu pułkowi strzelców. Uroczystość ma się odbyć w Pałacu Inwalidów w Paryżu w obecności dygnitarzy alianckich. Chodzi o to, aby pan porucznik Trawiński odmówił przyjęcia sztandaru, jeżeli ja nie będę zaproszony do udziału w tej ceremonii. Trzeba, żeby pan oświadczył, że może przyjąć sztandar tylko od Dmowskiego, jako głowy Komitetu Narodowego Polskiego, najwyższej politycznej reprezentacji narodu polskiego na uchodźstwie.

Nie odrzuciłem tej propozycji, ani też nie przytaknąłem.[...] Usłyszane credo polityczne Dmowskiego było dla mnie zbyt rewelacyjne.

Przed zamknięciem dyskusji ppor. Jędrczak wtrącił zapytanie o wyjaśnienie niezrozumiałego wciąż dla nas rzeczywistego stanowiska Komitetu odnośnie tworzącej się armii. Na przykład należący do Komitetu Narodowego Polskiego Mistrz Paderewski przewodził rekrutacji do polskiego wojska, a on, Dmowski, jest zasadniczo oponentem tego ruchu. Jak to należy pojmować?

Dmowski na to odpowiedział:

– Paderewski prowadzi to na własną rękę. [...] Wypiliśmy jeszcze drugą butelkę wina, zanim pożegnaliśmy się z Dmowskim, ale zaraz po znalezieniu się na ulicy zaczęliśmy pytać jeden drugiego: Czy Dmowski jest z nami i naszymi dążeniami do polskiego wojska po stronie aliantów zachodnich? Czy jego pacyfistyczne szukanie niepodległości Polski w odmętach światowej wojny nie jest złudą?”.

Kiedy nastąpiła chwila wyjazdu Armii Polskiej z ziemi francuskiej do Polski, było to pięć pełnych dywizji, z artylerią, lotnictwem, służbą techniczną, kawalerią i taborami – razem 68 tysięcy żołnierzy (stan na czerwiec 1919). Armia Polska była uzbrojona w całości przez Francję. Nowoczesna broń Błękitnej Armii – a zwłaszcza samoloty, artyleria i czołgi Renault FT-17, najnowocześniejsze w tym czasie – niezwykle wzmocniły tworzące się Wojsko Polskie.

zj



Defilada armii Hallera w Łodzi na ulicy Piotrkowskiej w kwietniu 1919 r. zgromadziła tłumy mieszkańców. Jednym z defilujących żołnierzy był Ludwik Kaźmierczak – na zdjęciu w narożniku: Kaźmierczak w mundurze armii Hallera, z narzeczoną. Pochodził z Poznania, w 1915 r. został zmobilizowany do armii niemieckiej. Do Błękitnej Armii trafił jak tysiące Polaków – prosto z niewoli alianckiej. A co jest interesujące w Ludwiku Kaźmierczaku? Pewnie to, że jest dziadkiem Angeli Merkel.

1 Wacław Gąsiorowski, (1869–1939) – powieściopisarz, dziennikarz, publicysta, a także scenarzysta, działacz polonijny i niepodległościowy; redaktor czasopism polonijnych w Stanach Zjednoczonych, autor powieści historycznych nawiązujących głównie do epopei napoleońskiej i powstania listopadowego.

Wydziergaj coś!

Każda wojna ma swoje okropności. Niektóre z najbardziej trwałych obrazów z I wojny światowej to młodzi żołnierze walczący zarówno z wrogiem, jak i błotem, wilgocią i lodowatym zimnem w okopach europejskich pól bitewnych. Szybko okazało się, że przydziałowe sorty mundurowe bardzo słabo chronią żołnierzy przed żywiołami przyrody. Towarami pierwszej potrzeby obok tytoniu, herbaty i alkoholu stały się także szaliki, rękawice z jednym palcem, swetry, czapki, kominiarki, a zwłaszcza skarpetki. Te ostatnie były niezbędne, aby w błotnistych rowach, w których żołnierze spędzali tak dużo czasu, stopy pozostawały stale ciepłe i suche. Gdy tego nie zapewniano, pojawiała się tzw. stopa okopowa – spuchnięta i odmrożona z powodu długotrwałego ucisku kończyn przez buty oraz długotrwałej ekspozycji na obniżoną temperaturę bądź wilgotne lub mokre środowisko. Nic więc dziwnego, że dzierganie na drutach stało się ważnym aspektem wsparcia żołnierzy na froncie domowym w każdym kraju biorącym udział w wojnie. Dziergali wszyscy dzieci w szkołach, panienki w pensjonatach, więźniowie Sing Singu, ranni i rekonwalescenci w szpitalach wojskowych. Organizowano zawody i festyny poświęcone pozyskaniu jak największej liczby dzianych elementów odzieży. Dzierganie stało się obowiązkiem patriotycznym.

pz

1.



2.


ARCHIWA NARODOWE

3.


BIBLIOTEKA KONGRESU

4.


ARCHIWA NARODOWE

5.


ARCHIWA NARODOWE

1. Zrób coś na drutach dla naszej pierwszej linii obrony, plakat z 1917.

2.Kobiety dziergają na drutach na stoisku Czerwonego Krzyża, czekając na pociągi na Grand Central Station w Nowym Jorku, 1918.

3. Więźniowie dziergają na dziedzińcu w Sing Sing podczas koncertu klubu mandolinowego, 1915.

4. Dziewiarze w Central Parku, 1918,

5. Strażacy z Cincinnati pod nadzorem pań z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża uczą się robić na drutach, 1918.



W roku wojennym 1914 niemieckie dziewczynki robią na drutach skarpetki dla żołnierzy na froncie. W szkole nie obowiązują mundurki, więc możemy zobaczyć stroje odzwierciedlające ówczesną dziecięcą modę. Większość uczennic ubrana jest w sukienki lub bluzki z tak modnymi jeszcze w pierwszej dekadzie XX wieku, zakrywającymi szyję stójkowymi kołnierzykami, często ozdobionymi falbanką. Wszystkie mają skromnie, ciasno splecione włosy, nie noszą grzywek, ponieważ „panienki noszą zawsze odsłonięte czoło". Na grzywki poczekamy do lat dwudziestych. Widoczne na zdjęciu nauczycielki ubrane są podobnie jak ich podopieczne. Wszystkie trzymają w dłoniach cztery prawdopodobnie drewniane, ostro zakończone druty, na których robią ściągacze wykańczające skarpetkę lub rękawiczkę. Warto też zwrócić uwagę na jasne woreczki leżące na pierwszej ławce. Przeznaczone one były do chowania robótek po zakończonej lekcji. Ponieważ już wiadomo, że żołnierze nie wrócą do domów nim opadną liście, uczennice wyślą samodzielnie zrobione skarpety w paczce może gdzieś do ośnieżonych okopów pod Łodzią, Koluszkami czy Bolimowem.

Anna Pawlak

A7V i K-Wagen
dwa typy czołgów niemieckich Wielkiej Wojny

A7V

Niemcy we wrześniu 1916 r. zetknęli się z użytymi pierwszy raz bojowo nieprzyjacielskimi czołgami i już w listopadzie 1916 r. Naczelne Kierownictwo Wojsk Lądowych zleciło pruskiemu Ministerstwu Wojny opracowanie podobnego pojazdu. W styczniu 1917 r. gotowy był prototyp autorstwa inżyniera Josepha Vollmera, który oprócz bycia pionierem przemysłu samochodowego, został tym samym pionierem broni pancernej. Początkowo zamówiono 10 opancerzonych czołgów i 90 nieopancerzonych podwozi do przewozu zaopatrzenia, później jednak liczbę wozów bojowych podwojono.

Zadanie skonstruowania nowej broni spadło na Wydział 7 Wojska Komunikacyjnego w Ogólnym Departamencie Wojny. Po niemiecku instytucja ta nazywała się *Abteilung 7 Verkehrstruppen*. Pochodzący od niej skrót – A7V – stał się nazwą typu czołgów. Sam rodzaj pojazdu nazwano *Sturmpanzerwagen,* czyli „szturmowy wóz pancerny". Ponieważ jednak wybudowano ich zaledwie 20 sztuk, więc nadano imiona własne poszczególnym egzemplarzom, jak np. „Siegfried", „Wotan" czy „Mefisto".



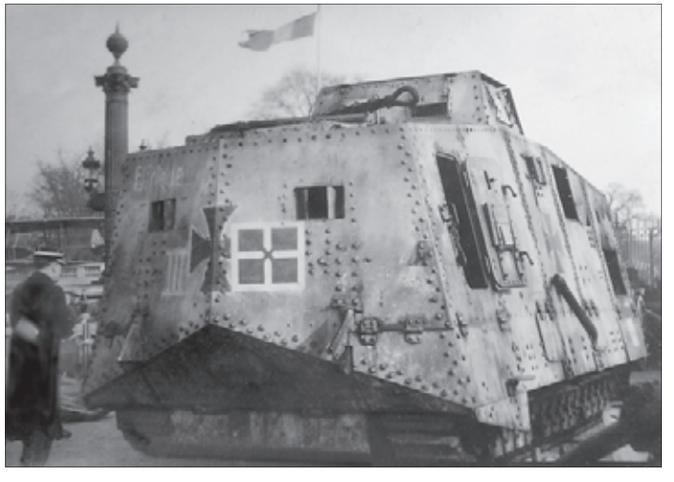
A7V jedyny prawdziwy ocalały znajduje się w Australii.

W październiku 1917 r. gotowy był pierwszy pojazd serii produkcyjnej. Wcześniej już sformowano dwa oddziały pancerne, z których każdy składać się miał z 5 czołgów (pozostałe zaś przeznaczono na rezerwę sprzętową).

Głównym uzbrojeniem czołgu była zdobyczna rosyjska armata kalibru 57 mm, znajdująca się w specjalnym jarzmie z przodu pojazdu. Jej uzupełnienie stanowiło 6 karabinów maszynowych MG 08, umieszczonych parami po bokach oraz z tyłu. W stalowym pu-



A7V i jego liczna załoga.



Zdobyczny A7V Elfriede na placu Concorde w Paryżu.

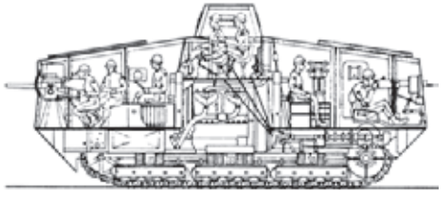


A7V jako okopowa tablica na pamiątkowe podpisy.

dle długości 7,34 m, szerokości 3,1 m oraz wysokości 3,3 m zmieszczono 2 czterocylindrowe silniki wysokoprężne oraz 18 członków załogi (wraz z dowodzącym oficerem). Sama obsługa uzbrojenia wymagała 14 ludzi.

Czołg miał jednak sporo mankamentów. Przede wszystkim kiepsko radził sobie w terenie, pokonywał okopy gorzej niż jego brytyjscy rywale. Wynikało to ze stosunkowo małego prześwitu oraz wysoko położonego środka ciężkości. Dodatkowo wartość bojowa była obniżona przez stosunkowo niską szybkostrzelność zamontowanej w nim rosyjskiej armaty. Płyty pancerza wykonano ze zwykłej stali, co ograniczało ich odporność. Szczególnie dach był wrażliwy – przebijały go odłamki granatów. Również zgranie załogi było problematyczne.

Debiut tej nieudanej cudownej broni nastąpił wraz z wielką niemiecką ofensywą we Francji – 21 marca 1918 r. Czołgów użyto pod St. Quentin. Do spotkania z nieprzyjacielskimi wozami Mark IV doszło nieco ponad miesiąc później (24 kwietnia), podczas drugiej bitwy pod Villers-Bretonneux. Wówczas trzy A7V torowały drogę nacierającej niemieckiej piechocie. Przeciwko nim wyjechały również trzy wozy Mark IV, jednak dwa z nich były „żeńskie", uzbrojone tylko w karabiny maszynowe i w tym starciu były bezużyteczne. Szybko zostały uszkodzone i wycofały się z walki.



A7V rozmieszczenie załogi.

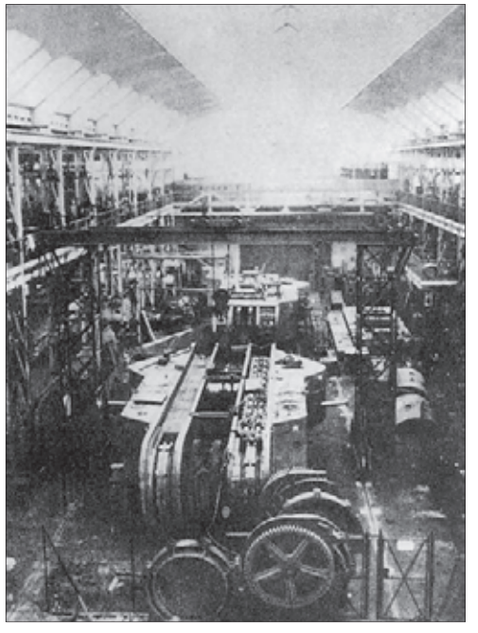
Pozostały na placu boju pojazd brytyjski zdołał zniszczyć czołowego A7V i zmusić pozostałe do odwrotu. Sam później prowadził kontratak z kilkoma czołgami „Whippet", ale został unieszkodliwiony ogniem artylerii. To skromne starcie stało się początkiem nowej ery, która trwa do dziś, ery dominacji czołgu na polu bitwy. Od tego czasu niejednokrotnie doszło do bitew, w których brały udział dosłownie tysiące czołgów (choćby walki pod Prochorowką w 1943 r. czy na Wzgórzach Golan i o Chińską Farmę w 1973 r.). Dzisiejsze wozy bojowe, pędzące kilkadziesiąt kilometrów na godzinę i ważące ponad 50 ton, przeładowane elektroniką i mechaniką, wywodzą się w prostej linii od niemrawych stalowych pudeł, z trudem poruszających się po zrytych pociskami polach bitew Wielkiej Wojny.

Oprócz tego Niemcy w bitwie pod Cambrai zdobyli szereg brytyjskich wozów bojowych typu Mark IV. Wcielono je do służby w oddziałach czołgów zdobycznych, w których znalazło się 35 pojazdów. Tym samym stanowiły one większość sprzętu skromnych niemieckich wojsk pancernych. Wynikało to z różnych przyczyn, jak choćby materiałochłonności konstrukcji wozu bojowego. W ściśniętych blokadą Niemczech brakowało odpowiednich zasobów, by rozpocząć masową produkcję pojazdów.

Pamiętać też trzeba, że – ze względu na znaczne przestrzenie, słabą sieć kolei i dróg – poruszające się z niewielką prędkością czołgi nie nadawały się na front wschodni. Na zachodzie zaś do wiosny 1918 r. Niemcy byli w defensywie, co też nie sprzyjało używaniu czołgów.

K-Wagen

Wydawać by się mogło, że A7V to potężna konstrukcja, tymczasem Niemcy zdecydowali się nie tylko zaprojektować, ale nawet i zbudować prototyp prawdziwie monstrualnego pojazdu. Już sama nazwa –„K-Wagen" – miała to sugerować, gdyż „K" to w tym przypadku skrót od „Kolossal", którego chyba na polski tłumaczyć nie trzeba…



K-Wagen w trakcie produkcji.

Jeszcze zanim ukończono montaż pierwszego A7V, pruskie Ministerstwo Wojny ogłosiło zapotrzebowanie na jeszcze większy czołg. Także i tym razem zatwierdzono projekt inżyniera Josepha Vollmera. „K-Wagen" miał początkowo ważyć 100 ton, szybko jednak okazało się, że jego masa będzie wynosiła raczej około 150 ton, co wymusiło skrócenie pojazdu i ostateczne ustalenie jego wagi na 120 ton. Długość miała wynosić ponad 12 m, szerokość dochodziła do 6 m, a wysokość osiągała 3,3 m. Ten stalowy potwór miał być uzbrojony w 4 armaty 7,7 cm oraz 6–7 karabinów maszynowych. Do poruszania się miał wykorzystywać 2 silniki o mocy 650 KM każdy, dające mu prędkość maksymalną do 7,5 km/h. W środku przewidywano umieszczenie nawet 27 osób załogi!

Pancerz miał jednak tylko do 30 mm grubości, co stanowiło zabezpieczenie jedynie przed ogniem broni maszynowej, a nie pocisków przeciwpancernych czy bomb lotniczych. A duże rozmiary w połączeniu z żółwim tempem poruszania się czyniłoby z niego łatwy cel.

Pojazd był tak ogromny, że transport kolejowy w całości nie wchodził w grę. Do tego celu konieczne było rozłożenie go na części. Po dostarczeniu na miejsce miał zostać ponownie zmontowany i skierowany na front.

Do końca wojny niestety nie zdołano przeprowadzić testów prototypów, mimo iż dwa były bardzo zaawansowane, w tym jeden z nich w zasadzie ukończony. Nigdy jednak nie opuścił fabryki. Obydwa pojazdy zniszczono.

Podkreślić należy, że niemiecka gigantomania w zakresie broni pancernej osiągnęła swój szczyt w czasie II wojny światowej. Może gdyby K-Wagen został użyty bojowo, zdano by sobie sprawę, że to ślepa uliczka...

Jarosław Centek



Odznaka pamiątkowa dla byłych załóg wozów bojowych A7V.

Uprzejmie donoszę..., czyli o tym co gryzło dusze mieszkańców guberni piotrkowskiej

Człowiek jest skazany na cierpienie – to prawda udowodniona przez socjologów, filozofów, historyków i wszelkiej maści specjalistów od badania życia społecznego. Poziom cierpienia wzrasta, gdy dostrzega, że w jego otoczeniu dzieją się rzeczy urągające poczuciu sprawiedliwości społecznej, czy jeszcze gorzej, jeśli spotyka ludzi, którym się powodzi. Dlaczego im się udaje, a mi nie? Odpowiedź nasuwa się sama. Otóż oni są nieuczciwi – kombinują, oszukują i robią wszystko, żeby to mi żyło się gorzej i ciężej. Taki schemat jest wciąż aktualny. Nie inaczej było w okresie pierwszej wojny światowej. Oto kilka przykładów ilustrujących tę tezę.

• ***steoretyp pierwszy:*** *urzędnicy działają zawsze na szkodę obywatela*

Latem 1917 roku, do Urzędu Gminy w Podolinie koło Piotrkowa zgłosiły się dwie mieszkanki pobliskich wsi, których synów zmobilizowano do robót przy umocnieniach wojskowych. Od pisarza gminnego Bolesława Michonia zażądały wypłacenia zaległych zasiłków przysługujących tzw. rezerwistkom. Okazało się, że od dłuższego już czasu nie mogły wyegzekwować swoich pieniędzy od komisarza rządowego (wójta) gminy Adama Nowaka, który: *albo ukrywał się nieraz przed rezerwistkami z braku pieniędzy lub też przebywał nie wiadomo gdzie*. Zmieszany całą sytuacją uczciwy urzędnik zlitował się nad kobiecinami i zapłacił im z własnej kiesy kilkaset koron. Kiedy udało mu się spotkać z wójtem, poprosił o zwrot wyłożonych sum. Ten, nie zrażony wcale, wyznał, że środki, jakie pobrał z kasy powiatowej na wypłatę zasiłków, zainwestował w prywatny interes. Widocznie inwestycja nie przyniosła spodziewanego zysku, ponieważ dług nie został nigdy uregulowany. Kłopoty wójta urosły do katastrofalnych rozmiarów, gdy okazało się, że zdefraudował pieniądze, jakie pobrał od kupców żydowskich na sprowadzenie węgla. Tym razem wierzyciele nie odpuścili i zarekwirowali obrotnemu urzędnikowi łóżka polowe i odzież zimową (zakupione na potrzeby biednych). Wójt znalazł jednak wyjście z trudnej sytuacji finansowej, polecając pisarzowi gminnemu sprzedać prywatną krowę i poratować go pożyczką. Miarka się przebrała i oburzony Michoń napisał do powiatu oficjalną skargę. Cała historia skończyła się oczywiście szczęśliwie dla wójta, który podczas dochodzenia wyparł się wszystkiego.

Do konfliktów dochodziło nie tylko w relacjach między petentem a urzędnikiem, ale także w wewnętrznym kręgu administracji. Wiosną 1917 roku, w Ossjakowie nad Wartą „zaiskrzyło" pomiędzy prezesem miejscowej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej Antonim Nierychłym a wójtem gminy Ludwikiem Clarem. Do pierwszego starcia doszło na posiedzeniu komitetu ratunkowego, podczas którego wójt z niewiadomych powodów zaatakował prezesa: *w uniesieniu i publicznie wykrzykiwał w sali posiedzeń, że wszelkich starań doda, a tego osła, durnia Nierychłego musi zmarnować i usunąć z zajmowanego dotychczas stanowiska*. Niewinna ofiara, obrażona i upokorzona, napisała zażalenie do Komendy Powiatowej w Piotrkowie, domagając się ukarania swojego adwersarza.

W trakcie śledztwa okazało się, że sprawa miała przysłowiowe „drugie dno". Powodem konfliktu były działania podejmowane przez prezesa Nierychłego zmierzające do odwołania wójta ze stanowiska i mianowania na jego miejsce tzw. swojego człowieka – w podtekście należy rozumieć, że miałby nim być sam pan prezes. Ostatecznie zwyciężyła „sprawiedliwość" i prezes Nierychły przestał być prezesem. W piśmie przesłanym do Piotrkowa pokonany urzędnik prosił o łaskę: *Z prośba swą zwracam się do Wysokiej C. i K. Komendy Obwodowej nie o zatwierdzenie mnie na dawnym stanowisku, lecz o rehabilitację, gdyż za wierną swą pracę dla dobra społecznego na to zasłużyłem*.

Złośliwość sołtysów była i jest powszechnie znana na każdej polskiej wsi. Latem 1916 roku sołtys wsi Krężna w gminie Krzyżanów miał doskonały humor. Postanowił zrobić kawał swojemu znajomemu Mikołajowi Jagusiakowi. Okazja nadażyła się sama – władze wojskowe poleciły dostarczyć robotników do budowy umocnień wojskowych we wschodniej Galicji. Dowcipny sołtys wyznaczył do wyjazdu brata Jagusiaka, notabene znanego wioskowego przygłupa i analfabetę. Prawda, że doskonały pomysł? Miał słuszne prawo oczekiwać, że będzie z tego dużo śmiechu. Komisja wojskowa, dobierając robotników, z całą pewnością odeśle upośledzonego z powrotem do domu i będzie po sprawie. Tymczasem wszystko się skomplikowało – Piotr Jagusiak wysiadł z pociągu „za potrzebą" i poszedł sobie w świat. Do punktu docelowego nie dotarł, a rodzina nigdy go już nie odnalazła.

• ***stereotyp drugi:*** *policjanci są nieuczciwi*

Żandarmieria austriacka, która w okresie Wielkiej Wojny pełniła na terenie powiatu piotrkowskiego służbę policyjną wielokrotnie, naraziła się miejscowej ludności. Biedny rolnik spod Wolborza, Stanisław Bogusławski, którego syn walczył w 6 pułku Legionów Polskich (co dumny ojciec notorycznie podkreślał, jak gdyby sprawiedliwość zależeć miała od indywidualnych zasług dla ojczyzny), skarżył się na złośliwego żandarma. Bogusławski kupił nieoficjalnie kilkaset kilogramów żyta i zawiózł je do miejscowego młyna.

Pech chciał, że akurat wtedy zachciało się żandarmerii skontrolować tego młynarza i sprawdzić pozwolenia na przemiał zboża. Okazało się, że w tym czasie zarekwirowano jeszcze ziarno kilku innych rolników i co ciekawe, wszyscy posiadali kwity na przemiał. Nie powstrzymało to wcale gorliwego żandarma Thomasa Cadka przed konfiskatą i obrażaniem uczuć narodowych protestujących chłopów. Tymczasem w trakcie śledztwa ujawniono, że w tym akurat przypadku schemat – niewinni rolnicy i zły policjant – nie zadziałał. Owszem mieli oni pozwolenie na przemiał, ale faktycznym właścicielem żyta był znany w okolicy handlarz i przemytnik, który w ten sposób chciał zdobyć mąkę na czarny rynek.

Ludwik Gajda, pełen zmysłu do interesów młodzieniec ze wsi Rawicz koło Wadlewa, zorganizował w swoim obejściu zabawę fantową (dochód miał iść na jego prywatne potrzeby). „Zapomniał" przy tym o uzyskaniu stosownego zezwolenia na imprezy publiczne z wyszynkiem alkoholu. Jakież było jego zdziwienie, kiedy nocą na „prywatkę" wpadło dwóch młodych żandarmów. *Doszło do brutalnej pacyfikacji: w uniesionym szaleństwie zaczęto się pastwić wprost po zwierzęcemu nad niewinną zupełnie ludnością. Bito bezlitośnie kolbami tak, że dały się słyszeć razy odbicia ciężkiej kolby oraz przeraźliwe pojęki rozbijanych, a przy tym przerażonych okropnością napadu osób; uszkodzono także instrumenty muzyczne* (...) *Stojący na uboczu starzec, chcąc uciekać, padł nagle przed progiem domu, gdzie po jego starych kościach, przeleciało kilku młodzieńców, po czym ułożył się olbrzymi stos potkniętych przez mocującego się w powstawaniu starca.* Przerażająca scena, prawda?

• ***stereotyp trzeci:*** *samotny sprawiedliwy*

Nic tak nie boli, niż widok człowieka, który potrafi zachowywać się sprytniej i śmieje się w nos z naszej nieporadności. Taka była z pewnością przyczyna reakcji czeskiego wojaka Johana Dworaczka na postawę pewnego znanego mu mieszkańca Zawiercia. Donos rozpoczął patetycznie: *Spełniając swój obowiązek jako syn kochający swoją ojczyznę, który od trzech lat walczy w szeregach dzielnej, niezwyciężonej c. i k. armii, donoszę...* Henryk Dressler, obywatel austriacki narodowości czeskiej, zadekował się w Zawierciu i przez trzy lata skutecznie oszukiwał komisję wojskową. Skarżył się, że skomplikowane złamanie nogi uniemożliwiło mu walkę w obronie ojczyzny. Wszystko skończyłoby się dla niego dobrze, gdyby trzymał język za zębami i w gronie przyjaciół (aby na pewno przyjaciół?) nie chwalił się sprytem i nie naśmiewał z głupoty wojskowych medyków. Stało się. Absurdalna sytuacja – Czech i na dodatek austriacki patriota zadenuncjował skutecznie czeskiego Szwejka.

Donosy, ten specyficzny rodzaj „literatury" obywatelsko-urzędniczej cieszył się i cieszy nadal niesłabnącą popularnością. Zmieniali się autorzy, natomiast treść i zakres inspiracji pozostają od lat aktualne i niezmienne.

Aleksy Piasta



WSPOMNIENIA Z LAT 1914–1918 ŁÓDŹ-KAROLEW I WOJNA EUROPEJSKA JERZEGO CYBARTA

Odpowiadając na apel zespołu redakcyjnego „Bitewnika Łódzkiego" swoimi archiwum rodzinnym postanowił podzielić się z nami Pan Anton Ziebarth. Prezentujemy Państwu fragmenty pamiętników jego stryja Jerzego Cybarta mieszkańca w owym czasie podłódzkiej wsi Karolew, mającego w chwili wybuchu wojny 10 lat. Występujący we wspomnieniach ojciec to Hugon Cybart, w roku 1914 zarządzał fabryką Kröninga przy ul. Nowokątnej (ob. Wróblewskiego), na terenie Karolewa. Tam też był naczelnikiem Milicji Obywatelskiej X Dzielnicy Karolew. Jerzy Cybart urodził się 6 września 1904 r. Miał liczne rodzeństwo. Rodzina liczyła ośmioro dzieci. Jednym z nich był występujący we wspomnieniach Józef, ojciec Pana Antona. Wspomnienia spisane po wielu latach przez osobę już w podeszłym wieku są zbiorem krótkich opowieści zapamiętanych oczami dziecka.

Trudno tutaj będzie o chronologiczny opis wydarzeń, ponieważ one nasuwają się stopniowo z biegiem dni, a jest ich wielkie mnóstwo. W owym to smutnym i ciężkim czasie przychodził z miasta Łodzi Ambroży, chodził z torbami po Karolewie i okolicach i nie jeden coś tam mu do nich włożył.

Wszystkie fabryki w Łodzi stały z powodu wojny, skutkiem czego rzeka Ner była czysta i można było się w niej kąpać (np. kąpałem się w Kazimierzu).

Straszna bitwa w Łodzi trwała od 18 listopada do 6 grudnia 1914 r. Od zachodu niemieckie wojska spychały carskie wojska na wschód. Tysiące pocisków widać było na niebie nad Łodzią od strony Zgierza. Jeden z pocisków padł na dom mojego przyjaciela Władka Matuszewskiego i na ulicy Jana, któremu to przepowiedziałem dwa lata przed wojną. Z Karolewa było widać to groźne widowisko, na które ja mały chłopczyna 10-letni patrzyłem ze zgrozą, jak łukiem świetlnym jasnym leciały pociski w obie strony w okolicach Zgierza. Przy ulicy Zgierskiej 69/71 w fabryce mebli znajdowały się niewypały pocisków artyleryjskich w ścianach. Ojciec kazał urządzić w piwnicach kotłowni [fabryki Kröninga] legowisko dla naszej rodziny. Na szczęście okazało się to zbyteczne. Wreszcie dnia 5 grudnia 1915 roku Niemcy zajęli Łódź.

Gdy przechodziłem ulicą Piotrkowską przed Grand Hotelem warta stała, Niemcom było wesoło, muzyka grała. Koło kina Casino zapytałem: Co znaczy ta muzyka? — W Grand Hotelu cała świta mieszkała i pan generał, więc dla generała muzyka ciągle grała.

Wychodziły coraz to nowe ogłoszenia na ulicach, wzywające do pracy do Rajchu. Zgłaszającym się dobrowolnie przysługiwało prawo wyboru pracy. Względem opornych stosowano przymus pracy. Na pryncypalnej ulicy Piotrkowskiej i na bocznych ulicach coraz częściej przechodziło się obok bram domów, na których szczerzyły zęby groźne czerwone plakaty: „Uwaga nie wchodzić bez koniecznej potrzeby – tyfus plamisty".

W Łodzi była coraz większa nędza, zapanował głód. Do pieczonego chleba dodawano gipsu, kasztanów, a od spodu podsypywano trocinami ze stolarni. Niemcy śmiali się, że Polacy mają dobre żołądki. Setki dzieci od tego chleba umierało. Chodziłem do szkoły Cyrklera i widziałem na kołnierzach niejednego ucznia, jak spokojnie spacerowały wszy. Był powszechny brak mydła i żywności. Rzeczka Karolewka płynęła czysta i nie zatruwała wyziewami Karolewa. Pod mostami Karolewa, na rogatkach wejściowych do Łodzi, żandarmi i policja zatrzymywali przechodniów, zaglądali do toreb w poszukiwaniu mąki, chleba, słoniny i mięsa. Słowem odbierano żywność. A nieraz prowadzono do cyrkułu na ulicę Karolewską 41. W pierwszym roku wojny przyjeżdżali jeszcze piaskarze — *Pio, pio, pio, pio za łupiny!!!* Przywożenie piasku ustało wkrótce, głód był tak wielki, że zjadano kartofle razem z łupinami. Jak ktoś zdobył same łupiny, to je też gotował i jadł. Jako się rzekło na wstępie w opowieści z I wojny światowej, chodził biedak Ambroży, ażeby mu kto do toreb coś włożył. Pod mostem nieboraka zatrzymano żeby pokazał co ma w torbach. Na to Ambroży zdjął czapkę z głowy, przeżegnał się i powiedział *Z łaski Pana Boga mam już 70 lat, ale nie słyszałem, ażeby Kaiser niemiecki z dziadowskiej torby jadł*. Na to z Reichu zapytał tutejszego Niemca, co on mówił. Tutejszy mu powiedział *Zostaw go niech tylko idzie, później ci to wytłumaczę*. Odtąd Ambroży przechodził bez rewizji. Z tego wydarzenia śmiano się w całym Karolewie i okolicy.

Pewnego razu zmówiliśmy się z chłopakami, z moim bratem Józiem, że pójdziemy do wsi Chachuły za Rokiciem. Niektórzy kupili wtedy szare mydło, a ja przyniosłem bochen pięknego dobrego chleba. Po powrocie sąsiadki z familijnego domu obskoczyły nas i wszystko wykupiły w mgnieniu oka. Matka rzekła: *Toś ty nam chleba nie przyniósł tylko dał tamtym?* Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, zafrasowałem się wielce. Na drugi dzień ojciec rzekł: *Pamiętaj żebyś więcej nie chodził na szmugiel.* Biedna Arntowa, wdowa suchotnica mająca parę dzieci, nawet mleka nie miała, ani co dać dzieciom do jedzenia. Przychodziła po mleko i po żywność do mojej matki. W miarę możliwości matka moja wspomagała innych. Rodzice kupili młynek do mielenia żyta na mąkę. Z tej mąki matka piekła racuchy-placki na fajerkach gorących zamiast chleba. Władze niemieckie wymagały, żeby każdy kawałeczek ziemi był zagospodarowany. Na terenie fabryki ojciec kazał zaorać ziemię i na jednej połowie posadziliśmy kartofle amerykany, a na drugiej buraki. Nieraz chodziło się przerywać liście buraczane do płachty dla krówki, którą sprowadzono ze wsi Zalewa i matka ją doiła. Czasami mleko od tej krówki dostawała wspomniana Arntowa.

Domów nie było czym opalać, zabrakło drzewa i węgla. Żywność szła do Hajmatu i dla wojska. W mieście zdejmowano klamki mosiężne z drzwi od mieszkań prywatnych i zakładano żeliwne, żelazne kruche, łamliwe. Świętokradzkie ręce sięgnęły po dzwony w ewangelickich kościołach, w celu przetopu



Jerzy Cybart – autor wspomnień.

na rzecz wojny – dokonywano ordynarnego rabunku. W kościele Świętego Krzyża zabrano piszczałki ołowiane, również nie oszczędzono dzwonów w katolickich świątyniach. W kościele Świętego Jana przy ulicy Ewangelickiej pastor z ambony krzyczał z rozpaczą w sercu. *Jeżeli wy nie szanujecie kościołów nawet i zabieracie dzwony, to niech wam one zadzwonią ostatni raz na waszą śmierć...* Powiedziano pastorowi, że gdy zawiesi dzwony żelazne, również dobrze będzie je słychać. Grobowa cisza zaległa w kościołach bez dzwonów i muzyki organowej, jak by to był Wielki Piątek i Wielka Sobota. Przy katedrze nisko nad ziemią wisiał ogromny dzwon, którego z nożami strzegli parafianie we dnie i w nocy aby Niemcy nie zabrali. Zdołali go obronić. Słyszałem, że w niektórych miejscowościach zakopywano dzwony w ziemi. Po dwóch latach rabunkowej gospodarki Niemcy mówili: *Aus Polen ist nicht zu hohlen (Z Polski nie ma już czego wywozić).*

Na dobitkę złego były ciężkie zimy. W 1916 roku, gdy szedłem rano do szkoły przez łąki i pola widziałem leżące setki czarnych martwych ptaków. Tak było u nas, a wiadomo, że w Rosji są zimy jeszcze mroźniejsze. Do szkoły jeździłem tramwajem numer 8 na ulicę Targową. Na głowie miałem basłyk chroniący mnie od zimna i widać mi było tylko oczy. Pewnego razu na przednim peronie jechał oficer niemiecki, gdy potarł nos, patrzę, a on trzyma go w ręku. Co dalej zrobił, nie wiem. *Mein Gott was, macht Ich denn jetzt?* Wtenczas nie znano sposobów przyklejania nosów i uszów. W czasie zimy smarowano naftą lub tłuszczem niesolonym nosy i uszy. Po cichu na Karolewie mówiono, że w towarowych pociągach zamarzniętych żołnierzy niemieckich z Rosji do Hajmatu wieziono. Ale w Grand Hotelu muzyka wesoło grała i nie wiem, czy o tym wszystkim świta wiedziała, bo sama miała ciepło. Pod Rzgowem, we wsi Zalew były ciężkie boje. Rosyjscy i niemieccy żołnierze wzajemnie w piersi wbijali sztyki swoje i w polach zamarznięci jak posągi stali. [W roku 1914]



Ojciec Jerzego Cybarta (z wąsami i widoczną dewizką) w centrum grupy w 1 rzędzie

Latem w 1916 roku paliła się wieża fabryki u Plichala. Na czubku tej wieży widziałem strażaka, gdy się już przepaliła wokoło niżej, przechyliła się i runęła w dół. Na szczęście wieża nie leciała szpicem na dół. Strażak trzymał się czubka wieży. Nagle zauważyłem, jak na wysokości półtora pietra odbił sie nogami od wieży i w ten sposób ocalił swoje życie. Dzielny strażak wyszedł bez szwanku. Działo się to 15 lipca 1916 roku.

Zimy były ciężkie – jako się rzekło. Za to lata były upalne. W tymże 1916 roku na skutek piekielnych upałów, w wigilię Zielonych Świątek miało miejsce następujące wydarzenie. Była okropna duchota. Słońce prażyło niemiłosiernie. W godzinach popołudniowych od zachodu zaczęły pokazywać się czarne, groźne gęste chmury. A w środku nich było żółte oko. Chmury zasnuły całe niebo, zrobiło się ciemno jak w nocy. Pioruny biły bez przerwy, huk jak z armaty, coś strasznego. Zaczął padać rzęsisty deszcz, a z tego złego żółtego oka spadł grad, który wszystko wytłukł. Ludzie myśleli, że to już koniec świata. Brat Józik zamiast do domu usiłował wejść do psiej budy i krzyczał: *Kto mnie tam tak bije?!* Burza trwała około czterech godzin. Ciemności nie ustępowały, pioruny biły bez przerwy, grad wytłukł i położył pokotem żyta. Wśród tej ciemności widać było światła oślepiających błyskawic. Bałem się straszliwe i ze strachu odmawiałem pacierze przy łóżku. A matka wymawiała co trochę:

A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami. Na drugi dzień przyszedł obywatel Gundelach. Wszedł powoli do kuchni i rzekł: *Panie Cybart, jestem zrujnowany zupełnie. Grad wytłukł mi wszystkie inspekty za pięć tysięcy marek. Czy nie mógłby mi pan pożyczyć pieniędzy, bo ja już sam nie wiem, co mam teraz robić?*

Z rzadka słyszano wieczorową porą muzykę z płyt gramofonowych, albowiem to była nowość. Nowość – wynalazek Edisona. Lampy naftowe oświetlały mieszkania pięknym i jasnym blaskiem i było od nich widniej niż od obecnej elektryczności. Kolorowe klosze przy cylindrach dawały uroku i intymności, nastroju ciepła, ciszy i spokoju. Gramofony i lampy wystarczały w zupełności ludziom do szczęścia.

Pod koniec wojny widziałem żałosny widok. Przy ulicy Krzemienieckiej przyszli ludzie z miasta Łodzi i tamże ścinali drzewa sosnowe chaotycznie, bezplanowo. W jednym miejscu o mało nie doszło do walki na siekiery: *To drzewo należy do mnie, bo ja je ściąłem. — Poszukaj sobie innego drzewa. – Ale możesz się ze mną podzielić.* Chodziłem nieduży chłopak i zauważyłem jakiegoś pana, niezaangażowanego, może to był gajowy, mówił: *Ludzie, jak chcecie, to wycinajcie drzewa bliżej ulicy.*

Gdy jechał pociąg z węglem do Hajmatu, poniektórzy śmiałkowie zrzucali bryły węgla. Gdy wyszedłem z mieszkania na obchód okolicy, bo to nieraz czyniłem, usłyszałem jakieś dziwne szuranie blach. Zauważyłem w pewnej odległości wśród torów kolejowych gromadkę ludzi, którzy potrząsali blachami od pieczenia placków. Po jakimś czasie przeszedł obok jeden z nich, niósł blachę po plackach, w której było dziesiątki dziur powykuwanych. Powiedział mi, ze tamci przesiewają popiół z parowozów ażeby zdobyć drobne grudki węgla. Szuranie to słychać było z daleka, a grudki były takie malutkie, że przypominało to poszukiwaczy złota w Ameryce. I on niósł w małym woreczku te grudki węgla.

Na węźle kolejowym Karolew czekały liczne kompanie wojska na umyte wagony, miały pojechać na francuski front. Było lato. Z myjni parowóz ciągnął kilkadziesiąt wagonów, ktoś przełożył zwrotnicę, skutkiem czego parowóz spadł z szyn. Dalej już jechać nie mógł. Około pięciu dni mozolili się, ażeby maszynę postawić na szyny. Niemcy latali po Karolewie, klęli na czym świat stoi i szukali winowajcy, kto to zrobił, ale nie znaleźli. Po tym wypadku na moście kolejowym przy rzece Karolewce, chodził wartownik wojskowy, bo Niemcy mieli stracha. Gdy szedłem zimą do szkoły obok tego mostu, słyszałem jak wartownik nucił sobie *Komu było sieplo, temu będzie zimno, komu było zimno temu będzie sieplo!* Wprawdzie mówili Niemcy, że nie ma z Polski co zabierać, ale widziałem, jak długie sosny i piękne dorodne kloce drewna budulcowego z Puszczy Białowieskiej wywożono do Reichu, a ziemię z Ukrainy. Przez linie kolejową zwaną żeberkiem, która szła na Chojny-Koluszki, jeździły pociągi na wschód lub na zachód. Pociągi wojskowe tam przystawały i chłopcy sprzedawali pocztówki z miasta Łodzi (*Ansichtskarten von Lodź*). Za to otrzymywali cygarety i cygara albo marki, czasem chleb. Gdy wojska niemieckie jechały do Rosji, to się cieszyły, bo miały szansę, że jeszcze niejeden powróci do Hajmatu. Ale gdy jechały na front francuski, to płakali, bo tam były krwawe boje (szlachtus) nad Sommą, Marną, Verdun, tam była rzeź prawdziwa i rzadko już kto stamtąd powracał.

W Karolewie była X Dzielnica Milicji Obywatelskiej. Na jej czele stał mój ojciec. Milicja nosiła opaski na rękawach i pałki, a niektórzy mieli rewolwery. Przedniejsi obywatele miasta mieli swoje okresowe zebrania. Komitet Obywatelski zorganizował swoje garkuchnie. Oprócz tego np. ojciec mój otrzymywał pieniądze z Komitetu na zapomogi dla bezrobotnych fabrycznych „Kröninga". Jednego razu, gdy ojciec wyszedł z domu, zagrodziło mu drogę kilku bezrobotnych nędzarzy i rzekli: *Panie Cybart my pana nie puścimy.* On im odpowiedział przystanąwszy: *Jak to mnie nie puścicie, przecież idę właśnie dla was po pieniądze.* Wtedy rozstąpili się i puścili go do miasta. Tuż obok w ogródku ja to wszystko widziałem i słyszałem.

W Karolewie przyjaciele i rodzina chętnie odwiedzali rodziców. W 1916 roku pod koniec października wieczorem zjawił się zgoła nieoczekiwany gość. Był to mężczyzna bardzo wysoki – około 1,90 m – w mundurze wojskowym w pikielhaubie na głowie. Wygląd miał imponujący. Ja akurat byłem przy domu i go widziałem. Zapytał o ojca. Wszedł do sieni, a ja szybko zawiadomiłem ojca w kuchni, że przyszedł jeden pan. Ojciec udał się z nim do salonu i tam przez dłuższy czas obaj przebywali. Po pewnym czasie ojciec wrócił do kuchni, a gość poszedł. Wtenczas ojciec powiedział do matki, że był to osobisty adiutant cesarza Wilhelma i przyjechał tu z Berlina, ażeby dowiedzieć się, czy cesarz wygra wojnę. Sława ojca jako grafologa i nie tylko, sięgała daleko poza granice Polski. Matka zapytała: *Cóżeś mu powiedział?* Ojciec odpowiedział Niemcy wojny nie wygrają. Na to w salonie poderwał się adiutant zasalutował i rzekł: *Jawohl meine Exzellenz, denk daß selbe!*

W 1915 roku chodziłem zamyślony w przydomowym ogródku. Znalazła się tam ulubiona przez dzieci ciocia Mania. Rzekła do mnie: *Chłopcze, o czym ty tak ciągle myślisz?* Odrzekłem: *W domu czytają gazetę, że Niemcy są już w Rumunii, Rosji, we Francji i nie wiadomo co dalej z tego wyniknie?* Po jakichś dziesięciu minutach ciotka nagle się wyprostowała, zesztywniała, była jakaś wstrząśnięta, jakby w transie i rzekła: *Chłopcze zapamiętaj sobie te słowa Matka Boska zetrze łeb Szwabowi – Niemcy wojny nie wygrają!* Po bardzo wielu latach, jesienią 1940 roku Niemcy zajęli Paryż i część Francji. Siedziałem przy okrągłym stoliku w domu u teściowej strasznie przygnębiony i wstrząśnięty tą wiadomością. Ręce miałem przy głowie i przerażony mówiłem *Boże, mój Boże, co będzie z Polską, co będzie z nami?! To już Polska przepadła!* Wtedy w mieszkaniu nie było nikogo, a ja doznałem wielkiego balsamu, ukojenia i nagle usłyszałem głos ciotki nieboszczki – te same słowa co w Karolewie w 1915 roku.

Będąc jeszcze dzieckiem w Karolewie, przychodzącym do nas przepowiadałem najbliższą przyszłość, na kilka dni, tygodni, miesięcy, kwartałów. Stałem się sławny jako cudowne dziecko w Karolewie i pisał o mnie Jan Grodek w „Gazecie Łódzkiej". Z biegiem lat się zmaterializowałem i już rzadko się tym zajmowałem. Nie mniej jednak od czasu do czasu przepowiadałem ważne wydarzenia dziejowe.

W Karolewie mówiono, że *Wiluś na świni pojechał do Retkini.* Mówiono jeszcze *In der Heimat – tam same Niemce są, zgniłe pyrki i brukiew żrą.*

wybór i adaptacja PZ

Spalenie Kalisza – nieznana relacja

W jednym z ostatnich numerów Bitewnika Łódzkiego poświęciliśmy parę słów zniszczeniu Kalisza w pierwszych dniach Wielkiej Wojny, które na lata wbiło się w pamięć Polaków, obrastając masą mitów i opowieści, wchodząc nawet do literatury pięknej. W tym wydaniu pragniemy przedstawić absolutną nowość – relację spisaną „na gorąco" zaledwie w trzy dni po tragicznych zajściach – odnalezioną przez jednego z naszych redaktorów w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojenno-Historycznym w Moskwie.

Relacja stanowi fragment raportu skierowanego do sztabu armii Okręgu Warszawskiego. Nieznany z nazwiska rosyjski oficer werbunkowy podczas pobytu w Łodzi 25 lipca (starego stylu) 1914 roku usłyszał od znajomego rotmistrza Nikolina historię, która chociaż – bardzo szczegółowa i barwna – w wielu miejscach różni się od ustaleń badaczy dotyczących spalenia miasta. Pozostawiamy ją jednak bez sprostowań i w miarę wiernym tłumaczeniu:

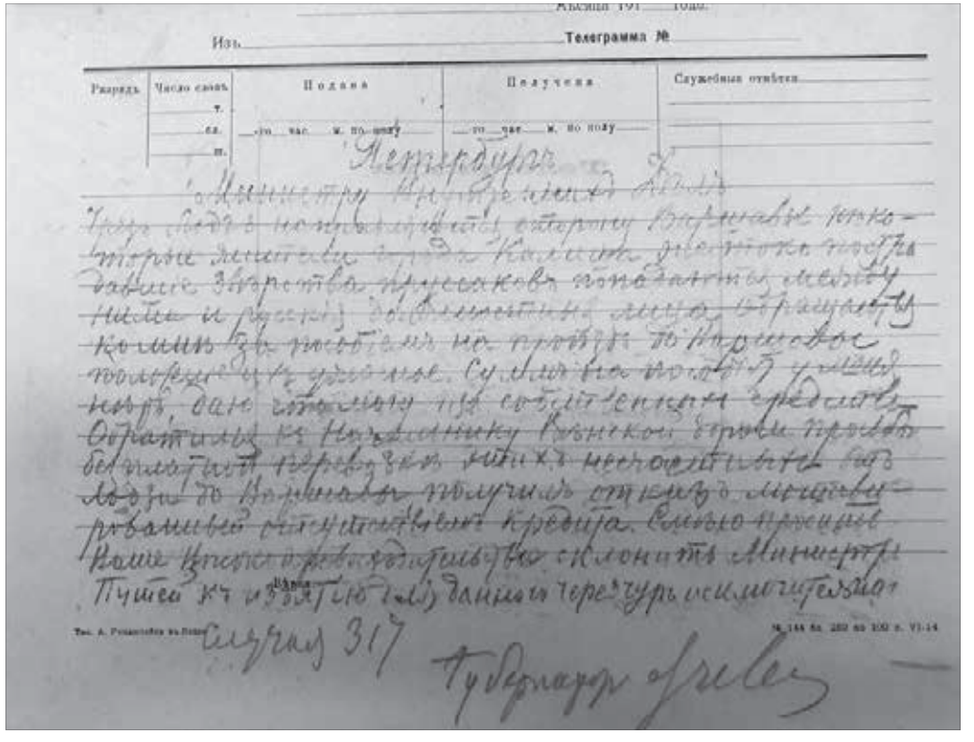
22 lipca we wtorek w mieście Kaliszu na ulicy Sukienniczej ktoś strzelił do żołnierzy niemieckich, trafiając jednego w nogę, po czym dom, z którego strzelano został razem z mieszkańcami [w środku] zburzony do fundamentów, oprócz tego na stacji [kolejowej?] znaleziono zabitych przez nie wiadomo kogo niemieckich żołnierzy. Po tych dwóch zdarzeniach Niemcy wyszli z Kalisza do Szczypiorna, skąd ostrzeliwali Kalisz z 3 calowych dział. Wiele domów uszkodzono na ulicy Wrocławskiej. Aresztowano wszystkich przedstawicieli miasta, wśród nich jest jeden prawosławny duchowny, dwóch księży, kilkunastu bogatych kupców. Jeden bogaty kupiec Frenkiel ze strachu umarł. W mieście rozstrzelano naczelnika Powiatowego Urzędu Skarbowego i wielu strażników [skarbowych], prezydent został pobity do nieprzytomności, woźnemu magistrackiemu odrąbano głowę. Wszystkich kolejarzy ubranych w mundury i innych umundurowanych bezlitośnie zabijano i wieszano. Miasto na żądanie Niemców zapłaciło kontrybucję 50 000 rubli.



Pożegnawszy się z rotmistrzem N. pojechałem do Łasku, gdzie spotkałem kilka kobiet z Kalisza, które dotarły tu na piechotę i opowiedziały, że w Kaliszu z rozkazu niemieckiego komendanta zakazano wychodzić na ulicę, zezwala się [ale tylko] od 9 do 10 rano i od 12 do 5 po południu. Na ulicach wala się wiele trupów. W oknach mieszkań przez całą noc mają palić się światła, wszystkie sklepy są zamknięte, wiele [osób] pochowało się w piwnicach, młodych mężczyzn nie wypuszczają z miasta zupełnie, [zaś] kobiety wypędzają. W Szczypiornie niemieccy żołnierze porobili okopy i rozstawili działa. Stoi tam 155 pułk piechoty, część 21 pułku ułanów i jakaś artyleria. We wszystkich budynkach urzędowych Kalisza rozlokowano Wojska niemieckie.

Tyle mówi relacja. W gwoli wyjaśnień, podawane w niej daty wynikają z obowiązywania w Rosji carskiej tzw. kalendarza juliańskiego (tzw. starego stylu), na terenie Królestwa Polskiego pozostawał on w użyciu na równi z kalendarzem gregoriańskim (nowego stylu). W związku z tym dzień 22 lipca starego stylu to 4 sierpnia nowego stylu. Powszechnie uznaje się, że praprzyczyna nieszczęścia Kalisza – feralny wystrzał karabinowy – miał miejsce w nocy z 3 na 4 sierpnia.

pz



Telegram nadany do Petersburga z prośbą o pomoc dla uciekinierów z Kalisza. Na dole podpis ostatniego rosyjskiego gubernatora Michaiła Jaczewskiego.

PETERSBURG. Do Ministra Spraw Wewnętrznych. Przez Łódź kierują się w stronę Warszawy niektórzy mieszkańcy miasta Kalisza, okrutnie doświadczeni bestialstwem Prusaków. Znajdują się między nimi rosyjscy funkcjonariusze państwowi. Zwracają się do mnie o wsparcie finansowe na przejazd do Warszawy. Położenie ich jest straszne. Nie mam środków na pomoc, co mogę daję z własnych. Wystąpiłem do naczelnika kolei wiedeńskiej z prośbą o bezpłatny przewóz tych nieszczęśników z Łodzi do Warszawy. Otrzymałem odmowę, umotywowaną brakiem środków kredytowych. Śmiem prosić Waszą Ekscelencję o nakłonienie ministra transportu na wyasygnowanie funduszy na ten wyjątkowy cel.

Rewolucjonista na L4

Na wieść o wybuchu I wojny światowej Witkacy postanowił wracać czym prędzej do Europy z antypodów, gdzie przebywał wraz ze swoim przyjacielem, znanym etnografem Bronisławem Malinowskim. Jego zamiarem było zaciągnąć się do wojska – obojętnie rosyjskiego (urodził się w Warszawie) czy austro-węgierskiego (na stałe mieszkał w Zakopanem), byle nadać sens istnieniu lub znaleźć śmierć na froncie. Witkacy pozostawał w tym czasie w stanie głębokiej depresji po samobójczej śmierci narzeczonej, a wyjazd do Australii okazał się mało skutecznym lekarstwem dla jego duszy. Teraz nadarzyła się niepowtarzalna okazja przestawić życie na nowe tory. Artysta ma jeszcze w sercu romantyczny obraz wojny i bohaterstwa żołnierskiego, który zostanie zburzony brutalnie za dwa lata.

Ostatecznie jego wybór padł na armię carską – przyczynił się do tego jego towarzysz podróży rosyjski profesor Nieczajew (wzywany osiem lat później do chorego Lenina na „konsultacje psychologiczne"). Już pod koniec września 1914 roku Witkacy znalazł się w Petersburgu. Dzięki rodzinnym koneksjom oraz protekcji został przyjęty do Pawłowskiej Szkoły Wojennej, gdzie odbył przyśpieszony 5-miesięczny kurs oficerski. Po jego ukończeniu został przyjęty do elitarnego Lejb-Gwardyjskiego Pawłowskiego Pułku Jego Wysokości (Лейб-гвардии Павловский Его Величества полк) – nominalnie stanowiącego straż przyboczną samego cara.

Już latem 1916 roku w stopniu podporucznika wraz ze swym pułkiem trafił na front w ramach wielkiej ofensywy Brusiłowa. Podczas walk nad rzeką Stochod, w pobliżu miejscowości Witoneż na Wołyniu, jednostka Witkacego straciła aż 80% stanu osobowego. On sam mimo odniesionej 17 lipca 1916 roku ciężkiej kontuzji pozostał na linii walk, za co otrzymał później order św. Anny.

Został ewakuowany jako niezdolny do walki i powrócił do Petersburga. Tu trafił pod opiekę lekarską, ale nie do szpitala tylko do zakładu medycznego o nazwie „Lazaret dla rannych założony przez damy Lejbgwardii Pawłowskiego Pułku". W sierpniu 1916 roku rosyjski lekarz stwierdził u niego cyklofrenię (zmienność nastrojów o charakterze depresyjnym i pobudliwym, przy czym fazy depresji występują znacznie ostrzej. Choroba ta wymaga specjalistycznego leczenia w sanatorium). W następnym miesiącu zdiagnozowano u pacjenta nerwicę pourazową i zalecono leczenie pozaszpitalne „hydroterapią, masażem i elektryzacją". Witkacy nie wrócił już na front, pozostając na etacie 4. kompanii ozdrowieńców, pomieszkiwał poza koszarami i przedłużał swoją rekonwalescencję, uzyskując kolejne zwolnienia. Nie wiemy, czy przeżycia frontowe tak mocno zrujnowały psychikę artysty czy też umiejętną symulacją i robionymi na zamówienie portrecikami przedłużał odroczenie wysłania na front. Dość, że tak doczekał w Petersburgu rewolucji lutowej 1917 roku. Pogłoski o wprowadzeniu racjonowania chleba 24 lutego wyprowadziły na ulice do 200 000 mieszkańców grodu nad Newą. Witkacy właśnie wrócił ze zwolnienia i rano zameldował się u batalionowego lekarza. Ten po badaniu zwolnił go ponownie ze służby i odesłał do domu na kolejne trzy doby. Następnego dnia dowódca garnizonu wydał rozkaz o użyciu wojska do stłumienia demonstracji, zezwalając na otwieranie ognia po trzykrotnym wezwaniu do rozejścia się. Nie wiedział, że w ten sposób przyczyni się do wybuchu rewolucji i buntu wojska.

Witkacy w *Niemytych duszach* napisał: „Pułk mój, Lejb-Gwardii Pawłowski Połk, zaczął pierwszy Wielką Rewolucję Rosyjską" i że trzystu ludzi jego roty „przez kilka dni walczyło przeciw całej carskiej Rosji".

Historycy tak opisują te wydarzenia. Kiedy 26 lutego 1917 roku uzbrojone pododdziały Pawłowskiego Pułku opuszczały koszary, żołnierze 4. roty rekonwalescentów zostali na miejscu, aby… nabijać słomą sienniki. Jednak na wieść, że na Newskim Prospekcie ich pułkowi koledzy otworzyli ogień do tłumu, ozdrowieńcy ruszyli z koszar, żeby ich powstrzymać. Trzydziestu było uzbrojonych, dwustu innych – nie. Otworzyli ogień do szwadronu policji strzelającego do robotników. Wrócili dopiero, gdy skończyła się amunicja. Tak oto bunt ogarnął także i doborową gwardię, wielu jej oficerów padło ofiarą samosądów. Dowódca batalionu, nie wiedząc jeszcze o tych wydarzeniach, wydał rozkaz odwrotu oddziałów pacyfikujących miasto, ale wkrótce zginął zastrzelony na ulicy. Zastrzelenie dowódcy podziałało jak hasło do linczu na oficerach. Masowe ataki rozpoczęły się dzień później. W nocy z 26/27 lutego żołnierze pułku wiecowali w koszarach na znak protestu przeciw masakrze na Placu Znamieńskim, wreszcie przegłosowali odmowę posłuszeństwa rozkazom strzelania do ludności cywilnej i wysłali gońców do koszar gwardyjskich pułków: Litewskiego i Prieobrażeńskiego, które również przyjęły to stanowisko. Rano 27 lutego wymienione trzy pułki wyszły uzbrojone na miasto. Żołnierze zaatakowali i zdemolowali koszary żandarmerii i usunęli posterunki i połączyli się ze zrewoltowanymi robotnikami. Tego dnia wieczorem ogłoszono powstanie Komitetu Tymczasowego Dumy. Po mieście krążyło już jednak ponad 10 000 zbuntowanych żołnierzy, a 1 marca w rewolucji uczestniczyło już 170 000. Polowano na najbardziej okrutnych oficerów. Witkacego żołnierze oszczędzili, a nawet parę dni później wybrali go na ich dowódcę, co artysta tak opisywał po latach: „Do czwartej roty zapasowego batalionu tego pułku, która rewolucję naprawdę zaczęła, miałem być zaszczyt później wybranym przez moich rannych żołnierzy z frontu" i wyjaśniał: „Zawdzięczam ten zaszczyt słabym zasługom negatywnym: nie biłem w mordę, nie kląłem po »matuszkie«, karałem słabo i byłem względnie grzeczny – nic ponadto...". Gdy przyszło do decydujących wydarzeń, Witkacy – jak sam twierdził – obserwował rewolucję „jak z loży", z dystansu, nie angażując się po żadnej ze stron jako alibi mając zwolnienie lekarskie.

pz

W tekście wykorzystano publikację autorstwa Krzysztofa Dubińskiego *Wojna Witkacego, czyli kumboł w galifetach*



Autoportret wielokrotny w lustrach, 1917, ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi.

Stanisław Ignacy Witkiewicz herbu Nieczuja, pseudonim „Witkacy" (ur. 24 lutego 1885 w Warszawie, zm. 18 września 1939 w Jeziorach) – polski pisarz, malarz, filozof, dramaturg i fotografik.

Z kim jesteśmy na wojnie?

Chyba wszyscy czytelnicy Bitewnika słyszeli o Bitwie o Anglię z roku 1940 i o udziale w niej naszych lotników, w tym słynnego Dywizjonu 303? Podczas tej bitwy myśliwce aliantów powstrzymywały falowe ataki bombowców niemieckich, których zadaniem było utorować drogę hitlerowskiej inwazji na Wyspy Brytyjskie. Dywizjony myśliwskie RAF i sojuszników (Polaków, Czechów, Kanadyjczyków) wykonały to zadanie brawurowo i po raz pierwszy powstrzymali Hitlera.

Jaki to ma jednak związek z Wielką Wojną? Wojna, która do jesieni miała się skończyć, stanęła w miejscu. Wielki plan Schlieffena nie wypalił i nie udało się zająć Paryża w 6 tygodni od ogłoszenia mobilizacji pruskiej armii. Na domiar złego, w odpowiedzi na pogwałcenie neutralności Belgii, do wojny przeciwko Prusom przystąpiła Anglia, wysyłając na kontynent korpus ekspedycyjny. Tego Schlieffen nie przewidział. Przed I wojną światową wielu Brytyjczyków wcale nie postrzegało kajzerowskich Niemiec jako wroga, a sojusz z Francją był świeżej daty. W Anglii opowiadano dowcip o małej placówce brytyjskiej gdzieś w głębi Afryki, do której na początku konfliktu 1914 roku dostarł telegram: „Wojna wypowiedziana. Aresztujcie wszystkich wrogów w waszym rejonie". Na to szef placówki po paru dniach, wysłał odpowiedź: „Aresztowaliśmy 4 Niemców, 3 Francuzów, 2 Włochów, 1 Austriaka, 3 Chińczyków i 1 Amerykanina. **Proszę poinformujcie mnie, z kim jesteśmy na wojnie?**".

Pojawienie się nowej zmiennej wymagało szybkiej reakcji poprzez wprowadzenie elementu, którego także nie było w planach niemieckich i który tą zmienną zneutralizuje, tj. pozbędzie się Anglików z wojny szybko i możliwie bezboleśnie. Tym elementem był samolot.

Nie każdy wie, że pierwszego bombardowania Anglii dokonał 24 grudnia 1914 roku – pochodzący ze zgermanizowanej polskiej rodziny szlacheckiej, Hans von Prondzynsky porucznik See Flieger Abteilung 1 (eskadry hydroplanów nr 1 – SFA 1). W Wigilię wystartował on hydroplanem Friedrichshafen FF 29 z nowej niemieckiej bazy wodnosamolotów w okupowanym belgijskim porcie Zeebrugge i na wysokości około 1500 m wleciał w brytyjską przestrzeń powietrzną. Skierował się nad Dover, tu za cel wybrał tamtejszy zamek zrzucając na niego pojedynczą bombę o wadze „aż" 22 funtów. Ponieważ wodnosamolot, którym leciał, był jedynie samolotem patrolowym, nie posiadał ani komory bombowej, ani tym bardziej celownika bombowego, Prondzyński trzymał ją podczas lotu w kabinie. Doleciawszy nad cel, wychylił się poza burtę kadłuba i wyrzucił ładunek oburącz, celując w zamek „na oko". Bomba wyrzucona w ten sposób i z takiej wysokości minęła swój cel aż o 400 metrów. Spadła na ogród tamtejszej plebanii św. Jakuba, strącając przy okazji ogrodnika z drzewa i obsypując kucharza tłuczonym szkłem. Do listy strat należy jeszcze doliczyć zniszczony zagonek kapusty.

Tak oto Polak (przynajmniej z pochodzenia) rozpoczął operacje niemieckiego lotnictwa przeciwko dumnemu Albionowi. Nie należy się dziwić nieskuteczności jego nalotu. Samoloty bojowe to na początku I wojny światowej technologia dopiero raczkująca, a taktyka ich użycia praktycznie nie istniała. W roku 1914 samoloty po prostu nie były przeznaczone do zrzucania bomb z jakąkolwiek dokładnością lub niezawodnością (za wyjątek należy tu przyjąć największy samolot bombowy Wielkiej Wojny – rosyjską konstrukcję Ilja Muromiec – skonstruowaną w roku 1913 przez Igora Sikorskiego, podobno także posiadającego polskie korzenie). Niemcy w ciągu wojny dokonali jeszcze 113 nalotów na Dover, zabijając „zaledwie" 23 osoby i raniąc kolejne 71. Wojna powietrzna Kaisera przeciwko Wielkiej Brytanii kosztowała około dwadzieścia pięć razy więcej, niż wyrządziła zniszczeń materialnych, ale niemieckie rajdy powietrzne nie miały „materialnego charakteru". Ich zadaniem było sianie terroru i strachu wśród ludności cywilnej i zmuszenie Anglików do wycofania się z wojny.

Następnego dnia po niedanym nalocie na Dover, brat lub kuzyn Hansa – podpułkownik Stephan von Prondzynsky – za nic mając pierwszy dzień Bożego Narodzenia postanowił zbombardować sam Londyn. Chciał dostać się nad cel, lecąc wzdłuż nurtu Tamizy. Jednakże w połowie drogi został przechwycony przez brytyjski myśliwiec i skutecznie ostrzelany. Jednak po zrzuceniu bomb w pole zdołał uciec do bazy hydroplanów w Zeebrugge. Szczęście mu dopisało tylko dlatego, że Anglikom zaciął się jedyny karabin maszynowy, jaki mieli na pokładzie. Tym samym pilot o polskich korzeniach miał także swój udział w pierwszej walce powietrznej nad Wyspami Brytyjskimi. Tak oto polscy z pochodzenia lotnicy na ćwierć wieku przed Bitwą o Anglię, toczyli nad nią boje przylatując z zupełnie innej strony.

Dopowiemy jeszcze, że Hans von Prondzynski zginął w roku 1915, zaś Stephan von Prondzynsky wojnę przeżył, po demobilzacji latał jako pilot fabryczny Heinkla i swój koniec znalazł pod koniec lat 20. XX wieku, ginąc tragicznie w czasie jednego z próbnych lotów.

pz



Wodnosamolot Friedrichshafen FF 29. Na samolocie tego typu dokonano pierwszego bombardowania Anglii. Niewątpliwą zaletą stosowania na wojnie hydroplanów było to, że nie dało się zbombardować im lotnisk. Niestety, same kalosze były daleko niewystarczające do obsługi tych samolotów.

Groby poległych bohaterów i nie tylko...

Wmyśl założeń sztabowców Jego Cesarskiej Mości Wilhelma II, wojna miała być błyskawiczna i taka rzeczywiście była w ciągu kilku pierwszych miesięcy. Ciężkie walki w okolicach Łodzi w listopadzie i grudniu 1914 r. – znane w historiografii wojskowej jako „Bitwa Łódzka" – pozostawiły widoczne świadectwo intensywności walk w postaci tysięcy mogił, w których spoczęło kilkaset tysięcy „bohaterów poległych na polu chwały". Dla patriotów niemieckich, austriackich, węgierskich, rosyjskich itd. te groby były przedmiotem troski i szacunku. Dla polskich chłopów zaś przekleństwem i wielkim problemem. Jakże można było uprawiać ziemię naznaczoną znamionami śmierci? Nie dziwi więc wcale, że powszechne było oczekiwanie, że wojsko zabierze sobie poległych i pozwoli zwyczajnym ludziom pracować i zdobywać chleb powszedni. Nie pierwszy to w dziejach konflikt imponderabiliów z prozą życia.

Wiosną 1915 r., po ustabilizowaniu się sytuacji na frontach, okupacyjna administracja – zarówno austriacka, jak i pruska – zarządzająca zajętą częścią Królestwa Polskiego przystąpiła do działań mających na celu likwidację doraźnych mogił polowych i komasację zwłok poległych żołnierzy na specjalnych cmentarzach i kwaterach wojennych. Pośpiech był wskazany, ponieważ z nadejściem wiosny i lata ciała poległych stanowiły potencjalną bombę biologiczną, która mogła w każdej chwili eksplodować epidemią chorób zakaźnych. Groźnych dla ludności cywilnej, ale przede wszystkim dla żywych (jeszcze) mas żołnierskich, a na takie ryzyko naczelne dowództwa nie mogły sobie pozwolić. Na terenie okupacji austriackiej to ważne zadanie powierzono specjalnym komórkom administracyjnym Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego w Lublinie oraz terenowym komendom powiatowym – oddziałom grobownictwa wojennego. Akcja komasacji grobów musiała być przeprowadzona sprawnie. Aby tak się stało, niezbędna była pomoc i zaangażowanie administracji gminnej. Wójtowie gmin mieli obowiązek zorganizować siłę roboczą wyposażoną we własne narzędzia i wozy do przewożenia zwłok. Domagano się też, by gminy na własny koszt dostarczały drewno i kamienie do ogrodzenia cmentarzy i oznaczenia mogił. Formalnie robotnicy mieli otrzymywać niewielkie wynagrodzenie – najczęściej jednak nie płacono im wcale lub płacono z dużym opóźnieniem. Administracja okupacyjna miała nadzieję, że to kasa gminna weźmie na siebie



Szkic sytuacyjny położenia grobu żołnierza niemieckiego Willego Vogta między Chynowem a Kuźnicą.

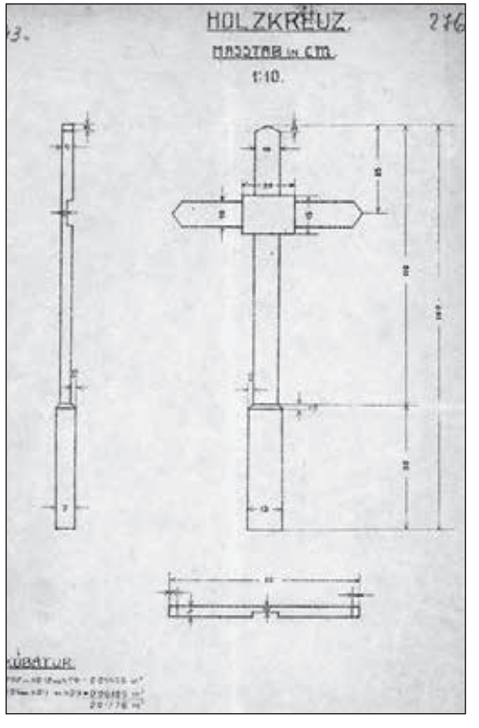
bieżące wypłaty. Podjęto też starania pozyskania środków nadzwyczajnych. W 1917 r. zorganizowano loterię, z której dochód przeznaczono na konserwację cmentarzy wojennych.

Najważniejszym zadaniem było zewidencjonowanie wszystkich grobów, co wcale nie było proste. Raporty z terenu dostarczali wójtowie gmin i administratorzy cmentarzy religijnych. Poruszające wrażenie robią do dziś relacje naocznych świadków donoszących o okolicznościach śmierci poszczególnych żołnierzy: „W ogrodzie Zbierańskiego Ignacego w Bogdanowie Kolonii leży żołnierz rosyjski. Tuż przez ogród szły okopy rosyjskie i właśnie za domem Zbierańskiego byli ukryci żołnierze rosyjscy. Jeden z nich wyszedł spoza węgła i dostał kulą w pierś". Pochowano go na miejscu, w załomie okopu. Towarzysze grobu lub humanitarny nieprzyjaciel oznaczał mogiłę nazwiskiem poległego lub stawiał jedynie prosty, drewniany krzyż. Podczas ekshumacji starano się wszelkimi sposobami ustalić personalia zwłok, bywało, że bezskutecznie.

Obok specjalnie tworzonych cmentarzy wojennych, chętnie korzystano z wolnych przestrzeni na istniejących cmentarzach parafialnych. Wszystkie cmentarze wyznaniowe funkcjonujące w Piotrkowie – a więc katolicki, ewangelicki, prawosławny i żydowski – miały wewnętrzne cmentarze wojskowe. Zwożono na nie poległych z najbliższej okolicy oraz zmarłych z powodu ran czy – równie liczne – ofiary chorób zakaźnych z miejskich szpitali i lazaretów wojskowych.

Ofiarach morderczej wojny nie zapominały też rodziny. Z lektury korespondencji wpływającej do urzędów przebijał smutek i radość z odnalezienia grobu najbliższej osoby. Zdarzały się prośby o zgody na ekshumacje i przewożenie zwłok na rodzinne cmentarze w Niemczech, Czechach, czy na Węgrzech. Wojsko, ze względów sanitarnych, niezbyt chętnie godziło się na takie prośby. Zdeterminowanej wdowie po weterynarzu wojskowym Weinfeldzie udało się ekshumować męża. Ekshumacja z cmentarza żydowskiego w Piotrkowie nastąpiła dopiero w 1917 r., trzy lata po śmierci!

W trakcie ekshumacji poległych dochodziło często do konfliktów pomiędzy ekipami grabarzy wojskowych i ludnością wsi, przez



Urzędowy wzór drewnianego krzyża nagrobnego w armii austro-węgierskiej.

które przejeżdżały transporty zwłok. W opinii tej ostatniej, złośliwie, w środku lata, wybierano drogi przechodzące przez środek wsi, wleczono się niemiłosiernie i zatrzymywano na długie postoje. Smród rozkładających się ciał stawał się nie do zniesienia. Grabarze zaś czerpali satysfakcję z wywoływania wściekłości cywili. Wójt gminy Gorzkowice skarżył się: „Aby uniknąć epidemii, o którą podczas obecnych upałów jest bardzo łatwo, otrzymali żołnierze od tutejszego urzędu, marszrutę dróg polnych. Jednakże żołnierze ci nie kierują się danymi im wskazówkami i zwłoki przewożą przez wieś Barczkowice, a nawet zatrzymali we wsi 8 podwód naładowanych trupami, ogromnie cuchnącymi i w ciągu dość długiego czasu poili konie. Przecież jeżeli już tak koniecznie musiano poić konie, można było podwody zatrzymać za wsią i napoić!"

Władze sanitarne żywotnie interesujące się sprawami cmentarzy i pochówku, kontrolowały także grobownictwo cywilne. A i tu nie brakowało sytuacji konfliktowych, ludność cywilna często łamała przepisy sanitarne dotyczące pochówku. Komenda Powiatowa w Piotrkowie zmuszona była wydać specjalne zarządzenie w tej sprawie, kierując je do *Duszpasterzy wszystkich wyznań, jako też wójtów gmin i do Pana c. i k. Komisarza Rządowego miasta Piotrkowa*. Bezpośrednim powodem wydania zarządzenia była praktyka wystawiania w kaplicach i kościołach zwłok zmarłych na choroby zakaźne. Tymczasem (...) „postępowanie to sprzeciwia się zasadom sanitarnym i tym samym jest niedopuszczalne. Przypomina się ponownie, że zwłoki zmarłych na choroby zakaźne winny być natychmiast po dokonaniu oględzin, owinięte w prześcieradło nasycone 3% rozczynem karbolu lub świeżo sporządzonym rozczynem wapna – następnie włożone do hermetycznie zamykającej się trumny, której spód ma być wysypany trocinami nasyconymi również rozczynem karbolu lub wapnem i przeniesione jak najrychlej do trupiarni przynależnego cmentarza, a następnie pochowane w jak najprostszy sposób".

Władze wojskowe traktowały zagadnienia bezpieczeństwa sanitarnego bardzo poważnie, nie cofając się przed wydawaniem surowych wyroków nawet wobec kapłanów. Za zlecenie nielegalnej ekshumacji ofiar epidemii, pochowanych niezgodnie z prawem mojżeszowym, postawiony został przed piotrkowskim Sądem Wojskowym rabin z Sulejowa.

W słynnej polskiej pieśni patriotycznej, z okresu drugiej wojny światowej, Marian Hemar napisał, że *Wolność krzyżami się mierzy...* To prawda, nigdzie jednak nie zaznaczono, że te krzyże, rozrzucone po polach bitew, były przyczyną bólu głowy biurokratów odpowiedzialnych za konserwację cmentarzy wojennych nawet po ustaniu działań wojennych.

W łódzkiej niemieckojęzycznej gazecie *Lodzer Freie Presse* z 7 maja 1920 r. ukazała się króciutka, lecz jakże brzemienna w skutkach notatka nosząca tytuł: SZANUJMY PAMIĘĆ POLEGŁYCH. Jej tekst przytaczamy w całości.

„Nieraz się już ze szpalt tego pisma rozlegało to wezwanie. Pomimo wszystko jednak, pomimo wszystkich zarządzeń władz, stan cmentarzy wojskowych pogarsza się coraz bardziej, doprowadzony do zniszczenia rękoma złych, lekkomyślnych ludzi. Ostatnie resztki drewnianego ogrodzenia cmentarza w lasku między Julianowem a Łagiewnikami zostały ostatecznie usunięte. Zniszczenie widać na cmentarzu w Rogach, w Rszewie pod Konstantynowem. Na niemieckim grobie ogólnym w Wymysłowie Francuskim pod Pabianicami pomnik betonowy jest obalony. Znajdujący się na jego szczycie żelazny krzyż z betonu potłuczono, a tablicę pamiątkową zabrano. A przecież w grobie tym leżą żołnierze Polacy, pochodzący z Poznania, Górnego Śląska itp., także włościanie.

Jedynym wyjątkiem jest cmentarz w Bechcicach. Rosnące tu kwiaty pielęgnują okoliczni mieszkańcy. Czyżby za przykładem Bechcic nie chcieli pójść inni?"

Była ona przyczyną alarmującego pisma z 28 maja 1920 r. Urzędu Opieki nad Grobami Wojennymi przy Dowództwie Okręgu Generalnego Łódzkiego do Wojewody Łódzkiego, wskazującego na liczne zaniedbania: „Przy przeprowadzonej lustracji cmentarzy i grobów wojskowych […] stwierdzono, że […]chylą się ku zupełnemu upadkowi i zniszczeniu z braku nadzoru nad nimi, ponieważ okoliczna ludność w wandalski sposób rozkrada z tych cmentarzy co się tylko nadaje do użytkowania, jak parkany, bramki, druty, drzewo, a nawet krzyże i tablice mogilne. Oprócz tego, że tym wyrządza się niepowetowana strata dla Skarbu [Państwa], ale zarazem niszczą się jeszcze niezbędne dane umieszczone na krzyżach i tablicach dla przeprowadzenia ewidencji poległych w wojnie światowej żołnierzy według przynależności ich państwowej i narodowej".

I dalej: „Taki stan rzeczy zmusza mnie zwrócić się do Województwa z prośbą, aby zostały przeprowadzone wszelkie skuteczne zrządzenia ku całkowitej ochronie cmentarzy wojennych. Jednocześnie upraszam, o ile to jest możliwe do urzeczywistnienia, polecić władzom szkolnym, aby wśród uczni krzewiły ideę opieki nad grobami wojennymi".

Reakcja była niemal natychmiastowa. Łódzki Magistrat 16 lipca 1920 r. informował Wojewodę iż: […] „postanowił polecić Wydziałowi Plantacji Miejskich utrzymanie w porządku cmentarza wojennego, położonego na terenie byłego Lasu Konstantynowskiego przy szosie tejże nazwy; zwrócić się do odnośnych władz z propozycją ustanowienia tam posterunku wojskowego [Pamiętajmy, że zbliża się nawała bolszewicka] oraz dokonać ekshumacji zwłok osób pochowanych w Parku ks. Józefa Poniatowskiego przy ulicy Pańskiej [obecnie Żeromskiego], celem przeniesienia ich na wyżej wymieniony cmentarz".

♣ *Aleksy Piasta & Piotr Zawilski*



Bratnia mogiła nr 6 w Dobrej (gmina Stryków). Leży w niej czterech żołnierzy pruskich. Wszyscy zginęli 16 grudnia 1914 r. Stan przed przeniesieniem na zbiorczy cmentarz wojenny. Na starannie wykonanej tabliczce wykonawca zamieścił nawet adres firmy: Łódź, Brzezińska 56. Zwracamy uwagę na polskie nazwisko Nendza, dość powszechne w Prudniku i Katowicach.

Pożar w Rzgowie

Odkąd pojawiła się kolej i jej pochodne, wiadomym było, że to szatański wynalazek. Już na samym początku znający się na rzeczy ludzie twierdzili, że przez takie machiny kury nie będą się nieść, a krowy mleka nie będą dawać… Ale wiadomo, że jak ktoś mądrze gada, to się go z reguły nie słucha. Jeszcze niedawno, bo w listopadzie 1914 roku, w okolicy starły się ze sobą armia niemiecka i rosyjska. Pohałasowali i przestali, osada stała, jak i wcześniej…

W kwietniu 1916 roku otwarto z wielką pompą linię kolejki dojazdowej Łódzkich Wąskotorowych Elektrycznych Kolei Dojazdowych z Rudy Pabianickiej przez Rzgów do Tuszyna. Póki co elektryczność linia ta miała tylko w nazwie firmy, początkowo bowiem funkcjonowała trakcja parowa i wagony ciągnięte były przez małe ciuchcie zwane z niemiecka dampflokami. No i stało się…

Najpierw 20 czerwca 1917 roku, w godzinach popołudniowych, mieszkańcy południowej części Łodzi dostrzegli od południowo-wschodniej strony miasta chmurę dymu. Chmura rosła, a dym gęstniał – znaczy, że coś się pali. Co bystrzejsi wskazali nawet na źródło pożaru – ewidentnie był to Rzgów. Wkrótce zaczęli też od strony Chojen docierać pasażerowie kolejki dojazdowej, szybko stając się obiektami zainteresowania jako naoczni świadkowie wydarzeń.

Jak to bywa – im więcej świadków, tym więcej rozbieżności. Jedni twierdzili stanowczo, że wszystko zaczęło się o 17.30, co ostrożniejsi podawali, że pomiędzy 18.00 a 19.00. Byli też tacy, którzy wskazywali na okolice godziny 15.00. Ogień pojawił się tuż po przejeździe przez Rzgów pociągu podmiejskiej kolejki podjazdowej relacji Ruda Pabianicka – Rzgów – Tuszyn, jadącego w kierunku Rudy Pabianickiej. Najpierw płomienie ogarnęły dom przy ulicy Tuszyńskiej 22, należący do miejscowego obywatela Antoniego Skalskiego, tudzież Salskiego – jak podała prasa. Ten akurat siedział w domu, więc gdy tylko poczuł dziwne ciepło i dojrzał ogień buchający z dachu, rzucił się wraz z sąsiadami do gaszenia. Nie bardzo pomógł im w tym dziele podsycający zarzewie wicher i brak w pobliżu wody. Pomimo szybkiej reakcji ratownikom pozostało przyglądać się bezradnie, jak ogień ogarnia cały dom, a sam Skalski uległ ponadto poparzeniom. Wiatr tymczasem zaczął roznosić płonące żagwie ponad dachami domów, hen, ponad całą dzielnicą i z prawej strony miasta przeniósł się także na lewą. Mijając rynek, napotkał za nim siedem stodół, znajdujących się już na przedmieściu. Dzięki łatwopalnemu materiałowi, z którego je wzniesiono, ogień nabrał nowej mocy i z wigorem, krzesząc na wszystkie strony iskry i żagwie, objął stojące przy rynku domy oraz stary kościół katolicki. Po drugiej stronie rynku stał gmach rzgowskiego sądu gminnego. Wkrótce i on padł ofiarą pożaru.

W ogniu stanęły kolejno domy przy ulicy Tuszyńskiej. Znajdujących się w obliczu żywiołu mieszkańców zaczęła ogarniać panika. Bohaterskich wysiłków dokonywała rzgowska ochotnicza straż ogniowa, ale i ona pozostała bezradna wobec niszczycielskiej siły płomieni. Z narażeniem życia strażakom udało się jedynie wynieść z płonących budynków choć trochę dobytku ich mieszkańców. Próbowano wzywać straż z Łodzi, ale w międzyczasie pożar zniszczył druty telefoniczne. Ktoś pobiegł do najbliżej położonego Tuszyna. Nieco czasu zajęło, zanim wrócił, ale nie miał dobrych wieści – tamtejsze połączenie też nie działało. W trakcie tych rozpaczliwych prób ratowania miasta nadjechała kolejka, więc próbowano uprosić maszynistę, żeby zawrócił do Rudy Pabianickiej i zameldował o pożarze, ten jednak odmówił. Znowu więc ktoś pobiegł.

Starania te wreszcie zostały uwieńczone powodzeniem. Na miejscu pojawiły się oddziały straży z Pabianic, Tuszyna, Rudy Pabianickiej i Łodzi. Z tej ostatniej dotarł oddział IV, fabryczne VII i IX, a oddział II wysłał do akcji nawet sikawkę parową. Na czele odsieczy stanął naczelnik Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej – dr Alfred Grohman. Jednym z bohaterów akcji ratowniczej okazał się miejscowy proboszcz – ksiądz kanonik Skowronek. Narażając własne życie, uległ dotkliwym poparzeniom rąk. Zginąłby on niechybnie w płomieniach trawiących kościół, bowiem kilkakrotnie zapaliła się mu sutanna, gdyby nie inni ratownicy, odciągający go od żywiołu. Ogień tymczasem poszybował z wiatrem w stronę Pabianic, ku pobliskim wsiom, które też objął pożar. Pierwsze doniesienia, że spłonął niemal cały Rzgów, okazały się przedwczesne. Nie znaczy to jednak, że były one mniej przerażające, a przecież już 22 lata wcześniej pożar strawił jedną trzecią miasta.

Z 270 domów mieszkalnych spłonęło 125 (według innych źródeł – 140). Z 2221 mieszkańców około połowa pozostała bez dachu nad głową i straciła całe mienie. Doszczętnie spłonął kościół katolicki, strasząc przechodzących gołymi murami. Sprzęty i urządzenia kościelne zostały zniszczone przez ogień lub przez gaszącą go wodę. Nie był to zresztą pierwszy pożar, któremu ta świątynia uległa, płonęła już bowiem podczas wyprawy Napoleona do Rosji w 1812 roku. Ocalała za to drewniana wieża, wybudowana w roku 1910 dzięki ofiarności pana Gelicha, właściciela majątku Gospodarz. Umieszczone ponad kościołem dzwony zostały stopione. Jak się później okazało, nie zostało uszkodzone wnętrze kościoła, ochronione dzięki silnemu sklepieniu i grubym murom. W sklepieniu przepalił się jedynie otwór, ale płomienie nie przedostały się do środka. Udało się uratować plebanię i budynek urzędu gminy. W gruzy obrócił się gmach sądu, a na domiar złego spalone zostały i rozniesione przez wiatr wszystkie akta sądowe, wyroki oraz sądowa kasa z 1500 markami w środku. Szczęściem aresztantów oczekujących w areszcie sądowym na mające się odbyć nazajutrz rozprawy było to, że udało im się wyważyć drzwi i uciec. Ich pech polegał zaś na tym, ze ponownie zostali ujęci.

Pożar szalał przez całą noc i został opanowany dopiero około godziny 4 nad ranem. Akcję utrudniało niesamowite gorąco, niepozwalające podchodzić bliżej do płonących obiektów. Strażacy pozostali na dymiących zgliszczach, zalewając je wodą z obawy przed wznowieniem ognia. Poza budynkami i sprzętami ucierpiały także istoty żywe, bowiem ofiarą ognia padła nierogacizna. Ocalały za to krowy i konie, które znajdowały się na pastwisku. Były też straty w ludziach. Udało się ustalić nazwiska dwóch ofiar – odwiezionego w ciężkim stanie do Łodzi Wankiewicza i Sędkowiczowej. Kilka innych ofiar także trafiło w ciężkim stanie do szpitali w Łodzi. Odnaleziono też zwęglone szczątki sześciorga dzieci. Zginęły ponadto 2 kobiety. W popiołach legła prawa połowa osady. Żywioł zakłócił też dojazdy do Rzgowa pociągów kolejki rudzko-tuszyńskiej.

Wkrótce zajęto się niesieniem doraźnej pomocy poszkodowanym, w czym znowu

aktywny okazał się ksiądz Skowronek i Miejscowa Rada Opiekuńcza, którzy ruszyli apelować o ofiarność do okolicznych mieszkańców. Szybko zareagowały władze Łodzi, bowiem już 25 czerwca tamtejszy magistrat uchwalił, by wyasygnować z miejskich funduszów 3 000 marek na rzecz pogorzelców miasta Rzgowa. Poproszona o zatwierdzenie tej uchwały rada miejska, na posiedzeniu odbytym tego samego dnia, nie dość, że przychyliła się do wniosku magistratu, to jeszcze uchwaliła podwyższenie proponowanej sumy do 5 000 marek.

A wracając do szatańskich wynalazków… Po opanowaniu sytuacji straż ogniowa zajęła się ustalaniem przyczyn pożogi i sporządzaniem sprawozdania z interwencji. Najwyraźniej próbowano zapobiec podbarwianiu relacji przez świadków, skoro przesłuchań mieszkańców dokonano w obecności miejscowych duchownych. Sprecyzowano godzinę wybuchu pożaru na 15.45. Ustalono też jego przyczynę. Świadkowie zeznali, że maszynista przejeżdżającej wcześniej kolejki wąskotorowej żużlował, czyli usuwał żużel z paleniska przed domem Skalskiego, krzesząc na wszystkie strony snopy iskier. Po oględzinach strat okazało się, że pierwsze cztery domy przy ulicy Tuszyńskiej ostały się, a dachy trzeciego i czwartego domu, przy których to odbyło się żużlowanie, zostały ugaszone przez polewanie ich wodą.

Poza wylaniem sporej ilości wody dla ugaszenia pożaru, strażacy nie pozostawili też suchej nitki na miejscowej ochronie przeciwpożarowej. Przede wszystkim wskazano, że żużlowanie pociągów powinno odbywać się poza terenem zabudowanym. Obowiązkowo w Rzgowie miała pojawić się budka telefoniczna na przystanku kolejowym lub na końcu miejscowości, by w razie zniszczenia systemu alarmowego nie polegać na przypadkowych gońcach. Drogi dojazdowe do dwóch miejscowych ujęć wody



Na odwrocie tej fotografii możemy przeczytać: Przystanek Ruda, punkt wyjściowy kolejki wąskotorowej Ruda–Rzgów–Tuszyn. W tle pociąg elektrycznej kolei Łódź–Ruda. Tymi pociągami już raz jechałem. Ruda w lecie to leśna ostoja dla Łodzi, jeden z najpiękniejszych punktów w okolicy z parkiem, piaskiem i dzielnicą willową. 19 lutego 1918

w postaci stawu i potoku powinny zostać wybrukowane lub przynajmniej utwardzone i poszerzone na tyle, by nie sprawiać trudności przy dojeździe. Wskazano też na konieczność postawienia na rynku osady wymurowanych zbiorników na wodę o pojemności minimum 50 metrów sześciennych i ciągłego uzupełniania ich zawartości za pomocą pomp.

Rozsądnie przyjęto też, że najlepiej uczyć się na cudzych błędach i od razu wyciągnięto wnioski, mające służyć ochronie przeciwogniowej w samej Łodzi. Uznano mianowicie za konieczne, by po omówieniu szczegółów ze strażą, poszczególne fabryki wyprodukowały zdatne do użytku pompy, bowiem w centrum Bałut i na Chojnach, z powodu panującego upału i suszy, należało się liczyć z wysokim zagrożeniem pożarowym. A licząc się w takiej sytuacji z wyjazdami na akcje poza teren miasta, strażacy wskazali też na potrzebę zwiększenia racji żywnościowych dla koni od 3 do 4 kilogramów owsa więcej na dzień, głównie dla trzech wozów strażackich pozostających w ciągłej gotowości do akcji. I słusznie – na bezpieczeństwie nie można oszczędzać. Za to na strażakach, niezależnie od okoliczności, można zawsze polegać. Nawet, gdy trzeba usuwać skutki użytkowania piekielnych wynalazków…

Ale, że biednemu wiatr w oczy, a nieszczęścia chodzą parami, to dzieła zniszczenia dopełnili niemieccy okupanci. Zgłaszający się do Komisji Szacunkowej Strat Wojennych Powiatu Łódzkiego mieszkańcy Rzgowa przedstawiali długie listy zagrabionych metalowych naczyń, urządzeń czy drewnianych płotów. Nie wiedzieć czemu, ginęły też srebrne zegarki. Kto wie, może wysyłani do Niemiec na przymusowe roboty pracownicy mogli potem gdzieś natrafić na dziwnie im znajome przedmioty? Ktoś mógłby też złośliwie ukuć powiedzenie: „wyjedź do Niemiec, twój zegarek już tam jest”…

♣ *Adam Lajdenfrost*

POLSKI PAS GRANICZNY

Władze polskie w Królestwie Polskim zależne od państw centralnych zostały powołane w efekcie ustaleń konferencji w Pszczynie z października 1916 r. Podstawą była wspólna proklamacja władz niemieckich i austro-węgierskich z 5 listopada 1916 r. zawierająca obietnicę utworzenia państwa polskiego. Powstanie takiego państwa było częścią przyjętej przez Niemcy podczas I wojny światowej koncepcji *Mitteleuropy*, którą tworzyłyby niesuwerenne państwa, znajdujące się pod polityczną, ekonomiczną i wojskową kontrolą Niemiec. Dla Polaków cesarska armia niemiecka miała być wyzwolicielami, uwalniając ich od ucisku Rosji. Niemcy jednak mieli własne plany w tym regionie. Rozpoczęli prace nad utworzeniem polskiego pasa granicznego *Der Polnischer Grenzstreifen*, nazywanego również polskim pasem ochronnym *Der polnische Schutzstreifen.*

Sprawa oderwania części ziem polskich należących do zaboru rosyjskiego została podjęta już w 1914 r. i była aż do 1918 r. obiektem ożywionej dyskusji, w której czynny udział brał cesarz Wilhelm II oraz przedstawiciele sztabu generalnego niemieckich sił zbrojnych. Były one utrzymywane w tajemnicy. Polska opinia społeczna potraktowałaby to jako zapowiedź kolejnego rozbioru Polski. W tym też czasie powstało kilka wariantów jego utworzenia. Koncepcję zaproponował m. in. Sztab Generalny Armii Niemieckiej, kolejna była projektem austriackim. Minister spraw zagranicznych monarchii Habsburgów hrabia Leopold Berchtold wysunął propozycję korekt granic i przekazania Niemcom strefy przygranicznej Królestwa. Następny ważny dokument został opracowany 25 marca 1915 r. przez prezydenta regencji we Frankfurcie nad Odrą Friedricha von Schwerina. Zaproponował zaanektowanie do Rzeszy pasa przygranicznego o powierzchni 33 tys. km2 , liczącego 3,3 mln mieszkańców. Granica miała biec nurtem rzeki Biebrzy i Narwi. Następnie wytyczono ją między Pułtuskiem a Ciechanowem. W rejonie Wyszogrodu dochodziła do Wisły pozostawiając po stronie niemieckiej Płock, Gostynin i Kutno. Dalszy jej przebieg miał charakter bardziej południkowy, docierając do Warty w pobliżu Sieradza. Miasto i powiat częstochowski oraz Zagłębie Dąbrowskie również włączono do Niemiec. Ograniczył swoje zamierzenia aneksyjne i nie objął między innymi rejonu Łodzi.

Prace były podjęte również na konferencji zorganizowanej w dniach 11–13 sierpnia 1916 r. w Warszawie. Efektem jej była nowa zweryfikowana koncepcja. Różniła się ona nieco od propozycji z marca 1915 r. Zamierzano dodatkowo włączyć do Rzeszy obszar między Narwią a Wisłą z Pułtuskiem oraz twierdzą Modlin. Zrezygnowano natomiast z obszaru położonego po zachodniej stronie Wisły w rejonie Kutna i Gostynina. Podobnie niezbyt istotna rezygnacja terytorialna miała miejsce po wschodniej stronie Warty. Południowa część „pasa granicznego" od Częstochowy do Będzina w stosunku do poprzedniego projektu nie uległa zmianie.

W kolejnych latach nadal prowadzono intensywne prace nad utworzeniem pasa. Główną rolę inspirującą odgrywał generał Erich Ludendorff, który w lipcu 1917 r. wraz z pruskim sztabem generalnym *Oberste Heeresleitung* OHL wysłał osobiście do cesarza i premiera rządu memoriał z trzema koncepcjami terytorialnymi. Pierwsza z nich pokazywała propozycję Sztabu Generalnego, druga projekt cesarza z 2 stycznia 1918 r. oraz trzecia zweryfikowany przez Ludendorffa projekt z dnia 24 stycznia 1918 r.

Wariant pierwszy zakładał przyłączenie do Rzeszy północnej i zachodniej części Królestwa Polskiego. Granica miała przebiegać wzdłuż rzeki Biebrzy, Narwi, Wisły, Bzury i Warty. Obszary położone na północ względnie zachód od tych rzek miały stanowić po oczekiwanym zwycięstwie integralną część Niemiec. Opcja cesarska zakładała niewielką aneksję. Do Rzeszy miał być włączony pas o szerokości od 20 do 40 km przylegający bezpośrednio do granicy. Miasta, jak: Szczuczyn, Kolno, Mława, Lipno, Włocławek, Konin, Kalisz i Będzin miały być inkorporowane do Niemiec. Granica miała przebiegać w bezpośrednim sąsiedztwie Częstochowy i Wielunia. Zweryfikowany przez sztab Ludendorffa „pas graniczny" miał być szerszy o 10–20 km od poprzedniej propozycji. Weryfikacje były przeprowadzane głównie w części północnej Królestwa.

Niemieccy planiści przewidywali przymusowe przesiedlenie z tego obszaru ludności polskiej i żydowskiej i zastąpienie jej przez kolonistów niemieckich. Włączony do Niemiec i skolonizowany przez Niemców obszar miał też docelowo oddzielić Polaków zamieszkujących rejencję poznańską i bydgoską od reszty narodu. Planowano także niesprecyzowane „zachęcenie" Polaków z terenu Prus do przesiedlenia na teren Królestwa Polskiego. Ludendorff posługując się terminem Granzmark , którym przywołał wyidealizowane średniowieczne Niemcy oraz odwołując się do Cesarstwa Karola Wielkiego wzywał przede wszystkim patriotycznych Niemców do przesiedlenia się na teren Polskiego Pasa Granicznego. Skoncentrował się w szczególności na weteranach I wojny światowej, przedstawiając ich jako awangardę chroniącą Imperium.

Mniejszość niemiecka żyjąca w Kongresówce, która wcześniej naciskała na włączenie do Niemiec terytorium aż po Łódź, w liście do niemieckiego rządu poparła plan utworzenia pasa granicznego. "Widzimy – pisali w liście- we wzmacnianiu się polskości, pod jakąkolwiek postacią, niebezpieczeństwo dla cesarstwa niemieckiego. Temu niebezpieczeństwu dałoby się zapobiec tylko przez zupełne odgraniczenie prowincji wschodnich niemieckich od ośrodka polskości, od Warszawy. Jesteśmy przeto za przesunięciem na wschód niemieckiej granicy wschodniej. Sądzimy, że konieczną byłaby intensywna kolonizacja nowo przyłączonych obszarów; tutaj należy osadzać Niemców z innych części teraźniejszego Królestwa Polskiego"

Niemiecki rząd przyjął i rozwinął plan utworzenia pasa w marcu 1918 roku, a w kwietniu zyskał on poparcie w pruskiej Izbie Panów *Preußisches Herrenhaus*. Plan był przedmiotem szerokiej dyskusji z udziałem partii politycznych, politologów, przemysłowców i organizacji nacjonalistycznych, takich jak Liga Pangermańska.

Na Radzie Koronnej 2 lipca 1918 r. Ludendorff zażądał ponownego rozszerzenia „pasa granicznego". Dla udokumentowania tego nowego postulatu aneksyjnego opublikowano kolejny memoriał uzasadniający zakres roszczeń terytorialnych względami politycznymi i militarnymi.

Klęska Niemiec na froncie zachodnim ostatecznie zdezaktualizowała wszelkie plany.

Pokonane Niemcy nie mogły wysuwać już roszczeń terytorialnych. Decyzje konferencji paryskiej w Wersalu o przyłączeniu do Polski Wielkopolski i Pomorza przyjęły jako zbrodniczą aneksję niezgodną z prawem międzynarodowym.

Idea planu polskiego pasa granicznego została przyjęta przez nazistów i stała się inspiracją dla Generalnego Planu Wschodniego *Generalplan Ost, GPO*. Po pokonaniu Polski nie tylko włączono do III Rzeszy dawne ziemie Cesarstwa Niemieckiego, lecz również dokonano inkorporacji byłych obszarów należących do zaboru rosyjskiego i austriackiego. W ramach aneksji wcielono do hitlerowskich Niemiec znacznie większe obszary niż to proponowali cesarscy generałowie.

Postawa mniejszości niemieckiej, która postulowała włączenie do polskiego pasa granicznego terenów aż po Łódź znalazła analogię w postawie Niemców łódzkich, pragnących aby miasto należało do Rzeszy. O ile plany utworzenia polskiego pasa granicznego spełzły na niczym i proponowane tereny ostatecznie znalazły się w granicach II Rzeczypospolitej, o tyle zdecydowana postawa niemieckich mieszkańców Łodzi, poparta przez Artura Greisera, gauleitera Kraju Warty doprowadziła do zmiany pierwotnych założeń. I ostatecznie Łódź przyłączono do III Rzeszy 4 listopada 1939 r. Uwieńczeniem decyzji administracyjnych, zmierzających do germanizacji Łodzi, była zmiana nazwy miasta na Litzmannstadt (11 kwiecień 1940 r.) od nazwiska generała Karla Litzmanna, zwycięzcy bitwy łódzkiej w 1914 r. I tak historia zatoczyła koło.

Adriana Bryk

Węgry z dostępem do Bałtyku

Niemożliwe? A jednak!!! W roku 1918 polskie stronnictwa niepodległościowe pewne były tylko jednego – Polska powróci na mapę Europy. Nie były jednak znane ani ustrój, ani granice, ani przyszłe sojusze, ani przede wszystkim kto odrodzoną Polskę będzie budował. Pojawiały się różne pomysły (patrz tekst „Karol I – niezawodny środek na Prusaki)". Mamy tu na myśli odbudowę państwowości polskiej w oparciu o sojusz z Węgrami.

Jeszcze w połowie roku 1918 Niemcy łudzili się, że zdołają pokonać aliantów w ramach zapoczątkowanej w marcu ofensywy (tzw. Bitwa Cesarza – Kaiserschlacht). Jednakże ich najbliżsi sojusznicy cienko już przędli i imperium Habsburgów właśnie zaczęło się powolutku rozpadać. O dziwo polscy poddani należeli do jednych z najwierniejszych (mieli wszak już obietnicę daną w akcie z 5 listopada 1916 roku), najbardziej burzyli się Czesi i Węgrzy. Tym ostatnim marzyła się samodzielna monarchia zamiast bardzo szerokiej autonomii w ramach monarchii dualistycznej. Węgrzy znali stanowisko Naczelnego Komitetu Narodowego stawiającego od początku na utworzenie po zakończonej wojnie monarchii trialistycznej, czyli Austro-Węgiersko-Polskiej. Zapragnęli jednak sami rozdawać karty i już samodzielnie stawiać propozycje Polakom.

W połowie czerwca 1918 roku do Budapesztu przybyła na trzydniowe rozmowy delegacja złożona z działaczy niegdyś skupionych wokół NKN, m.in. Władysława Leopolda Jaworskiego (profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego) i księcia Andrzeja Lubomirskiego (z Podola). Za partnerów w negocjacjach mieli nie byle kogo, bo aktualnie urzędującego premiera Węgier Sandora Wekerle, byłego premiera Istvana Tiszę oraz innych prominentnych polityków węgierskich, takich jak minister aprowizacji Lajos Windischgraetz.



Istvan Tisza

Tisza mający największe doświadczenie polityczne zaproponował Polakom nieograniczoną pomoc i współpracę, stawiając jedynie za warunek całkowite zerwanie stosunków z Czechami. Węgrzy krytykowali ustalenia traktatu brzeskiego, stojąc na stanowisku niepodzielności Galicji. Sugerowali także podjęcie przez Polaków starań rozwiązania sprawy polskiej w duchu polsko-węgierskim. Polska oparta nie o Wiedeń a o Budapeszt otrzyma wszystko, czego potrzebuje bez skrępowania i bez upokorzeń. Węgrzy wskazywali, że nawet jeżeli pomysł nie uzyska powodzenia, wzmocni pozycję Polaków we Wiedniu. Radzili nagłośnić pomysł w mediach, co dzisiaj nazwalibyśmy szumem medialnym. Polska delegacja złożyła raport na ręce premiera Jana Kantego Steczkowskiego i… tyle. Nic z tego pomysłu, jak możemy się domyślać, nie wyszło. Być może dlatego, że wspomniany premier wkrótce zmuszony został do rezygnacji po opublikowaniu przez Berliner Tageblatt jego tajnej noty z własnym pomysłem na Polskę, sankcjonującym m.in. ustalenia z traktatu brzeskiego (oddanie Ukrainie ziemi chełmińskiej i części Podola). A może przyczyną było to, że mimo sentymentów, Polacy stali wiernie przy najjaśniejszym cesarzu. Znamienne, że obejmując swój urząd w rządzie Ignacego Jana Paderewskiego, minister skarbu Leon Biliński kazał powiesić w gabinecie przywieziony z Wiednia portret cesarza Franciszka Józefa, któremu wiernie służył za życia na różnych stanowiskach. Najjaśniejszy Pan był symbolem trwałości i porządku. Wiedzieli o tym Węgrzy przyjmując monarchię za obowiązujący ustrój. Z braku godnej osoby, która mogłaby założyć koronę św. Stefana, regentem Królestwa Węgier, nie posiadającego dostępu do morza, został admirał Miklos Horthy. Ustanowienie monarchii dualistycznej z Polską dawałoby mu przynajmniej jakąś okazję do posiadania własnej marynarki wojennej na Bałtyku, a tak został mu tylko Balaton.

pz

Kolejne fantazje niemieckie na tematy wojenne

Zaangażowanie polityczne Cesarstwa Niemieckiego, zmierzające ku utworzeniu polskiego pasa granicznego, podbudowywano konsekwentnie spójną wizją polityczno-ideologiczną, pełniącą rolę legitymizacyjną i mobilizacyjną wobec podejmowanych działań militarnych. Jej konstrukty kształtowały sposób myślenia władz o wyłaniającym się z wojennego popiołu świecie oraz silnie oddziaływały na emocje i wyobrażenia społeczeństwa o powojennym jutrze. Stały się mimowolnie idealnie wpisującym się w pragnienia zbiorowości elementem mentalnej „mapy świata".

Obraz przyszłego ładu europejskiego elity rządzące Niemiec adaptowały z opublikowanej w 1915 roku pracy politologia Fridericha Naumanna pt. *Mitteleuropa*. Termin ów, użyty po raz pierwszy przez geografa Josepha Partscha, wszedł do obiegu akademickiego w początkach XX wieku. Pojawiał się regularnie w publicystyce politycznej, a nawet w literaturze popularnej. W miarę upływu czasu tracił swoje pierwotne znaczenie i nabierał wieloznaczności zarówno w sensie politycznym, jak i geograficznym.

Tytułową Europę Środkową Naumanna tworzyć miały marionetkowe państwa, pozostające pod polityczną, społeczną, wojskową, gospodarczą i kulturalną dominacją Rzeszy. Na początku swojego dzieła autor podkreślił: „Nasze spojrzenie kierujemy ku obszarowi Europy Środkowej usytuowanej między Morzem Północnym i Bałtykiem a Adriatykiem i południowymi krańcami niziny naddunajskiej. Na mapie są to kraje leżące między Wisłą a Wogezami, pomiędzy Galicją a jeziorem Bodeńskim i Alpami. Ten obszar stanowi jedność, kraj bratni zarówno ze względu na przesłanki strategiczne, jak i powiązania gospodarcze". Trzonem Mitteleuropy, według tej koncepcji, miała być Rzesza Niemiecka, zintegrowana politycznie z monarchią austro-węgierską. Dwa cesarstwa, razem zbyt małe, by stworzyć mocarstwo światowe, były dostatecznie silne, aby spróbować rozszerzenia terytorialnego poprzez włączenie do wspólnego organizmu państw sąsiadujących. Połączenie nie miało jednak następować na drodze podboju militarnego i aneksji wbrew woli zainteresowanych narodów. Determinować je miały względy ekonomiczne i społeczne, głównie możliwość rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego. Pozycję dominującą w tym układzie geopolitycznym powinno odgrywać państwo najsilniejsze. Właśnie odpowiednio ukształtowana historycznie wspólnota narodów niemieckojęzycznych stanowiła punkt wyjścia do dalszych przemyśleń o szerszym związku terytorialnym, obejmującym na zachodzie Belgię i Holandię, na wschodzie skolonizowane kraje nadbałtyckie, zaś na południu Bałkany aż po Konstantynopol. Pomiędzy mocarstwami przewodnimi planowano pozostawić kadłubowe państwo federacyjne – Królestwo Polskie, bez zaanektowanych ziem tak zwanego polskiego pasa granicznego. Wschodnie granice dochodziły przy tym założeniu tylko do Bugu i Zbrucza. Tak wykrojony rejon miał być wykorzystywanym gospodarczo zapleczem imperium niemieckiego, a jego zasoby powinny służyć rywalizacji z Anglią na arenie światowej w celu uzyskania pozycji wiodącego mocarstwa.

Wsukurs Naumannowskiej wizji ruszyła propaganda. *Europa przyszłości (Europa's Zukunftskarte),* czyli *Jak Francuzi, Rosjanie i Anglicy wyobrażali sobie środkowoeuropejskie granice państwowe w 1915 roku i jak będą je kształtować armie niemiecko-austriackie!*

Prezentowany tu „projekt Albana Rummana, redaktora «Saargroßstadtbrille» w Saarbrücken" łączy w sobie dwie biegunowe wizje twórcze. Pierwsza, utopijna brytyjsko-francusko-rosyjska wyciera z mapy przyszłej Europy tysiącletnie dziedzictwo niemieckie, a oryginalne trójprzymierze dzieli się jej dawnym terytorium. Druga, odpowiadająca ambicjom Rzeszy, ukazuje możliwości niemieckiego żołnierza, który w swoim zwycięskim pochodzie dociera do Hawru i Petersburga, anektuje większość obszaru Europy, a w jej sercu buduje nową potęgę – Wielkie Niemcy.

Wydarzenia I wojny światowej rozproszyły boleśnie niemiecki sen o mocarstwie. Wróci on, podobnie jak mapa *Europa przyszłości* dwadzieścia cztery lata później, w kolejnym konflikcie światowym.

♣ *Kamila Pawełczyk-Dura*



Five o'clocki zakichane

Pewnie pamiętacie, że tym pięknym epitetem swoich brytyjskich kolegów obdarzył kapral Franciszek Dolas w jednym z odcinków mini serialu *Jak rozpętałem II wojnę światową*. Synowie Albionu słynną z dwóch rzeczy: flegmy i zamiłowania do herbaty – oba elementy napotkane łącznie wywołały furię u naszego bohatera, który nie znalazł zrozumienia dla nagłej przerwy w działaniach bojowych, wywołanej koniecznością wypicia popołudniowej herbatki.

To tyle tytułem anegdoty, przenieśmy się do czasów Wielkiej Wojny. Jedną z jej ikon zagnieżdżonych w świadomości zwykłych ludzi, nieinteresujących się nawet trochę historią, są wyrzynane w pień masy żołnierskie atakujące na wprost morderczego ognia licznych karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Brak dostosowania taktyki dowódczej do realiów współczesnego pola walki z jego zdobyczami technicznymi był przyczyną strat ludzkich dochodzących nawet do 60 000 dziennie w jednym ataku (bitwa nad Sommą w 1916 roku). Karabin maszynowy – ta „maszynka do mielenia mięsa" – zmienił na zawsze sposób prowadzenia wojen, znalazł na polu walki także inne zastosowanie. Stał się... narzędziem kuchennym.

Podstawowym karabinem maszynowym armii brytyjskiej podczas I wojny światowej był ciężki karabin maszynowy Vickers, będący rozwinięciem znanego wszystkim Maxima używanego przez armię niemiecką, rosyjską a później Armię Czerwoną i Ludowe Wojsko Polskie. Karabin był obsługiwany zazwyczaj przez ośmioosobową drużynę – jeden z żołnierzy był strzelcem, jeden podawał amunicję, a reszta pomagała przenosić karabin, skrzynki amunicyjne i części zamienne. Uwierzcie było co nosić. Karabin był naprawdę ciężki, ważył do 13 kg, jego podstawa jeszcze więcej bo 23 kg. Zasilany był amunicją podawaną z taśmy, a pełna skrzynka amunicyjna z taśmą na 250 naboi dawała kolejne 10 kg. Na koniec musimy dodać około 4,3 l wody na chłodzenie lufy. W tym typie karabinu lufę otaczał zbiornik wypełniony wodą, gorąca para ze zbiornika odprowadzana była wężykiem do stojącej nieopodal chłodnicy (czasami jakiegokolwiek naczynia).

Tu powoli zmierzamy do wyjaśnienia tytułu. Brytyjskie zamiłowanie do herbaty nie dawało zapomnieć o sobie nawet na froncie. Picie herbaty nie tylko było okazją do pobudzenia organizmu odrobiną teiny, rozgrzania się i rozmiękczenia wojskowych sucharów, ale także stanowiło część wyspiarskiej kultury. Pomagało na moment powrócić myślami w spokojniejsze czasy, do domu, do rodziny. Dodatkowo smak herbaty pozwalał „zabić" posmak odkażanej chlorkiem wapnia wody, którą dowożono na linię frontu, w nieobojętnych dla smaku, kanistrach po benzynie. Zgodnie z regulaminem każdy brytyjski żołnierz otrzymywał dziennie 5/8 uncji herbaty. Pamiętajmy, że wyspiarze piją herbatę tylko z mlekiem, ich wynalazkiem dla potrzeb frontu stały się sprasowane pastylki zawierające herbatę, skondensowane mleko i cukier.



Kubek herbaty rozwiązuje każdy problem.

W czasie I wojny światowej „Tommies" znani byli z tego, że godzinami strzelali z karabinów maszynowych. Nie tyle po to, aby zrobić wrażenie na nieprzyjacielu, ale po to, by uzyskać w chłodnicy wystarczająco gorącą wodę dla... zaparzenia herbaty.

Niemcy oczywiście szybko zorientowali się w herbacianych upodobaniach wyspiarzy. Nie mogąc się dobrać odpowiednio do brytyjskiej nowości, jakim były czołgi, niemieccy snajperzy wyczekiwali na czołgistów opuszczających bezpieczny pancerz, aby udać się na popołudniową herbatkę. Straty ponoszone przez załogi czołgów z powodu zgubnego przyzwyczajenia wymusiły szybką modernizację czołgów poprzez montaż bojlerów (Boiling Vessel – BV)!!! Do dnia dzisiejszego BV stanowią obowiązkowe wyposażenie każdego brytyjskiego i indyjskiego pojazdu opancerzonego, a najmłodszy stopniem załogant jest wyznaczany na „BV Commandera", co oznacza, że do jego obowiązków należy przygotowywanie ciepłych napojów dla reszty załogi.

Warto dodać, że do upowszechnienia znanych i wygodnych saszetek z herbatą przyczynili się nie smakosze Anglicy, a jak zawsze praktyczni Niemcy. To firma Teekanne jako pierwsza wpadła na pomysł, aby w ten sposób zaopatrywać żołnierzy na froncie. Jej wkładem jest tu zamiana pierwotnie stosowanych bawełnianych torebek (to był wynalazek amerykański) na papierowe.

pz



Za pomocą tak zwanej „bomby herbacianej" Teekanne zaopatrywało w herbatę żołnierzy podczas pierwszej wojny światowej. Skład tej „bomby" to mielona herbata i cukier, ponieważ był czas wojny i karierę robiło słowo ersatz z dużym prawdopodobieństwem obok herbaty występowała tam mielona roślinność całej Europy.







Mapa humorystyczna Europy w 1914 roku

Propaganda niemiecka naszkicowała niezwykle wymowny obraz – *Mapę humorystyczną Europy w 1914 roku.* Bohaterami tego swoistego plakatu politycznego stały się upersonifikowane państwa biorące udział w konflikcie, a tłem pogrążony w pierwszowojennej zawierusze stary kontynent. Przekaz, dopracowany w każdym szczególe, nasycony został sugestywnymi symbolami – postaciami, zwierzętami i rekwizytami, na które kunsztownie nałożono stereotypy. Wydobycie narodowych uprzedzeń, elementów historii i niemieckich marzeń o zwycięstwie na froncie złożyło się na ciekawą i malowniczą wizję I wojny światowej.

Legenda:

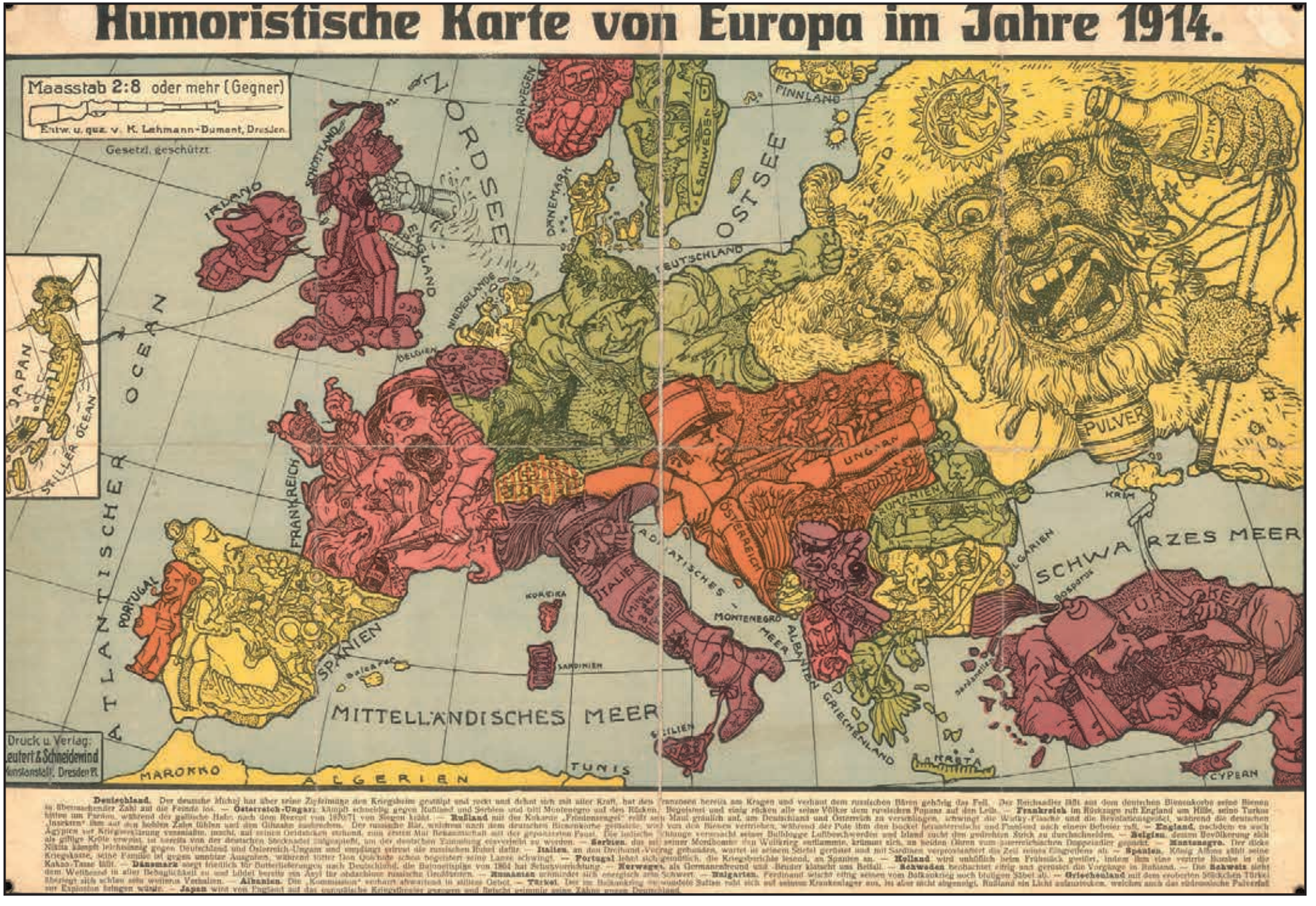
Na pierwszy plan wysuwa się przedstawienie antropomorficzne „niemieckiego Michela". Karykaturalne wcielenie dobrodusznego „Michałka", występującego zazwyczaj w szlafmycy i spiczastej czapie, zostaje przyodziane w hełm wojenny otoczony, a jakże!, liściem laurowym. Przedzierzgnięty we frontowca Niemiec wymierza celne razy nieprzyjaciołom. Silny wojak przeciąga się i wyciąga długie ramiona. Jedną ręką już trzyma za kołnierz posępnego Francuza, drugą porządnie trzepie futro rosyjskiego niedźwiedzia. Wspomaga go jednogłowy orzeł Rzeszy Niemieckiej, który uwalnia z ula kąsające dotkliwie wrogów niemieckie pszczoły. Tuż obok Austro-Węgry zaciekle walczą z Rosją i Serbią, kopią Czarnogórę w plecy. Entuzjastyczne i zjednoczone narody cesarstwa atakują czyhające na nich straszydło – przysłowiowego Iwana z nahajką. Upersonifikowana Rosja z kokardą „anioła pokoju" otwiera ohydną gębę, by pożreć Niemcy i Austrię. Wymachuje butelką wódki i rewolucyjną plagą, podczas gdy niemieckie „owady" wyrywają jej krwiożerczy kieł. Rosyjski niedźwiedź, który czynił zakusy na niemiecki ul, zostaje odpędzony przez pszczoły. Wreszcie zaś polski szlachcic w kontuszu i z malutką szabelką ześlizguje się po starym ruskim garbie. Tuż nad jego głową wystraszona Finlandia wzywa swego wyzwoliciela, a sąsiednia Szwecja z zapałem przypatruje się temu, co dzieje się w Rosji. Jedynie Norwegia, niemiecki przyjaciel i krzyżacki brat, oklaskuje przyszłych zwycięzców.

Walczący kątem oka spoglądają na Bałkany. Serbia, która rozpaliła wojenną pożogę, wije się niepewnie, a za uszy trzyma ją austriacki dwugłowy orzeł. Gruby Czarnogórzec Nikita walczy lekkomyślnie z Niemcami i Austro-Węgrami i z radością wydaje rosyjskie ruble. W tym czasie Rumunia energicznie wykuwa swój miecz. Bułgarski monarcha Ferdynand pieczołowicie wyciera swoją szablę, wciąż zakrwawioną po wojnie bałkańskiej. Skupiona na sobie Grecja z podbitą Kretą sprytnie rozważa dalsze postępowanie, podczas gdy Albania spokojnie czeka i trwa w cichej modlitwie. Sułtan turecki, ciężko ranny, leży na swym łożu, pali leniwie fajkę i odpala lont rosyjski, który zdetonuje również czarnomorską beczkę prochu.

Wśród pierwszowojennego zgiełku i wrzawy jedynie Szwajcaria pozostaje ostoją spokoju. Kraj ten w pełnym komforcie przygląda się szalejącemu wokół światowemu pożarowi i powoli organizuje azyl dla uciekających w popłochu rosyjskich wielkich książąt. Na tę oazę chciwie spoglądają związane Trójprzymierzem Włochy. Wciśnięte w buty, słabo uzbrojone, ale zaopatrzone w puszkę sardynek czekają na swój udział w wojnie. W stanie chwilowego zawieszenia znajduje się także Hiszpania. Rycerz Don Kichot entuzjastycznie dzierży lancę i rusza do boju, zagrzewany przez monarchę. Król Alfons przelicza zasobność swojej wojennej skrzyni i podtrzymuje plecami sąsiada. Portugalia opiera się bowiem wygodnie na Hiszpanii, czytając ciągle raporty wojenne.

Tymczasem w panicznym odwrocie Francja wzywa Anglię na pomoc. Galijski kogut przypomina koleje konfliktu francusko-pruskiego z lat 1870 –1871. Francuzi z rękami podniesionymi do góry w geście poddania proszą o ułaskawienie. Anglia, po skłonieniu Egiptu do wypowiedzenia wojny, po raz pierwszy poczuła uderzenie pancernej pięści. Stojąc na workach z pieniędzmi, pod każdym ciosem mocno się chwieje. Indyjski wąż krępuje brytyjskiego Johna Buliego i jego buldoga, a Irlandia próbuje przeciąć w pośpiechu łańcuch łączący ją z Anglią. Wciągnięte do teatru wojny przez Anglię japońskie okręty płyną do Europy. Nieokrzesany Japończyk ponuro szczerzy zęby przeciwko Niemcom. Ci zaś niepowstrzymanie realizują swój plan i skutecznie blokują Niderlandy. Belgia, przedstawiona pod postacią ropuchy, została przebita niemiecką szpilą. Widok ten budzi niepokój wśród Holendrów, spotęgowany wpadnięciem zabłąkanej bomby do kubka z herbatą. Boleśnie poparzeni gorącym napojem są niezdolni do dalszych działań. Wojennemu paraliżowi północy przygląda się ze spokojem Dania, nauczona doświadczeniem wojny 1864 roku.

Kamila Pawełczyk-Dura



Deutschland. Der deutsche Michel hat über seine Zielstrebigkeit den Kriegsheim gestülpt und rockt und dehnt sich mit aller Kraft, hat den Franzosen bereits am Kragen und verhaut dem russischen Bären gehörig das Fell. Der Reichsadler läßt aus dem deutschen Bienenkorbe seine Bienen in übermächtiger Zahl auf die Feinde los. — **Oesterreich-Ungarn** kämpft schneidig gegen Rußland und Serbien und tritt Montenegro auf den Rücken. Begeistert und einig rücken alle seine Völker dem russischen Popanz auf den Leib. — **Frankreich** im Rückzuge ruft England um Hilfe, seine Turkos hüten im Parkett, während der gallische Hahn nach dem Rezept von 1870/71 von Siegen krächt. — **Rußland** mit der Kokarde „Friedensengel" reißt sein Maul gräulich auf, um Deutschland und Österreich zu verschlingen, schwingt die Wutky-Flasche und die Revolutionsgeißel, während die deutschen „Insekten" ihm auf den hohlen Zahn bohren und dem Giftsaft nachstechen. Der russische Bär, wildwütig nach dem deutschen Bienenkorbe greifend, wird von den Bienen vertrieben, während der Pole ihm den hackel herumdrehen und Finnland nach einem Befreier ruft. — **England**, nachdem es noch Ägypten zur Kriegserklärung veranlaßt, macht, auf seinen Heldenlorbeer ruhend, zum ersten Mal Bekanntschaft mit der gepanzerten Faust. Der indische Schutzgeist seiner Bulldogge Luftbeschwerden und Island sucht den gedrechten Zorch zu durchschneiden. — **Belgien**, dessen Bevölkerung sich als giftige Kröte erweist, ist bereits von der deutschen Steckmadel aufgespießt, um der deutschen Sammlung einverleibt zu werden. — **Serbien**, das auf seiner Mordbombe den Weltkrieg entflammte, krümmt sich, an beiden Ohren vom österreichischen Doppeladler gepackt. — **Montenegro.** Der dicke Nikita kämpft leichenmäßig gegen Deutschland und Österreich-Ungarn und empfängt scheut die russischen Rubel dafür. — **Italien**, an den Dreibund-Vertrag gebunden, wartet in seinem Sessel gerüstet und mit Sardinen verproviantiert die Zeit seines Eingreifens ab. — **Spanien.** König Alfons zählt seine Kriegskasse, seine Familie ist gegen unnütze Ausgaben, während Vetter Don Quichote schon begeistert seine Lanze schwingt. — **Portugal** lebt sich gemütlich, die Kriegsberichte lesend, an Spanien an. — **Holland** wird unhöflich beim Frühstück gestört, indem ihm eine verirrte Bombe in die Kakao-Tasse fällt. — **Dänemark** sorgt friedlich für Butterlieferungen nach Deutschland, die Befestigung von 1864 hat Schutzvorrichtung. — **Norwegen**, als Germanenfreund und Neuter klatscht uns Beifall. — **Schweden** beobachtet eifrig und gerüstet die Vorgänge in Rußland. — Die **Schweiz** sieht dem Weltbrand in aller Behaglichkeit zu und löffelt bereits ein Asyl für obdachlose russische Großfürsten. — **Rumänien** wirmindet sich energisch zum Schwert. — **Bulgarien.** Ferdinand wischt eifrig seinen vom Balkankrieg noch blutigen Säbel ab. — **Griechenland** mit dem eroberten Prachtstück Türkei übergießt sich schlau sehr weinrot Vertuschen. — **Albanien.** Die „Kommission" verhielt abwartend in stillem Gebet. — **Türkei.** Der im Balkankrieg erworbene Balkan ruht sich auf seinem Krankenlager aus, ist aber nicht abgeneigt, Rußland ein Licht aufzustecken, welches auch das türkische Pulverfaß zur Explosion bringen würde. — **Japan** wirft von England auf das europäische Kriegstheater gezogen und flötscht geimmig seine Zähne gegen Deutschland.

Od oblężenia do rozbrojenia — wspomnienia łódzkiego Niemca

Przed kilku laty trafiła w moje ręce kserokopia niewielkiej, niespełna 40-stronicowej broszury, zawierającej wspomnienia łódzkiego Niemca, Adolfa Hage (1895 – 1974). Cechy zewnętrzne każą zaliczać ją do druków okazjonalnych, akcydensowych, sporządzonych na użytek nielicznego kręgu czytelników i nieobjętych żadną niemiecką bibliografią. Czas jej powstania można określić na lata 80.-90. XX w. To jedna z nielicznych autobiograficznych relacji przybliżających realia życia w Łodzi na przełomie XIX i XX wieku. Jest ona tym bardziej interesująca, że autor wywodził się z rodziny niemieckich katolików, których w Łodzi było przed 1914 r. niespełna 13 tysięcy. W zgodnej opinii badaczy przeszłości naszego miasta, tzw. deutschkatolicy byli bardziej otwarci na kontakty z polskim otoczeniem. Dobra znajomość języka polskiego pozwoliła autorowi m. in. na zastępowanie naczelnika powiatu w kontaktach z polskimi ziemianami, czy też na pracę w austriackim szpitalu polowym w Piotrkowie. Do publikacji wybrane zostały fragmenty stanowiące ok. ¼ całości tekstu i takie, w których opowieść autora nie mogła być uzupełniona wiedzą pochodzącą ze źródeł innych niż własna pamięć. Uważny czytelnik dostrzeże całkiem pokaźny zasób informacji przekazanych nie wprost, a między wierszami. Poza walorami dokumentacyjnymi, wspomnienia A. Hagego stanowią ważny przyczynek do rozpoznawania problemu samoidentyfikacji łódzkich Niemców. Administracja miasta z lat 1915 – 1918 była dla autora władzą okupacyjną, Rosjanie są jednoznacznie źli i przy każdej okazji przedstawieni w czarnych barwach, Józef Piłsudski to wielki bohater narodowy, ale Polacy rozbrajający żołnierzy niemieckich w listopadzie 1918 r. to już tylko motłoch.

Rok 1914 był początkiem I wojny światowej. Przyniósł on także 18-dniowe oblężenie Łodzi przez wojska niemieckie dowodzone przez gen. Litzmanna. Rosjanie bronili się rozpaczliwie. W szkołach, fabrykach, lokalach różnych stowarzyszeń zorganizowano lazarety, a mieszkańców powołano do ochotniczej służby sanitarnej. W firmie, w której byłem zatrudniony, lekarz fabryczny przygotował pomieszczenia do przyjmowania rannych i chorych żołnierzy rosyjskich. Zgłosiłem się do opieki nad chorymi i otrzymałem od szefa rosyjskiego Czerwonego Krzyża odpowiednią legitymację. Dlatego, mimo stanu oblężenia, mogłem przebywać na ulicach we dnie i w nocy. Przydzielono nam do opieki 23 mężczyzn, w tym jednego sierżanta. Wdzięczność ze strony rannych była duża. W dniu, w którym Rosjanie ostatecznie opuścili miasto i moi podopieczni odwiezieni zostali fabrycznym wozem na ostatni pociąg, otrzymałem listę imienną podpisaną przez wszystkich i przyrzeczenie, że po zakończeniu wojny będę mógł gościć u każdego z nich przez rok. Ich miejscowości rodzinne leżały między granicą litewską a Władywostokiem. Miałem więc zapewniony 23-letni bezpłatny urlop. Z tego marzenia musiałem jednak zrezygnować. Wojna zakończyła się inaczej, niż oczekiwaliśmy.

Jeszcze jedno przeżycie związane z lazaretem jest dla mnie ważne. Do opieki nad chorymi otrzymałem przepustkę dla siebie i towarzyszącej mi osoby. Pozwalała ona przekraczać front, który otaczał nasze miasto. Między okopami walczących, a więc na ziemi niczyjej, mieliśmy rozkopywać kopce ziemniaków i zwozić je dla naszych podopiecznych. Zaprzęgaliśmy konie fabryczne do wozu i wyjeżdżaliśmy, zdając się na szczęście od losu. Towarzyszył mi ojciec. Nad naszymi głowami, w kierunku centrum miasta, przelatywały niemieckie granaty. Miały niszczyć elektrownię, gazownię, ujęcia wody. Z naszymi dowodami mogliśmy podczas przerwy w walce przekraczać okopy. Wkrótce dotarliśmy do pól. Poruszały się po nich grupy sanitariuszy i pojedynczy Rosjanie okradający zwłoki poległych. Rannych żołnierzy zabierano, martwych pozostawiano niepogrzebanych.

W takich okolicznościach napełnialiśmy nasze worki ziemniakami. Kopce były już wcześniej plądrowane przez żołnierzy. Cywilów nie było widać, ponieważ mieszkańcy okolicznych chłopskich domów, częściowo zburzonych, częściowo spalonych, już wcześniej opuścili swoje zagrody i uciekli do miasta. Gdy byliśmy zajęci ziemniakami, zbliżyła się do nas niewielka grupa rosyjskich żołnierzy i obserwowała nas. Ich wygląd był straszny. Jeden z nich wskazał na mnie i krzyknął: „On ma złoty ząb, to jest Niemiec!”. W tamtym czasie miałem na dwóch przednich zębach złote koronki. Przez chwilę rabusie stali niezdecydowani, lecz zagadaliśmy do nich w ich języku i pokazaliśmy nasze przepustki. Powoli odeszli dalej, mamrocząc: „Szkoda, bardzo szkoda!”. Kiedy byliśmy gotowi do odjazdu i przechodziliśmy obok poległych Niemców, widzieliśmy, że wielu z nich ma wyrwane zęby. Zrobili to rosyjscy żołnierze[1].

Ponieważ byliśmy bardzo obładowani ziemniakami, chcieliśmy też coś z nich uszczknąć dla naszego woźnicy i na własny użytek. Miało to szczególne znaczenie, ponieważ różni nasi krewni mieszkający na obrzeżach miasta uciekli do nas i w ten sposób, mimo małego mieszkania, przebywało u nas 18 osób. Niektóre z dorosłych dzieci naszych krewnych pozostały w swoich domach, by ich strzec przed rabunkiem lub pożarem.

Wracajmy do oblężenia przez armię niemiecką. Pierścień oblegających stawał się coraz ciaśniejszy i Rosjanie opuścili Łódź. Do tej chwili Polska była zarządzana wyłącznie przez Rosjan. Ponieważ wraz z ich odejściem władza ta upadła, musiał być utworzony zarząd tymczasowy. Środowisko rzutkich obywateli próbowało zorganizować nowy zarząd miasta. Pojawiła się nagląca konieczność utworzenia oddziałów bezpieczeństwa, czyli swego rodzaju służby policyjnej. Natychmiast, na ochotnika, włączyłem się do jej organizowania. W tym samym budynku zarządu fabryki, w którym mieścił się lazaret, urządziliśmy posterunek milicji i powołaliśmy do niego odpowiedzialnych mężczyzn. Natychmiast zgłosili się współpracownicy, zwłaszcza ze stanowisk kierowniczych, ale także majstrowie i robotnicy naszego przedsiębiorstwa. Wszystko było koordynowane przez tymczasowy zarząd miasta, podzielonego na okręgi i rewiry. Milicjanci oznaczeni zostali opaską noszoną na ramieniu. Szeregowy milicjant otrzymał opaskę białą, rewirowy – niebieską, a kierujący okręgiem – żółtą. Współpraca układała się po koleżeńsku, bez zazdrości o stanowisko czy szarżę. Milicja pracowała w systemie zmianowym: 8 godzin i dwugodzinny obchód kontrolny. Mieszkańców obowiązywał zakaz poruszania się w nocy po mieście. Zakłócający spokój osadzani byli w areszcie. Obchodów kontrolnych dokonywały dwuosobowe, uzbrojone patrole. Stosunkowo szybko awansowałem na kierującego okręgiem i tylko w szczególnych przypadkach włączałem się do służby na ulicach. Przede wszystkim nadzorowałem zmianowość pracy milicjantów i układałem plany pracy. Pod moją pieczą była też broń.

Do służby w milicji garnęli się w równej mierze przemysłowcy, dyrektorzy, majstrowie, inżynierowie, aptekarze, robotnicy, niczym nie zaznaczając dzielących ich różnic klasowych. Ta nasza honorowa służba trwała

1 Podobne relacje przytacza K. R. Kowalczyński, *Łódź 1914. Kronika oblężonego miasta*, Łódź 2012, s. 205-207.

kilka miesięcy, do czasu, gdy niemiecka władza okupacyjna zorganizowała aparat administracyjny. Niektórzy milicjanci przeszli wówczas dla płatnej służby policyjnej.

Władze okupacyjne skonfiskowały wszystkie surowce i tylko nielicznym zakładom przemysłowym dały zlecenia na produkcję, głównie półfabrykatów. Ponadto właścicielom fabryk zlecono wypłacić robotnikom śmiesznie niskie zasiłki. Na ten cel przedsiębiorstwa otrzymały tzw. Notgeld – prowizoryczne pieniądze w postaci wydanych przez miasto bonów, które przekazano przedsiębiorstwom jako kredyt. Oprócz bonów były w obiegu wprowadzone przez okupanta marki. […]

Łodzianie niemieckiego pochodzenia mieli teraz możliwość znaleźć zatrudnienie w którymś z urzędów rozbudowanej administracji okupacyjnej. Natomiast tylko część Polaków mogła zatrudnić się na stanowiskach pomocniczych. Dlatego część łódzkiej społeczności wywędrowała z miasta, by znaleźć schronienie w gospodarstwach chłopskich i zająć się szmuglowaniem żywności do Łodzi. Często też wyprzedawano swoje mienie. Oficjalny obrót żywnością dokonywał się na podstawie kartek. Polskim mieszkańcom Łodzi były one skąpo racjonowane. Ponieważ wznowienie produkcji przemysłowej nie wchodziło w grę, fabryki wypowiadały pracę zatrudnionym. Taka była sytuacja w 1915 roku.

Anna, moja narzeczona, przed wybuchem wojny była zatrudniona w dużym sklepie z dziełami sztuki. Teraz była bezrobotna. Sklep został splądrowany przez okupantów. Anna znalazła jednak pracę jako sprzedawczyni w piekarni prowadzonej przez kuzyna. Od czasu do czasu dostawaliśmy stamtąd, bez kartek, bochenek chleba, ważący 3 – 4 funty. Na początku 1916 roku Anna otrzymała wreszcie pracę w niemieckim urzędzie finansowym, gdzie w tym samym niemal czasie zaczęły pracować moje siostry, Olga i Jenny.

Mój brat Artur, pracujący wcześniej w agencji importowej, został zatrudniony w niemieckim sądzie pokoju jako protokolant procesowy. Poprzez Artura znalazłem pracę w tym samym sądzie. W kancelarii przepisywałem na czysto sporządzane przez sędziego uzasadnienia wyroków. Wynagrodzenie było niewysokie i musiałem rozejrzeć się za inną pracą. Miałem szczęście i udało mi się znaleźć miejsce w urzędzie zaopatrzeniowym, tzw. Verpflegungsdeputation niemieckiego zarządu miasta. W trzy osoby pracowaliśmy w „Wydziale Cukru i Ziemniaków". Odbieraliśmy ze sklepów odcinki kartek żywnościowych i na ich podstawie wystawialiśmy asygnaty na nowe dostawy. Wkrótce, jako kierownik, miałem nadzór nad całym wydziałem. Pewnego dnia odwiedził tereny okupowane król Saksonii August ze swoimi dwoma synami. Dokonywał przeglądu także w zarządzie miejskim Łodzi. Przyszedł również do naszego urzędu, aby zapoznać się z organizacją zarządzania artykułami spożywczymi. Wyjaśniłem, na tyle dobrze, na ile mogłem, na czym polega moje zadanie i dałem do wglądu naszą dokumentację. Gdy to zrobiłem, klepnął mnie w ramię i powiedział: „Rób tak dalej, mój drogi!".

Pewnego dnia zostałem wezwany do naszego szefa, podporucznika Jacobiego i przedstawiony komisarzowi powiatowemu, panu Handke. Z zawodu był on urzędnikiem bankowym, przybył z Wrocławia. Handke objął właśnie kierownictwo sąsiedniego powiatu. Jego zadaniem było zarządzanie magazynami, do których musiały być zwożone artykuły rolne: zboża, rośliny strączkowe, różny materiał siewny itp. Zboże przeznaczone do wysiewu musiało być szczególnie badane i odpowiednio przygotowane. Do tego należało także, po przeprowadzonej wcześniej kontroli gruntu, odpowiednie sztuczne nawożenie. Po wysiewie, gdy zboże wzeszło, trzeba było przeprowadzić dokładną kontrolę planu upraw, jak i dokonać szacunku wielkości spodziewanych plonów. W krótkich odstępach czasu należało też badać mikroskopowo ziarno siewne. Wszystko to było kierowane odgórnie.

Zebrane później plony szły do centralnego magazynu w Niemczech, gdzie np. zmielone zboża mieszano i ponownie wysyłano w celach zaopatrzeniowych na tereny okupowane. Mąkę składowano w magazynie powiatowym i z niego wydawano według asygnat do piekarń i sklepów. Podstawą sporządzania asygnat były gromadzone przez nas kartki żywnościowe. Dozór nad zbożem i zasobami mąki obejmował przesypywanie, wietrzenie, utrzymywanie odpowiedniej temperatury, kontrole mikroskopowe itp. W warunkach wojennych i z powodu dużej odpowiedzialności wszystko to sprawiało wiele kłopotów.

To zboże dostarczane było później do młynów wskazanych przez komisarza powiatowego, gdzie je mielono. Młyny poddawane były kontroli przez wyznaczonych kontrolerów. Był wśród nich m.in. mój przyszły szwagier, Johann Steinbring. Zaproponowałem mu stanowisko. Było to możliwe, ponieważ kontrolerzy podlegali mnie. Przy transporcie artykułów rolnych niezbędne były przepustki, które wystawiał jedynie nasz urząd. Otrzymałem taki dokument i mogłem odwiedzać swoich bliskich poza miastem. Pozwoliło to polepszyć nasze zaopatrzenie, zwłaszcza dzięki drobiowi kupowanemu od chłopów bez żadnych ograniczeń. Do takich wyjazdów otrzymywałem także podwody. Obowiązek ich podstawienia był troską burmistrzów bądź sołtysów poszczególnych gmin. […]

Ale wróćmy do pierwszej tercji 1918 roku. W tym czasie pogorszyły się widoki na zwycięstwo Niemiec w wojnie, zwłaszcza gdy Włochy odpadły jako sojusznik. […]

Wojna zakończyła się szybciej niż oczekiwano. 11 listopada 1918 r., zarówno na froncie, jak i na zapleczu, dokonał się przełom. Bez oznaczeń stopni wojskowych, zaopatrzeni tylko w czerwone opaski, a do tego ubłoceni i zaniedbani, uciekali oficerowie i żołnierze. Biegli ulicami miasta w poszukiwaniu dworca kolejowego. Uciekający w pojedynkę stawali się ofiarami pospólstwa, które ich rozbrajało, ograbiało i znieważało. W środowisku Niemców łódzkich powstał komitet wspierania i pomocy powracającym z wojska (Komitee zur Unterstützung und Hilfe für die Wehrmachtsrückkehrer). Zadbano o opiekę i tak szybko, jak było to możliwe, dostarczenie odzieży cywilnej.

W pośpiechu został zajęty przez uzbrojonych Niemców hotel Savoy i oznaczony jako punkt zborny rozproszonych uciekinierów. Oddano do dyspozycji prywatne samochody, aby przewozić małe grupki z punktu zbornego na dworzec, gdzie zgromadziło się wielu ludzi. Pociąg za pociągiem, przepełnione wagony opuszczały dworzec w kierunku zachodnim. W dostarczonych nam samochodach siadałem obok kierowcy i wskazywałem drogę do dworca. Do każdego przejazdu wybieraliśmy inna trasę, aby wprowadzić w błąd polski motłoch i uniknąć starć. Minęły prawie trzy dni, nim uporaliśmy się z tym zadaniem. Do jego wykonania zgłosiłem się ochotniczo na wezwanie moich szefów z banku.

Stopniowo miasto uspokajało się, a raczej zwróciło swoją uwagę na walkę o władzę, która rozgorzała między różnymi polskimi partiami politycznymi.

Adolf Hage, *Wspomnienia z mojego życia, do 1918 r. (Erinnerungen aus meinem Leben: die Jahre bis 1918)*

⚘ *tłumaczenie i wybór Krzysztof P. Woźniak*

Tam i z powrotem, czyli co łączyło Lenina z narkotykami

XVIII-wieczny filozof Edmund Burke, powiedział: „Pod presją trosk i smutków naszej śmiertelnej kondycji ludzie przez cały czas wzywali jakąś fizyczną pomoc dla ich moralnej pociechy”.

Szczególnie podczas Wielkiej Wojny słowa te zyskały na aktualności. Pozostając miesiącami w zimnych i wilgotnych okopach, żołnierze rozgrzewali się i rozładowywali bitewny stres nie tylko tytoniem, tabaką, rumem i wódką. W miarę narastania poziomu stresu bitewnego korzystali z mocniejszych, znanych już od „przedwojny” środków – narkotyków.

Na początku Wielkiej Wojny słynny londyński sklep Harrods zaczął sprzedawać małe zestawy z morfiną i kokainą oraz strzykawką z wymiennymi igłami pod hasłem „Przydatny prezent dla przyjaciół na froncie”. Jeszcze w grudniu 1915 roku otwarcie w brytyjskiej prasie reklamowano małe apteczki zawierające kokainę w proszku, opium w tabletkach. Współcześni natychmiast zauważyli, że żołnierze, którzy otrzymali prezenty, „byli kuszeni, aby używać tych leków nie tyle jako środka przeciwbólowego, ale jako środka pobudzającego przy skrajnym wyczerpaniu”. W latach 1914-1915 żołnierze dosłownie oblegali apteki przed wyruszeniem na front w celu zaopatrzenia się w zbawienne pigułki, nabywali też narkotyki od prostytutek i w podejrzanych barach. Nie przeszkadzało to prasie francuskiej i angielskiej oskarżać Niemców o przemyt kokainy poza linię frontu w celu osłabienia morale aliantów (tak naprawdę głównym dostawcą była neutralna Holandia). „Times” uznał kokainę za poważne zagrożenie, nawet „bardziej śmiercionośne niż kule”. Dlatego też, pod intensywną i nieustanną presją społeczną, 11 maja 1916 roku dowództwo wojsk brytyjskich wydało rozkaz zakazujący wszelkiej sprzedaży lub dostarczania substancji psychoaktywnych – głównie kokainy, ale także kodeiny, konopi, heroiny, morfiny i opium – każdemu członkowi sił zbrojnych, z wyjątkiem powodów medycznych i wyłącznie na receptę. Nie pomogło to wiele. Grono uzależnionych we wszystkich krajach powiększali masowo napływający do szpitali, ciężko ranni żołnierze, leczeni morfiną, podawaną z łatwością z jaką aplikuje się aspirynę. Bez zachowania wielkości i częstotliwości dawek, stawali się wtórnymi ofiarami wojennego leczenia i zasilali mrowie powojennych weteranów-narkomanów.



Reklama Ayer's Cherry Pectoral – mieszanki alkoholu i opium o smaku wiśniowym "Na przeziębienie i kaszel, Uzdrawia, wzmacnia płuca oraz narządy głosowe”. Słodkie maleństwa były pojone nią przez kochające matki wierzące w cudowną moc mikstury. Ciekawe, który ze składników był bardziej zabójczy?



Najlepsza odżywka do włosów Kokaina, standardowy aromat. Zabija łupież, wspomaga porost włosów, leczy oparzenia głowy i wszelkie podrażnienia skóry głowy.

Tymczasem jeszcze na przełomie XIX i XX wieku, w cudnej epoce fine de siècle'u, stosowanie różnego rodzaju używek i narkotyków jako lekarstw lub środków dla artystycznej podniety było na porządku dziennym. Większość populacji zażywała je bez żadnych recept dla zapobieżenia częstym dolegliwościom związanym z przeziębieniem, kaszlem czy zwykłym bólem zęba lub po prostu dla zabicia nieznośności bytu codziennego. Znany z powieści „Ziemia tragiczna” Caldwella (akcja dzieje się w stanie Georgia tuż po zakończeniu Wielkiej Wojny) ekstrakt żołądkowy dr. Mundaya, będący niczym innym jak wyciągiem z ziół na bazie silnego alkoholu, wydaje się być podstawowym środkiem leczniczym ratującym zdrowie żony głównego bohatera. Sprzedawana w aptekach Coca-Cola, zawierająca silny ekstrakt z liści koki, reklamowana była jako lekarstwo na bóle głowy, nerwobóle, melancholię oraz histerię (w pierwotnej recepturze zawartość kokainy w szklance napoju była prawie dwukrotnie większa niż w popularnej „kresce”). Liść koki był reklamowany jako środek nie tylko wzmacniający nerwy i mięśnie, ale także „łagodzący głód i pragnienie”, co czyniło go szczególnie atrakcyjnym dla najbiedniejszych. Łatwość i powszechność aplikowania kokainy sprawiły, że nadano jej nawet nazwę „białej tabaki”. Kokaina zaczęła występować w wielu lekarstwach jako skuteczny środek przeciwbólowy. Popularny amerykański lek na nieżyt nosa Ryno's Hay Fever



Zszarpane wojną nerwy brytyjskich żołnierzy i marynarzy miały ratować niezawodne opiumowe tabletki Paregoric.



Kokainowe kropelki na ból zębów od Lloyda. Obrazek sugeruje, że mogą je brać także dzieci.

składał się w 99% z kokainy, był reklamowany jako najlepsze lekarstwo na zatkany, zaczerwieniony i obolały nos. Podobne w składzie pigułki brytyjskiej firmy Burroughs Wellcome & Co były reklamowane jako doskonały środek na przywrócenie głosu śpiewakom i mówcom. Ogólnie rzecz biorąc, kokaina produkowana masowo, uważana była za równie nieszkodliwą jak tytoń.

Z kolei opium zyskało miano lekarstwa na wszystko. Tabletki opium powlekano lakierem dla klasy robotniczej, srebrem dla bogatych i złotem dla bardzo bogatych. W XIX wieku apteczne półki uginały się pod ciężarem dostępnych bez recepty preparatów zawierających opium w każdej postaci: w proszku, pastylkach, plastrach, maści, ciasteczkach, a nawet roztworach do lewatywy. Opium wchodziło w skład leków dla dzieci: mikstury na wiatry produkowanej przez firmę Dalby oraz syropu Godfrey. Do najpopularniejszych medykamentów należały pigułki z opium zmieszanego z mydłem czy korzeniem wymiotnicy. Na astmę stosowano podawaną w formie cukierków nalewkę Paregoric (opium, kwas benzoesowy i olejek kamforowy). No i oczywiście zażywano laudanum, które do dziś (!) można kupić na receptę w USA jako środek leczący uporczywą biegunkę. Opium uznawano nie tylko za substancję uśmierzającą bóle, ale też działającą uspokajająco, leczącą bezsenność, migreny czy „dolegliwości kobiece" (z tego powodu w XIX wieku uzależnionych od opium było trzy razy więcej kobiet niż mężczyzn). Małym dzieciom podawano Ayer's Cherry Pectoral, mieszankę alkoholu i opium o smaku wiśniowym.

Prace uznanych twórców Arthura Conana Doyle'a, Charlesa Dickensa, Lewisa Carolla, Michaiła Bułchakowa czy Witkacego zawdzięczają więcej niż trochę narkotykom – opium, ale także marihuanie, koce, meskalinie, a wraz z wynalezieniem igły do zastrzyków podskórnych – morfinie i heroinie. Pierwszych eksperymentów z substancjami psychoaktywnymi Witkiewicz dokonywał podczas I wojny światowej, w czasie pobytu w Rosji [zob. tekst Rewolucjonista na L4 w poprzednim BŁ], gdzie odkrył ich stymulujący wpływ na wyobraźnię i powiększenie możliwości artystycznych. Eksperymenty z substancjami takimi jak kokaina, pejotl i syntetyczna meskalina, eter czy zwykły alkohol lub tytoń kontynuował także po wojnie, skrupulatnie notując na obrazach rodzaj użytej substancji. Można powiedzieć, że stał się ofiarą rewolucji. W okresie przedwojennym kokaina była popularna wśród rosyjskiej bohemy, nazywano ją „narkotykiem dla bogatych". Wprowadzenie w Rosji już na początku wojny całkowitej prohibicji, doprowadziło do tego, że dotąd powszechny i lubiany alkohol zastąpiony został kokainą oraz morfiną. Rewolucyjne przewroty roku 1917 przyczyniły się do „demokratyzacji" narkotyków. Paradoksalnie, w czasie Wielkiej Wojny okopy Frontu Wschodniego nie stanowiły żadnej zapory dla przemytu kokainy z Niemiec do Rosji. Tak jak wcześniej przez Szwecję i Finlandię przemycono do Rosji Lenina, tak teraz tą samą drogą szła kokaina. Po puczu lutowym fala kokainy zwanej na wiele sposobów – antracyt, biała wróżka, kicker, koks, kot, marafet, kreda, mura, niuchara, niuchta, szalony proszek – dosłownie zalała St. Petersburg i Moskwę. Wielu bałtyckich marynarzy, ostoja bolszewików, było wytrawnymi narkomanami. Wśród „wciągających" byli także petersburscy proletariusze, gotowi na każdą zbrodnię za kreskę „merafetu", prostytutki, chłopcy, którzy sprzedawali prochy na dworcu Mikołajewskim... Rewolucyjni marynarze wprowadzili określenie „bałtycka herbata" dla popularnej wśród dzielnych matrosów wódki z rozpuszczoną w niej kokainą. Ta mieszanka przedłużała i wzmacniała efekt przyjmowania narkotyku. Ich dowódcy w Kronsztadzie stworzyli nawet „Koke-Club", którego członkowie nie tylko sami zażywali narkotyki, ale także rozprowadzali je wśród kolegów, kupując proszek od pielęgniarek i lekarzy (niepochlebna sława największych morfinistów przylgnęła dla lekarzy). Często dochodziło do zaciekłych walk o narkotyki między oficerami a marynarzami, apteki w Kronsztadzie i Piotrogrodzie były nieustannie przedmiotem zbrojnych nalotów „naćpanych" wojskowych. Ani Rząd Tymczasowy Kiereńskiego, ani nawet bolszewicy, nie mogli sobie poradzić z tym potwornym procederem. Także biali oficerowie aktywnie uciekali się do tej „zabawy". Pewna ich grupa ofiarowała swoje usługi niemieckiej Reichswehrze w walce z bolszewikami na Ukrainie. Kilka miesięcy później w Berlinie zabrzmiał alarm. Niemieccy narkolodzy twierdzili, że to właśnie ci panowie „zarażali" kokainą części armii niemieckiej na Ukrainie i w krajach bałtyckich. Po tym, jak ci ludzie trafili na emigracji do miast Zachodniej Europy, część z nich zaczęła systematycznie handlować kokainą. W ten sposób niemiecka kokaina wróciła do ojczyzny, tak jak wróciła wyeksportowana wraz z Włodzimierzem Iliczem rewolucja, zmuszając Niemcy do poproszenia aliantów o zawarcie rozejmu i składając kajzera z tronu.

pz



Rekomendowane dawki nalewki z opium: dzieci pieciodniowe 5 kropli, dwutygodniowe 8 kropli, pięcioletnie 25 kropli. Dorosli: łyzeczkę od herbaty.



Ciekawe, czy heroina od Bayera cieszyła się podobną renomą jak obecnie aspiryna tego producenta?

Ap. Nr. 67281/17.
9209/1158.

K. u. k. Kreiskommando in Piotrków.

Kundmachung.

Auf Grund der § 4 Abs. 2 und 9 der Verordnung des Armeeoberkommandanten vom 11. Juni 1916 und des Erlaßes des k. u. k. Mil. Gen. Gouv. Nr. 67281/17 vom 24. März 1917 wird verlautbart:

das Färben von Hühnereiern, sowie der Kauf und Verkauf gefärbter Hühnereier (Ostereier) ist strengstens verboten.

Bei Übertretung dieses Verbotes wird der Zuwiderhandelnde im Sinne des § 10 der obzitierten Vdg. des Armeeoberkommandanten bestraft.

Diese Verordnung tritt mit dem Tage der Kundmachung in Kraft.

Piotrków, am 28. März 1917.

Der k. u. k. Kreiskommandant
v. PETZOLD, m. p., Oberst.

04148

Obwieszczenie.

Na zasadzie § 4 ust. 2 i 9 rozporządzenia Nacz. Kom. Armii z d. 11. czerwca 1916 i reskryptu c. i k. Wojsk. Jen.-Gub. Nr. 67281/17 z d. 24. marca 1917 postanawia się:

farbowanie jaj kurzych, jako też kupno i sprzedaż takich jaj (jaj wielkanocnych, pisanek) jest surowo zabronione.

Przekroczenie tego rozporządzenia będzie karane w myśl § 10 powyższego rozporządzenie Nacz. Kom. Armii.

Powyższe rozporządzenie obowiązuje z chwilą ogłoszenia.

Piotrków, dnia 28. marca 1917 r.

C. i k. Komendant obwodu
v. PETZOLD, m. p., Oberst.





Jowialny weteran frontowy niesie kosz pełen kolorowych pisanek symbolizujących ostatnio zdobyte przez Prusaków miasta. Zwróćmy uwagę, że jest tam też i Łódź. Takie były pruskie propagandowe życzenia Wielkanocne dla narodu w roku 1915. W odróżnieniu od austryjackiego gadania ich sojusznikom na wiosnę 1915 roku malowanie jajek nie przeszkadzało.

Wątpimy aby w tych rosyjskich kuchniach polowych szykowano dla żołnierzy jajecznicę, prędzej w kotłach lądowały wyłapywane po wsiach kury nioski oraz inny drób. Wiecznym utrapieniem każdej armii szczególnie tej w ruchu (obojętnie w natarciu czy w odwrocie) było pozostawanie gdzieś daleko kolumn aprowizacyjnych. To właśnie z tej przyczyny konserwy wojskowe zaczęły „robić karierę" w czasie Wielkiej Wojny mimo, że znane były już od wojen napoleońskich. Pierwsze konserwy sporządzano w... szklanych słojach. Nie musimy chyba tłumaczyć dlaczego szybko zastąpiono je blaszanymi puszkami.

PANCERNI POD ŁODZIĄ

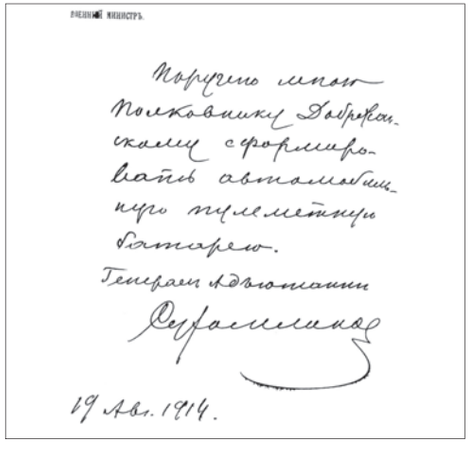
Uznaje się, że do pierwszego bojowego użycia rosyjskich samochodów pancernych w I wojnie światowej doszło podczas Bitwy Łódzkiej, kiedy to 22 i 23 listopada 1914 roku 6 pojazdów rosyjskiej 1 samochodowej kompanii karabinów maszynowych (1-я автомобильная пулемётная рота) śmiałym rajdem przez środek miasteczka przyczyniło się do odbicia z rąk niemieckich Strykowa. Dowódcą i zarazem twórcą tej pierwszej w świecie jednostki pancernej był urodzony w Tbilisi zruszczony Polak – pułkownik Jegierskiego Pułku Lejb-Gwardii Aleksander Dobrzański. Doskonały snajper – w świecie sportowym znany jako… Gruzin – reprezentował w roku 1912 Imperium Rosyjskie w strzelectwie na Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Sztokholmie (wszystko na tym świecie jest możliwe skoro Grigorij Saakaszwili mógł być synem kominiarza z Sandomierza). Sprawa narodowości pułkownika wymaga jeszcze sprawdzenia, choć sami Rosjanie podają, że pochodził z polskiej szlachty, to nasi historycy sportu w ogóle go nie zauważyli i nie figuruje on jako Polak olimpijczyk w żadnych polskich annałach sportowych.

Pierwsze pojazdy opancerzone pojawiły się już na początku I wojny światowej Sprzyjała temu zmienność początkowych tygodni walk, a także rozbudowana sieć drogowa i duża flota pojazdów we Francji i Belgii – to tutaj na początku sierpnia pojawiły się pierwsze pojazdy opancerzone. Jeśli chodzi o front rosyjski, pionierami w branży byli Niemcy, którzy z powodzeniem wykorzystali nowy typ sprzętu wojskowego w Prusach Wschodnich. Potwierdza to rozkaz dowódcy Frontu Północno-Zachodniego generała kawalerii Żylinskiego, nr 35 z dnia 19 sierpnia 1914 r., w którym określono środki zwalczania pojazdów opancerzonych wroga: *Walki, które toczyły w ostatnim czasie na froncie, powierzone mi oddziały pokazały, że Niemcy z powodzeniem używają karabinów maszynowych montowanych na pojazdach opancerzonych. Takie pojazdy, przydzielane do małych oddziałów konnych, wykorzystując bogactwo dróg i szybkość ruchu, pojawiając się na flankach i na tyłach naszych pozycji, bombardują prawdziwym ogniem nie tylko nasze wojska, ale także tabory. Aby uchronić żołnierzy Frontu Północno-Zachodniego przed ostrzeliwaniem ich z karabinów maszynowych, rozkazuję wysłać do przodu zespoły saperów konnych, aby uszkodzić te drogi, które mogą służyć wrogowi do poruszania się, mając na celu zarówno ofensywę z przodu, jak i zagrożenie dla flank i tyłów naszych żołnierzy. W takim przypadku konieczne jest wybranie takich odcinków dróg, które nie mają objazdów. Uszkodzenia dróg powinny być dokonywane w sposób najbardziej odpowiadający lokalnym warunkom i można zalecić przecinanie jezdni wąskimi i głębokimi rowami poprzecznymi, piętrzące drzewa ścięte na poboczu autostrady, wyrzucanie potłuczonych butelek i kawałków szkła na drogę, układanie dużych kamieni itp. Podczas kopania okopów powinny być zamaskowane, czyli powinny stanowić przeszkody, których nie oczekuje się dla pojazdów wroga jadących z pełną prędkością.*

Oprócz uszkodzenia dróg, powinny zostać usunięte nawierzchnie z drewnianych mostów i ukryte w pobliżu, na wypadek konieczności przemieszczenia się naszych żołnierzy. Generalnie, przy wszelkich uszkodzeniach dróg i mostów, należy mieć na uwadze możliwość szybkiego korygowania przeszkód, jakie stawiają nasze wojska w razie konieczności przemieszczania się, zarówno przez nasze jednostki wojskowe, jak i wozy. Jako aktywny środek przeciwko samochodom z karabinami maszynowymi, z kolumnami oddziałów poruszającymi się po drogach,



Opancerzona ciężarówka Mannesman-Mulag z okrętowym działkiem – Łódź listopad 1914. Współcześnie zaliczylibyśmy ją raczej do artylerii samobieżnej niż samochodów pancernych.



Rozkaz ministra Suchomlinowa dla pułkownika Dobrzańskiego utworzenia Samochodowej Baterii Karabinów Maszynowych.



Zdobyty przez Niemców w roku 1917 rosyjski samochód pancerny „Hajdamaka". Trzy lata wojny przyczyniły się do widocznego gołym okiem rozwoju techniki wojskowej.

konieczne jest posiadanie artylerii do ostrzału samochodów. Szczególnie przydatne jest posiadanie tak specjalnie wyznaczonych plutonów artyleryjskich w kolumnach flankowych i na drogach biegnących równolegle do naszego frontu i w jego pobliżu.

Pojawienie się niemieckich pojazdów opancerzonych, a także doniesienia prasowe o działaniach alianckich samochodów pancernych we Francji i Belgii stały się impulsem do produkcji pierwszych rosyjskich pojazdów opancerzonych. Początkowo były to konstrukcje typowo frontowe, montowane przez warsztaty na zapleczu frontu z tego co było pod ręką. Oczywiście taka spontaniczna produkcja nie mogła zaspokoić potrzeb armii na samochody pancerne ani zapewnić wartościowych pojazdów bojowych nadających się do powszechnego użytku w walce. Wymagało to wsparcia na najwyższym szczeblu i zaangażowania dużych przedsiębiorstw przemysłowych. Na szczęście dla Rosjan znalazło się jedno i drugie. Świadom potrzeb Minister Wojny Suchomlinow w morzu najróżniejszych lobbystów wiszących u ministerialnej klamki wypatrzył pułkownika Dobrzańskiego. Oficer nie był kimś przypadkowym. Wraz z wybuchem I wojny światowej „zaczął propagować w kręgach wojskowych potrzebę produkcji pojazdów opancerzonych dla armii", z którymi zapoznał się najpewniej podczas jednej z delegacji do Francji. Najwyraźniej zwrócił tym na siebie uwagę Suchomlinowa i 19 sierpnia 1914 roku otrzymał od ministra misję sformowania pododdziału samochodów pancernych. Posiadając niezbędne wsparcie na „szczycie", na początku września 1914 roku Dobrzański sporządził „schematyczny rysunek pojazdu opancerzonego" i udał się z nim do Zakładów Izhora w pobliżu Petersburga. Te, kierując się jego szkicami, opracowały i skonstruowały 8 maszyn na podwoziu samochodu marki Russo-Bałt. Równocześnie Dobrzański zaczął ściągać ochotników do swej jednostki. Nic więc dziwnego, że już w dwa miesiące później – 19 października 1914 roku – jako dowódca 1. samochodowej kompanii karabinów maszynowych wyruszył ze swoją jednostką na front. W wojskowym eszelonie mknącym w kierunku Warszawy jechał, oprócz ósemki Russo-Bałt Typ C wyposażonych w karabiny maszynowe, jeden pojazd na niemieckim podwoziu Mannesman-Mulag, wyposażony dodatkowo w działko okrętowe kalibru 47 mm, skład uzupełniały nieopancerzone ciężarówki Benz i Oldyes. Po przybyciu na front kompania doraźnie została włączona do tzw. „Oddziału Łowickiego" i w jego składzie odbiła Stryków, następnie została przydzielona bezpośrednio pod dowództwo 2 Armii, wykonując na jego rzecz działania rozpoznawcze. Do najsłynniejszego starcia w historii kompanii doszło pod Pabianicami. Do tego momentu jednostka działała w rozproszeniu, wykonując plutonami rozpoznanie na rzecz dowódcy 2 Armii. Pułkownik Dobrzański 3 grudnia 1914 roku otrzymał od dowódcy 2 plutonu, sztabskapitana Borysa Szulkiewicza, meldunek o przełamaniu frontu na flance XIX Korpusu Armii. Po zameldowaniu tego w dowództwie 2 Armii otrzymał zgodę na koncentrację plutonów swojej kompanii w Pabianicach. Tu wieczorem, już pod ostrzałem wroga, w otwartym samochodzie, zbadał pobliskie drogi, aby upewnić się, że nie są one rozkopane i aby wybrać miejsce ukrycia dla swoich pojazdów opancerzonych. Już w nocy wysłał plutony w wybrane miejsca. Kiedy przed świtem 4 grudnia Niemcy zaczęli omijać lewą flankę XIX Korpusu Armii, ich trzy kolumny, przeciskając się przez przerwane linie rosyjskie wzdłuż szosy na Łask, nadziały się na zmasowany ogień karabinów maszynowych i działek oczekujących w zasadzce samochodów pancernych plutonu sztabskapitana Gurdowa. Zaskoczeni Niemcy cofnęli się i – chcąc obejść Pawła Gurdowa – znaleźli się pod ogniem drugiej zasadzki przygotowanej przez pluton sztabskapitana Szulkiewicza. Na skutek dużych strat całkowicie wycofali się, nie ponawiając już prób obejścia pozycji rosyjskich. W ten sposób, działaniami swojej jednostki, pułkownik Dobrzański w krytycznym momencie bitwy odrzucił wroga omijającego lewą flankę XIX Korpusu Armii, umożliwiając w ten sposób korpusowi utrzymanie pozycji. Tak całą potyczkę relacjonuje jeden ze świadków: *W wąski przesmyk pola bitwy, pozostający między naszymi pozycjami a atakującymi kolumnami Niemców, jak błyskawica werżnęły się cztery samochody opancerzone. Nie tracąc ani chwili cennego czasu, samochody rozpoczęły zabójczy ogień z kartaczownic do atakujących kolumn niemieckich, i w kilka chwil potem w szeregach nieprzyjacielskich nastąpiło zupełne zamieszanie. Atak samochodów okazał się dla Niemców zupełną niespodzianką, i to do tego stopnia, że w pierwszej chwili po ataku piechota niemiecka nawet nie strzelała do samochodów.* Za wyczyn dokonany pod Pabianicami 2 i 3 grudnia 1914 r. Order św. Jerzego IV stopnia otrzymał pułkownik Dobrzański i sztabskapitan Gurdow. Oprócz nich dwunastu żołnierzy i podoficerów z 4 Plutonu otrzymało krzyże św. Jerzego IV stopnia. Wkrótce Dobrzański otrzymał telegram ze Stawki podpisany przez Mikołaja II „Cieszę się i dziękuję za dzielną służbę". Starcie trwało raptem dwie godziny, pozwoliło na chwilowe ustabilizowanie linii frontu, ale nie zapobiegło oddaniu Łodzi Niemcom. Kompania opuściła miasto jako ostatnia osłaniając odwrót 2 Armii.

pz



Msza polowa przed wyruszeniem na front.



Niemcy pasjami lubili fotografować się podczas korzystania z latryn polowych. Tutaj prezentujemy jedno z bardziej przyzwoitych zdjęć. Znacznie chętniej obiektyw aparatu fotograficznego spoglądał z drugiej strony. Tutaj ciekawość fotografa powstrzymana została przez matę maskującą. Wydaje się, że podoficer (1. z lewej) komentuje fragment z gazety frontowej. W tym momencie jeden z żołnierzy skupia się na zupełnie czymś innym. Do latryny przychodzono z gazetą raczej nie w celu czytania propagandowych treści, ale wykorzystania jej jako papieru toaletowego.



Niemieccy jeńcy schwytani we wrześniu 1917 roku w trzeciej bitwie pod Ypres czekają na swoją kolej na szczepienie w Locre w Belgii. Teraz prawdopodobnie otrzymają szczepionkę przeciw durowi brzusznemu. Jakoś nie wydaje się aby specjalnie cierpieli z tego powodu. Umyci, w wypranych mundurach, pozując uśmiechają się.
Armia brytyjska w momencie wybuchu wojny była jedyną, która zadbała o zaszczepienie wszystkich swoich żołnierzy przeciwko tej chorobie. Może to się wydać dziwne ale po raz pierwszy w dziejach ich straty w walce przewyższyły ofiary z powodu chorób. Być może powodem tego stanu rzeczy był fakt, że nie walczyli na terenach malarycznych i zagrożonych cholerą lub czerwonką, które to choroby skuteczniej niż nieprzyjaciel eliminowały z ich walki.

POLSKIE ZĘBY CITROËNA

Wojna jest dla jednych źródłem wielkich tragedii, innych zaś czyni milionerami. Nie inaczej było z Wielką Wojną, która toczyła się na świecie w latach 1914-1918.

Produkcja amunicji w czasie I wojny światowej stała się podstawą sukcesu finansowego Andre Citroëna, a zdobyty w ten sposób kapitał posłużył założeniu przez niego w 1919 r. firmy produkującej powszechnie znane samochody.

Ale historia Andre Citroëna i jego przedsiębiorstwa zaczęła się wiele lat wcześniej w Polsce. Z Warszawy bowiem pochodziła mama André. Levi Citroen (jeszcze bez „ë" w nazwisku), pochodzący z Holandii jubiler, kupiec i bankier, przyjechał do Warszawy na początku 1870 r. Oficjalnym celem tej wyprawy były interesy – poszukiwanie nowych rynków zbytu dla kruszców i kamieni szlachetnych. Ale Levi miał też drugi, bardziej osobisty cel – zbliżał się już do trzydziestki, był więc już najwyższy czas, by założyć rodzinę. Musiał tylko znaleźć odpowiednią partię – pannę z dobrego domu na wydaniu. Zamożny kawaler był mile widzianym gościem w domach warszawskiej elity. Podczas jednego z takich towarzyskich spotkań poznał państwa Kleinmannów. Miriam i Izaak mieli dwie córki. Jedna z nich – Masza Amalia – od razu wpadła Leviemu w oko. Jego wybranka była od niego o 6 lat młodsza i jak na owe czasy była osobą wykształconą: znała języki rosyjski, niemiecki, francuski i hebrajski. Levi szybko zdobył serce Maszy. Ich ślub odbył się kilka miesięcy później – 31 października – w Warszawie. Ani Amsterdam, skąd pochodziła rodzina Leviego, ani Warszawa – rodzinne miasto Maszy – nie stały się domem dla państwa Citroenów. Zamiast tego młodzi małżonkowie przenieśli się do Paryża. Tam 5 lutego 1878 r. przyszedł na świat André Gustave Citroën. Był najmłodszym z piątki dzieci – miał dwie siostry (Jeanne i Fernande) i dwóch braci (Hugo i Bernard). Należy nadmienić, że matka André nie była jedynym ogniwem łączącym go z Polską. Jego najstarsza siostra Jeanne wyszła za mąż za warszawskiego bankiera Bronisława Goldfedera i zamieszkała z nim w Warszawie. Rodzinie Citroenów wiodło się dobrze do 1884 r., kiedy to problemy na rynku diamentów i niepowodzenia w biznesie popchnęły Leviego do samobójstwa. Masza Amalia, aby utrzymać rodzinę, starała się kontynuować interesy męża, handlując diamentami i perłami.



Koła zębate z zazębieniem daszkowym produkcji Citroën.

André był ambitnym i inteligentnym dzieckiem, szczególnie uzdolnionym w przedmiotach ścisłych, technicznych, dlatego po ukończeniu liceum w 1898 r. został przyjęty do prestiżowej École Polytechnique. Wcześniej, w trakcie nauki w liceum, zmienił nazwisko z Citroen na Citroën.

Wkrótce po rozpoczęciu przez André studiów na politechnice zmarła jego matka. Z uwagi na trudną sytuację finansową i rodzinną wyniki w nauce nie były tak imponujące jak w czasach liceum. Citroën wprawdzie zdobył tytuł inżyniera, ale jego lokata na koniec studiów była bardzo odległa – nie miał więc szans na pracę w służbie państwowej ani w wybranym przez siebie dużym przedsiębiorstwie. Zamiast tego André wybrał armię – wstąpił do wojska jako inżynier i jako podporucznik artylerii został odkomenderowany do Le Mans. Wcześniej jednak wyruszył na wycieczkę do rodzinnego kraju swojej matki.

Wiosną 1900 r. André Citroën – świeżo upieczony absolwent École Polytechnique – przybył do Warszawy, by spotkać się ze swoją rodziną. André przybył z nie najlepszymi wiadomościami – prowadzona w Paryżu przez ich rodzinę firma jubilerska właśnie zbankrutowała, a on zastanawiał się nad dalszymi działaniami i perspektywami różnych inwestycji. W czasie ponownego pobytu w Polsce André Citroën i jego polski szwagier Bronisław Goldfeder wyruszyli w podróż, podczas której Citroën poznał urządzenie, które wpłynęło na jego przyszłość – koła zębate o daszkowym uzębieniu. Nie jest pewne, w jakim zakładzie Citroën zobaczył po raz pierwszy takie zębatki. Jedna z wersji mówi, że w jednej z łódzkich fabryk włókienniczych. Inna, że Goldfeder zabrał André Citroëna do Głowna niedaleko Łodzi, aby pokazać mu to niezwykłe jak na owe czasy urządzenie techniczne. Najprawdopodobniej było to w walcowni miedzi funkcjonującej pod nazwą Towarzystwa Akcyjnego Osińskiej Walcowni Miedzi, Mosiądzu i Drutu. Wytwórnia ta działała w Osinach – miejscowości nieopodal Głowna, dziś stanowiącej dzielnicę tego miasta. Koła walcowe z zębami w układzie daszkowym były stosowane w Polsce w maszynach napędzanych siłą wody. Układ ten lepiej rozprowadzał siły, dzięki czemu, choć koła te wykonywano z drewna, były dużo trwalsze niż przekładnie o prostych zębach. Koła walcowe z zębami w układzie daszkowym pracują też dużo ciszej niż tradycyjne zębatki.

Skąd Bronisław Goldfeder miał informację na temat pracującego w Głownie urządzenia, nie wiadomo. Być może podpowiedział mu to jego stryj Maksymilian, który prowadził w Łodzi jeden z pierwszych kantorów bankowych. Dzięki swoim kontaktom handlowym i częstym podróżom miał szanse trafić także do Głowna.

André był zaskoczony skutecznością tego rozwiązania i zastanawiał się, co by było, gdyby koła skonstruować ze stali. Citroën opuścił armię, opatentował stalowe koła z podwójnym uzębieniem daszkowym i założył w Fauburgu na południu Francji firmę wytwarzającą stalowe koła zębate, którą nazwał Engrenages Citroën. Tam też powstało logo jego firmy, opracowane przez niego osobiście, tzw. szew-

rony, od kształtu zębatek na stalowych kołach. Logo przechodziło później najróżniejsze zmiany, ale szewrony, które wzięły się od kształtu zębatek w układzie daszkowym, pozostawały elementem niezmiennym. Przedsiębiorstwo rozwijało się i w 1905 roku dzięki współpracy z André Boasem i z Jacques'em Hinstinem powstało na jej bazie nowe, znacznie większe przedsięwzięcie – Hinstin, Freres, Citroen & Cie. Fabrykę przeniesiono do Essones. Zbiegło to się w czasie z rozwojem motoryzacji – duże zapotrzebowanie na koła zębate oraz inne komponenty samochodów pozwoliło Citroënowi na spore inwestycje i dalszy rozwój przedsiębiorstwa. Zakupiono najnowsze maszyny, wdrożono system kontroli produkcji, a przekładnie Citroëna zaczęto montować w większości francuskich samochodów. Jako ciekawostkę można uznać fakt, iż przekładni Citroëna użyto w sterze największego statku tamtych czasów – Titanica. Produkty Citroëna kupował także dla swoich samochodów Rolls-Royce.

Wśród motoryzacyjnych klientów André była też firma Mors, której fabryka sąsiadowała z zakładem Citroëna. Jej prezesem był Paul Haarbleicher – prywatnie teść Hugo Citroëna, brata André. W 1908 r. Mors był jednak w finansowych opałach. Kryzys we Francji sprawił, że produkcja została ograniczona do 10 samochodów miesięcznie. Haarbleicher zaproponował stanowisko dyrektora generalnego André Citroënowi – człowiekowi, którego znał nie tylko przez koligacje rodzinne, ale przede wszystkim jako dynamicznego przedsiębiorcę, który startując od zera, stworzył doskonale prosperujące przedsiębiorstwo. Dla André był to pierwszy kontakt z produkcją samochodów, ale jego metody zarządzania, a także wprowadzenie rozwiązań podpatrzonych między innymi u Forda sprawiły, że pod jego kierownictwem Mors zaczął się odradzać. W 1913 r. z fabryki wyjeżdżało już 100 samochodów miesięcznie.



Francuska fabryka amunicji. W hali widzimy mężczyzn. Niebawem zastąpią ich kobiety.

W tym czasie fabryka przekładni radziła sobie doskonale, a Citroën po wykonaniu zadania w Morsie wrócił do swojego przedsiębiorstwa, myśląc o rozszerzeniu jego działalności. Duży wpływ na jego późniejsze działania miała wizyta w fabryce Forda w Stanach Zjednoczonych i spotkanie z Henrym Fordem. Citroën zapoznał się z produkcją na linii montażowej i wiedział, że jest to przyszłość przemysłu motoryzacyjnego. Korzyści z takiego procesu produkcji były oczywiste – skrócenie czasu powstania produktu, oszczędność materiałów i kosztów siły roboczej. Aby sfinansować rozszerzenie działalności fabryki, powołano do życia towarzystwo Societe des Engrenages A. Citroën.

W lipcu 1914 roku wybuchła I wojna światowa i mimo że zębatkowy biznes rozwijał się znakomicie, przynosząc sporą fortunę jego założycielowi, to André musiał wyciągnąć z szafy mundur, by wyruszyć na front. Wojna szybko stała się dla niego osobistą sprawą – w październiku 1914 r. jego brat Bernard zginął w bitwie pod Marną. W jednej z pierwszych potyczek, w których André brał udział, jego pułk nie był w stanie odpowiedzieć ogniem artylerii, bo brakowało mu amunicji. Po tym doświadczeniu Citroën opracował projekt nowoczesnego systemu linii montażowej produkującej amunicję, zdolnego do wytwarzania 20 tysięcy pocisków dziennie. Dokument ten trafił na biurko generała Louisa Baqueta – odpowiedzialnego za zaopatrzenie artylerii, który zaaprobował ten pomysł. Citroën został odkomenderowany do Paryża, gdzie miał nadzorować uruchomienie fabryki przy Quai de Javel. Dzięki zastosowaniu nowoczesnych technologii i amerykańskich rozwiązań w organizacji produkcji z fabryki wychodziło nie 20 tysięcy, ale 55 tysięcy pocisków dziennie.

Produkcja zębatek przyniosła Citroënowi sukces finansowy. Produkcja amunicji w czasie I wojny światowej potwierdziła potencjał nowoczesnych metod produkcji, a epizod z firmą Mors zbliżył go do branży motoryzacyjnej. Gdy na europejskich frontach jeszcze nie umilkły działa, André myślał już o nowym przedsięwzięciu – produkcji samochodów na przemysłową skalę. W cztery miesiące po zakończeniu wojny fabryka przy Quai de Javel została przystosowana do masowej produkcji samochodów. Citroën zamierzał nie tylko produkować samochody – chciał być europejskim odpowiednikiem Henry'ego Forda. Model 10 HP Type A został zaprezentowany w czerwcu 1919 r. Marka Citroën wkroczyła na scenę, a dwa lata po debiucie produkcja wynosiła już 20 tys. samochodów.

Dziś firma Citroën podkreśla, że powstanie, rozwój oraz słynny znak firmowy zawdzięcza właśnie prostemu, ale niezwykle rewolucyjnemu patentowi, zakupionemu w Polsce.

✤ *Anna Waś*

Kawaleria z gazrurką

W wojsku wiadomo służba ciężka, podołać jej może tylko człowiek zdrowy i silny, nie każdy się do niej nadaje. Jak to sprawdzano jeszcze przed I wojną światową? Dla przykładu w Wielkiej Brytanii, w której obowiązywał zaciąg ochotniczy, poza ogólnie zdrową budową ciała, wymagano dobrego wzroku i zdrowych zębów. Kompletne uzębienie świadczyło o zdrowym odżywianiu i higienicznym trybie życia. Dlatego jakiekolwiek braki w tym elemencie dyskwalifikowały ochotnika z możliwości wstąpienia w szeregi floty bądź armii Jego Wysokości *Z Bożej łaski, Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii i brytyjskich dominiów zamorskich króla, Obrońcy Wiary, Cesarza Indii.* Z jednym wszakże wyjątkiem… kompanii rowerowych. Jedna z jednostek nawoływała amatorów jazdy na rowerze do „pedałowania dla króla", zapewniając, że popsute zęby nie stanowią w tym żadnej przeszkody (ang. *Bad teeth no bar*). Wstępującym ochotnikom obiecywano: rower, mundur i odzież. Jedyne wymagania, jakie stawiano, to ukończone 19 lat i zgoda na… „pracę za granicą".


ARE YOU FOND OF CYCLING?
IF SO
WHY NOT CYCLE FOR THE KING?
RECRUITS WANTED
By the S. Midland Divisional Cyclist Company
(Must be 19, and willing to serve abroad).
CYCLES PROVIDED. Uniform and Clothing issued on enlistment.
Application in person or by letter to
Cyclists, The Barracks, Gloucester.
BAD TEETH NO BAR.

Dlaczego nie miałbyś pedałować dla króla? Braki w uzębieniu nie stanowią przeszkody.

W Anglii nazywano wojskowych rowerzystów *Gas pipe cavalry* – kawalerią [z] gazrurką. I nie miało to absolutnie związku z popularnym w pewnych środowiskach narzędziem, pomocnym przy wymianie zdań, podczas których łatwo o uszczerbek właśnie w uzębieniu. Nazwa nawiązywała do konstrukcji ram rowerowych wykonanych z bezszwowych rurek, takich samych jak wymagające absolutnej szczelności rurki instalacji gazowych.

Pierwsze testy wykorzystania rowerów przez wojsko miały miejsce jeszcze pod koniec XIX wieku. Rower jednak bardzo powoli zdobywał uznanie wojskowych, przez wielu uważany był za niepoważne hobby, a w niektórych krajach było nie do pomyślenia, aby oficer wsiadł na rower, godziło to bowiem w powagę munduru i groziło poważnymi konsekwencjami. Pomysłodawcy bojowego zastosowania bicyklów zauważyli, że żołnierz na rowerze jest szybszy od piechura, może także zabrać więcej ekwipunku i co ważne, mała jest szansa, aby obtarł stopy podczas zmiany dyslokacji na większą odległość. Rowerzysta miał mieć także przewagę nad kawalerzystą. Rower w przeciwieństwie do konia nie wymagał owsa, wody i oporządzenia, do tego nie płoszył się podczas ostrzału, a przede wszystkim był znacznie tańszy. Podkreślano mobilność cyklistów, ich elastyczność, możliwość natychmiastowego przejścia do szyku bojowego, zdolność do szybkiego i co najważniejsze cichego poruszania się, szczególnie pożądanego w nocy. W przeciwieństwie do kawalerii, w bitwie jednostki cyklistów mogły być w pełni wykorzystane – wystarczyła jedna lub dwie osoby do pilnowania rowerów, w przeciwieństwie do kawalerii, która podczas walki prowadzonej pieszo musiała pozostawiać dużą liczbę koniowodów. Nic też dziwnego, że szybko przy jednostkach kawaleryjskich zaczęły pojawiać się sekcje i plutony rowerowe. Sposób walki cyklistów miał być zbliżony do stosowanego przez dragonów, którzy na pole bitwy dojeżdżali konno, ale walczyli już pieszo.

Walcząc o utworzenie w Anglii kolejnych batalionów rowerzystów, kapitan A.H. Trapmann w roku 1908 próbował przekonywać dowódców: *Rowerzysta nie cierpi na ból stóp, a jego wierzchowiec nigdy nie wychodzi z formy. Im dłużej trwa kampania, tym rowerzysta staje się sprawniejszy. W ruchu rowerzysta oferuje znacznie mniejszy i jednocześnie trudniejszy do trafienia cel niż nawet piechur. Potrafi jeździć za żywopłotami z nisko pochylonym ciałem i pozostać niewidocznym... Warto również zauważyć, że większość rowerzystów to* ***praktycznie abstynenci.*** (podkr. autor)

Przed wybuchem Wielkiej Wojny w większości armii europejskich funkcjonowały oddziały rowerowe. We Francji przy dziesięciu dywizjach kawalerii utworzono rowerowe grupy strzelców w sile wzmocnionej kompanii każda. Dostępność rozległej sieci brukowanych lub żwirowych dróg i rozległość płaskich terenów sprawiały, że armie holenderska i belgijska, posiadające rozległe płaskie tereny w granicach swoich państw, utrzymywały batalionowe lub kompanijne jednostki rowerzystów. Chętnie na rowery wsiedli włoscy Bersaglieri znani już wcześnie ze swej ponadprzeciętnej mobilności. W armii cesarsko-niemieckiej każdy z Jäger batalionów (lekkiej piechoty) miał w chwili wybuchu wojny kompanię rowerową (Radfahr-Kompanie), dodatkowe jednostki zostały sformowane w czasie wojny, łącznie Niemcy posiadali 80 kompanii. Z części z nich zostało utworzonych osiem batalionów rowerowych (Radfahr-Bataillonen). Do tego w każdej kompanii piechoty na etacie znajdowały się dwa rowery dla posłańców. Armia brytyjska miała w swoich dywizjach



Uwaga na oczy! Rowerowa szarża z „bagnetem na broń" musiałaby być widowiskowa. Tu Rosjanie korzystają jeszcze z francuskich rowerów.

kompanie kolarskie, a później nawet dwie całe dywizje: 1. i 2. Dywizja Kolarska. Nawet armia szwajcarska odkryła, że rowery są użytecznym środkiem poruszania się w trudnym terenie, niedostępnym dla kawalerii. Rosyjska żandarmeria używała rowerowych drezyn do patrolowania Kolei Syberyjskiej już podczas wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 roku. Podczas Wielkiej Wojny Rosjanie podobnie jak Niemcy połączyli kompanie rowerowe w bataliony.

Pierwsze znane użycie roweru w walce miało miejsce w Afryce Południowej, w roku 1895 podczas rajdu Jamesona, podczas którego rowerzyści służyli za łączników. Podczas drugiej wojny burskiej rowerzyści byli wykorzystywani głównie jako zwiadowcy i posłańcy. Jedna jednostka patrolowała linie kolejowe na specjalnie skonstruowanych rowerach typu tandem. Obie strony konfliktu przeprowadziły kilka rajdów rowerowych na tyły wroga. Najbardziej znaną jednostką był Theron se Verkenningskorps (Theron Reconnaissance Corps) lub TVK – jednostka burska dowodzona przez Daniela Therona, którego brytyjski dowódca Lord Roberts opisał jako „najtwardszy cierń w ciele brytyjskiego natarcia". Roberts wyznaczył nagrodę w wysokości 1000 funtów za głowę Therona – martwego lub żywego – i wysłał 4000 żołnierzy, aby znaleźli i wyeliminowali TVK.

I wojna światowa zweryfikowała bojowe wykorzystanie rowerów. W warunkach bojowych, poruszając się po suchych, ale złych drogach, rowerzyści, w zależności od ich przygotowania, poruszali się z prędkością 8 km/h, a poszczególne patrole na krótkich dystansach osiągały 20 km/h. Oznacza to, że podczas normalnego ruchu mogły pokonywać do 80 kilometrów na dobę, a forsownym marszem – nawet do 120 kilometrów. Cykliści walczyli jak formacje piechoty, z tą różnicą, że ich grupy uderzeniowe lub rezerwa działały mobilnie.

Na Froncie Zachodnim jeszcze w roku 1914 angielscy cykliści nękali nagłymi wypadami niemieckie linie zaopatrzeniowe, ale w następnych latach, już w dobie wojny pozycyjnej cykliści musieli zejść z rowerów i wejść do okopów. Na Froncie Wschodnim działania rosyjskich 3 i 5 Korpusu Kawalerii na terenie obecnej Słowacji dowiodły, że rowerami można swobodnie docierać w wysokie partie górskie z wykorzystaniem jucznych ścieżek, przekraczając górskie potoki ze złożonymi rowerami. Powszechniej jednak na obu frontach wykorzystywano żołnierzy na rowerach jako posłańców i zwiadowców. Telefony polowe były ograniczone kablami, a łączność „bezprzewodowa" nadal była zawodna, dlatego alianci i armia niemiecka często preferowali rowerzystów, gońców, motocyklistów, gołębie i psy. Najsłynniejszym chyba rowerowym posłańcem (niem. Radfahrer) był pewien służący w stopniu kaprala, w cesarsko-niemieckiej armii – Austriak, dwukrotnie ranny podczas I wojny światowej, a trochę później wódz tysiącletniej Rzeszy.

Nie od dziś wiadomo, że wojskowa myśl techniczna jest źródłem postępu cywilizacyjnego. Pierwszy składany rower noszony na plecach w niesprzyjającym terenie opatentował entuzjasta kolarstwa Francuz kapitan Gerard w 1893 roku. Sześć lat później konsorcjum Peugeot i Michelin uruchomiły produkcję rowerów dla wojska, eksportując je nawet do Rosji i Rumunii. W czasie wojny z taśm montażowych schodziło 60 000 tys. rowerów rocznie. Niezależnie od Francuzów własne składaki przyjęli na wyposażenie Belgowie (rowery Belgica) i Włosi (Bianchi Model 1912). W Rosji dopiero na początku 1916 r. zdecydowano się na produkcję własnego składanego roweru o nazwie Duks Bojevoj – na tamte czasy miał przebijać swoją konstrukcją wszystkie inne składane rowery bojowe. Niemcy pozostali przy sztywnej ramie,



Najlepsze interesy robi się z armią. Reklama francuskiej fabryki rowerów i samochodów.

ale wobec braku kauczuku wprowadzili do powszechnego stosowania, znane już przed wojną, obręcze ze sprężynowymi oponami. Zastosowanie nad podziw trwałych sprężyn, zamiast kauczuku, eliminowało jednak element cichego poruszania się, hałasowały bowiem straszliwie. Przed wybuchem wojny chętnie używano „sprężynowych" kół podczas quasi-cyrkowych pokazów jazdy w tzw. „beczkach śmierci", gdyż wydawany przez obręcze dźwięk na drewnianych podłogach dramatycznie podnosił atrakcyjność pokazów. Włoskie próby wykorzystania roweru jako podstawy dla ciężkiego karabinu maszynowego dopiero tuż przed końcem wojny zaowocowały utworzeniem rowerowych kompanii karabinów maszynowych. Inna włoska innowacja, wykorzystanie rowerów do transportu moździerzy, zakończyła się na etapie prototypów. Rowery wykorzystywano także do różnego rodzaju ładunków, od specjalnych koszy pełnych gołębi pocztowych po nosze służące do ewakuacji rannych z pola bitwy.

Jednakże podczas Wielkiej Wojny podstawową rolą rowerzystów było rozpoznanie i łączność, elementy stanowiące nerw każdej armii. Nic dziwnego, że żołnierze na rowerach stali się głównym celem snajperów, co skutkowało dużą liczbą ofiar. Już nie byli *kawalerią z gazrurką* a *batalionami samobójców*.

pz



Konie tylko dla synów Albionu. Hindusi muszą trochę popedałować.



Bersaglieri i ich składaki. W górach bardzo chętnie z nich korzystali.



Sprężynowe „ogumienie" niemieckiej Victorii.



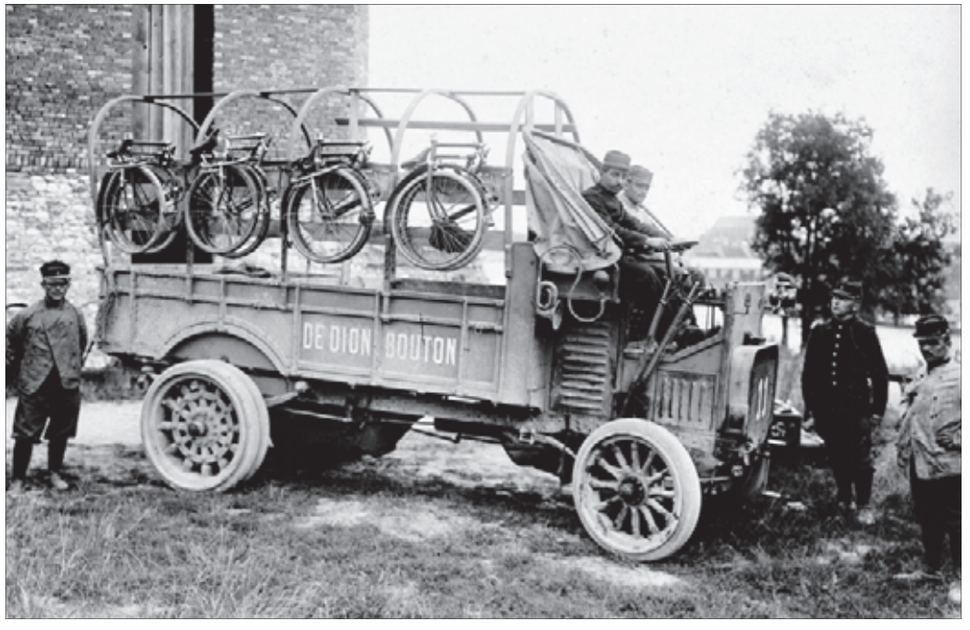
Kawalerię najlepiej jest ukryć w lesie. Podobnie myślano o cyklistach.



Mówili: Idź do kawalerii, huzarzy mają najładniejsze mundury.



Francuski pluton ze składanymi Peugeotami.



Nawet rowerzyści potrzebowali czasem "podwózki". Ciężarówka firmy De Dion-Button przewozi 4 złożone Peugeoty.

Francuski wojskowy rower składany „Gladiator" model 1896, wynalazek kapitana Henri Gerarda, ważył 11 kg, można go było złożyć w 35 sekund. Patent został kupiony przez Peugeota. Jeśli pomyśleliście przez chwilę o znanej firmie produkującej samochody, nie popełniliście pomyłki — tak, to ten sam Peugeot.

Żołnierze cykliści byli we wszystkich armiach biorących udział w I wojnie. Między rokiem 1914 a 1918 więcej niż 6000 żołnierzy cyklistów zginęło, a 8000 zostało rannych. Francuzi i Belgowie mieli łącznie 150 000 żołnierzy cyklistów, Brytyjczycy 100 000, a Niemcy i Turcy po 125 000 żołnierzy cyklistów.

Gdy wojna zatrzymała się w okopach, rowery były używane przede wszystkim przez kurierów.

Amerykanie mieli 29 000 żołnierzy cyklistów, kiedy przybyli na front w 1917 roku, ale wykorzystywano ich głównie do przesyłania informacji za linią frontu.

zj





Włoski wojskowy składany rower Bianchi Model 1912 z karabinem maszynowym Fiat-Revelli model 1914.



Res. № 914/Adj.

K. u. K. KREISKOMMANDO in PIOTRKÓW.

KUNDMACHUNG.

Auf Grund der Verordnung des k. u. k. Mil.-Gen. Gouv. N. A. Präs. № 8326/16 vom 25. Juli **wird das**

RADFAHREN

der Zivilbevölkerung bis auf weiteres verboten.

Diese Verordnung tritt mit 20. August 1916 in Kraft.

In besonders berücksichtigungswürdigen Fällen werden nur verlässlichen Personen schriftliche Legitimationen zum Radfahren vom k. u. k. Polizeikommissariate ausgestellt.

Alle bis nun erteilten diesbezüglichen Bewilligungen werden mit **20. August 1916** als ungiltig erklärt.

Piotrków, am 7. August 1916.

Der k. u. k. Kreiskommandant

Schneider, m. p., Oberstlt.

029TO

OBWIESZCZENIE.

W myśl rozporządzenia c. i k. Gen.-Zarządu Wojsk. N. A. Präs. № 8326/16 z 25. lipca **zabrania się na razie cywilnej ludności**

JAZDY NA ROWERZE

Rozporządzenie to wchodzi w życie z dniem 20. sierpnia 1916.

W wypadkach, zasługujących na szczególniejsze uwzględnienie, będzie c. i k. Komisaryat Policyi zaufania godnym osobom wydawał pisemne legitymacye do jazdy na rowerze.

Jakiekolwiek dotychczas wydane odnośne pozwolenia tracą swą ważność z dniem 20. sierpnia 1916.

Piotrków, dnia 7. sierpnia 1916.

C. i K. Komendant obwodu

Schneider, m. p., Oberstlt.



https://www.flickr.com/photos/drakegoodman/

Grupa landszturmistów (czyli formacji wojskowej pospolitego ruszenia) z Trewiru, jako jednostka wybitnie tyłowa i mająca zdecydowanie za dużo wolnego czasu, postanowiła utworzyć ad hoc chór o wdzięcznej nazwie Rheinperle – Perła Renu, której akompaniuje zespół instrumentalny. Mamy tu dwustronowe canjo, dwie trąbki sygnałowe, bęben z puszki po marmoladzie i nawet dyrygenta, któremu za partyturę służy gazeta Deutsche Volkszeitung. Dla dodania sobie animuszu żołnierze popijają Asbach Uralt (niemiecką podróbkę koniaku). Zdjęcie zrobione w Poznaniu pochodzi z kartki pocztowej wysłanej – co potwierdza stempel – z Głowna. Mamy jednak wątpliwość czy chodzi tu o podłódzkie miasteczko. Bardziej prawdopodobna jest wioska, a obecnie dzielnica Poznania – Główna.

Żołnierz z urodzenia, artysta z przeznaczenia

Ojciec Władysława Strzemińskiego – Maksymilian Benedykt Strzemiński – jako szlachcic i emerytowany oficer, mógł ubiegać się o przyjęcie syna do korpusu kadetów na koszt państwa. Musiał zobaczyć w synu zadatki na przyszłego oficera, skoro zapisał go nie do najbliższej szkoły kadetów, ale – jednego z najlepszych w Cesarstwie Rosyjskim – 3. Moskiewskiego Korpusu Kadetów (3-й Московский кадетский корпус). Aby zostać tam przyjętym, Władysław Strzemiński musiał wykazać się odpowiednią wiedzą i sprawnością fizyczną. Do instytucjonalnego kształcenia przygotowywano dzieci w domu. Uczono je dobrych manier, czytania i pisania, kaligrafii, rachunków oraz języków obcych (najczęściej francuskiego i niemieckiego). Egzamin zdawano w języku rosyjskim, więc jego biegła znajomość była zasadnicza, błędna wymowa niweczyła szanse nauki nie tylko w prestiżowej szkole, ale i zwykłym gimnazjum.

Nauka w korpusie kadetów trwała siedem lat. Do przedmiotów ogólnych należały: język rosyjski i literatura, religia, języki obce (francuski i niemiecki), matematyka, podstawowe zagadnienia z historii naturalnej, fizyka, kosmografia (tak nazywano astronomię), geografia, historia, prawo, kaligrafia i rysunek. Kadeci uczyli się udzielania pierwszej pomocy medycznej, budowali i obsługiwali stacje meteorologiczne, mieli zajęcia z ogrodnictwa, sadownictwa i z prac polowych. Zdobywali umiejętności aprowizacji, przygotowywania posiłków, przechowywania żywności, prania bielizny, szycia. W programie były zajęcia. w rusznikarni (zarówno przy produkcji broni, jak i jej naprawie), a ponadto warsztaty stolarskie, ślusarskie, prace budowlane, remontowe, saperskie (zasady konstrukcji mostów – zarówno ich stawianie, jak i wysadzanie). Naturalnie dbano o rozwój fizyczny i kondycję kadetów. Wszyscy uprawiali różnorodne sporty: gimnastykę, lekkoatletykę, szermierkę, strzelectwo, jeździectwo, pływanie, wioślarstwo, narciarstwo czy łyżwiarstwo. W ramach zajęć topograficznych urządzano wielokilometrowe wędrówki. Latem dodatkowo był obowiązkowy obóz wojskowy, sprawdzający kondycję.

Za niezbędny element kulturalnego obycia uważano umiejętność tańca, kadeci musieli być dobrymi tancerzami. Kadeci musieli znać topografię miasta. Władysław Strzemiński i jego koledzy mieli zalecenie, by zwiedzać zabytki Moskwy oraz zapoznać się z jej historią i kulturą. Odgórne instrukcje Ministerstwa Wojny na temat programu i organizacji praktycznych zajęć kadetów były takie: „W celach estetycznego rozwoju wychowanków należy organizować zwiedzanie muzeów i wystaw o charakterze artystycznym i organizować w szkołach uczniowskie spektakle i koncerty". Strzemiński uczył się zarówno rysunku technicznego, jak i artystycznego. Kreślił zarówno skomplikowane bryły geometryczne, jak i ornamenty, kopiował ryciny, rysował z natury i z pamięci.

Kadeci byli zobowiązani do nauki gry na instrumentach muzycznych, tworzyli własne orkiestry, koncertowali i mieli lekcje śpiewu. W czasie wolnym od zajęć czytali książki z biblioteki korpusu. Po siedmiu latach nauki i zdanym z sukcesem egzaminie końcowym można było myśleć o dalszym kształceniu w najlepszych szkołach wojskowych. Władysław Strzemiński należał do tych zdolnych. W 1911 roku rozpoczął naukę w Mikołajewskiej Szkole Inżynieryjnej (Николаевское инженерное училище) w Petersburgu, jednej z najbardziej elitarnych w Cesarstwie Rosyjskim.

Oczywiście do najważniejszych zaliczano liczne przedmioty ściśle wojskowe: fortyfikacje, taktykę, obronę, atak, minerstwo, artylerię, ale wykłady dotyczyły również budownictwa, kolei żelaznej czy architektury. Dla opanowania większości przedmiotów po-







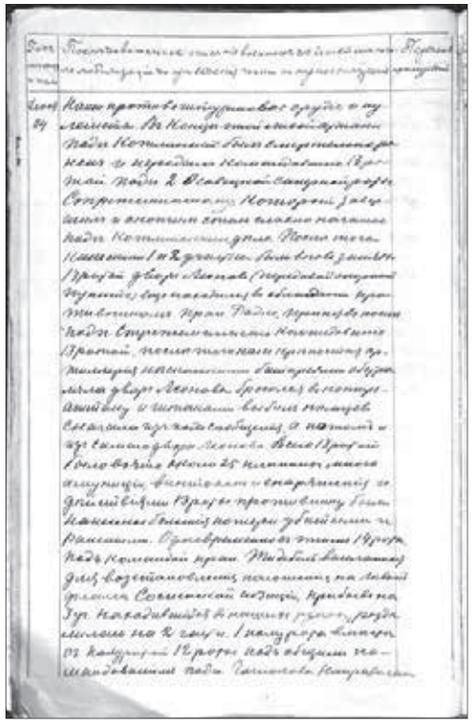
Twierdza Osowiec – wszystkie fotografie wykonane już po zajęciu przez Niemców.

litechnicznych była potrzebna szeroka wiedza matematyczna i dlatego nauczanie – tak matematyki, jak i fizyki – było na niesamowicie wysokim poziomie.

Słuchacze Mikołajewskiej Szkoły Inżynieryjnej stawali się oficerską elitą, czego świadomość mieli junkrzy – studenci pozostałych uczelni wojskowych. Po skończeniu edukacji Mikołajewcy byli przydzielani do wszelkich typów jednostek armijnych. Wykazywali się wszechstronną wiedzą i umiejętnościami, stanowili elitę nie tylko ze względu na swoje kompetencje, ale i z powodu liczebności. W chwili wybuchu Wielkiej Wojny w całej armii carskiej służyło zaledwie 820 oficerów wojsk inżynieryjnych. W 1914 roku przed mobilizacją w armii Cesarstwa Rosyjskiego służyło 1 423 000 żołnierzy, a łącznie podczas I wojny zmobilizowano ponad 15 milionów mężczyzn.

Dosłownie w przededniu wojny Władysław Strzemiński ukończył Mikołajewską Szkołę Inżynieryjną. Skierowano go do służby w 6. Syberyjskim Batalionie Saperów (6-й Сибирский сапёрный батальон), stacjonującym w twierdzy Osowiec, w której zameldował się 22 lipca 1914 roku i otrzymał przydział do 2. kompanii. Trzy dni później, rozkazem z 25 lipca 1914 roku, awansował do stopnia podporucznika. Twierdzę Osowiec – czyli beton, żelazo, umocnienia, rowy, zasieki – usypano i wybudowano w newralgicznym miejscu, pod koniec XIX wieku, zmodernizowano na początku XX. Fort IV był pierwszym i jedynym fortem w Imperium Rosyjskim, którego obiekty w całości wylewano jako betonowe monolity. Osowiec stanowił wzór współczesnego rejonu umocnionego i przykład skutecznego połączenia elementów fortyfikacji stałej i polowej.

Na początku sierpnia 1914 roku nadeszła do komendanta twierdzy telegraficzna wiadomość: „Przechodzimy do przygotowań na czas wojny". Zaczęła się ewakuacja rodzin żołnierzy, do prac ziemnych przystąpiło 3000 robotników cywilnych, 400 wozów konnych. Umocnienia ziemne, okopy strzeleckie, druty kolczaste, kraty stalowe, zasieki, stanowiska obserwacyjne – wszystkie te prace nadzorowali saperzy. Twierdza przygotowywała się do walki z wiarą w potęgę i moc wojsk rosyjskich. W pierwszych działaniach armia rosyjska odniosła zwycięstwo po Gąbinem[1], ale kolejne dni przyniosły klęskę. Już 19 września 1914 roku Osowiec znalazł się na linii frontu. Niemcy ostrzelali twierdzę z dział dużego kalibru. Ostrzał trwał 4 dni, ale pierwsze oblężenie Osowca zostało odparte. 17 listopada 1914 roku Strzemiński został skierowany z grupą artylerii pod Giżycko. Mieli odbudować przeszło 50 kilometrów torów kolejowych, zbudować działobitnie, by 36 armat mogło ostrzelać pozycje 33 Brygady Landwehry (33. Landwehr-Infanterie-Brigade), która we wrześniu oblegała Osowiec. W kwietniu 1915 roku za udział w tej akcji Strzemiński został odznaczony orderem św. Anny 4. klasy. Po raz kolejny wykazał się męstwem 15 lutego 1915 roku: „podporucznik Strzemiński z jednym z szeregowców swojego oddziału, przeszedł na tyły przeciwnika i nie zważając na ostrzał, odpalił fugasy założone pod torami kolejowymi, po czym wysadził w powietrze most kolejowy pod ogniem karabinowym całej kompanii nieprzyjaciela". Za ten wyczyn 27 sierpnia 1915 roku rozkazem cara został kawalerem Orderu Świętego Równego Apostołom Księcia Włodzimierza 4. klasy.



Fragment dziennika bojowego 226 pułku – „Pod koniec tego śmiałego ataku podporucznik [Włodzimierz] Kotliński odniósł rany śmiertelne i przekazał dowództwo 13. Kompanii podporucznikowi 2. Osowieckiej roty saperskiej [Władysławowi] Strzemińskiemu, który dokonał i zakończył tak bohatersko rozpoczęte przez podporucznika Kotlińskiego dzieło. Po tym, jak okopy 1. i 2. odcinka zostały ponownie zajęte przez 13. Kompanię, a plac Leonowa (czołowy punkt oporu) znajdował się nadal w rękach przeciwnika chorąży Radke, przejmując po podporuczniku Strzemińskim dowództwo nad 13. Kompanią, gdy artyleria forteczna za pomocą kilku baterii ostrzelała plac Leonowa, rzucił się do kontrataku i bagnetami wybił Niemców, początkowo z ciągu komunikacyjnego, a potem z samego placu Leonowa. Całą 13. Kompanią wzięto około 25 jeńców, sporo amunicji, karabinów i broni, a dzięki działaniom 13. Kompanii wróg poniósł znaczne straty w postaci zabitych i rannych".

Tymczasem Niemcy skierowali pod Osowiec najcięższą artylerię oblężniczą, tzw. grube berty, kaliber 420 mm, których pocisk ważył tonę. Pierwsze pociski spadły na Osowiec 23 lutego 1915 roku. Huraganowy ogień

1 Gąbin dawne Gumbinnen, obecnie Gusiew w obwodzie kaliningradzkim.



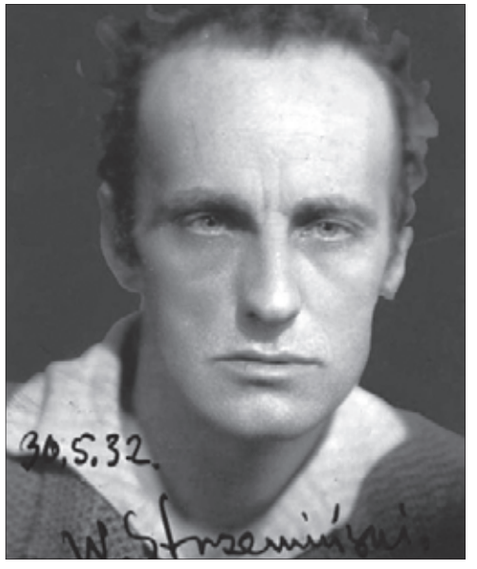
Rosyjski znaczek pocztowy. Obrona twierdzy „Osowiec" wrzesień 1914 - sierpień 1915 r. Kontratak rosyjskich żołnierzy po użyciu przez wroga środków trujących.

trwał do 1 marca. Mimo ostrzału Strzemiński ze swoim oddziałem saperów zasypał leje po pociskach, odbudował zniszczone okopy szturmowe, rozwinął sieci telefoniczne, uzupełnił pozrywane zasieki, naprawił most. Za te dokonania 6 kwietnia 1915 roku został kolejny raz nagrodzony orderem św. Stanisława 3. klasy.

Niemcy nie zdobyli Osowca. Front ustabilizował się, ale kontakt z nieprzyjacielem był nieustanny. Strzemiński rozpoznawał pozycje wroga, wysadzał w powietrze i rozbrajał niemieckie miny. To też zostało docenione przez komendanta twierdzy i za swoje czyny z marca i kwietnia 1915 roku podporucznik Strzemiński otrzymał kolejne wyróżnienie bojowe – szablę św. Jerzego. Wielka Wojna była wojną wynalazków i nowych technologii. Gazy bojowe Niemcy stosowali już wcześniej – zarówno na froncie wschodnim, jak i zachodnim. Teraz postanowili zniszczyć załogę skutecznie broniącej się twierdzy.

W nocy z 23 na 24 lipca 1915 roku przeprowadzili falowy atak chemiczny na Osowiec. Chcieli zniszczyć obrońców za pomocą chloru z domieszką bromu. Po wypuszczeniu gazu rozpoczęli bardzo silny ostrzał artyleryjski, a zaraz potem ruszyli niemieccy żołnierze i – nie-

mal nie napotykając oporu – zajmowali kolejne pozycje. Kiedy sądzili, że wszyscy obrońcy nie żyją, Rosjanie przeprowadzili kontratak, który przeszedł do historii jako „atak trupów”[2]. To, co nastąpiło potem, jest różnie opisywane. Pismo inżynierów wojskowych z 1916 roku informuje: „Podporucznik Strzemiński z kompanii saperów twierdzy Osowiec zgłosił się 24 lipca na ochotnika do kontrataku wraz z wyznaczonymi kompaniami Ziemlańskiego Pułku. Na prośbę śmiertelnie rannego dowódcy 13. kompanii podporucznik Strzemiński przejął dowodzenie, rzucił się z żołnierzami do kontrataku. Wyparł przeciwnika z trzech pozycji i odbił zajęte wcześniej dwa karabiny maszynowe i trzy działa”. Ponieważ opisów tego wydarzenia jest kilka, więc Iwona Luba i Ewa Paulina Wawer (autorki książki *Władysław Strzemiński – zawsze w awangardzie. Rekonstrukcja nieznanej biografii 1893–1917*) zdecydowały się skonsultować z Bogusławem Perzykiem, specjalistą od historii twierdzy Osowiec. W wyniku porównania wszystkich źródeł wiedzy i dokumentów – zarówno niemieckich, jak i rosyjskich – otrzymaliśmy najbardziej prawdopodobny obraz tego ataku. Jako zawodowy oficer Strzemiński znał podstawową zasadę każdej potyczki, bitwy czy wojny – jak za pomocą najmniejszych sił i środków zniszczyć najwięcej sił i środków przeciwnika. Od przejścia trującego obłoku gazowego minęły ponad dwie godziny. Rosyjska kompania, licząca ponad 200 żołnierzy, z rezerwowych okopów drugiej linii ruszyła do kontrataku. W tym fragmencie pola walki ich przeciwnikiem były dwie grupy szturmowo-zwiadowcze, liczące nie więcej niż 85 piechurów i saperów 18. Pułku Landwehry. Rosjanie mogli teoretycznie i praktycznie w kwadrans roznieść ich na strzępy, atakując bagnetami. Oczywiście straty byłyby znaczne, ale atak byłby w rosyjskim duchu. A tu przez trzy i pół godziny Strzemiński poprowadził kontratak budowanymi przez jego oddział saperski rowami łącznikowymi, okopami i sobie znanymi przejściami w zasiekach. Granaty ręczne i nożyce do drutu okazały się bardziej przydatne niż bagnety.



Władysław Strzemiński 1932 rok.



Atak gazowy na rosyjskie okopy.

Za ten bohaterski wyczyn Władysław Strzemiński został kawalerem Orderu św. Jerzego 4. klasy, ale też trafił do szpitala, był podtruty gazem i ranny w prawe ramię.

Inną przyczynę i czas odniesienia ran podaje córka artysty Nika Strzemińska: „I wtedy właśnie, nocą z 6 na 7 maja 1916 roku, zdarzył się wypadek. Własny żołnierz, wychodząc z sąsiedniego okopu, potknął się i odruchowo rzucił trzymany w ręku odbezpieczony granat, który wpadł do rowu, gdzie wraz ze swoimi podwładnymi był mój ojciec. Wybuch granatu spowodował masakrę. Nielicznych żyjących zabrano do szpitala polowego. Ojcu amputowano prawie dwie trzecie prawego uda i ponad połowę lewego przedramienia. Ciało pokrywały liczne rany po mniejszych odłamkach”. Nika Strzemińska nie wspomina o ataku gazowym w Osowcu w żadnym miejscu swoich wspomnień. Inne źródła zastępują wspomniany przez nią granat wrogim szrapnelem trafiającym w okop, w którym przebywał Strzemiński wraz ze swoim pododdziałem. Pojawia się także informacja jakoby nasz bohater miał zostać ranny podczas testowania własnej konstrukcji miotacza min.

Nie minął miesiąc i Osowiec został oddany bez walki, 13 sierpnia komendant twierdzy Osowiec otrzymał rozkaz ewakuacji, więc co można było zabrać wywieziono, a co można było spalić, to spalono; umocnienia i forty wysadzono. Żołnierze z twierdzy Osowiec, wycofujący się wraz z całym przesuwającym się na wschód frontem, napotkali na drodze tłumy przerażonych, zdezorientowanych i wygłodzonych ludzi. Byli to wygnańcy, zwani bieżeńcami [szerzej na ich temat w tekście *Opuszczeni poniewierka polskiej ludności cywilnej podczas Wielkiej Wojny*].

Macierzysta jednostka Strzemińskiego wykonywała zadania saperskie dla cofa-

2 W 2009 roku rosyjski dziennikarz w propagandowym artykule *Rosjanie nie poddają się* bardzo emocjonalnie i obrazowo, niekoniecznie trzymając się realiów, opisał ten atak. „Żołnierze szli omotani szmatami, krztusząc się od strasznego kaszlu, wypluwając kawałki płuc na splamione krwią bluzy”. Obrazy umierającego rosyjskiego oddziału, który przetrwał atak gazowy i zmusił do odwrotu cały niemiecki pułk, fascynowały, rozpalały wyobraźnię i rozprzestrzeniły się na rosyjskich stronach internetowych. W 2012 roku pojawił się wideoklip o osowieckim „ataku trupów” stylizowany na dokument z czasów I wojny światowej. W 2014 roku eksperci rosyjskiego związku kinematografii zarekomendowali film *Atak trupów* na listę filmów do otrzymania dotacji w kategorii: Historia wojenna.

jących się oddziałów frontowych, a sam Strzemiński co rusz trafiał do lazaretu. Jego hospitalizacje były konsekwencją powikłań z powodu rany postrzałowej, ale też zatrucia gazem.

Od września 1905 roku do marca 1916 roku, z wycofującym się frontem, ugrzązł na pozycjach w bagnach puszczy Nalibockiej – w przenikliwej wilgoci, zimnie, z kiepskim zaopatrzeniem w amunicję, środki sanitarne i żywność. Front przesuwał się i wraz z nim wędrował saper Strzemiński, aby 24 maja 1916 roku trafić do szpitala dywizyjnego „na leczenie" – jak enigmatycznie wpisano do historii przebiegu jego służby – a stamtąd na dalsze leczenie do Moskwy. Rozkazem cara z 30 listopada 1916 roku Władysław Strzemiński został awansowany na porucznika, niestety jego leczenie w Moskwie przedłużało się.

Ostatni dostępny dokument datowany na 25 października 1917 roku kieruje porucznika Strzemińskiego do dyspozycji dowódcy 39. Samodzielnej Kompanii Saperów


Bestätigung
Name: Strschemidski
Vorname: Wladislaus
Geboren am: 21.11.1893
Geburtsort: Minsk
Adresse: (Wohnort, Straße und Hausnummer)
Litzmannstadt, Schwimmerweg 22
Eigenhändige Unterschrift:
Der Inhaber dieser Bestätigung hat am 28.7.1941
Nr. 6361 ein Gutachten betr. seiner
russischen Volkszugehörigkeit

Dokument tożsamości z czasów II wojny.

(39. Отдельная сапёрная рота) jako zdolnego do dalszej służby wojskowej. Akta osobowe ani żadne inne dokumenty z jego dalszej służby wojskowej są niedostępne.

Jest bardzo prawdopodobne, że Strzemiński przechodził kolejne hospitalizacje w niewiadomych dla nas miejscach. Luba i Wawer, autorki cytowanej powyżej nieocenionej publikacji o Strzemińskim, są chyba najbliżej prawdy dotyczącej tych zdarzeń. Odnoszą się do zachowanych zdjęć z plaży z lat 1928 i 1939 i zauważają, że miejsce amputacji lewego przedramienia wskazuje na operację, której nie wykonano pospiesznie w polowych warunkach, lecz przeprowadzono z zachowaniem możliwości wykonania protezy – czyli w normalnym szpitalu. Niezależnie od siebie mogły wystąpić różne przyczyny amputacji lewej dłoni i prawej nogi. Nie znano jeszcze długofalowych efektów oddziaływania chloru na organizm. Nawet niewielkie oparzenia chlorem początkowo bagatelizowane mogły z czasem powodować owrzodzenia, zgorzel czy różne stany zapalne.

Na wszystkich fotografiach z okresu międzywojennego i po wojnie Strzemiński ma na sobie koszulę à la Słowacki, z wyłożonym kołnierzykiem i odsłoniętą szyją. To sugeruje ataki duszności i niewydolność oddechową, co jest kolejnym śladem ataku gazowego z Osowca.

Kiedy umierał, lekarze stwierdzili zmiany gruźlicze. Nika Strzemińska pisze: „Pracownicy, przychodząc do szpitala, od progu dopytywali się, czy profesor jeszcze żyje. Lekarzom zdawało się nieprawdopodobne, aby chory z tak zaawansowanymi zmianami gruźliczymi mógł jeszcze oddychać". To właśnie zatrucie chlorem spowodowało nieodwracalne zmiany w płucach. Chemiczne uszkodzenie płuc przeszło w rzekome zapalenie płuc, a to w rzekomą gruźlicę.

Strzemiński na temat swojego udziału w Wielkiej Wojnie niezmiennie milczał. Ani o niej nie mówił, ani nie pisał, ani wprost nie uczynił jej tematem żadnego z zachowanych dzieł. Nie znamy też żadnej fotografii Władysława Strzemińskiego w mundurze i żadnej innej z tego bądź wcześniejszego okresu – dotychczas nie udało się ich odnaleźć ani w archiwach rosyjskich, ani w polskich, ani w zbiorach rodzinnych.

O laureacie nagrody artystycznej miasta Łodzi w 1932 roku donosił „Głos Poranny" słowami Przecława Smolika[3]: „Stuprocentowy inwalida wojenny, ślepym pociskiem na całe życie okaleczony Wł. Strzemiński, zamiast wyzyskać swe ciężkie fizyczne braki na rzecz bytowania[4] bez wysiłku do końca życia z renty inwalidzkiej, oddaje się niemal bezpośrednio po wygojeniu z ciężkich ran (dwa i pół roku przeleżał po szpitalach) bezprzykładnie intensywnej pracy w najtrudniejszych warunkach życia (zasługujących niewątpliwie na osobny rozdział w biografii naszego laureata) i wybija się w ciągu lat dziesiątka na czołowego reprezentanta europejskiego modernizmu w Polsce".

Można odnieść wrażenie, że doświadczenia wojenne porucznika Władysława Strzemińskiego zostały przez niego świadomie i celowo przemilczane. Nie odwoływał się do nich nawet w sytuacjach przykrych – jak podczas uroczystości wręczenia mu nagrody miasta Łodzi w maju 1932, kiedy został publicznie obrzucony obelgami i napastowany transparentami z hasłem „Precz z bolszewizmem w sztuce!". Nie bronił się, podając publicznie fakty z przebiegu swojej służby na froncie I wojny i zdobytych wówczas sześciu orderach, w tym dwóch „Georgijach".

Milczenie Władysława Strzemińskiego na ten temat było zaskakujące, a może chciał zapomnieć o wojnie, wyrzucić ją z pamięci...

zj

3 Przecław Smolik – lekarz, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego; zmobilizowany w 1914 do armii austro-węgierskiej, już na początku wojny dostał się do niewoli rosyjskiej. Był literatem, kolekcjonerem sztuki, bibliofilem, samorządowcem, inicjatorem i pierwszym prezesem Towarzystwa Bibliofilów w Łodzi.

4 Władysław Strzemiński tylko z tytułu swoich medali mógł mieć 140–150 rubli złotem rocznie. Nie byłby „burżujem", ale z pewnością nie głodowałby – złota moneta o nominale 5 rubli kosztuje obecnie około 850 zł ; św. Anna 4. klasy – 40 lub 50 rubli rocznie (order noszony na... szabli);

św. Stanisław 3. klasy – to dawny polski order przerobiony na potrzeby Imperium, za 1. klasę dostawało się szlachectwo, były tylko 3 klasy;

św. Jerzy 4. klasy – 100 rubli rocznie;

szabla św. Jerzego – dodawana do orderu „za odwagę"



Wyróżnienie bojowe – Broń Świętego Jerzego (inaczej Oręż Św. Jerzego, ros. Золотое Георгиевское оружие), również nadawany w postaci szabli. Szabla była elementem uzbrojenia ale pełniła również funkcje paradne i ceremonialne. Do miejsc gdzie nie można było chodzić z szablą przypinano miniaturę Broni Złotej za „Za Waleczność" czyli była to odznaka do fraka i taką odznakę przezenyujemy powyżej.

TRZY WIELKIE OFENSYWY I BITWA O KARTOFLE, czyli RZECZ O TURKACH NA FRONCIE WSCHODNIO-GALICYJSKIM

3 września 1917 roku grupa osmańskich żołnierzy – ze stuosobowej jednostki pozostawionej na tyłach frontu celem wyekspediowania do Stambułu łupów wojennych – podjęła próbę zagarnięcia znacznej ilości kartofli, przygotowanych do transportu na stacji kolejowej w Mieczyszczowie, wsi położonej około 7 km na południowy-zachód od Brzeżan (obwód tarnopolski). Wobec ostrzelania przez napastników personelu dworca, austriacka żandarmeria także była zmuszona użyć broni. Incydent ten stanowił kulminację ekscesów z udziałem żołnierzy osmańskich, do jakich zaczęło dochodzić po przełamaniu ofensywy Kiereńskiego w lipcu tego samego roku. Miarka musiała się rzeczywiście przebrać, skoro zdesperowany c.k. oficer łącznikowy przy sztabie tureckiego XV Korpusu mjr Egon Lauppert zaapelował do swojej kwatery głównej w Baden bei Wien o przysłanie pułku piechoty uzbrojonego w ciężkie karabiny maszynowe, gdyż – jego zdaniem – tylko w ten sposób można było okiełznać niesfornych sojuszników. Pikanterii tej sprawie dodawał fakt, iż sułtańskich żołnierzy nie popchnął do tego rozboju głód, lecz szczere uczucie, jakim zapałali w Galicji do ziemniaków. Nie była to jednak miłość od pierwszego wejrzenia. Rok wcześniej, tuż po objęciu pozycji nad Złotą Lipą, jeden z osmańskich żołnierzy żalił się w liście do brata, pisząc: „Jeśli spytasz o to, jakie tu mamy warunki, to powiem, że z wierzchu deszcz, od spodu błoto, a w żołądku pełno kartofli. W tym kraju też są pola uprawne, ale żadnych na nich zasiewów. Wszędzie tylko kartofle i kukurydza. Z owoców widziałem jeno śliwki i gruszki, ale jedne i drugie smakują jak nasze ogórki. O takich rzeczach jak melon czy arbuz to nawet ich dziadowie nie słyszeli".

Co jednak sprawiło, że Turcy podjęli walkę z Rosjanami na tak odległym od swych granic froncie? Z początkiem stycznia 1916 roku, po jedenastu miesiącach bezskutecznych prób przebicia się przez Dardanele, ostatnie jednostki Ententy ewakuowały się z półwyspu Gallipoli, dzięki czemu Imperium Osmańskie zyskało możliwość przerzucenia części broniących tego rejonu wojsk na inne teatry wojenne. Część dywizji skierowano na front kaukaski, część zaś postanowiono udostępnić sojusznikom – Niemcom i Austro-Węgrom. Berlin, który był znacznie bardziej skory do skorzystania z pomocnej dłoni wyciągniętej przez osmańskiego ministra wojny Envera Paszę, postanowił przyjąć te jednostki na frontach w Macedonii, Rumunii i właśnie w Galicji. Na przełomie czerwca i lipca 1916 roku, kiedy sojusznicy podjęli pierwsze konkretne rozmowy na ten temat, sytuacja Państw Centralnych na froncie wschodnio-galicyjskim była bardzo trudna. Armia austro-węgierska poniosła gigantyczne straty podczas trwającej wówczas ofensywy Brusiłowa, a Niemcy nie mogli już sobie pozwolić na dalsze „łatanie dziur" swoimi jednostkami bez narażania się na kłopoty na froncie zachodnim. Podjęto więc decyzję o przerzuceniu do Galicji osmańskiego XV Korpusu, liczącego około 32 000 ludzi i składającego się z dwóch dywizji piechoty o numerach 19 (57., 72. i 77. pp) i 20 (61., 62. i 63. pp). W każdej z nich znalazł się też szwadron kawalerii, pięć baterii armat polowych oraz jednostki inżynieryjne i pomocnicze.

Zdniem 22 sierpnia osmańskie dywizje oficjalnie weszły w skład niemieckiej Armii Południowej i przejęły od sojuszników odcinek frontu na zachodnim brzegu Złotej Lipy, na południe od Brzeżan. Ich pozycje od lewego skrzydła graniczyły z 55. DP, wchodzącą w skład austro-węgiersko-niemieckiego XXV Korpusu gen. Petera Hofmanna, zaś od prawego z niemiecką 1. Rezerwową DP, z Grupy gen. Friedricha von Geroka. 19. DP dowodził ppłk Mehmed Şefik (Aker), zastąpiony 16 października przez ppłk. Ahmeda Sedada (Doğruera), a na czele 20. DP stał ppłk Yasin Hilmi.

Pierwszym dowódcą korpusu był płk Yakub Şevki (Subaşı), oficer o dużej wiedzy teoretycznej, ale małym doświadczeniu w dowodzeniu na polu walki. Miał on też trudny charakter i silnie zakorzenione poczucie wyższości narodowej nad sojusznikami, co szybko doprowadziło do otwartego, choć skrzętnie tuszowanego przez turecką historiografię konfliktu, szczególnie z Niemcami. Płk Yakub Şevki sabotował niektóre rozkazy gen. Felixa hr. von Bothmera, któremu bezpośrednio podlegał. Nie potrafił też wyegzekwować na dowódcach swoich dywizji szybkiego dostosowania się do specyfiki galicyjskiego pola walki. Dotyczyło to zwłaszcza zachowania podczas artyleryjskiej nawały ogniowej, którą Rosjanie stosowali na skalę, z jaką jednostki tureckie nigdy wcześniej się nie zetknęły. Efektem tego były gigantyczne straty poniesione przez XV Korpus. Już pod koniec września w obu dywizjach pozostawało pod bronią łącznie zaledwie 12 000 żołnierzy. Z początkiem października Turcy stracili kolejne 3000 (zabitych, rannych i zaginionych), a 20. DP, walcząca w znacznie trudniejszym terenie niż 19., utraciła przejściowo zdolność bojową i musiała być zluzowana przez niemiecką 36. Rezerwową DP. Tak duże ofiary poniesione w tym czasie przez XV Korpus były w przeważającej mierze (ale nie wyłącznie) żniwem zebranym przez carską artylerię. Po części wynikały one też z bezprzykładnego heroizmu oficerów i podoficerów liniowych oraz zwykłych żołnierzy. U źródeł takiej postawy bynajmniej nie leżało przywiązanie do sojuszników, czy jakaś szczególna nienawiść do Rosjan, lecz powszechna wśród muzułmanów wiara w przeznaczenie. Jednostki osmańskie, podobnie jak bośniackie walczące w armii austro-węgierskiej, nieustraszenie parły do przodu i broniły każdej piędzi galicyjskiej ziemi jak własnej niepodległości, ponieważ każdy Mehmed głęboko wierzył w to, że o tym, kiedy przyjdzie mu umrzeć, nie decyduje ani przeciwnik, ani on sam, lecz Stwórca. Mentalność taka miała bezpośrednie przełożenie na stan psychiczny sułtańskich żołnierzy. W opublikowanym w 1918 roku raporcie psychiatrzy wojskowi ze szpitala w Pardubicach z zaskoczeniem skonstatowali, że wśród 6338 osmańskich pacjentów, jakich przyszło im przebadać, zaburzenia neurotyczne wywołane stresem bojowym stwierdzono zaledwie u dwunastu (!), co stanowiło 0,19%, podczas gdy w armii austro-węgierskiej i niemieckiej odsetek ten przekraczał 20%.

W okresie, w którym XV Korpus trafił nad Złotą Lipę ofensywa Brusiłowa straciła już impet. Obiektywnie jednak należy przyznać, że w jej końcowej fazie Turcy zdążyli odegrać niebagatelną rolę. Dzięki ich uporowi, a pośrednio także za sprawą niesubordynacji dowódcy, płk. Yakuba Şevkiego, gen. von Bothmer zmuszony został do wstrzymania odwrotu Grupy Geroka i podjęcia walki z przeciwnikiem na warunkach postawionych przez muzułmańskich sprzymierzeńców, w efekcie czego udało się zapobiec ponownemu wkroczeniu Rosjan do Halicza.

Począwszy od listopada działania zaczepne piechoty niemal wygasły. Aż do wiosny

1917 roku dość dużą aktywność wykazywała za to artyleria przeciwnika. Rewolucja lutowa doprowadziła do znaczącego rozprzężenia w armii rosyjskiej. Niemcy i Austriacy, a w ślad za nimi także Turcy konsekwentnie (i w duchu instrukcji wydawanych przez sztab frontu) bratali się z wrogiem, wykorzystując każdą sposobność do dodatkowego podkopania jego morale. W kwietniu zaczęła się jednak komplikować sytuacja na bliskowschodnich frontach Imperium Osmańskiego. Utrata Bagdadu skłoniła Envera Paszę do zgłoszenia sojusznikom konieczności odwołania XV Korpusu do kraju. Podjęto decyzję, że jako pierwsza opuści Galicję 19. DP. W czerwcu, kiedy jej przerzut dobiegał już końca, stało się jasnym, że lada moment Rosjanie mogą przystąpić do kolejnej wielkiej ofensywy. Jej inspiratorem był Aleksander Kiereński, minister wojny i marynarki w Rządzie Tymczasowym Georgija Lwowa, który z chwilą objęcia teki (5 maja) postawił sobie za główny cel podniesienie morale armii i jak najszybsze wznowienie przez nią działań zaczepnych. Żołnierze osmańskiej 20. DP zamiast spodziewanego powrotu do Stambułu otrzymali więc rozkaz pozostania w Galicji i przygotowania się do odparcia przeciwnika.

Wszyscy historycy jako datę rozpoczęcia ofensywy Kiereńskiego podają dzień 1 lipca 1917 roku. Tymczasem przygotowanie artyleryjskie do głównego natarcia piechoty zaczęło się już 29 czerwca o świcie. Na odcinku bronionym przez Turków Rosjanie przystąpili do natarcia nazajutrz o godz. 12:45. Niezależnie od zmagań piechoty przez cały dzień kontynuowany był też morderczy ostrzał artyleryjski. Do wieczora tylko na pozycje 20. DP spadło około 43 000 pocisków różnego kalibru. Mimo że okopy wojsk osmańskich obróciły się w perzynę, a artyleria dywizji na pewien czas została obezwładniona, wszystkie ataki przeciwnika odparto. W nocy kontynuowana była nawała artyleryjska. Dopiero po dobie od pierwszego szturmu Rosjanom udało się dokonać niewielkiego wyłomu na prawym skrzydle 62. pp. Nieco ponad trzy godziny później Turcy odzyskali jednak stracony teren, a pod wieczór odparli kolejne natarcie. Podkreślić przy tym należy, że pojedyncza osmańska dywizja broniła się przez dwa dni przed atakami pięciu z szesnastu dywizji, jakie gen. Brusiłow rzucił do walki, i jako jedyna na tym odcinku frontu nie oddała przeciwnikowi ani metra terenu. Straty własne trzech tureckich pułków zamknęły się w granicach około 600 zabitych i około 2000 rannych, co stanowiło 20% stanu wyjściowego 20. DP, podczas gdy większość bijących się z nią jednostek rosyjskich straciła około 50% ludzi. Tak spektakularny sukces został osiągnięty nie tylko dzięki wspomnianemu już heroizmowi osmańskiego żołnierza, ale także za sprawą perfekcyjnego dowodzenia korpusem, które 18 listopada 1916 roku przejął po zdymisjonowanym płk. Yakubie Şevkim, błyskotliwy i bardzo ceniony przez Niemców gen. dyw. Cevad (Çobanlı). Zwycięstwo było też z pewnością zasługą dowódcy 20. DP, późniejszego pierwszego premiera Iraku, ppłk. Yasina Hilmiego. Postawa żołnierzy osmańskich skutkująca utratą zdolności bojowej przez rosyjską 7. Armię zmusiła już 3 lipca gen. Brusiłowa do zmiany planu taktycznego całej ofensywy Kiereńskiego i do podjęcia trzy dni później – także nieudanej – próby przełamania frontu w rejonie Zborowa (tu już jednak Rosjanie musieli uznać wyższość jednostek austro-węgierskich oraz ściągniętych na ten odcinek niemieckich uzupełnień). Równolegle z walkami pod Zborowem 8. Armia gen. Korniłowa obeszła turecki sektor od południa i odniosła przejściowy sukces, spychając austro-węgierską 3. Armię znad Bystrzycy na linię Łomnicy (po uprzednim zdobyciu Stanisławowa i Halicza). Narastające z każdym dniem wrzenie rewolucyjne w rosyjskiej armii doprowadziło jednak do wstrzymania ofensywy i stopniowego przejęcia inicjatywy na froncie przez wojska Państw Centralnych, które po dokonaniu niezbędnych przegrupowań, przystąpiły 19 lipca do kontrnatarcia. Uczestnicząca w nim w charakterze odwodów osmańska 20. DP dotarła dziesięć dni później do Niwry, położonej na zachodnim brzegu Zbrucza. Tam żołnierzom tureckim przyszło stoczyć ostatni bój na froncie galicyjskim (nie licząc oczywiście tego o ziemniaki na stacji w Mieczyszczowie). Po trwających dobę walkach podkomendni ppłk. Yasina Hilmiego zdobyli wieś, pozostawiając na cmentarzu w niedalekim Borszczowie 52 poległych.

Sojusznicy nie szczędzili wyrazów uznania dla żołnierzy osmańskich. Wyrażali je na piśmie zarówno dowódcy armii i grupy armii, jak i obaj monarchowie. Cesarz Karol I odznaczył nawet Cevada Paszę orderem Korony Żelaznej I klasy z dekoracją wojenną. Wraz z otrzymaniem tego wyróżnienia dowódca XV Korpusu zyskał przywilej zwracania się do c.k. majestatu *per* „mój kuzynie".



Mustafa Kemal Atatürk

Warto też w tym miejscu nadmienić, że w 1917 roku XV Korpus wizytowany był w Galicji przez trzech osmańskich książąt: Ömera Faruka, Osmana Fuata i Abdürrahima Hayriego. Ostatni z nich od 8 maja dowodził nawet (w randze majora) 1. dywizjonem 19. pułku artylerii. Reprodukowane w ówczesnej tureckiej prasie zdjęcia tych dostojnych gości wykonał Kazimierz Kuzyk, polski fotograf służący w austriackiej jednostce balonowej detaszowanej do osmańskiego korpusu.

Obecność wojsk osmańskich na froncie galicyjskim odczytywana była w tym czasie nie tylko przez Polaków, ale także przez austriacką i turecką propagandę jako wypełnienie się proroctwa Wernyhory, zgodnie z którym nasz kraj miał odzyskać niepodległość po tym jak „mahometanie napoją konie w Horyniu". Ta najstarsza, pochodząca jeszcze z czasów konfederacji barskiej wersja przepowiedni uległa modyfikacji w okresie pierwszej wojny światowej: enigmatyczni mahometanie skonkretyzowali się jako Turcy, a Horyń został zastąpiony przez Dniestr, w dorzeczu którego walczył XV Korpus. Znana dziś wersja mówiąca o Turkach i Wiśle pochodzi dopiero z okresu międzywojennego.

Nie zapominajmy też o tym, że co najmniej 24 żołnierzy XV Korpusu znalazło miejsce wiecznego spoczynku na obecnym terytorium Polski: trzynastu w Krakowie, siedmiu w Przemyślu, trzech w Rzeszowie i jeden w Wadowicach. Choć do naszych czasów dotrwał tylko grób jednego z nich (w Krakowie), to pamiętajmy o wszystkich, oddając 1 i 11 listopada cześć żołnierzom poległym w Wielkiej Wojnie.

⚜ *Piotr Nykiel*



Zrujnowany niemieckim ostrzałem artyleryjskim Konstantynów Łódzki. Zniszczenia były tak wielkie, że jeszcze w roku 1917 mieszkańcy miasteczka żyli w ziemiankach.



Niemieccy ułani w Pabianicach. Zdjęcie wykonane na przełomie 1915 i 1916 roku przed jedną z jadłodajni przemianowanej na Koszary Ulryka - Ulrich Kaserne.

DZIENNIK CZECHOSŁOWACKIEGO LEGIONISTY

Przedstawiamy fragment *Dziennika czechosłowackiego legionisty. Wspomnienia z wojskowego życia 1914–20* (Deník československého legionáře: Vzpomínky z vojenského života) autorstwa Arnošta Vatrasa. Zmobilizowany na początku roku 1915, w drodze na front na ponad 2 miesiące trafił do Piotrkowa.

Dostałem do domu telegram, że wyjeżdżam, pożegnałem się ze swoimi znajomymi z Cieszyna, którzy również odjeżdżali, każdy w inną stronę, wsiadłem do pociągu i pojechałem do dalekiej Polski do Piotrkowa, gdzie był nasz regiment przeniesiony z Zabřeha.

10 września [1915 r.], o godzinie 4 po południu wyjechałem z Cieszyna w kierunku Bohumina. Znowu znalazłem się blisko naszej czarnej Ostrawy, jednak nawet po 5 miesiącach nie było mi dane na nią popatrzeć. W Bohuminie przesiadłem się i nudną krainą jechałem do Trzebini, gdzie dotarłem o 23.30.

Ponieważ byłem zmuszony przesiąść się, a kolejny pociąg, którym miałem jechać, odjeżdżał o wpół do 10 rano, zdecydowałem się przespać. Posiliłem się skromną kolacją, wypiłem szklankę nędznego, drogiego piwa, ległem na ziemię tam, gdzie było jeszcze wolne miejsce. W poczekalni znajdowali się polscy legioniści, którzy ze szpitala jechali także do Piotrkowa. [...] O godzinie wpół do 10 jechałem dalej. W pociągu chciałem sie trochę posilić i dlatego chciałem coś na śniadanie sięgnąć z walizki. Ku mojemu zaskoczeniu spostrzegłem, że całe moje zapasy zniknęły. Klątem na Żyda, który mi w drodze z Cieszyna do Bohumina wszystko zabrał. Nazywał się Grűnberg i jechał ze mną z Cieszyna, tyle że on gdzieś w okolice Wieliczki. Miałem z tego nauczkę, by nie wierzyć nawet najlepszym przyjaciołom.

W Szczakowej były już widoczne ślady wojny. Dworzec był dosyć duży, ale nazwa stacji była zamazana, nie wiem z jakiego powodu. Przesiadłszy się, jechałem do Ząbkowic, gdzie znalazłem się o 1 po południu. Tutaj dowiedziałem się, że następny pociąg do Piotrkowa odjeżdża dopiero o godzinie 10 w nocy. Wolny czas spędziłem na zwiedzaniu Ząbkowic, które należą do Polski. Wraz z jednym kolegą zostaliśmy zaproszeni przez pewną rodzinę na herbatę. Przyjęliśmy propozycję, a po pewnej chwili przyszła do nich w odwiedziny czeska rodzina. Od nich dowiedziałem się, że w Ząbkowicach żyje około 60 czeskich rodzin, które w większości pracują w tamtejszych hutach. Wspomniana rodzina była bardzo uradowana, tym że się z nami Czechami spotkała. Wypytywali o sytuację u nas, którą im przedstawiłem, jak najlepiej umiałem. [...] O godzinie 10 wieczorem, wsiadłem do pociągu, który nas później wiózł przez Częstochowę, znaną z afery klasztornej, do Piotrkowa. Pociąg był przepełniony i podróż przespałem, siedząc w korytarzu na podłodze.

O godzinie 3 rano przyjechałem do Piotrkowa. poszliśmy prosto do koszar (uzbierało nas się w czasie podróży około 30) i w ubraniu leżałem do rana na ziemi. Dnia 12 września byłem na przeglądzie lekarskim i przydzielono mnie do marszkompanii. Tutaj spotkałem mojego przyjaciela Wojtka, który zna dobrze mojego starszego brata Pepę i szybko zawarliśmy spółkę. Chodziliśmy, spaliśmy i jedliśmy razem. Przedpołudnie spędziłem na spacerze do pobliskiej wsi. Zazdrościłem tutejszym młodym ludziom, że swobodnie sobie spacerują, czują się całkowicie wolni i weseli, natomiast ja na każdym kroku czuję się związany dyscypliną.

Tutejszy region jest piaszczysty, szczególnie drogi do niektórych okolicznych wiosek są liche i człowiek całkowicie brodzi w piasku. Drzewa rosną tutaj rzadko, a w lasach rosną w większości tylko sosny. Lubię przechadzać się po Piotrkowie w czasie wieczornych wolnych godzin. Obserwuję z uwielbieniem tutejszy miejski ruch, ponieważ kocham miasta. Kiedy się rekrutowałem, trudno mi było przyzwyczaić się do wsi, ponieważ brakowało tam wszelkich wygód miasta. Handel i rzemiosło prowadzą tutaj przeważnie polscy Żydzi. Moralność w Piotrkowie jest na bardzo ubogim poziomie. Każdego wieczoru atakowany byłem propozycjami Żydówek, które za marny pieniądz sprzedają swoje ciało, co mnie obrzydza. W większości przypadków dzieje się tak z powodu biedy i w dzisiejszych okolicznościach przy tutejszej drożyźnie nie dziwi to wcale. W samym mieście widoczne są rosyjskie napisy lub też ich ślady i jest tu dużo rusofilów. Podczas przyjazdu pułku do Piotrkowa, wysłanych było około 50 ludzi na koniach do okolicznych wsi, aby rozproszyć jakąś uzbrojoną szajkę, która strzelała do austriackich żołnierzy. Przez pierwsze po przyjeździe do Piotrkowa łaziłem z jednym fryzjerem z Ostrawy Vutlokem po Piotrkowie i w ogóle nie chodziłem na poligon. Aż pewnego pięknego dnia dostałem karabin i zaczęły się ćwiczenia na poligonie.

Tydzień od 12–19 września. Odwiedzamy stale poligon i maszerujemy po tutejszych lichych, piaszczystych drogach, które strasznie męczą. Samo miasto jest wyłożone nierównymi, okrągłymi kamieniami, na których możemy stracić nogi. Tutejsze drogi przeklęliśmy do siedmiu piekieł i na pewno od tych naszych codziennych przekleństw już do diabła należą.

Kolejny tydzień od 19–26 września spędziliśmy na kontynuowaniu ćwiczeń. Dni upływają jednakowo, jeden po drugim, nie obchodzi nas którego dzisiaj jest, żyjemy jak zwierzęta, które się karmi z przeznaczeniem do zabicia. Takie porównanie do tego znajduję. W sobotę 25 września mieliśmy nocne ćwiczenia, które bardzo mi się podobały, mimo że byliśmy strasznie zmęczeni marszem piaszczystą drogą. Odpoczywaliśmy we wsi Byki. Przyjechała za nami kuchnia i dostaliśmy herbatę. Była piękna jesienna noc, księżyc świecił w pełnej krasie, a podczas śpiewów wspominaliśmy nasz odległy dom, który kto wie kiedy i czy w ogóle jeszcze zobaczymy. Liście żółkną i pewnym krokiem zbliża się jesień.

Tydzień od 26 września do 3 października upłynął na monotonnych ćwiczeniach, podczas których tak się nabiegaliśmy, że niejeden by padł. Bieganie jak głupiec w piasku z 40 kg plecakiem to nie jest żadna drobnostka. Niepotrzebnego szkolenia mamy teraz wystarczająco dość. Wolnego czasu teraz zbytnio nie mamy. Do godziny 5 ćwiczenia, potem rozkaz i czekanie na kolację, która czasami jest po godzinie 7, od czasu do czasu obieranie ziemniaków, od którego nie można się wymigać, a potem tylko człowiek musi się postarać o jakieś legowisko, albowiem nie miałby się gdzie położyć. W tym sobie z Wojtkiem pomagamy. Jeszcze w Cieszynie dostałem 8 dni koszar za to, że puściłem wolno jednego kaprala, któremu już brakowało czasu, był pijany i krzyczał w świetlicy, a ja tego nie zgłosiłem. Odpokutowałem 4 dni w Cieszynie, pozostałe przeszły za mną do Piotrkowa, o czym nic nie wiedziałem i wychodziłem na zewnątrz i żeby się nie poplątało dostałem jeszcze tydzień. Zbytnio mi to nie przeszkadzało, bo i tak nie miałem dokąd chodzić. Po całodziennej pracy wielokrotnie jestem tak zmęczony, że się tylko kładę, zapalę „memfiska" [popularna marka papierosów austriackich], potem naciągam koc za głowę i rozmyślam... Czasami Wojtek opowiada o pozycjach na włoskim froncie, o tym jak był ranny, jechał przez Przywóz do pułku, jednak zajrzeć do domu nie mógł.

Dnia 4 października, z powodu świętowania urodzin J.V., mieliśmy cały dzień wolny. Wieczorem na dziedzińcu się śpiewało, jadło, piło i paliło. Cała nasza 15 kompania przy świetle pochodni pięknie sie wyróżniała w nowych mun-

durach. Przed sąd polowy musiał być doprowadzony jeden Czech z Ołomuńca, który według informacji „komendanta" napisał w liście do rodziców jakieś zdradzieckie oświadczenie. Ukarał go jednak tylko dowódca batalionu, dając jedynie 6 dni bezwzględnego więzienia, ponieważ „rzekomo żałował swojego bezmyślnego czynu".

5 października jechaliśmy strzelać „feldmässig" [w warunkach frontowych?]. Strzelanie jest dla mnie obojętne, albowiem już całkowicie do tego przywykłem.

6 października przenieśliśmy się z koszar do gorzelni, którą Rosjanie podczas wycofywania się całkowicie rozgrabili i teraz się w niej nie pracowało. Mieszkaliśmy w świetlicach, w każdej kilkoro mężczyzn, także było nam dość wygodnie. Pogoda jednak nic nie warta, ciągle deszcz, błoto i zima.

Tydzień 10–16 października. W tych dniach znów maszerowaliśmy 25 wiorst. Już kawałek za Piotrkowem spotkaliśmy się z pamiątkami po niedawnych walkach. Od czasu do czasu pojedyncze groby poległych przyjaciół i nieprzyjaciół – oznaczone prostymi, drewnianymi krzyżami – można było dość często zobaczyć, jak i druciane zasieki i okopy budowane przez Niemców. Dzień był piękny, słońce przyjemnie grzało, także pięknie nam się szło. Byliśmy aż we wsi Grabica. Tu mieliśmy około 1,5 godziny przerwy „rast" [odpoczynku], które spędziłem na spacerze po wsi i zabawie z przyjaciółmi. Poszliśmy też szukać, a właściwie kupować gruszki i jabłka w miejscowych domach. Śpiewając wracaliśmy wesoło do domu, znacznie jednak zmęczeni. Byliśmy także się kąpać. Jest tutaj urządzona wojskowa łaźnia dość praktyczna. Byłem prawie kwadrans w parze, po czym wziąłem porządny prysznic. Charakterystyczna dla Piotrkowa jest też ogromna ilość sprzedawców. Przez cały czas, od rana do wieczora, kłębią się przed koszarami chłopcy i dziewczęta, oferujący produkty z czystej pszenicznej mąki: „Panie, kupcze czastka!" Mali sprzedawcy biegali za nami nawet 2 godziny drogi na poligon, tylko po to by sprzedać swoje produkty. 16 października przenosimy się znowu z gorzelni do koszar, gdzie miał się zebrać cały batalion idący wspólnie w pole. Jesteśmy już jak Cyganie, którzy również na jednym miejscu długo nie wytrzymują. Cieszyłbym sie jakby to wszystko się skończyło i pojechałbym już do wszystkich diabłów. Jeszcze tego samego dnia po południu przyszedł telegram, że na drugi dzień odjeżdżamy. Nawet nie przypuszczałem, że moje życzenie tak szybko się spełni. Dla mnie jednak ta wiadomość była całkowicie obojętna, żałowałem tylko, że już nie otrzymam rzeczy, które zostały do mnie z domu wysłane. Wieczorem porozglądałem się ostatni raz po mieście. Za pieniądze, które miałem, nakupiłem jedzenia, albowiem pomyślałem co mi po pieniądzach w polu. Zostały mi tylko 3 szóstaki, które schowałem, by móc telegraficznie powiadomić rodziców, gdybyśmy jechali przez Przewóz. Nie wiedzieliśmy do ostatniej chwili, na który front pojedziemy.

W niedzielę 17 października po kiepskim posiłku, całkowicie uzbrojeni, poszliśmy na rynek w mieście, gdzie jeszcze raz złożyliśmy przysięgę. Po przysiędze poszliśmy bezpośrednio na dworzec pozdrawiani przez miejscowych obywateli, którzy na pożegnanie machali rękami.

tłumaczenie Albert Jaworski

Cały dziennik dostępny jest pod adresem: https://play.google.com/books/reader?id=lx60BgAAQBAJ&printsec=frontcover&output=reader&hl=pl&pg=GBS.PP1



Na odwrocie zdjęcia znajduje się dedykacja w języku niemieckim: „Meinem lieben Freunde... Petrikau, 26 Juni 1916. I.R. 100" czyli Moim drogim kolegom. Piotrków, 26 czerwca 1916. 100 Pułk Piechoty. Pułk formowany był w Cieszynie i w dużej części składał się z Polaków (w roku 1914 stanowili oni 37% stanu osobowego). W listopadzie 1918 r. żołnierze stacjonujący w Piotrkowie złożyli przysięgę na wierność rządowi polskiemu. Na zdjęciu praktycznie sami oficerowie i podoficerowie prażą się w ostrym słońcu.

Ratujmy jeńców - Polaków

Tam, gdzie są zwycięzcy, tam są też i pokonani. Po walkach, pola bitew gęsto pokrywają trupy żołnierzy. Ci, którym dopisało szczęście i nie stracili życia, trafiali do obozów jenieckich. Jak wyglądała ich codzienna egzystencja na niewielkiej przestrzeni, odgrodzonej od reszty świata drutem kolczastym? Z jakimi problemami musieli się mierzyć po wypuszczeniu na wolność i czy mogli liczyć na wsparcie rodaków po powrocie do ojczyzny?

Druk ulotny „Do społeczeństwa polskiego!" przytacza treść listu anonimowego żołnierza z Polskiego Korpusu Posiłkowego, który po bitwie pod Rarańczą, stoczonej z wojskami austriackimi w nocy z 15 na 16 lutego 1918 r., trafił do obozu jenieckiego w Bustyahazie na Węgrzech. Jego relacja nie pozostawia złudzeń co do gehenny, przez jaką musieli przejść internowani: „Warunki bytu straszne; brud, zgnilizna i głód. Traktują nas nie jak jeńców, lecz jak najostatniejszych zbrodniarzy. Po kilku dniach nareszcie zaczęto nam podawać pożywienie, urągające wszelkim wymaganiom. O godz. 5-ej wyciągają ludzi, by im dać chochlę popłuczyn ziemniaczanych i obierzyn i o tem często czeka się aż do 5-ej po południu. Na obiad dają czasem zupę cuchnącą, pozbawioną wszelkich stałych części, i kawałek ochłapa, którego by zgłodniały pies nie ruszył, lub gotowane buraki. Chleba ćwierć raz na parę dni (…) Ludzie chodzą jak cienie (…) Choroby wszelkiego rodzaju zaczynają się tu szerzyć zastraszająco: świerzb, czerwonka, zapalenia przeróżne. Od samego początku jesteśmy pod szalonym dozorem (…) obchodzenie się z nami jest potworne i tylko dzięki nadzwyczajnej pracy nad ludźmi nie dochodzi do rozlewu krwi, chociaż jednego już bagnetem zraniono. Nawet naturalnej potrzeby nie można załatwić, lecz trzeba czekać godzinami. Czystej wody do picia jesteśmy pozbawieni zupełnie, a nawet z brudnej nie wolno nam korzystać w dostatecznej ilości (…) Komendant baraku to ostatni pies. On to kieruje w ten sposób, aby nas zniszczyć…".

Późniejsze losy polskich żołnierzy, już po zwolnieniu ich z obozów jenieckich, były niewiele lepsze. W raporcie pracownika Głównego Urzędu Zaciągu do Wojska Polskiego w Piotrkowie z 1 września 1918 r. czytamy o powrocie byłych legionistów z Polskiego Korpusu Posiłkowego, przetrzymywanych od marca 1918 r. w Huszt na Węgrzech, oraz zwolnionych z niewoli oficerach rosyjskich narodowości polskiej. Byli jeńcy mieszkający przed wojną na terenach zajmowanych przez Austriaków, po wypuszczeniu z obozów, formalnie bez przeszkód mogli udać się do rodzinnych domów. Szczęścia takiego nie mieli ci byli jeńcy, którzy pochodzili z okupowanej przez Niemców części Królestwa Polskiego. Władze niemieckie zwlekały z wydaniem im zgody na powrót do domów. W związku z tym Austriacy zarządzili przewiezienie ich do Piotrkowa, gdzie odtąd mieli cierpliwie czekać na zgodę na powrót w rodzinne strony. Łatwo sobie wyobrazić zawód, rozgoryczenie i złość Polaków. Nie tylko przedłużająca się tęsknota za bliskimi była przyczyną ich udręki. Po wielomiesięcznym pobycie w obozach, żołnierze byli wycieńczeni i głodni. Nosili na sobie zniszczone, brudne i zanieczyszczone robactwem mundury, nawet nie mieli czystej bielizny. Nie posiadali też jakichkolwiek środków do życia. Z pomocą finansową starały się przyjść im lokalne władze oraz osoby prywatne. Niektórzy żołnierze, chcąc poprawić swoją sytuację bytową i materialną, podejmowali próby znalezienia jakiegoś zajęcia, co było jednak mocno utrudnione z powodu braku dokumentów cywilnych ważnych na terenie okupacji austriackiej. Byli i tacy, którzy szansy na polepszenie swojego losu widzieli w kontynuowaniu służby wojskowej w szeregach Polskiej Siły Zbrojnej. Autor raportu, z którego dowiadujemy się wszystkich powyższych informacji, zwracał uwagę przełożonych w Warszawie na konieczność bezzwłocznej interwencji „polskich czynników rządowych" u niemieckich władz okupacyjnych w sprawie byłych jeńców wojennych.

Na ciężki los tysięcy polskich żołnierzy, którzy po zwolnieniu z obozów jenieckich powrócili do ojczyzny, nie pozostali obojętni rodacy. 20 października 1918 r. zorganizowano ogólnokrajową kwestę pod hasłem „Ratujmy jeńców Polaków". Powołany w Łodzi miejscowy komitet kwesty, na tydzień przed planowanym wydarzeniem, zwrócił się do Zarządu Łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności z prośbą o wypożyczenie 400 puszek do zbierania datków na ulicy. Wydarzenie zostało nagłośnione w lokalnej prasie. Zapowiadały je również plakaty rozlepiane na budynkach w mieście. Łódzcy organizatorzy kwesty apelowali, by każdy łodzianin złożył ofiarę pieniężną wedle swych możliwości i poratował polskich byłych jeńców wojennych. Mieszkańcy Łodzi nie pozostali głusi na wezwanie i 20 października 1918 r. nie żałowali datków kwestarzom, spełniając tym samym swój obowiązek obywatelski i patriotyczny. Dla porównania, podczas ostatniej Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, w Łodzi do puszek zbierało około 1200 wolontariuszy – no, ale tu akcję wspierały także, nie znane 100 lata temu, radio, telewizja i Internet, a sama Łódź liczyła dwa razy mniej mieszkańców i była bez porównania biedniejsza.

Tomasz Walkiewicz



JEŃCY WOJENNI i ROBOTNICY,

powracający z NIEMIEC, AUSTRJI i ROSJI,

przechodzący lub przejeżdżający przez miasto Łódź, zgłaszać sie powinni do

„DOMU dla UCHODŹCÓW“

przy ulicy MILSZA № 51

gdzie otrzymają chwilową opiekę i posiłek.

Kancelarja „DOMU DLA UCHODŹCÓW“ udzielać będzie wszelkich potrzebnych informacji oraz ułatwiać dalszą podróż.

MAGISTRAT m. ŁODZI

Opuszczeni – poniewierka polskiej

Wojna jest przekleństwem dla każdego dotkniętego nią zakątka ziemi i dla każdego jego mieszkańca. Ta smutna prawda ujawniła się szczególnie okrutnie podczas I wojny światowej, pierwszej także jeżeli chodzi o skalę działań wojennych oraz stopień, w jakim dotknęła ludność cywilną. Zło wojny dotykało już nie tylko walczących bezpośrednio w okopach, ale także ogromne masy spokojnych, mieszkających dziesiątki a nawet setki kilometrów poza linią frontu. Jednym z aspektów I wojny światowej była wieloletnia poniewierka milionów istnień ludzkich, wyrwanych na różne sposoby ze swych domostw: zmuszonych do ucieczki z terenów walk, przymusowo wysiedlonych, internowanych, na koniec powracających do zrujnowanych i zrabowanych domostw.

Różne były przyczyny, dla których ludzie opuszczali swe domy. W pierwszym rzędzie byli to uciekinierzy z terenów objętych walką albo walką zagrożonych, np. z Kalisza w Królestwie Polskim, z Olsztyna w Prusach, z Przemyśla i Lwowa w Galicji. Ten „naturalny" ruch ludności, obserwowany podczas każdej z wojen, miał charakter całkowicie spontaniczny, wywołany był „stugębną" plotką: przed Prusakiem wbijającym dzieci na bagnety lub Kozakiem – gwałcicielem. Zachowanie tych uciekinierów było dwojakie: jedni zatrzymywali się gdzieś daleko w głębi kraju, w Hanowerze, Dortmundzie, inni w Moskwie i Petersburgu lub w Wiedniu i Pradze; drudzy szukali schronienia w możliwie najbliższej okolicy – w sąsiednich lasach lub wioskach, licząc na szybki powrót do domu, zaraz po tym jak nawała wojenna się przetoczy (pamiętajmy wojna według powszechnej opinii miała zakończyć się jeszcze w 1914 roku). Skala spontanicznych ucieczek na terenie Prus Wschodnich jest szacowana na około 800 tys. osób. Niemieckie władze państwowe i samorządowe uruchomiły akcję pomocową dla uciekinierów. Podobnie było na terenie Imperium Rosyjskiego, w którym zorganizowano zbiórki na rzecz uciekinierów. Dla wzmocnienia efektu głośno przypominano fakt zbombardowania i spalenia na początku sierpnia 1914 roku przygranicznego, całkowicie bezbronnego Kalisza, rozpaczając nad „bestialstwem pruskiego żołdactwa" (spalenie Kalisza miało miejsce miesiąc przed zniszczeniem katedry w Reims we Francji, jednakże zbombardowanie właśnie tego zabytku stało się dla całego świata symbolem pruskiego barbarzyństwa). Z terenów Galicji i Bukowiny uciekło przed działaniami wojennymi nawet do 1,3 mln osób, w większości Żydów bojących się nie tyle działań wojennych, co pogromów ze strony Kozaków. Bochnię, Brzesko, Grybów opuściło w panice 70–80% ludności, w tym wszyscy Żydzi. Część uciekinierów zdołała po-



Obwieszczenie.

C. k. Minister spraw wewnętrznych poczynił starania, ażeby mieszkańcy miasta Przemyśla i wsi okolicznych do tutejszej twierdzy należących, którzy wskutek zarządzenia tutejszej c. i k. Komendy twierdzy muszą się stąd wydalić, znaleźli pomieszczenie i odpowiednie zajęcie na Morawach w następujących powiatach a to:

w Przerowie (Prerau) dla . . . 1100 osób
w Prościejowie (Prosnitz) dla . . 1000 osób
w Ołomuńcu (Olmütz) dla . . . 1600 osób
w Węgierskiem Hradyszczu (Ungar. Hradisch) dla . 1000 osób
w Wyszkowie (Wischau) dla . . 1200 osób
nadto w Mikułowie (Nikolsburg.)

Wszystkie osoby, które muszą Przemyśl względnie okolice Przemyśla opuścić, a którym nie wyznaczono dotąd innego miejsca przeznaczenia, mają się udać do jednej z powyż wymienionych miejscowości, a mianowicie:

ludność polska do Ołomuńca (Olmütz) i Wyszkowa (Wischau)
ludność ruska do Mikułowa (Nikolsburg)
ludność izraelicka do Prościejowa (Prossnitz) i Węgierskiego Hradyszcza (Ungar. Hradisch.)

Czas odjazdu pociągów z tutejszego dworca od 7. września br. codziennie o godz. 6. rano i 10. przed południem, oraz o 2. i 6. po południu.

Pociągami o godzinie 6. rano i 10. przed południem ma odjeżdżać ludność ruska, pociągiem o godzinie 2. po południu ludność izraelicka, a pociągiem o godzinie 6. wieczór ludność polska.

Co do osób, które mimo wezwania dobrowolnie nie wyjadą, zastosuje c. i k. Wojskowość środki przymusowe z całą surowością.

Doradza się również, by, wszystkie inne osoby, których pobyt w Przemyślu względnie okolicy, nie jest koniecznym, — we własnym interesie twierdzę dobrowolnie opuściły.

Przemyśl 6. września 1914.

Z c. k. Starostwa.



Ogłoszenie.

Obecne stosunki wymagają **koniecznie** aby **jak największa** ilość ludności cywilnej **natychmiast** Przemyśl opuściła.

Wskutek bowiem wielkiego utrudnienia w dowozie żywności i wielkiego braku jej w mieście, zachodzi **obawa głodu,** zwłaszcza że Intendantura wojskowa ze względu na własne potrzeby nie będzie mogła **bezwarunkowo** ludności cywilnej dostarczyć żywności.

Wobec polecenia Komendy Twierdzy wzywa się zatem ludność cywilną — **o ile pobyt jej w Przemyślu nie jest konieczny** — aby **natychmiast** Przemyśl opuściła, przyczem zawiadamia się, że Komenda Twierdzy wydała już zarządzenia co do **przymusowego wydalenia** zbędnej tutejszej ludności.

Muszą jednak w Przemyślu zostać profesyoniści oraz restauratorowie i kawiarze, prowadzący obecnie swój przemysł.

Ludność odwiezioną zostanie do Moraw, gdzie znajdzie zajęcie i utrzymanie.

Tam też wypłacane będą zasiłki rodzinom powołanych do wojska.

Pierwszy pociąg odchodzi z głównego dworca dzisiaj t. j. we wtorek o 4 godz. po południu, a następne pociągi odchodzić będą w miarę potrzeby.

Ostatni pociąg ewakuacyjny odjedzie jutro o g. 4 po poł.

Przemyśl, dnia 3. listopada 1914.

Z c. k. Starostwa.

ludności cywilnej podczas Wielkiej Wojny

wrócić do domów, jednakże latem 1915 roku w Przedlitawii nadal zasiłki pobierało ok. 500 tys. osób w tym 170 tys. Polaków. Interesującym faktem jest to, że z pomocą pospieszyli im także Polacy z zaboru pruskiego. Szeroką akcję zbierania pieniędzy i darów zorganizowała m.in. Rada Narodowa w Poznaniu.

Z innych przyczyn zagrożone rejony opuszczali wszelkiego stopnia urzędnicy, bankowcy, kolejarze, nauczyciele, policjanci, strażnicy, celnicy, pocztowcy etc. ewakuowani przed nadchodzącym frontem wraz z własnymi instytucjami. Polecenie wyjazdu było podyktowane bardziej potrzebą zapewnienia dalszego sprawnego funkcjonowania instytucji niż troską o bezpieczeństwo ludzi. Z terenów Królestwa Polskiego wywożono także całe fabryki wraz z robotnikami. Ewakuacja była niemalże zawsze zaskoczeniem dla pozostających na miejscu obywateli, którzy w tym momencie czuli się porzucani przez państwo. Była także powodem drwin i wylewnego żalu po powrocie, o ile taki następował. W Prusach i Galicji, gdy zagrożenie już minęło, urzędnicy powracali, natomiast w Rosji instytucje funkcjonowały w centralnych guberniach praktycznie nieprzerwanie do wybuchu rewolucji lutowej. Na terenie Rosji znalazło się ok. 150 tys. osób należących do tej grupy.



Polska – uchodźcy. Niemiecka pocztówka.



Bieżeńcy. Zdjęcie z albumu Pułku Saljańskiego.



Odpoczynek bieżeńców z Włodawy, lipiec 1915 r.



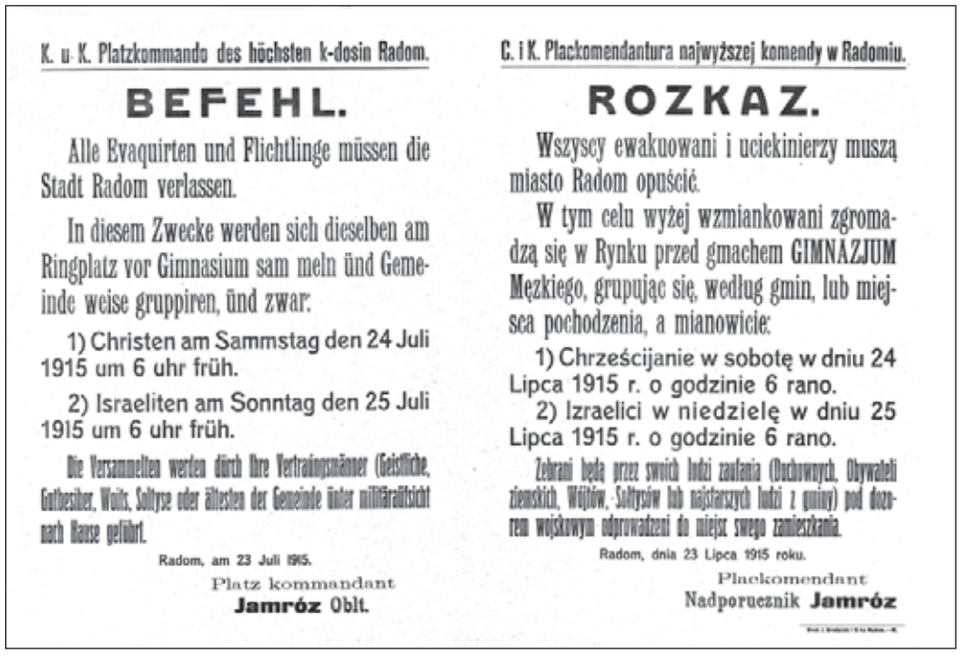
Z całym dobytkiem kobiety z dziećmi ukrywające się w lesie.



Bobrujsk, zbieranie osieroconych dzieci bieżeńców.



Bieżeńcy. Punkt żywnościowy w Aleksandrowie, czerwiec 1915 r.



K. u. K. Platzkommando des höchsten k-dosin Radom.

BEFEHL.

Alle Evaquirten und Flichtlinge müssen die Stadt Radom verlassen.

In diesem Zwecke werden sich dieselben am Ringplatz vor Gimnasium sam meln ünd Gemeinde weise gruppiren, ünd zwar:

1) Christen am Sammstag den 24 Juli 1915 um 6 uhr früh.

2) Israeliten am Sonntag den 25 Juli 1915 um 6 uhr früh.

Die Versammelten werden durch Ihre Vertrauenspersonen (Geistliche, Gutbesitzer, Wöits, Soltyse oder ältesten der Gemeinde unter militärischt nach Hause geführt.

Radom, am 23 Juli 1915.

Platz kommandant
Jamróz Obit.

C. i K. Plackomendantura najwyższej komendy w Radomiu.

ROZKAZ.

Wszyscy ewakuowani i uciekinierzy muszą miasto Radom opuścić.

W tym celu wyżej wzmiankowani zgromadzą się w Rynku przed gmachem GIMNAZJUM Męzkiego, grupując się, według gmin, lub miejsca pochodzenia, a mianowicie:

1) Chrześcijanie w sobotę w dniu 24 Lipca 1915 r. o godzinie 6 rano.

2) Izraelici w niedzielę w dniu 25 Lipca 1915 r. o godzinie 6 rano.

Zebrani będą przez swoich ludzi zaufania (Duchownych, Obywateli ziemskich, Wójtów, Sołtysów lub najstarszych ludzi z gminy) pod dozorem wojskowym odprowadzeni do miejsc swego zamieszkania.

Radom, dnia 23 Lipca 1915 roku.

Plackomendant
Nadporucznik **Jamróz**

Po klęsce armii rosyjskiej pod Gorlicami, w maju 1915 roku, mieszkańcy zachodnich guberni, w ogromnej większości chłopi, zmuszeni zostali do opuszczenia swych domostw i przymusowej wędrówki w głąb Rosji. W ramach prowadzonej podczas tzw. wielkiego odwrotu (od maja do października 1915 roku) taktyki spalonej ziemi większość opuszczonych domostw i zasiewów wojsko puściło z dymem. 3 czerwca 1915 r. dowódca Frontu Południowo-Zachodniego gen. Nikołaj Iwanow wydał rozkaz ewakuowania z należącej do Austro-Węgier Galicji chłopów galicyjskich w wieku poborowym. Było to więc faktycznie uprowadzenie ludności wrogiego państwa. Równocześnie wydano polecenie całkowitego zniszczenia przyszłych plonów, wywozu zapasów żywności oraz ewakuacji zwierząt domowych (koni, bydła rogatego i owiec). Decyzje te sztab wodza naczelnego rozszerzył na Front Północno-Zachodni (obszar Królestwa Polskiego, Białostocczyzna, ziemie litewsko-białoruskie). 26 czerwca 1915 r. szef sztabu, gen. Nikołaj Januszkiewicz wydał następujący rozkaz: „W trakcie cofania się zawczasu... niszczyć zasiewy kosząc je lub w inny sposób; mężczyzn, oprócz Żydów, w wieku poborowym usuwać na zaplecze, by nie pozostawić ich w rękach przeciwników; wszystkie zapasy ziarna i paszy, bydło i konie obowiązkowo wywozić".

Ewakuacja ludności Królestwa Polskiego (front północno-zachodni) przybrała charakter totalny. W Imperium Rosyjskim była to najliczniejsza i najbardziej tragiczna grupa - *bieżeńcy.* Ludność bez różnicy płci, wieku, narodowości została zmuszona do natychmiastowego opuszczenia swoich siedzib, które ulegały przy tym całkowitemu zniszczeniu.

Mimo istniejących planów ewakuacji, wobec nagłego zagrożenia władze ograniczyły się praktycznie do jednego, tj. do wyznaczenia kierunku marszu, nie zapewniając żadnej żywności, medykamentów, opału, noclegów, dosłownie niczego. Ponownie uciekać na wschód (tym razem przymusowo) musieli także mieszkańcy guberni kaliskiej i piotrkowskiej, którzy w roku 1914 zatrzymali się na wschodnich terenach Królestwa Polskiego, często zajmując wsie opróżnione z niemieckich kolonistów. Ci ostatni jeszcze na początku wojny jako element politycznie niepewny wywiezieni zostali przez władze carskie w głąb Imperium Romanowów. Głównodowodzący armią rosyjską wielki książę Mikołaj Mikołajewicz wydał wprawdzie rozkaz zniszczenia tylko tego „co, jest niezbędne z punktu wymagań wojennych, zarządził przy tem, że przy niszczeniu należy spisywać akty, i że nie cała ludność powinna być ewakuowana, należy tylko mężczyzn w wieku od 18-tu do 45-ciu lat powoływać do pracy przy organizowaniu aprowizacji na tyłach armii". W powiecie janowskim naczelnik powiatu zakomunikował wójtom rozkaz naczelnika zaopatrywania frontu generała Mawrina, aby *bydło wypędzić razem z ludnością* (widać bydło było ważniejsze strategicznie skoro wymieniono je jako pierwsze). Podano także wskazówki jak niszczyć zasiewy. Zboże płonęło na polach, niebo zasłaniał czarny dym.

Rosyjskie gazety opisują tragiczny los bieżeńców. Piszą o rozdzielonych rodzinach, zrozpaczonych matkach, zagubionych dzieciach. Konstantego Paustowskiego wybuch wojny zmusił do przerwania studiów na Uniwersytecie Moskiewskim. Służył w armii jako sanitariusz. Po latach będzie wspominał ten okrutny czas: „Koło Brześcia przygarnęliśmy dwoje dzieci, które straciły matkę. Stały na skraju drogi, przytulone do siebie – mały chłopczyk w podartym gimnazjalnym szynelu i chuda dziewczynka, może dwunastoletnia. Chłopiec płakał i nasuwał na oczy daszek czapki, żeby ukryć łzy. Dziewczynka mocno trzymała chłopca obiema rękami za ramiona. Posadziliśmy dzieci na furmance i przykryliśmy starymi szynelami. Padał gęsty dokuczliwy deszcz".

W Kobryniu sanitariusze rozlokowują się w synagodze i idą do kuchni polowej wydającej jedzenie bieżeńcom. Przygarnięty chłopiec drepcze za nimi. „Głodny tłum uciekinierów otacza kotły. Napór ciżby powstrzymywali żołnierze. Pochodnie chwiały się i oświetlały, rzekłbyś, tylko same oczy – wypukłe, szklane oczy ludzi, nic niewidzące oprócz otwartych dymiących kotłów. Tłum tutaj był jeszcze większy niż w Wiśnicy. – Pu-u-u-ść – krzyknął ktoś w tłumie. Ciżba gwałtownie ruszyła z miejsca. Oderwała chłopca od Społocha. Chłopiec potknął się i upadł pod nogi setek ludzi, którzy pchali się do kotłów. Nie zdążył nawet krzyknąć. Ja i Społoch rzuciliśmy się ku chłopcu, ale tłum nas odepchnął. Spazm ścisnął mnie za gardło. Wyrwałem z pochwy rewolwer i wystrzeliłem cały magazynek w powietrze. Tłum się rozstąpił.

Chłopiec leżał w błocie. Łza spływała jeszcze po jego bladym, martwym policzku. Wzięliśmy go za ręce i zanieśliśmy do synagogi. Dziewczynka zobaczyła go i wstała. Drżała tak mocno, że słychać było, jak stukają jej zęby.

– Mamo! – powiedziała cicho i zaczęła cofać się do drzwi. – Mamo moja – krzyknęła i wybiegła na ulicę. Turkotały wozy taboru. – Mamo! – z rozpaczą wołała za oknami dziewczynka.

Staliśmy w osłupieniu, dopóki Groński nie zawołał:

– Zawróćcie ją! Prędzej, do stu diabłów!...".

Na próżno. Dziewczynka zmieszała się z tłumem. Nie odnaleźli jej.

Cofnięcie nakazu ewakuacji przez wielkiego księcia okazało się w wojennym zamęcie spóźnione i mało skuteczne. Gigantyczna masa ok. – 4 mln osób (w tym ok. 700 tys. Polaków), którym nakazano opuszczenie własnych domostw, także posługując się rozpowszechnianiem złowrogich wieści o tym, jak to *Prusak będzie babom cycki obcinał* – ruszyła w głąb Rosji, ogołacając tereny, przez które przechodziła jak tsunami. Masowy odpływ ludności na Wschód stał się problemem także dla nowych władz ustanowionych przez okupantów. Potężne areały ziemi leżały odłogiem, podczas gdy ludność cywilna i wojsko doświadczały głodu. Doraźne próby zmuszania ludności żydowskiej do pracy na roli przyniosły całkowite fiasko. Bieżeńcy po wielomiesięcznej wędrówce naznaczonej głodem, chłodem, chorobami i śmiercią trafiali do centralnych guberni Rosji, a także nad Don, a nawet za Ural, na Syberię i na północny Kaukaz. Grupa ta pozostawała najdłużej na uchodźctwie, poniosła największe straty materialne i osobowe, które zaczęły się praktycznie już od wyruszenia w głąb Rosji.

Pierwsze instytucje i działania zmierzające do zapewnienia opieki i wsparcia ludności cywilnej dotkniętej wojną pojawiły się jeszcze w 1914 roku. Powstałe na terenie Królestwa Polskiego, za zgodą władz rosyjskich, lokalne Komitety Obywatelskie rozpoczęły organizowanie zbiórek i poszukiwania lokali dla uciekinierów z terenów frontowych. Część uciekinierów zatrzymała się aż w Moskwie i Petersburgu, stając się źródłem najstraszniejszych opowieści o pruskim bestialstwie i inicjując pojawienie się w tamtejszej prasie licznych artykułów nawołujących do niesienia pomocy poszkodowanym. Równolegle rozpoczął także działalność tzw. Komitet Tatianowski, wielokrotnie wspierając finansowo nie



Bieżeńcy. Punkt żywosciowy przy stacji Lachowicze.



26 000 porcji herbaty dziennie wydawano na stacja Lachowicze.



Naprzeciw etapowej herbaciarni wyrósł cmentarz.



Bieżeńcy, jesień 1915 roku.



Wygnańcy z Galicji.



Prowizoryczne szałasy bieżeńców przy stacji Berezyna, jesień 1915 roku.

tylko polskie komitety obywatelskie, ale także np. Kościół ewangelicki w Królestwie Polskim. Po drugiej stronie frontu opiekę nad uchodźcami z objętych wojenną pożogą Prus Wschodnich roztoczyły lokalne władze i samorządy oraz liczne stowarzyszenia. Podobnie sytuacja wyglądała w Austro-Węgrach, gdzie poza instytucjonalną pomocą państwa rozwinął się szczególnie aktywny ruch społeczny, owocujący zawiązywaniem licznych komitetów pomocowych.

Prawdziwym wyzwaniem okazało się roztoczenie opieki nad bieżeńcami, którzy ogromną masą ruszyli w drugiej połowie 1915 roku na Wschód. Tysiące bieżeńców, niczym szarańcza, ogołacały przydrożne okolice. Nie było czym karmić koni, zwierzęta słabły. Jeśli padły to oznacza koniec podróży, więc paśli swoje zwierzęta na trawie i zbożu, zabierali snopy i siano ze stogów. Kopali ziemniaki. Wycinali drzewa z lasów, na ogniska łamali przydrożne płoty. Gazety w Rosji pisały o demoralizacji bieżeńców, o braku szacunku dla cudzej własności. Donosiły, że nastroje w miejscowościach przy ich trasach są tak napięte, że władze obawiają się wybuchu zamieszek. W miastach też ludzie patrzyli na bieżeńców z niepokojem, gdyż tarasowali ulice, ich konie zostawiały sterty odchodów, a oni sami załatwiali potrzeby fizjologiczne, gdzie popadnie; toalet po drodze przecież brakowało. To groziło epidemią. I tak wśród idących ludzi już szerzyły się cholera i tyfus. Wielu z nich zatrzymywało się pod miastami, rozbijali obozowiska i koczowali. Wokół dwudziestotysięcznego Rosławia koczowało osiemdziesiąt tysięcy bieżeńców. Wokół niewiele większego Bobrujska – ponad sto tysięcy. Koło zaledwie dziesięciotysięcznego Kobrynia – dwieście tysięcy. Przez niewiele większy Rohaczów w ciągu kilku miesięcy przeszło siedemset tysięcy osób. Skala bieżeństwa przytłaczała miejscowych. Na falę uchodzców nie były przygotowane ani władze cywilne, ani wojskowe. W tej sytuacji polski Centralny Komitet Obywatelski (CKO) stanął początkowo przed koniecznością zapewnienia doraźnej pomocy żywnościowej, sanitarnej, pieniężnej i mieszkaniowej ludności ewakuowanej ze strefy przyfrontowej w głąb Rosji. CKO wysłał do większych miast na szlaku ewakuacji bieżeńców własnych instruktorów z zadaniem organizowania uciekinierów w tzw. partie, dzięki którym mogli się aktywizować, organizować samopomoc, załatwiać pracę. Już od połowy lipca 1915 roku bieżeńcom towarzyszyły lotne oddziały sanitarno-żywnościowe, którymi kierował Stanisław Wojciechowski. „Moim obowiązkiem – wspominał – było zaopatrywać oddziały w produkty i pieniądze, które otrzymałem w Warszawie w przeddzień wkroczenia do niej patroli niemieckich". W ten sposób CKO objął opieką ponad 330 tys. Polaków osiadłych w 5 tysiącach miejscowości.

Na terenie Rosji rozwinęła się szeroka sieć polskich organizacji, których celem stało się stworzenie godziwych warunków pobytu (organizacje te skupiły się w Radzie Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny). Organizowano szkoły, ochronki, warsztaty nauki zawodu, starano się znaleźć miejsca zatrudnienia dla przesiedleńców. Środki na ten cel próbowano pozyskiwać, w pierwszej kolejności organizując zbiórki społeczne, loterie, aukcje oraz odwołując się do sumienia i kieszeni przemysłowców polskich w Rosji. Oferowana pomoc skierowana była przede wszystkim do Polaków, stałych mieszkańców Królestwa Polskiego oraz guberni chełmskiej i grodzieńskiej. Białorusini i Ukraińcy w ogromnej większości musieli szukać pomocy ze strony Kościoła prawosławnego lub państwa rosyjskiego. Bieżeńcy, osiadli na terenie Rosji, próbowali organizować życie na nowo włączając się w prace rolne, próbując znaleźć zatrudnienie w pobliskich miasteczkach i w jak najmniejszym stopniu być uciążliwymi dla nowych sąsiadów. Chaos, jaki nastał w Rosji po rewolucji październikowej drastycznie, zburzył ich spokój. Zaprzestano wypłacania tzw. pajek – skromnych zasiłków. Nagła drożyzna, brak żywności, powrót epidemii, ciągłe pochody walczących ze sobą *białych i czerwonych*, nadzieje łączone z odradzającym się państwem polskim – to wszystko przyśpieszyło u wielu decyzję powrotu w rodzinne strony.

Pierwsze działania zmierzające do zorganizowania powrotu Polaków w ojczyste strony podjęto jeszcze na początku 1917 roku na terenie Niemiec. Miało to związek z tzw. paktem 2 cesarzy, czyli proklamacją z 5 listopada 1916 roku zapowiadającą utworzenie na okupowanych ziemiach zaboru rosyjskiego państwa polskiego. Funkcjonujące w Niemczech polskie organizacje, głównie Komitet Polityczny w Berlinie i Komitet Westfalski, podjęły rozmowy na temat powrotu na tereny okupowane polskich robotników sezonowych (będących *de facto* oby-



Kolumna zaopatrzenia przejeżdża przez całkowicie zniszczoną wioskę.



Uchodzcy z tym, co zostało po ich domu splądrowanym przez Kozaków.



Kartka pocztowa.

watelami rosyjskimi), zatrzymanych na terenie Niemiec w roku 1914. Pomysł ten nie przyniósł większych rezultatów. Powszechny brak rąk do pracy blokował zgodę na powroty większej liczby robotników. Wracać mogli tylko ciężko chorzy i niezdolni do pracy.

Pierwsze udane próby powrotu do kraju przeprowadzane były jeszcze w roku 1917 za pośrednictwem Gabinetu Cywilnego Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego, który pośredniczył w uzyskaniu zgody niemieckich władz okupacyjnych. Niestety, pomoc Gabinetu ograniczała się przede wszystkim do ludzi majętnych lub ważnych osobistości.

W lutym 1918 roku nastąpiła nagła „dzika" repatriacja z terenów Rosji, po tym jak wojska niemieckie weszły 250 km w głąb kraju, „uwalniając" ok. 285 tys. osiadłych tam bieżeńców. Ci – korzystając z faktu, że znaleźli się nagle po drugiej stronie frontu – ruszyliw drogę powrotną do domu.

Pierwsza zorganizowana repatriacja z Rosji rozpoczęła się już w marcu 1918 roku, krótko po traktacie brzeskim. Na podstawie podpisanego przez Naczelnika Wydziału Reemigracji w MSW układu z okupacyjnymi władzami niemieckimi i komendą Ober Ost utworzono kilkanaście ekspozytur w Rosji i na Ukrainie. Ze strony rosyjskiej sprawy miało koordynować Centralne Kolegium do Spraw Jeńców i Wygnańców (Центральная коллегия попечения о пленных и беженцах – Центрпленбеж) utworzone, w kwietniu 1918 roku. W praktyce decyzje zapadały jednak w Sztabie Generalnym i Kwaterze Głównej Armii Czerwonej. W pierwszej kolejności doprowadzono do powrotu na tereny Królestwa Polskiego jego mieszkańców narodowości niemieckiej, internowanych przez władze rosyjskie na początku wojny. Pierwsze transporty powracających dotarły już na początku maja 1918 roku. Część osób otrzymała nawet ze strony administracji niemieckiej niewielkie zapomogi lub nawet środki na zakup nowego gospodarstwa. Równolegle Wydział Reemigracji w MSW pośredniczył w uzyskaniu zgody niemieckich władz okupacyjnych na powrót pojedynczych polskich rodzin. Niektórzy, co bardziej niecierpliwi, starali się wrócić do kraju okrężną, ale dającą większe bezpieczeństwo drogą przez Finlandię i Szwecję. Akcja była adresowana przede wszystkim do inteligencji polskiej, wymagano bowiem złożenia na piśmie stosownego podania wraz z wypełnionym kwestionariuszem osobowym. Wymagania, teraz wydające się niczym specjalnym, były w roku 1918 dużą barierą dla w większości niepiśmiennych polskich chłopów, a stanowiły praktycznie szklaną ścianę dla ludności białoruskiej i ukraińskiej, nawet jeżeli ta posługiwała się pismem.

Wobec spodziewanej fali powrotów Rada Regencyjna delegowała na tereny Rosji, Finlandii i Ukrainy swoich wysłanników w celu rozpoznania skali zjawiska i wejścia w kontakt z tamtejszymi polskimi organizacjami przygotowującymi powroty. Delegat na Ukrainę komunikował w marcu 1918 roku, że na Ukrainie czeka na powrót do kraju prawie 160 tys. osób, z czego ¾ stanowili Polacy.

Już na przełomie 1917/1918 roku polskie organizacje w Rosji powołały Polską Komisję Przewozową (tzw. Polżel), a na Ukrainie Polską Komisję Kolejową na Rusi (tzw. Kipożel) celem zorganizowania powrotu Polaków. Komisje korzystały przy organizowaniu przyszłych transportów z wiedzy i doświadczenia polskich kolejarzy ewakuowanych w 1914 i 1915 na Wschód. Kolejarze zorganizowali m.in.: Stowarzyszenie Polaków Kolejarzy na Rusi, Związek Ewakuowanych Kolejarzy Polaków. Paradoksalnie powracali oni do kraju jako ostatni.

Przygotowano pisemne zasady formowania transportów, określono taryfę przewozową, ustalono trasy przejazdu pociągów, wytypowano składy pociągów, ustalono pierwsze listy transportowe – wszystko po to, aby uniknąć „katastrofy z roku 1915".

Ewakuowany musiał przedstawić świadectwo szczepienia ospy, zaświadczenie lekarskie, opłacić 30–35 marek za przejazd (dzieci do lat 14 połowę); bogatsi obywatele mieli płacić 80 marek, ubodzy mieli uzyskać ulgę lub wolny przejazd. Najtrudniej, szczególnie niepiśmiennym włościanom, było zdobyć zaświadczenie o zamieszkaniu przed ucieczką na terenach należących do odrodzonej Polski. „Potrzebne było zaświadczenie, tak zwana *sprawka*. Na stacji w Iziumie takie zaświadczenie wydawał naczelnik stacji, Był on dobrym znajomym ojca i wkrótce udało się nam zdobyć potrzebny dokument… *Obywatel Polski wraca do Ojczyzny wraz z rodziną*". Z braku dokumentów



Żydzi uciekający przed linią frontu 1915 r.



Taktyka spalonej ziemi, palące się łany zboża. Front wschodni 1915 r.



Taktyka spalonej ziemi, podpalona wieś. Front wschodni 1915 r.



Na terenie Rosji rozwinęła się szeroka sieć polskich organizacji. Tworzyły one punkty żywnościowe i herbaciarnie, otwierały ambulatoria, budowały baraki szpitalne, urządzały łaźnie. Zbierały osierocone albo zagubione dzieci i wysyłają do sierocińców. A potem zajmowały się repatriacją z Rosji. Opracowywały zasady formowania transportów, określały taryfy przewozowe, ustalały trasy przejazdu pociągów.

przed odpowiednią polską władzą (konsulatem, poselstwem lub komitetem) należało zeznać, jaki był w pobliżu majątek, opisać jego wygląd, ustalić, kto był jego właścicielem. Koszty powrotu Polaków do kraju wyliczono na łączną sumę aż 100 mln rubli. Wydatki te częściowo pokrywane były ze składek ludności polskiej, a częściowo przez rząd rosyjski.

Powroty z ogarniętej wojną domową Rosji często musiały odbywać się okrężną drogą morską: z Odessy przez Konstantynopol do Marsylii lub Nicei. Z Francji droga wiodła albo statkami do Szczecina i Gdańska, albo koleją przez Niemcy.

Po odzyskaniu niepodległości repatriacją kierował Państwowy Urząd do spraw powrotu jeńców, uchodźców i robotników utworzony już 30 grudnia 1918 roku. Największym wyzwaniem było sprostanie zadaniu przyjęcia setek tysięcy powracających z bolszewickiej Rosji. „Wobec tego, że repatrianci, powracający z Rosji […] składają się z ludzi wycieńczonych głodem i chorobami, zawszonych, odzianych często w łachmany, często chorych na choroby zakaźne, w celu dania im należytej opieki i pomocy, jak również w celu niedopuszczenia w głąb kraju epidemii […], utworzone zostały tak zwane etapy JUR'a rozmieszczone zarówno w miejscowościach pogranicznych (etapy wejściowe) jak wewnątrz kraju, przeważnie w najbliższych […] miejscowościach kolejowych [węzłach]". W szczytowym momencie, w sierpniu 1920 roku, działało łącznie 41 etapów wejściowych i wewnętrznych, utworzonych przy granicach wschodniej i zachodniej. W każdym zorganizowane były tzw. baraki przedkąpielowe, łaźnia, komora dezynfekcji i dezynsekcji, baraki mieszkalne, ambulatorium, szpital, apteka oraz magazyny (żywnościowy i odzieżowy). Nowo przybyli przynajmniej teoretycznie mieli być poddani parodniowej kwarantannie oraz odbyć kąpiel, przejść odwszenie, szczepienie ochronne, ewentualnie podleczyć się w szpitalu. Jednakże przekraczający wszelkie rachuby masowy napływ repatriantów sprawił, że etapy sprawowały swą funkcję często iluzorycznie, nie będąc w stanie „obsłużyć" tak wielkiej liczby ludności. Liczni powracający, szczególnie z Rosji, nie mogąc doczekać się przyjęcia do etapu, w obliczu totalnego wyniszczenia i zagrożenia śmiercią w obcym kraju, przechodzili przez tzw. zieloną granicę i starali się bocznymi drogami dotrzeć do miejsca zamieszkania. Bywały także wypadki płacenia przez niecierpliwców łapówek obsłudze etapów za wystawienie kwitu o odbytym szczepieniu i przejściu kwarantanny, który dawał możliwość zwolnienia z etapu i jak najszybszego powrotu do domu. Po ogoleniu i przepuszczeniu przez komorę dezynfekcyjną puszczano ich bez odbycia pełnej kwarantanny. Chorzy, spiesząc się zobaczyć niewidziane od dawna domostwa, roznosili po kraju tyfus, czerwonkę i cholerę. Oficjalnie w punktach etapowych do końca 1921 roku zarejestrowało się ponad 3,7 mln osób. Liczba ta jest kilkukrotnie wyższa od faktycznej liczby powracających z uwagi na fakt, że niektóre osoby przechodziły przez kilka etapów i w każdym były rejestrowane. Z drugiej strony, znane są przykłady całkowitego omijania etapów i zmierzania prosto do rodzinnych miejscowości, co odbywało się ze szkodą dla powracających, jak też dla bezpieczeństwa sanitarnego kraju.

Trochę lepiej ale sytuacja wyglądała na granicy (przedwojennej) z Niemcami. Tutaj punkty etapowe zorganizowano także w pobliżu węzłów kolejowych w Herbach, Kaliszu, Aleksandrowie, Mławie. Pierwszy transport polskich repatriantów, odprawiony 30 stycznia z Mławy, przybył do Warszawy z Panslau na Pomorzu. Liczył 2500 osób, w tym 650 dzieci (wysłanych siłą), jednakże bez mężczyzn w wieku 18–35 lat. Do kraju wrócili w wagonach bydlęcych i platformach przy 12 stopniowym mrozie, gdyż Niemcy zabrali ciepłą odzież pościel i koce. 36 dzieci zmarło w trakcie podróży.

Nie mały kłopot dla polskich władz sprawiała grupa niemająca żadnego bezpośredniego związku z przemieszczaniem ludności podczas wojny, będąca „beneficjentem" jej zakończenia i odbudowy państwowości polskiej. Należeli do niej pragnący powrotu do Polski m.in. przedwojenni emigranci zarobkowi z Niemiec, Francji i Belgii, którzy po przeszło 4 latach przebywania pod okupacją niemiecką także zapragnęli powrotu do kraju. Tymczasem w Polsce nie było dla nich pracy (przemysł został zdewastowany do tego stopnia, że zatrudnienie w roku 1919 stanowiło zaledwie 15% stanu z roku 1913, produkcja rolna na terenie byłego Królestwa Polskiego oscylowała w roku 1919 na poziomie ok. 40% tej z lat 1911–1913, a w dawnej Galicji było jeszcze gorzej – nie sięgała 30%.). Paradoksalnie polskie władze starały się zniechęcać ich do powrotu, znajdując pracę za granicą.

Szczęśliwy powrót finalnie częstokroć przynosił kolejne rozczarowanie, nie było bowiem do czego wracać. Zabudowania i majątek ruchomy albo zastały spalone w czasie działań wojennych, albo pozostawione bez gospodarza i rozkradzione, albo zajęte przez innych ludzi, czasem nawet przedwojennych sąsiadów. Bywało też tak, że cała nieruchomość została sprzedana nowym właścicielom przez władze występujące w roli kuratora nieobjętego spadku.

pz

Kazań – Polsce. *Plakat nawołuje do uczestnictwa w zbiórce zorganizowanej 29 listopada (starego stylu) 1914 roku. Mateczka Rosja pochyla się troskliwie nad rannym Polakiem (ukazanym obowiązkowo z sarmackim wąsem i z równie obowiązkową krakuską w ręku). W tle pożoga wojenna i uciekinierzy. Można się zżymać na nachalność propagandy, ale w guberniach rosyjskich odzew na apel o pomoc dla terenów Królestwa Polskiego dotkniętych walkami był naprawdę szeroki. Ciężkie położenie ludności na terenach objętych walkami wzbudziło współczucie Rosjan i rosyjskiej Polonii. Nie mały w tym udział miały rosyjskie gazety licznie opisując dramatyczne wydarzenia na terenie Królestwa Polskiego. Zgłoszony zamiar udzielenia wsparcia poszkodowanym zyskał powszechną aprobatę rosyjskiej opinii publicznej. Pomoc miała przyjąć postać zbiórki pieniędzy i darów. Pomysłodawcą akcji Piotrogród – Polsce był wybitny działacz społeczny i publicysta książę Eugeniusz Trubecki (jego apel publikowaliśmy w jednym z pierwszych Bitewników). Inicjatywę ze strony polskiej podjęło Polskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny, a ze strony rosyjskiej – Kółko Pomocy Obrońcom Ojczyzny [Кружок помощи защитникам родины]. Idea zyskała aprobatę przewodniczącego stołecznej rady miejskiej hrabiego Iwana I. Tołstoja i samej izby. Ustalono, że trzydniowa kwesta odbędzie się w dniach 11–13 października (starego stylu) 1914 r. Informację o niej opublikowały najważniejsze rosyjskie gazety, „Dziennik Piotrogradzki" opublikował odezwę: Obywatele Piotrogradu! W godzinę walki krwawej pojednały się wreszcie dwa narody bratnie: Rosjanie i Polacy. Na polach bitwy przelewają oni krew za wspólną, jedyną Ojczyznę – Rosję. Pozostali w domach cywile, zrujnowani, głodni, na wpół nadzy, zrabowani przez okrutnego wroga, z radością spotykają rosyjskiego żołnierza oswobodziciela, przynoszą mu wszystko, co posiadają, okazują mu miłość braterską. Miłością za miłość odwdzięczają się im nasi żołnierze i oficerowie, przygarniają zziębniętych do swoich ognisk, karmią chlebem zgłodniałych, okrywają nagich odzieżą. Wielka jest nędza zrabowanej i zrujnowanej Polski, wielka ofiara! Dziesiątki tysięcy kobiet, dzieci, starców – uciekinierów marznie i mrze z głodu. Polska dała im co mogła, nie wyróżniając Rosjanina od Polaka, Litwina od Żyda. Kolej przyszła na nas – Rosjan. Złóżmy wspólnie nasz datek, jako oznakę wielkiej miłości, oznakę odradzającego się braterstwa! Ubierzmy, okryjmy, nakarmimy cierpiących! Dajmy dowód, obywatele Piotrogradu, że nie wygasł w nas płomień miłości i współczucia, że rozumiemy swój obowiązek wobec tych, którzy pierwsi dźwignęli na sobie ciężar najścia okrutnego i nielitościwego wroga! Niech ręka dającego będzie szczodrą! Miłość za miłość, ofiara za ofiarę!*

W organizacji zbiórki i pakowaniu rzeczy brały udział wszystkie polskie stowarzyszenia Piotrogrodu. Codziennie od 9 rano do 9 wieczorem w 150 punktach dyżurowały setki wolontariuszy w różnym wieku i ze wszystkich grup społecznych.

Dary były rozmaite: poza pieniędzmi i kosztownościami ofiarowywano ubrania, bieliznę, obuwie, produkty spożywcze. Rzeczy sortowano i wkładano do jednolitych paczek, które przekazywano na Dworzec Warszawski, gdzie oczekiwały na transport do Królestwa Polskiego. Decyzją naczelnika Kolei Północno-Zachodnich Fiodora M. Wałujewa, organizatorom udostępniono bezpłatnie na potrzeby przewozu darów kilkadziesiąt wagonów towarowych.

Przekazanie daru odbyło się w odświętnej atmosferze. 11 listopada 1914 r. (n. st.) o godz. 16.53 do stacji Marki kolei obwodowej przyjechał skład towarowy 45 wagonów z zebranymi rzeczami o wartości przeszło pół miliona rubli. Pełne finansowe podsumowanie akcji „Piotrogród – Polsce" nastąpiło w grudniu 1914 r. i zostało obwieszczone w prasie, m.in. w „Dzienniku Pietrogradzkim" z 18 grudnia. Wyniki były imponujące. Według danych komisji rewizyjnej z list imiennych i książeczek zebrano 233 376 rubli i 11,5 kopiejki, ze skarbonek – 42 067 rubli i 5,5 kopiejki; drobne datki dały łącznie 155 rubli i 75 kopiejek. Razem: 278 tysięcy rubli i 92 kopiejki.



Michał Daszewski – fotograf amator

Latem 1975 roku pojawiły się na łódzkim rynku staroci zdjęcia wykonane w latach I wojny światowej przez Michała Daszewskiego. Udało mi się kupić 96 sztuk, ale jest możliwe, że inni szczęśliwcy także wzbogacili swoje zbiory. Te niewielkie, czarnobiałe zdjęcia formatu 11 × 8 cm mają w dolnej części krótkie opisy, często daty wydarzeń oraz kolejne numery negatywów (najwyższy, jaki udało mi się ustalić, to 2558). Na odwrocie, w dolnym prawym rogu autor przystawiał czarną lub czerwoną pieczątkę z imieniem i nazwiskiem – Michał Daszewski.

Nie był on zawodowym fotografem. Jako inżynier mechanik pełnił od 1907 roku zaszczytną funkcję dyrektora w jednym z największych łódzkich przedsiębiorstw bawełnianych Izraela Kalmanowicza Poznańskiego. Był wtedy najmłodszym dyrektorem w kraju, miał zaledwie 30 lat. Do 1912 roku mieszkał przy ul. Długiej 43 (dziś ul. Gdańska) w kamienicy należącej do właścicieli firmy, później przeniósł się na ul. Spacerową 40 (dziś al. Kościuszki), do kamienicy Ignacego Poznańskiego. Zajmował tu duże mieszkanie pod numerem 5. Po 1917 roku przeprowadził się do mniejszego przy Spacerowej 32.

Choć Michał Daszewski mieszkał w Łodzi krótko, to czuł się tu doskonale, był cenionym pracownikiem wysokiego szczebla, chętnie podejmował się działań społecznych, miał artystyczne upodobania, które zogniskował na robieniu fotografii. Wybuch wojny zastał go na Mazurach (wakacje?), wykonał tam kilkanaście zdjęć różnych obiektów, wiele z pozującymi żołnierzami niemieckimi. Po powrocie do Łodzi stał się rasowym reportażystą, nikt przed nim i po nim nie wykonał w krótkim czasie tylu zdjęć. Uzbrojony w nieodłączny aparat fotograficzny (mieszkowy Kodak) przemierzał pola walki, rejestrował pobojowiska, cmentarze i życie udręczonych mieszkańców okupowanego kraju. Świadomie przyjął rolę dokumentalisty, w jego zbiorze znajdujemy także kopie przeróżnych dokumentów życia społecznego pod niemiecką okupacją. Fotografował głównie Łódź, ale uwiecznił na kliszach także Częstochowę, Koło, Inowłódz, Łowicz, Sochaczew, Kalisz i Warszawę. Nie wiemy, kto z niemieckiego sztabu udzielił mu wsparcia i zaopatrzył w przepustkę umożliwiającą poruszanie się po okupowanym kraju. Być może zaowocowały dawne kontakty i przyjaźnie zadzierzgnięte podczas studiów politechnicznych w Niemczech.

Podróżował najczęściej motocyklem, ale także dużym samochodem osobowym użyczonym przez miejskie władze w Łodzi (na masce auta uwiecznionego na zdjęciach widać czytelny napis Burg.Kom.Lodz).

Można powiązać te dobre relacje z okupacyjnymi władzami z działalnością w Komitecie Obywatelskim, a później wypełnianiem obowiązków rejestratora uwieczniającego na kliszach zniszczenia wojenne Łodzi i okolic. Dołączano je do opisów i szacunków strat wojennych. W teczkach przechowywanych w zbiorach APŁ znalazłem kilkanaście zdjęć z imienną pieczątką M. Daszewskiego – fotografa amatora.

Wolnego czasu miał sporo. Fabryka, w której pracował, została, podobnie jak inne, została obrabowana przez Niemców, maszyny zniszczono, produkcję w związku z tym przerwano. Daszewski odnalazł swoje miejsce w działaniach społecznych, od początku wojny związał się z Komitetem Obywatelskim powołanym przez światłych łodzian w celu niesienia różnorodnej pomocy mieszkańcom miasta. Pamiątkowa księga z nazwiskami członków komitetów obywatelskich Łodzi zawiera także nazwisko Daszewskiego, aktywnego w Komitecie Tanich i Bezpłatnych Kuchen przy Głównym Komitecie Obywatelskim (tu był sekretarzem zarządu) i w Sekcji Zbierania Ofiar (członek zarządu). Funkcje te wiązały się ze zdobytym wcześniej ogromnym zaufaniem społecznym, pomysłowością w pozyskiwaniu darów i ofiarodawców, a głównie z uczciwością i wielką wrażliwością na potrzeby innych.

Po rozwiązaniu komitetów obywatelskich Daszewski nie ustawał w pracach społecznych, wystarczy przekartkować łódzkie gazety z okresu pruskiej okupacji. Jego nazwisko jest w nich wielokrotnie wymieniane, zawsze w kontekście niesienia pomocy ubogim i głodnym. Szczególną aktywność wyzwalały w nim Wielkie Kwesty Krajowe „Ratujcie Dzieci". Ta wspaniała akcja polegała na zbieraniu pieniędzy do puszek oraz na organizowaniu różnorodnych biletowanych imprez (wystawy, prelekcje, zabawy, loterie, jarmarki itp.). Pomysłowy inżynier współorganizował wystawę amatorskich fotografii i przygotował prezentację slajdów. Jego mieszkanie na krótki czas zamieniło się w biuro, przyjmujące każdego dnia (między 14.00 a 15.00) prace fotografów. Tu też udzielał bliższych informacji o konkursie. Jurorami konkursowej wystawy byli łódzcy artyści i fotograficy. Daszewski pokazał na niej swoje nadmorskie pejzaże i zajął drugie miejsce. Prezentacje przeźroczy w kinie Odeon cieszyły się ogromnym powodzeniem, wystarczy zacytować krótką notkę z „Godziny Polskiej": „Szczególnym powodzeniem cieszyły



Przezrocza inż. Daszewskiego.

W sobotę, dnia 15 b. m., stosownie do zapowiedzi, odbył się w Tow. krajoznawczem pokaz przezroczy, które inż. Michał Daszewski w liczbie 190 przygotował z własnych zdjęć ilustrujących czasy wojny europejskiej na ziemiach polskich.

Oprócz wielu widoków Łodzi i jej najbliższych okolic zebrani oglądali widoki Częstochowy, Kalisza, Sochaczewa, Łowicza, Inowłodza i Warszawy, które prelegent uzupełniał wyczerpującymi komentarzami.

Pokaz trwał dwie godziny i dał możność tłumnie zebranej publiczności podziwiać skutki burzy wojennej w tych okolicach Polski, które z powodu wielce utrudnionej komunikacyi dla nie wielu stosunkowo były dostępne.

się demonstrowane w Odeonie zdjęcia inżyniera Daszewskiego z Łodzi i okolic, z okresu wojennego oraz z obchodu 3 maja. Głośne wybuchy zadowolenia, śmiechu, oklasków lub poważnego skupienia świadczyły o powodzeniu demonstrowanych przeźroczy, których przeszło 160 przesunęło się przed oczami widzów".

Podobne odczyty prezentował Daszewski w Polskim Towarzystwie Krajoznawczym, w Stowarzyszeniu Techników i w siedzibie komitetów obywatelskich. Po wystąpieniu 15 maja 1916 roku w Polskim Towarzystwie Krajoznawczym ukazała się w gazecie krótka recenzja:

Pisano o nim: „*Inżynier Daszewski niestrudzony biegł ze swym kodakiem po mieście, dokonywując lotnych zdjęć po ulicach. Na odpoczynek wpadał na wystawę zdjęć, gdzie również pełen humoru, dowcipkując i żartując, namawiał zwiedzających do fotografowania się, zwiększając w ten sposób rezultaty kwesty".*

Z karty meldunkowej odnalezionej w zbiorach Archiwum Państwowego w Łodzi wynika, że 19 lutego 1918 roku Daszewski opuścił Łódź i zamieszkał w Warszawie. Przypadkowe spotkanie z Klaudią Daszewską-Sajnóg, bratanicą Michała Daszewskiego, umożliwiło mi dotarcie do rodzinnych dokumentów. Wynika z nich, że Michał Daszewski urodził się 24.XI.1877 roku w rodzinnym majątku Brzumin koło Góry Kalwarii. Był najstarszym synem Michała Kajetana i Gabrieli Pobóg Pągowskiej. Wraz z młodszymi braćmi Janem i Tadeuszem pobierał nauki w łódzkiej szkole przemysłowej. Do tej samej szkoły uczęszczali synowie i wnukowie łódzkich fabrykantów, być może znajomość z nimi zaowocowała powierzeniem młodemu inżynierowi (studia w Kolonii i Arnstadt) odpowiedzialnej funkcji dyrektora dużego zakładu.



Pierwsza kwesta Ratujcie Dzieci odbyła się w dniach 11–18 czerwca 1916 roku. W ramach zbiórki zorganizowano dla mieszkańców Łodzi i okolic szereg atrakcji m.in. koncerty chóralne, przedstawienie teatralne wystawione w Teatrze Polskim, wystawę fotografii przygotowaną przez Michała Daszewskiego, ekspozycję dzieł sztuki w pałacu Heinzlów, zawody sportowe i zabawy dla dzieci w parku Helenowskim. Najważniejsi podczas kwesty byli jednak liczni kwestarze, wyłonieni przez łódzkie organizacje społeczne i dobroczynne, obdarowujący darczyńców pamiątkowymi znaczkami.



W Łodzi poznał i poślubił Augustynę Skwarc, w październiku 1914 roku urodził im się syn Michał Antoni (zmarł w 18.I.1957), w 1919 roku małżonkowie się rozwiedli. W 1921 roku zawarł kolejny związek z Heleną Celińską, zamieszkał w majątku Zabłocie koło Rawy Mazowieckiej, a później w Pęczkach k. Przasnysza. Niestety brak zdolności do prowadzenia gospodarstw przyniósł straty finansowe, a w efekcie sprzedaż majątku i przeprowadzkę do Warszawy. Pracował tu kierownik działu gospodarczo-finansowego ubezpieczalni społecznej. Wojnę i powstanie przeżył w Warszawie (żona zmarła we wrześniu 1944 roku na czerwonkę). Po 1945 roku zamieszkał w Sochaczewie, ożenił się i tu zmarł 22.8.1956 w wieku 79 lat.

Amatorska fotografia była jego pasją i codziennością. Efektem tej pasji jest ponad dwa tysiące zdjęć dokumentujących lata Wielkiej Wojny.

Ryszard Bonisławski



Zdemontowane działo niemieckie. XI 1914.



Zniszczony wiatrak w Serokach pod Sochaczewem. 1915.



Tłumy w niedzielę przed Grand Hotelem. IV 1915.



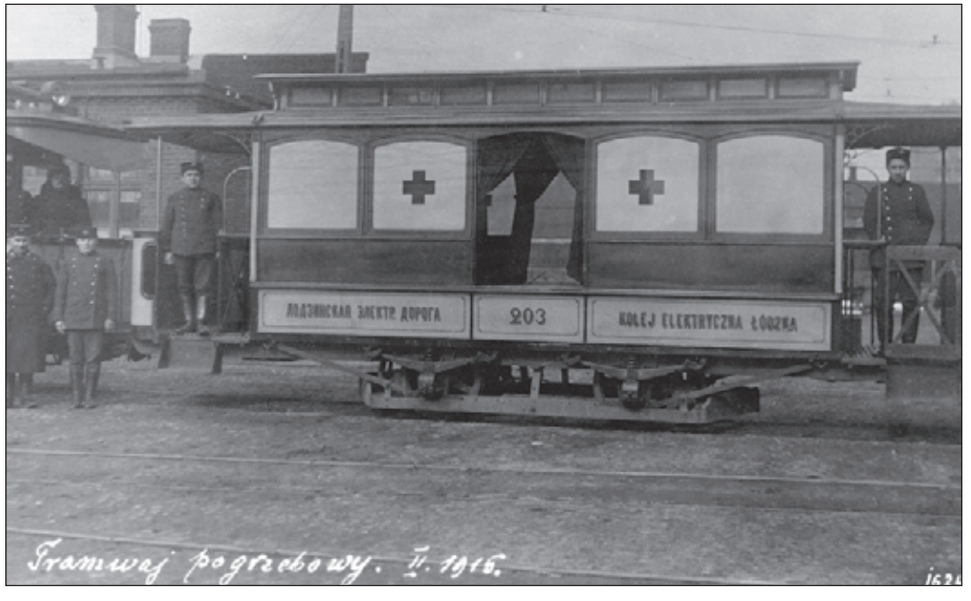
Piotrkowska 214. II 1914.



Bezpłatne obiady „Kropli mleka”. II 1915.



Przewożenie produktów spożywczych ze składu. I 1915.



Tramwaj pogrzebowy. II 1915.



Wydawanie produktów robotnikom fabryki I.K. Poznańskiego IX 1914.

Królestwo ziemniaka. Stół łodzian czasów Wielkiej Wojny

Na przestrzeni dziesięciolecie ewoluowały wszystko, nie wyłączając kulinariów a także sposobu ich postrzegania. O ile jeszcze dekadę temu kuchnia była niemal synonimem upodlenia losu kobiety, która w królestwie sztućców i przypraw, dziś zewsząd atakują nas kulinarne talent-show, slogany dotyczące radości gotowani, finezyjne przepisy i ogólne przekonanie, że czas spędzony w kuchni z powodzeniem zastępuje wszelkiego rodzaju hobby. Zupełnie nowego wymiaru nabiera pytanie czy jemy aby żyć czy żyjemy aby jeść…

Tragiczne lata konfliktu, obfitujące w nędzę jak i wiarę w odbudowę państwa polskiego, odbiły się na jadłospisie ówczesnych łodzian. Reglamentacja żywności wprowadzona przez niemieckie władze okupacyjne, powszechna bieda i bezrobocie, rosnące błyskawicznie ceny, wszystko to sprawiło, że przygotowywanie posiłków było nie lada wyzwaniem dla łódzkich gospodyń.

W ciężkich latach wojny na łódzkich stołach bezapelacyjnie królował ziemniak. Warzywo to starały się sprowadzać władze miejskie, po to by następnie sprzedawać je ubogiej ludności. W tym czasie w mieście obowiązywały specjalne karty ziemniaczane uprawniające do ich zakupu oraz paszporty umożliwiające wwóz ziemniaków dla określonych przedsiębiorstw. Nad całością spraw związanych z tymże niepozornym warzywem czuwał Wydział Ziemniaczany tutejszego Magistratu. Bardziej zaradni łodzianie wbrew zakazom starali się samodzielnie pozyskiwać go z podłódzkich wsi. Ziemniaki były też hodowane w samym mieście na tzw. zagonkach czyli niewielkich działkach wytyczanych na niezabudowanych placach miejskich, parkach czy terenach powstałych w wyniku karczowania lasów miejskich. Specjalnych rad dotyczących efektywności upraw udzieli łódzkim robotnikom właściciele okolicznych majątków ziemskich. Ziemniaki w związku z ich brakiem bywały też często przedmiotem przestępstw i nadużyć. Przykładowo w maju 1915 r. odbył się proces Hersza Działoszyńskiego, który został oskarżony przez Hersza Goldberga o roztrwonienie 10,5 korca ziemniaków powierzonych mu do przewiezienia z Lutomierska do Łodzi. Za ten czyn pozwany został skazany na 7 dni aresztu.

Ziemniak stał się w czasie wojny podstawowym składnikiem większości dań w łódzkim menu. Pomimo biedy, skazującej mieszkańców Łodzi na nad wyraz skromne posiłki zarówno pod względem wartości odżywczych jak i formy, bardziej zaradne gospodynie starały się zapewne serwować domownikom bardziej wyrafinowane dania ze wspomnianego warzywa. Także miejscowa prasa w działach kierowanych do gospodyń domowych zamieszczała przepisy kulinarne, których głównym składnikiem był właśnie *Solanum tuberosum*, zwany przez łódzką ulicę kartoflem. I tak poczytny dziennik, „Godzina Polski", który posiadał specjalny dział szeroko pojętych porad z zakresu gospodarstwa domowego, w sierpniu 1916 r. zamieścił taki oto przepis na danie o nazwie niosącej ze sobą nutę egzotyki tj. *Ziemniaki pieczone po hiszpańsku: Obrane z łupin ziemniaki posolić i upiec w piecu. Gdy już są miedziane, rozkrajać na połówki, położyć na każdej po jednym małym pomidorze, z którego ściąć czubek, wybrać pestki, posypać następnie solą, parmezanem i tartą bułeczką; polać rozpuszczonym masłem i zapiec w gorącym piecu przez kwadrans.*

Ziemniak był niewątpliwie polem do różnych wyzwań kulinarnych. Można było zrobić z nim wiele, chociażby poddając go zabiegowi nadziewania. Jednym z proponowanych przez „Godzinę Polski" dań były *Ziemniaki nadziewane śledziami: Ugotować dużo ziemniaków w mundurach, uważając aby się nie rozsypały; po ugotowani ściąć wierzch, środek wydrążyć tak, aby tylko cieńka warstwa ziemniaka została przy łupinie. Przyrządzić potem farsz następującym sposobem: wydrążone kawałki ziemniaka miesza się dokładnie z cebulką usiekaną i przesmażoną w maśle, jak również ze śledziem usiekanym, niezbyt przytem wymoczonym. Farszem tym nadziewa się ziemniaki, dodaje po kawałku masła i wstawia na pięć minut do pieca. Ziemniaki wedle przepisów ze wspominanego dziennika, można było nadziewać też innymi składnikami np. serem: Ziemniaki obrane, sparzone i ugotowane wydrążyć łyżeczką i nałożyć następujący farsz: utrzeć ziemniaków ugotowanych, dodać tartego sera, śmietany, dwa żółtka, łyżkę masła, trochę soli. Tym farszem nałoży c ziemniaki (ziemniaki trzeba u dołu trochę ściąć, by stać mogły i wstawić na blachę do pieca, polewając masłem.*

Pośród prasowych przepisów nie brakowało też tych na bardziej tradycyjne a przez to i zapewne bardziej upowszechnione wśród łódzkich gospodyń, dania np. na *Pierogi z ziemniaków: Ugotować kwartę ziemniaków, potem dobrze je utłuc, by grudek nie było, posolić i popieprzyć; następnie w maśle usmażyć na żółto pół usiekanej cebuli, wymieszać je z masą ziemniaczaną, można również dodać do przygotowanych w ten sposób powyższy ziemniaków 2-3 łyżki utartego twarogu. Ciasto z mąki zrobić jak na kluski, rozwałkować i układać małe kupki przygotowanego farszu, przykryć ciastem i wycisnąć foremką blaszaną lub zwykłą szklaneczką, a brzegi pierożka zacisnąć. Po ugotowaniu polać świeżem masłem z przyrumienioną bułeczką.*

Redakcja „działu kobiecego" „Godziny Polski" podsuwała też łódzkim gospodyniom pomysły na deser z użyciem mąki, oczywiście ziemniaczanej o nazwie *Legumina ziemniaczana: Cztery żółtka zmieszać z 1/3 funta cukru, wcisnąć sok z pół cytryny, ucierać dobrze pół godziny, dodać pół kubka maki ziemniaczanej, pianę z białek, wlać w formę wysmarowaną masłem i osypaną bułeczka; piec 20 minut. Gdy gotowa, przekroić ostrym nożem, przełożyć kwaśną śmietaną mocno ubitą z cukrem i wanilią lub polać sokiem, albo posmarować marmoladą.*

Redakcja gazety radziła też czytelniczkom czym należało kierować się dokonując zakupów: *Przy zakupie ziemniaków trzeba uważać na to, żeby ziemniaki były dojrzałe. Dojrzałego ziemniaka poznaje się po gładkiej o całej łupinie, przy niedojrzałym bowiem ziemniaku łupina odpada. Dobre ziemniaki nie powinny się zbyt długo gotować, maja być mączyste i przyjemne w smaku. Oczka na surowych ziemniakach powinny być w zagłębieniach, nie może jednak już kiełkować* – przekonywała redakcja. Wobec stałego braku cennego warzywa redakcja radziła jak można było przywracać do stanu jadalności ziemniaki, które pozornie straciły swoją wartość np. na skutek niskich temperatur: *Zamarznięte ziemniaki można w następujący sposób uczynić zdatnemi do spożycia. Trzyma się je w niezbyt ogrzanej kuchni*

w słonej wodzie, tak długo, aż nie odmarzną. Poznaje się to jeżeli ustępują pod naciśnięciem palca, należy je tez zaraz użyć. Wodę słoną przyrządza się w następujący sposób: na 2 litry wody bierze się 150 gram soli. Wodę można kilkakrotnie używać.

Myliłby się jednak ten, kto uważa, że ówczesna łódzka kuchnia wypełniona była jedynie potrawami ziemniaczanymi we wszelkich odmianach. Zaradne gospodyni domowe z polskiego Manchesteru starały się przygotowywać skromne desery chociażby z owoców z przydomowych ogródków. Przytoczyć tu warto chociażby przepis na *Suflet z jabłek: Wybrać kilka dużych winkowatych jabłek, upiec w piecu i przefasować przez durszlak, jak przestygną, wziąć dwie szklanki tej marmolady, ½ funta miałkiego cukru, dwa białka i bić to w rondlu lub misce w ziemnem miejscu łopatką aż do białości, tak aby masa prawie sztywną był; ubić osobno pianę z sześciu białek, zmieszać ostrożnie z jabłeczną masą, ułożyć na półmisku w kształcie góry, posypać grubym cukrem i migdałami siekanemi i wstawić do pieca niezbyt gorącego na1/2 godziny.* Na końcu receptury znajdowała się przestroga przed przegrzewaniem przygotowywanego deseru: *Gdy piec za gorący, zrobi się placek zamiast sufletu.*

Faktem jest jednak, że żadne inne warzywo, nawet *winkowate jabłko* z powyższego przepisu, nie było w stanie zdetronizować ziemniaka jako króla łódzkiej kuchni epoki Wielkiej Wojny. Na koniec warto wspomnieć o innym zastosowaniu ziemniaków, które w wojennych realiach były nie tylko pożywieniem ale i opałem. W czasie gdy o opał było równie trudno jak o żywność, wiele osób w kuchennych piecach paliło właśnie wysuszonymi łupinkami z ziemniaków.

Aneta Stawiszyńska

POLIZEIVERORDNUNG.

Um eine groesere Sparsamkeit im Verbrauche von Brotgetreide herbeizuführen, wird angeordnet:

Beim Backen von Brot ist dem Mehl ein Zusatz von Kartoffeln zu geben, der mindestens zwei Zehntel der Menge ausmacht. Rezepte, wie dies ausgeführt werden kann, sind hierunter abgedruckt.

Zuwiderhandelnde werden mit einer Strafe bis zu 100 M. belegt.

Wielun, den 5. Mai 1915.

Der Kreischef

Dr. BREDT.

REZEPTE.

1) Es werden zwei Drittel Mehl und ein Drittel Kartoffeln verwendet. Die Kartoffeln werden geschält, dan gekocht, erkalten gelassen und gerieben. Vor dem Erkalten, das Kartoffeln-wasser abgiessen und die Kartoffeln gut abdampfen lassen, sonst lassen sie sich nicht zerreiben.

ES WERDEN VERWENDET:

a) 700 g Weinzenmehl, 300 g Roggenmehl, 500 g Kartoffeln, 200 g Sauerteig, 25 g Walzmehl, 15 g Hefe, 5 g Salz, o, 3 g Kümmel und Fenchel gemischt.

b) 300 g Weinzenmehl, 700 g Roggenmehl, sonst wie a.

2) Es werden die Kartoffeln gekocht, geschält und gut abgekühlt. Darauf werden sie durch ein Sieb gerieben; mit Mehl vermischt und mit Wasser, Salz und Hefe oder Sauerteig gut verknetet. Den Teig lässt man über Nacht bei 25—30° C zur Gare stehen, arbeitet ihn dann noch einmal durch, formt das Brot und schiebt es, nachdem es 30—45 Minuten warm gestanden hat, in den Backofen, in welchem es etwa 40 Minuten bei 230—250°C verbleibt.

Auf 1 kg Roggenmehl kann nam mit Vorteil verwenden:

	a)	b)	c)
Gekochte Kartoffeln	250 g	300 g	350 g
Wasser	300 „	380 „	380 „
Hefe	6 „	3 „	8 „
Salz	15 „	15 „	15 „

Statt Hefe kann man auch Sauerteig und zwar 200 bis 250 g anwenden.

ROZPORZĄDZENIE POLICYJNE.

Celem zaprowadzenia większej oszczędności w spotrzebowaniu żyta do chleba, rozporządzam co następuje:

Przy wypiekaniu chleba należy do mąki dodać kartofli, a to co najmniej dwie dziesiąte części ilości ciasta. Recepta i wskazówki, jak należy piec chleb z kartoflami, są niżej podane.

Niezastosowujący się do tego nakazu zostaną ukarani pieniężnie do 100 marek.

Wieluń, dnia 5 Maja 1915 r.

Naczelnik Powiatu

Dr. BREDT.

RECEPTA.

1) Używa się dwie trzecie mąki i jedną trzecią część kartofli do wypieku chleba. Kartofle po ostrużeniu należy ugotować, dać ostygnąć, a potem utrzeć. Nim kartofle ostygną należy z nich wodę zlać, aby kartofle dobrze wyparowały, inaczej trudno takowe utrzeć.

SPOSÓB UŻYCIA:

a) 700 gram. mąki pszennej, 300 gram. mąki żytniej, 500 gr. kartofli, 200 gr. kwasu, 25 gr. mąki walcowej, 15 gr. młodzi (drożdży), 5 gr. soli i 0,3 gr. karulku i kminku.

b) 300 gr. mąki pszennej, 700 gr. mąki żytniej reszte jak wyżej.

2) Należy perki ugotować, obrać z łupin i dobrze ostudzić. Potem przetrzeć przez sito, zmięszać z mąką i młodziami i dobrze ugnieść. Ciastu dać fermentować przez noc przy temperaturze 25—30 stopni Celcjusza, ugnieść jeszcze raz, uformować chleb, pozostawić 30—45 minut w cieple potem wsunąć do pieca i pozostawić w nim około 40, minut pod temperaturą 230—250 stopni Celc.

Na 1 kilogram mąki żytniej można śmiało domięszać:

	a)	b)	c)
gotowanych kartofli	250 gr.	300 gr.	350 gr.
wody	300 „	380 „	380 „
młodzi (drożdży)	6 „	3 „	8 „
soli	15 „	15 „	15 „

W miejsce drożdży można użyć zakwasku 200—250 gramów.

CZERWONY KRZYŻ W ŁODZI

Prezentujemy fragment wydawnictwa okolicznościowego „Год на войне 1914 –1915. Красный Крест на Северо-Западном фронте”, wydanego w 1915 roku w Piotrogrodzie z myślą „wyjaśnienia w granicach możliwości, w najbardziej dostępnej i popularnej formie, schematu działalności na obszarze działań wojennych tylko jednej ze struktur Czerwonego Krzyża, a mianowicie jego oddziału na froncie północno-zachodnim w ciągu pierwszego roku wojny”. Poniżej przedstawiono tłumaczenie fragmentów rozdziału V, traktującego o działalności Czerwonego Krzyża w Łodzi.

Wraz z pośpiesznym odstąpieniem Niemców z frontu warszawskiego w kierunku własnych granic stało się jasne, że bazą działalności placówek Czerwonego Krzyża będzie Łódź, znaczące centrum handlowo-przemysłowe i duży węzeł kolejowy. Koniecznie należało jak najszybciej przerzucić do Łodzi stosunkowo największą liczbę placówek i wyposażyć je we wszystkie niezbędne materiały. Zadanie utrudniał fakt, że Niemcy – mimo szybkiego wycofywania się – wysadzili wszystkie mosty i uszkodzili drogi. Po oczyszczeniu Łodzi z wojsk nieprzyjacielskich przyjechał tu samochodem specjalny pełnomocnik A. I. Guczkow, który kierował działalnością placówek Czerwonego Krzyża w całym okresie operacji łódzkiej.

Poważną podporą w pracach Czerwonego Krzyża była pomoc miejscowego komitetu obywatelskiego. Jak się okazało, organizacje lokalne były w stanie otworzyć zakłady lecznicze w ogólnej ilości nie większej niż na 2000 łóżek, choć – biorąc pod uwagę oczekiwane krwawe boje – mogło być potrzebne w najgorszym wypadku do 25 000 miejsc. Rozpoczęła się aktywna mobilizacja wszystkich sił i środków. Podczas przeglądu już zorganizowanych lecznic wyjaśniło się, że lokalne stowarzyszenia powzięły sobie za cel stworzenie pierwszorzędnych szpitali, wykorzystujących najnowsze rozwiązania. Podczas masowego napływu rannych, gdy szpitale mimowolnie przekształcają się w punkty opatrunkowe, ich nowoczesne wyposażenie nie miało znaczenia praktycznego. Wtedy też Czerwony Krzyż wysunął hasło: „Liczy się ilość, a nie jakość”.

Gdy tylko łączność kolejowa została przywrócona z Warszawy i innych miejscowości przetransportowano do Łodzi lazarety Czerwonego Krzyża. Zażądano dodatkowych lekarzy, sióstr miłosierdzia, sanitariuszy. To, czego nie można było dostać na miejscu, dostarczono z Warszawy […].

Na 1 listopada Łódź była w pełni gotowa, ale scenariusz uległ drastycznej zmianie. Nasze wojska rozpoczęły odwrót, a Czerwony Krzyż otrzymał rozkaz opuszczenia [miasta], gdyż podjęto decyzję o niepodejmowaniu starcia pod Łodzią. W rezultacie rozpoczęła się ewakuacja placówek Czerwonego Krzyża z Łodzi […].

O godzinie 6 rano 4 listopada z Łodzi odjechał pociąg przewożący do Warszawy wszystkie placówki Czerwonego Krzyża i skład apteczny. W Łodzi zorganizowano na stacji kolejki wąskotorowej silny punkt opatrunkowo-żywieniowy […]. Z placówek niestacjonarnych znajdowały się w Łodzi i jej okolicach obydwa lazarety – iwerski i białostocki, pierwszy, czternasty, piętnasty i siedemnasty oddziały czołowe oraz oddział samochodowy imienia książąt Wołkońskich. W ten sposób, zgodnie z wytycznymi i rozporządzeniami władz wojskowych, Czerwony Krzyż odesłał do Warszawy cały majątek ruchomy; tworząc punkty opatrunkowe, urządzając punkty przerzutowe i zajmując się organizacją odpowiedniej ewakuacji przygotował się na masowy napływ rannych.



Ranni żołnierze rosyjscy w trakcie ewakuacji na stacji w Warszawie.

Ale gdy wszystko było już zorganizowane, scenariusz uległ ponownie nieoczekiwanej zmianie. Okazało się, że Łódź została okrążona, a kolej znalazła się w rękach nieprzyjaciela. Co więcej, Łódź stała się centrum działań bojowych. Jednakże nie było już możliwości zawrócić ewakuowane placówki […].

W związku z brakami w zakładach leczniczych zostały zaaranżowane prowizoryczne lazarety. Nie tylko wszystkie duże budynki – jak teatry, cyrki, kinematografy, kluby, banki i inne – zostały przystosowane do przyjmowania rannych, ale też rozmieszczono ich, po 10 – 20 osób, w wielu mieszkaniach prywatnych. Zaangażowano wszystkie lokalne siły medyczne, przy czym na czele całej tej struktury stał chirurg-konsultant Czerwonego Krzyża profesor N. N. Burdenko […].

Miasto zostało podzielone na rejony, a w każdym rejonie lekarz wizytował mieszkania prywatne, w których hospitalizowano rannych. W każdym takim mieszkaniu- lazarecie dyżurowały siostry. Ludność lokalna nadzwyczaj aktywnie wychodziła naprzeciw prośbom Czerwonego Krzyża i pomagała zarówno pracą własną, jak też ofiarami […]. Na dworcach zorganizowano wspaniałe punkty opatrunkowe. Doktor Szajkowski, kierujący utworzonym w budynku teatru „Corso” punktem rozdzielczo-opatrunkowym, informował, że 8 listopada uruchomił – na ile pozwalały warunki i środki – sale opatrunkową i operacyjną […].

Odnośnie do pracy Czerwonego Krzyża na dworcach szczególnie cenna wydaje się relacja doktora Dreilinga, starszego lekarza punktu opatrunkowego stacji Łódź Fabryczna: „2 listopada profesor Burdenko zaproponował mi zorganizowanie na stacji Łódź Fabryczna punktu opatrunkowo-żywieniowego. Tego samego dnia punkt rozpoczął swoją działalność […] przyjmując około 800 rannych. Pracowano całą dobę, bez przerw, zezwalając personelowi jedynie na krótki odpoczynek. W kolejnych dniach, w związku z rozwojem sytuacji na froncie i odstąpieniem od ewakuacji, na potrzeby punktu zajęto cały gmach dworca […]. Personel medyczny składający się początkowo z trzech lekarzy zwiększono do pięciu osób. Jednocześnie z opatrywaniem rannych zajmowano się ich żywieniem i zaopatrywaniem w ciepłą odzież i bieliznę. W ciągu następnych dni przez punkt przewijało się dziennie do 150 ludzi, a do ich rozlokowania wykorzystano pomieszczenia znajdujące się przy przylegających do dworca ulicach […]. Dziesiątego dnia wytężonej pracy pojawiła się możliwość ewakuacji i punkt opatrunkowy, biorąc na siebie cały jej ciężar, zaczął trochę tracić na znaczeniu. Należało szybko przygotować, celem przewozu lekko rannych, wagony towarowe oraz wyścielać je słomą i siennikami […]. Ciężko rannych transportowano w wagonach sanitarnych. Należy podkreślić, że trudności potęgował fakt, że od 16 do 18 listopada dworzec i przylegające budynki znajdowały się pod silnym obstrzałem, przy czym dwa pociski uszkodziły gmach dworca […].

Ofiarna praca całego personelu pokonywała wszystkie przeciwności i dzięki niej udało się wywieźć z Łodzi około 15 000 rannych. Tym niemniej taka masowa ewakuacja była możliwa tylko wtedy, gdy jedna z linii kolejowych, a mianowicie linia Koluszki-Skierniewice-Warszawa znów znalazła się w naszych rękach. Do tego momentu jedynym sposobem na jakiekolwiek odciążenie Łodzi z rannych była ewakuacja szosą Łódź-Piotrków-Grojec-Warszawa […].

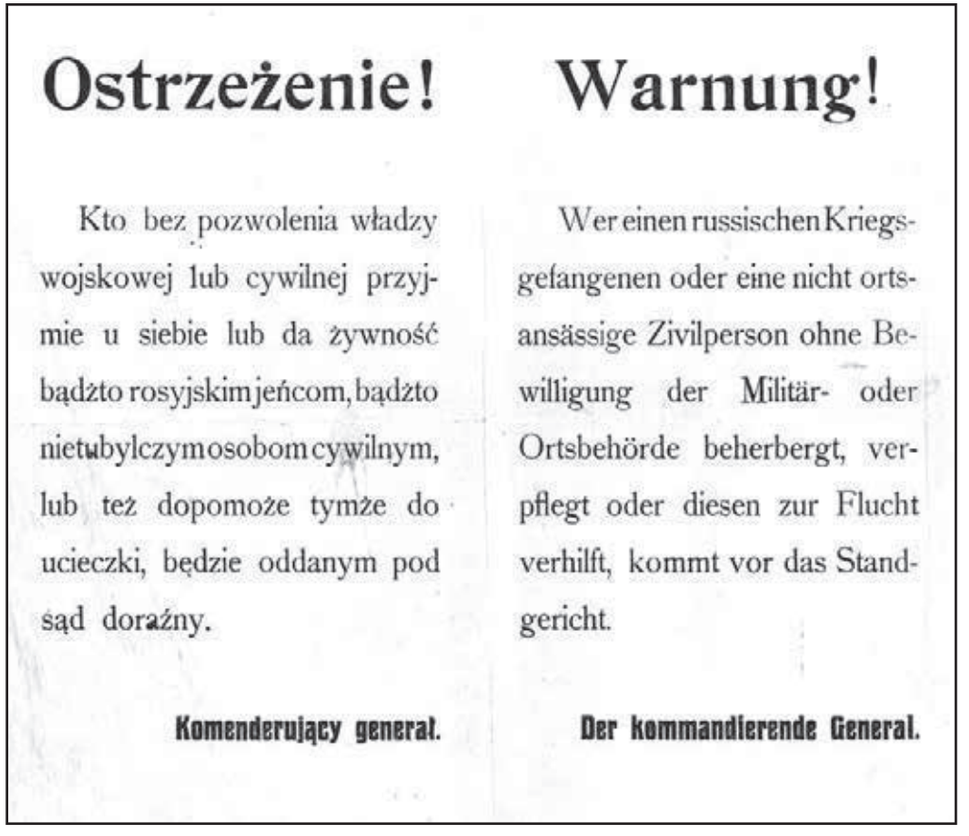
W ten sposób przetransportowano ponad 5000 osób. Ale nawet wtedy, gdy kolej została ostatecznie odbita, trudno było prowadzić zorganizowaną akcję ewakuacyjną. Pociągi wojskowo-sanitarne dostarczano w zbyt małej ilości i ze znacznym opóźnieniem. Jedynie dzięki energicznej działalności i uporowi specjalnego pełnomocnika A. I. Guczkowa 20 listopada zakończyła się masowa ewakuacja. W najcięższych warunkach wywieziono wszystkich tych rannych, którzy mogli przeżyć transport. Pozostali, w liczbie ponad pięciuset, nie mogli być pozostawieni ani w zorganizowanych siłami miejscowymi, likwidowanych zakładach leczniczych, ani przemieszczeni do dobrze wyposażonych lazaretów […].

Wszystko to skłoniło Czerwony Krzyż do rozlokowania wszystkich rannych i chorych w jednej placówce […], wykorzystując gwarantowane w Konwencji Genewskiej prawo do pozostawienia na potrzeby rannych jednego lazaretu […]. Wybór padł na lazaret Szkół Wyższych Piotrogrodu, gdyż w rzeczywistości był to jedyny w pełni wyposażony szpital polowy Czerwonego Krzyża w Łodzi […].

Cały personel został powiadomiony o swojej misji i zgodził się na jej wypełnienie. Lazaret pozostał w głodnym, pozbawionym jakichkolwiek zapasów mieście. Z tych względów Czerwony Krzyż zaopatrzył go w produkty żywnościowe – chleb, mąkę, konserwy i środki pieniężne w wysokości 20 000 rubli. Personel medyczny […] został wzmocniony przez oddelegowanego z rezerwy lekarza i dziewięć sióstr, dobrze zaznajomionych z chirurgią w wydaniu polowym. W związku z pogłoskami o rozwinięciu się pod Łodzią bojów i wytyczeniu lazaretowi roli czołowego punktu opatrunkowego, przy szpitalu polowym pozostawiono znaczną ilość zapakowanych sterylnie środków opatrunkowych i całe wyposażenie jednego z punktów, działających przy fabryce Wagnera.

Z uwagi na swoje urządzenie i rozmieszczenie w jednym z najlepszych budynków (Niemiecka Szkoła Realna) lazaret mógł powiększyć się do 450 – 500 łóżek, a oprócz tego dać schronienie 150 – 200 lekko rannym. Od znaczących organizacji lokalnych i znanych działaczy społecznych uzyskano obietnicę rzetelnej pomocy […]. Pozostałe placówki Czerwonego Krzyża zostały załadowane do wagonów i odesłane: potrzebujące doposażenia – do Warszawy, niepotrzebujące – do Skierniewic […]. Oddziały czołowe – czternasty, piętnasty i siedemnasty – odeszły z Łodzi z tymi siłami armijnymi, przy których stacjonowały […].

wybór i tłumaczenie: Kamila Pawełczyk-Dura



Ostrzeżenie!

Kto bez pozwolenia władzy wojskowej lub cywilnej przyjmie u siebie lub da żywność bądźto rosyjskim jeńcom, bądźto nietubylczym osobom cywilnym, lub też dopomoże tymże do ucieczki, będzie oddanym pod sąd doraźny.

Komenderujący generał.

Warnung!

Wer einen russischen Kriegsgefangenen oder eine nicht ortsansässige Zivilperson ohne Bewilligung der Militär- oder Ortsbehörde beherbergt, verpflegt oder diesen zur Flucht verhilft, kommt vor das Standgericht.

Der kommandierende General.

Pamiętniki chłopca z Halle

Okropności wojny dotykają nie tylko walczących żołnierzy, ale także ich rodzin, w tym także – a może przede wszystkim – dzieci, ufne w szczęśliwy powrót ojców do domu. Prezentujemy fragmenty pamiętnika 12-letniego chłopca Bernharda Bültemanna z Halle, którego ojciec także Bernhard został zmobilizowany do niemieckiej armii. Pamiętnik zawiera notatki, szkice, a nawet odręczne mapy wykonane ręką chłopca oraz wklejone pocztówki otrzymane od ojca z frontu, a także wycinki prasowe i fotografie. Teksty z pocztówek podane są kursywą. Miejscami chłopiec opisuje wojenne losy ojca, pisząc w pierwszej osobie.

232 Rezerwowy Pułk Piechoty, w którym służył ojciec Bernharda, należał do 50 Rezerwowej Dywizji walczącej w ramach XXV Rezerwowego Korpusu. Pułk w okolice Łodzi dotarł już po wyjściu korpusu z okrążenia i zajęciu miasta przez Niemców, „zdążył" wziąć jednak udział w walkach okopowych nad rzeką Rawką.

Przedstawiamy fragmenty związane z walkami pod Łodzią.

Pamiętnik w całości dostępny jest on-line pod adresem: http://www.europeana1914-1918.eu/pl/contributions/10304

Przemarsz przez Polskę

Z Dobrzynia przemieszczaliśmy się w kierunku południowym na Lipno (16 listopada 1914 r.).

Pozdrowienia z Lipna, Kochana żono! Od 4 listopada nie otrzymałem od Ciebie żadnych wiadomości. Kiedy ta pocztówka trafi do Twoich rąk, będzie już późno. Otrzymałaś mój list? Ja jestem zdrowy, a wy? Po niekończących się kłopotach dotarliśmy tutaj. Nie da się opisać, przez co przechodzimy. Pozdrowienia dla was.

W czasie ataku były straty w ludziach rzędu 30 tysięcy. Marsz był bardzo uciążliwy. Brak słów, aby opisać przez co ci ludzie przeszli. Regiment niegdyś w sile 3000 żołnierzy liczył teraz 400 osób. Z tego większość była chora. Z Płocka nie można było wyruszyć w dalszą drogę. Z powodu zbyt intensywnego spływu kry lodowej Wisła stała się nie do przebycia.

21 listopada 1914 r.

Kochana żono i dzieci! Dzisiaj, po przybyciu do Płocka, udaliśmy się koleją w kierunku Warszawy. Niestety pewnie wkrótce nie dostanę od Was żadnego znaku życia. Poczta nie działa. Serdeczne pozdrowienia od waszego ojca.

Pomimo piętnastostopniowego mrozu był to całkiem przyjemny odpoczynek. Po nim marsz był kontynuowany w kierunku Torunia po to, aby tu przekroczyć Wisłę (30 listopada). Z drugiego brzegu rzeki następowało przemieszczanie wojsk, wśród nieustających walk, w kierunku Włocławka (2 grudnia), miejscowości Kowal (3 grudnia) i Kutna (6 grudnia). Pogoda była kiepska. W ciągu dnia lało, za to w nocy chwytał mróz. Poczta nie funkcjonowała. Trwał nieprzerwany marsz w kierunku Łodzi. W okolicach Piątku (7 grudnia) nastąpiła zmiana kierunku. W miejscowości Domaradzyn wojsko od 12 do 16 grudnia zatrzymało się na postój. W dalszej drodze na Skierniewice wypadło mijać płonące Głowno. Po dwóch dniach znowu nastąpiło obranie innego kierunku. Najpierw na Wolę Makowską, potem na Mokrą Lewą. Dnia 23 grudnia nastąpił znowu odwrót do Skierniewic i tu chwilowo zakończył się wielki marsz przez Polskę.

[Pocztówka ostemplowana 26 grudnia 1914 r.]

Kochany chłopcze, Dzisiaj, pierwszego dnia świąt otrzymałem wasze paczuszki z trzema listami od Ciebie, matki i Elfrydki, przesłane dnia 4 grudnia i bardzo się ucieszyłem z ich otrzymania. Tylko słuchajcie się tam matki! Dzisiejszej nocy Rosjanie bombardowali nas solidnie granatami. Obecnie znajdujemy się 8 km od Skierniewic. Pozdrawiam ojciec.

[...]

Nad Rawką, 8 lutego 1915 r.

Kochany chłopcze! Przesyłam Ci dzisiaj widokówkę z widokiem Skierniewic. Jak tam jest na lodowisku? Pewnie się teraz nieźle bawicie, ja raczej nie. Z pozdrowieniami twój ojciec.

[Na pocztówce odręczny napis *Gott strafe England* – „Boże ukaż Anglię"]

W Skierniewicach i okolicach oraz w Łodzi

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, ale nikt sobie tym głowy nie zawracał. Wieści o toczących się ciężkich walkach na froncie psuły świąteczny nastrój. To cud, że mój ojciec był jeszcze zdrowy, podczas gdy wielu jego poszkodowanych towarzyszy, którzy walczyli z nim na polu bitwy, zostało już wycofanych za linię frontu. Ponieważ potrzebowano ludzi zdrowych, ojciec nie dostał urlopu. Na takich, co to prosili o trochę wolnego, patrzono jak na bumelantów. Mój ojciec nie chciał być za takiego uważany. Na południowy wschód od Skierniewic znajdował się zameczek myśliwski, należący do carów, zajęty teraz przez pocztę polową. Tu odebrał przesyłkę, mimo że zameczek położony był poza linią frontu i tu wcale nierzadko docierały armatnie granaty. Ojciec jako ordynans przemieszczał się z jednego miejsca frontu do drugiego. Wieczór wigilijny spędził w miejscowości Miedniewice. Sylwester był hucznie obchodzony u przyjaźnie nastawionego gospodarza Józefa Madejskiego. Było czerwone wino i pieczona gęś.

W nocy był podniosły nastrój, także strzały na wiwat. 10 stycznia ojciec został oddelegowany do Łodzi po odbiór paczek świątecznych.

Przyjechałem do Łodzi po odbiór paczek świątecznych, ale do tej pory nie znalazłem nic dla siebie. Jechaliśmy cały dzień i noc. Jestem wykończony po tej podróży. Niech ta karta Wam o mnie przypomina. Poza tym jestem zdrowy, mam nadzieję, że Wy także. Z pozdrowieniami wasz ojciec.

[Na pocztówce odręczny napis: Łódź zajęta]

Dnia 13 stycznia ojciec znowu znalazł się w Skierniewicach.

W rowach strzeleckich nad Rawką

Dnia 16 stycznia stało się coś, co nie było dla ojca zbyt przyjemne. Ze sztabu został skierowany do kompanii, a więc na front. Rosjanie rozlokowali się 300 metrów od ich okopów. O tym, jak wyglądało życie w strzeleckich okopach, daje jakieś wyobrażenie wyciąg z prowizorycznego dziennika prowadzonego od 16 do 31 stycznia na kartkach kalendarza.

Z treści tam zawartej wynika, że czasami musiano wystawiać wartę.

Adnotacje na kartkach z kalendarza:

16 stycznia – Przesunięty do kompanii. Dworzec Ruda. Cisza.

17 stycznia – Cisza.

18 stycznia – Okopy na prawo od kolei. Posterunek podoficerski. Od czwartej do szóstej rano warta.

19 stycznia – Okopy na prawo od kolei. Nasypy [kolejowe?].

20 stycznia – Okopy za nasypami kolejowymi.

21 stycznia – Okopy za nasypami kolejowymi. Wieczorem bez załogi, w stanie spoczynku.

22 stycznia – Cisza.

23 stycznia – Cisza. Wieczorem okopy.

24 stycznia – Pozorowany atak, siódma rano.

25 stycznia – Cisza.

27 stycznia – Odpoczynek.

28 stycznia – Warta.

29 stycznia – Posterunek podoficerski 6-12 na prawo [od kolei?].

30 stycznia – Posterunek podoficerski 12-6.

Ciężki ostrzał na lewej linii frontu, z naszej strony zmasowany ogień artyleryjski.

31.01 – Warta.

W tym miejscu przytoczę fragment pocztówki, którą ojciec napisał 6 lutego:

Po tym, jak przez 5 dni siedzieliśmy w okopach, wycofano nas wczoraj w nocy do rezerwy. Nowe miejsce znajdowało się jakieś dwa kilometry od naszych stanowisk bojowych. Wreszcie można się było wyspać. Jednakże ja ze dwa razy byłem wzywany do dyspozycji rotmistrza jako ordynans. Nawet nam zrobiono zdjęcie, może się ukaże w gazecie. Chyba mam tutaj dobrą opinię, bo kiedy dzieje się coś ważnego, jestem w akcji, ale bezpieczne to nie jest. Kartofle są tutaj znakomite, smakowały nawet na sucho [nie okraszone – wyj. tłum]. Z najnowszych wieści wynika, że niedługo posuniemy się naprzód, bo Rosjanie ponieśli znaczne straty w ludziach. Walczyliśmy dniem i nocą, przeważnie na lewym skrzydle.

W połowie lutego ojciec wrócił do okopów. W kompanii pojawił się jeszcze jeden człowiek o nazwisku Bültemann. Co jest o tyle warte odnotowania, że w naszych okolicach nie ma innych osób noszących to nazwisko. W Niemczech Zachodnich wydaje się ono występować częściej. Ten żołnierz pochodził z Hannoweru.

Zbliżały się święta wielkanocne. Ojciec przysłał uroczą polską kartę świąteczną.

21 marca 1915 r. Moi kochani! Także w czasie tych kochanych wielkanocnych świąt mogę być przy Was tylko duchem. Życzę wam wszystkim prawdziwie wesołych świąt. Co sądzisz o Willim? Zostawiam to tobie do przemyślenia. Dzisiaj otrzymałem kartę i 3 listy. Nie potwierdziłeś przesyłki pieniędzy z 3 marca. Serdeczne pozdrowienia od twojego ojca. Dzisiaj wszystko otrzymałem 22 marca.

Pocztówka ze Skierniewic [ostemplowana 25 marca]

Moja kochana Elfriedko!

Dziękuję Ci za Twój piękny list, bardzo mnie ucieszył. Dostałaś dobre oceny? A co tam u Bernharda? Ucałuj wszystkich ode mnie, przyjmij pozdrowienia i pocałunki od Twojego kochającego ojca. Wesołych świąt.

Tutaj kartka z 1 kwietnia

Dzisiaj w nocy przybyliśmy do koszar po Kozakach, do Skierniewic na 4-dniowy odpoczynek i ćwiczenia. Była ładna pogoda, tylko nocą było zimno. Poza tym czuję się dobrze.

Pocztówka z 6 kwietnia 1915 r.

Skierniewice, Kochana żono i dzieci! Dzisiaj wieczorem o godzinie 11 znowu znaleźliśmy się w okopach. Na brak pilnych zajęć nie narzekamy. Z jednej strony cieszymy się, że znowu przystąpimy do ataku. Poza tym jestem zdrowy i przesyłam Wam kochani serdeczne pozdrowienia, całuję Was ojciec.

Fragment tekstu z kartki pocztowej z dnia 18 kwietnia 1915 r.

Okopy nad Rawką, Ubiegłej nocy osiągnęliśmy spory sukces. Ubiliśmy dużo Rosjan. A po naszej stronie nie było prawie żadnych strat w ludziach. Dzisiaj rano o godzinie piątej, mimo świstających dookoła kul, przeniosłem w bezpieczne miejsce starego żołnierza, rannego w akcji. Tak, tak Austriacy zawodzą. Gdyby wszyscy walczyli jak my Niemcy, to by się wojna tu szybko skończyła. Pod drutem kolczastym leżą zabici Rosjanie. Pogoda jest przecudowna, tylko nocą chwyta mróz. Wojna czyni człowieka szorstkim. Nie będziesz się bała swojego męża, gdy wróci? A on wróci.

Ten stary żołnierz przez zbieg okoliczności został dostarczony do Halle do lazaretu. Przywieźli go pociągiem zamienionym na szpital wojskowy. Odwiedziłem go raz i tym samym zobaczyłem, jak wygląda taki lazaret.

Za pomoc okazaną mu przez ojca podziękował w następujący sposób.

Halle 25 kwietnia 1915 r. Drogi kolego! Przede wszystkim moje najserdeczniejsze podziękowania za pomoc okazaną mi w czarnej godzinie, podziękuj też ode mnie innym kolegom. Kochany przyjacielu (w dalszej części tekst niewidoczny z powodu stempla pocztowego). Pozdrawiam serdecznie Ciebie i chłopaków. Twój Grosskopf.

Nadawca Wehrmann Karl Grosskopf 232. Rezerwowy Pułk Piechoty obecnie przebywający w lazarecie

Pocztówka z 7 maja

Właśnie przebywałem na posterunku podoficerskim. Mieliśmy tu niezłą burzę, woda lała się nam do okien i na sufit w schronie.

Pod koniec maja byłem na wyjeździe do Dessau razem z korpusem kadetów (Jugendwehr). W Wörlitz przesłałem do ojca pocztówkę, na którą mi odpowiedział tak:

Okopy nad Rawką 30 maja 1915 r. Kochany chłopcze! Twoją kartę z wyjazdu otrzymałem. Miejmy nadzieję, nauczyłeś się tam czegoś i zebrałeś nowe wrażenia. Matka napisała, że wróciłeś do domu strasznie wygłodniały. Jak świętowaliście wczoraj urodziny Puppiego? Wcześnie wstał i nie dał wam pospać? Jak tylko wrócę do domu dostanie lanie. Jeszcze tylko czekają nas Włochy. Ej ci muzykanci! Z serdecznymi pozdrowieniami wasz ojciec.

Drugiego czerwca został mój ojciec nagle przeniesiony do Torunia. Przypuszczalnie miał odgrywać jakąś inną rolę w tym „teatrze wojny". Po co, nie wiadomo.

[...]

[Gefraiter Bernhard Bültemann zginął 13 czerwca 1915 r. podczas ataku pod Jarosławiem w Galicji.]

tłumaczenie Wioletta Majchrzak Tutta
wybór i adaptacja pz



Kartka pocztowa 232 Rezerwowego Pułku Piechoty, w którym służył ojciec Bernharda.



Zrujnowana lokomotywownia na stacji Łódź Widzew. Linia frontu w okolicach Łodzi zmieniała się kilka razy, ustępujące armie niszczyły wszystko, co mogło służyć ich przeciwnikom. Tylko 2 zniszczone wiadukty kolejowe na odcinku Koluszki – Łódź, to 25 170 rubli i 26 100 rubli, zwrotnice na tej linii 180 szt. – 31 tys. rubli, 4 zwrotnice angielskie na stacji Łódź Fabryczna – 8 400 rubli, wieża ciśnień na stacji Karolew – 11 tys. rubli, a studnia z pompą i silnikiem „Perkun" – 6 300 rubli. Te sumy przyprawiają o zawrót głowy, w tamtym czasie robotnik zarabiał ok. 25 rubli miesięcznie, a za 31 rubli można było kupić 24 g złota.



Zdjęcie grupowe żołnierzy rosyjskich. Wszyscy bardzo poważni, żadnych uśmiechów. Dumnie prezentują dwa karabiny maszynowe Maxim (nie każdy Maxim musiał mieć podstawę na kółkach i ochronną tarczę). Niektórzy, specjalnie do fotografii, przypięli krzyże i medale wojskowe św. Jerzego. Na pierwszy rzut oka widać kto tu jest dowódcą. Tylko jeden ma lornetkę.

Zniszczenie i odbudowa kościoła w Kurowicach

Bitwa łódzka oprócz hekatomby ofiar złożonych przez walczące armie (około 200 000 poległych żołnierzy) przyniosła także liczne straty i zniszczenia wojenne nie szanowano dosłownie żadnej świętości. Ofiarą pożogi wojennej padł m.in. także nowy kościół parafialny w Kurowicach pw. Najświętszego Serca Jezusowego, wybudowany w miejscu drewnianego kościoła pochodzącego z XVII w. Stratę ocenimy tym boleśniej, im bliżej przyjrzymy się historii budowy świątyni. Decyzję o postawieniu okazałej neogotyckiej bryły podjęto prawdopodobnie na przełomie wieków. Prace murarskie rozpoczęto w 1904 roku. Nawet patrząc na budowlę z dzisiejszej perspektywy, możemy się domyślać, że był to wydatek mocno obciążający parafian. Warto zauważyć, że na terenie parafii kurowickiej nie było bogatych ziemian, którzy mogliby stać się fundatorami kościoła.

W czasopiśmie „Świat" z 1908 roku znajdziemy notatkę, z której można wnioskować, że środki na budowę kościoła rzeczywiście wyczerpały się i proboszcz zdecydował się na publiczną zbiórkę. Możemy dzięki temu zobaczyć, jak wyglądała pierwotna, wciąż jeszcze oszalowana bryła kościoła. „W ieś Kurowice położona jest na przecięciu szos do Łodzi, Pabianic i Tomaszowa. Od Łodzi i Pabianic na 21 wiorst oddalona, od Rokicin stacji Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej 6 wiorst. Plan kościoła i dozór przy budowie ma budowniczy guberni piotrkowskiej p. Feliks Nowicki. Proboszczem jest ks. Antoni Zagrzejewski od roku 1897. Budowa rozpoczęła się w 1904 r. Kościół jest o trzech nawach, w stylu gotyckim, ma długości 90 łokci, szerokości 40 łokci. Budowany jest kosztem parafian, których jest 4 tysiące. Obecnie budowa powoli postępuje z powodu braku funduszów. Proboszcz serdecznie prosi wszystkich o łaskawe ofiary dla wykończenia tej wspaniałej świątyni. Na front użytą została prześliczna cegła licowa z Korwinowa (za Częstochową), wiecznotrwała, nadzwyczaj estetyczna. Cena jej obecnie podwyższoną została do 40 rubli za tysiąc".

Trudno ocenić, czy zbiórka rzeczywiście dała rezultaty, czy też parafianie jeszcze więcej zaczęli łożyć na budowę, niemniej w połowie 1913 roku świątynia była gotowa do konsekracji. Aktu tego dokonał ówczesny biskup włocławski Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki 22 sierpnia 1913 roku.

Jak zanotowano wówczas w „Kronice Diecezji Kujawsko-Kaliskiej"

„Kościół w Kurowicach zbudowany według planów budowniczego piotrkowskiego p. Nowickiego, ma piękny fronton z wieżą. W planie była piękna sygnaturka, lecz ta, z powodu zepsucia roboty przez nieumiejętnego cieślę, zastąpiona została prowizoryczną inną, która szpeci nieco profil kościoła. Budowę zaczęto od zwożenia materiałów w roku 1900 staraniem poprzedniego proboszcza, ks. Kan. Antoniego Zagrzejewskiego, obecnie proboszcza i dziekana w Piotrkowie. Wystawił on mury świątyni z pięknej i trwałej licówki na cokole kamiennym, dach i wieżę, na co wydatkował 52 216 rubli. Następca jego ks. Jan Dratwiński, objąwszy parafię we wrześniu 1910 r., prowadził roboty dalej, dał futryny do okien z żółtej cegły, oszklił okna, sklepienie w prezbiterium, otynkował i wymalował kościół, dał posadzkę, 12 par dębowych rzeźbionych drzwi, kręcone schody na wieżę, ambonę i chór. [...] Całość wykonanych robót sprawia bardzo estetyczne wrażenie, w czym znać dobry smak i znajomość sztuki, którą ks. Proboszcz Dratwiński, sam talentem malarskim obdarzony, posiada".

Pierwotny kościół miał 53,12 m długości, 23,58 m szerokości i 17,90 m wysokości. Nad budowlą dominowała wieża o długości 7,18 m, szerokości 6,90 i wysokości 53,68 m. W odróżnieniu od dzisiejszej świątyni kryta była dachówką marsylską, a znajdująca się po prawej stronie baszta miała dwie małe wieże.

Kronikarz diecezjalny zakończył swój opis refleksją: „Co się zaś tyczy strony moralnej parafii to ta przedstawia się bardzo pocieszająco, najlepszym dowodem, że w sercach parafian gości Duch Boży, jest wystawienie obecnego kościoła i radość panująca z tego; nikt nie narzekał, przeciwnie żałowano, że takiej drugiej uroczystości nie będą obchodzili, bo kościół już stoi, a oni, ludzie silnej wiary, radziliby drugi budować, aby być uczestnikami tak podniosłych ceremonii i płynących stąd łask Bożych. W całej parafii nie ma ani jednej karczmy".



Ksiądz Jan Dratwiński przed ruinami kościoła w Kurowicach.

Były to najwyraźniej słowa wypowiedziane i napisane w „złą godzinę" – już po kilkunastu miesiącach świątynia dosłownie legła w gruzach, ostrzelana przez wojska rosyjskie w czasie tzw. bitwy łódzkiej.

Dysponujemy bardzo dokładnym opisem zniszczeń, dzięki zestawieniu przygotowanemu w 1916 roku przez ks. Dratwińskiego dla Komisji Szacunkowej Strat Wojennych zestawieniu. Wynika z niego, że świątynia została zniszczona podczas walk toczonych w bitwie łódzkiej pomiędzy 19 listopada a 17 grudnia 1914 roku.

Zniszczenia były ogromne – runął dach świątyni, wybite zostały wszystkie okna, drzwi z *„artystycznie wykonanym okuciem"* do głównego wejścia, kruchty, baszta, prezbiterium, a z okazałej wieży pozostał wysoki na kilkanaście metrów stos gruzu. Ściany świątyni były podziurawione pociskami bądź zarysowane. Odnowienia wymagały ołtarz główny i ołtarze boczne, marmurowa mensa, posadzka z płytek. Ponownego odlania wymagały też dzwony kościelne.

Do zniszczeń wynikających z ostrzału artyleryjskiego doszły znaczące straty w ruchomościach kościelnych „wywiezionych przez wojska rosyjskie, uszkodzonych lub zupełnie zniszczonych pociskami, a mianowicie: instrumenty muzyczne nowe dla orkiestry kościelnej,



Zrujnowany kościół mariawicki w Lipce, podzielił los wielu świątyń wokół Łodzi, niszczonych przez artylerię obu stron.

instrumenty muzyczne stare także wywiezione, stare organy kościelne, pulpity, nuty i śpiewniki, ławki kościelne, stacje Męki Pańskiej".

Szacunek strat opiewał na przeszło dziewięćdziesiąt tysięcy rubli. Komisja całość roszczeń uznała za zasadne, niemniej brak jest jakiegokolwiek potwierdzenia, aby fundusze zostały parafii wypłacone. Wydaje się to oczywiście mało prawdopodobne.

Szkody dotknęły również plebanię, a o roszczenia wystąpił już w swoim imieniu ks. Dratwiński. Jak wynika z kolejnego nader dokładnego zestawienia zachowanego w zbiorach Archiwum Państwowego w Łodzi, w dniach 19–22 listopada wojska splądrowały plebanię i budynki gospodarcze. Ks. Dratwiński wylicza wszystkie straty powstałe wskutek rekwizycji wojsk niemieckich na sumę 5527 rubli i 10 kopiejek. Pokwitowanie na sumę 150 marek [!] podpisane przez grafa von Obendorfa 21 listopada 1914 roku zostało wydane jedynie na krowę, ale ponieważ nie wypłacono żadnych pieniędzy, ksiądz doliczył kwotę całości szacunku. Do najcenniejszych pozycji należały „dwa konie, 20 wozów owsa w słomie, wolant szerokotorowy z fartuchami i latarniami, fuzja brauningowa i przybory myśliwskie, srebrne pieniądze, zegarki, trzy brzytwy, książki, albumy, portiery sukienne, wyposażenie kuchni, 80 butelek wina, 12 butelek nalewki i 8 soku". Osobna wycena w wysokości 187 rubli objęła zniszczenia na plebanii: spalone drzwi, uszkodzone meble, potłuczone lampy, wyłamane zamki i szuflady.

Przygotowane przez ks. Jana Dratwińskiego szacunki nie dają jednoznacznej odpowiedzi, które wojska dokonały tak poważnych zniszczeń. Na pewno w dniach 19–22 listopada to wojska niemieckie grasowały po parafialnym obejściu i niszczyły świątynię. Sam kościół został zaś prawdopodobnie ostrzelany przez artylerię rosyjską stojącą w okolicach Andrespola.

Ksiądz Dratwiński nie doczekał niestety wyzwolenia, zmarł 5 maja 1918 r. W pośmiertnym wspomnieniu nie zapomniano o jego zasługach przy budowie kościoła i dramacie, który przeżył, będąc świadkiem jego zniszczenia: „W 1910 r. w sierpniu widzimy go już powołanego przez władzę diecezjalną do Kurowic, gdzie zbudowany piękny kościół czekał na przybycie proboszcza, który by gorliwością i umiejętnością swoją mógł prowadzić dalej wykończenie o znowu czynić przygotowania do konsekracji w r. 1913. Lecz niestety! Wspaniała ta świątynia Bogu oddana na chwałę w gruzy została zamieniona w r. 1914 w grudniu, w czasie bitwy tam się odbywającej, a nieboszczyk proboszcz z rodziną i z ludźmi kryje się w piwnicy przez dwa tygodnie dzień i noc wśród wilgoci, stęchlizny i innych niewygód, gdy ponad plebanią i budynkami świstały szrapnele, granaty i kule. I to właśnie wstrząsnęło znacznie organizmem ks. Jana, odtąd kaszel stał się nieodstępnym, astma męczyć zaczęła".

Przed parafianami stanęło kolejne trudne wyzwanie – odbudowa kościoła. Okres powojennego kryzysu oraz ciężki czas kształtowania się zrębów państwowości Polski z pewnością nie pomagał w zbieraniu funduszy. Projekt kościoła został dosyć znacząco zmieniony przez jednego z najznakomitszych architektów warszawskich, Stefana Szyllera, autora projektów kilkudziesięciu kościołów, w tym wielu w propagowanym przez Szyllera tzw. gotyku polskim, oraz innych znanych budowli, m.in. gmachu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych (obecnie Galeria Zachęta). Wydaje się, że bryła kościoła zyskała na urodzie dzięki zaproponowanym przez Szyllera zmianom. Nowy projekt został ukończony w 1922 roku i wówczas prawdopodobnie rozpoczęto mozolną odbudowę świątyni. Trwała ona aż do 1933 roku, a więc dłużej niż budowa pierwotnego kościoła.

Murarze odbudowujący świątynię zostawili dla potomnych pamiątkę po wydarzeniach wojennych, wmurowując w ścianach świątyni kilkadziesiąt niewybuchłych pocisków artyleryjskich bądź łusek po nich.

opracowała Ewa Wiatr

KIEDY PRZYSZŁA NIEPODLEGŁOŚĆ?

W *Monografii Piotrkowa* autorstwa miejscowego aptekarza a zarazem historyka-regionalisty Michała Rawity-Witanowskiego znajdziemy taki fragment na temat pierwszego dnia wolności w „trybunalskim grodzie":

Niezwłocznie też, bez większych przeszkód, milicja obywatelska i Sokoli, obsadzili opuszczoną przez nieprzyjaciół stację kolejową i znaczniejsze gmachy rządowe. Tłum, upojony łatwym zwycięstwem, wdarł się na pocztę, wyrzucił wszystkie akta i papiery urzędowe i zniszczył je [i tu zadrżała ręka archiwisty na klawiaturze komputera]. *Rankiem dnia 2 listopada [1918 r.] mieszkańcy, ucieszeni przewrotem, wylegli tłumnie na ulice. Po domach rozwieszano chorągwie narodowe. O godzinie 9 odbyła się w kościele pobernardyńskim dziękczynna Msza Święta, wobec prezydenta Nowickiego, radnych, sędziów, członków Sejmiku (Powiatowego) i wiernych.*

Wprawne oko czytelnika zauważy datę 2 listopada i pojawi się pewnie wątpliwość, czy to nie błąd jakiś? Jak to?! Przecież Józef Piłsudski jeszcze w Magdeburgu siedzi i nie wie nic o zbliżającym się jego uwolnieniu i przybyciu do Warszawy. Ale to jeszcze nie koniec wydarzeń w Piotrkowie. Tutejsza prasa donosi, że jeszcze tego samego dnia, o godzinie 11, na placu przed kościołem bernardynów, dokonano zaprzysiężenia obecnych w Piotrkowie żołnierzy i oficerów dawnych Legionów na wierność **Rządowi Polskiemu w Warszawie!!!** I znów w tym miejscu niejeden z naszych czytelników zdobędzie się na refleksje i zapyta: o jaki rząd polski chodzi? Odpowiedź jest bardzo prosta i dla historyka oczywista – o rząd polski zatwierdzony przez Radę Regencyjną, którego premierem był w tym czasie Józef Świeżyński. Zwierzchnikiem sił zbrojnych odradzającego się państwa został mianowany gen. Tadeusz Rozwadowski, który pełnił oficjalnie funkcję szefa Sztabu Generalnego Wojsk Polskich. Przysięgę odbierał por. Marian Hudec (sam zaprzysiężony kilka dni wcześniej w Warszawie), żołnierz I Brygady Legionów, w drugiej połowie lat dwudziestych wiceprezydent Piotrkowa.

Następnego dnia, w niedzielę 3 listopada 1918 r. miała miejsce wielotysięczna manifestacja patriotyczna połączona z zaprzysiężeniem kilkuset żołnierzy polskich ze stacjonującego w Piotrkowie batalionu zapasowego austriackiego cesarsko-królewskiego 100. Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej. Żołnierze tej jednostki dowodzonej przez gen. Franciszka Latinika zasłużyli się m.in. w maju 1915 r. podczas wielkiej ofensywy pod Gorlicami. Cenne pamiątki związane z dziejami pułku, liczne fotografie i dokumenty były przechowywane do końca pierwszej wojny w kancelarii pułkowej w Piotrkowie. Niestety, jak zapisał gen. Latinik w swoich wspomnieniach, unikalny zbiór pamiątek został zniszczony w pierwszych dniach niepodległości: *Podobnie jak wiedeńczycy niszczyli wszystko z żalu i rozpaczy, tak też nowo powstałe formacje polskie i różne jednostki, w radosnym uniesieniu z odzyskania wolnej, niepodległej Ojczyzny – rzucały się na te „pozostałości austriackie" rozgrabiając je bez śladu.*

W niedzielny poranek na łąki położone za parkiem miejskim ciągnęły tłumy mieszkańców miasta (ich liczbę oceniano na ponad 20 tysięcy). Każda szanująca się organizacja społeczna przysłała swoją delegację ze sztandarami – cechy rzemieślnicze, towarzy-



Do Obywateli miasta Łodzi!

Na konferencji, odbytej dziś w nocy z inicjatywy niemieckiej rady żołnierskiej przy udziale przedstawicieli magistratu m. Łodzi, niemieckiej rady żołnierskiej, wojska i organizacji wojskowych polskich, oraz przedstawicieli stronnictw politycznych: Polskiej Partji Socjalistycznej (frakcji), Narodowego Związku Robotniczego, Chrześcijańskiej Demokracji, Zjednoczenia Narodowego i Związku Budowy Państwa Polskiego postanowiono niniejszym wezwać ludność miasta Łodzi do zachowania spokoju i zaprzestania rozbrajania załogi niemieckiej.

Szczegóły, dotyczące uregulowania stosunku do tutejszej załogi niemieckiej rozstrzygnie konferencja przedstawicieli wojska polskiego i niemieckiego.

Konferencja odbędzie się niezwłocznie.

Magistrat m. Łodzi.

Łódź, w nocy z dnia 11-go na 12-ty listopada 1918 roku.

An die Einwohner der Stadt Lodz!

Auf der Konferenz, die auf Antrag des deutschen Soldatenrates in Lodz in der heutigen Nacht im Magistrat stattgefunden hat, und an der die Vertreter des Magistrats, des Soldatenrates, sowie des polnischen Heeres und der polnischen militärischen, sowie folgender politischer Organisationen teilgenommen haben u. zw.:

P. P. S. (Fraktion),
N. D. R.,
Christliche Demokratie,
Nationale Vereinigung,
Verband des Wiederaufbaues des polnischen Staates,

wurde beschlossen, einen Aufruf an die Bevölkerung um Bewahrung der Ruhe und Unterlassung der Entwaffnung des deutschen Militärs zu richten.

Die Einzelheiten der Regelung des Verhältnisses zu der hiesigen deutschen Besatzung werden durch eine besondere Besprechung zwischen den Vertretern des polnischen und des deutschen Militärs festgelegt werden.

Die Besprechung wird unverzüglich stattfinden.

Lodz, nachts zwischen dem 11. und 12. November.

Der Magistrat der Stadt Lodz.

אויפרוף צו די איינוואוינער פון דער שטאדט לאדז.

stwo „Sokół” oraz harcerze. Nad porządkiem uroczystości czuwali członkowie ochotniczej straży ogniowej oraz skauci. Przed ołtarzem polowym ustawiono w czworoboku setki żołnierzy służących w 100 pułku oraz innych formacjach austriackich, deklarujących się jako Polacy. Pośród wiwatów i frenetycznych wybuchów entuzjazmu z wielką trudnością udało się rozpocząć mszę świętą koncelebrowaną przez księży Jasińskiego, Janowskiego, Jelińskiego i Lipińskiego. Oprawę muzyczną zapewniła orkiestra dęta straży ogniowej kierowana przez kapelmistrza Celojowskiego.

Chciałbym w tym miejscu zwrócić uwagę czytelników na charakterystyczny moment tej patriotycznej uroczystości, jakim był udział żołnierzy narodowości czeskiej, entuzjastycznie witanych przez Polaków. Trudno sobie wyobrazić braterstwo polsko-czeskie i odruchy sympatii wobec wybuchu walk o Śląsk Cieszyński kilka miesięcy później. Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że w walkach wzięli udział Czesi wiwatujący na cześć swoich polskich współtowarzyszy broni! Po mszy i zaprzysiężeniu włodarze Piotrkowa podjęli żołnierzy obu nacji skromnym żołnierskim obiadem. Podobnie było także w innych miejscowościach okupowanych przez Austriaków.regionu okupowane przez Niemców – takie jak Łódź i Tomaszów Mazowiecki – musiały poczekać jeszcze 10 dni. W Łodzi 11 listopada doszło do jednodniowych starć zakończonych rozejmem, w Tomaszowie wystarczył fortel – groźba zbombardowania koszar niemieckich przez nieistniejącą baterię polską – aby Niemcy sami załadowali się do wagonów i wyjechali do Vaterlandu.

Skąd więc się wziął dzień 11 listopada obchodzony jako Narodowe Święto Niepodległości? W świadomości Polaków utrwalony jest pewien nie do końca prawdziwy stereotyp, jakoby w tym dniu sto lat temu narodziło się Niepodległe Państwo, a wolność przyszła nagle, w ciągu jednej chwili i to na terenie całego kraju jednocześnie. Nic bardziej mylnego. Gwoli przypomnienia, datę naszego najważniejszego święta państwowego oficjalnie ustalono dopiero ustawą Sejmu z dnia 23 kwietnia 1937 r. Stało się tak po wieloletnich sporach zwolenników różnych opcji świętowania, zależnych oczywiście od orientacji politycznej. Do świętowania gotowych było kilka terminów:

— 7 października 1918 roku niepodległość Polski proklamowała Rada Regencyjna,

— 19 października 1918 roku powstała Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego,

— 28 października 1918 roku w Krakowie utworzona została Polska Komisja Likwidacyjna mająca przejąć władzę od Austriaków,

— socjaliści byli skłonni świętować rocznicę utworzenia tzw. Rządu Lubelskiego – 6 listopada 1918 roku,

— konserwatyści typowali 5 listopada 1916 roku, tj. dzień wydania tzw. Aktu dwu cesarzy,

— komuniści w ogóle nie zamierzali celebrować czegoś tak im niemiłego jak niepodległość, co najwyżej godząc się na początek rewolucji październikowej, która jak nazwa nie wskazuje, wybuchła 7 listopada 1917 roku.

Politycznie „neutralny” dzień 11 listopada 1918 roku został zaakceptowany jako kompromis w niekończącym się sporze politycznym. Brygadier Józef Piłsudski, świeżo przybyły po uwolnieniu z Magdeburga, objął w tym dniu nie zwierzchnią władzę państwową a „jedynie” dowodzenie wojskiem. Jednak jego przybycie zbiegło się ze zorganizowaną akcją rozbrajania wojsk niemieckich i zawarciem rozejmu na froncie zachodnim.

Likwidacja administracji okupacyjnej na terenach Królestwa Polskiego, w zależności od miejsca i zaboru, zajęła przynajmniej kilkanaście dni. Szybciej akcja poszła na terenach zaboru austriackiego i zajętych przez wojska C.K. W Piotrkowie rozbrajanie żołnierzy innych narodowości niż polska oraz zajmowanie najważniejszych obiektów publicznych dokonało się podczas kilku pierwszych dni listopada 1918 r., bezpośrednio po Wszystkich Świętych, które tamtego roku przypadało w piątek.

W tych dniach nie było jednak wiadomo nie tylko, jakie granice przyjmie odrodzona Polska, ale przede wszystkim, jaki przyjmie ustrój. Na początku nie wyobrażano sobie niczego innego niż monarchię powszechną w całej Europie z wyjątkiem niepoprawnej Francji i Szwajcarii. Od ponad roku na terenach okupowanych przez Państwa Centralne funkcjonowała Rada Regencyjna Królestwa Polskiego. Władzę sprawowała w imieniu bliżej nieokreślonego monarchy (okupanci zwlekali ze wskazaniem kandydata). Pomysły bywały różne, typowano przede wszystkim kandydatów z dynastii krajów okupujących Królestwo Polskie, usiłując nawet wybierać ich „zaocznie”. Na drugim biegunie znajdował się głoszony przez komunistów pomysł Polskiej Republiki Radzieckiej, jako integralnej części Rosji Sowieckiej – popularny bardziej niż to się obecnie teraz przedstawia – oraz idea Niepodległej Polskiej Republiki Socjalistycznej, forsowana przez niedawnych towarzyszy partyjnych Józefa Piłsudskiego.

Podczas gdy Piotrków od kilku dni cieszył się wolnością w Łodzi doszło do krwawych starć, których nie pragnęła żadna ze stron. Szybko doszło do mediacji i wyjazdu żołnierzy niemieckich z miasta.

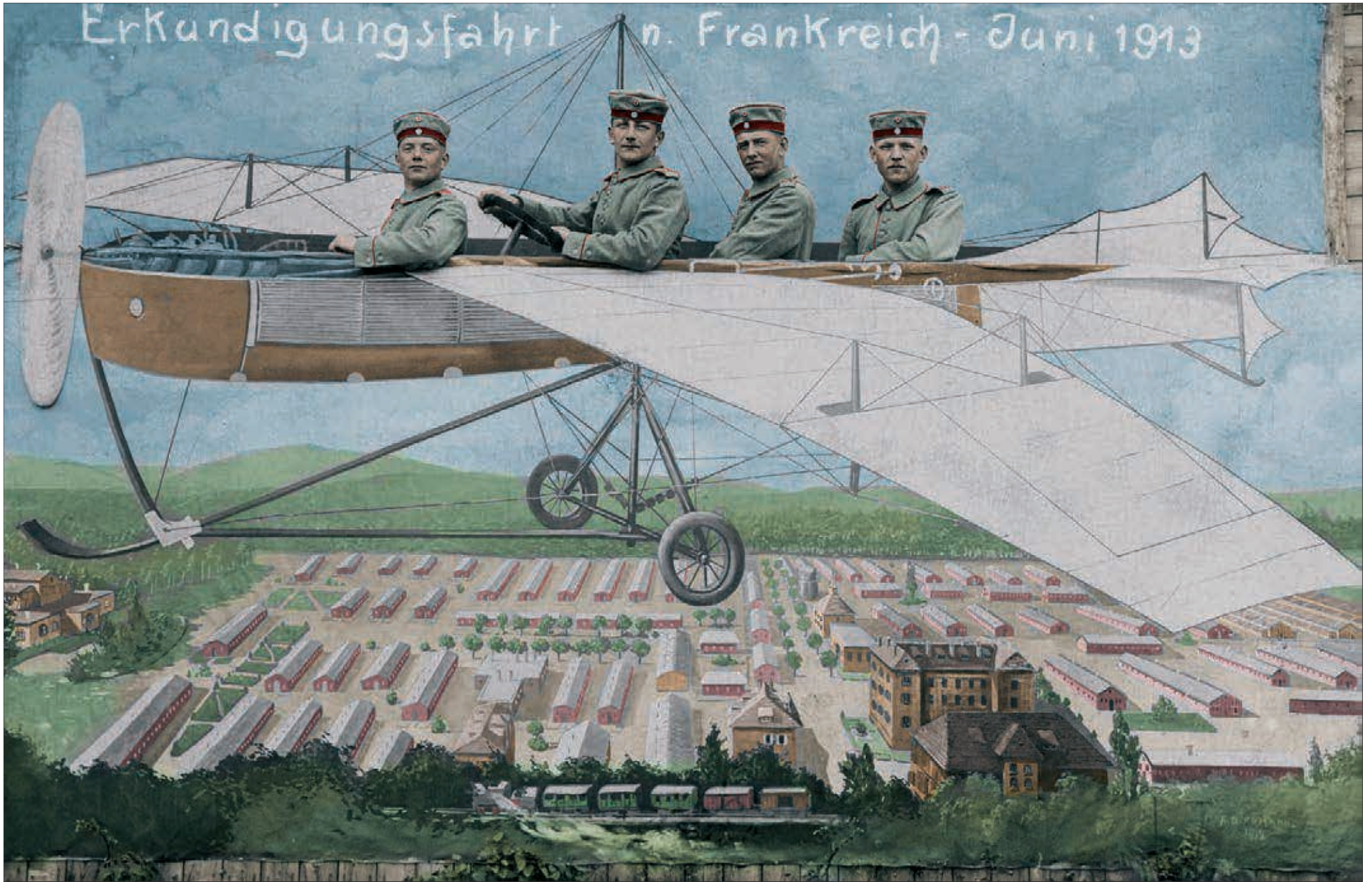
Aleksy Piasta

Co ma bekas do snajpera?

Rozpoczęcie pod koniec XIX wieku produkcji nowoczesnych karabinów powtarzalnych takich systemów jak Mauser, Berthier czy Lee-Enfield cechujących się doskonałą celnością sprawiło, że jeszcze przed I wojną światową w wielu armiach pojawili się strzelcy wyborowi. Wyposażano ich w egzemplarze broni, które najlepiej przechodziły testy fabryczne pod względem precyzji oddawanych strzałów i niezawodności. Jako pierwsi o dołożeniu do karabinów lunet celowniczych pomyśleli Niemcy. W chwili wybuchu wojny na froncie znalazły się setki niemieckich strzelców wyborowych, którzy skutecznie dali się we znaki aliantom dzięki posiadanym karabinom z lunetami. Brytyjscy oficerowie zaczęli nazywać ich angielskim słowem „sniper” będącym przetworzeniem „snipe” angielskiej nazwy bekasa – małego ptaka wędrownego zamieszkującego mokradła Euroazji. Nawiązali tym do tradycji sięgającej XVIII wieku, kiedy to oficerowie armii kolonialnej Imperium Brytyjskiego w Indiach, usiłując zabić nudę, urządzali liczne polowania. O ile najcenniejszym trofeum był tygrys lub dziki słoń to małe i zwinne bekasy należały do jednych z najtrudniejszych celów do trafienia. Spłoszony bekas nagle rzuca się do przodu jak strzała, często przelatując pod nogami intruza i dalej leci zygzakiem. Nic dziwnego, że ustrzelenie go jest bardzo trudne i możliwe praktycznie tylko przy użyciu broni śrutowej. W 1914 roku słowo „sniper” zostało powszechnie przyjęte przez prasę brytyjską i od tego czasu stało się uniwersalne.

pz





Amatorsko namalowany landszafcik przybity zapewne na ścianę jakiejś stosodoły – Zwiadowcza wycieczka nad Francję – czerwiec 1913 (Erkundigungsfahrt n. Frankreich – Juni 1913). Zwróćmy uwagę na datę, do zabójstwa arcyksięcia Ferdynanda mamy jeszcze rok a tu już, trochę żartem, mówi się o lotach nad Francję. Niemcy na poważnie szykowali się do wojny, o czym wiedzieli nawet szeregowi żołnierze.



Modlitwa przed bitwą rosyjskich żołnierzy na froncie austro-węgierskim.

Odpady wojenne na chwałę bożą

Skutki operacji łódzkiej z końca 1914 roku były katastrofalne. Poległo w niej tak wielu żołnierzy, że sukces wojsk niemieckich – według słów gen. K. Litzmanna – bardzo gorzko smakował. Również powodu do euforii nie mieli lokalni niemieccy duchowni, gdyż podczas działań wojennych ucierpiały ewangelickie kościoły, np. ten w Łaznowskiej Woli, jak i okoliczne wsie zamieszkiwane przez ewangelickich Niemców: Bogatynia, Skoszewy, Janików, Głogowiec, Teolin, Gałkówek, Zielona Góra. W Albertowie, Borowej, Zielonej Górze, Przyłęku Małym i Gałkówku zostały uszkodzone budynki gospodarcze będące zapleczem budynków szkolnych, a w Głogowcu i Teolinie spłonęły również budynki szkolne. Oczywiście w wyniku działań wojennych w listopadzie i grudniu bardzo ucierpiały również same Brzeziny, będące zarazem ośrodkiem parafialnym dla ewangelickich Niemców.



Odręczny napis: Garnisonkirche in Koljuschki (Polen) von Landsturmbauten und Baumstämmen erbaut im Kriegsjahr 1916 (Kościół garnizonowy w Koluszkach, wybudowany w czasie wojny roku 1916 z terenowych budowli obronnych i kloców drewnianych).

Poza tymi zniszczeniami operacja łódzka pozostawiła po sobie liczne wykopy, wały ochronne czy wszelakie umocnienia pozycji, do budowy których były wykorzystywane okrąglaki lub inny sortyment drewna. Ten wymagający dużego nakładu pracy surowiec byłby zmarnował się bądź co najwyżej zostałby zamieniony na energię cieplną, gdyby nie praktyczny zmysł niemieckiej władzy.

Tak więc ów materiał znalazł zastosowanie przy budowie kościółka (niekiedy nazywanego kaplicą garnizonu niemieckiego) w Koluszkach na tzw. Wypalenisku. Działo się to w 1916 roku.

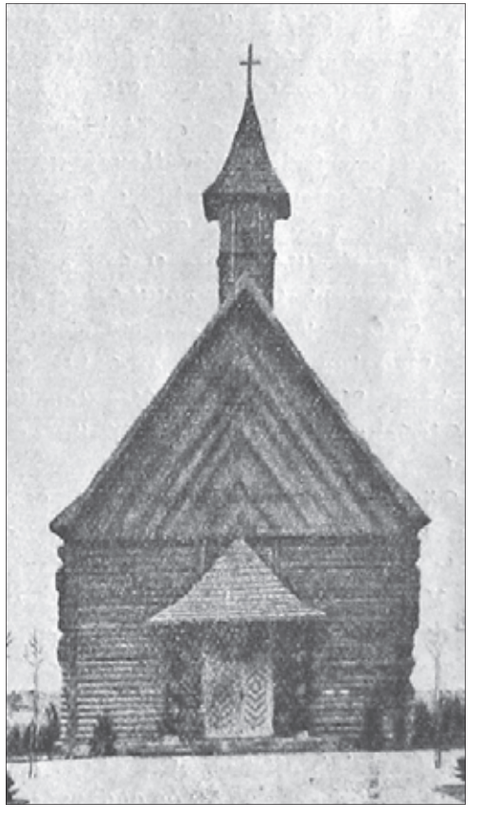
Inicjatorem tej budowy był wojenny gubernator Łodzi gen. lejtnant Felix von Barth. Jeszcze tegoż samego roku budowlę ukończono, a na uroczystym otwarciu dnia 12 XI znalazła się śmietanka duchowieństwa: konsystorz generalny guberni warszawskiej Strauss, superintendent diecezji piotrkowskiej Wilhelm P. Angerstein, miejscowy pastor Albert L. Wannagat, kapelan wojskowy Eidnaes, który był opiekunem tego kościółka. Ich obecność wskazuje na rangę obiektu, mimo że znajdował się on w miejscowości, w której Niemcy nie zamieszkiwali. Jego pobudowanie zdawało się być znakiem nie tylko ustatkowania władzy niemieckiej, lecz wskazywało również na szczególne znaczenie Koluszek, w których czasowo stacjonowały wojska. Być może liczono na to, że po wojnie powstanie tu nowa parafia, a Niemcy osiedlą się w tej miejscowości, tak bardzo strategicznie ważnej – ze względu na węzeł kolejowy.

Sam kościółek nie podlegał zwierzchnictwu brzezińskiego pastora A. Wannagata, choć



Gubernator Łodzi gen. Felix von Barth

były plany tymczasowego wcielenia go do ewangelickiej parafii brzezińskiej, lecz dopiero po zakończeniu wojny. Jednak do tego nie doszło, gdyż Niemcy stracili wpływy, po wojnie wystawiony na licytację i kupiony przez mieszkańców Rogowa w 1920 roku kościółek przejęli polscy katolicy, którzy w roku 1922 rozmontowali go i przenieśli do Rogowa. Tam nadano mu wezwanie św. Wincentego Ferrariusza, zwanego aniołem apokalipsy, zapewne w nawiązaniu do apokalipsy operacji łódzkiej. Tu też dobudowano murowaną zakrystię. Do powołania parafii był filią parafii Jeżów, rozebrany został w 1981 roku. Budowa kościółka z wykorzystaniem odpadków wojennych jest bodaj bez precedensu w województwie łódzkim, dlatego warto zwrócić uwagę na ten epizod tym bardziej, że ślad po tym obiekcie zniknął z pamięci mieszkańców.



♣ *Wojciech M. Wochna*



Poświęcenie angielsko-rosyjskiego szpitala w Piotrogrodzie w styczniu 1916 r..



Seidel
Major und Kommandant im Kreise Wielun.

OBWIESZCZENIE.

W ostatnim czasie zniszczone zostały kilkakrotnie przewody elektryczne, przyczem skradziono drut.

GMINY ODPOWIADAĆ MUSZĄ ZA KAŻDE USZKODZENIE.

Każde uszkodzenie karanem be
KIEM WIĘZIENIEM, w danym razie
winowajca nie zostanie




Schlacht bei Lodz.















